

URSULA K. le GUIN

Malafrena

(Przełożyła Agnieszka Sylwanowicz)

*Jeśli Pan domu nie zbuduje,
Próżno trudzą się ci, którzy go budują.
Jeśli Pan nie strzeże miasta,
Daremnie czuwa stróż.*

*Daremnie wczesnie rano wstajecie
I późno się kładzicie, spożywając chleb w troskach:
Wszak On i we śnie obdarza umiłowanego swego.*

Psalm 127 1-2

CZĘŚĆ I

W prowincjach

ROZDZIAŁ I

Miasto spało pogrążone w bezgwiezdnej, majowej nocy, a rzeka spokojnie toczyła swe wody wśród ścielących się w mroku cieni. Nad opustoszałymi dziedzińcami uniwersytetu górowała wieża kaplicy, pełna milczących dzwonów. Młody człowiek wspiał się na żelazne wrota wysokości dziesięciu stóp, zamykające podwórzec. Chwytnąjąc się prętów przesadził bramę, przeciął dziedziniec i stanął przed drzwiami kaplicy. Najpierw wyjął z kieszeni surduta dużą kartkę papieru, rozłożył ją, potem znalazł w kieszeni gwóźdź, pochylił się i zdjął but. Przyłożył kartkę i gwóźdź wysoko do okutych żelazem, dębowych drzwi, uniósł but, zamierzył się i uderzył. Odgłos uderzenia rozniósł się po ciemnych, kamiennych podwórcach. Młodzieniec znieruchomiał, jakby go to zaskoczyło. Gdzieś niedaleko rozległ się okrzyk i zgrzyt żelaza o kamienie; chwilę odczekał i uderzył jeszcze trzy razy, zanim główka gwoździa wbiła się w drewno, po czym pobiegł w podskokach do bramy, przerzucił przez nią but, przedostał się na drugą stronę, zahaczając połą surduta o wystający szpikulec; zeskoczył przy akompaniamencie odgłosu dartego materiału i zniknął w mroku tuż przed przybyciem dwóch policjantów. Zajrzeli przez bramę na dziedziniec, posprzeczali się po niemiecku na temat jej wysokości, potrząsnęli kłódką i odeszli, stukając obcasami po kocich łbach. Po chwili ostrożnie wychynął z ciemności młodzian, szukając po omacku buta. Trząsał się od z trudem tłumionego śmiechu. Nie mógł znaleźć zguby. Wracały straż. Kiedy odchodził ciemnymi ulicami w samych tylko pończochach, zegar na wieży katedry w Solarij wybijał północ.

Kiedy następnego dnia zegar wybijał południe, na uniwersytecie skończył się właśnie wykład o życiu Juliana Apostaty i młodzieniec wychodził z sali w towarzystwie kolegów. Zabrzmiało głośno wypowiedziane jego nazwisko:

- Herr Sorde. Herr Itale Sorde.

Udający głuchoniemych studenci minęli umundurowanego oficera straży uczelnianej, nawet na niego nie spojrzawszy. Zatrzymał się tylko wywołany.

- Tak, Herr rektor chce się z panem widzieć, proszę tędy, panie Sorde.

Podłogę gabinetu rektora pokrywał piękny, lecz bardzo zniszczony czerwony perski dywan. Z lewej strony rektorskiego nosa widniała sinofioletowa narośl - brodawka, znamię? Przy oknach stał ktoś jeszcze.

- Proszę odpowiedzieć na nasze pytania, panie Sorde.

Rektor spojrział na płachtę papieru, którą trzymał w wyciągniętej ręce ten drugi: miała długość i szerokość około jarda i stanowiła połowę ogłoszenia o sprzedaży wołów pociągowych na targu w Solarij 5 czerwca 1825 roku. Na odwrocie było napisane dużymi, wyraźnymi literami:

*O, włóżcie obroże na szyje,
Jak każe von Gentz, von Haller i Muller!
Wszystkie najlepsze Rządy
Zastąpiły rozsądek
I działań sens
Panami jak Haller, Muller i Gentz.*

- Ja to napisałem - powiedział młodzieniec.

- I... - tu rektor spojrzał na mężczyznę stojącego przy oknach i spytał z łagodną dezaprobatą: - I pan przybił to do drzwi kaplicy?

- Tak. Przyszedłem sam, nikt mi nie pomógł. To był wyłącznie mój pomysł.

- Mój drogi chłopcze - powiedział rektor, przerwał, zmarszczył brwi. - Mój chłopcze, choćby sama świętość tego miejsca...

- Szedłem śladem mojego historycznego poprzednika. Jestem studentem historii. - Bładość młodzieńca zmieniła się w rumieniec.

- Jak dotąd wzorowym - rzekł rektor. - Wyczyn ten jest w najwyższym stopniu godny pożałowania. Nawet jeśli potraktuję to jako wybryk...

- Przepraszam, sir, to nie był wybryk!

Rektor skrzywił się i zamknął oczy.

- Jest oczywiste, że zamiar był poważny, bo w przeciwnym wypadku po co by mnie pan wzywał?

- Młodzieńcze - odezwał się drugi mężczyzna, mężczyzna bez brodawki, bez tytułu, bez nazwiska - mówisz o powadze. Jeśli będziesz się przy tym upierał, możesz przysporzyć sobie poważnych kłopotów.

Teraz młody człowiek zbladł jak ściana. Spojrzał na mężczyznę i złożył płytki ukłon. Odwrócił się do rektora i powiedział nienaturalnie brzmiącym głosem:

- Nie zamierzam przepraszać, sir. Zrezygnuję ze studiów. Nie ma pan prawa wymagać ode mnie niczego więcej.

- Chodzi o coś innego, panie Sorde. Proszę się opanować i posłuchać. To pański ostatni semestr na uniwersytecie. Pragniemy, by skończył pan studia bez żadnych opóźnień czy perturbacji. - Uśmiechnął się, a sinofioletowa brodawka na jego nosie poruszyła się w górę i w dół.

- Zatem proszę o obietnicę, że przez resztę semestru nie będzie pan uczestniczył w żadnych

studenckich zebraniach oraz że od zachodu słońca do rana nie opuści swojej stacji. To wszystko, panie Sorde. Czy da mi pan słowo?

Po krótkim milczeniu młodzieniec odpowiedział:

- Tak.

Kiedy wyszedł, inspektor prowincji złożył papier i położył go z uśmiechem na biurku rektora.

- Młodzian z charakterem - zauważył.

- Tak, takie rzeczy to tylko chłopięce igraszki.

- Luter miał dziewięćdziesiąt pięć tez, a ten wydaje się, że ma tylko jedną - powiedział inspektor prowincji.

Rozmawiali po niemiecku.

- Cha, cha, cha! - roześmiał się usłużnie rektor.

- Planuje karierę publiczną? Prawo?

- Nie, wróci do rodzinnego majątku. To jednak. Kiedy zostałem nauczycielem, przez pierwszy rok uczyłem jego ojca. Val Malafrena, wysoko w górach, środek kraju, wie pan, sto mil od cywilizacji.

Inspektor prowincji uśmiechnął się.

Kiedy wyszedł, rektor westchnął. Usiadł za biurkiem i spojrzał na portret wiszący na przeciwległej ścianie. Jego wzrok, początkowo roztargniony, stopniowo ogniskował się. Był to portret dobrze ubranej, otylej kobiety o grubej dolnej wardze, portret wielkiej księżnej Mariyi, kuzynki w pierwszej linii austriackiego cesarza Franciszka. Na trzymanym przez nią zwoju narodowa czerwień i błękit Orsinii dzieliła miejsce z czarnym dwugłowym orłem Cesarstwa. Przed piętnastu laty na ścianie wisiał portret Napoleona Bonaparte. Trzydzieści lat temu portret przedstawiał króla Stefana IV w stroju koronacyjnym. Trzydzieści lat temu, kiedy rektor został dziekanem i wzywał do siebie chłopców, żeby ich surowo besztać za wykroczenia, stawali przed nim z głupimi minami i uśmiezkami. Twarze im nie szarzały. Nie miał tej bolesnej chęci przeproszenia, powiedzenia młodemu Sorde: "Przykro mi... Sam widzisz, jak się sprawy mają!" Znów westchnął i spojrzał na dokumenty do podpisu - rządowe poprawki programu nauczania, wszystkie po niemiecku. Włożył okulary i wziął niechętnie do ręki pierwszy plik. Na jego twarzy oświetlonej promieniami majowego słońca malowało się zmęczenie.

Sorde tymczasem zszedł do parku ciągnącego się wzdłuż Molseny i usiadł na ławce. Za rachitycznymi wierzbami przebijał w słońcu przydymiony błękit rzeki. Wszystko było spokojne, rzeka, niebo, liście wierzb na jego tle, słoneczny blask, ogrzewający się w nim, dumnie kroczący po żwirze gołąb. Z początku Sorde siedział z rękoma na kolanach, ze zmarszczonymi brwiami i

twarzą odzwierciedlającą targające nim uczucia. Stopniowo uspokoił się, wyciągnął przed siebie długie nogi, a ręce rozłożył na oparciu ławki. Jego twarz wyróżniająca się dzięki dużemu nosowi, grubym brwiom i błękitnym oczom przybierała coraz bardziej marzycielski, a nawet senny wyraz. Patrzył na płynącą rzekę.

Jakiś głos zabrzmiał niczym wystrzał.

- Tu jest!

Rozejrzał się powoli. Znaleźli go przyjaciele.

Frenin, krępy blondyn, rzekł zmarszczywszy czoło:

- Niczego nie udowodniłeś, nie przyjmuję twego dowodu.

- Że słowa to czyny? Przybiłem przecież słowa...

- Czynem było ich przybicie...

- Ale kiedy już się tam znalazły, to właśnie one, słowa, wywołały działanie i przyniosły rezultaty...

- Jakie rezultaty przyniosły w naszym wypadku? - spytał Brelavay, wysoki, szczupły, smagły młodzieniec o ironicznym spojrzeniu.

- Żadnych zebrań. Areszt domowy w nocy.

- Na Boga, dzięki Austrii zachowasz niewinność! - Brelavay roześmiał się z zachwytem. - Widziałeś rano tłum przed kaplicą? Zanim Austrusie znaleźli kartkę, zobaczył ją cały wydział. Chryste Wszzechmogący! Myślałem, że zaaresztują nas wszystkich!

- Skąd się dowiedzieli, że to ja?

- Niech pan zapyta starostę grupy, Herr Sorde - rzeki Frenin. - Das wurde ich auch gerne wissen!

- Rektor nie powiedział ani słowa o Amiktiyi. Był tam jakiś Austrus. Myślicie, że stowarzyszenie będzie miało kłopoty?

- Kolejne dobre pytanie.

- Słuchaj no, Frenin! - wybuchnął Brelavay. Obaj spędzili ostatnią pełną niepokoju godzinę na poszukiwaniu Itale, byli zdenerwowani i głodni. - Ciągłe powtarzasz, że tylko gadamy, a nic nie robimy. Teraz Itale coś zrobił, a ty zaczynasz narzekać! Osobiście nie obchodzi mnie, czy stowarzyszenie będzie miało jakieś kłopoty, to głupia banda, wcale się nie dziwię, że jest wśród nich szpieg. - Usiadł na ławce obok Itale.

- Jeśli pozwolisz mi skończyć, Tomasie - rzekł Frenin przysiadając się - to chciałem powiedzieć, że w Amiktiyi jest nas około pięciu osób traktujących te idee poważnie, tak? Po tym wszystkim, kiedy zaczną obserwować Itale, całe stowarzyszenie stanie się podejrzane i nadejdzie chwila, gdy będziemy musieli odpowiedzieć sobie na wiele pytań. Stowarzyszyliśmy się dla wina i

pieśni, czy może kryje się za tym coś więcej? Przybijesz swój wierszyk, wysłuchasz kazania, skończysz semestr i wrócisz do domu na wieś, czy może rzeczywiście grożą nam następstwa? Czy nasze słowa to czyny?

- O czym myślisz, Givanie?

- Myślę o Krasnoy.

- A co mielibyśmy tam robić? - spytał sceptycznie Brelavay.

- Tutaj, w Solariy, nie ma nic. Nic nie ma w prowincjach - ci przekłęci mieszczenie, wasi wieśniacy. Nie możemy walczyć ze średniowieczem. Jeśli jesteśmy poważni, to jedynym miejscem dla nas jest stolica. Mój Boże, czy Krasnoy jest tak daleko?

- Molsena przepływała przez niego kilka dni temu - odezwał się Itale zapatrzony w błękitną rzekę prześwitującą przez drzewa. - Posłuchajcie, to jest pomysł, to prawdziwy pomysł, Givanie. Muszę pomyśleć. Muszę coś zjeść. Chodźcie. Krasnoy, Krasnoy! - Spojrzał z radością na przyjaciół. - Nie możemy jechać do Krasnoy! - powiedział. Wyszli z parku ze śmiechem.

Kiedy rozstali się późnym popołudniem i Itale ruszył do domu, nadal przepełniało go radosne, pełne niedowierzania oczekiwanie. Czy to możliwe, że zacznie się nowe życie? Czy rzeczywiście pojedzie do miasta, zamieszka tam, będzie pracował z innymi dla wolności? To nieprawdopodobne, fantastyczne, cudowne, jak się do tego zabrać? W mieście muszą być ludzie, którzy z radością ich powitają i przydzielą pracę. Podobno są tam tajne stowarzyszenia utrzymujące kontakty z podobnymi grupami w Piemencie i Lombardii, w Neapolu, Czechach, Polsce i w państwach niemieckich, bo na wszystkich terenach cesarstwa austriackiego i jego satelitów, a nawet poza nimi, w całej Europie, rozciąga się delikatna i niezauważalna siatka liberalizmu, niczym system nerwowy śpiącego człowieka. Jest to sen niespokojny, gorączkowy, pełen marzeń. Nawet w tym sennym mieście ludzie mówią o Matiyasie Sovenskarze, przebywającym na wygnaniu w swoim majątku od roku 1815, jako o "królu". Jest nim wedle prawa i woli swego ludu - dziedzicznym i konstytucyjnym królem wolnego kraju, i do diabła z cesarzem i cesarstwem! Itale szedł cienistą ulicą wielkimi krokami niczym letnia trąba powietrzna, z rozpaloną twarzą i w rozpiętym surducie.

Mieszkał u rodziny swego wuja Angele Dru. Przed kolacją wyjaśnił mu, że na noc znajduje się w areszcie domowym. Wuj roześmiał się. Wraz z żoną, z którą miał liczne dzieci, dali krewnemu mały pokój, obfite posiłki i nieograniczone zaufanie. Ich starsi synowie nie byli zbyt spokojni i czasem wydawało się, że państwo Dru są tyleż zaskoczeni, co zadowoleni nienadużywaniem tego zaufania przez Itale.

- O co poszło, co zrobiłeś tym razem? - spytał wuj.

- Powiesiłem głupi wierszyk na drzwiach kaplicy.

- I to wszystko? Czy opowiadałem ci, jak pewnej nocy przyprowadziliśmy na uniwersytet młode Cyganki? Wtedy jeszcze nie zamykali bram na noc - i Angele po raz kolejny opowiedział tę historię. - O czym jest ten twój wiersz, co?

- Och, o polityce.

Angele nadal się uśmiechał, ale na czole pojawiła mu się zmarszczka niepokoju czy też rozczarowania.

- O jakiej polityce?

Itale, aby udobruchać wuja, wyrecytował wierszyk, a potem musiał go wyjaśnić.

- Rozumiem - powiedział niepewnie Angele. - No cóż, sam nie wiem. Wiele się zmieniło od czasów, kiedy byłem w twoim wieku. Jezus, Maria, co nas obchodzą ci wszyscy Prusacy i Szwajcarzy, Haller, Muller? Ale wiem, kim jest von Gentz; przełożonym policji cesarskiej, a to bardzo ważne stanowisko. Nie nasz interes, co robią tacy ludzie.

- Nie nasz interes! Skoro wszystko, co robimy, to ich interes? Skoro aresztuje się nas, kiedy tylko otworzymy usta? - Itale starał się unikać rozmów z wujem o polityce, ale jego poglądy były tak jasne, a fakty tak oczywiste, że za każdym razem miał nadzieję, iż potrafi wuja przekonać.

Angele robił się coraz bardziej niespokojny, lecz upierał się i nie chciał nawet przyznać, że nie podoba mu się obca policja patrolująca miasto i uniwersytet oraz że on też uważa Matiyasa Sovenskara za króla.

- Po prostu w trzynastym roku znaleźliśmy się po niewłaściwej stronie. Powinniśmy przystąpić do Przymierza i pozwolić Bonapartemu powiesić się na własnym sznurze. Ty nie pamiętasz, jak to jest, kiedy całą Europą wstrząsa wojna, słyszy się tylko o wojnie; Prusacy przegrywają, Rosjanie zwyciężają, jedna armia naciera tu, druga armia cofa się tam, brakuje żywności, nikt nie jest bezpieczny we własnym łóżku. Można zarobić mnóstwo pieniędzy, ale nie dają one bezpieczeństwa - nie ma żadnej pewności. Pokój to wspaniała rzecz, chłopcze! Doceniłbyś to, gdybyś był o kilka lat starszy.

- Jeśli ceną pokoju jest wolność...

- Och, świetnie, wolność, prawa - nie daj się omamić słowom, mój drogi Itale. Prawdą jest to, że słowa ulatują z wiatrem, a pokój jest dany od Boga. - Wuj był pewien, że przekonał siostrzeńca: jego poglądy są tak jasne, a fakty tak oczywiste. Itale przynajmniej zaprzestał dyskusji.

Przy stole Angele wygłosił tyradę przeciwko nowemu prawu podatkowemu ustanowionemu przez rząd wielkksiążęcy, którego bronił jeszcze przed godziną. Skończył płaczliwie, a kiedy uśmiechnął się spoglądając na rodzinę, bardzo przypominał swoją siostrę, matkę Itale. Chłopak wielkodusznie wszystko mu wybaczył. Nie mógł przecież obwiniać wuja za tępotę - przecież miał on prawie pięćdziesiąt lat.

O północy Itale siedział przy stole w swojej sypialence na poddaszu. Nogi wyciągnął przed siebie, podbródek oparł na rękach i wpatrywał się, ponad stertami książek i papierów, w ciemność za otwartym oknem. Dawalo się słyszeć szelest, szum i ciszę drzew w majową noc. Itale myślał o oknie swego pokoju w domu nad jeziorem Malafrena, o podróży do Krasnoy, o śmierci Stilicho, o rzece koloru przydymionego błękitu, płynącej za wierzbami i o ludzkim życiu; wszystko w jednym, długim, niewypowiadalnym ciągu skojarzeń. Z ulicy dochodziło przybliżające się stukanie dwóch par austriackich butów wojskowych - zatrzymały się pod domem i ruszyły dalej. Jeśli musi tak być, to musi, jest to konieczne - pomyślał z radosnym niepokojem, jak gdyby w tych słowach było zawarte jego życiowe credo, i wsłuchał się w cichy szum liści. Zdawało się mu, że skok przez bramę na ciche dziedzińce uniwersytetu i rozmowa z rektorem odbyły się bardzo dawno, kiedy był chłopcem, a jego uczynki nie miały jeszcze znaczenia. Teraz nie mógł się pozbyć przekonania, że kiedy Frenin wypowiedział słowa: "myślę o Krasnoy", spodziewał się ich: musiały paść, stały się nieuniknione. Nie wróci i nie przeżyje życia na wsi w górach. To już niemożliwe. Tak dalece niemożliwe, że potrafił spojrzeć na takie życie, które aż do dzisiaj uważał za swoje niekwestionowane przeznaczenie, z tęsknotą i żalem. Znał tam każdą piędź ziemi, każdą codzienną czynność, wszystkich ludzi, znał ich tak, jak własne ciało i duszę. O mieście nie wiedział nic.

- Musi tak być, musi tak być - powtórzył z przekonaniem, radością i obawą. Nocny wiatr, pachnący świeżą, wilgotną ziemią, musnął mu twarz i poruszył białymi firankami. Miasto wciąż spało pod wiosennymi gwiazdami.

ROZDZIAŁ 2

Jego wspomnienia z dzieciństwa były niezgłębione, pozbawione dat, dotyczyły tylko miejsc, a nie czasu: pokoje w domu, deski podłogi na półpiętrze, talerze z błękitną obwódką, pęciny wielkiego konia stojącego w kuźni, ręka jego matki, żwir rozgrzany słonecznym blaskiem, krople deszczu uderzające o wodę, zarys gór na tle ciemnego, zimowego nieba. Wśród tych wspomnień wyróżniało się jedno, kiedy stał w pokoju oświetlonym czterema świecami i zobaczył na poduszce głowę z oczodołami niczym czarne dziury, dużym nosem świecącym jak metal, a na kołdrze nieruchomą rękę, która wyglądała jak przedmiot. Ktoś monotonicznie wypowiadał jakieś niezrozumiałe słowa. Był to pokój jego dziadka, lecz dziadka w nim nie widział. Wuj Emanuel rzucał duży cień, który ruszał się za nim na ścianie. Wszyscy mieli ogromne cienie: służący, ksiądz, jego matka, bał się na nie spojrzeć. Jednostajny głos księdza był jak woda podchodząca coraz wyżej pod ściany pokoju, chlupocząca mu w uszach, zakrywająca głowę. Zaczął walczyć o powietrze. W duszącym przerażeniu poczuł na plecach dotyk dużej ręki i usłyszał ciche słowa ojca: - I ty też tu jesteś, Itale? - Ojciec wyprowadził go z pokoju i kazał przez chwilę bawić się w ogrodzie. Wybiegł chętnie, odkrywając, że na zewnątrz pokoju ze świecami nie jest nawet ciemno. Blask miedzianego zachodu słońca leżał jeszcze na jeziorze, na zgarbionej górze nazywanej Myśliwym nad zatoką Evalde, na szczycie San Larenz wysoko na zachodzie. Siostrzyczka Itale, Laura, poszła spać. Został sam i nie wiedział, co ma robić. Próbował otworzyć drzwi do szopy z narzędziami, ale mu się nie udało; podniósł ze ścieżki czerwony kamień i szepnął do siebie: - Jestem Itale. Mam siedem lat - ale nie wiedział, czy na pewno, był przecież tylko dzieckiem zabłąkanym w ogrodzie, sam na sam z ponurym, wieczornym wiatrem i skradającą się cicho nocą. W końcu przyszła ciotka Perneta, skrzyczała go, pocieszyła i szybko położyła spać.

Itale Sorde senior w latach siedemdziesiątych XVIII w. mieszkał we Francji i podróżował po Niemczech oraz Italii. Jego sąsiedzi z Val Malafrena z czasem mu wybaczyli porzucenie ojczyzny, chociaż niektórzy z nich nigdy go już nie obdarzyli zaufaniem. W wieku czterdziestu lat na dobre wrócił do górskiej prowincji i swojej żony, kuzynki sąsiada, hrabiego Guide'a Valtorskara. Zajął się majątkiem, przebudował dom i ustatkował się. Wysłał synów na uniwersytet w Solarij, lecz obaj bez żadnych oporów wrócili do Montayny, starszy, by zajmować się posiadłością, a młodszy, by założyć skromną kancelarię prawniczą w Portacheyce. Po roku 1790 ich ojciec nie opuścił już tej prowincji. W ciągu tych lat korespondencja z przyjaciółmi za granicą powoli wygasła, aż w końcu urwała się - przyjaciele zmarli, zapomnieli o nim lub wiedzieli, że chce być zapomniany. Po jego śmierci w roku 1810 pamiętano go jako dobrego rządcę majątku, człowieka uprzejmego i pełnego godności oraz dobrego ogrodnika.

Jego rodzina należała do domey, klasy wywodzących się z ludu ziemian, którzy z mocy królewskiego nadania w 1740 roku otrzymali przywileje równe szlachetnie urodzonym. We wschodnich prowincjach domey nadal znajdowali się w izolacji od starej hierarchii społecznej, lecz w centrum i na zachodzie, wraz z mieszczaństwem ze stolicy i większych miast, stopili się ze szlachtą - dzięki przejściu jej obyczajów i małżeństwom - bardziej, niż pozwalały na to miejscowe konwenanse. Stali się liczniejsi i potencjalnie bardziej wpływowi, niż większość z nich zdawała sobie sprawę. Magia nazwisk nadal oczarowywała umysły. Domey nie mieli nazwisk, lecz mienie.

Posiadłość dom Itale była nieduża, ale piękna. Postawiony przez niego dwór okalały z trzech stron wody jeziora. Znajdował się na tępo zakończonym półwyspie stanowiącym kraniec grzbietu góry San Givan. Jej strome zbocza zwieńczały dęby i sosny, toteż od wschodu dom wydawał się stać samotnie w posępnym górskim krajobrazie. Jednak od strony Portacheyki, miasta leżącego na przełęczy, widziało się pola, sady i winnice, domy chłopów i dzierżawców, dachy innych dworów. W majątku uprawiano winorośl, gruszki, jabłka, żyto, owies i jęczmień - klimat był tu surowy, lecz nie ostry. W czasie mroźnych zim na zalesionych szczytach leżał głęboki śnieg, lecz ani Malafrena, ani inne jeziora rozciągające się wzdłuż gór do południowo-zachodniej granicy tej krainy nie zamarzły całkowicie od stu lat. Lata były długie i gorące, a w górach huczały burze. Lata pamiętano tu ze względu na suszę lub wielkie deszcze, udane winobranie, pogodę i plony, a nie wydarzenia historyczne. Czy rządził król Stefan, czy Napoleon i wielki książę Matiyas, czy Franciszek i wielka księżna Mariya, nie miało to większego wpływu na pogodę i ziemię, na smak wina, wygląd wzgórz. Ziemianie i ich dzierżawcy żyli za górską barierą. Owszem, narzekali na podatki, ale robili to także ich pradziadowie.

Guide Sorde, spadkobierca, był mężczyzną wysokim, szczupłym, o ciemnej cerze i przenikliwych szarych oczach. Dobry reprezentant małomównych chłopów swojej prowincji, spośród których jego przodkowie wznieśli się w XVII wieku do klasy posiadaczy ziemskich. Jego żona, Eleonora, urodzona na południowej równinie w Solarij, stanowiła jedyną cenioną przez niego zdobycz spoza gór. Sprowadził ją ze sobą na dobre.

W 1803 roku urodził im się syn, a w trzy lata później córka. Eleonora sama uczyła oboje dzieci, dopóki Itale nie skończył jedenastu, a Laura ośmiu lat. Następnie, ponieważ wykształcenie stało się rodzinną tradycją, a Guide podtrzymywał wszelkie tradycje, trzy razy w tygodniu zaczął przychodzić do Laury guwerner, a Itale poszedł do szkoły benedyktynów na górze Sinviya. Przybywał do domu pod koniec prawie każdego tygodnia, bo szkoła leżała w odległości zaledwie siedmiu mil. W czwartki schodził do Portacheyki, której spadziste, łupkowe dachy i strome uliczki leżały pod oknami klasztornej szkoły, i jadł kolację z wujem Emanuelem oraz ciotką Pernetą w ich wysokim, drewnianym domu z ogrodem pełnym nagietków, bratków i floksów, z którego - przez

przełęcz - rozciągał się widok na ciemne uliczki i dachy. Miasto było położone w głębokiej dolinie między górami Sinviya i San Givan. Północna część Portacheyki rozpostarta między prawie pionowymi zboczami sprawiała wrażenie fantastycznej wizji. Wydawało się, że cienista przełęcz nie może prowadzić do tych odległych, skąpanych w słońcu, lazurowych wzgórz, a jedynie nad nimi górować niczym nad bajecznymi królestwami, leżącymi po przeciwnej stronie granicy możliwości. Kiedy na szczytach zbierały się burzowe chmury i zawisały potem nad miastem, czasami w przeblysku czystego, złocistego światła stawały się widoczne niżej położone wzgórza, przypominające zaczarowane królestwo wolne od burz i mroku panującego wyżej. Kręcąc się koło zajazdu "Pod Złotym Lwem" Itale widział wyruszające do dalekich miast lub przybywające z dalekich podróży do Portacheyki wysokie, rozkołysane, zakurzone dyliżanse Linii Południowo-Zachodniej. Sama Portacheyka, brama jego prowincji, miała dla niego taki urok podróży i nieznanego, jaki dla mieszkańca nadmorskiego kraju mają porty.

W sobotnie popołudnia szedł przez miasto oraz porośnięte dębami falujące wzgórza, mijając położone na zboczach winnice i sad, by znaleźć się w domu nad jeziorem. Po drodze przystawał na pogawędkę z kolegami mieszkającymi w majątku albo z Bronem, głównym winiarzem, długonogim, ponurym starcem wysoko trzymającym ramiona. Pytał go o wszystkie wydarzenia z minionego tygodnia i opowiadał o swoich sprawach. Jeśli były to niepowodzenia, Bron rzucał: - Tak się toczy życie - a jeśli coś mu się udawało, mówił: - Tak, ale praca będzie zawsze, a nagroda nieczęsto, dom Itaall

Kiedy skończył siedemnaście lat, wrócił do domu z błogosławieństwem mnichów z Simdya i pierwszą nagrodą z łaciny. Rozpoczął życie młodego ziemianina, ucząc się przycinania winorośli, osuszania pól, prowadzenia ksiąg, a także polując, jeżdżąc konno i żeglując po jeziorze swoją łódką "Falkone". Praca wypełniała mu czas, lecz nie zaprzętała umysłu. Stał się niespokojny. Będąc ważną osobą dla swej rodziny czuł, że powinien zrobić coś znaczącego. Pozycja społeczna oznaczała zobowiązania: tego nauczył się od ojca, który nigdy nie mówił o obowiązkach, lecz mimo że był autokratą, wypełniał je bez zmrużenia oka. Szukając godnego siebie obowiązku chłopiec studiował życiorysy wielkich ludzi. Jego pierwszym bohaterem stał się Eneas. Opowiedział mu o nim dziadek, a potem Itale przeczytał tę historię w szkole ze sfatygowanego podręcznika ojca. W nielicznych książkach, jakie udało mu się zdobyć, znalazł sobie też innych bohaterów: Peryklesa, Sokratesa, Hektora, Hannibala. No i był Napoleon. Jego dzieciństwo minęło w Cesarstwie, młodość na wygnaniu. Bezsilny na więziennej wyspie, pokonany, upokorzony, Napoleon górował nad wszystkim niczym skuty Prometeusz, podczas gdy nad rozległymi ziemiami Europy i Rosji panowali mali, lękliwi królowie... W bibliotece dziadka siedemnastolatek wypatrzył tak dużo francuskich książek, że przy ochoczej pomocy siostry znającej francuski nauczył się tego

języka na tyle, by móc w oryginale zgłębić Woltera. Laura próbowała czytać razem z nim, ale szybko się znudziła i wróciła do ulubionej książki matki, "Nowej Heloizy", co Itale przyjął z ulgą, bowiem w szkole klasztornej Woltera wymieniano jednym tchem z diabłem i Itale nie był pewien, w co się angażuje. Znalazł też niekompletne roczniki "Monitora", francuskiej gazety rządowej. Przejrzał kilka numerów z roku 1809 i stwierdził, że tak jak wszystkie inne gazety, które czytywał, jest tubą władzy. Później jednak natknął się na rocznik z początku lat dziewięćdziesiątych XVIII wieku. Początkowo zupełnie nie pamiętał, co się wtedy działo w Paryżu - mnisi nie byli zbyt mocni w najnowszej historii. Trafił na przemówienia nie znanego sobie Dantona, Mirabeau, Vergniauda. Nazwisko Robespierre'a, owszem, słyszał - wymieniane razem z Wolterem i diabłem. Wrócił do roku 1790 i zaczął czytać po kolei. W rękach trzymał Rewolucję Francuską. Przeczytał przemówienie, w którym mówca wzbudzał gniew ludu na uprzywilejowanych, przemówienie kończące się słowami "Vivre libre, ou mourir!" - Żyć wolni lub zginąć. Pożółkły papier kruszył się pod dotykiem palców chłopca, który pochylał głowę nad suchymi kolumnami słów wypowiedzianych do nie istniejącego Zgromadzenia przez ludzi nieżyjących od trzydziestu lat. Było mu zimno w ręce, jakby stał na wietrze, w ustach miał sucho. Prawie nic nie wiedząc o Rewolucji, nie rozumiał połowy z tego, co czytał. Rozumiał jednak, że dokonała się Rewolucja.

Przemówienia pełne były patosu, frazesów i próżności, co wyraźnie dostrzegał. Mówiły jednak o wolności jako o ludzkiej potrzebie, jak chleb, jak woda. Itale wstał i zaczął chodzić po cichej bibliotece, masując sobie głowę i patrząc niewidzącymi oczyma na półki z książkami i okna. Wolność nie jest koniecznością, wolność to niebezpieczeństwo, wszyscy prawodawcy w Europie mówią to od dziesięciu lat. Ludzie są dziećmi, którymi muszą - dla ich własnego dobra - rządzić nieliczni, rozumiejący zasady rządzenia. Co miał na myśli ten Francuz Vergniaud mówiąc - życie wolni lub zginąć? Takiego wyboru nie daje się dzieciom. Te słowa zostały skierowane do dorosłych. Brzmiały obcesowo i dziwnie, brakowało im logiki oświadczeń składanych na poparcie sojuszy, kontrsojuszy, cenzury, represji, akcji odwetowych. Brakowało im rozsądku.

Itale spóźnił się na kolację. Wyglądał, jakby miał gorączkę. Zjadł mało i wkrótce wybiegł z domu, kierując się w ciemności nad brzeg jeziora. Tam przez kilka godzin mocował się z aniołem, z posłańcem, który postawił przed nim owego popołudnia wyzwanie. Walczył najlepiej, jak umiał, ponieważ, jak na dziewiętnastolatka, wysoce sobie cenił jasność myśli, lecz anioł wygrał bez najmniejszego wysiłku. Itale nie mógł już wyrzec się tego, czego pragnął i czego szukał: ideału ludzkiej wielkości nie ucieleśnionego w konkretnej osobie, lecz realnego dla każdej jednostki przez ogólnoludzkie pojednanie. Nie jestem wolny tak długo, jak długo choćby jedna osoba jest niesprawiedliwie więziona - pomyślał neofita, a kiedy rozważał te kwestie, jego twarz, mimo surowego wyrazu, promieniała szczęściem. Dwudziesty rok życia stał się dla niego

najwspanialszym rokiem. Kiedy po długim milczeniu nawiązywał do czegoś, co powiedziała matka, ona patrzyła ze smutkiem i zastanawiała się, skąd wrócił, bo był tak daleko, że jego błękitne oczy spoglądały na nią z radością, jakby przed chwilą znajdował się w odległych krainach.

Na długo przed decyzją syna wiedziała, że zechce opuścić dom. On sam odkrył to tamtego lata. Kiedy kończył pracę, brał łódkę i pływał po lśniącym jeziorze, wracając o zmroku z najdalszych, zachodnich zatok, gdzie z jeziora bierze początek rzeka Kiassa spływająca z zalesionych zboczy między wzgórzami i na równiny, by połączyć się tam z Molseną i toczyć wody razem z nią. Strumień, który na jego oczach pędził wśród skał, dotrze do morza, nim skończy się lato, podczas gdy on zostanie w domu nad spokojnym jeziorem.

Guide Sorde słyszał, że pragnienie opuszczenia na jakiś czas domu jest u młodych ludzi naturalne, ale on sam widział w tym jedynie kaprys. Majątkiem trzeba zarządzać, a Itale jest dziedzicem. Jeśli ma się jakąś pracę, to trzeba ją wykonać. Idąc za radą szwagra, Eleonora zaproponowała wysłanie Itale na uniwersytet w Solariy.

- Przecież twój ojciec posłał tam ciebie i Emanuela...

- Nie ma tam niczego, co jest mu potrzebne - odrzekł Guide swym charakterystycznym, cichym głosem, w którym słyszało się stłumione emocje niczym wichur zapowiadający burzę. - To strata czasu.

Eleonora nigdy nie walczyła z arogancką prowincjonalnością męża dla siebie, ale uczyniła to dla Itale.

- Powinien spotykać się z ludźmi, poznać trochę świat. Na co się przyda swoim chłopom, jeśli sam będzie takim samym chłopem?

Guide zmarszczył brwi. Żona posługiwała się jego własną bronią o wiele sprytniej, niż mógłby to uczynić on sam, a poza tym czuł, że nie potrafi wyjaśnić, dlaczego naprawdę nie chce pozwolić chłopcu na wyjazd. Złościł się na swoją rodzinę, że nie rozumie motywu, którego sam nie rozumiał, i czuł urazę, bo wiedział, że musi skapitulować. Wszyscy wiedzieli, że skapituje, nawet Itale. Jedynie Eleonora miała na tyle taktu, że próbowała dyskutować.

Tak więc we wrześniu 1822 roku Itale wyruszył dyliżansem linii Montayna na północ, przez przełęcz, a potem w dół. Patrząc w tył widział nad długimi pasmami wzgórz zmienione i zmieniające się znajome zarysy gór. San Givan ukazał wielkie, opadające wschodnie zbocze, Sinviya drugi szczyt, a najdalej położony, delikatny, błękitny kontur za nimi to na pewno Myśliwy. Kiedy zniknął z pola widzenia, Itale wyjął zegarek, srebrny zegarek dziadka, i sprawdził godzinę: dziewięta dwadzieścia rano. Tutaj, na prowadzącej w dół drodze, teraz skręcającej na południowy wschód, było słonecznie, świerszcze grały na skoszonych polach, pracowali zniwiarze, a wioski stały opuszczone i ciche w słonecznym blasku. To ta złocista kraina, którą widywał pod burzowymi

chmurami w Portacheyce. Przejeżdżali przez miasta i wioski, których nazwy znał ze słyszenia: Vermare, Chaga, Bara. Wyjeżdżając z tej ostatniej opuścili prowincję Montayna i w Erreme Itale przesiadł się na dylizans linii Sudana. Dylizans toczył się do celu, a on uważnie przyglądał się ludziom, budynkom, kurczętom i świniom, żeby przekonać się, jak tu wyglądają świnie, kurczęta, budynki i ludzie.

W Solariy wszystko tchnęło sennością. Inwentarz był spasiony, domy drzemały w zarośniętych ogrodach pełnych róż, spala nawet lśniaca Molsena przepływająca pod starym mostem, rozlewająca się powoli i szeroko w drodze na południe. Studenci nie uczyli się zbyt pilnie, nie pojedynkowali się, pili dużo wina i ciągle się zakochiwali, a dziewczęta z Solariy odwzajemniały ich miłość. Itale, porzucony na drugim roku przez niewierną córkę piekarza, odrzucił miłość i zwrócił się ku polityce. Został przywódcą studenckiego stowarzyszenia Amiktiya. Rząd ledwo tolerował Amiktiyę - wszystkie takie studenckie grupy zostały zdelegalizowane w Niemczech, a stowarzyszenie na Uniwersytecie Wileńskim tak rozzłościło cara Wszechrosji, że rozwiązał je w 1824 roku, przywódców skazał na zsyłkę i zarządził stałą obserwację wszystkich studentów i wykładowców. To właśnie nadawało Amiktiyi smaczek. Pili dużo wina i śpiewali zakazany hymn stowarzyszenia, "Za tym mrokiem świeci blask twego nie gasnącego dnia, o Wolności". Przekazywali sobie zakazane książki, rozmawiali o rewolucjach we Francji, Neapolu, Piemoncie, Hiszpanii i Grecji, dyskutowali o monarchii konstytucyjnej, równości wobec prawa, powszechnej edukacji, wolnej prasie, a wszystko to robili nie mając sprecyzowanego celu, nie wiedząc, dokąd to prowadzi. Mieli nie rozmawiać, więc rozmawiali. Tak minął trzeci rok i Itale sądził, że jest już gotów na stałe wrócić do domu. Tymczasem dusił się ze śmiechu, w jednym bucie na ciemnym dziedzińcu kaplicy, a Frenin powiedział nad rzeką w słońcu: - Myślę o Krasnoy.

ROZDZIAŁ 3

Emanuel Sorde odchrząknął i zauważył z pozorną nonszalancją:

- W tym tygodniu gazeta jest dość zagadkowa. Zastanawiam się, czy mimo wszystko Stany nie zostaną zwołane.

- Zgromadzenie Narodowe? Ależ one nie zbierały się od śmierci króla Stefana, prawda?

- Słusznie, od trzydziestu lat.

- Nadzwyczajne.

- To tylko moje domysły, panie hrabio. "Kurier-Merkury" nic nie mówi, zatem można coś podejrzewać.

- Tak. - Hrabia Orlant Valtorskar westchnął. - Moja żona prosiła, żebym prenumerował "Merkurego" z Aisnar. Wydawało się, że jest w nim więcej faktów. Co się z nim stało?

- Był zakazany tak długo, że jego właściciele zbankrutowali - odparł z ogniem Itale. - Odtąd nie mamy żadnej wolnej prasy.

- A co będzie, kiedy Stany się jednak zbiorą? - rzekł Guide swym wolnym, twardym, cichym głosem. - Będą rozmawiać i nic nie zrobią, tak jak w dziewięćdziesiątym szóstym.

- Rozmawiać! - powiedział jego syn, stawiając na stole kieliszek do wina, który dźwięczał jeszcze przez chwilę. - Jest bardzo ważne, żeby...

- Mogliby przynajmniej zrobić coś z podatkami - przerwał mu Emanuel. - Parlament węgierski z powrotem odebrał Wiedniowi kontrolę nad swoimi podatkami.

- I co z tego, nawet gdyby tak się stało? Podatki się nie zmniejszą. Podatki nigdy się nie zmniejszają.

- W każdym razie pieniądze nie szłyby na obcą policję - rzekł Itale,

- A jakie to ma znaczenie dla nas, tu w górach?

Na pociągłej twarzy hrabiego Orlanta, jak na jego wiek gładkiej i różowej, rysował się w miarę rozwoju dyskusji wyraz coraz bardziej skrępowanego współczucia. Było mu ich wszystkich żal, tych cesarzy, policjantów, poborców podatkowych, biedaków schwytych w sieć spraw materialnych, ale wiedział, że rozmówcy wymagają od niego czegoś więcej niż współczucia, których to wymagań nigdy nie potrafił spełnić. Guide patrzy wilkiem, Emanuel jest ostrożny, a Itale zapala się coraz, bardziej i w końcu jak zwykle wybucha: - Nadejdzie czas...! - Lecz ku uldze hrabiego Orlanta odezwał się Guide, zażegnując spór:

- Wyjdźmy na taras.

Podeszli do kobiet rozmawiających w ogrodzonym i wyłożonym płytami ogrodzie, który stary Itale założył nad jeziorem pod południowymi oknami domu. Był ciepły wieczór, ostatni dzień

lipca. Błękitne niebo odbijało się w wodzie z wyjątkiem miejsc zacienionych górami, w których wydawała się ona przezroczyście brązowa. Daleko na wschodzie, gdzie jezioro kryły pionowo schodzące do niego zbocza, nad wodą zalegała lekka mgiełka. Na zachodzie zniżające się słońce barwiło jeszcze niebo za górą San Larenz i tak przenikało powietrze, że białe płyty na tarasie, białe kwiaty kwitnące w donicach, biała suknia Laury i błękitna powierzchnia jeziora delikatnie poróżnowiały. Wszystko jednak powoli bladło, a Vega posłała z wysoka przez spokojne powietrze pierwsze niepewne promienie. Cyprys rosnący przy rogu tarasu odbijał się czernią na tle rozświetlonej wody i nieba, a w powietrzu unosił się zapach zmierzchu, wilgoci, kwiatów oraz szmer kobiecych głosów.

- O, Boże, Boże, jaki cudowny wieczór! - westchnął pokornie hrabia Orlant z silnym prowincjonalnym akcentem, jakby pytał, czym sobie zasłużył na takie piękno. Stał patrząc na jezioro ze spokojną twarzą. Eleonora i jej szwagierka jak co tydzień wymieniały plotki. Eleonora zdawała sprawozdanie z Val Malafrena, a Perneta omawiała wydarzenia w Portacheyce. Dziewczęta, Piera Valtorskar i Laura, rozmawiały, a kiedy na taras wyszli mężczyźni, ściszyły głosy.

- On wcale nie potrafi tańczyć - powiedziała Laura.

- Włoski na jego karku wyglądają jak mech na pniaku - rzekła z rozmarzeniem, ale bez uczucia Piera. Miała szesnaście lat, twarz pociągłą i naturalnie spokojną, jak jej ojciec. Była nieduża, a jej figura i dłonie wciąż jeszcze zachowały dziecięcą pulchność.

- Gdyby tylko znalazł się ktoś nowy... Na prawdziwy bal... Piera spytała z nagłym zainteresowaniem:

- Jak myślisz, będą lody waniliowe?

Tymczasem Perneta przerwała skomplikowaną opowieść, by spytać męża:

- Emanuela, czy Alitsja Verachoy nie jest kuzynką w drugiej linii Alexandra Sorentaya?

- Bez wątplenia. Jest spokrewniona ze wszystkimi w Montaynie.

- A zatem to jego matka poślubiła człowieka nazwiskiem Berchoy z Val Altesma w 1816, prawda?

- Czyja matka?

- Męża Alitsji.

- Ależ, droga Perneta - rzekła Eleonora - Givan Verachoy zmarł w roku 1820, więc jak jego żona mogła ponownie wyjść za mąż w 1816?

- No, no, no - powiedział Emanuel i uciekł.

- Ale nie rozumiesz - ciągnęła Pereta - że Rosa Berchoy jest teściową Alitsji.

- Och, mówisz o Edmundzie Sorentayu, a nie Alexandrze, a w 1820 zmarł jej ojciec! - zawołała Eleonora.

Brat Guide'a, chociaż młodszy od niego o sześć lat, miał więcej siwych włosów. Jego twarz była bardziej ruchliwa, lecz mniej wyrazista. Pozbawiony ambicji, za to bardzo towarzyski, wybrał życie w mieście i praktykę adwokacką. Prawo skończył w Solariy. Dwukrotnie odmówił przyjęcia stanowiska sędziego, nigdy nie wyjaśniając powodów odmowy, którą większość ludzi przypisywała lenistwu. Oprócz tej przywary miał skłonności do ironizowania, opisując siebie jako człowieka zarówno niepotrzebnego, jak i mającego niezwykle szczęście. Zawsze ustępował bratu i chociaż udzielał mu porad prawnych, czynił to niechętnie. Doświadczenie nabyte w kontaktach z klientami zmieniło wiele cech jego osobowości, w przeciwieństwie do Guide'a, który nigdy nie ulegał żadnym wpływom. Emanuel i Perneta mieli jedno dziecko, które urodziło się martwe. Perneta, energiczna niewiasta o usposobieniu bardziej surowym i sardonicznym niż on, nie wypowiadała żadnych uwag, gdy określał siebie jako człowieka mającego niezwykle szczęście, ani nie wtrącała się do wychowania swej bratanicy i bratanka. Byli oni jednak jej słońcem, dumą i szczęściem.

Itale podszedł do wuja stojącego przy balustradzie pod cyprysem. Twarz mu jeszcze płonęła, a włosy i halsztuk miał w nieładzie.

- Czytałeś w "Kurierze-Merkurym", że zbiera się parlament prowincjonalny Polany? O tym człowieku właśnie mówiłem, o Stefanie Dragonie.

- Pamiętam. Jeśli Zgromadzenie się zbierze, będzie deputowanym.

- Tak, tego właśnie nam trzeba, Dantona, człowieka, który może mówić w imieniu ludu.

- A czy lud chce, żeby ktoś mówił w jego imieniu?

Nie było to pytanie, jakie zadawali sobie członkowie Amiktiyi.

- I jaki lud? - Emanuel wykorzystywał swoją przewagę. - Nasza klasa raczej nim nie jest. Kupcy? Tutejsi chłopci? Miejski motłoch? Czy tak różne klasy nie mają raczej odmiennych żądań?

- W ostatecznym rozrachunku nie - rzekł Itale, głośno myśląc. - Ignorancja niewykształconych pomniejsza korzyści płynące z wykształcenia dla tych, którzy je otrzymują. Nie można ograniczyć światła. Nie można zbudować sprawiedliwości na fundamencie innym niż równość, co jest nieustannie udowodniane od czterech tysięcy lat...

- Udowodniane? - powtórzył z powątpiewaniem Emanuel i obu ośladnęły emocje zażartej dyskusji.

Ich rozmowy zaczynały się zawsze od tego, że opanowany Emanuel zmuszał Itale do obrony swych racji, a kończyły na tym, że Itale tracił panowanie i zwyciężał tylko dzięki szczeremu, dobrodusznemu i elokwentnie prezentowanemu przekonaniu. Następnie Emanuel

zmieniał podejście, prowokował kolejną obronę, cały czas przekonany, że robi to, aby uchronić bratanka przed cudzym rozumowaniem, a nie dlatego, że on też tęsknił za słuchaniem i wypowiedzianiem słów "nasz kraj", "nasze prawa", "nasza wolność".

Matka poprosiła Itale, żeby przyniósł szal Pernety, który zostawiła w dwukółce. Kiedy z nim wrócił, słońce już zaszło, a wiatr pachniał nocą. Niebo, góry i jezioro leżały zatopione w głębokiej ciemności granatu, przetykanego świetlistym oparem. Biała suknia Laury odcinała się od krzaków takim samym mglistym blaskiem.

- Wyglądasz jak żona Lota - powiedział jej brat.

- Szpilka ci wychodzi z halsztuka - odcięła się.

- Po ciemku tego nie widzisz.

- Nie muszę. Od czasu, kiedy przeczytałeś Byrona, twój halsztuk nie jest już taki sam.

Laura była wysoka jak jej brat, szczupła, o silnych, ale delikatnych nadgarstkach i dłoniach. Kochała brata szaleńczo, lecz nie była wobec niego pobłażliwa. Matka, kiedy sprowadzała go z obłoków na ziemię, raczej nie zdawała sobie z tego sprawy. Jego siostra, aczkolwiek pełna podziwu, lecz pozbawiona tolerancji, robiła to zawsze świadomie, z premedytacją. Chciała, żeby pozostawał sobą, uważając, że i tak stoi on ponad wszelkimi modami, opiniami i autorytetami. Była bardzo łagodną, bezpretensjonalną dziewiętnastolatką, równie bezkompromisową jak ojciec. Itale cenił jej zdanie o sobie nad wszelkie inne opinie, lecz w tej chwili był zażenowany, bo słuchała tego Piera Valtorskar. Pośpiesznie poprawił halsztuk i powiedział dobitnie:

- Nie mam pojęcia, dlaczego uważasz, że chcę w jakikolwiek sposób naśladować lorda Byrona, może z wyjątkiem jego śmierci. Bez wątplenia umarł jako bohater. Natomiast jego poezja jest trywialna.

- Ale zeszłego lata zmusiłeś mnie do przeczytania całej książki o Manfredzie! A dzisiaj go cytowałeś - Twe jakieś skrzydła spokojnie coś tam...

- "Twe burzowe skrzydła spokojnie spoczywają", to nie Byron, tylko Estenskar! Chcesz powiedzieć, że nie czytałaś "Ód"?

- Nie - powiedziała potulnie Laura.

- A ja tak - odezwała się Piera.

- To przynajmniej znasz różnicę!

- Ale nie czytałam tłumaczenia lorda Byrona. Papa chyba je schował. - Piera mówiła bardzo cicho.

- Nie szkodzi, przynajmniej czytałaś Estenskara. Podobał ci się, prawda? To był "Orzeł" - a kończy się tak:

Lecz, zamknięty w klatce, widzisz, jak przed tobą

Otwierają się wieki jak rozwarte niebo...

Ach, doprawdy, to wspaniałe!

- Ale o kim to jest? - spytała Laura z irytującą szczerością.

- O Napoleonie! - zagrzemiał z oburzeniem jej brat.

- Ojej, znów Napoleon - rzekła ich matka. - Itale, kochanie, przyniesiesz szal także i mnie?

Jest w hallu... albo zawołaj Kassa, ale chyba teraz je kolację.

Itale przyniósł szal. Stojąc przy jej krześle zawahał się, dokąd ma iść. Powinien wrócić do wuja stojącego przy balustradzie i odbyć z nim rozsądną, męską rozmowę, udowadniając w ten sposób Pierze i samemu sobie, że wydawał się w jej obecności dziecinny tylko dlatego, że ona sama jest taka dziecinna. Chciał jednak zostać i porozmawiać z dziewczętami.

Matka podniosła na niego wzrok.

- Kiedy ty tak wyrosłeś? - zapytała pełnym zdumienia głosem. Na jej zwróconą ku górze twarz padało światło z okien domu. Kiedy się uśmiechała, jej dolna warga chowała się pod górną, co nadawało twarzy absolutnie czarujący, skromny i szelmowski wygląd. Itale roześmiał się bez żadnego powodu, patrząc na nią i ona także się roześmiała, ponieważ wydał się jej aż tak wysoki i sam również się śmiał.

Podszedł hrabia Orlant i spytał dotykając włosów córki:

- Nie jest ci zimno, contesina?

- Nie, papo. Tu jest ślicznie.

- Chyba powinniśmy wejść do środka - rzekła bez pośpiechu Eleonora, nie ruszając się z miejsca.

- A co będzie z piknikiem w sosnowym lesie? - spytała Perneta. - Obiecuje się go nam przez całe lato.

- Och, zapomniałam powiedzieć, jeśli chcemy, to możemy wybrać się jutro, pogoda się utrzyma, prawda, kochanie?

- Zapewne - powiedział siedzący obok niej Guide, zatopiony we własnych myślach.

Nie podobały mu się dyskusje, jakie prowadzili przy jego stole syn i brat. Wszystkie dyskusje polityczne traktował z pogardą. Znajomi posiadacze ziemscy, którzy nie interesowali się wydarzeniami spoza granic prowincji, lecz byli pochłonięci polityką lokalną, odpłacali mu podobną pogardą: - Sorde nie podnosi głowy znad pługa. Inni mówili z zazdrością: - Sorde to stara gwardia, niezależny ziemianin - porównując go do swoich ojców i dziadów, dla których, jak zwykle, życie było o wiele prostsze. Guide jednak dobrze wiedział, że jego ojciec nie pochodził ze "starej

gwardii". Pamiętał listy przychodzące z Paryża, Pragi, Wiednia, gości z Krasnoy i Aisnar, dyskusje prowadzone przy stole i w bibliotece. Stary Itale nie brał jednak udziału w lokalnej polityce i nigdy nie wyjaśniał własnych poglądów, chyba że odpowiadając na bezpośrednie pytanie. W jego milczeniu i wyobcowaniu kryło się coś więcej niż niewymuszona tolerancja i dystans. Była to naturalna konsekwencja jego własnej decyzji, będącej wyrazem może samoświadomości, a może goryczy klęski - tego Guide nie wiedział. W młodości nigdy nie przyszło mu do głowy kwestionować i oceniać decyzji ojca. Teraz po raz pierwszy zaczął je analizować, a także zastanawiać się, czy to, co uważał za własne przeznaczenie, nie jest, być może, nieświadomą decyzją. Siedział więc w letnim zmierzchu z posępną miną. Głosy syna i dziewczyny opływały go jak woda. Perneta siedziała w milczeniu, hrabia Orlant i Eleonora podeszli do Emanuela, stojącego na skraju tarasu. Troje młodych cicho rozmawiało.

- Zabrzmi to bardzo niemądrze, ale wymyśliłam coś na ten temat - mówiła Laura. - Nie wierzę, że trzeba umrzeć, jeśli się nie chce. To znaczy trzeba, ale jednak... Nie mogę uwierzyć, że ludzie umieraliby, gdyby naprawdę, absolutnie nie chcieli. - Uśmiechnęła się uśmiechem swojej matki. - Mówiłam, że to niemądre.

- Nie, ja myślę tak samo - rzekł Itale. To, że jego siostra myśli tak jak on, było dla niego nadzwyczajne i tajemnicze. Podziwiał Laurę, bo w przeciwieństwie do niego miała odwagę o tym powiedzieć.

- Nie potrafię znaleźć powodu umierania, jego potrzeby. Ludzie po prostu stają się znużeni, poddają się, czyż nie?

- Tak. Śmierć przychodzi z zewnątrz jako choroba czy uderzenie w głowę, jest to coś spoza, a nie z samego człowieka.

- Właśnie. I gdyby się było naprawdę sobą, powiedziałyby się: "Przepraszam, ale nie, jestem zajęty, wrócę później, kiedy zrobię już wszystko, co mam do zrobienia!"

Wszyscy troje się roześmieli, a Laura powiedziała: - A to znaczy nigdy. Jak można zrobić wszystko?

- Z pewnością nie w ciągu siedemdziesięciu lat. To śmieszne. Gdybym miał siedemset lat, pierwszy wiek poświęciłbym na myślenie - dokończenie myśli niedokończonych z braku czasu. Potem mógłbym wszystko robić należycie, zamiast się śpieszyć i za każdym razem popełniać błędy.

- A co byś robił? - spytała Piera.

- No, jeden wiek na podróże. Europa - obie Ameryki - Chiny...

- Ja bym pojechała tam, gdzie nikt mnie nie zna - powiedziała Laura. - Nie musiałoby to być aż tak daleko, wystarczyłoby do Val Altesma. Chciałabym mieszkać w takim miejscu, gdzie

nikt mnie nie zna ani ja nie znam nikogo. I chyba też chciałabym podróżować, chciałabym zobaczyć Paryż i wulkany Islandii.

- Ja bym została tutaj - powiedziała Piera. - Wykupiłabym wszystkie ziemie wokół jeziora oprócz waszej i zmusiłabym niemiłych ludzi do przeprowadzki. Będę miała wielką rodzinę. Co najmniej piętnaście osób. Co roku trzydziestego pierwszego lipca zjadą się do domu i będziemy urządzać wielkie, wspaniałe przyjęcie na łodziach, na jeziorze.

- Ja przywiozę na nie fajerwerki z Chin.

- A ja wulkany z Islandii - powiedziała Laura i cała trójka znów się roześmiała.

- Czego byś sobie zażyczyła, mając trzy życzenia? – zapytała Piera.

- Kolejnych trzystu życzeń - odparła Laura.

- Tego ci nie wolno. Są zawsze trzy.

- No, nie wiem, a ty, Itale?

- Przyzwoitego nosa - rzekł z powagą po chwili zastanowienia. - Takiego, którego ludzie by nie zauważali. I chciałbym być na koronacji króla Matiyasa.

- To dwa. Co jeszcze?

- Och, już nic, to wystarczy - powiedział Itale ze swym szerokim uśmiechem. - Trzecie oddam Pierze, pewnie się jej przyda.

- Nie, trzy wystarczą - odrzekła Piera, ale nie chciała powiedzieć o swoich życzeniach.

- No, dobrze - powiedziała Laura - to ja zużyję wolne życzenie Itale. Chciałabym, żebyśmy się przekonali, że mamy rację, i żebyśmy wszyscy żyli siedemset lat.

- I przyjeżdżali latem na przyjęcia Piery na wodzie – dodał Itale.

- Czy ty cokolwiek z tego rozumiesz, Perneto? – zapytała Eleonora.

- Nigdy ich nie słucham, Lele - odparła Perneta swoim suchym kontraltem. - To bezsensowne.

- Podobnie jak to, czyją teściową jest wujek czyjejs przyrodniej siostry! - odcięła się Laura.

- I o wiele głębsze - powiedział jej brat.

- Och, ale bal u Sorentayów... nawet nie ustaliłyśmy, jaką sukienkę włoży Piera i kiedy on ma być, dwudziestego?

- Dwudziestego drugiego - odpowiedziały obie dziewczyny. Rozmowa zesłała na temat tafty, organdy, batysty, stylu empirowego, greckiego i koronkowych dekoltów.

- Biały batyst w zielone groszki i koronkowy dekolt, mogę ci pokazać w książce Pernety.

- Ależ, mam, to strasznie stare, ta książka jest z 1820 roku!

- Moja droga, gdybyśmy się tu nawet modnie ubierały, któż by o tym wiedział? - spytała łagodnie Eleonora. Była w Solariy piękną i podziwianą dziewczyną, lecz poślubiwszy Guide'a Sorde zostawiła to wszystko "tam na dole" bez żalu.

- Uważam, że koronkowe dekolty są wyjątkowo ładne. Podoba ci się taki pomysł, Piero?

Matka Piery zmarła przed czternastu laty podczas epidemii cholery, która zabrała także najmłodsze dziecko w rodzinie Sorde, maleńką dziewczynkę. W domu hrabiego Orlanta były liczne niańki i służące, stara stryjeczna babka oraz kuzynki jego żony, lecz Eleonora natychmiast zajęła się dwuletnią Pierą, jakby miała do tego pełne prawo. Zbolały, niespokojny i wdzięczny hrabia Orlant wkrótce nie śmiał podjąć żadnej decyzji, dotyczącej córki, bez porozumienia z Eleonorą, która z kolei nigdy nie wykorzystywała swej uprzywilejowanej pozycji. Kochały się z Pierą swobodniej i radośniej niż jakakolwiek matka i córka pozostające ze sobą nawet w najlepszym porozumieniu.

Piera, która zwykła odzywać się po głębokim zastanowieniu, rozmyślała nad pytaniem Eleonory.

- Tak - powiedziała i znów się zamyśliła. - Chciałabym szarą, jedwabną suknię ze wstawkami jak na rycinie z sukniami na bal dworski. I złocisty szal. I jedwabne pantofelki ze złocistymi różyczkami.

- Ojej - powiedziała Eleonora z lekką dezaprobatą.

Hrabia Orlant się przysłuchiwał. Nie mógł wyjść ze zdumienia, że Piery, ta nieco tajemnicza młoda osóbką, u której - w najmniej spodziewanych momentach - dostrzegał cały dziwny świat myśli, wiedzy i uczuć, co w wieku szesnastu lat rzadko się zdarza, że to nadzwyczajne dziecko, zmieniające się w kobietę, jest, kiedy się nad tym zastanowić, jego córką. Chociaż polegał na jej miłości, nie był wolny od obaw. Właśnie w tej chwili powróciło owo zdumienie: jawiła mu się na podobieństwo królewskiej panny w jedwabiach i brokatach.

- To wydaje się czarujące - nieśmiało przedstawił swoje zdanie mądrym paniom. Westchnęły, okrążone ze wszystkich stron.

- Może złocisty szal, łączony z białą organdyną? - Eleonora spróbowała złagodzić swój protest.

Valtorskarowie, ojciec i córka, przyjęli jej werdykt bez sprzeciwu; wysłuchali kolejnych sugestii, co nie przeszkadzało im upajać się swoją własną wizją wspaniałych kreacji.

Guide i Emanuel rozmawiali o polowaniu. Itale siedział zatopiony we własnych myślach. W Solariy zaplanował, że swoją decyzję oznajmi rodzinie w wieczór przyjazdu do domu. Nie wolno mu ich oszukiwać, pozwalając sądzić, że wrócił na dobre. Byli razem już od trzech tygodni i jeszcze nic nie powiedział. Kiedy przyjechał do zajazdu "Pod Złotym Lwem" w Portacheyce i

zeskoczył z dylizansu, zobaczył, jak jego ojciec odwraca się, by na niego spojrzeć. Na twarzy Guide'a gościł rzadki uśmiech czyniący z niego innego człowieka, kogoś skrępowanego z powodu przeżywanej wielkiej radości. Na to wspomnienie Itale zaciskał dłonie w bezsilnym sprzeciwie. To niesprawiedliwe ze strony ojca być tak szczęśliwym z jego powrotu i okazywać to! Jak mężczyzna może zachowywać się po męsku, powiedzieć, co ma do powiedzenia, i zrobić, co musi zrobić, skoro powstrzymują go i krępują wszystkie te nie wypowiedziane, osaczające go uczucia bliskich osób? Przyznawał, że te doznania nie są mu obce: radość z ponownie odnalezionego dzieciństwa, cała jego miłość i lojalność, wszystkie dawne nadzieje. Sama ziemia trzymała go tu mocniej niż jakiegokolwiek inne więzy: czerwona gleba winnic, długie, potężne zarysy gór na tle nieba. Jak może to wszystko zostawić? Na chwilę zapomniał o ostrzonej właśnie kosie, sterze łodzi czy trzymanej w ręku księżce i z ciężkim sercem patrzył niewidzącym spojrzeniem na Malafrnę. Czuł się jakby pod działaniem czaru, którego nie potrafił zrzucić, chociaż mógłby od niego uciec; czaru nasilającego się o pewnych porach, podczas pewnych rozmów - nie chciał o tym myśleć. To była najboleśniej, najtrudniejsza do zniesienia niesprawiedliwość. Nie mógł się przecież tutaj zakochać w dziecku. Nie ma mowy o dziecinnych flirtach i milczącym zrozumieniu - wyrósł z tego wszystkiego. Pragnął miłości, dojrzałej miłości, którą na pewno znajdzie w Krasnoy, bowiem musi pojechać do Krasnoy. Mimo wszelkich rozterek wciąż słyszał ten sam zdecydowany i posępny głos: "To konieczne, musi tak być".

- Wytropiłeś ją, Itale? - Emanuel mówił o wilczycy, którą widziano wysoko na San Larenz.

- Nie miałem szczęścia - odparł i postanowił rozmówić się z ojcem.

Przygotował się na tę ciężką próbę rozmawiając z wujem, jeszcze tego samego wieczora, kiedy wszyscy weszli do domu. Wydawało się, że Emanuel nie będzie zaskoczony tym wyznaniem. Kiedy wysłuchał planów Itale - polegających na udaniu się do Krasnoy i określeniu, w jaki sposób może się przysłużyć patriotycznej sprawie, jeśli coś takiego w ogóle istnieje - popatrzył na bratanka mocno zafrasowany i powiedział z namysłem:

- Twoje zamiary wydają mi się niejasne i niebezpieczne, ale prawnicy zawsze widzą ciemną stronę zagadnienia... Nie wiem, jak zareaguje Guide. Obawiam się, że nie będzie to miało dla niego żadnego sensu.

- Jeśli mnie wysłucha, z pewnością zrozumie.

- Nie. Przez dwadzieścia lat liczył, że będziesz pracował razem z nim. Żałował ci trzech lat spędzonych na południu. A teraz jeszcze i to?... Mam wątpliwości, czy sam dobrze rozumiesz, co robisz. Moim zdaniem, nie kierujesz się rozsądkiem. Podobnie jak ojciec, działasz powodowany emocjami, pragnieniem osiągnięcia czystości moralnej, bycia panem swojej woli. A teraz twoja

wola różni się od jego woli, zasadniczo się różni. Sądysz, że rozsądnie omówicie tę różnicę i dojdziecie do porozumienia? Bardzo wątpię!

- Ale ojciec jest zwolennikiem wykonywania obowiązków, wyznawcą zasady służby. Oczywiście, że z jednej strony wolałbym zostać tutaj - chciałbym tu zostać - ale moja sprawa jest ważniejsza niż jakiegokolwiek prywatne życzenie i wiem, że on to potrafi zrozumieć. Nie mogę pozostać, dopóki nie będę miał wolnego wyboru.

- I chcesz zdobyć tę wolność służąc potrzebom innych ludzi?

- Nie zdobędę jej - odparł młodzieniec. - Wolność to robienie tego, co potrafi się robić najlepiej, wykonywanie swojej pracy, tego, co trzeba zrobić, czyż nie? Nie jest czymś, co się ma. To działanie, to samo życie. Jak można żyć będąc czyimś niewolnikiem? Nie mogę żyć dla siebie samego, dopóki nie będą mogli tego zrobić wszyscy inni!

- Dopóki nie nadejdzie Królestwo Niebieskie! - mruknął ironicznie, lecz z bólem, Emanuel.

Jezioro zastygło przed nimi w spokojnej ciemności, a woda ledwo dosłyszalnie pluskała o fundamenty tarasu i słupy hangaru dla łodzi. Na wschodzie bryły gór kontrastowały z przyćmioną bielą nieba, zwiastującą pojawienie się księżyca. Na zachodzie była jedynie ciemność i gwiazdy.

ROZDZIAŁ 4

- Ho-oj!

Okrzyk rozniósł się echem po wodzie migocącej między łodziami, lecz odpowiedź nie nadeszła i wąski brunatny żagiel przed nimi mknął po falach jak poprzednio.

- Ojej, nigdy nie dogonimy "Falkone". Itale! Kochanie!

- Panie hrabio, proszę zawołać jeszcze raz – wykrzykiwała Eleonora.

- Są za daleko - rzekła Perneta.

- Zawracają - powiedział hrabia Orlant mrużąc oczy od blasku.

Brunatny żagiel, ostry jak jastrzębie skrzydło, zawracał. Hrabia Orlant wyostrzył, ustawiając "Mazepę" na kursie do domu. Wkrótce mniejsza łódka dogoniła ją i załoga usłyszała żeglarskie pozdrowienie:

- Hoj tam na łodzi!

- Hoj! - z galanterią odwzajemniła pozdrowienie Eleonora, co zabrzmiało jak krzyk przepiórki. - Chmury - będzie burza - powinniśmy wracać do domu!

- O co chodzi? - krzyknął ktoś z "Falkone".

- Do domu! - włączyła się Perneta, machając ręką w kierunku burzowych chmur, przepływających nad San Larenz. - Laura chce zbierać grzyby w Evalde!

- Ojej, nie mogę już krzyczeć - powiedz im, że zbieranie grzybów zajmie za dużo czasu i że zamarynowałam już dwie baryłki... Będzie pa-adać! Ojej! - piskliwie zawodziła Eleonora.

Usłyszeli z "Falkone" śmiech, a potem głos Emanuela:

- Grzyby? Żadnych grzybów!

- Evalde? - zawołał Itale stając na dziobie.

- Do domu! - ryknął niespodziewanie hrabia Orlant góralskim głosem.

Postać stojąca na dziobie drugiej łodzi wykonała głęboki ukłon, następnie kilka tanecznych kroków, po czym zniknęła.

- Wpadł do wody! - krzyknęła Eleonora, ale "Falkone" przepłynął obok nich z Itale i Laurą tańczącymi menueta na rufie.

Zanim "Mazepa" dostojnie dobiła do przystani, Emanuel i trójka młodych byli już na tarasie. Itale coś objaśniał, a jego błękitne oczy błyszczały w wysmaganej wiatrem twarzy. Eleonora i Perneta patrzyły na niego z bezgranicznym podziwem, a Perneta powiedziała:

- Itale, coś ty zrobił z kapeluszem?

- Jest cały mokry - rzekła Eleonora. - Jednak wypadłeś za burtę! Piera nagle głośno się roześmiała.

- Chciał coś nim wyłowić... - dorzuciła filuternie.

- Kapeluszem?

- Kapeluszem - potwierdził Emanuel. - Dwie młode damy trzymały chłopaka, każda za jedną nogę, i piszczały: "Nie wierzgaj! Nie wierzgaj!"

- Ale co chciał wyłowić?

- Moje paprocie.

- Kiedy przeleciał bom, Piera upuściła do wody paprocie, więc spróbowałem je uratować, a w ogóle chciałbym wiedzieć, co się stało z czerpakiem, który trzymam w "Falkone"? - gorączkował się Itale.

On i dziewczęta byli czerwoni ze śmiechu.

- Błagałem, żebyście mi pozwolili popłynąć na "Mazeppie" - powiedział Emanuel. - A ty, Lauro, ani razu nie otworzyłaś parasola, teraz będziesz miała piegi aż do listopada.

- Piegi - powiedział w zadumie hrabia Orlant. - Pamiętam, że kiedy ta contesina była mała i cały dzień biegała na dworze, raz naliczyłem na samym jej nosku osiemnaście piegów. Pomyślałem sobie wtedy, że są dość twarzowe.

- Będzie wspaniale, jak pójdą na bal do Sorentayów wyglądając jak para starych siodeł - rzekła Eleonora. - Nie bądźcie z siebie takie zadowolone!

Itale spojrział na na wpół odwróconą od niego Pierę i na jej szczupłym karku, tuż pod rozluźnionym przez wiatr kokiem, zauważył trzy piegi - przyjemny widok.

- A on nawet nie wyłowił tych paproci - powiedziała Laura. - Bo żadna z was nie chciała mnie trzymać, a ja nie mogłem wyciągnąć twarzy z wody!

- Bulgotał - rzekła Piera i wszyscy znów wybuchnęli śmiechem. - Och, leżał na wodzie wymachując ramionami i b-bulgocząc, och...

Kiedy przyszli do siebie, Eleonora powiedziała ocierając łzy z oczu:

- Jak możecie być tacy niemądrzy? Czy Guide jeszcze nie wrócił? Pewnie nawet nie spojrzął na niebo...

- Droga pani - rzekł Emanuel obejmując szwagierkę w pasie. - Dwadzieścia siedem lat w Val Malafrena, a ona jeszcze się nie przyzwyczyła do burz!

- Dwadzieścia osiem, mój drogi, ale nadal ubolewam, że wszystkie najpiękniejsze dni tutaj zawsze się kończą ulewą, grzmotami i strumykami ściekającymi z Guide'a na podłogę.

Razem z Emanuelem huścili się na piętach, uśmiechając do reszty towarzystwa. Od strony San Larenz dobiegł długi grzmot i ktoś powiedział:

- Już nadchodzi.

Szare i szaroczarne chmury burzowe skupiły się i zaczęły przelewać przez górę, sięgając na drugą stronę jeziora.

- Już tu jest! - rzekła Eleonora.

Guide stał przy południowych oknach salonu. Itale zatrzymał się gwałtownie w hallu, patrząc na tę ciemną postać odcinającą się od burzowego światła.

- Podwieczorek, Evo! - zawołała Eleonora znikając w kuchni.

- Piękny dzień - odezwał się hrabia Orlant, siadając z ulgą w jednym z ciężkich, starych, dębowych foteli. - Szkoda, że cię z nami nie było, Sorde.

- Niedługo będę miał parę wolnych dni. Chciałbym, żebyś wypróbował sokolicę, którą wyszkolił stary Rika.

Polowanie z sokołem ciągle jeszcze było w Montaynie popularnym sportem. Guide i jego syn osiągnęli w nim biegłość, Emanuel uprawiał go z przyjemnością, a hrabia Orlant potrafił docenić zalety sokoła, chociaż w głębi serca nie rwał się do biegania po okolicy ze sporym ptakiem na rękę, pod którego okrutnym, przenikliwym spojrzeniem czuł się jakoś niepewnie.

- Powinieneś z nią wyjść, Itale - mówił Guide. - Powinna latać. Sam nie mam na to czasu, bo pracuję ze Stareym.

- Dobrze.

Odpowiedział na tę prostą prośbę z nieczystym sumieniem i z ulgą powitał przerwę w rozmowie o sokolnictwie, spowodowaną wejściem matki i kucharki Ewy z podwieczorkiem. Przyjemność, jaką sprawił mu dzień, już minęła - gdy tylko znajdował się w domu, nie potrafił myśleć o niczym innym jak o tym, że dzisiaj będzie musiał porozmawiać z ojcem. Usiadł z wilgotnym kapeluszem między kolanami, jak skrupowany gość, który nie może ani rozmawiać, ani się pożegnać. Kobiety dostrzegły jego nienaturalne zachowanie. Matka była bardzo zaniepokojona, widząc w nim jakąś zmianę. Laura pomyślała, że znów się popisuje. Nie wiedziała, dlaczego nie chce już z nią rozmawiać o tym, co zaprzęta jego myśli, i czuła się dotknięta. Perneta uznała, że kiedy tak ściska w rękach oplatany wodorostami kapelusz, jest bardzo zabawny i przystojny. Nigdy się o niego nie martwiła, przekonana, że takiemu chłopcu nie może się stać nic złego. Co do Piery, siedzącej obok niego na kanapie, to była świadoma jego milczenia, jego niebieskiego surduta, szorstkiej smagłości jego policzka - fizyczności jego istnienia. Nie posunęła się dalej. Gdyby się odezwał, słuchałaby jego głosu jako części tej nie wyjaśnionej obecności. Ponieważ milczał, słuchała jego milczenia. Pomyślała, że nigdy nie była tak szczęśliwa jak teraz i że najprawdopodobniej nigdy już się to nie powtórzy, bo nic nie będzie dokładnie takie samo. Jej radość, nie stępiąca wiekiem i nawykami, nie uzasadniona żadną stałością życia, znała własną bezbronność. Nie śmiała jej dotykać, bo była przezroczysta i krucha jak szkło. Jeśli wyczuwała w jego sercu zamęt, stanowił on część jej własnego zamętu i radości, część jego obcości i ich siedzenia obok siebie na kanapie przy podwieczorku.

Hrabia Orlant wrócił z wyprawy do biblioteki.

- Twój ojciec zgromadził interesujący zbiór botaniczny, Sorde. Szkoda, że nie zajmował się astronomią. Przypuszczam, że raczej nikt nie czyta tych książek?

- Itale spędza tam dużo czasu, ale nie z powodu botaniki - powiedziała Laura mając nadzieję na jakąś reakcję brata.

- Pamiętam, jak twój dziadek uczył cię łacińskich nazw roślin ogrodowych, ale pewnie już ich nie pamiętasz.

- Itale jeszcze potrafi mi powiedzieć nazwę tej egzotycznej rośliny pod wschodnimi oknami, którą zawsze od razu zapominam, co to jest? - spytała Eleonora.

- Mandmilia suaveolens - odparł jej syn.

Okna pobielaly od krótkiego, gęstego deszczu. Wysoko w górze przeszedł grzmot, a opadające ku zachodowi słońce świeciło złotem na jeziorze poprzez krople deszczu.

- Och, wiecie, te letnie burze są przyjemne, oczyszczają powietrze...

- Najlepsze rezultaty w obserwacjach przez teleskop mam po burzy - potwierdził hrabia Orlant.

Kiedy Emanuel zapytał go o coś w związku z astronomią, hrabia Orlant natychmiast podchwycił swój ulubiony temat i wdzięczny, że znalazł słuchacza, przechodził do coraz bardziej zawiłych kwestii, nie zrażony ogólnym brakiem zainteresowania ze strony pozostałych osób. Itale, chociaż w ogóle nie miał zamiaru się odezwać, zapytał Pierę:

- Czytałaś inne książki Estenscara?

- Tylko "Ody".

- Czy mogę ci pożyczyć "Potoki Kareshy"? Jest bardzo dobra.

- Jeśli... jeśli papa pozwoli.

Itale zmarszczył brwi.

- Estenscar to wielki poeta. I szlachetny umysł. Strach zakazuje czytać jego dzieła, lecz godzi się z zakazem tylko lenistwo. Powinnaś nalegać na wolność, która jest tobie przynależna.

- Lecz gdyby kometa znalazła się bardzo blisko ziemi, nie uda się...

Hrabia Orlant kontynuował wywód z właściwą sobie swadą. Jego szesnastoletnia córka o pulchnych ramionach, kędzierzawych włosach i szczupłej, piegowatej szyi popatrzyła na ojca jakby chcąc o coś zapytać, ale zaniechała tego, dalej rozmawiając z Itale.

- Dobrze - odpowiedziała na jego sugestie. Po chwili dodała:

- Papa lubi wiedzieć, co czytam. Myślę, że chyba schował lorda Byrona, ale nie sądzę, że naprawdę potrafi powstrzymać mnie przed przeczytaniem czegokolwiek...

- Nie miałem na myśli jego, to znaczy nie jego osobiście. Ale pozwól pożyczyć sobie tę książkę, Piero. Naprawdę uważam, że bardzo ci się spodoba. - Zakończył prawie błagalnie. Ta sprawa, jak wszystko, co wydarzyło się tego dnia, wydawała się nieskończenie ważna.

- Bardzo bym chciała ją przeczytać, Itale. Wstał, żeby przynieść książkę ze swojego pokoju.

- Ale przyjdiesz do nas w czwartek wieczorem i gdybyś ją przyniósł wtedy, to papa nie zauważy, że niosę ją do domu, i nie będzie o nią pytał.

Zawahał się.

- Lepiej dam ci ją teraz.

Zdziwiła się, ale wzięła książkę, którą jej przyniósł, i nie pytała, dlaczego miałby nie przyjść do Valtorsy w czwartek.

Wszyscy wyszli na zewnątrz, żeby się pożegnać. Kiedy szli ścieżką, owionęła ich delikatna woń unosząca się w czystym, wieczornym powietrzu. Piera spytała:

- Czy to mandeuilia...

- Sucmeolens - dopowiedział idący obok niej Itale i uśmiechnął się.

Kiedy Emanuel i Perneta jechali późnym wieczorem do Portacheyki mijając ciemne jak melasa pola i zalesione wzgórza, a końskie kopyta głucho uderzały w pokrytą grubą warstwą pyłu drogę, żona przerwała panujące między nimi milczenie.

- Nasz bratanek wrócił do domu w posępnym nastroju.

- Mhm - odparł jej mąż.

- Sowa. - Co?

- Sowa przeleciała.

- Mhm.

- On i Piera...

- Dziewczyna ma szesnaście lat.

- Kiedy po raz pierwszy cię zobaczyłam, miałam dziewięć.

- Chyba nie mówisz, że są w sobie zakochani.

- Oczywiście, że nie. Ale nigdy się nie myśli, że ktoś jest zakochany.

- Nie wiem, co znaczy to słowo.

- Mhm - powiedziała z kolei Perneta.

- Nie, chyba wiem. Raz coś takiego widziałem. Guide, w dziewięćdziesiątym siódmym. W tamtym roku był nowym człowiekiem w nowym świecie. Pobrali się. Jak długo to trwało? Osiem miesięcy, dziesięć? Większość ludzi nie ma nawet tyle. Kilka godzin, jeśli w ogóle. Bzdury.

- Zabawny staruszek - powiedziała jego żona w przypiływie rzadkiej dla niej i zawsze skrywanej czułości. - Ale i tak Piera i Itale...

- Oczywiście. To najbardziej naturalna rzecz pod słońcem. Ale Itale wyjeżdża.

- Wyjeżdża?

- Jedzie do Krasnoy.

Koń parsknął kilka razy, zaczynając wspinaczkę ku przełęczy.

- Dlaczego?

- Chce pracować dla grupy patriotów.

- Polityka? Ale tu trzeba obejmować stanowiska.

- Nasza prowincjonalna polityka to oszukańcza gra prowadzona przez znudzonych ziemian i zawodowych ignorantów.

- No tak, ale... - Perneta chciała powiedzieć, że cała polityka znaczy dla niej właśnie to, i Emanuel ją zrozumiał.

- Itale nie szuka stanowiska, lecz rewolucji.

- Czy to oznacza - spytała po namyśle - tych sovenskarystów - tych ludzi? Jak ten pisarz w Aisnar, którego wsadzili do więzienia?

- Tak. Wiesz, oni nie są zwykłymi przestępcami. Wydaje mi się, że w większości to szlachta i proboszcze. Takimi sprawami zajmują się uczciwi ludzie w całej Europie. Nie wiem. Nic o tym nie wiem - powiedział gwałtownie Emanuel i potrząsnął lejcami cierpliwego konia.

- Czy Guide wie?

- Pamiętasz, kiedy wyleciał w powietrze młyn Giuliana? Patrzyła nie rozumiejąc, a po chwili skinęła głową.

- Kiedy Itale ci powiedział?

- Zeszłego wieczoru.

- Zachęcałeś go do tego?

- Ja? Ja, w wieku pięćdziesięciu lat mam zachęcać dwudziestodwuletniego chłopaka do zmieniania świata? Też coś!

- To złamie Eleonorze serce.

- Nie, nie złamie. Znam was, kobiety. Na im większe ryzyko się narazi, im więcej szaleństw popełni, tym będziecie z niego dumniejsze. Ale Guide! Chłopak jest przyszłością Guide'a - ujrzyć ją zagrożoną, sprowadzoną na manowce...

- Chłopak jest swoją własną przyszłością - powiedziała bardzo poważnym tonem Perneta. - Ale ile jest w tym ryzyka?

- Nie wiem. Nie chcę o tym myśleć. Za dużo myślę o ryzyku, o ludzkich uczuciach, o tym wszystkim... Dlatego jestem prowincjonalnym adwokatem i nigdy nie zrobiłem niczego, co wymagałoby odwagi. I nigdy tego nie zrobię, bo jestem już za stary, żeby wprowadzać do domu

zamęt. Żałuję, że raz, tylko jeden raz, kiedy miałem dwadzieścia dwa lata, nie powiedziałem komuś tego, co powiedział mi Itale: "To jest ważne". Nawet gdyby to nie było ważne, nawet gdyby to nie była prawda!

Perneta delikatnie położyła swoją dużą, twardą dłoń na jego rękę. Nic nie powiedziała. Jechali przez ciepłą noc do leżącej poniżej nich na przełęczy Portacheyki, widocznej jako kilka rozrzuconych świateł.

Mniej więcej w tym samym czasie Itale stał u dołu schodów i mówił:

- To dosyć ważne, ojcze.

- Dobrze. Chodź do biblioteki.

Światło gwiazd kładło cienie liści na szyby wysokich okien pokoju. Guide zapalił lampę i usiadł przy stole na rzeźbionym, poczerniałym ze starości krześle, jednym z nielicznych mebli, jakie zostały z domu zbudowanego przez jego pradziada w roku 1682 i przebudowanego przez jego ojca sto lat później. Na stole piętrzyły się dokumenty, wśród których znalazło się kilka zapisanych pochyłym charakterem pisma prawników nieżyjących już od dwustu lat - były to nadania i tytuły, umowy i zapisy posiadłości rodziny Sorde. Większość dotyczyła czynszów i rozliczeń z dzierżawcami lub tytułów własności do nowych posiadłości, nabywanych przez kolejne pokolenia. Kiedy Itale widział Guide'a i Emanuela przy pracy nad tą stertą łacińskich dokumentów, myślał, że to czyste średniowiecze: niejasne, zawile, pogmatwane, jałowe, a pod tą jałowością tętniące życiem i oszałamiające swą konkretnością, wielością osób, ukierunkowaniem na sprawy ziemi, ziemi uprawianej, posiadanej, dzierżawionej, ziemi czyniącej z chłopca niewolnika, a z jej właściciela człowieka wolnego, ziemi będącej źródłem, korzeniem, treścią i końcem życia. Temu wszystkiemu przeciwstawiał się plik zadrukowanego papieru, na który powoływał się marszcząc czoło Emanuel: prawo podatkowe z roku 1825, zwięzłe, precyzyjne, bezosobowe, nowoczesne, a zastosowane do średniowiecza mającego postać tych nagromadzonych przez wieki dokumentów - pozbawione wszelkiego znaczenia. Tu jest Rodzina i Ziemia, a tu Państwo i Jednolitość. Nie istnieje nic, co może stanowić most dzielącą je przepaścią, żadna rewolucja, reprezentacja, żadne reformy - nic.

Przy końcu stołu - w miejscu, które zwykle zajmował Itale - nie założonym jeszcze dokumentami, leżał jedynie egzemplarz "Umowy społecznej" Rousseau, ostatnio czytał ją po raz wtóry. Podniósł książkę i mówiąc, obracał ją z roztargnieniem w rękach.

- Ponieważ Austria zamierza posłużyć się napoleońskimi metodami ściągania podatków, to chyba powinna nam pozwolić przeprowadzić tu reorganizację, jaką rozpoczęli Francuzi, prawda?

- Owszem. Skoro muszą mieć pieniądze, to dlaczego nie przychodzą po nie do mnie, myślą, że chłopci hodują gotówkę? Ech, ci ludzie z miasta...

Twarz Guide'a wyraźnie odcinała się na tle pogrążonych w mroku ścian wyłożonych książkami, choć samą przecinały głębokie cienie. Twarda, silna twarz, lecz na Itale największe wrażenie zrobiło coś, czego nigdy przedtem świadomie w niej nie dostrzegął - spokój. Nie łączył się on z nastrojem, bo Guide nie miał spokojnego usposobienia, lecz z charakterem. Był to dar czasu, i to nie tylko lat przeżytych przez Guide'a, ale i czasów, jakie uznał za swoje, pór roku i minionych pokoleń. Itale widział po twarzy ojca, że jest on bardzo zmęczony, że pragnie, aby Itale powiedział mu, co ma do powiedzenia, ale jednocześnie się boi. Wszystko było wyraźnie na niej wypisane. Lecz pod tym krył się niewzruszony spokój, siła woli ukryta pod emocjami - jego dziedzictwo.

- Chciałbym spróbować wyjaśnić kilka... pewną zmianę w moim myśleniu, ojcze.

- Zdaję sobie sprawę, że w pewnych kwestiach mamy odmienne zdania. Odwieczny konflikt pokoleń. Wcale nie musimy się we wszystkim zgadzać. Czas spędzony na omawianiu różnic zdań jest czasem straconym.

- Niektóre poglądy to coś więcej niż zdania. Wyznawać je, znaczy im służyć.

- Możliwe. Lecz ja nie pragnę się sprzeczać, Itale.

- Ani ja. - "Umowa społeczna" uderzyła lekko o stół, wzbijając ze starych papierów i pergaminów kurz. - Nie mam na to najmniejszej ochoty. Chciałbym jednak postępować według moich zasad, podobnie jak ty postępujesz według swoich.

- Twój umysł należy do ciebie. Do ciebie należy twój czas. Pod warunkiem, że będziesz tu wykonywał swoją pracę, co też robisz i zawsze robiłeś.

- Mam pracę do wykonania gdzie indziej.

Po tych słowach Guide uniósł głowę. Nic nie powiedział.

- Muszę pojechać do Krasnoy.

- Nie musisz.

- Usiłuję wyjaśnić...

- Nie życzę sobie żadnych wyjaśnień.

- Jeśli nie chcesz, słuchać, to nie ma sensu, żebym mówił. - Itale wstał.

- Zostań tutaj - rzekł Guide, przeszedł przez pokój, zawrócił, przeszedł przez niego jeszcze raz i jeszcze raz zawrócił. Usiadł na rzeźbionym krześle.

Itale cały czas stał przy stole. Za domem, gdzieś w dolinie zapał sennie kogut, stara Eva śpiewała w kuchni.

- Chcesz pojechać do Krasnoy?

Itale skinął głową.

- Zamierzasz wziąć z majątku pieniądze na swoje utrzymanie w mieście?

- Jeśli nie zechcesz mi ich dać, to nie.

- Nie zechcę.

Itale tak bardzo starał się stłumić w sobie niechęć i bunt, aż osłabiło go to fizycznie. Naraz zapragnął podejść do ojca jak dziecko i poprosić o wybaczenie: zrobi wszystko, by ułagodzić jego gniew. Usiadł jak poprzednio po drugiej stronie stołu dzielącego go od Guide'a, jak poprzednio wziął do ręki książkę, obserwując blask lampy migocący na wytartych złoceniach kart, i w końcu powiedział:

- Znajdę pracę. Moi przyjaciele i ja zamierzamy pisać, może będziemy wydawać jakieś czasopismo.

- W jakim celu? Itale nie uniósł głowy.

- Dla wolności - odparł.

- Dla kogo?

- Dla nas wszystkich.

- Sądzisz, że wolność jest twoja i że możesz ją wszystkim rozdawać?

- Mogę dać to, co mam.

- Słowa, Itale.

- To też są słowa. Ta książka. Ona zburzyła Bastylię. Te dokumenty dotyczące naszej ziemi to też słowa. Poświęciłeś życie temu, co one reprezentują.

- Jesteś bardzo elokwentny.

Nastąpiło długie milczenie.

Guide odezwał się z wielkim opanowaniem:

- Powiem ci, co naprawdę myślę. Chcesz wyjechać i zająć się sprawami innych ludzi. Mówisz, że jest to dla ciebie kwestia zasady. Obowiązku. Dla mnie natomiast o wiele ważniejsze są twoje zobowiązania względem twojej rodziny, twojego majątku i mieszkających tu ludzi. Kto będzie zarządzał po mojej śmierci? Jakiś dziennikarz z Krasnoy?

- To niesprawiedliwe!

- Nie. Trzeba widzieć różnicę między poczuciem obowiązku i kaprysem zaspokajania swoich zachcianek.

- Mówisz do mnie tak, jakbym był dzieckiem. Już nim nie jestem. Jestem tym, kim mnie uczyniłeś, i wiem, co znaczy obowiązek. Szanuję twoje zasady, proszę więc, żebyś ty szanował moje.

Guide na chwilę zaniemówił. Zdumiała go pewność siebie Itale.

- Szanował? Co szanował? Twoje teorie, twoje poglądy, czyjeś słowa, dla których chcesz to wszystko odrzucić? Osiągnąłeś pełnoletność, nie musisz mnie słuchać, ale nie możesz tknąć swego dziedzictwa, dopóki nie ukończysz dwudziestu pięciu lat, i chwała za to Bogu.

- Nie ruszyłbym go wbrew twojej woli...

- Aleje odrzucasz, odwracasz się do niego plecami, do wszystkiego, na co pracowałem. Nie jest twoje, żebyś mógł je odrzucić! - Był to krzyk z głębi serca.

Itale odpowiedział z rozpaczą w głosie:

- Ja go nie odrzucam - wrócę, kiedy będziesz mnie potrzebował...

- Potrzebuję ciebie teraz. Jeśli odjedziesz, wiedz, że na zawsze.

- Odjadę - odparł Itale wstając. - Możesz wszystko zatrzymać, ale nie odbierzesz mi przywiązania do tego domu, lojalności wobec ciebie... Nadejdzie czas, kiedy zobaczysz, że...

- Nadejdzie czas, rzeczywiście! - "Umowa społeczna" znalazła się na podłodze grzbietem do góry, a oderwana wyklejka poszybowała przez pokój jak wystraszony ptak. - Nie za mojego życia ani twojego!

Obu dusił fałszywy gniew, obaj wiedzieli, że nie ma już nic do powiedzenia, nic.

Guide w końcu się odwrócił.

- Jeśli zmienisz zdanie - rzekł zduszonym głosem - nie musimy o tym więcej mówić. Jeśli nie, to im szybciej wyjedziesz, tym lepiej.

- Pojadę dylizanssem w piątek. Guide nic nie powiedział.

Itale skłonił się i wyszedł z biblioteki.

Jego srebrny zegarek wskazywał ósmą dwadzieścia. Weszli do biblioteki zaledwie przed kilkoma minutami. Czuł się, jakby minęły całe godziny.

- Itale?

Do hallu weszła jego matka.

- Czy ojciec jest w bibliotece, kochanie?

- Tak.

Poszedł szybko na górę do siebie i zamknął drzwi. Pokój wypełniał błękit późnego wieczoru, odbijający się w jeziorze leżącym pod oknami; w tej nierzeczywistej atmosferze przedmioty zdawały się unosić niczym wodorosty widziane pod wodą tuż przy brzegu. Łagodność niewyraźnego, pozbawionego ciężaru światła zmniejszyła przygniatający go ból. Itale poczuł, że znów może oddychać. Jednak nigdy nie czuł się tak samotny i tak śmiertelnie zmęczony.

ROZDZIAŁ 5

Był piąty sierpnia, dzień pulsujący upałem, jaki zwykle kończy się burzą. Pola od rana prażyły się w słońcu, jezioro przypominało tafłę szkła, a czerwonawe słońce drgało na niebie białym od skwaru. W skoszonej trawie, na żółtych polach, w sadach i pod dębami cykały świerszcze. Cienie rzucane przez zachodnie szczyty dotykały teraz jeziora, a niebo przy linii horyzontu przybierało delikatną błękitnofioletową barwę, lecz nadal nie było wiatru i Malafrena przypominała misę wypełnioną zastygłym, gorącym blaskiem. Piera Valtorskar schodziła ze schodów, co owego długiego, nie kończącego się sierpniowego popołudnia wydawało się trwać równie długo. Przepelniały ją nieuchwytnie myśli i różnorodne doznania. W domu, zbudowanym z wapienia i marmuru, panował chłód. Można było poznać, że to gorący dzień, jedynie po suchości powietrza, graniu świerszczy i roztopionym blasku słonecznego promienia przebijającego się przez spuszczone żaluzje. Piera włożyła swojej prowincji: szeroką, ciemnoczerwoną spódnicę, czarną kamizelkę i lnianą bluzkę haftowaną przy szyi. Rękawy były zaszyte na ramionach w dwanaście plis - bluzka została uszyta w Val Malafrena. Bluzka z Val Altesma miałyby zebrane rękawy, a niektóre ścięgi i motywy haftu byłyby inne - zamiast ptaków i gałązek wzory kwiatowe. Wszystko to było takie, jakie powinno być, jakie zawsze było, więc Piera przedkładała ten strój nad każdy inny. Schodząc ze schodów przyglądała spódnicę dostrzegając jej barwę granatów, czując chłodną, szorstką fakturę samodziału. Prawą rękę położyła na marmurowej balustradzie, śliskiej jak mydło i zimnej. Schodziła krok za krokiem, odczuwając fizyczność tej czynności podobnie jak ciężar falującej spódnicy czy chłód dotykanej ręką balustrady. Myślała o wielu sprawach, choć nie potrafiłaby ich wymienić. Na czwartym stopniu od dołu zaczęła nucić piosenkę "Kraśnieją jagody na jesiennych drzewach", na ostatnim stopniu przestała nucić i przeciągnęła palcem po kręgosłupie kupidyna, wieńczącego dolny słupek balustrady. Był to surowy, przysadzisty, prowincjonalny kupidyn wyrzeźbiony z szarego marmuru Montayny. Sprawiał wrażenie, że jest zaniepokojony i cierpi na niestrawność. Piera szturchnęła go w żołądek, żeby sprawdzić, czy mu się odbije, po czym nagle obróciła się na pięcie i pomknęła w górę po schodach zużywając na to jedną piątą czasu, jaki zajęło jej zejście.

Hall na piętrze wydawał się ciemny i pachniał zakurzonym aksamitem. Piera nasłuchiwała pod drzwiami ojca. Cisza. Hrabia Orlant jeszcze spał. W gorące dni zwykle przesypiał popołudnie na swej starej, skórzanej kanapie, chociaż nigdy nie miał takiego zamiaru. Piera zbiegła po schodach, okrążyła dolny słupek barierki przytrzymując się kupidyna i poszła do pokoju swojej stryjecznej babki.

Ciocia - zawsze się ją tak nazywało, a służący zwracali się do niej per hrabino ciotko - była bardzo stara. Była bardzo stara przez całe życie Piery. Miała urodziny jak inni, ale w przeciwieństwie do Piery, która pamiętała wszystkie swoje urodziny poczynając od jedenastych, na pewno ich nie pamiętała. Zresztą co za różnica, jeśli przeszło ich dziewięćdziesiąt pięć? Niezależnie od tego, czy ciocia miała dziewięćdziesiąt trzy, dziewięćdziesiąt cztery czy dziewięćdziesiąt pięć lat, zawsze siedziała w swym fotelu z pionowym oparciem, ubrana w czarną suknię i szary szal, czasami drzemiąc, czasami nie. Rysy twarzy zamazywały niezliczone zmarszczki, rozbiegające się od ust i kącików oczu. Straciła większość zębów i miała zapadnięte wargi. Jej oczy przypominały szarą barwę i przejrzystością oczy jej ciotecznej wnuczki. Ciocia tego popołudnia nie drzemała. Spojrzała na Pierę jasnymi, szarymi oczyma z drugiej strony głębokiej na osiemdziesiąt lat przepaści.

- Ciociu, czy śniło ci się kiedyś, że potrafisz latać?

- Nie, kochanie.

Ciocia zawsze odpowiadała "nie".

- Kiedy drzemałam po południu, śniło mi się, że potrafię fruwać. Wystarczy tylko w to uwierzyć. Można jednym palcem odepchnąć się od ściany, wstrzymać oddech i stawiać duże kroki, wie ciocia? Żeby zmienić kierunek, należy znów odepchnąć się od ściany. Jestem pewna, że tak robiłam. Zeszłam na sam dół schodów nie dotykając... Czy mam cioci potrzymać wełnę?

Ręce cioci od wielu lat były zeszywniałe, dlatego nie mogła sprawnie robić na drutach czy haftować, lecz lubiła trzymać druty i wełnę czy tamborek i jedwabne nici, ucinając sobie drzemkę, a wprost uwielbiała zwijać w kłębki motki wełny i jedwabiu. Piera także to lubiła. Potrafiła całą godzinę trzymać cioci motek, obserwując, jak czerwona, niebieska czy zielona przędza ześlizguje się z jej równolegle trzymanyh rąk i błyska w sztywnych, powolnych palcach cioci, nawijających ją na coraz większy i większy kłębek.

- Nie teraz, kochanie.

- Czy już czas na podwieczorek dla cioci?

Ciocia nie odpowiedziała - czas na podwieczorek jeszcze nie nadszedł. Zapadła w drzemkę, a jej cioteczna wnuczka wymknęła się z pokoju. Zajrzała do kuchni, ogromnego pomieszczenia ocienionego rosnącymi na zewnątrz dębami. Dom Valtorsa, zbudowany w roku 1710, stał frontem do doliny i odległych wzgórz osłonięty drzewami od strony jeziora; pomysł starego Itale postawienia swego domu tuż nad wodą okazał się jednym z jego przywiezionych z zagranicy kaprysów. Oprócz kucharki Mariyi patroszącej kurę w kuchni nie było nikogo. Piera podeszła do niej, chcąc się przyjrzeć.

- Co to jest, Mariyo?

- Wole, hrabianko.

- Pełne ziaren, tak... A to?

- Jajko, hrabianko, czyżbyś nigdy nie widziała jajka?

- Ale nie w kurze. Patrz, jest ich więcej!

- To ten stary głupiec Maati, powiedziałam mu: brązowa kura z białymi plamkami, a on zamiast niej przyniósł kurę z Kissafonte, już z obciętą głową, stary głupiec. Jest stara, ale dobrze się niosła. Spójrz, jakie małe jajeczka, jak paciorki na sznurku... - Krzepka kobieta i dziewczyna zajrzały w rozsiewające zapach krwi wnętrzości. Zainteresowanie Piery pobudziło na chwilę ciekawość Mariyi.

- Ale skąd one się tam biorą?

- No, przecież kogut... - Mariya wzruszyła ramionami.

- Tak, wiem, kogut - mruknęła Piera. Zmarszczyła nos, czując słonawy zapach krwi. - Czy będziesz dziś coś piekła, Mariyo?

- W czwartek po południu?

- Och, wiedziałam, że nic z tego, tylko tak zapytałam... Gdzie jest Stasjo?

- Na polu.

- Wszyscy cały dzień są na polu, równie dobrze mogliby umrzeć i pójść do nieba. Chciałabym, żeby już była zima!

Piera zakręciła się na pięcie, żeby jej spódnica pięknie się rozłożyła, zajrzała do sagana z zupą wiszącego w rogu paleniska i wyszła z kuchni. W jej królestwie zionęło pustką. Wszyscy wieśniacy zwozili późne siano, Mariya nie miała nic do powiedzenia, ciocia spała, hrabia spał, guwernantka wyjechała na wakacje, w domu było nudno, na dworze za gorąco i Piera nie mogła nawet pójść do Laury, bo jutro wyjeżdża Itale, nagle wyjeżdża do miasta, na zawsze. Poszła do frontowego pokoju z zasłoniętymi storami, marmurowym kominkiem i kilkoma marmurowymi kupidynami, lśniąca podłoga i nielicznymi, sztywnymi meblami. Podłoga wyglądała na chłodną. Piera wiedziała, że jest chłodna, i z trudem opierała się pokusie, by poleżeć na niej - na brzuchu - jak to niegdyś robiła w upalne popołudnia. Wytłumaczyła sobie jednak, że jest za dorosła, żeby w tej spódnicy barwy granatów i lnianej bluzce czołgać się po podłodze. Przycupnęła na siedzeniu w wykuszu okna i spojrzała przez szparę między żaluzją i okienną framugą na pusty, zacieniony boczny dziedziniec. Najgorsze, że nie ma z kim porozmawiać, nikogo, kto by zrozumiał to, czego ona nie pojmuje, i że nie ma co zrobić z przepelniającą ją energią, nie ma nic do roboty... Piera siedziała bez ruchu z podkulonymi nogami, jedną ręką odsuwając róg lnianej story, żeby mogła widzieć ten sam nudny róg dziedzińca, wzgórze wznoszące się do góry Sinviya, i pogrążyła się w niemym, głębokim, potężnym smutku, gorącego, wiecznego sierpniowego popołudnia.

Dom rodziny Sorde także wydawał się cichy, lecz pod powierzchnią letniego transu coś się działo, od czasu do czasu dochodziły bowiem jakieś głosy. W sypialni panował upał. Itale otworzył ono, aby wpuścić nieco powietrza, nie zważając na leżący na podłodze ognisty pas słonecznego blasku. Był w samej koszuli, a włosy sterczały mu nad czołem spoconymi kępkami. Przeglądał papiery, większość z nich z powrotem wkładając do blaszanego pudełka, resztę odkładając do zabrania ze sobą. Wkrótce skończył tę pracę, wsunął pudełko na swoje miejsce pod stół i wstał. Wielki spokój dnia zmaćił pierwszy powiew wiatru: woda jeziora zmarszczyła się przy brzegu i wygładziła dopiero po dłuższej chwili, a kartka leżąca na wierzchu małej kupki papieru na biurku lekko się poruszyła. Itale odruchowo przycisnął ją dłonią, a potem na nią spojrział. "Tym razem nie sen, o, Wolności..." Wiersz o rewolucji w Neapolu, który napisał zeszłej zimy. Jego przyjaciele z Amiktyi uważali, że jest bardzo dobry. Zaczął wkładać papiery do otwartej walizy leżącej na łóżku. W głowie dźwięczały mu słowa Metastasja wypowiedziane do jego kochanki, śpiewane na ulicach Neapolu przez ludzi, którzy zaznali na krótko wolności: "Tym razem nie śnię... Non sogno questa volta, non sogno liberta' - w kółko i w kółko, jak granie świerszcza, aż wreszcie przestał ich słuchać. Skończył się powiew wiatru. Na nagiej podłodze leżał nieznośnie jasny pas słonecznego blasku.

Rozległo się stukanie i po chwili weszła do pokoju Laura.

- Masz tutaj bieliznę. Mama przygotowuje dla ciebie koszulę na jutro.

- Dobrze. Dziękuję.

- Mogę ci w czymś pomóc?

- Wszystko już zapakowałem oprócz tego. - Zaczął upychać czyste lniane koszule do walizy, potrzebując jakiegoś zajęcia w obecności Laury. Każde z nich usiłowało zachowywać się naturalnie, by zatuszować wzajemne skrępowanie.

- Ja to zrobię. Zleje składasz.

- No, dobrze.

- Piera powiedziała, że ma twoją książkę.

- Estenskara - weź ją od niej, kiedy przeczyta. Sama powinnaś to zrobić. Nie wysyłaj mi jej pocztą, to nielegalne wydanie. - Znów stał, wyglądając przez okno. - Wieczorem będzie burza.

- Mam nadzieję. - Laura wyprostowała się i razem z nim obserwowała powolne gromadzenie się chmur na południowym zachodzie, za Myśliwym.

- Dziesięć do jednego, że hrabia Orlant nie zebrał siana z Pola Arly'ego. Pamiętam, że co roku ściga się o siano z burzą.

- Mam nadzieję, że będzie wielka burza...

- Dlaczego?

Tylko Itale mógł ją o to zapytać i uśmiechnąć się, bo znał odpowiedź. Nie było innego mężczyzny, z którym mogłaby rozmawiać po partnersku, któremu mogła bezgranicznie ufać. Miała ukochanych rodziców, krewnych, przyjaciół, ale tylko jednego brata.

- Też chciałabym wyjechać.

Patrzył na nią przez chwilę.

- Dlaczego? - zapytał w końcu tonem, w którym brzmiały nuty smutku, żalu i miłości.

- A dlaczego ty wyjeżdżasz?

- Bo muszę, Lauro.

- A mnie nie wolno.

Żadne z nich nie potrafiło zakwestionować tego faktu.

- Popłyniesz do Evalde, Lauro?

Zanim wyjechał na uniwersytet, co roku o świcie wiosennego zrównania dnia z nocą płynęli razem przez jezioro do zatoki Evalde, gdzie z jaskiń spadała do jeziora długim wodospadem rzeka. Na brzegu znajdowała się tam wysoka skała z dziwnymi znakami, zwana Skałą Pustelnika. Hrabia Orlant przypisywał te znaki druidom, a inni, traktujący druidów sceptycznie, mówili, że jest to miejsce, gdzie misjonarz św. Italus nauczał pogańskie plemiona Val Malafrena. Duch, jaki w bracie i siostrze wywoływała owa skała, był wystarczająco pogański. Za ich dzieciństwa prawdziwy rok zaczynał się dla nich wraz z tą milczącą wyprawą przed świtem przez jezioro, przybyciem na ten brzeg i samotnym uczczeniem skały, mgły i światła unoszącego się nad wodami.

- Tak, popłynę.

- "Falkone".

Skinęła głową.

- I będziesz pisała.

- Oczywiście. A ty? Prawdziwe listy? Zanim wróciłeś do domu, pisałeś takie głupie listy!

- Nie mogłem wyjaśnić, że jestem w areszcie domowym. Wszystko tak się skomplikowało... - Laura usłyszała wreszcie całą historię o Mullerze, von Hallerze i Gentzu.

Oboje się z niej śmieli, kiedy weszła Eleonora. Zrobiło im się wstyd okazywanej wesołości w przeddzień wyjazdu Itale, bo wiedzieli, że matka z tego powodu płakała. Laura uciekła, a Eleonora pokazała mu własnoręcznie wyprasowaną koszulę.

- To na jutro - powiedziała. Przywykła do nieprzystawalności ludzkich reakcji na życie, do prasowania koszul, kiedy nie można nic powiedzieć, albo słowa na nic się nie zdadzą. Itale jeszcze do tego nie przywykł.

- Mamo, czy rozumiesz... - przerwał.

- Chyba tak, kochanie. Chciałabym tylko, żeby tobie było z tym lepiej. - Zajrzała do jego walizy. - Włóżysz niebieski surdut?

- Jak może mi być dobrze, skoro ojciec...

- Nie możesz się na niego gniewać, kochanie.

- Nie gniewam się. Tylko gdyby... - kiedy Itale był zdenerwowany, lekko się jękał. - Gdyby spróbował zrozumieć, że staram się postępować słusznie!

Eleonora milczała przez chwilę, a potem powiedziała łagodnie i nieustępliwie:

- Nie możesz się na niego gniewać, Itale.

- Wierz mi, że próbuję! - powiedział to ze szczerą, zapalczywą powagą, więc Eleonora odwróciła się do niego z uśmiechem. - Gdybyśmy tylko mogli ze sobą porozmawiać, gdybym mógł mu wyjaśnić...

- Nie wiem, czy tak naprawdę można cokolwiek wyjaśnić. A w każdym razie nie za pomocą słów. - Spojrzała, że jej nie wierzy. Nie szkodzi. Ona też kiedyś wierzyła, że ludzie mogą być względem siebie całkowicie szczerzy, i wcale nie uważała się za lepszą z powodu utraty tej wiary. Gdyby miała w tej chwili być całkowicie szczerą ze swoim synem, to błagałaby go, żeby został w domu, żeby nie wyjeżdżał, bo jeśli pojedzie, to nigdy już nie wróci, więc powtórzyła: - Włóżysz niebieski surdut? Rano w dylizansie będzie zimno.

Skinął głową z nieszczęśliwą miną.

- Chcę przygotować ci obiad, Eva zachowała trochę pieczeni wołowej - rzekła Eleonora i z tymi słowami znów zawisła nad nią groźba pieczeni wołowej, obracających się kół dylizansu, kurzu drogi biegnącej z dala od domu, ciszy jadalni, w której jutro zasiądą z Guide'em i Laurą bez niego. Pośpiesznie wyszła z pokoju, żeby móc temu wszystkiemu stawić czoło w samotności.

Itale poszedł na przystań, bo miał jeszcze czas, żeby poprawić zamocowanie rumpla w "Falkone". Obiecał sobie, że zrobi to przed wyjazdem. Długie promienie kładły się mocnym blaskiem na drodze i zielonym trawniku nad przystanią. Za Myśliwym gromadziły się teraz ciężkie chmury, a powietrze nad jeziorem miało zielonkawy odcień. Kiedy Itale skończył ze sterem, zaczął woskować ławki i reling łodzi, nie chcąc siedzieć beczynnie. W hangarze było gorąco, panował półmrok i pachniało woskiem, nasiąkniętym wodą drewnem i wodorostami. Dach z surowych sosnowych desek drgał od błoniastych, ruchomych odbić ozłoczonej słońcem wody. Wracali ludzie z sianem,

Itale słyszał ich głosy, dochodzące od strony drogi. Jeden z nich górował nad wszystkimi, wznosząc się i opadając w monotonnej piosence:

Kraśnieją jagody na jesiennych drzewach,

*Śpij dobrze, moja duszko, mocno śpij,
Szara gołąbka w lesie tym śpiewa,
Śpij, aż się wyśpisz.*

Skończył pracę i poszedł po trawiastym zboczu do obsadzonej topolami drogi. Ludzie pracujący przy sianie na północnym polu wszyscy już przeszli, wykonawszy robotę w terminie, bo Guide rzadko rywalizował z burzą. Na drodze nie było nikogo oprócz starego Brona i Davida Angele, wracających z winnic, a szła z nimi Marta, żona Astolfa. Mężczyźni mieli na sobie ciemne, bezkształtne ubrania robocze. Kolor w ich strojach oraz śnieżna biel grubo haftowanych koszul pojawiały się jedynie w dni świąteczne. Milczący Bron kroczył niespiesznie na swych długich nogach, zachowując się z rezerwą jak stare zwierzę. Siłę czerpał ze swego podeszłego wieku, poruszał się mądrze, oszczędnie. David Angele, młody człowiek, wyglądał przy nim jak ktoś mało ważny. Idąca z jego lewej strony Marta, ubrana w czerwoną jak granaty spódnicę i haftowaną bluzkę, na każdy jego krok stawiała dwa swoje. Dziesięć lat temu, kiedy miała dwadzieścia lat, była piękna. Uśmiech wywołujący na jej policzkach zmarszczki i pokazujący jej zepsute zęby nadal był promienny, kiedy powiedziała do syna swego dziedzica:

- I znowu pan wyjeżdża, dom Itaal!

- Jutro, Marto.

Oczywiście wszyscy wiedzieli, że dom Guiid i dom Itaal się pokłócili. David Angele zerknął chytrze spod oka na Itale, Bron milczał, a tylko Marta wiedziała, jak taktownie ciągnąć niebezpieczny temat.

- David Angele mówi, że tym razem udaje się panicz do miasta króla?

- Tak powiedział młodemu Kassowi dom Guiid - wtrącił pośpiesznie David Angele, usprawiedliwiając się.

- Cóż to musi być za wspaniałe miejsce - ciągnęła Marta, najwyraźniej nie mając najmniejszej ochoty na zobaczenie go. - Powiadają, że ludzi tam pełno jak much na kostce cukru.

- Ale teraz nie nazywa się go miastem króla, Marto - powiedział młody winiarz z niezmiennie chytrym spojrzeniem. - Wiesz, że nie ma teraz króla.

- Jest ta obca księżna, nie musisz mnie tego uczyć, chłopcze. Ale podoba mi się brzmienie starej nazwy, tak zawsze mówiła moja matka, prawda, wuju?

- Słusznie - powiedział stary Bron, nie zwalniając kroku. Itale zapytał Martę o jej trzy córki, na co się roześmiała.

Wyjaśniła, że się przez nie śmieje, bo jak dotąd nie dały jej jeszcze powodu do płaczu. Z Bronem Itale porozmawiał na temat stanu winogron i nasadzania winorośli gatunku Oriya. Przez

całe życie był uczniem Brona w winnicach. Doszli już jednak do Posażnej Drogi i Marta powiedziała:

- Musi panicz tu skręcić, więc życzę szczęśliwej podróży i z Bogiem, dom Itaal. - Zmęczona i mocna, nie bacząc na braki w uzębieniu, obdarzyła go promiennym uśmiechem.

Itale uściśnął dłoń Davida Angele z serdecznością wynikającą z poczucia winy, że go nie lubi, i w końcu zwrócił się do Brona:

- Kiedy wrócę, Bron...

- Tak, na pewno. - Ich spojrzenia zetknęły się. Ponieważ Itale bardzo tego pragnął, wydawało mu się, że starzec rozumie wszystko, co chce powiedzieć, wie więcej niż on sam i nie widzi potrzeby, żeby o tym mówić. Rozstali się więc i Itale poszedł do domu na kolację.

Jedli wcześniej, bo nazajutrz zamierzali bardzo rano wstać. Nie celebrowali posiłku. Kiedy z kuchni przyszła Eva w skrzypiących pantoflach, żeby zmienić im talerze z niebieskimi obwódkami, spojrzeli na nią z ulgą. Jej stara twarz była równie ponura jak ich twarze.

Po kolacji Guide poszedł do stajni, a kobiety usiadły z szyciem we frontowym pokoju. Itale stał przy oknach wychodzących na taras i jezioro. Padało dziwne światło: woda była nieomal czarna, lecz długi, zalesiony grzbiet wznoszący się nad Evalde jaśniał niezwykłym blaskiem na tle mrocznego nieba. Z południowego zachodu wiał teraz silny wiatr burząc wodę. Powietrze i jezioro szybko ciemniały wraz ze zbliżającą się nocą i burzą. Itale odwrócił się, by spojrzeć na matkę i siostrę. A więc kiedy odjedzie, będą tu siedziały z twarzami pochylonymi nad szyciem, dbając o dom. Matka jak zawsze popatrzyła na niego z poważnym, spokojnym wyrazem twarzy i powiedziała:

- To chyba będzie bardzo ładne, widzisz? - i potrząsnęła tym, nad czym pracowała, czymś zwiewnym i białym. - To jej pierwsza prawdziwa suknia wieczorowa.

- Tak - odparł patrząc na nią. - Chyba pójdę do Valtorskarów. Hrabia powinien już być w domu.

- Burza może się zacząć chyba w każdej chwili, prawda?

- Nie będę tam długo. Mam im coś przekazać?

Poszedł do swego pokoju, pokonując po trzy stopnie naraz - przypomniał sobie po drodze, że wyrósł na tyle, żeby móc to robić, dopiero kiedy miał dwanaście lat - i pośpiesznie przejrzał bibliotekę, skąd wyjął sfatygowaną książeczkę oprawną w kremową skórę - przekład "Vita Nova" Dantego, który kupił w Solariy. Usiadł przy biurku i w zapadającym zmierzchu napisał na czystej kartce przed stroną tytułową kilka słów, swoje nazwisko oraz datę, a potem wsunął książeczkę do kieszeni i wyszedł.

Był sam. Jedynym słyszalnym dźwiękiem stał się odgłos jego kroków na ścieżce. Świerszcze umilkły, ptaki zniknęły. Wiatr przycichł, a niebo pociemniało z wyjątkiem zielonej poświaty nad San Givan stanowiącej resztkę dnia. Kiedy wyprowadzał łódź na wodę i wyruszał na zachód trzymając się brzegu, zalegała taka cisza, że przez całą szerokość jeziora słyszał odległą muzykę wodospadu Evalde. A potem odezwał się pomruk grzmotu i pierwszy głośniejszy szept deszczu na zboczach po drugiej stronie wody. Żagiel obwisł. Wydawało się, jakby zmierzch nagle ustąpił czarnej nocy: hałas rósł i rósł, Itale poczuł deszcz na rękach i twarzy, a potem dopadła go ulewa, ciemna i sztywna jak wszystkie drzewa w lesie, ryk deszczu, ściana wiatru, błyskawice, grzmoty odbijające się ze zdwojoną siłą od wody. Bom przeleciał na drugą stronę, a "Falkone" zrobiła zwrot przez rufę i jak szalona pomknęła do brzegu. Itale z całych sił utrzymywał wilgotny żagiel, na który wiatr napierał z obląkańczym impetem. Nie mógł z powrotem ustawić pod wiatr łodzi, która miotła się i przechylała, aż żagiel dotykał wody. Wykorzystując chwilowe zelźnienie wiatru spuścił żagiel i wyjął wiosła. Ubranie oblepiło mu ciało, a ręce miał tak zimne od deszczu i sztywne od walki z żaglem, że ledwo czuł w nich wiosła. Przedzierał się przez burzę, walcząc z nieokielznanym żywiołem. Czuł się pokonany, ale szczęśliwy.

Na marmurowych stopniach Valtorsy zdjął kapelusz, zlał z niego wodę, przez chwilę wyrównywał oddech i zastukał. Drzwi otworzył stary służący Valtorskarów i przyjrzał mu się ze zdumieniem.

- Czy pan się topił, dom Itaal? - przemówił w końcu. - Proszę do środka! Proszę!

Hrabia Orlant krzyknął z frontowego pokoju nieoczekiwanie mocnym głosem:

- Hoj, a kto tam? Czy to ty, Rodenne? Co cię, u diabła, sprowadza w taką burzę?

Wyszedł do hallu. Itale nie chciał wejść dalej, mówiąc, że jest zbyt mokry i musi wracać do domu, więc hrabia Orlant pożegnał się z nim przy wieszakach na ubrania, życząc mu powodzenia i poważnie ściskając jego mokrą dłoń. W drugiej Itale trzymał "Vita Nova". Zamierzał już wyjść, kiedy pojawiła się Piera.

- Idziesz, Itale? - zapytała ze zdumieniem.

Stary służący wycofał się, a ona podeszła do drzwi, w których stał, mając za sobą ścianę deszczu i wiatru.

- Chciałem ci to dać. - Wyciągnął w jej kierunku książkę. - Chciałem ci coś dać.

Wzięła książkę, ale nie patrzyła na nią, tylko na niego.

- Przypląnąłeś "Falkone"?

- Tak, prawie się przewróciła. - Uśmiechnął się drwiąco, z wielką radością. Wiatr dmuchnął do środka i Piera przycisnęła ręce do boków. - Muszę się pożegnać, Piero.

- Czy już nigdy nie wrócisz?

- Wróćę.

Wyciągnęła rękę, on ją ujął, ich oczy się spotkały, Piera się uśmiechnęła.

- Do widzenia, Itale.

- Do widzenia.

Nie podeszła, żeby zamknąć drzwi, lecz stała w wejściu patrząc w deszcz i błyskającą ciemność, w której zniknął, aż wreszcie przyczłapał stary Givan i je zamknął.

- No, no, ale deszcz, chyba chłopak oszalał, żeby wyprowadzać łódź w taką burzę - powiedział.

Zajrzała do salonu, gdzie schronili się jej ojciec z mapą astronomiczną i ciocia z motkiem przędzy. Pobiegnęła schodami do swojego pokoju. Zasłony ukrywały ciemność, świeca rzucała złocisty, kojący blask, lecz Piera słyszała hałas deszczu, dźwięk głosu Itale. Stał przemoczony, a rękę miał silną i lodowatą. Czy rzeczywiście tu był? Zadrżała. Wciąż trzymała w dłoni zimną i lekko wilgotną książeczkę.

Spojrzała na nią i odczytała tytuł: "Nowe życie". Odwróciła kilka stron i zobaczyła, że jest to proza, pełna "aczkolwiek" i "toteż", oraz poezja: "O Miłości tak słodko prawi, że cała moja wola do niego należy..." Książka sama otworzyła się na stronie przedtytułowej i Piera przybliżyła ją do świecy, żeby odczytać napis:

Tutaj zaczyna się nowe życie.

Dla Piery Valtorskar od Itale Sorde, 5 sierpnia 1825

Siedziała wpatrzona w te słowa wyraźnie napisane czarnym atramentem. Duże "S" rozmyło się przy pośpiesznym suszeniu lub od deszczu. Piera uśmiechnęła się tak, jak uśmiechnęła się przed chwilą do niego, pochyliła głowę i ucałowała jego imię.

CZĘŚĆ II

Wygnańcy

ROZDZIAŁ I

Góry zostały daleko w tyle, dawno temu zastąpione wzgórzami, rzekami i równinami południowego zachodu, zakryte chmurami i deszczami podróży. Dylizans Linii Południowo-Zachodniej wspinał się na wzgórza prowincji Molseny, nieuprawnej, ciemnozłotej pod błękitnoszarym, sierpniowym niebem.

- Do Fontanasfaray jeszcze pięć mil - powiedział przystojny pocztynion z wystającym brzuszkiem. - Zawsze w sierpniu wielka księżna przyjeżdża tu do wód.

- Jak daleko jest do miasta? - zapytał młody dżentelmen z prowincji jadący na koźle.

- Szesnaście mil. Bramę Zachodnią zobaczymy tuż przed zapadnięciem nocy.

Konie, ciężkie, lśniące siwki, ciągnęły dylizans bez wysiłku. Powoli mijała kolejna mila. Itale nasunął kapelusz na oczy, by osłonić się przed porannym blaskiem, i zapadł w drzemkę. Konie ciągnęły, wysoki dylizans trzeszczał i chwiał się.

- Wioska Kolpera - pokazał ręką pocztynion. Kolpera była skromnym skupiskiem chat leżących z dala od drogi na stromym zboczu.

- Wygląda na okolicę, gdzie hoduje się owce - powiedział Itale.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł z pogardą pocztynion. Swoim sposobem bycia podkreślał: jestem z miasta, nic nie wiem o owcach i nic mnie one nie obchodzą.

Skarcony Itale wyciągnął przed siebie nogi i popatrzył na wielkie, samotne wzgórza, gdzieś bardzo daleko dostrzegając stado owiec, niczym cień chmury na płowym stoku.

Fontanasfaray było chłodnym, zamożnym miastem leżącym wysoko wśród wzgórz. Niektórzy pasażerowie dylizansu poszli na obiad do restauracji Parkowej. Itale, który nie przyjął pieniędzy od wuja i nie chciał wziąć z kasy majątku więcej niż dwadzieścia krunkerów, a i to jako pożyczkę, kupił w piekarni bułkę, poszedł do parku i zjadł ją samotnie w cieniu wiązów, obserwując eleganckie powozy przejeżdżające ulicą Gulhelma. Nadal odczuwał głód. W letnim świetle przesianym przez liście zobaczył nadjeżdżający niski, zagraniczny powóz, ciągnięty przez parę dobranych gnidoszy. Jego uwagę przyciągnęła skryta w półcieniu białej parasolki kobieca twarz. Była to twarz pociągła, z oznakami znużenia w grymasie grubych warg i wyrazie oczu, tak znajoma, że Itale spodziewał się, iż kobieta do niego przemówi; która to kuzynka? Powóz przejechał, parasolka stała się białą kropką w perspektywie cętkowanej cieniami liści ulicy. Itale strzepnął okruchy z kamizelki. A więc to jest wielka księżna - powiedział do siebie. Poczł się rozbity i przygnębiony.

Dylizans ruszył w dalszą drogę. Konie były wypoczęte, przybyli nowi pasażerowie. Jednego z nich Itale zauważył na ulicy Gulhelma, jak kłaniał się jadącej powozem wielkiej księżnej. Był to młody, elegancki, przystojny mężczyzna o bladej, grubo ciosanej twarzy. Usiadł na górze obok Itale i prowadził z nim rozmowę, gawędząc tak przyjaźnie, że ów wkrótce zapomniał, że ma się zachowywać powściągliwie, i zaczął się dobrze bawić. Był jednak trochę ostrożny, bo nie zwykł rozmawiać z obcymi, i więcej słuchał, niż mówił, co sprawiało przyjemność jego towarzyszowi, który wśród „, swoich znajomych nie cieszył się opinią dobrego rozmówcy. Na dowód wzajemnego uznania przedstawili się sobie: Sorde, Paludeskar. Gdy tylko wymienili nazwiska, każdy z nich przeprowadził w duchu ocenę towarzysza. Itale zastanawiał się, do której warstwy szlacheckiej może należeć jego nowy znajomy, a Paludeskar ocenił, że chociaż młody prowincjusz jest człowiekiem z ludu i ma kapelusz, który wygląda, jakby nim łowił ryby, z całą pewnością jest dżentelmenem. Poza tym bardzo miło jest rozmawiać z kimś, kto tak mało wie o wszystkim i nigdy nie poprawia rozmówcy. Paludeskar rozprawiał, Itale słuchał i każdy z nich był wdzięczny drugiemu.

Dylizans dotarł do szczytu wzgórza o piątej i Itale po raz pierwszy zobaczył rozległą dolinę rzeki ciągnącą się do odległych grzbietów górskich na wschodzie, lśniąca linię Molseny oraz zamglone i migocące w niskich, ciepłych promieniach słońca miasto leżące w jej zakolu. Znajdowali się kilka mil od przedmieść. Blade wzgórza leżące za nimi milczały, a nad nimi wznosiło się łukiem blade niebo. Miasto spało w swej szerokiej dolinie pogrążone w popołudniowym blasku słońca, niewyraźne, piękne i niewymownie spokojne. Zerknąwszy na zachwyconą widokiem twarz Itale, Paludeskar uśmiechnął się z przyjemnością posiadacza.

- Czy to Roukh?

Pokazał ręką budynek w południowo-zachodniej dzielnicy miasta, który jak błękitnawy cień górował swym ogromem nad niewyraźnymi ulicami.

- Tak. A to jest Sinalya, na skraju tego skrawka zieleni, to pewnie park, Eleynaprade.

Pałac Sinalya był rezydencją panującej rodziny wielkksiążęcej. Królowie Orsinii mieszkali w pałacu Roukh.

- To pewnie katedra - powiedział Itale i głos mu uwiązł w gardle, bo wieżyczki, wznoszące się nad złocistą masą i cieniami miasta, znajdowały się w jego centrum, zarówno jeśli chodziło o miejsce, jak i historię.

- Tak - odparł Paludeskar. - Na południe od niej leży Dzielnica Rzeczna, w której nikt nie mieszka, a na północ Stara Dzielnica, w której mieszkają wszyscy. Czy to mój dom? Nie jestem pewien. Gmach opery, widzisz tę kopułę nad rzeką?

Lecz zjeżdżający ze wzgórza dyliżans zagłębił się w przełęcz między dwoma wysokimi wzniesieniami i wspaniałą widok zniknął.

Pojawiał się potem co pewien czas, w miarę jak droga opadała zakrętami w dół, za każdym razem coraz bliższy i bogatszy w szczegóły. Ostatni raz ujrzeli miasto jako całość, gdy zarysy doliny były już niewyraźne, wschodnie wzgórza pogrążyły się w mroku, a przez szarą mgiełkę zaczęły przeświecać światła. Zmienili konie w Kolonnarmanie, gdzie zjedli też kolację, po czym znów wyruszyli w ciepłym zmierzchu, z łatwością posuwając się po równej drodze. Widoczny na niebie blask pokrytego mgiełką miasta coraz bardziej się powiększał. Oszołomieni ciemnością i ciepłem, wiatrem i kołysaniem dyliżansu, wspaniałą wizją wielkomiejskiego życia, obaj młodzieńcy mówili z żarliwością i od serca.

- Liczy się siła, jaką każdy ma w sobie - mówił Itale - która przynależy wyłącznie człowiekowi. Ona stanowi jego osobowość, wszystko, co czyni z niego osobę, istotę ludzką. Kiedy znajdzie tę siłę, wolę, potrzebę, czy cokolwiek to jest, wystarczy tylko jej słuchać i nie schodzić z drogi, na którą człowieka zaprowadzi.

- Ale jeśli nie można znaleźć tej drogi...

- Można, jeśli się tego chce.

- A ilu ludzi tak naprawdę tego chce?

- Odnaleźć swoje przeznaczenie? Być sobą? Chyba wszyscy?

- To wymaga dużej pracy - rzekł Paludeskar.

- No, owszem. I większość ludzi chyba nawet nie próbuje. Robią to, co im narzuca los, albo czego się spodziewają po nich inni, i gubią się w pozbawionym znaczenia splocie pragnień, błahostek, przypadków - powiedział Itale z lekceważącym machnięciem ręki. - Dlaczego nie robią po prostu tego, co jest konieczne?

- Bo wybierają łatwiznę.

- Ale jakie to głupie. Nawet jeśli się przez dziesięć lat siedzi na krześle, to one i tak przemijają. Więc dlaczego nie miałyby się wstać i zacząć chodzić, udać się w podróż? Kiedy byłem chłopcem, zazdrościłem dorosłym, myślałem, że wszyscy dokądś idą, ale teraz widzę, że większość z nich tak naprawdę nie zmierza donikąd, nigdy naprawdę nie wracają do domu, są zagubieni wśród jedzenia, spania, rozmawiania, składania wizyt i bezsensownej pracy - oczywiście nie biedota, mam na myśli ludzi mogących robić, co chcą - nie robią nic, gubią swe dusze z czystej lekkomyślności!

- Cywilizacja marnuje się przy ludzkości - rzekł Paludeskar. - Gdybym musiał ją komuś dać, to podarowałbym ją pszczołom. Pracowite szelmy.

- Nie wiem, czy marnuje się przy nas, ale sądzę, że większość z nas ją marnuje.

- Kiedyś myślałem, że będę chciał się przyczynić do jej rozwoju. Ale teraz nie wiem. Właściwie nie mam nic do zaoferowania.

- Masz - rzekł Itale.

Paludeskar odpowiedział z równą prostotą:

- Wiem. Ale mi to umyka. Nie jestem religijny i w ogóle, ale w listopadzie skończę dwadzieścia pięć lat... chciałbym... rozumiesz, chciałbym być pewien, że zrobię coś wartego zachodu... przed końcem.

- Właśnie, właśnie - przytaknął Itale.

- Zatrzymaj się u mnie na noc, chciałbym jeszcze o tym z tobą porozmawiać - zaproponował poważnie Paludeskar i Itale przyjął zaproszenie.

Dylichans wjechał już na przedmieścia Krasnoy i w ciągu dziesięciu minut zatrzymał się na swojej stacji przy Zachodniej Bramie. Zesztywniali i oszołomieni pasażerowie wysiedli na podwórze przy ulicy TiyPontiy, kryjącym się w cieniu wysokich zabudowań zajazdu. Blask i cień, rzenie koni i stukot podkutych kopyt o kamienie, gwar głosów, ćmy objające się o zakopcone lampy, zapach skóry, końskiego nawozu, potu, rozgrzanych kamieni, kamienne ulice.

Znalazłszy się w dorożce obaj pożałowali zaproszenia, które w dylichansie wydawało się tak naturalne. Nie mówili już nic o przeznaczeniu ani cywilizacji i każdy z nich patrzył przez swoje okno. Dorożka zatrzymała się przed pięknym domem przy szerokiej, cichej ulicy. Kiedy Paludeskar prowadził Itale po schodach, usłyszał on, jak potężny dzwon wybija godzinę nad ciemnymi dachami i ulicami, posyłając głęboki, spokojny głos w pełne niepokoju powietrze miejskiej nocy.

Itale został przekazany służącemu i zaprowadzony wspaniałymi schodami i długim korytarzem do pokoju, w którym było łóżko z baldachimem, marmurowy kominek, turecki dywan, czerwone zasłony w oknach i ogromny obraz przedstawiający konia wyścigowego o grubym, okrągłym tułowiu, małej głowie i delikatnych nogach. Kiedy wyszedł pierwszy służący, przyszedł drugi z jego walizą. - Dziękuję - powiedział Itale z ulgą, widząc w morzu obcości znajomą rzecz. Jego próba odebrania służącemu walizy została udaremniowana wprawdzie, uprzejmie i z największą łatwością, i po tej klęsce nie było już nadziei na pozbycie się służącego, Francuza w średnim wieku. Rozpakowując walizę gościa dał mu do zrozumienia za pomocą słów i gestów, że ma na imię Robert, że jest służącym monsieur barona, że Itale musi przebrać się w inny surdut, że pożądana byłaby też czysta koszula, że dżentelmen sam się nie ubiera, że on doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że Itale jest młody, ubogi, pochodzi z prowincji i oprócz szczotki do włosów nie posiada innych przyborów toaletowych, ale nie ma mu tego za złe.

- Monsieur pozwoli - rzekł, obchodząc stojącego przed lustrem Itale i pięcioma hipnotycznymi ruchami zmienił węzeł jego halsztuka w ideał symetrii. - Jest to najlepszy węzeł, ale nie każdy mężczyzna może go stosować, bo wymaga on pociągłej twarzy - powiedział Robert, tak szczerze podziwiając swe dzieło, że Itale się w końcu do niego przekonał i bez oporu pozwolił mu pomóc nałożyć sobie surdut.

A potem musiał sam zejść na dół.

Długi, jasny salon pełen był mężczyzn w lekkich surdutach i kobiet w letnich sukniach. Nigdzie nie widział Paludeskara. Jakaś wysoka blondynka spojrzała na niego marszcząc brwi. Nie śmiał wejść dalej do środka, nie śmiał się wycofać. Stał nieruchomo jak głaz. Obok niego grupa gości wybuchnęła śmiechem na zakończenie jakiegoś opowiadania i Itale też się uśmiechnął, lecz natychmiast spoważniał. Podchodziła do niego inna wysoka blondynka w fioletowej sukni - a może to była ta sama kobieta? Itale odwrócił wzrok. Zaczął wycofywać się tyłem w kierunku hallu.

- Pan Sorde?

Skłonił się.

- Jestem Luisa Paludeskar.

Skłonił się ponownie.

Spojrzała na niego chłodno, po czym poprowadziła do matki, żeby go jej przedstawić.

Młoda baronówna była postawna i przystojna jak jej brat, natomiast baronowa, siedząca z dwiema innymi damami obok zdobionego złotem pianina Erarda wyglądała na chorą i zgorzkniałą. Przywitała się z Itale, lecz oprócz tego nie miała mu nic do powiedzenia. Baronówna Luisa zaprowadziła go do bocznego pokoju, gdzie ku swej uldze zastał Paludeskara, który pozerął kurczę na zimno i zapijał szampanem. Został zaproszony do wspólnej biesiady. Podczas jedzenia udało mu się przezwyciężyć nieco paraliżujące skrępowanie i baczniej się przyjrzeć gościom. Zauważył, że nikt nie ma spodni takich jak on i że rozmowa z tymi ludźmi jest niezmiernie trudna, jako że wszyscy mówią bardzo szybko, dużo i bez przerwy przeskakują z tematu na temat.

- Długo zabawi pan w Krasnoy, panie Sorde? - spytał mężczyzna, któremu został przed chwilą przedstawiony i którego nazwisko natychmiast zapomniał, po czym nie dając mu czasu na odpowiedź ciągnął: - Martwy sezon, nieliczne resztki cywilizacji można oglądać w tym pokoju. A sezon operowy zaczyna się w listopadzie.

- Mam nadzieję zobaczyć jakiś spektakl - powiedział Itale. Wypowiedziawszy zrozumiałe, choć niezbyt błyskotliwe zdanie, głęboko odetchnął.

- Jest pan muzykalny? - zapytał rozmówca.

Hacheskar? Harreskar? - zastanawiał się Itale.

- Nie jest to dokładnie Paryż, jak może pan sobie wyobrazić, a stary Montini stracił w ostatnim sezonie swoje górne A, lecz ogólnie nasza opera jest niezła.

- Paolina - wtrącił Itale. Było to imię miejscowej divy, o której pochlebne opinie słyszał w Solariy.

- Aha - rzekł Helleskar. No właśnie, Helleskar, ale czy był to baron? hrabia? książę? - Słyszał pan Paolinę? Czy dlatego pan tu przyjechał?

Itale popatrzył na niego. Co ma odpowiedzieć? "Nie, przyjechałem obalić rząd"? Powiedział krótko:

- Nie.

Helleskar uśmiechnął się. Był blady jak Paludeskar, ale miał drobną figurę i delikatną twarz.

- Przepraszam, zawsze wszystkich zanudzam muzyką - powiedział i chociaż Itale docenił tę niekłamana szczerość, nie potrafił na nią uprzejmie odpowiedzieć.

- Luiso - rzekł Helleskar nieco później w innym pokoju - kim jest ten nowy znajomy twojego brata?

- Nie mam pojęcia, George.

- Może to literat - podsunął Helleskar.

Luisa Paludeskar wzruszyła ramionami.

- Poematy epickie... Albo nie, już wiem. Planuje założyć tajne czasopismo pełne długich cytatów z Schillera.

- Nie mam najmniejszego pojęcia.

- Został po prostu znaleziony w dylizansie, jak czyjś kapelusz? Może być szpiegiem Gentza, może ukraść srebro. Nie przypuszczałem, że Enrike jest taki lekkomyślny. Ale żaden szpieg nie miałby tak dobrze zawiązanego halsztuka, a przynajmniej żaden szpieg austriacki. To jednak musi chodzić o Schillera.

- Przedstaw go więc Amadeyowi.

- On jest tutaj? Jak się czuje?

- Oczywiście fatalnie. Nie rozumiem, czemu nie zostawi tej kobiety. A oto twój znajomy, zaprowadź go do Amadeya. Panie Sorde!

Zaskoczony Itale rozejrzał się dookoła. Napotkał wzrokiem spojrzenie Luisy Paludeskar i przez chwilę ona też wydawała się zaskoczona, lecz jej twarz zaraz się zmieniła, wyrażając niechęć i znudzenie.

- Hrabia Helleskar spekuluje, że ma pan zacięcie literackie - rzekła przeciągle, lecz Helleskar jej przerwał:

- Spekulacje zostawiam bankierom, baronino, nigdy nie posuwam się dalej niż do fantazjowania. Mam brzydki zwyczaj decydowania, co powinni robić inni, bez konsultowania się z nimi i postanowiłem, że pan powinien coś wydawać.

- Niech się pan broni, panie Sorde.

- Czy to oskarżenie? - spytał naiwnie Itale.

Helleskar roześmiał się.

- Będziemy musieli zapytać Estenscara. Czy literatura to zbrodnia, błąd czy nieszczęśliwy przypadek?

- Estenscara? Amadeya Estenscara?

- Sam się pan oskarża, panie Sorde - rzekł Helleskar. - On tu dzisiaj jest, czy mogę pana przedstawić?

- On nie ma... to znaczy nie ma... ja nie...

- Proszę ze mną - powiedział hrabia i Itale poszedł za nim potulnie, ulegając jego niezachwianej pewności siebie. Kiedy jednak znaleźli się na środku pokoju, podjął desperacką próbę wyrażenia swoich wątpliwości.

- Panie hrabio - powiedział z przejęciem - nie mogę się narzucać panu Estenskarowi...

- Ceni go pan wyżej niż reszta z nas - odparł Helleskar ze swym ironicznym uśmiechem. - Zupełnie słusznie. Chodźmy. Na pewno będzie w mauzoleum, to znaczy w bibliotece. To odnowione katakumby. A, jest - i podprowadziwszy Itale do żylastego, rudego mężczyzny o bladej twarzy, czytającego coś na stojąco w kącie między regałami, przedstawił ich sobie.

- To twój współwygnaniec, Amadey - powiedział.

Estenskar zyskał rozgłos po opublikowaniu w wieku dziewiętnastu lat "Strumieni Kareshy". "Ody" i powieść ugruntowały jego sławę i w wieku dwudziestu czterech lat został najbardziej znanym pisarzem swego kraju, obrzucanym obelgami i równie zapalczywie chwalonym, zwiastunem burzy, jednym z tych ludzi, po których śmierci nic już nie jest takie samo.

- Miło mi - powiedział suchym głosem. Nastąpiła chwila ciszy. - Pochodzi pan z moich stron?

- Z Montayny.

- Ach, tak.

- Co czytasz, Amadey?

- Herdera. "Weh 'st mir!" Literatura to bagno pełne niemieckich poetów.

Estenskar wzruszył ramionami. Itale odebrał ten gest z podziwem i zapalał pragnieniem jak najszybszego przypomnienia sobie Herdera. Rozmowa wcale nie stawała się bardziej interesująca, bo choć Helleskar starał się ją kontynuować, to Estenskar próbował ją uciąć. Oczywiście nie

istniały powody, dla których geniusz miałby rozmawiać z nonszalanckim światowcem, jakim był hrabia Helleskar. Maniery geniusz miał nieprzyjemne, lecz będąc tak bardzo ponad resztą towarzystwa, mógł sobie na to pozwolić. Ci ludzie tylko plotkowali, Itale wysłuchał już chyba dziesięciu plotkarskich rozmów - właściwie Estenskar teraz też plotkował i najwyraźniej go to bawiło.

- Nawet rok spędzony w Paryżu nie ucywilizowałby tego osła - kończył swoją opowieść ze sztucznym, tenorowym śmiechem. - Nic mu nie pomoże.

Helleskar roześmiał się i powiedział:

- Cywilizacja marnuje się przy ludzkości.

Itale rozpaczliwie usiłował stłumić ziewanie. Podniósł oczy i napotkał zimne spojrzenie Estenskara.

- Słyszałeś o nowym czasopiśmie literackim Adanskara, Amadey? O tym, do którego mogą pisać tylko szlachetnie urodzeni?

Estenskar roześmiał się swym wysokim, głośnym śmiechem.

- I co jeszcze?

- Jego tytuł - to cały smaczek. Długo na ten temat ze mną rozmawiał. Pegaz, Aurora, dziewięć muz - nie może ich użyć, bo wywołują greckie, przyziemne skojarzenia. Próbował francuskiego: "Revue du haut monde". Aha, powiedziałem, to ustawi nowe "Revue des deux mondes" na właściwym miejscu. Nie, nie, tak nie może być, znów przyziemne skojarzenia. Wtem na moich oczach nawiedziło go boskie natchnienie i Adanskar powiedział: "Zatytułuję go «Dziennik szlachectwa i geniuszu»!"

- Mój Boże, ależ z niego dureń.

- I tak zrobi, sam o tym wiesz. Musisz coś dla niego napisać.

- Zrobię to, żeby stracił zezwolenie cenzora.

- Chyba to czasopismo nie będzie aż takie złe - powiedział Helleskar nieco innym tonem. Estenskar wzruszył ramionami i zamilkł. - Nadal nie masz zezwolenia na druk nowej książki? - zapytał Helleskar.

Estenskar znów wzruszył ramionami. Wstawił Herdera z powrotem na półkę, spojrzął na swoje paznokcie, odwrócił się, zakręcił na pięcie i wykrzyknął ostrym głosem:

- Staram się je uzyskać już od półtora miesiąca. Chcą, żebym wprowadził zmiany. Jednego z wierszy w ogóle nie można wydać. Dlaczego? A dlaczego nie? Chodzi w nim o słuchanie muzyki, co w tym, na Boga, politycznego, że to jest muzyka, od razu musi oznaczać Marsylianek? Och, nie, panie Estenskar, pan nie rozumie - ja nie rozumiem własnych dzieł, a oni je rozumieją - nie chodzi o temat wiersza, lecz o metrum. Metrum! Metrum! Na rany Chrystusa, co jest

radykalnego w tetrametrze jambicznym? Wiesz? Masz pojęcie, co on powiedział? To metrum narodowe - pospolite w piosenkach, popularne - niebezpieczne - no i moja oda, ta zła oda, wiesz, "Do młodzieży mego kraju", wiesz? - była, na Boga, w tetrametrze jambicznym i nie mogę ludziom o tym przypominać. Zatem tego wiersza nie można wydrukować, książka nie dostanie zezwolenia cenzora, dopóki on się w niej znajduje. A mój dobry przyjaciel w Biurze, mój dobry przyjaciel cenzor Goyne, który nie potrafi poprawnie napisać słowa "zalecam", Goyne zadaje sobie trud zalecania poprawek. Muszę tylko do każdego wersu dodać po jednej stopie, tylko kilka słów, pokazał mi, jak to się robi, naprawdę bardzo proste, powiedział. Zakazali tego, co napisałem, a teraz poprawiają to, co piszę!

Jego oczy w bladej twarzy były okrągłe, żółtawe, płonące. Itale pomyślał o szkolonych przez siebie młodych sokołach, o ich wściekłości i oporze, które załamywały się tylko pod wpływem wyczerpania, lecz nawet wtedy ptaki krzyczały swymi strasznymi, przenikliwymi głosami, pokonane, lecz nie poskromione.

- Wytrzymałeś sześć lat takiego traktowania - rzekł Helleskar. - Skąd weźmiesz odwagę, żeby przejść przez to wszystko jeszcze raz!

- Znikąd. Kiedy oddam tę książkę do drukarni, skończę z tym. Jadę do domu. Nie zamierzam walczyć o jej rozpowszechnienie. Ona nie będzie rozpowszechniana. Zostanę tu tak długo, żeby nie dopuścić do zmian w tekście, żeby nie pozwolić Goynemu na żadne poprawki. Właściwie nie wiem, dlaczego zawracam sobie jeszcze tym głowę. Czy to coś da?

- Bardzo dużo, panie Estenskar - wyjąkał Itale. - Ponieważ ta książka zostanie wydrukowana przez tajną drukarnię - widziałem pańskie książki jedynie w podziemnych wydaniach...

- Zwycięstwo bez korzyści - powiedział sucho poeta.

- Żaden człowiek, nawet geniusz, nie może wygrać takiej walki bez wsparcia. Gdyby istniała grupa, prawdziwa grupa coś publikująca, jakieś czasopismo, gotowa codziennie występować przeciwko Biuru Cenzury, walczyć o każde słowo, wywierając stałą, silną presję... I kiedy zbiorą się Stany, cenzura będzie jednym z punktów...

- Widzę, że rzeczywiście jest pan tu dopiero od dwóch godzin - powiedział Estenskar z powrotem odwracając się do regału. Mówiąc przeglądał grzbiety książek, jakby szukał jakiegoś tytułu. - Grupa?... Literaci z zasady obawiają się więzienia... Jeśli zaś chodzi o uzyskanie pomocy od polityków, to przypuszczam, że pan żartuje.

Itale był sparaliżowany. Helleskar powiedział ze swą zwykłą swobodą:

- A dlaczego, Amadey? Kiedy zbiorą się Stany, w mieście będzie trochę nowych ludzi.

- Masz dzisiaj atak optymizmu?

- Jestem optymistą. Kryję się z tym, żeby nie zostać pośmiewiskiem. Jakim się stało na przykład "Do młodzieży mego kraju".

- No dobrze. To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek napisałem. Pan Sorde prawdopodobnie się nie zgadza.

Być może było to zaproszenie do rozmowy, lecz Itale potraktował je jako przyganę, rozumiejąc jedynie, że jego entuzjazm zirytował Estenskara.

- Jak mogę się z panem sprzeczać? - powiedział prawie niedosłyszalnie.

Helleskar zmarszczył czoło.

- Ty to napisałeś, a więc pozwól nam przeczytać, Amadey. Daj nam choć taki drobny przywilej. Nie zaszkodzi on twoim przywilejom. Zdaje się, że przydałaby się nam zmiana muzy. Luisa jest dzisiaj w złym nastroju, a wtedy zawsze dobrze gra, może poprosimy o jakiegoś Mozarta?

Mimo czynienia sobie gorzkich wyrzutów Itale niejasno zdawał sobie sprawę, że Helleskar stanął w jego obronie, i w równie niejasnym przeświadczeniu, że ma wobec niego zobowiązania, poszedł za oboma rozmówcami do salonu, chociaż pragnął znaleźć się jak najdalej od Estenskara, zanim jeszcze bardziej zrazi do siebie swego bohatera. Luisa Paludeskar zgodziła się zagrać. Itale stanął w grupie osób otaczających pianino. Minęła już północ. Był wyczerpany. Nie mógł się skupić na słuchaniu tej krystalicznie czystej, promiennej muzyki, której dźwięki odbierał jak zwykły hałas. Obok niego rozmawiali Helleskar i baron Paludeskar. Itale nie słuchał i nie otworzyłby ust, nawet gdyby miał zostać za to potępiony na wieki. Dlaczego ja się tu znalazłem, myślał, co ja tutaj robię? Dlaczego wyjechałem z domu?

Kiedy Luisa Paludeskar zagrała utwór, o który ją poproszono, nadal siedziała przy pianinie, przysłuchując się rozmowom. Od czasu do czasu spoglądała na wysokiego i sztywnego, milczącego młodzieńca. Stał z podbródkiem wbitym w kołnierzyk - uosobienie prostackiego, prowincjonalnego, męskiego samozadowolenia. Miała ochotę go kopnąć.

- Kto to jest, baronino?

- Enrike znalazł toto w dyliżansie. Nie zamierzam go zatrzymywać dłużej.

Estenskar uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- Nie sprawiał raczej wrażenia uczestnictwa w tym wszystkim - powiedział. Znow był w agresywnym nastroju.

Luisa, która uwielbiała walkę, przyjęła wyzwanie i wykonała szybki manewr oskrzydający: uśmiechnęła się do niego i powiedziała:

- Chyba nie wyjeżdżasz naprawdę na wschód, Amadey? - Jeszcze się nie zdecydowałem.

- A cóż tu jest do decydowania? Czy w Polanie jest coś oprócz wschodniego wiatru i owiec? Czy owce będą cię słuchać? Wiem, że jesteśmy dla ciebie owcami, ale owcami uważnie słuchającymi, uwielbiającymi cię, pochodzącymi z twego własnego stada...

- To tylko owcza skóra.

- To ty jesteś wilkiem. Wilk z Polany. Nie uciekaj, Amadey, jeszcze nie teraz.

- Nie uciekam. Wracam do domu.

- "Do domu"! - Zagrała drwiące arpeggio. - Wiesz, my też mamy "dom" w górach, w Sovenie. Wiem wszystko na temat deszczu, wiatru, błota, owiec i odwiedzin sąsiadów. Opowiadają o polowaniach. Jak zastrzelili wilka. Jak zeszłej zimy złapali na bagnach trzech poetów...

- Wrócę na twój ślub.

- Doprawdy! A z kim, jeśli łaska?

- Z George'em, oczywiście.

- Ale ty jesteś niemądry. Nie mogę wyjść za starego kaptura. - Jeśli kapeć pasuje...

- Zawsze lekko przekręcasz sztylet przed wyciągnięciem go z rany. Nie, sędzę, że poślubię kogoś zupełnie obcego, kogoś znalezionego w dyliżansie.

- Dlaczego?

- Bo upłynęłoby kilka tygodni, zanim nauczyłby się, jak może mnie mocno zranić - zanim nauczyłby się, gdzie przebiegają moje nerwy. Chyba żeby był poetą. Ale nie możesz wyjechać z Krasnoy, Amadey. Goja bez ciebie zrobię? Bez codziennej dawki antyopium?

- Żałuję, że się w tobie nie zakochałem, Luiso.

- Cóż, nie doszło do tego.

Spojrzała na pełną cierpienia twarz poety i znowu się uśmiechnęła.

Kiedy Itale położył się o drugiej trzydziści do łóżka, nie mógł zasnąć. Sonata Mozarta, której nie słuchał, rozbrzmiewała mu w głowie nuta po nucie, łóżko z czerwonymi zasłonami kołysało się jak dyliżans, w uszach brzmiały mu rozliczne głosy, a przed oczyma falowało morze twarzy. Przewracał się niespokojnie z boku na bok. Głębokie, miękkie bicie dzwonu oznajmiało upływające kwadransy i godziny, trzecia, czwarta, płynęło nad ciemnymi dachami, ciemnymi ulicami, nie kończącymi się rzędami domów, w których spało dwieście tysięcy ludzi, a wśród nich czuwał on jeden, więzień.

ROZDZIAŁ 2

Obudził go późnym rankiem służący Robert. Mimo starań nie uniknął pomocy przy ubieraniu się. W ogromnym, zimnym domu odnalazł pokój śniadaniowy. Zastał tam już młodego barona, a wkrótce przyszła jego siostra. Dwaj młodzieńcy zachowywali się sztywno i byli sobą nawzajem skrępowani. Itale zauważył, że jest gorąco, Enrike, że jest diabelna mgła, i na tym rozmowa się urwała. Luisa włożyła prostą, brązową suknię i sprawiała wrażenie, że wraz z wieczorowym strojem pozostawiła aroganckie maniery. Zachowywała się przyjemnie i naturalnie, a po kilku minutach Itale rozmawiał z nią niemal swobodnie. Była naprawdę piękna, piękniejsza, niż sądził zeszłego wieczoru, piękniejsza od wszystkich kobiet, jakie kiedykolwiek znał. W trakcie rozmowy zorientował się, że jest młodsza od niego, że ma najwyżej dwadzieścia lat, co w połączeniu z jej urodą, bogactwem i elokwencją przytłoczyło go, sprawiając, że poczuł się jak beznadziejny gbur. Na dodatek jej brat rzucał mu przez stół niechętnie spojrzenia. Zakończenie posiłku przyjął z ulgą.

Frenin mieszkał w mieście od miesiąca i przysłał Itale swój adres. On natychmiast zapytał Enrike'a, gdzie jest ta ulica.

- Co? Nigdy o niej nie słyszałem - powiedział przeciągle baron. - Odchodzisz? Nie możesz zostać? Nie? No cóż. Dobrze, bardzo dobrze.

Kiedy Itale uciekł z pokoju, baron podążył za siostrą do pokoju muzycznego.

- Wiesz, Lulu? Idzie na jakąś podłą ulicę w Dzielnicy Rzecznej, na ulicę czyichś łez. Co, u diabła, czy po to przyjechał aż ze swoich gór? Wczoraj myślałem, że jest dżentelmenem.

- Ależ jest, nie bądź niemądry, Harry.

- Ale w takim miejscu nikt nie mieszka!

- Studenci...

- Studenci! Właśnie!

Wiedziała, co gryzie brata. Z nudów i niejasnego poczucia wstydu za swoją bezużyteczność Enrike rozpoczął starania o niewielką dyplomatyczną posadę. Uznał, że jego nowy znajomy jest politycznie podejrzany, a zatem niewart podtrzymywania znajomości, lecz wstydził się swych motywów i wolał udawać snoba. Luisa wszystko to widziała bardzo wyraźnie. Nudziła się o wiele bardziej od brata, miała wyraźniej sprecyzowane ambicje i pozowała na świadomą przeciwniczkę hipokryzji we wszystkich jej przejawach. Rzekła:

- Boisz się, że nieświadomie gościliśmy Robespierre'a. Biedny Harry!

- Ale chyba rozumiesz, że nie mogę sobie pozwolić na wiązanie się z patriotami. Zrobiłem błąd, przyznaję. Proszę tylko, żebyś... żebyś go nie przyjęła i z ciekawości nie zrobiła sobie z niego swoim zwyczajem zabawki...

- Zrobić z niego zabawkę! To jakbyś chciała zrobić zabawkę z konia pociągowego.

- Tak, no właśnie, on jest niezupełnie w naszym typie. W dylizansie to nie przeszkadzało. Tutaj nie ma dla niego miejsca. Dobrze, po prostu już nie będziemy się z nim widywać.

- Ale ja zaprosiłam go dzisiaj na kolację.

Enrike westchnął ciężko, raz jeszcze pokonany.

- Nie ma gdzie mieszkać, a jeśli zostanie tutaj, oczywiście musimy go karmić, lecz jestem pewna, że nikomu to nie zaszkodzi. Przychodzi tylko Raskayneskar.

- O, mój Boże! - zawołał Enrike. - Nie możesz... nie możesz zapraszać go razem z Raskayneskarem! Luiso! - Wiedział jednak, że zrobi to, co będzie chciała, tak jak zawsze robiła, bez względu na jego protesty.

Tymczasem Itale wyruszył w nieznane. Poranek był ciepły. Blask słoneczny przebijający się przez mgły leżące w dolinie rzeki pozłacał frontony domów, dachy i podwójną iglicę katedry św. Teodory, leżącej tylko o kilka ulic dalej. Skierował się do katedry, lecz dotarcie do niej okazało się kłopotliwe. Chociaż nie tracił z oczu iglic, zabłądził w przecinających się szerokich, podobnych do siebie alejach Starej Dzielnicy, źle skręcił w ulicę Sorden i poszedł nią między siedemnastowiecznymi i szesnastowiecznymi pałacami, wznoszącymi się naprzeciwko siebie eleganckimi i wyniosłymi fasadami. Z tej pozbawionej słońca, milczącej wspaniałości wychynął na blask i zamęt panujący na Wielkim Rynku. Zgięci w pół mężczyźni ciągnący wózki krzyczeli na niego, żeby schodził im z drogi, potężne konie zaprzężone do ciężkich wozów przecinały mu drogę, przekupki sprzedające pory i kapustę nawoływały, żeby kupił pory i kapustę, młode kobiety niosące worki z lśniącymi świeżością warzywami trącały go workami, starszki rzucały się obok niego na okazjnie sprzedawane towary, sprzedawcy ryb wymachiwali mu przed nosem węgorzami, i żeby uniknąć z nimi zderzenia Itale wpadał na tusze wołowe, wiszące wokół straganów rzeźniczych, otoczonych rozszalałymi rojami much. Cotygodniowy targ w Portacheyce nie zająłby nawet jednego rogu tego ogromnego placu ciągnącego się całymi kwartałami. Wczesny upał sierpniowego dnia unosił się nad wyłożonymi na straganach towarami, tragarzami, wozami, kłótniami, targowaniem się, sprzedawaniem, kupowaniem, smrodem, blaskiem, nawoływaniami, a nad tym wszystkim wznosiły się na tle ogromnego, spokojnego porannego nieba ciemnobrązowe iglice katedry.

W końcu Itale bezpiecznie do niej dotarł. Na ławkach po jej zachodniej stronie w cieniu platanów pokrytych grubą warstwą letniego kurzu siedziało kilka starszych osób. Itale zatrzymał

się na środku placu, przepuszczając obok siebie rozpędzone dorożki i śpieszących gdzieś pieszych, i wpatrzył się z otwartymi ustami w katedrę Krasnoy, w jej ciężkie, pełne przepychu wieże, strzelające w niebo iglice, potrójny portal z procesją świętych i królów, w całą jej wielką bryłę radosną i spokojną niczym statek pod żaglami. Stał tak i patrzył, a starcy siedzący na ławkach patrzyli na niego - oni katedrę widzieli już wcześniej. W końcu Itale wszedł do kościoła północnym portalem, pod św. Rochem, patronem wspomagającym miasta Krasnoy, uśmiechającym się w cieniu ostrołuku swym skamieniałym, łaskawym, czterystuletnim uśmiechem.

Gdy tylko wszedł do wnętrza katedry, poczuł się jak w domu. To był dom. Jego rodzina, jego naród mieszkał tu przez osiem czy dziewięć stuleci. Katedra, ciemna i pusta, przypominała kościoły Montayny, a jej wysokie sklepienia beczkowe zostawiały mnóstwo miejsca dla Boga. Była prosta i funkcjonalna niczym fort. Właśnie trwała cicha msza. Na nagich płytach układających się w jakiś wzór klęczeli tu i ówdzie ludzie, zagubieni w przewiewnej ciemności nawy. Pozbawieni twarzy, a jednocześnie podobni do siebie. Itale dołączył do nich. Ksiądz modlił się jednostajnym tonem, zupełnie jak stary ksiądz od św. Andrzeja w Malafrenie: "Credo in unum Deum", małe staruszki w czarnych szalach szeptały: "Omnipotentem", a wtórowały im, niczym grzmot wśród gór, organy, na których organista ćwiczył przed sumą na uroczystość św. Rocha.

Itale nie spędził w katedrze dużo czasu. Podbudowany, lecz niespokojny, wyszedł na upał i blask w chwili, gdy wielki dzwon wydzwaniał dziesiątą, wywołując wibracje w kamieniu i we krwi. Oto jest miasto, ruch uliczny, twarze obcych ludzi, kamienne ulice. Itale włożył kapelusz i ruszył w stronę Dzielnicy Rzecznej, nie mając najmniejszego pojęcia, dokąd idzie.

W 1825 roku tylko nieliczne miasta miały jakikolwiek system kanalizacji, a poza nie zawsze wybrukowanymi rynsztokami biegnącymi środkiem wąskich uliczek, wijących się w dół ku rzece, ta najstarsza dzielnica Krasnoy niczego innego nie posiadała. Smród Dzielnicy Rzecznej był tak straszliwy, że robił nawet większe wrażenie niż mroczne, strome uliczki biegnące między domami, nachylającymi ku sobie górne piętra, jakby konspirowały przeciwko niebu, większe niż ogłuszający gwar ciągle tłoczących się ludzi. Z tych osobliwych zaułków strzelały w niebo kruche wieże starych kościołów. Przedarłszy się przez rozkrzyczane uliczne targowisko, wchodziło się nagle na cichy plac z fontanną tryskającą chłodną wodą i tyfusem, podnosiło się wzrok na iglice katedry z jednej strony, a z drugiej na zwieńczone ostrołukami okna usytuowanego na wzgórzu uniwersytetu. Inny świat. Itale zatrzymał się na takim właśnie placyku. Ogarnęło go przerażenie. Zabłądził, zgubił się w plątaninie uliczek, natłoku domów, wilgotnych, sklepionych przejść prowadzących na nędzne podwórka, w głosach, zapachach, rojach bezimiennych dzieci, kobiet i mężczyzn. Nie znając nikogo z nich on też był bezimienny, zagubiony. Stał ściskając prawą dłońią lewy nadgarstek, walcząc z paniką. Usiadł na kamiennym siedzisku przy fontannie i wpatrzył się

uporczywie w płyty pod stopami. Na jednej z nich leżały rozmazane ludzkie odchody. Itale patrzył na nie, na kamienne płyty, na kwadratowe, niebieskawe kocie łby pokryte brudem, na nitkę wody, lśniąca między dwoma kamieniami. To wszystko jest tutaj, pomyślał, ja jestem tutaj, nie mogłem się zgubić. W końcu podniósł wzrok, rozejrzał się powoli dookoła i stwierdził, że dzieli ławkę z kimś innym.

Mężczyzna miał na gołych stopach zniszczone buty i mimo gorąca owinał się starannie jakimś bezkształtnym i bezbarwnym płaszczem czy peleryną. Był stary, jego twarz przypominała trupa czaszkę. Strasznie błoniaste oczodoły utkwili wprost w Itale. Chłopak szybko się zorientował, że starzec jest niewidomy.

- Witaj, dziadku - odezwał się ochryłym głosem. Starzec coś żuł i teraz wydawało się, że patrzył w przestrzeń.

Nagle przemówił, lecz Itale niewiele zrozumiał ze słów wypowiedzianych astmatycznym głosem i z silnym akcentem. Wydawało mu się, że usłyszał: "daleko od domu", dlatego skinął głową.

- To prawda - powiedział. - Czy znasz, dziadku, ulicę zwaną Łzami Magdaleny?

Starzec nadal patrzył w przestrzeń i coś mrucał.

- Eya, eya, eya, eya... - Wstał owijając się szczelniej zniszczonym płaszczem. - Chodź!

- Czy to gdzieś blisko?

- Mallenastrada, jak mam ci powiedzieć, chodź!

Ciężko oddychając i mrużąc coś pod nosem ślepiec ruszył dość szybko uliczką, a Itale podążył za nim. Na mijanym podwórku krzyczały bawiąc się lub kłócąc jakieś dzieci. Starzec zaklął na nie i machnął ręką:

- Miałem laskę, miałem laskę... Eya, eya, eya... - mamrotał.

Najwyraźniej coś widział, bo szedł bez wahania i trzymał się bliżej Itale, niż chłopak sobie życzył, ponieważ śmierdział. Idąc mówił i Itale zrozumiał z tego prawie połowę: kiedyś zajmował się krawiectwem, ale oczy odmówiły mu posłuszeństwa i został wyrzucony z pracowni, był jakiś szwagier, który go skrzywdził, mówił coś o wzrastających cenach i czynszach za pracownię. Chrapliwy głos mu się załamywał, wymachiwał sztywnymi rękoma w powietrzu.

- Parszywi Żydzi! Parszywi Żydzi! - krzyczał.

Wyczuł lub zobaczył, że Itale odsuwa się od niego, i żałośnie przyspieszył kroku.

- Jesteśmy prawie na miejscu, paniczu, prawie na miejscu. Ten wielki kościół to Sankestefan, bazylika, teraz tędy, paniczu.

Znajdowali się u stóp Wzgórza Uniwersyteckiego, na które uliczki wspinały się pod szalonymi kątami, zmieniając się czasem w schody.

- Myślałeś, że jestem ślepy, co, myślałeś, że jestem ślepy! - Utykający przewodnik zatrzymał się. - To tu, Mallenastrada, to tu.

Nazwa ulicy, jaką przysłał mu Frenin, brzmiała Łzy św. Magdaleny. Itale nie widział na rogu żadnej tabliczki, ale chciał już się uwolnić od starca. Włożył mu do sztywnej dłoni ćwierć krunera. Próbując schować monetę do kieszeni czy innego schowka w postrzępionym płaszczu, starzec ją upuścił. Itale podniósł pieniążek, bo ślepiec macał wokoło ręką, nie mogąc schylić się do samego chodnika, a rękę miał zbyt powykręcaną reumatyzmem, żeby móc go podnieść.

Numer 9, naprzeciwko lombardu, napisał Frenin. Nie było żadnych numerów, za to dwa lombardy. Itale zaczął od domu znajdującego się naprzeciw pierwszego z nich. W ciemnym hallu, mającym własny gęsty, ostry zapach, natknął się na grubą kobietę. Wysłała go na górę po schodach, na których roiło się od wychudłych, sparszywiałych i mniej lub więcej białych kotów. Zastukał do drzwi na pierwszym podeście. Otworzył mu Frenin.

Kwadratowa, twarda twarz, i znajomy głos wypowiadający jego imię sprawił mu ogromną ulgę i przyjemność. Objęli się jak bracia.

- Dobrze cię widzieć, dobrze cię widzieć, Givanie.

- Wejdz. - Frenin zaczął powściągać swoje zadowolenie. - Nie wpuść tych przeklętych kotów. Dlaczego nie napisałeś, że przyjeżdżasz?

- Przyjechałem wczoraj wieczorem tym samym dylizanssem, który przywiózłby list.

- Gdzie się zatrzymałeś?

- U współpasażera z dylizansu. Nazywa się Paludeskar.

- Przy ulicy Roches? U barona brukwi?

- Nie wiedziałem...

- No, rzeczywiście znalazłeś się na samym szczycie.

- Właściwie nie wiem, kim oni są. W dylizansie...

- Są w każdym numerze plotkarskiej gazetki Brelavaya.

- W czym? - Zachowanie Frenina trochę złościło Itale, bo wydawało się, że jak wszyscy miejscowi, wie o wszystkim.

- Pracuje dla tygodnika zajmującego się plotkami z wyższych sfer, który nazywa "Rynsztokiem Krasnoy". Pieniądze, kochanki, naszemu Tomasowi nieźle się powodzi.

Głos Frenina brzmiał nieprzyjemnie.

- Duże masz mieszkanie - powiedział Itale.

Pokój był niski, lecz długi, a prawie zupełny brak mebli sprawiał, że wyglądał na bardzo duży.

- Cztery takie pokoje. Prawie za darmo, nawet jak na Rzeczną. Jest za duże, wyprowadzam się pod koniec miesiąca. Usiądź lepiej na tym krześle. Od tamtego odpada oparcie.

- Co robisz?

- Prace dorywcze dla katolickiego miesięcznika i korektę dla wydawnictwa Rochoy. Jakoś sobie radzę. A ty jakie masz plany?

- Najpierw znaleźć jakąś pracę.

- Pracę? Po co?

Itale wydało się, może niesłusznie, że pytanie Frenina jest obłudne.

- A po co zwykle się pracuje?

- To zależy od tego, kim się jest.

- Mam dwadzieścia dwa krunery. Oto, kim jestem.

Sam poczuł się obłudnie. Nie chciał jednak mówić o braku pieniędzy. Wstał i przeszedł się po obskurnym pokoju, wyglądając przez okna.

- Przydałoby się umyć te okna.

- Żadnej pomocy z domu, co?

- Żadnej.

Frenin, syn zamożnego kupca z Solarii, był podobnie jak Itale przyzwyczajony do noszenia w kieszeni pieniędzy, ale był także przyzwyczajony o nich rozmawiać, czy to o ich posiadaniu, czy to o ich braku, co teraz dało mu przewagę nad przyjacielem, jakiej zawsze pragnął, lecz którą rzadko osiągał.

- Rozumiem, że ojciec nie pochwała twojego przyjazdu do Krasnoy.

- Masz rację.

- Czy jest austrianizmem?

- Ani trochę.

- Rodzinna kłótnia, co?

- To nieistotne, Givan.

- Dwadzieścia dwa krunery, co? Starczy na jakieś dwa tygodnie. No dobra, co potrafisz robić?

- To, co wszyscy - skąd mam wiedzieć? - powiedział Itale. Jego gniew zadowolił Frenina, który porzucił chłodną wyniosłość i rzekł z uśmiechem:

- Dobrze już, dobrze. Szukasz lokum, czy zamieszkasz u królowej brukwi?

- Nie wiem... została tam moja waliza... nie chcę tam zostać.

- Dlaczego? To cię nic nie kosztuje.

- Nie mogę... - Itale zamachał rękoma. - Lokaje przy śniadaniu.

- A jaka jest przy śniadaniu baronówna?

- Nie wiem. Bardzo uprzejma. - Znów machnął rękoma. - Nie powinienem tam być.

Frenin znów wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- No to przyjdź tutaj, jeśli chcesz. Nie jest to ulica Roches ani posiadłość nad jeziorem Malafrena, ale kosztuje tylko piętnaście krunerów za kwartał. Możemy jakiś czas mieszkać razem.

- To bardzo uprzejme z twojej strony, Givanie - powiedział Itale ciepło i z wdzięcznością.

Jego nieczułość na kpiny Frenina irytowała tego ostatniego, lecz jednocześnie go rozbijała. Nigdy nie udało mu się wybudować między Itale i sobą bariery społecznej, o której istnieniu przekonywała go jego zazdrość. Zarazem jednak istniała między nimi pewna bariera mimo wszelkich wysiłków Frenina, zmierzających do jej przełamania: bariera niedbałej, niezłomnej osobistej powściągliwości Itale. Nie chciał dopuścić, by Frenin upokorzył któregokolwiek z nich, po jego przeblaskach gniewu nie następowały żadne urazy czy kary - proponował prostą, stałą przyjaźń. Frenin chciał od niego czegoś więcej, choć sam nie wiedział, czego. Na co się zda przyjaźń? Chciał dotrzeć do tego bezbronnego człowieka, zrozumieć go i zmienić, lecz nie potrafił tego uczynić. Wymyślił zatem plan przyjazdu do Krasnoy być może ze względu na Itale, aby nie utracić z nim kontaktu.

- Załatwimy to z Kociarką. Była na dole, prawda? Nazywa siebie panią Rosą. Posłuchaj, Itale. Jestem tu od dwóch miesięcy i nic w tym czasie się nie wydarzyło - nic się nie dzieje. Nie ma tu żadnych radykalnych ruchów.

Itale usiadł przy stole, który wraz z trzema rozpadającymi się krzesłami stanowił umeblowanie pokoju. - Muszą być - powiedział. - Ja nie natknąłem się na ani jeden.

- Ale Cafe Illyrica...

- Staruszkowie i pięciorzędni poeci. I austriaccy agenci.

- Są tajne stowarzyszenia...

- Były - teraz już ich nie ma. Od lat. Przyjaciele Konstytucji, tak, oni nadal istnieją, sami emerytowani wojskowi na wschodzie, w Kesenie i Sovenie, ale nie tutaj. Tu nie ma nic. Chyba że policzysz Amiktyę.

- A więc wszystko zależy od nas! Trzeba założyć jakieś czasopismo - to, o czym rozmawialiśmy w Solarij.

- I po co? Miesięcznik literacki...

- Kto wygrał nasz zakład o siłę słowa pisanego?

- A na kogo nałożono areszt domowy?

- Posłuchaj no, rok 1789 nie wybuchnął niespodziewanie z piersi ludu, tylko pisarze...

- No dobrze, tylko że my tu nie mamy żadnego Rousseau.

- A skąd wiemy? Poza tym możemy wykorzystać Rousseau i Desmoulins'a, a także wszystkie francuskie, angielskie i amerykańskie dzieła z ostatnich stu lat. Z jakich innych przyczyn rząd tak bardzo obawia się druku? Posłuchaj, znalazłem coś, co ostatnio powiedział Gentz, i wziąłem to sobie za dewizę, za natchnienie: Jako środek zapobiegawczy przeciwko niewłaściwemu wykorzystywaniu prasy przez wiele lat nie powinno się absolutnie nic drukować. Stosując tę maksymę powinniśmy wkrótce powrócić do Boga i Prawdy".

- Bóg i prawda - powtórzył Frenin z niesmakiem. Przez chwilę obaj milczeli. Opinia naczelnika austriackiej policji cesarskiej niewątpliwie wywierała duże wrażenie.

- No dobrze - odezwał się Frenin. - Założmy, że czasopismo będzie najlepsze. Po pierwsze, w jaki sposób je sfinansujemy, a po drugie, kto odważy się wydrukować?

- Tego właśnie będziemy musieli się dowiedzieć.

- Dobrze. Spotkajmy się z pewnymi osobami...

Itale wrócił do domu Paludeskarów o szóstej, spędziwszy popołudnie z Freninem w Cafe Illyrica, która mimo krytyki Frenina nadal była - i będzie przez kolejne dwadzieścia pięć lat - miejscem spotkań radykałów wszelkiego autoramentu. Spotkali tam swego znajomego, Veyeskara z Solarij, ciemnowłosego młodzieńca nazwiskiem Karantay, który pisał opowiadania, dwóch greckich uchodźców, starego poetę-pijaka tokującego o swojej kochance Wolności oraz grupkę studentów. Rozmawiano o Grecji. Idąc ulicą Roches Itale mówił sobie, że jeżeli nic się nie da zrobić tutaj, to pojedzie do Grecji jak lord Byron, na równiny Maratonu, gdzie ludzie nadal oddają życie za wolność. Czuł się jak pijany - Grecją, mocną kawą oraz radykalnymi ideami i nie otrzeźwiał nawet po wejściu do ogromnego, bogatego, zimnego domu Paludeskarów. Szedł wielkimi, pewnymi krokami po marmurowych schodach, niczym właściciel owej posiadłości, a usłyszawszy dobiegającą z pokoju muzycznego na piętrze melodię zatrzymał się na chwilę, by jej posłuchać, jakby była przeznaczona dla niego.

- Panie Sorde - rzekła siedząca przy pianinie Luisa Paludeskar.

Wykonany z drzewa różanego i złota instrument był równie wspaniały jak ten z parteru. Wieczorny blask słońca wpadający przez wysokie okna kładł się złotem na jej włosach, a spod długich palców Luisy dobywały się łagodne tony muzyki.

- Baronino - rzekł ze swobodną stanowczością - muszę odejść. Chciałbym pani podziękować za jej uprzejmość i wyrazić nadzieję, że będę miał zaszczyt się odwdziżyć. - Oficjalne prowincjonalne zwroty z łatwością przychodziły mu do głowy i Itale nawet nie pomyślał, jaką gościnę mógłby zaoferować w zakopconym mieszkaniu w Dzielnicy Rzecznej. Mówił, jakby stał nad brzegiem Malafreny.

- Ależ chyba pan nie odchodzi, panie Sorde? Myślałam, że nasz dom uczyni pan swoim, przynajmniej przez kilka dni!

Wydawała się skonsternowana i rozczarowana, a Itale odczuł skrępowanie.

- Jest pani bardzo uprzejma, baronino. W mieście mam starego przyjaciela, który chce mnie przyjąć do siebie...

- Ależ nie może pan opuszczać nowych przyjaciół dla starych, a Enrike będzie bardzo zawiedziony.

- Jest pani bardzo uprzejma...

- Znamy mnóstwo ludzi i sądziłam, że możemy się panu na coś przydać.

- Jest pani... - Już dwa razy powiedział, że jest bardzo uprzejma. - To bardzo miłe z pani strony, baronino, ale... - nie wiedział, co powiedzieć, ajego postanowienie rozwiało się jak dym.

- Zje pan z nami przynajmniej dzisiaj kolację? Obstawiam chociaż przy tym!

- Oczywiście, z wielką przyjemnością. - A niech tę kobietę lichy!

Kiedy schodził do hallu, dom rozbrzmiał bardzo zręcznie granymi, szybkimi harmoniami mozartowskiego presto.

Po tym, jak napomknęła o mnóstwie ludzi, Itale spodziewał się kolejnego tłumnego przyjęcia i był zaskoczony, kiedy zszedłszy na kolację (w czarnym surducie porządnie wyczyszczonym przez Roberta) zastał partie carree. był tylko on, Luisa i Enrike Paludeskar oraz niejaki hrabia Raskayneskar. Baronowa Paludeskar, dama dworu wielkiej księżnej, jadła w pałacu. Ta kolacja była prawdopodobnie w stylu Luisy, przyjacielska i elegancka. Wszystkie cztery wysokie okna stały otworem na sierpniowy wieczór. Czarne niebo obsiadły roje świecących gwiazd, przelotny wietrzyk szeleścił w ogrodowych krzewach, a szmer fontanny, szum liści, zapach wilgotnej ziemi i róż, niepokój i delikatna ciemność letniej nocy mieszały się z rozmową prowadzoną przy stole, oświetlonym blaskiem świec. Siedząca u jego szczytu Luisa była piękna, może nawet piękniejsza niż poprzedniego wieczoru czy rana. Jej uroda przejmowała Itale lękiem, czuł, że znajduje się w centrum niebezpiecznego żywiołu jak pożar lasu czy wodny wir. Przyszło mu na myśl, że kiedy poeci nazywają kobietę boginią, to czasem myślą dokładnie to, co mówią. Enrike miał zatroskany, zgryźliwy wyraz twarzy i niewiele mówił, a Luisa i Raskayneskar nie zwracali na niego uwagi.

Raskayna była jedną z wielkich posiadłości w Val Altesma, położoną o trzydzieści mil na południowy zachód od Malafreny. Itale dobrze znał tę nazwę, nic natomiast nie wiedział o właścicielu. Teraz zorientował się, że jeśli Raskayneskar kiedykolwiek odwiedzał swój majątek, to jedynie jako gość. Był w każdym calu wytwornym mieszczaninem. Jak na mężczyznę około

czterdziestki, znakomicie się trzymał, miał rozciągnięte wargi wątrobianego koloru, wysokie czoło i piękne, ciemne oczy.

- A więc tak! - powiedział odchylając się nieco do tyłu, kiedy podano słodkie wina. - Jest dość pewne, że Stany się zbiorą.

- Gadanie - mruknął Enrike.

- Wcale nie - chyba że mówisz o samych posiedzeniach, w którym to przypadku się z tobą zgadzam! Ale zgromadzenie zostanie zwołane. Sądzę, że Cornelius ogłosi je w przyszłym miesiącu, a owo wielkie wydarzenie będzie miało miejsce na jesieni dwudziestego siódmego. Cha, cha, cha! Czy wiecie, co powiedział cesarz o tych parlamentach i zgromadzeniach? Właśnie tak: "Matm swoje stany, ale jeśli posuną się za daleko, strzelę palcami i roześlę je do domów..."

- Tak jak Ludwik XI - powiedział Itale do swojego talerza,

- Och, niech pan daruje - rzekł dobrotliwie hrabia. - Stany Generalne Francji to jedno, a nasze małe Zgromadzenie to coś zupełnie innego. Zwołanie go należy rozumieć jako akt kurtuazji ze strony naszego cesarza.

- Jeśli Zgromadzenie będzie dla niego niegrzeczne, czy strzeli palcami? - spytała Luisa.

- Tak, oczywiście, znaczy zrobi to za niego Cornelius, on nie musi zawracać sobie głowy.

- Czy Cornelius ma aż tyle władzy? - zapytał Itale.

- Sądzę, że tak, jako pierwszy minister głowy państwa, wielkiej księżnej. Możliwe, że będzie musiała zrobić to ona.

- Zgodnie ze statutem z 1412 roku Zgromadzenie odpowiada jedynie przed królem. Nic nie poddaje go rozkazom księżnej czyjej ministra.

- Nic oprócz armii austriackiej - rzekł łagodnie Raskayneskar.

- Gdyby wielka księżna wezwała armię austriacką do rozwiązania Zgromadzenia Narodowego, oznaczałoby to inwazję. Jesteśmy sprzymierzeńcami Cesarstwa i stanowimy jego protektorat, a nie prowincję.

- Tylko słowa zapisane na papierze, panie Sorde. Armia austriacka już tu jest i nadzoruje naszą policję prowincjonalną i żadne Zgromadzenie nie spróbuje poprowadzić nas do buntu czy też, jeśli pan woli, do wojny przeciwko najpotężniejszemu państwu w Europie. Już sam taki pomysł jest śmieszny.

- To zależy od poczucia humoru - zauważyła Luisa.

- Bardzo słusznie - rzekł Raskayneskar, który nigdy nie zaprzeczał bezpośrednio, lecz obchodził temat dookoła. - Kiedy równowaga pokoju jest tak delikatna, kiedy istnieje możliwość interwencji jednego z wielkich państw - na przykład Rosji - jest to nie tyle śmieszne, ile przerażające. Jeszcze raz wojna. Można jedynie żywić szacunek do Metternicha dlatego, że przez

ostatnie dziesięć lat oddalił taką możliwość i uczynił z niej raczej fikcję niż groźbę. To niezwykle człowiek! Dźwiga na barkach ciężar całej Europy.

- Gdyby go złożył, mogłoby się okazać, że Europa potrafi chodzić bez niczyjej pomocy - powiedział Itale z lekkim drżeniem w głosie, lecz wyraźnie.

Enrike, który miał niezbyt wyrafinowane poczucie humoru, parsknął śmiechem, a potem zamknął oczy i poczerwieniał.

- I wdepnąć prosto w wojnę - rzekł Raskayneskar.

- Wolałbym wdepnąć w wojnę niż zostać zaniesionym do niewolnictwa.

- Mój drogi młodzieńcze - powiedział Raskayneskar, który nie miał chęci kłócić się przy stole Luisy Paludeskar - nie sądzę, aby wiele pan wiedział o wojnie, a obawiam się, że niewolnictwo stało się modnym słowem, przez co straciło swoje znaczenie. Przypuszczam, że czarny Afrykanin na plantacji w Karolinie jest niewolnikiem, biedak, ale jego położenie ma niewiele wspólnego z pańskim czy moim.

- Nie wiem - odparł niewinnie Itale - amerykański niewolnik nie może głosować, nie ma reprezentantów w rządzie i musi zdobyć zezwolenie swego właściciela na naukę czytania lub pisania oraz publikowania czy publicznego przemawiania, prawda? Jeśli zrobi którąś z tych rzeczy bez zezwolenia, może bez sądu zostać uwięziony na całe życie. Nie jestem pewien, jak dalece nasze położenie różni się pod tymi względami. Oczywiście nam wolno nosić surduty.

Hrabia Raskayneskar dodał po prawie niezauważalnej przerwie:

- I czytać Jeana Jacques'a Rousseau.

- Jeśli będziemy mieć szczęście znaleźć podziemne wydanie.

Hrabia roześmiał się pobłaźliwie śmiechem męża stanu, kwitując w ten sposób wywody rozentuzjasmowanego młodzieńca. Enrike znów zamknął oczy. Luisa ze swawolnym uśmiechem obserwowała Itale. Następnie zwróciła się do Raskayneskara jak dobra gospodyni, łagodząca niezręczne sytuacje:

- Co mi przypomina, panie hrabio, że polegam na panu, jeśli chodzi o paryskie czasopisma, niech mnie pan nie zawiedzie! - na co Raskayneskar odpowiedział z właściwą sobie galanterią, choć z nieco wymuszonym uśmiechem. W przeciwieństwie do oceny Itale bardzo mu zależało na opinii Luisy, a wiedział, że przegrał bitwę, do której nie uznał za stosowne nawet przystąpić.

Nazajutrz powiedział innemu biurokracie w Ministerstwie Finansów, że zwołanie Stanów nie jest całkowicie pustym gestem, ponieważ w niektórych modnych salonach otwarcie popiera się trendy patriotyczne. - Głupie fanaberie - rzekł kolega, lecz Raskayneskar zacisnął znacząco swe długie wargi i mruknął: - Duma narodowa... - jakby była to nazwa konia, na którego chciał postawić.

Itale opuścił Paludeskarów najwcześniej, jak tylko pozwalała mu grzeczność, i podążył na wąską uliczkę, przy której miał mieszkać, mijając po drodze katedrę, Wzgórze Uniwersyteckie, bazylikę św. Stephena, przedzierając się przez przerażające tłumy i jeszcze bardziej przerażającą pustkę Dzielnicy Rzecznej. Położył się na sienniku, który przygotowali z Freninem. Patrzył na smugę światła pod drzwiami, bo Frenin nie spał i pisał coś we frontowym pokoju. Ciepłą noc, pełną tajemniczych dźwięków, przesiąknęła rojna atmosfera miasta. Nie było ciszy. Itale pomyślał o ogrodzie Paludeskarów, o różach w ciemności, o fontannie, złocistym blasku na szyi Luisy, które to obrazy zmieniły się w widoki jeszcze bardziej dręczące, żywe i trudne do zniesienia: dachy Portacheyki, schludne podwórko leżącego w cieniu góry domu Emanuela, jezioro, okno jego pokoju wychodzące na wodę. Nigdy jeszcze nie czuł tak rozdzierającej tęsknoty za domem. Wśród tych przeblysków utraconych bliskich widział twarze, wszystkie twarze, jakie oglądał na ulicach, spoconych tragarzy, rozmodlonych staruszek, nie kończące się szeregi twarzy miasta, twarze biedaków, a także twarz siwego mężczyzny z czerwonym nosem wołającego: "Moja kochanka, Wolność!" i kościste, spuchnięte, boscie nogi ślepego starca, który go tu przyprowadził.

ROZDZIAŁ 3

Dzięki pomocy psa człowiek mógł prowadzić głowy...

- Łowy.
- Łowy na zwierzęta niezbędne do jego estencji...
- Egzystencji.
- Egzystencji oraz zabijać największych konkretów i wrogów swojej rasy.
- Konkurentów. Bardzo dobrze. Vasten, czytaj dalej.

Itale stał z rękoma opartymi o pulpit i patrzył, jak trzy egzemplarze Buffona przechodzą z ręki do ręki. Pochylało się nad nimi piętnaście skupionych twarzy. Najmłodszy uczeń miał dwanaście lat, a najstarszy, jego asystent imieniem Isaber, szesnaście. Isaber patrzył na każdego czytającego chłopca groźnym, ale zarazem błagalnym wzrokiem. Dzwon pobliskiego kościoła wybił dwunastą w południe, mały Parroy skończył dukać i Itale podziękował uczniom. Kiedy inni chłopcy wychodzili, do Itale podszedł Isaber.

- Nie rób takiej zmartwionej miny, Agostinie. Idzie im bardzo dobrze.
- Chodzi o Vastena, sir, on nie przykłada się do nauki...

Itale patrzył na chłopca z wyrozumiałą cierpliwością. Agostin miał długą, szczupłą szyję, w której jabłko Adama podskakiwało wyraźnie, kiedy mówił, duże, czerwone ręce i jasne oczy. Isaber nigdy się nie śmiał, a uśmiechał tylko wtedy, kiedy sądził, że Itale tego sobie życzy.

Do klasy zajrzał inny nauczyciel.

- Zaczekaj, Brunoy, już idę - powiedział Itale i też wyszedł z klasy. - Biedny Isaber, ależ ten chłopak ma sumienie! Chodźmy, jestem głodny. O Boże, jakże ja zaczynam nienawidzić szlachetnego Buffona w tłumaczeniu szlachetnego Prudevena i w wykonaniu ambitnej młodzieży...

- Wyszli z ponurych pomieszczeń zrujnowanego magazynu zbożowego, zajmowanego teraz przez Szkołę Ereykina, gdzie od półtora miesiąca Itale pracował jako nauczyciel. Ktoś wspominał o niej w Cafe Illyrica, Itale zasięgnął języka i zanim jeszcze usłyszał o systemie lancasterskim czy pracach Pestalozziego o kształceniu, otrzymał posadę nauczyciela czytania, pisania wypracowań i historii. Miał zajęte pięć poranków tygodniowo. Szkołę założył Ereykin, spekulant w handlu zbożem, a jednocześnie filantrop. Chodziło do niej pięćdziesięciu synów robotników i rzemieślników. Niektórzy płacili niskie chesne, inni żadnego. Była to jedyna świecka szkoła w mieście, w której mógł się nauczyć czytać i pisać syn biedaka. Zatrudniając Itale Ereykin uraczył go trzygodzinnym wykładem na temat edukacji, ale potem nikt więcej już go nie widział. Chodziły pogłoski, że znalazł sobie nowego konika. Jak dotąd trzem nauczycielom udawało się otrzymywać

pensję dzięki nękanii sekretarza Ereykina, lecz na książki, kredę, węgiel i temu podobne pieniądze nie było. Brunoy, który uczył najmłodszych chłopców, podchodził do tego filozoficznie.

- Trwa to już rok - powiedział - a nigdy nie myślałem, że szkoła utrzyma się tak długo.

Kiedy wyszli na świeże powietrze październikowego południa, Brunoy zakaszłał i roześmiał się.

- Lubisz Isabera, prawda?

- Oczywiście.

- On cię uwielbia.

- To taki wiek. Mając szesnaście lat trzeba sobie obrać bohatera. Jeśli to nauczanie ma w ogóle jakiś cel, to jest nim takie ukształtowanie wizji świata młodych ludzi, żeby potrafili w nim znaleźć autentycznych bohaterów, a nie sztucznych, świecących fałszywym blaskiem.

- A dlaczego jego bohaterem nie miałbyś być ty?

- Bo na mój heroizm składa się po pierwsze mój wytworny akcent - on myśli, że akcent jest wytworny, a ty, że prowincjonalny - a po drugie fakt, że mam sześć stóp wzrostu. Celem edukacji jest wykształcenie bystrego sądu!

Brunoy uśmiechnął się. Szli jakiś czas w milczeniu i po chwili Itale znów zaczął mówić:

- Bardzo podziwiam twoją cierpliwość, Egenie - ja się na nich złościę - jak ci się to udaje?

- Jedyne cierpliwością mogę wypełnić przepaść między moimi dawnymi ideałami i obecnymi osiągnięciami.

- Przepaść między tym, co chcemy robić, i tym, co robimy - ty nazywasz cierpliwością, a ja czekaniem na Boga. Tworzenie ma miejsce właśnie w tej przepastnej otchłani. Aleja nie mam siły czekać, przeskakuję ją, próbując bawić się w Boga. I wszystko psuję.

- Jedenaście - powiedział Brunoy do niskiego, ciemnowłosego mężczyzny w okularach, który minął ich szybkim krokiem.

- Trzydzieści - dodał Itale.

Mężczyzna skinął głową, powiedział: - Siedemnaście - i poszedł dalej. Kiedy zniknął za rogiem, Itale parsknął stłumionym śmiechem i powiedział:

- To życie jest szalone!

Niski okularnik był trzecim nauczycielem w Szkole Ereykina, matematykiem przekonany, że tajemnica ludzkiego przeznaczenia jest zapisana szyfrem w kolejnych liczbach pierwszych. Bezład katolicyzmu Brunoya i Itale obrażał go jako ateistę i matematyk robił, co w jego mocy, by nawrócić ich na tajemnicę liczb pierwszych. Pozdrowienie, jakie właśnie wymienili, sprawiało mu wielką przyjemność.

- Nie ma w nim miejsca dla ciebie - powiedział łagodnie Brunoy.

Był to szczupły, trzydziestokilkuletni mężczyzna o brązowych włosach, schorowanym wyglądem i łagodnym usposobieniu. Początkowo Itale dostrzegł u niego oznaki rozczarowania i zgorzkniałego entuzjazmu, jakie zwykł obserwować u ludzi poprzedniego pokolenia, którzy w ciągu pierwszych dwóch dekad wieku poświęcili się beznadziejnym wysiłkom wprowadzenia innowacji czy reform w edukacji, gospodarce lub polityce. Byli to starzy liberałowie i radykałowie nadal odwiedzający Illyricę, miewający jeszcze napady zawiedzionej namiętności, uczciwe, bezsilne duchy. Jednak Itale zdał sobie wkrótce sprawę, że Brunoy wcale taki nie jest. Syn zegarmistrza, skończył studia uniwersyteckie dzięki stypendium, nie ożenił się, prowadził samotne i mizerne życie, a jednak nie zrobił się zgorzkniały czy cyniczny. Zaakceptował jedynie milczenie jako swój los, milczenie do końca. Pozwolił jednak Itale to milczenie przełamać.

- Ani dla ciebie - powiedział Itale.

Właśnie wchodzili to robotniczej gospody, gdzie jadali południowy posiłek.

- Zawsze chciałem tylko uczyć.

Itale przyniósł do stołu dwa kufle piwa.

- Posłuchaj, mówiłeś, że coś kiedyś napisałeś, teorię edukacji. Brunoy skinął głową.

- Mogę ją przeczytać?

- Spaliłem ją.

- Spaliłeś? - powtórzył wstrząśnięty Itale.

- Dawno temu. Nie nadawała się do druku, cenzorzy nigdy by jej nie przepuścili. A moje pomysły można teraz w większości znaleźć w dziełach innych ludzi.

- Nie powinienes... nie powinienes palić własnych pomysłów... Czy mógłbyś napisać to od nowa?

- Nie. Te pomysły są teraz powszechnie znane. A w ogóle, po co? Czegoś takiego nie ma gdzie opublikować.

- Owszem, jest. Będzie.

Brunoy przechylił głowę.

- Proszę cię o materiał do pierwszego numeru "Novesma Verba".

Brunoy nadal nic nie mówił. - Jak ci się podoba ten tytuł?

- "Najnowsze słowo" - bardzo. Ale czyje słowo?

- Nasze. Moje, Brelavaya, Frenina, twoje - kraju - Europy - ludzkości... Posłuchaj, ten tytuł ja wymyśliłem, innym się podoba, dobrze brzmi, ale powiem ci, co on dla mnie znaczy. Mamy coś do powiedzenia i jeszcze tego nie powiedzieliśmy. Jąkamy się. Jak dzieci próbujemy nauczyć się mówić, ale nie wiemy, jak. Czasami mówimy trochę z tego, co mamy do powiedzenia, w różnych językach, w jakimś obrazie, w modlitwie, w akcie wiedzy. Co pewien czas uczymy się jakiegoś

nowego słowa. Najnowszym jest słowo Wolność. Może to tylko nowomodny sposób wypowiedzania jednego ze starych słów, aleja tak nie myślę. Naprawdę świeże słowo. Ale i tak daleko nam jeszcze do wypowiedzenia całego zdania. Wszyscy jednak musimy się nauczyć wypowiedzania nowych słów. Żeby były użyteczne, trzeba je głośno wymawiać...

- O, Prometeuszu - powiedział bardzo cicho Brunoy.

- Dobrze, to tylko moje pomysły. Najważniejsze, że istnieje możliwość wydania czasopisma. Proszę cię o napisanie czegoś do pierwszego numeru. Ponieważ pierwszy numer będzie najprawdopodobniej ostatnim, moja prośba zyskuje na wadze...

Brunoy uniósł swój kufel, skinął na Itale, żeby zrobił to samo. Tręcili się kufłami.

- Za długie życie "Novesma Verba"!

Wypili do dna.

- A zatem? - powiedział z tryumfem Itale stawiając kufel na stole.

Brunoy potrząsnął głową.

- Dlaczego, Egenie?

Starszy mężczyzna spuścił wzrok i przez chwilę milczał. Przyniesiono im jedzenie. Itale zaczął łapczywie jeść, chociaż nadal ze zdumieniem i nadzieją spoglądał na Brunoya. Ten patrzył w talerz, nic nie jadł i w końcu powiedział:

- Ze strachu.

- Nie wierzę ci.

- Nie ze strachu przed cenzorem czy policją. Gdybym musiał się bać tylko ich...

Próbował jeść, ale po chwili znów odłożył widelec.

- Aby robić to, co ty, Itale, trzeba mocno i bez reszty wierzyć. Wierzyć w wagę i konieczność swoich działań. Owa wiara stanowi bogactwo, siłę... zdrowie...

- Nie wiem, czy robimy właściwą rzecz, Egenie, albo czy robimy we właściwy sposób. Robię, co potrafię, co pragnę robić... chociaż może być bezużyteczne, nawet gorzej niż bezużyteczne.

- Wiesz, że nie.

- Mam nadzieję. I ty też.

- Ja nie. Brak mi czasu na nadzieję. Jestem biedniejszy, niż sądzisz, biedniejszy, niż potrafisz sobie wyobrazić. Cóż możesz wiedzieć o biedzie, przyjacielu. - Mówił z czułą serdecznością, zaś Itale, zdezorientowany jego słowami i sposobem, w jaki je wypowiadał, nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Poświęciłem wszystko, co miałem - rzekł w końcu z bólem w głosie.

- Poświęciłeś wszystko, co mogłeś. Nie twoja wina, że jesteś bogaty!

- To, na czym mi zależy... na czym zależy mi najbardziej na świecie... - nie warto mówić, sam nie zdawałem sobie sprawy, dopóki tego nie poświęciłem. Głupie jest moje ciągle wyrywanie do przodu w pracy dla przyszłości, mówisz, że na tym mi zależy. Ale wiem tylko, że zostawiłem dom, że go straciłem.

- Dom?

- Mój dom, to żadna przenośnia, mówię o ziemi, o miejscu, o domu, w którym się urodziłem - o ziemi, o głupiej ziemi! Jestem do niej przywiązany jak wół do palika...

- Skoro nie wiesz, gdzie jest twój dom, jak możesz być pielgrzymem? Jesteś hipokrytą, Itale, nie zamieniłbyś swej tęsknoty za domem na całą wolność świata.

- Ale się tego wstydzę.

- Wstyd jest sumieniem bogatych.

- Och, przestań, Egenie, napisz coś dla nas!

Brunoy zakaszłał, z uśmiechem potrząsnął głową.

- Ty się nie boisz.

Przyjaciel znów odpowiedział tylko uśmiechem.

Kiedy Itale rozstał się z Brunoyem, poszedł na spotkanie z Brelavayem; idąc ominął kilka przecznic, chcąc pospacerować po Eleynaprade. Był słoneczny, mglisty jesienny dzień. Miasto tonęło w odcieniach szarości i złota, a w alejkach wielkiego parku szeleściły liście. Itale lubił kasztanowe aleje i długie trawniki Pól Królowej Heleny, lecz z pogardą traktował nowe "angielskie" dodatki: ruiny, grotę i tak zwany wodospad. Pomyślał o jaskiniach Evalde nad Malafreną, jaskiniach, gdzie wszelkie odczucia znikają w ogłuszającym, nieprzerwanym grzmocie uwięzionego strumienia pędzącego w ciemności, wyrywającego się na słoneczny blask i spadającego do jeziora leżącego sto stóp niżej. Ile kosztują gipsowe gryty? Przeszedł przez rzekę po Starym Moście i skierował się do Bulwaru Pruskiego. Cała ta część Trasmve została wybudowana w ciągu ostatnich dwudziestu lat: długie, proste ulice, ciągnące się rzędy domów. Jeśli jednak zaszło się wystarczająco daleko, domy znikają, przestawały istnieć, a razem z nimi przestawało istnieć miasto, ustępując polom łopianu, dziewanny i porozrzucanych skorup, polnej drodze prowadzącej donikąd, jakiejś rozpadającej się chacie czy magazynowi i zamglonym wzgórzom na wschodzie. Idąc tymi długimi, ponurymi ulicami Itale miał wrażenie, że śni jakiś głupi sen, i jak to bywa we śnie, kiedy doszedł do celu, oczywiście Brelavaya nie zastał. Zostawił karteczkę i wyszedł. Idąc po Starym Moście oparł się na chwilę o balustradę, żeby popatrzeć na płynącą spokojnie na południe jedwabistą, błękitną wodę, w której odbijały się lipy rosnące przy bulwarze Molseny na jej zachodnim brzegu. Na końcu balustrady stała kamienna figura św.

Krzysztofa, który unosił dużą, sztywną dłoń ze wszystkimi palcami równej długości, błogosławiąc pielgrzymów i ludzi korzystających z mostu.

Dzielnica Rieczna śmierdziała, hałasowała, przytłaczała i jak zwykle roiała się od ludzi, a w drzwiach do kamienicy przy Mallenastrada 9 siedziała gospodyni, pani Rosa, o pomarszczonej, ciemnej twarzy, wpatrzona w któregoś ze zgrai sparszywiałych kotów, siedzącego jej na kolanach. Uśmiechnęła się jednak sztywno do Itale. Była zadowolona, że ma dżentelmena w mieszkaniu na pierwszym piętrze od tyłu, chociaż nie płacił więcej niż rodzina tkacza z mieszkania na pierwszym piętrze od frontu. Po wyprowadzeniu się Frenina podzieliła czteropokojowe mieszkanie na dwa mniejsze, co oznaczało, że Itale chcąc wejść do siebie musiał przechodzić przez mieszkanie sąsiada. Była to pewna niewygodna, lecz nikt nie narzekał, zważywszy na dziesięć krunerów czynszu. Kiedy Itale wszedł, tkacz Kounney siedział przy swoim warsztacie - siedział przy nim czternaście czy piętnaście godzin dziennie. Pracował w systemie chałupniczym: fabryka dostarczała mu nici do pracy w domu, a on zwracał fabryce tkaninę do pocięcia i wykończenia. System ten stał się bardzo popularny wśród fabrykantów, bo zamiast współpracować w związku, robotnicy współzawodniczyli w odosobnieniu. Zapach barwnika i rytmiczne uderzenia oraz grzechot warsztatu tkackiego stanowiły tło mieszkania Itale. Warsztat zajmował połowę owego pustego pokoju, w którym po raz pierwszy rozmawiał z Freninem. Członkowie rodziny tkacza byli szczupli, jasnowłosi i bladzi, zachowywali się ostrożnie i nieśmiało - dlatego nie udało się mu nawiązać dłuższej rozmowy nawet z pięcioletnim dzieckiem, a właściwie żadnej z jego ojcem. Itale sądził, że się go boją, boją się wszystkich z wyjątkiem siebie nawzajem. Z trudem przeszedł obok wielkiego, skomplikowanego warsztatu tkackiego, na którym biały, nieskazitelnie równy pas tkaniny rósł z nieubłaganą powolnością, niczym jakieś niezwykle zjawisko przyrody, jak przesuwanie się cienia na tarczy zegara słonecznego czy spływanie lodowca. Kounney skinął głową. W drugim pokoju cienkim głosem płakało dziecko. Itale usiadł przy stole, żeby coś napisać, lecz był przygnębiony rozmową z Brunoyem i bezowocną wyprawą do Trasfiwe, więc położył się na kozetce we wnęce służącej mu za sypialnię, z zamiarem poczytania Montesquieu i zapomnienia o wszystkich troskach. Zapomniał o nich, a także o Montesquieu, w ciągu dziesięciu minut. Zasnął twardym snem, trzymając rękoma leżącą na piersiach książkę. Obudziło go stukanie do drzwi. Poszedł potykając się do drugiego pokoju zalanego gorącym, czerwonym blaskiem zachodzącego słońca, spodziewając się Brelavaya. Nie poznał stojącego w drzwiach rudowłosego mężczyzny.

- Estenskar. Poznaliśmy się w sierpniu u Paludeskarów.

To rzeczywiście był Estenskar, poeta, sam wielki poeta. Itale stał jak zahipnotyzowany.

- Przepraszam, że pana niepokoję - rzekł Estenskar swym wysokim, twardym głosem.

- Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi... Proszę usiąść... Nie na tym krześle, bo odpada oparcie...

Estenskar wypróbował oparcie krzesła Frenina, przekonał się, że rzeczywiście odpada przy siedzisku, zdjął je, odłożył na bok i usiadł na tym, co pozostało z krzesła, jak na stolku.

- Przyszedłem pana przeprosić, panie Sorde.

- Prze... przeprosić?

- Nie miałem prawa tamtego wieczoru być wobec pana niegrzeczny.

- Ależ skądże - rzekł Itale machając rękoma.

- Bardzo mi przykro z tego powodu.

- Zupełnie niepotrzebnie, panie Est... - z wrażenia zaschło mu w gardle.

- Przeciwnie, to konieczne, jeżeli chciałbym jeszcze kiedyś z panem porozmawiać. -

Estenskar uśmiechnął się pozbawionym radości, ale młodzieńczym uśmiechem. - U Paludeskarów bywa mnóstwo głupców i ja nabrałem zwyczaju nieuprzejmego ich traktowania, bo tego się po mnie spodziewają. Jednak niegrzeczne zachowanie względem pana było błędem, z którego od razu zdałem sobie sprawę. Czy naprawdę zamierza pan wydawać jakiś periodyk?

- Tak. Proszę, tamto krzesło jest dobre...

- Podoba mi się to. Jak daleko pan zaszedł?

- Mam wystarczająco dużo pieniędzy na dwa numery, następne wspomogą obiecane fundusze. Drukarza, który wie, czego się podejmuje. I list od Stefana Oragona z Rakavy...

- To raczej zaszkodzi.

- Jeśli zbiorą się Stany, może on naprawdę pomóc.

- A co z cenzorem?

- Mój przyjaciel Brelavay sądzi, że coś tu osiągnął. Rozmawiał z... z człowiekiem, którego pan wymienił. Z Goynem.

Estenskar roześmiał się swoim charakterystycznym, sztucznie brzmiącym śmiechem.

- Ilu was jest?

- Czterech z Solarij. Sześciu czy siedmiu z Krasnoy, a wśród nich Givan Karantay, może pan go zna.

- Tak. Wielki talent i dobry człowiek. Prawy, Givan Karantay jest prawym człowiekiem. Ma pan szczęście, że go pozyskał. A zatem będzie to czasopismo literackie?

- Początkowo. Jeśli ograniczymy się do literatury, Biuro wydaje się przychylniejsze.

- Oczywiście! - rzekł ostro, lecz z prawdziwym rozbawieniem Estenskar. - Na dobrą sprawę zawsze można ich podejść, bo tak naprawdę nie wierzą, że słowa mogą czegoś dokonać, wcale nie słuchają Metternicha. Ale on wie lepiej! Gdyby Metternich mógł spełnić swe marzenia, to każdy poeta w Cesarstwie zostałby na resztę życia zamknięty w więzieniu Spielberg. Podziwiam Metternicha, to wróg równy nam. Ma wystarczająco dużo rozumu i jest na tyle oświecony, by bać

się potęgi idei, potęgi słowa. Pochodzi z pokolenia roku 1789 - nie jest jednym z tych nouveaux, tych Gentzów, sprzedajnych oportunistów, niepiśmiennych mistyków, zacnych sług Habsburgów, Bourbonów, Romanowów i Kretynów, którzy nie rozpoznaliby idei nawet wtedy, gdyby mierzyła ze strzelby prosto w ich puste głowy. Dzięki Bogu Metternich jest daleko w Wiedniu, a my tutaj musimy walczyć jedynie z dziewiętnastowieczną głupotą, a nie z dziewiętnastowieczną inteligencją!

Pod tym atakiem padły wszelkie bariery.

- Zatyłowałiliśmy je "Novesma Verba" - powiedział Itale i obaj zaczęli naraz mówić, z podnieceniem i żarliwością, gestykułując i przemierzając pokój, a tymczasem czerwony blask rozbłysł po raz ostatni i zniknął, w sąsiednim pokoju hałasował warsztat, dzwony u św. Stephena, w kaplicy uniwersyteckiej i katedrze wybiły szóstą, wszystkie kwadranse i siódmą, widoczne po drugiej stronie podwórza dachy i kominy pociemniały w brunatnym, jesiennym zmierzchu, a w końcu zaczęły się ostro na de nieba. Itale wreszcie przyszło do głowy, że trzeba zapalić świecę. Stał przy stole z hubką i krzesiwem w ręce, pilnując, żeby knot dobrze się rozpałił, podniósł oczy, napotykać w przydymionym świetle wzrok Estenskar.

- Rozumiesz, dlaczego musiałem przyjść - powiedział poeta.

- Cieszę się, że przyszedłeś - odparł cicho Itale.

- Tamtego wieczora rozpoznałem cię. - Estenskar wciąż patrzył nieruchomo na Itale swymi szczególnymi, żółtawymi oczyma. - Nie wiem, czy pojmujesz, co przez to rozumiem. Człowiek przychodzi do pewnych miejsc i pewnych osób, do których musi przyjść. Nie rozpoznać ich, odwrócić się od nich, to nie spełnić swego losu. Wiesz, o czym mówię?

- Chyba tak.

- Ale przeznaczenie człowieka nie zawsze jest dobre... Chyba się jeszcze nad tym nie zastanawiałeś... Jesteś katolikiem?

- Tak. Podobnie jak jem nożem i widelcem i zamiast pióropusza noszę na głowie kapelusz.

- Ja też tak kiedyś postępowałem. Teraz zdjąłem kapelusz.

- Formy nie są istotne - stwierdził ogólnie Itale.

- Nie dla poety. Ale nieważne. Chciałbym... chcę ci o sobie opowiedzieć, Sorde. - Powiedział to z ogniem, odwracając się od świecy, a potem dodał już twardszym tonem: - Pewnie wiesz już wszystko od Paludeskarów.

- Już tam nie wróciłem.

- Tak? Luisa wspominała o tobie kilka razy, myślałem, że często u nich bywasz. Dziwię się jednak, że nic nie powiedzieli owego wieczoru. Dyskrecja nie jest ich zaletą. Uwielbiają plotki, a im są one podlejsze i bardziej głupie, tym lepiej - nazywa się to romansami. Dawniej mówiono:

cudzołóstwo. Jeśli mnie poznasz, dowiesz się o tym, ale wolałbym ci powiedzieć sam. Dwa lata temu dokonałem czynu zwanego zakochaniem się i zostałem kochankiem. Obiektem miłości stała się dosyć głupia, bardzo chciwa, bardzo okrutna i niezbyt piękna mężatka. Gdy tylko ją ujrzałem, zawładnęła całym moim jestestwem, wczepiła się pazurami we wszystkie nerwy i odtąd jestem jej marionetką tańczącą na każde skinienie. Jej własnością. Gdyby mnie teraz do siebie wezwała, przyszedłbym na czworakach. Stawałem na progu domu i błagałem lokaja, żeby mnie wpuścił, chodziłem do jej męża i prosiłem go ze łzami... Przepraszam, Sorde. Idę. Nie mogę.

Już stał, wyglądał bardzo schludnie w dobrze skrojonym surducie i cienkiej, lnianej koszuli; ruszył wielkimi krokami do drzwi.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, Itale zastąpił mu drogę i zawołał:

- Nie możesz teraz wyjść!

Estenskar poszukał ręką pozbawionego oparcia krzesła, usiadł, zgarbił się i płakał przez minutę. Wyciągnął z kieszeni chustkę, wytarł nią oczy i nos.

- To na nic - powiedział cichym, chłopięcym głosem. Odgarnął do tyłu rude włosy, mówiąc już prawie normalnie: - Jak masz na imię?

- Itale.

- Amadey. Co... co to za ser?

- Z Portacheyki.

- Przywiozłeś go z sobą? - Koło sera miało prawie jard średnicy.

- Przysłała mi go ciotka. Bóg jeden wie, czym przekupiła woźnicę, przyniósł go pod same drzwi. Jesteś głodny?

Wkrótce siedzieli przy stole. Ogromny ser, wyglądający porządniej w swojej niebieskiej otoczce niż jego właściciel w swym niebieskim surducie, tkwił na środku stołu wraz z nożem, połową bochenka chleba i dzbankiem dość nieświeżej wody. Był tylko jeden talerz.

- Nie przyjmuję wielu gości - powiedział Itale. - Wolę stary, wiejski styl, wiesz, żadnej wystawności, żadnych talerzy, widelców i dobrych manier.

- Powiedziałeś, że przysłała ciotka? Jaką masz tam jeszcze rodzinę?

- Ciotkę i wuja, siostrę, rodziców. W naszej prowincji to właściwie nie liczy się jako rodzina.

- Masz więcej ode mnie. Mój brat nigdy nie opuszcza majątku. Zatem jesteś spadkobiercą. Zostawiłeś coś, żeby móc przyjechać.

- Wydawało się, że tak trzeba.

- Tak trzeba... - Estenskar popatrzył na Itale, na ser, na płomień świecy. - Z jaką łatwością powiedziałeś te słowa. A ja z łatwością mogę się domyślić, ile musiałeś poświęcić, żeby zdobyć

prawo do ich wypowiedzenia... Zrobienie tego, co człowiek musi zrobić, oczywiście właściwą drogą. Ja ją zgubiłem.

- Przecież dzieła...

- Od kilku miesięcy nie napisałem ani słowa. Oczywiście, że to moja droga, ale jeśli prowadzi ona do muru? Albo dziury w ziemi?... Koniec. Nie można zacząć książki od napisu "Koniec", prawda? - Mówił spokojnie i z zadowoleniem żuł chleb z serem. - Wspaniały ser - powiedział.

Z korytarza dobiegło stukanie do drzwi, następnie dały się słyszeć głosy w pokoju tkacza, stukanie do drzwi Itale, wreszcie do pokoju wpadł Brelavay. Ostatnio zaczął nosić brokatową kamizelkę i jedwabny kapelusz, ale wyglądał tak jak na uniwersytecie: szczupły, pełen optymizmu i ironiczny.

- Zwycięstwo! Tryumf! - zawołał i wtedy zauważył nieznanego. - Przepraszam, przeszkadzam?

- Nie, skądże - Tomas Brelavay, Amadey Estenskar. O co chodzi? Chcesz sera?

- Jestem wielce zaszczycony, panie Estenskar - rzekł Brelavay zaskoczony takim spotkaniem. Swym dziwnym wyglądem rzeczywiście mógł robić wrażenie. - Ja... to prawdziwy honor... Nie, nie chcę sera, na litość boską, to nie jest czas na ser!

- A na co?

- Jedzcie ten ser, nie przeszkadzajcie sobie. Czy krzesło się nie rozpadnie, nawet jeśli ostrożnie na nim usiądę?

- Ja mam to zdradliwe - powiedział Estenskar z pełnymi ustami.

- Rozmawiałeś z Goynem?

- Owszem. Późnym popołudniem. I nie chcę już więcej słyszeć o starym Brelavayu, że to wspaniały kompan; nic nie potrafi zrobić, wiem, co się mówi wśród tych wywrotowych radykalnych grup, szczególnie, że nie jesteście na tyle dobrze wychowani, żeby zaczekać, aż się odwrócę. Chcesz usłyszeć, co powiedziałem Goynemu i co on mi odpowiedział, i co ja mu potem powiedziałem bardzo dyplomatycznie und so weiter, und so weiter, czy mam...

- Dalejże, Tomasie!

- Całkowita zgoda i zezwolenie na publikację...

- Nie! Na Boga! Zdobyłeś ją! - zawołał Itale zrywając się z miejsca.

- Wszystko ci opowiem, dobrze? - wykrzyknął podekscytowany, bardzo z siebie zadowolony Brelavay.

Przez jakiś czas mówili jednocześnie, a Amadey Estenskar się przyglądał. Zazdrościł im starej przyjaźni, zazdrościł im radości i trochę w nią powątpiewał. Co oznacza niewielka szczelina

w ogromnym murze obojętności, ów przebłysk wśród nie kończącej się nocy intelektu? A jednak po to tu przyszedł, właśnie po nadzieję, która zaczęła go ogarniać w miarę, jak na nich patrzył, aż w końcu przepełniony radością poderwał się na równe nogi.

- Chodźcie! - zawołał - gdzie się spotykacie? W Illyrice? To wymaga otwartego powietrza!

- Właśnie, chodź, Itale!

- Dobrze, idę, tylko wezmę kapelusz! - Zbiegli tylnymi schodami i wypadli z domu na ulice pełne wczesnej nocy i porywistego, suchego, jesiennego wiatru wiejącego ze wschodu. - Chodźcie! - ponaglił ich Itale, kiedy ci dwaj zwolnili, by porozmawiać, a on pobiegł przodem, przepełniony tą samą radością i pewnością, czując dotknięcia mrocznego, październikowego wiatru i śpiewając głośno zakazany hymn "Za tym mrokiem świeci blask twego nie gasnącego dnia, o Wolności!", że aż oglądały się za nim ze śmiechem mijające go dziwki i wyrzucone z domów dzieci.

ROZDZIAŁ 4

Ten sam suchy, wschodni wiatr śpiewał następnego dnia wśród górskich sosen i burzył do białości wody Malafreny, jasne i rozkołysane w porannym słońcu. Ścieżką biegnącą z przełęczy w dolinę schodziła Piera Valtorskar. Po prawej stronie leżały rżyska i sady Valtorsy, a po lewej sady i rżyska majątku Sorde. W ostrym jesiennym świetle wszystko było wyraźnie widać: drzewa, jabłka na drzewach, grudki ziemi, góry. Włosy Piery rozwiewały się na wietrze, podobnie jak jej czerwona spódnica. W lewej ręce trzymała nadgryzione jabłko, a w prawej bukiet polnych traw i kwiatów.

Boczną ścieżką, biegnącą wzdłuż sadu jabłkowego majątku Sorde, ktoś nadjeżdżał konno. Poznając tłustą klacz i szczupłego jeźdźca, Piera zamachała w słońcu kwiatami. Guide pozdrowił ją gestem dłoni i podjechał bliżej.

- Pomyślałem, co to za dziewczyna parady w niedzielnym stroju? A to ty w zwykłym ubraniu...

Niekiedy Guide tytułował ją jak należy, a czasami nadal zwracał się jak do dziecka. Piera mówiła mu po imieniu albo per panie Sorde, ale na tym kończyła się oficjalność ich stosunków. Rozmyślała nieraz, czy kocha pana Sorde tak samo jak ojca? Czy powinna? I dlaczego? Nie znajdowała odpowiedzi ani sposobu lub powodu odmierzania miłości. Kochała go, bo on kochał ją. Wiedziała o tym może nawet lepiej niż on sam. Nie będąc za nią odpowiedzialny swobodnie okazywał jej uczucia, czego nie mógł robić w stosunku do własnych dzieci. Mógł żartować z Piera w wiele lat po rym, jak przestał droczyć się i bawić z Laurą. Spoglądał na nią teraz z uśmiechem wywołanym przez błysk jej czerwonej spódnicy, rozwiane włosy, czyste, jasne oczy, widząc w niej kruchy, dziki odłamek jasnego, wietrznego dnia. Chwalił ją samym spojrzeniem.

- Ukradłam jedno z twoich jabłek, widzisz? Mam je powiesić z powrotem?

- Zjedz je, zjedz.

- Ma robaka w samym środku.

- To wąż, który cię skusił, Ewo. Podniosła na niego wzrok i roześmiała się.

- Czy mogę dać je Brunie? Śpieszy się pan, panie Sorde?

Stała przy pysku klaczy podając jej jabłko. Bruna podrzuciła głowę i zgrzytnęła zębami o wędzidło, które Guide natychmiast wyjął, żeby mogła zjeść jabłko Piery. Chętnie dogadzał dziewczynie i kapryśnej, starej klaczy. Piękno poranka wprawiło go w cierpliwy nastrój, nastrój pasujący do tej pory roku. Jesień lubił najbardziej, bo przynosiła mu ten spokój.

- Jedzie pan do Portacheyki, panie Sorde? - spytała Piera tonem damy. Zawsze bez najmniejszego powodu w mgnieniu oka zmieniała się z wiejskiej Ewy w prawdziwą panienkę.

- Tak. - Guide poprawił się w siodle i dodał: - Dzisiaj przyjeżdża dyliżans pocztowy.

- Och, oczywiście. - Piera wytarła zaślinioną przez Brunę dłoń w jej długą grzywę, zupełnie jak dziecko, podtrzymując jednak rozmowę uprzejmie z kobiecym taktem: - Śliczny poranek na przejażdżkę.

- I na ucieczkę z lekcji, co? - spróbował zażartować.

- Och, panna Elisabeth nigdy nie wstaje przed ósmą. Do rozpoczęcia lekcji mam jeszcze kilka godzin. - Wplatała jedyny kolorowy kwiat ze swego październikowego bukietu, ostatni bławatek, w grzywę klaczy.

Kiedy Guide odjechał w kierunku miasta, jego wzrok spoczął na niebieskim podskakującym kwiatku i wówczas poczuł dziwną czułość, jakby nawet ból. Minęli się na drodze, szesnastolatka z pięćdziesięciolatkiem, i ona wplotła w grzywę jego konia niebieski bławatek. Pomyślał, że to dziwne, jak spotyka się i mija w ten sposób dusze, a niektóre pozostawiają po sobie urocze wspomnienie. Mija sieje i z nimi rozstaje, być może na zawsze, a jednak zostaje po nich wrażenie słodczy i bólu.

Piera wracała w kierunku Valtorsy, mruczając pod nosem odmianę jakiegoś francuskiego czasownika nieregularnego. Myślała zupełnie o czymś innym. Dzisiaj przyjeżdża poczta. Wysoki, zakurzony, rozkołysany dyliżans zatrzyma się przy zajęździe "Pod Żółtym Lwem". Będzie w nim - w jednym z dwóch czy trzech worków pocztowych, zawierających dwutygodniową porcję korespondencji do wszystkich mieszkańców krainy jezior - list do państwa Sorde, kwadratowa koperta z grubego, taniego papieru, zaadresowana czarnym atramentem, z zagiętymi i pobrudzonymi w czasie długiej podróży rogami. Piera doskonale знаła te listy. Eleonora i Laura czytały je osobno, czytały je razem, czytały je z Piera, czytały je sobie nawzajem, niedokładnie je cytowały (szczególnie Eleonora), interpretowały je, śniły o nich i dwa razy w miesiącu czekały na nie z tęsknotą, która zmieniała opóźnienie dyliżansu w katastrofę, a przyjazd w święto. Dotąd na spotkanie poczty wyjeżdżały jedna lub obie kobiety i Piera zastanawiała się, dlaczego tym razem pojechał Guide. Może spodziewali się czegoś niezwykłego. Tego popołudnia powiedziała po skończonych lekcjach panie Elisabeth, że idzie odwiedzić Laurę, i poszła prosto do domu państwa Sorde ścieżką nad jeziorem, nie zbaczając z niej ani o krok. Teraz była już pewna, że Itale wraca do domu - prawdopodobnie przyjechał tym dyliżansem.

Laura odprowadzała właśnie starego nauczyciela, pana Kiovaya z Portacheyki, który raz w tygodniu przychodził uczyć ją francuskiego, a także odwiedzał Valtorsę w celu poprawienia francuskiej wymowy Piery. Poprawiał francuską wymowę każdej młodej damy w Val Malafrena

od czterdziestu lat i francuski, jakim posługiwano się w tej okolicy, nie przypominał francuskiego używanego gdziekolwiek indziej na świecie, ponieważ w znacznym stopniu był osobistym wynalazkiem pana Kiovaya. Uczył niegdyś Eleonorę, a teraz jej córkę, którą lubił, bo była spokojna, lecz bał się Piery. Cofnął się, kiedy zobaczył ją nadchodzącą ścieżką biegnącą obok mandevilli.

- Queje vinsse! - zawołała do nich. - Que tu vinsses! Qu 'U vint! - Opanowała tryb przeszły łączący od venir.

- Mas viens donc! - powiedziała Laura.

- Vienti-il! - rzekła Piera. Pan Kiovay wymknął się, a dziewczęta weszły do domu. - Przyszedł list, prawda?

- Jest u mamy, przyniosę go. Chcą wydawać czasopismo, Itale będzie redaktorem.

- Ale on nie... - Piera przerwała w pół słowa. Oczywiście, że nie przyjeżdża do domu. Skąd jej to przyszło do głowy?

Laura wydobyła od matki list, obiecując, że go nie zniszczy ani nie zgubi, i poszła z Piera do ich ulubionego miejsca spotkań w słoneczne popołudnia - na trawnik obok hangaru na łodzie, teraz złotozielony w aksamitnym świetle. Siedząc obok siebie czytały list Itale - Piera po raz pierwszy, Laura po raz kolejny. Jak zwykle był dość oschły, książkowy, bezosobowy. Itale dużo mówił o planach wydawania czasopisma. Próbował opisać Amadeya Estenskara, ale wtedy jego język stawał się jeszcze bardziej sztywny, prawdopodobnie dlatego, że zbyt krępował się czytających. Podawał mnóstwo szczegółów, dotyczących skomplikowanych sposobów radzenia sobie z biurokratami w biurze cenzora, z czego niewiele rozumiały. Lecz ten suchy, sztywny list był przesycony radością. Jest wielkie dzieło do wykonania, przyjaźń wielkich duchów, otwarta droga przed Itale, świat do odnowy i siła do odnowienia go.

- Co się stało z tym baronem... i baronówną... o których pisał na początku? - zapytała Piera patrząc na ciemne, lśniące jezioro.

- Już o nich więcej nie wspominał - odparła Laura starannie składając list. - Och, tak bardzo bym chciała...

- Czego?

- Nie zazdrościć mu,

Piera zastanowiła się nad tym przez chwilę. Z początku nie bardzo rozumiała przyjaciółkę. Laura jest Laurą i znajduje się tutaj, a Itale jest Itale i znajduje się tam. Nieobecni nie mieszały się łatwo z obecnymi w umyśle Piery. Jej wyobraźnia nie potrafiła zonglować możliwościami, więc Piera rzadko odczuwała zazdrość i rzadko była niezadowolona. Z ostrożnością podchodziła do królestwa możliwości, bo kiedy się w nie zanurzała, zanurzała się razem z nią jej wola.

- To naprawdę nie jest sprawiedliwe - odezwała się w końcu - że on znajduje się w centrum wydarzeń, a ty na ich uboczu.

- Nie chodzi o wydarzenia, tylko o to, że on... on coś robi, jest kimś. Ja się nie nudzę, to nie o to chodzi.

- Tak strasznie się nuudzę - powiedziała Piera przez nos, naśladowując najstarszą córkę Sorentayów.

Obie się roześmiały.

- Ja nigdy się nie nudzę. Czuję się tylko niepotrzebna. To jest to, co Itale pisze o panu Estenskarze, chodzi mi właśnie o to... - Znała już to zdanie na pamięć: - "Z całych sił poszukuje drogi, którą może, a zatem musi, pójść tylko on jeden". A więc to próbuje zrobić Itale. I zrobi. Lecz każdy na świecie potrafi robić to, co ja.

- Ale nikt nie może być Laurą Sorde.

- Cóż za pożytek z bycia mną, skoro niczego nie robię?

- Gdybyś nie była sobą, co bym zrobiła? Z kim bym rozmawiała? Jak w ogóle mogłabym być mną? Każdy może biegać w kółko i coś robić, ale nikt poza tobą nie może tobą być. I mam nadzieję, że nigdy się nie zmienisz.

- Nie przestanę kochać tego, co już Kocham - rzekła Laura. Popatrzyła na zachodzące słońce i ciemny masyw góry San Larenz, wznoszącej się nad jeziorem. - Ale widzisz, ty już się zakochałaś, już zaczęłaś swoją podróż... ja jeszcze nie. Dla mnie droga jeszcze nie istnieje. Wciąż czekam, a czas mija i mija, i życie mija... Chyba jestem stworzona do czegoś lepszego?

Piera przez chwilę nie odpowiadała. Czowała, że między nią i Laurą jest o wiele większa niż trzyletnia różnica wieku, wielka różnica między wiekiem szesnastu i dziewiętnastu lat, miała poczucie niższości nie mające nic wspólnego z wiekiem. Laura powiedziała, że Piera się zakochała. Owszem, półtora miesiąca temu zaręczyła się potajemnie z Alexandrem Sorentayem, po czym pośpieszyła do Laury, żeby jej wyjawić tę tajemnicę i pokazać pierścionek Alexandra z chalcedonem, który nosiła na łańcuszku na szyi. To była prawda. Lecz słuchając Laury Piera zarumieniła się, jakby została przyłapana na wyjadaniu konfitur. Zaręczyła się, by wyjść za mąż, lecz w głębi serca i w przeciwieństwie do przyjaciółki nie traktowała tego poważnie. Laurze nigdy nie przyszłoby do głowy, że można eksperymentować z zaręczynami lub bawić się w miłość - mówić, że się jest zakochaną, nie czując tego całym sercem. Mała dziewczynka poczuła na piersiach zimny pierścionek Alexandra i pomyślała: Jestem świnia, jestem świnia, jestem świnia.

- Kiedy się zakochasz - powiedziała - to we wspaniałym mężczyźnie, w królu. W nikim stąd! W mężczyźnie z bardzo daleka, w mężczyźnie jak lew, i odjedziesz z nim do, no nie wiem, do

Wiednia i zobaczysz wszystkie inne miasta, będziesz robić wspaniałe rzeczy, pisać do domu, aja ci będę zazdrościć...

- Głuptasie, po co miałabym opuszczać Malafrenę? Chodźmy na nieszpory do św. Anthony'ego, Peri.

- Och, zapomniałam, panna Elisabeth chciała iść. Chodźmy! - Piera podskoczyła jak nagle puszczona gałąź. Laura wstała i poszła za nią. Zostawiły list Eleonorze, poszły do Valtorsy po zaprzężony w kucyka wózek oraz guwernantkę i ledwie zdążyły do św. Anthony'ego na początek mszy. Słońce dawno już zniknęło z podnóża San Larenz. Granitowa kaplica wyglądała jak zabawka postawiona między zalesionym grzbietem i głęboką niecką jeziora. Wewnątrz kaplicy pachniało kamieniem, wapnem do bielienia, jedliną i sośniną. Na wieczorną mszę przyszły dziewczęta, gruba, cicha guwernantka, para młodych wieśniaków i trzy staruszki. Wysłuchali nieszpórów w ciszy tego samotnego zakątka, w chłodzie górskiego wieczoru. Kiedy wyszli na zewnątrz, dalsze połacie jeziora poszarzały w zmierzchu, a woda w cieniu San Larenz marszczyła się pod uderzeniami zimnego, silnego i cichego wiatru.

Laura zaczęła rozmawiać z księdzem, swoim starym przyjacielem, ojcem Klementem z Sinviyi, także trzeba było załatwić sprawę przywiezienia opału do domku jednej ze staruszek, a potem ksiądz wrócił z nimi w powoziku na kolację do państwa Sorde, więc Piera i panna Elisabeth wróciły do domu dość późno, o kilka minut opóźniając kolację w Valtorsie. Po kolacji hrabia Orlant, panna Elisabeth, sąsiad Rodenne i nowy rządca hrabiego usiedli do wista. W Montaynie nazywano go fistem i spędzano przy nim wiele jesiennych i zimowych wieczorów. Ciocia siedziała w swoim fotelu z pionowym oparciem i kłębkim czerwonej włóczki na kolanach. Piera wzięła zeszyt i usiadła obok marmurowego kominka. Miała napisać wypracowanie o obowiązkach młodej kobiety. Nie znosiła pisać wypracowań, listów, notatek czy czegokolwiek innego. Zawsze były niezwykle nudne, a poza tym panna Elisabeth zaznaczała błędy ortograficzne czerwonymi kółkami. Na razie napisała jedno zdanie: "Młode dziewczęta powinny być posłuszne".

- Ciociu, chciałabyś, żebym ci poczytała?

- Nie, kochanie - rzekła ciocia bardzo powoli zwijając włóczkę na kłębek.

"Młode dziewczęta powinny być posłuszne". Piera usilnie myślała. "Nie powinny się spierać i mówić bardzo głośno. Jest wiele zeczy, jakich młode dziewczęta nie powinny robić. Ale nie są nimi obowiązki". Jej pióro postawiło na papierze rząd kropek, a potem z własnej woli narysowało trzy profile młodych mężczyzn z dużymi oczyma i nosami, patrzących na lewo oraz lwa z kędzierzawą grzywą, patrzącego na prawo. "Młode dziewczęta powinny WZM i mieć D", napisała bardzo małymi literami, a potem zamazała na czarno. "Ważne jest, żeby się uczyły, ale nauka jest mniej ważna dla nich niż dla młodych dżentelmenów, bo im się bardziej przyda w życiu.

Powinno być schludne i zadbane". Pióro narysowało trzy panny z greckimi nosami zwrócone na lewo. Piera przestała pisać i zaczęła obserwować graczy.

Jej ojciec trzymał karty pod samym nosem, ale nie dlatego, że był podejrzliwy, lecz dlatego, że miał krótki wzrok. Sąsiad Rodenne dostał dobre karty i wpatrywał się w nie z zadowoloną miną. Był drobnym posiadaczem ziemskim, uwielbiał wista i polowanie. Nie ożenił się, twierdząc, że żona odciągnęłaby go od wista i polowania. Panna Elisabeth jak zwykle wyglądała na zadowoloną. Tej pogodnej osoby nic nie poruszało i chwaliła Boga z sercem przepelnionym łagodnością. Siedzący obok niej nowy rządca, Gavrey, sprawiał wrażenie surowego i zimnego, pochodził z Val Altesma i pracował u hrabiego Orlanta dopiero miesiąc. Piera nie zwróciła na niego jak dotąd szczególnej uwagi, bo zawsze był zajęty dokumentami i księgami rachunkowymi, rozmawiał tylko z jej ojcem i często nie bywał na kolacji, bo pracował w biurze, w sadzie czy na polu. Siedział teraz spokojnie, z uwagą obserwując twarze partnerów, więc Piera miała okazję bacznie się przypatrzeć temu przystojnemu mężczyźnie o wąskich wargach, ciemnych oczach i mocnej opaleniznie. Pomyślała nawet, że największą korzyścią z zaręczenia się z Alexandrem było to, że miała bezpieczne schronienie, wieżę obserwacyjną, z której mogła patrzeć na innych mężczyzn.

Próbowała się zakochać, od kiedy skończyła dwanaście lat. Zakochiwanie się w obrazach, w nieznanym widzianym w Portacheyce, bohaterach romantycznych powieści i w nielicznych chłopcach, których nie dyskwalifikowały kurczajki czy głupota, okazało się ciężką pracą. Ciężką i niewdzięczną. Nie przerywała jej jednak. Ćwiczyła tak, jak skrzypek ćwiczy grę na swoim instrumencie, nie z zimnym wyrachowaniem, lecz metodycznie, nie dla doraźnych korzyści czy rozrywki, nie dlatego, że pragnie zagrać każdą gamę dziesięć razy, ale dlatego, że dobra gra na skrzypcach to jego dar, potrzeba, zadanie. Zatem Piera ćwiczyła się w sztuce miłości. Alexandra Sorentaya знаła od zawsze. Żadne wydarzenie towarzyskie na północnym brzegu jeziora nie odbywało się bez udziału reprezentantów rodzin Sorentay, Sorde i Valtorskar. W ostatnim pokoleniu nieco się one zmniejszyły, nawet do tego stopnia, że nazwisko Valtorskar umrze wraz z Pierą, lecz Sorentayów wciąż pozostawało bardzo wielu. Pod rodowym dachem, na północny zachód od Valtorsy, w bocznej dolinie góry Sinviya nigdy ich mniej nie zamieszkiwało niż piętnaścioro. W najważniejszej rodzinie majątku wychowywało się sześcioro dzieci, trzy dziewczynki i trzech chłopców, z których wszyscy - oprócz najstarszego, Alexandra - byli wysocy i hulaśliwi. Alexander, równolatek Laury, kiedy oboje mieli po szesnaście lat, napisał do niej długi list miłosny ozdobiony cytatami z "Nowej Heloizy" (książkę tę jego matka przed rokiem pożyczyła od Eleonory i zapomniała zwrócić). Laura oczywiście pokazała list matce, która doradziła jej, by sprawę pominąć milczeniem. Tak też się stało, tyle że Laura i Alexander bardzo długo odczuwali wzajemne skrzępowanie. Wspomnienie listu kładło się między nimi niczym nagrobek. Przez trzy

lata tańczyli ze sobą na każdym wieczorku tanecznym w kamiennej, pełnej udręki ciszy. Laura odetchnęła z ulgą, kiedy mogła przekazać Alexandrowi Pierę i tańczyć z papą Sorentayem, wujami, kuzynami, szwagrem i całą resztą niewyczerpanego klanu Sorentayów. To przekazanie nastąpiło podczas sierpniowego balu, o którym rozmawiały pewnego lipcowego wieczoru nad jeziorem i na który Piera włożyła białą suknię ze złotymi kwiatami wyhaftowanymi na staniku, swoją pierwszą suknię wieczorową. Alexander wytrzeszczał na nią oczy, jakby nigdy przedtem jej nie widział. Istotnie. W swej pierwszej sukni balowej Piera była jak nowo narodzona: dzieciństwo zostawiła za sobą, a z rąk Boga i krawcowej właśnie otrzymała kobiecość. Nim wybiła północ, Alexander oświadczył, że jeśli go nie poślubi, życie straci dla niego sens. Trzy tygodnie później, wieczorem po długim, hałaśliwym pikniku w sosnowym lesie po drugiej stronie jeziora zakończył swe chaotyczne, lecz szczere zaloty propozycją małżeństwa. Piera przyjęła ją bez wahania. Siedziała na zwałonym pniu obok strumienia. Alexander krążył wokół niej, nie śmiał ani klęknąć, ani usiąść.

- Czy mogę porozmawiać z twoim ojcem? - zapytał.

- Może powinniśmy trochę poczekać - odparła. Nie podała żadnego powodu, a on o nic nie pytał. Bez dyskusji zgodzili się utrzymać zaręczyny w tajemnicy i nawet się nie zastanawiali, dlaczego. Robili wszystko w całkowicie dobrej wierze. Alexander, który odczuwał prawdziwe pożądanie, nie wątpił, że jest zakochany. Piera bardziej zdawała sobie sprawę, że odgrywają jakąś grę, choć dla niej nie była to gra, a raczej motto perpetuo czy tarantella następująca po dobrze przećwiczonych gamach, fragment dla początkującego, ale jednak muzyka. Nie wiedziała, dlaczego powiedział, że ją poślubi. Ona wyraziła zgodę, bo musiała ćwiczyć się w tej sztuce. Ślubu nie brała pod uwagę. Zaręczyli się z myślą o małżeństwie, byli narzeczonymi. Na razie to wystarczy. Oszukiwali się wzajemnie - Piera oszukiwała go bardziej niż on ją - oraz sami siebie - Alexander oszukiwał się bardziej niż Piera siebie. Jednak czuli się szczęśliwi. Piera podniosła wzrok na jego kwadratową, młodzieńczą twarz, on spojrzał na Pierę siedzącą na pniu i powiedział:

- Moja narzeczona!

Później dodał:

- Wiesz, że nasze posiadłości stykają się na Wzgórzu Galii?

Alexander został głównym spadkobiercą majątku Sorentayów, a Piera jedyną dziedziczką Valtorsy. Ich połączone posiadłości stanowiłyby wspaniałe dobra. Piera uznała za interesujący fakt, że Alexander to dostrzegł, i podziwiała go za to. Jej ojciec był człowiekiem niepraktycznym, nie potrafiącym zarządzać swoim majątkiem i ilekroć musiał załatwiać sprawy finansowe, czuł się głęboko nieszczęśliwy. Wszystko próbował mu zawsze wyjaśniać Guide Sorde. Lecz mimo że Guide był dobrym rolnikiem i rządcą, sam też zaliczał się do osób praktycznych - kochał swoją pracę, a nie zyski, jakie przynosiła. Alexander widział pracę niejako karę czy cel sam w sobie, lecz

jako środek do celu. Wolał pracę biurową niż na polach i od dwóch lat sprawował funkcję księgowego w posiadłości swego ojca. Sprawy związane ze stratą i zyskiem, dochodem i nakładami były dla Piery zupełnie nowe, więc z zainteresowaniem słuchała wszystkiego, co Alexander mówił na ten temat. Inteligencja dziewczyny oraz szczerze bezkrytyczny podziw dla jego talentów bardziej przywiązały do niej Alexandra niż jego pożądanie.

Najwspanialszych przeżyć dostarczyła Pierze chwila, w której powiedziała Laurze, że jest zaręczona. Odczuwała wtedy tryumf, a Laura zazdrość, lecz były to powierzchowne emocje, drobne ukłucia, słomki unoszące się na bystrym nurcie ich przyjaźni. Romans Piery ubarwił monotonne życie Laury, a Piera bez Laury wcale by się tak nie cieszyła swymi zaręczynami. Właściwie wolała rozmawiać z Laurą o Alexandrze niż przebywać w jego towarzystwie.

Nie widywała go często, ponieważ nie mógł jej jawnie odwiedzać. Prosiła o dyskrecję, a odwiedziny młodego mężczyzny u młodej kobiety w tak małym, czujnym towarzystwie równały się oświadczeniom. Spotykali się sekretnie, a w urządzaniu tych spotkań okazał się niezbędny współudział Laury, która upajała się romantyzmem sytuacji w równym stopniu, co Piera i Alexander. Kiedy szeptali ze sobą w cieniu hangaru na łodzie, ona wielce podekscytowana stróżowała na trawniku pod gwiazdami. Może była nawet szczęśliwsza od nich.

Pocałowali się raz, pierwszego wieczoru. Pocałunek, gwałtownie złożony i niezręcznie przyjęty, wylądował obok ucha Piery. Przez chwilę żadne z nich nie śmiało się poruszyć. Trwali w bezruchu tak długo, że rozboleły ich szyje. Piera ze wszystkich sił próbowała wprawić się w stan euforii, ale na próżno i dlatego nawet nie wspomniała Laurze o tym pocałunku. Alexander nie próbował go powtórzyć. Najwyżej brał ją za rękę, ale wtedy miał wilgotne dłonie. Nie bardzo jej się podobał ten miękki, nerwowy dotyk i w trakcie rozmowy zwykle wycofywała dłoń, czego Alexander nie zauważał.

Podczas jednej z ich ulubionych rozmów Laura powiedziała:

- Wiesz co, Peri, mogę ci teraz coś powiedzieć.

- Co, co, co?

- Właściwie nic takiego. Kiedyś się zastanawiałam, jak to by było, gdybyście się w sobie zakochali, ty i Itale. Wiesz, jak się sobie wyobraża takie różne rzeczy, od razu urządza się świat według własnego uznania...

Piera skinęła głową.

- Prawdę powiedziawszy, chyba nic by z tego nie wyszło.

- Dlaczego?

- Och - ta jego polityka. I wasze charaktery. No i przecież nie jest Alexandrem!

Siedząc przy kominku i trzymając na kolanach zeszyt z wypracowaniem o obowiązkach młodej kobiety, Piera jeszcze raz pomyślała o tamtej krótkiej rozmowie, o zadumany, przekornym, serdecznym spojrzeniu, i poczuła ten sam dziwny dreszcz. Zakochać się w Itale, wyjść za niego? Nie! Czowała, że byłoby to coś zupełnie innego, czego nawet nie można przyrównać do jej związku z Alexandrem Sorentayem. To nie była gra dla niej, nie dałaby sobie rady, w ogóle nie ma co myśleć, ani o nim, ani o zapachu mandevilii i szumie letniego deszczu, o otwartych drzwiach i stojącym w nich Itale. Nie przeczytała książki, którą jej dał, "Nowe życie". Stała na półce w jej pokoju, lecz Piera nawet jej stamtąd nie wyjmowała. A jeszcze dzisiejszego ranka myślała, że Itale wraca! Bzdura. On już nie wróci. Wyjechał na zawsze.

Oczy cioci zamknęły się, jej ręce spoczęły nieruchomo na czerwonym kłębku. "Młode dziewczęta powinny być posłuszne... Powinny być schludne i zadbane..." Piera ziewnęła, a sąsiad Rodenne rzucił z uśmiechem od karcianego stolika:

- Nie połknij kominka, contesina!

Na zewnątrz głosy i kroki. Piera podskoczyła. Dzięki Bogu, goście! To był ojciec Klement, który chciał porozmawiać z hrabią Orlantem o następnym spotkaniu Katolickiej Sodalicii Mężczyzn z Val Malafrena, a wraz z nim przyszli, by się przespacerować, państwo Sorde. Eleonora przyniosła trochę nowego jedwabiu dla cioci.

- Czy z reumatyzmem kochanej cioci trochę lepiej? - spytała, a starsza dama bez najmniejszego zaskoczenia otworzyła swe jasnoszare oczy i powiedziała:

- Nie.

Guide i sąsiad Rodenne zaczęli rozmawiać o psach myśliwskich. Piera poszła do kuchni, żeby poprosić kucharkę o przygotowanie czegoś do jedzenia, bo hrabia Orlant nigdy nie wypuszczał gości nie nakarmiwszy ich. Nowy rządca wstał od przerwanej wista, żeby rozprostować nogi i ogrzać plecy przy ogniu. Laura, która widziała go tylko kilka razy, zapytała uprzejmie:

- Czy podoba się panu tutaj w Malafrenie, panie Gavrey?

- Tak, panienko - odpowiedział.

Zarumieniła się, jak zawsze przy okazji rozmowy z kimś obcym. Na tym skończyła się owa krótka wymiana zdań.

Kiedy państwo Sorde wracali do domu ścieżką nad jeziorem, Laura zapytała:

- Jaki jest ten nowy rządca hrabiego Orlanta, ojczy?

- O wiele lepszy od swego poprzednika. Jeśli się postara, to być może potrafi doprowadzić posiadłość do mniej więcej właściwego stanu.

- Nie dowiedziałam się dużo na jego temat - rzekła Eleonora. - Oczywiście nie jest jednym z Gavresów z Kulme, bo nazwisko brzmi Gavrey. Ojciec uprawia własną ziemię w pobliżu Mor Altesma, a on jest drugim synem. Bardzo mało mówi, żadna z kobiet w Valtorsa nic o nim nie wie. Mam nadzieję, że to uczciwy człowiek. Ale czy można darzyć zaufaniem kogoś tak małomównego?

- Można mieć pewność, że nie będzie gadał po próżnicy - powiedział dobrodusznie Guide. Od rana nie opuszczał go dobry nastrój. Wdychał nocne, jesienne powietrze, czuł, że żyje całym sobą, i trzymał swą żonę pod rękę. Pięćdziesiąt sześć lat to wcale nie najgorszy wiek. Przyjemnie jest wracać do domu w październikowym mroku przetykanym gwiazdami, idąc z dwiema kochanymi kobietami drogą wśród sosen.

Kiedy przed pójściem na górę Laura życzyła mu dobrej nocy, Guide ucałował ją i zrobił na jej włosach znak krzyża, co rzadko mu się zdarzało, od kiedy przestał ją traktować jak dziecko.

Eleonora widziała to i pomyślała: "Masz dobrą córkę, ale ja nie mam syna". Jednak wrażenie goryczy szybko minęło, kiedy spojrzała na twarz Laury: przez cały wieczór jej podobieństwo do brata było tak wyraziste, jak zawsze, gdy nękało ją jakieś zmartwienie. Widziała Itale w nachyleniu jej głowy, słyszała w intonacji głosu. Czyją głowę pobłogosławił Guide? Jego oczy i ręce były serdeczniejsze i mądrzejsze niż jego umysł.

Po chwili poszła za Laurą na górę. Kiedy przechodziła obok pustej sypialni, coś się poruszyło, między drzwiami i szarym na tle wygwieżdzonego nieba oknem zamajaczyła jakaś postać.

- Myślałam, że leżysz w łóżku.

- Chciałam popatrzeć na jezioro.

W białej nocnej koszuli Laura wydawała się bardzo wysoka i szczupła, niczym biały żuraw wypłoszony w nocy z szuwarów.

- Jesteś bosa! Wracaj do łóżka, zanim złapiesz zapalenie płuc. - Razem poszły do sypialni, która wychodziła na dolinę, sady i górę San Givan ciemniejącą na tle gwiazd. Okno było na wpół otwarte i do pokoju wpływały słodkie, suche zapachy jesiennej nocy na wsi. Laura ułożyła się w łóżku, a jej matka usiadła przy niej. Położyła długą, szczupłą dłoń na kołdrze, a dziewczyna spojrzała na nią i na wytartą obrączkę z miękkiego złota.

- Mamo, kiedy zakochałaś się po raz pierwszy...

- W twoim ojcu.

- A nie w poruczniku kawalerii?

Eleonora roześmiała się, robiąc zarazem skromną i szelmowską minę.

- O, nie, to była tylko kwestia wąsów... i wysokich butów...

- Czy można się zakochać umyślnie?

Eleonora zastanowiła się przez chwilę.

- Nie wiem. Brzmi to bardzo dziwnie. Ale myślę... tyle miłości rodzi się po ślubie. Przynajmniej w naszym wypadku. - Miała na myśli kobiety. - Nie sądzę, żeby można było wymusić na sobie skłonność, ale jeżeli ona już jest, to z pewnością można ją umocnić.

Przez chwilę siedziały w ciszy. Dziewczyna wybiegała myślami w przyszłość, kobieta cofała się do przeszłości.

- Śmieszny był ojciec Klement z tą zupą, prawda?

Roześmiały się obie.

- Ile razy go widzę - powiedziała Eleonora - zawsze myślę o szarej kurze, którą tak lubiła Eva, pamiętasz? Kiedy złożyła jajko, gdakała w taki szczególny sposób, a jego głos brzmi bardzo podobnie. - Znów się roześmiały. Na schodach zabrzmiały kroki Guide'a i Eleonora wstała. Spojrzała na córkę, lekko przechylając głowę. - Jesteś smutna - powiedziała.

- O, nie.

Matka, nic nie mówiąc, wciąż na nią patrzyła.

- Tęsknię za Itale. Wtedy, kiedy przychodzą listy.

- Najwyższy czas odpowiedzieć na list Matildy.

Brat Eleonory Angele Dru i jego żona Matilda, mieszkający w Solarij, zaprosili Laurę do siebie na zimę.

- Wolałabym pojechać na wiosnę - powiedziała prosząco Laura.

- Spędzenie zimy w dolinie zrobi ci dobrze na płuca. I nowe twarze na Boże Narodzenie... Naprawdę musimy już o tym pomyśleć, kochanie. Włóż nogi pod kołdrę, czyżbyś oddychała palcami u nóg? Dobranoc, kochanie. - Eleonora zdmuchnęła stojącą na kredensie świecę i wyszła. Mała, okrągła postać w ciemności. Laura nie położyła się, ale posłusznie wsunęła nogi pod kołdrę. Oplówszy kolana ramionami długo siedziała patrząc na górę i widoczne obok niej i nad nią zamglone gwiazdy, jaśniejące w zatokach nocy, jesieni i wiatru.

CZĘŚĆ III

Wybory

ROZDZIAŁ I

Jesienią roku 1826 Piera udała się do Aisnar, leżącego o jakieś czterdzieści mil na północ od Valtorsy, w celu ukończenia edukacji. Pojechali z nią ojciec i panna Elisabeth, która pochodziła z Aisnar, a także kuzynka Betta Berachoy z Portacheyki, która chciała odwiedzić znajomych. Towarzyszył im służący hrabiego Orlanta oraz stary Godin, od pięćdziesięciu lat woźnica Valtorskarów. Wyruszyli z Valtorsy pewnego wrześnieowego poranka w ogromnym, skrzypiącym, załadowanym bagażami rodzinnym powozie, starszym nawet od woźnicy. Twarz Piery, którą przyciskała do szyby żegnając się z przyjaciółmi i Malafreną, sprawiała wrażenie małej i bladej. Laura szczerze płakała, a Alexander Sprentay klusował przy powozie aż do samej Portacheyki, chociaż z powodu zamkniętego okna nie mógł z Pierą rozmawiać.

Tego lata między nim i Pierą nie było najlepiej. Kiedy tajemne zaręczyny przeciągnęły się już na drugi rok, zaczął podawać w wątpliwość konieczność ich ukrywania i Piera od razu zaczęła się z nim sprzeczać. Nie zaszli w tym daleko, bo Alexander nie chciał się kłócić. Na samą myśl o utracie Piery wpadł w panikę. Natychmiast wrócił do "Nowej Heloizy" i spotkań przy hangarze na łodzie po zapadnięciu zmroku. Piera jednak grała już te wszystkie gamy po sto razy i zaczynała odczuwać nudę. O wiele bardziej wolałaby porządną kłótnię i albo przeprosiny we łzach, albo zerwanie i złamane serce, lecz Alexander nie chciał się kłócić. Był oddany, był czuły, cierpliwy i wierny. Powiedział:

- Będę myślał o tobie każdej godziny, kiedy cię nie będzie. Nigdy się nie zmienię, Piero!

Przy ostatnim pożegnaniu szlochała. Teraz, kiedy powóz dojechał do szerokich bram Portacheyki, Alexander ściągnął wodze i uniosł rękę w pożegnalnym geście. Cały czas go widziała, wyglądając przez żółtawą szybę z rybiego kleju, stanowiącą tylne okno powozu. Przycisnęła ręką pierścionek z chalcedonem ukryty pod stanikiem. Widziała, jak postać chłopaka siedząca na koniu zmniejsza się, znika w perspektywie ulicy. Miała wrażenie, że żegna się także ze swoim dzieciństwem, spędzonym wśród marzeń i gór w ciszy doliny Malafreny. Tym razem miała suche oczy.

- Dyskretny młodzieniec z tego Sandre Sorentaya - powiedział filuternie hrabia Orlant. - Zastanawiałem się, czy będzie miał śmiałość eskortować nas przez całe miasto...

Powóz przejechał przez Portacheykę, wyjechał północną bramą, przejechał obok zrujnowanej twierdzy Vermare i zjechał na złociste pola. Pod wieczór spadł drobny deszczyk zasnuwając wzgórza mgiełką. Pasażerom udało się wspólnym wysiłkiem otworzyć zablokowane okno i Piera wychyliła się aż po ramiona w szarą, wilgotną świeżość. Hrabia Orlant nie lubił jechać

długimi odcinkami, a Godin dbał o konie, spędzili więc noc w gospodzie w wiosce Bovira, znajdującej się mniej niż w połowie drogi do Aisnar. Następnego dnia wyjechali spośród wzgórz na długą, lekko pofałdowaną równinę Marchii Zachodnich, na spokojne morze ziemi. Wieczorem dotarli do Aisnar i pojechali wzdłuż ulicy Fontarmana obsadzonej już zaczynającymi się złocić platanami, obok fontann i poważnych, wysokich domów stojących po obu stronach ulicy. Piera była w Aisnar, kiedy miała osiem lat. Zapamiętała tylko ulicę Fontarmana, stykające się wysoko nad nią platany i fontanny. Teraz ujrzała całe rzędy domów, eleganckie ekwipaże przy Okrągłej Fontannie i dobrze ubrane kobiety chodzące w sposób nie znany żadnej kobiecie w Montaynie. Opanowało ją szalone podniecenie. Miasto, pomyślała, miasto, miasto!

Można powiedzieć - bardzo spokojne miasto. Najgłośniejszy dźwięk w Aisnar wydawała woda - fontanny. Nie spotykało się zakrytych studni, a na każdym rogu ulicy lub podwórku, w światło i powietrze tryskała woda, spadając potem srebrzystą kaskadą. W sypialni szkoły klasztornej było słycać dwie fontanny: jasny, cienki wodotrysk na dziedzińcu i Fontannę Pierścienia na trójkątnym placu przed szkołą, obie prowadziły nieprzerwany, słodki i spokojny dialog niczym dwie błogosławione dusze, które tak długo już przebywają razem w niebie, że mogą jednocześnie mówić i słuchać. To wyobrażała sobie Piera podczas pierwszych nocy w dormitorium. Jej wyobraźnia bardziej niż zwykle oscylowała w stronę świętości, bo nigdy przedtem nie mieszkała wśród zakonnicek, nie nosiła szarego mundurka i nie chodziła w parach po ulicy - zakonnica, małe dziewczynki, średnie dziewczynki, duże dziewczynki, zakonnica - ani nie klęczała o świcie z pięćdziesięcioma innymi dziewczętami i kobietami na nagich kamiennych płytach w pustej kaplicy, by odmawiać godzinę trwające modły. Żaden ze zwyczajów tego nowego życia jej nie irytował, nawet wtedy, kiedy wyjechał jej ojciec i milczące podniecenie zmieniło się w milczącą i żalną tęsknotę za domem. Podobało się jej miasto, szkoła, nowe koleżanki i Piera chętnie zamieniła czerwoną niczym owoc granatu spódnicę na szary mundurek, wcale nie tęskniąc za długą wolnością dzieciństwa. Nie tęskniła za ojcem, Laurą i znajomymi, za ukochanymi twarzami z domu. Brakowało jej za to samego domu, Valtorsy, wysokich, chłodnych pokoi, sadów, winnic i pól, gór odcinających się linią horyzontu od nieba, jeziora i kamieni na jego brzegu. Dla Piery ważna była sama rzecz, a nie jej zastosowanie czy znaczenie. Znała tylko rzecz, podobnie jak skowronek zna słońce, a wilk deszcz. Chętnie przyjmowała to, co jej dawano, lecz nieustannie tęskniła za tym, co jej odbierano.

Dookoła Aisnar rozciągały się spokojne, pastelowe pola. W dzień, kiedy powietrze było przejrzyste, Piera patrzyła z okien szkoły klasztornej ku południowi na niebieskawe kłęby chmur, pod którymi leżały góry i jezioro.

Miała siedemnaście lat. Od kwietnia urosła o cal. Klasztorna fryzura ukazywała jej szerokie czoło, łagodne i uparte niczym czoło młodego byczka. W szarym szkolnym stroju wyglądała schludnie, przypominając nowicjuszkę, a poruszała się i mówiła ciszej niż poprzednio, bowiem zakochała się w nauczycielce francuskiego, siostrze Andrei Teresie, kobiecie delikatniej i nieskończenie powściągliwej, a wszystko, co powściągliwe, delikatne, skromne i wdzięczne wydawało się jej teraz święte. Tej jesieni wszystkie swe myśli skupiała na modlitwie. Osiągnąwszy apogeum w miłości do siostry Andrei Teresy i przejąwszy się ideą chrześcijańskiej ofiary, napisała do Alexandra Sorentaya i zwróciła mu jego pierścionek z chalcedonem. List był szczery i czuły, utrzymany w duchu radosnego wyrzeczenia, lecz do końca życia nie potrafiła myśleć o nim ani o wymiętej paczusce z pierścionkiem bez piekącego wstydu.

Nadeszło Boże Narodzenie. Piera nie pojechała na święta do domu, bo drogi Montayny pokrywały głęboki śnieg i błoto. Wolałaby zostać w szkole z zakonnicami i kilkoma innymi dziewczętami, lecz ulegając życzeniu ojca udała się do krewnych, u których zatrzymali się we wrześnie - do kuzynostwa ze strony matki, Belleyninów.

Ich dom znajdował się na Nowej Stronie przy skwerze Księcia Gulhelma, o cztery przecznice od Rzymskiej Fontanny. Został wzniesiony przed około stu laty z żółtego ajsnarskiego piaskowca, a w jego ogrodzie szumiała fontanna. Wewnątrz i na zewnątrz dom wyglądał skromnie i elegancko, bardziej zniszczony niż lśniący. Arystokraci z Ajsnar nie lubili polerować. Głosili zasadę, że polerować trzeba srebro, a złoto najlepiej zostawić w spokoju. Kiedy wyłaniali się ze swoich strzeżonych murami ogrodów i wysoko sklepionych prywatnych pokoi, mogli być groźni, lecz nie przejawiali arogancji - zbyt dużo mieli w sobie spokoju. Zachowywali się powściągliwie i łagodnie. Tutaj, na zachodzie kraju, cywilizacja pojawiła się bardzo dawno temu. Piera, która w przeciwieństwie do Laury i Itale rzadko ulegała niepohamowanym emocjom, czuła się wśród tych ludzi swobodnie. Swawolna żywość skrywała jej uczucia - powolne, nieokreślone i nieme. W klasztorze i wśród ajsnarskiej szlachty jej żywość się utemperowała, a powściągliwość wysubtelniła i Piera zachowywała się z miłą statecznością siedemnastolatki. Belleyninowie bardzo ją polubili. Pan domu był przystojnym, niskim, sześćdziesięcioletnim mężczyzną, który czasami lekko się jękał, a pani, z domu hrabianka Rochaneskar, była delikatną, szarozłocistą damą w wieku pięćdziesięciu lat. Ich dwie córki dawno już wyszły za mąż. Jedna z nich mieszkała w Brailavie, druga za rogiem. Życie w domu przy skwerze Gulhelma przebiegało w powolnym rytmie, uporządkowane, ciche i nieco smutne. Ponieważ było Boże Narodzenie i Belleyninowie mieli młodego gościa, przyjmowali więcej wizyt niż zwykle, jednak dni mijały bardzo spokojnie. Piera dopasowała się do tego życia tak dobrze, że sprawiała wrażenie, jakby zawsze tu mieszkała, jakby

była ich późno urodzoną córką i spędziła samotne dzieciństwo, bawiąc się na trawniku między gruszą i fontanną, w ogrodzie za złocistym murem.

Na wszystkie świąteczne obiady i kolacje przychodzili bardzo podobni ludzie z kręgu znajomych Belleyninów. Większość z nich była w oczach Piery stara. Nie przeszkadzało jej to. Przyzwyczała się do bycia zawsze najmłodszą i wiedziała, jak korzystać z uprzywilejowanej pozycji. Wśród starszych nie czuła się zagrożona. Młodzi mężczyźni byli przestraszeni i przerażający i zawsze stwarzali niezręczne sytuacje. Znacznie łatwiej jej się rozmawiało na przykład z mężczyzną czterdziestoletnim, bo nie było w tym nic poważnego i przypominało spotkanie z interesującym cudzoziemcem.

Przyjęcie noworoczne odbywało się w domu bliskiego przyjaciela zięcia Belleyninów, wdowca nazwiskiem Koste. Funkcję gospodyni pełniła siostra, a jego małemu synkowi pozwolono przed pójściem do łóżka zostać przez godzinę z gośćmi. Piera już przedtem poznała czteroletniego Battiste, z którym przypadli sobie do gustu. Nie miała wiele do czynienia z małymi dziećmi i jego mowa brzmiała dla niej cudownie zabawnie i wzruszająco. Był równie dobrze wychowany jak jego ojciec i niezamężna ciotka, lecz - z racji wieku - brakowało mu jeszcze ich głębokiej powściągliwości: paplał do Piery, szczerze ją podziwiał i sprawiał przyjemność obdarzając zaufaniem i uczuciem, do których zdobycia wcale się nie przykładła. Spróbować na nie zasłużyć było dla niej miłym zadaniem. Kiedy ojciec chłopca, mężczyzna nieśmiały i poważny, skarcił go za naprzykrzanie się jej, Piera ciepło go usprawiedliwiła. Zaskarbiła tym sobie wdzięczność Battiste, a może i jego ojca. Kiedy nadszedł czas snu, Piera wraz z niańką odprowadziła go do łóżka, została serdecznie ucałowana i wróciła do salonu rozmyślając, że dziecko jest nadzwyczajną istotą i że zapewne jest miło być otoczoną przez dzieci. Podobnie jak przyjemność sprawiało jej to, że mogła mieć w pobliżu mężczyzn, słyszeć basowe tony ich głosów, a nie ciągle klasztorne szczebiotanie. Usiadła przy kominku. Przyjęcie toczyło się wesoło i spokojnie. Rozmowy płynęły cicho i niespiesznie, jak woda w ajsnarskich fontannach. Było kilka osób, których Piera nie знаła, lecz zachowywały się one jak inni. Kwadrans szybko mijały, ogłaszane cichutkim ping! francuskiego zegara na kominku. Piera przeważnie milczała, ciesząc się swym milczeniem, swoim dobrym zachowaniem i poczuciem, że w ten sposób sprawia przyjemność innym. O dziesiątej przybyli ostatni goście, baron Arrioskar z żoną, siostrą i zięciem oraz ich gościem z Krasnoy.

Gościem była młoda kobieta. Nie włożyła żadnej biżuterii ulegając może prowincjonalnej wstrzemięźliwości, lecz jej fioletowa suknia była wspaniała, a zachowanie nienaganne. Kobieta, która potrafiła tak chodzić, nie musiała się odznaczać wielką urodą. Piera patrzyła jak urzeczone. Wszystkie jej wzorce tego, co godne podziwu, w jednej chwili straciły rację bytu. Jaka okazywała się przy niej siostra Teresa? Łagodna, słaba, bez polotu. Nie było to kruche piękno

powściągliwości, lecz przepych kobiecej siły i wolności. Jest cudowna, pomyślała Piera. Tak powinni wyglądać ludzie, jest cudowna. Zostały sobie przedstawione: hrabianka Valtorskar, baronówna Paludeskar.

Dama ze stolicy przywitała się chłodnym, wyraźnym kontraltem i miała być przedstawiona następnej osobie, lecz Piera odezwała się zupełnie bez zastanowienia:

- Sądzę, że mamy wspólnego znajomego, baronówno. - Była przerażona tym, co mówi, i jak głupio wypadła.

Piękna baronówna uśmiechnęła się pytająco.

- Pana Sorde z Malafreny...

- Sorde! - Baronówna Paludeskar zdecydowanie zatrzymała się w miejscu i po raz pierwszy przez moment spojrzała na Pierę. - Naprawdę, czy pani go zna? - spytała pobłażliwie.

- Jesteśmy sąsiadami, moja rodzina i rodzina Sorde. W Val Malafrena.

- A zatem zna pani Itale od dawna.

- Przez całe życie - rzekła Piera i zarumieniła się. Nie był to delikatny, różowy rumieniec, lecz gorąca, buracza czerwień. Zapiekły ją policzki i rozdzwoniło się jej w uszach, stała zesztywniała, a w głowie wirowała jej tylko jedna myśl: Błagam, przestań, przestań, przestań! Gdyby tylko piękna baronówna ją zostawiła, podeszła do innych gości, to głupie skrępowanie by minęło i Piera już nigdy nie odezwałaby się do obcej osoby.

Baronówna uśmiechnęła się do swego opiekuna rezygnując z dalszych prezentacji i usiadła na złożonym krześle przy podnóżku, z którego właśnie wstała Piera.

Zrozpaczona Piera także usiadła i złożyła ręce na kolanach.

- Moi drodzy kuzynostwo oprowadzili mnie dzisiaj chyba dwa razy po całym Aisnar - rzekła baronówna i uśmiechnęła się zarazem złośliwie i przyjaźnie. - Od dawna marzę, żeby usiąść. Cóż to za przyjemność spotkać kogoś, kto zna Itale! Bardzo go lubię, moja droga. Poznaliśmy go, gdy tylko przyjechał, jakiś rok temu. Ależ on się zmienił!

- Tak... naprawdę... w jaki sposób?

- Och, no cóż, najpierw był taki zabawny - bardzo sztywny, krytykancki, podejrzliwy w stosunku do każdego. Zapewne z braku doświadczenia, teraz jest dość imponującą postacią - dodam, że wcale o to nie zabiega.

Miała pięknie modulowany głos. Piera słuchała zafascynowana i w odpowiedzi na błakający się na ustach baronówny uśmiech, który teraz się pogłębił, uśmiechnęła się sztywno.

- Powiedz mi, powiedz - rzekła Luisa pochylając się do przodu, by usłyszeć ploteczki - powiedz mi, jaki jest ojciec, ten potwór!

- Ojciec Itale?

- Tak. Chcę wiedzieć, naprawdę chcę wiedzieć, kim jest ktoś, kto wydziedzicza własnego syna tylko dlatego, że ów syn chce przez jakiś czas pomieszkać w mieście jak cywilizowany człowiek! Czego on chce? Jacy są ci ludzie mieszkający wysoko w górach? Nigdy nie poznałam żadnej kobiety z Montayny, w tym cały kłopot. Mężczyźni niczego nie potrafią wyjaśnić. Wyłumacz mi. Czy wszyscy macie taką żarliwość w duszy?

Piękna kobieta wcale się z nią nie droczyła, miła i uprzejma mówiła bez złośliwości. Po prostu Piera była głupią, prowincjonalną uczennicą, która niczego nie wie i nie potrafi rozmawiać.

- Nie wiem - szepnęła.

- Uważam, że Itale jest najbardziej żarliwym człowiekiem, jakiego znam - rzekła baronówna Paludeskar, tym razem cicho i z namysłem. - To jest oczywiście sekret jego sukcesu. Gdyby był świętym w dawnych czasach, to nawracałby całe narody pogan! Wiesz, że ostatnio robi się w Krasnoy bardzo sławny?

- Nie...

- Trudno uwierzyć, jeżeli coś takiego dotyczy towarzysza zabaw dziecińczych. Ja wiem! Pewnie myślisz: "Co, on? On miał kurzajki i ciągnął swoją siostrę za włosy, on nie może być sławny!" Znałam małych chłopców, którzy teraz są radnymi, sędziami, radykałami i nie wiadomo kim jeszcze, i ja mam w to uwierzyć... A trzeba ich brać poważnie, hrabianko. Zadaniem kobiet jest poważne traktowanie mężczyzn. Gdybyśmy tego nie robiły, społeczeństwo mogłoby się rozpaść i mężczyźni musieliby się traktować poważnie nawzajem, a reszta z nas pękałaby ze śmiechu... To wszystko bzdury, ale prawdą jest, że naszego przyjaciela niektórzy ważni ludzie traktują chyba nazbyt poważnie. Ale ty mi nie wierzysz...

- Och, tak, tak, wierzę - wymamrotała żałośnie Piera.

Gdyby tylko nie musiała nic mówić, a jedynie mogła obserwować baronównę, słuchać jej i próbować zrozumieć. Gdyby tylko przestała mówić o Itale - to było bardzo deprymujące. Podobnie się czuła, kiedy zobaczyła szczupłą stopę baronówny w srebrzystym pantofelku. Natychmiast skryła swoje nogi pod suknię. W końcu jednak musiała się odezwać.

- To zapewne... z powodu gazety...

- Co? Gazety? - opryskliwie rzuciła baronówna. - Och, jego czasopismo, tak. Zdaje się, że jest dość popularne. Ale nie to się liczy. Chodzi o to, że Itale jest modny - powinnam raczej powiedzieć - jego idee, chociaż się zastanawiam - ale teraz wszyscy jesteśmy patriotami!

- Och, tak, rozumiem - wyjąkała Piera zduszonym głosem. Oszalała ją ta rozmowa.

Baronówna mówiła dalej z czarującym uśmiechem, opowiadała jakąś historię o Itale, o kimś nazwiskiem Helleskar, o jakimś generale i coś o Austrii, co okazało się w końcu śmieszne i Piera czuła, że powinno ją to ubawić, ale tylko się uśmiechnęła i skinęła głową. Miała tak ściśnięte

gardło, że bała się powiedzieć choćby "tak" czy okazać, że słucha. Kiedy podszedł do nich gospodarz, Piera spojrzała smutno na jego spokojną twarz, jakby z przeciwnej strony przepaści. Panna Paludeskar nie została jeszcze przedstawiona Belleyninom, więc Koste ją do nich poprowadził. Po chwili wrócił i usiadł na miejscu baronówny.

- Przepraszam, że przeszkodziłem wam w rozmowie - powiedział swym nieśmiałym, poważnym głosem. Piera pomyślała, że wybawił ją z kłopotliwej sytuacji, a teraz usiłuje ratować dumę. Szczerze wdzięczna za jego prostą serdeczność, powiedziała:

- Och, nie potrafiłam z nią rozmawiać, jest zbyt piękna...

- O, tak. Cudownie modna - rzekł Koste z absolutnym przekonaniem prowincjusza wydającego wyrok na własnym gruncie.

W jego zachowaniu Piera odczuła ufność i aprobatę, co sprawiło, że natychmiast odzyskała pewność siebie. Koste znalazł jakiś inny temat i kiedy tak rozmawiali, dziewczynie przyszło na myśl, że jej męcząca rozmowa z baronówną była w pewnym sensie bitwą, którą ona przegrała. Ale dlaczego bitwa? O co? I dlaczego nie można było porozmawiać swobodnie i szczerze, właśnie tak jak teraz?

- Czy w Aisnar są jacyś patrioci? - zapytała.

Koste wyglądał na nieco zaskoczonego, ale po chwili poważnie odpowiedział:

- Patrioci? Wyobrażam sobie, że chodzi pani o nacjonalistów?

Tak, oczywiście. Tradycje liberalne są tu bardzo stare. Datują się chyba od czasów walk prowincji zachodnich z władzą monarchii z Krasnoy. Poczucie niezależności pozostało.

- Ale patrioci, to znaczy nacjonaści, chcą przywrócić monarchię, prawda?

- Tak. Wstąpienie na tron księcia Matiyasa oznaczałoby koniec austriackiej dominacji.

- A więc nie lubią wielkiej księżnej Mariyi przede wszystkim dlatego, że jest Austriaczką?

- Właściwie tak.

- Myślałam, że może w ogóle nie chcą mieć królów - powiedziała Piera, nie kryjąc rozczarowania. - A zresztą, co to za różnica?

- O, bardzo duża. Gdyby księżę Matiyas został królem, otrzymałby koronę z rąk ludu, przysięgając posłuszeństwo konstytucji, uchwalonej przez Zgromadzenie Stanów Generalnych. Nie stanowiłby władzy, a zaledwie by ją reprezentował. - Wyjaśniał to bez cienia protekcjonalności. - Czy interesuje się pani ruchem nacjonalistycznym, contesina?

- Nie wiem, nigdy dotąd go nie rozumiałam.

- To bardzo złożona sprawa. Wątpię, czy ktokolwiek naprawdę rozumie, co to jest "nacjonalizm" - dlaczego ci, którzy są piewcami wolności, poszukują szczególnego, narodowego

przeznaczenia, podczas gdy ci, którzy odrzucają elementy narodowej kultury, często pragną wolność tę poświęcić w imię pokoju.

- Czy jest pan radykałem, panie Koste?

- Ja? Nie, contesina.

- Ale czy kraj nie powinien być znów niezależny? To znaczy dlaczego mają nami rządzić Austriacy? Nie znają nawet naszego języka. Dlaczego nie pozwalają, byśmy rządzili się sami?

- Cóż, nikt z nas nie jest sam. Ten pokój jest od czasów Napoleona dość nietrwały. Nawet drobni sprzymierzeńcy Cesarstwa, jak my czy księstwa północnowłoskie, mogliby go zburzyć, gdyby można było swobodnie zmieniać sojuszników.

- Ale czy taki pokój jest coś wart, skoro jest tak nietrwały?

- Może nie - rzekł Koste powoli, z głębokim namysłem. - Ale czy jest czegoś warta jakakolwiek wojna?

- Oczywiście, że nie - powiedziała Piera z powagą. - Ale przecież radykałowie nie pragną wojny, prawda? Chcą się tylko pozbyć Austriaków, mieć wolne wybory i króla - prawda?

Koste skinął głową.

- Niepodległość, wolne wybory, reprezentacja w rządzie, reforma skorumpowanych instytucji - to wielkie sprawy. Nawet jeśli się udaje przeprowadzić bez rewolucji czy wojny, i tak sprowadzają się one do rewolucji i wojny, przynajmniej w odbiorze pojedynczego człowieka. Przerastają go i niszczą wszystko, nawet to, co mogło być dobre w jego dotychczasowym życiu. Kiedy ludzie są bardzo biedni, ich jedyną nadzieją jest ruch reformatorski, który może wynieść ich wyżej. Dlatego w Rakayie czy w Foranoy ruch radykalny co roku wzrasta w siłę. Na zachodzie mamy bardzo mało prawdziwej biedy, większość ludzi może swobodnie wybierać sposób życia. Tutaj, w Aisnar, wypracowaliśmy go sobie, ale trwało to wiele stuleci. Jeśli zostanie on podporządkowany żądaniom ludzi o innych niż nasze poglądach, potrzebach i przyzwyczajeniach, przepadnie w ciągu połowy dekady. Cenię sobie to życie i ludzi stąd - są mi bardzo bliscy. Nie mogę więc darzyć sympatią owych reformatorów, którzy w dążeniach do zmiany oblicza świata w imię jakichś celów, także zniszczą mój nikomu i niczemu nie zagrażający zakątek.

Piera uważnie słuchała wypowiedzianych słów i zrozumiała ich sens. Aby przekonać się, jakie osiągnięcia Koste chce zachować, wystarczyło spojrzeć na niego, na jego dziecko, dom i miasto, to spokojne miasto, szumiące fontannami. Dla nich wszelkie zmiany oznaczały stratę. A ponieważ rozmawiała właśnie z nim i darzyła sympatią, podzielała jego zdanie. Reforma była dobra gdzie indziej, tam gdzie jej potrzebowano.

Zdawała sobie sprawę, że przyjmując taką postawę zwraca się przeciwko poglądom Itale, i świadomość tego sprawiła jej przyjemność. Świetnie! Niech sobie będzie radykałem, niech

wszyscy w Krasnoy o nim mówią, a baronówna Paludeskar rozprawia o nim, jak jej się żywnie podoba. W ogóle nie chce wiedzieć, co się dzieje w Krasnoy. Ona mieszka w Aisnar i jest samodzielną kobietą. Jej dobre maniery i nieśmiałość pensjonarki gdzieś zniknęły, a w ich miejscu lśnieniem granatu błysnęła radość. Podeszli do nich inni i Piera znalazła się w środku tak powstałej grupy. Orkiestra składająca się z trzech muzyków stroiła instrumenty. W Aisnar panował zwyczaj rozpoczynania nowego roku tańcem. Tańczyła więc swobodna i szczęśliwa. Włożyła nową suknię z szarego jedwabiu, której dół z jednej strony podtrzymywała róża ze złocistej lamy. Piera była szczupłą, dumnie nosiła głowę i miała smagłą, przyjemnie zaróżowioną twarz. Obdarzała wesołym śmiechem każdego partnera, z którego rąk przechodziła w objęcia następnego. Obserwował ją Givan Koste. Spotkały się w tańcu z baronówną Paludeskar, ukłoniły się sobie w zmieszonym blasku fioletu i szarości, cofnęły się do stojących naprzeciw siebie rzędów tancerzy. Koste patrzył, jak z wdziękiem pozwoliła się porwać partnerowi do solowej figury. Patrzył, jak po skończonym tańcu Piera do ostatniej łyżeczki wyjada lody waniliowe. Podeszedł do niej i poprosił o następny taniec. Spojrzała zaskoczona. Będąc wdowcem zaledwie od dwóch lat, Koste nie tańczył. Napotkała jego wzrok.

- Tak - powiedziała wstając i ujmując go za ręce, a pianino, skrzypce i kontrabas podały pierwsze takty zamaszystego poloneza.

Muzyka umilkła przed zakończeniem tańca, urywając się w połowie taktu: mały francuski zegar wydzwaniał północ.

- Nowy rok - powiedział Koste. - Skończyliśmy razem stary, czy wspólnie zaczniemy nowy? - Dał orkiestrze znak, muzyka zabrzmiała od nowa, a Piera nie sprzeciwiała się, by tańczyli dalej.

- Czarujące dziecko z tej waszej hrabianki z Montayny - zauważyła Luisa w rozmowie z siostrą Givana Koste.

- Tak, to słodka dziewczyna - odparła panna Koste. - Gdzie ona jest? Chciałam z nią zamienić słówko, ale nie widzę jej od kilku minut. Właściwie od zeszłego roku - roześmiała się cicho ze swego żarciku.

- Na razie spędza rok tańcząc z pani bratem.

- Z moim bratem - powtórzyła panna Koste bezbarwnym głosem i przez dłuższą chwilę przyglądała się tancerzom. - Z przyjemnością patrzę, jak mój brat znów tańczy. Po tak długim czasie.

- Źle się czuł? - spytała Luisa tłumiąc ziewanie.

- Stracił swoją ukochaną żonę - w przyszłym miesiącu upłyną dwa lata od tego czasu. Tak się cieszę, że z powodu uprzejmości dla tego dziecka na chwilę się zapomniał.

Uprzejmości, rzeczywiście, dziecka, rzeczywiście! Luisa spojrzała na pannę Koste. Usta miała zaciśnięte, a palce mocno splecione. Całkiem niewykluczone, że noworoczny poranek spędzi we łzach w swojej schludnej sypialni na piętrze, w której oprócz jej ojca i brata nigdy nie było żadnego mężczyzny, lecz tu, na dole, w towarzystwie nic nie umykało jej uwagi. Była zbyt nieśmiała, zbyt dumna. Nic nie można wydobyć z tych nieugiętych i nieznośnie uprzejmych, zamkniętych w swoim małym świecie ajsnarczyków. Luisa poddała się i ziewnęła.

- Tak, istotnie - powiedziała. Spojrzała na twarz Givana Koste, ciemną i rozświetloną jak ożywiony węgiel, oraz na jedwabny wir sukni Piery Valtorskar i znów ziewnęła, tym razem ostentacyjnie, mściwie.

Odezwała się do Piery jeszcze raz pod koniec wieczoru.

- Wielką przyjemnością była dla mnie rozmowa o naszym wspólnym znajomym, contesina. Może razem porozmawiamy, kiedy przyjedzie.

- Przyjedzie?

- Nie wspominał ci? Być może w marcu, na kilka tygodni, z moim bratem.

- Och, mam nadzieję - odparła Piera. - Dobranoc, baronówno, tak się cieszę, że panią poznałam! - Odeszła uszczęśliwiona, siedemnastoletnia i upojona tańcem. Wychodząc, Luisa słyszała, jak długo się rozlegał jej beztroski, słodki śmiech.

Piera wróciła do szkoły klasztornej, włożyła mundurek, chodziła pokornie za zakonnicą w czwartkowe popołudnia, klęczała co rano godzinę w zimnej kaplicy, lecz pobożność, do której dążyła i którą się cieszyła przez trzy miesiące, ulotniła się z dnia na dzień, zostawiając po sobie zaledwie delikatną woń świętości. Czekala teraz na koniec tygodnia nie z powodu niedzielnej sumy, lecz sobót, które od czwartej po południu do jedenastej wolno jej było spędzać z Belleyninami. Wiedziała z góry, co się będzie działo: podwieczorek w salonie, spokojna rozmowa, przebranie się do posiłku, kolacja w gronie starych znajomych lub rodziny, kawa, może trochę muzyki, a potem pan Belleynin odprowadzi ją piechotą do klasztoru. Wszystko. Lecz te spokojne wieczory były urządzone tylko dla niej, jako lekcje, najprzyjemniejsze lekcje z najbardziej subtelного przedmiotu. Dowiodła, że jest zdolną uczennicą. Po kilku tygodniach każdy obcy wziąłby ją za inteligentną i dobrze wychowaną pannę z ajsnarskiej arystokracji. Nagrodę za jej pojętność stanowiła okazywana przez wszystkich przychylność, serdeczność i uznanie za osobę z własnego grona. Nagroda ta mogłaby okazać się niewystarczająca, gdyby nie kryła dwóch dodatkowych elementów: od Piery wymagano jedynie zewnętrznego dostosowania się, nie wtrącając się do jej uczuć. Zwornikiem tego delikatnego łuku była powściągliwość. Nauczono Pierę spójnego systemu zachowania, lecz jej ducha zostawiono w spokoju. Druga atrakcja

sobotnich wieczorów u Belleyninów wiązała się z obecnością Givana Koste, smutnego mężczyzny, dwa razy od niej starszego wdowca, stałego gościa.

- Cóż za radość widzieć, że Givan znowu jest sobą - powiedziała pani Belleynin przy kawie, którą pili tylko we trójkę. Jej mąż przytaknął, lekko się jękając, i oboje się uśmiechnęli, ogarniając tym uśmiechem i Pierę, która też się uśmiechnęła, czując, że jest ważna, ceniona, kochana. Jacy oni wszyscy są dla niej mili! To cudowne i musi już zawsze tak być, dokładnie tak samo, bez najmniejszych zmian.

W pierwszą sobotę marca przysłała w deszczu do domu swoich kuzynostwa o czwartej i zastała tam Givana Koste. Często do nich przychodził wieczorami, ale nigdy w sobotnie popołudnia. Pani Belleynin była zmieszana. Mówiła więcej niż zwykle, a Koste mniej. Nalała herbatę, po czym wstała mówiąc:

- Chyba sama muszę poszukać Albrekta, pewnie jest w swoim gabinecie - i zostawiła Pierę sam na sam z gościem.

Instynkt, nauka, dwumiesięczne przygotowanie, wreszcie kobieca intuicja mogły uprzedzić Pierę, co ma nastąpić - i rzeczywiście nastąpiło - lecz Piera zatrzasnęła przed nimi umysł, otworzyła usta i odezwała się do Givana Koste:

- Widział się pan ostatnio z baronówną Paludeskar?

- Ostatnio nie.

- Nie rozmawiałam z nią od Nowego Roku na pańskim przyjęciu. Czasami mijamy się na ulicy, ale tylko z daleka wymieniamy ukłony. Jest taka piękna, tak elegancka w każdym calu. Kiedy muszę przechodzić obok niej, idąc w parach z innymi dziewczętami, czuję się jak któreś ze zwierząt w arce Noego...

Zdobył się na uśmiech, lecz nie słowa.

- Mamy wspólnego znajomego, czy to nie zdumiewające, skoro pochodzimy z tak odległych miejsc? On teraz oczywiście mieszka w Krasnoy. Baronówna powiedziała, że może tej wiosny odwiedzi Aisnar. Poznać osobę, której się nie zna, a która zna kogoś znajomego, zadziwiające, prawda? - To na nic, zupełnie na nic. Szczękała zębami. Spojrzała na niego błagalnie, żeby przemówił i zmusił ją do milczenia, żeby spuścił topór.

Oświadczył się jej. Piera oświadczyły przyjęła.

Popatrzyła na ich złączone dłonie. On już nie miał ślubnej obrączki. Zastanawiała się, kiedy ją zdjął, dzisiaj czy wcześniej? Nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby spojrzeć. Jego dłoń była ciemna, silna, wypielęgnowana. Pierze podobał się jej wygląd, jej ciepło. Pochyliła głowę i ucałowała ją.

- O, mój Boże, Piero - wyszeptał, a ona pomiędzy przestraczeniem i przyjemnością wyczuła drżenie przebiegające całe jego ciało. Odsunął się od niej i dwukrotnie przeszedł po pokoju.

- Napiszę do twego ojca - powiedział, jakby jej czymś groził.

- Oczywiście. Ja też.

- Jest dziecko.

- Znam je!

- Mam prawie czterdzieści lat - rzekł odwracając się do niej.

- Trzydzieści osiem - odparła. To go zaskoczyło.

- Być może nie spodoba się to hrabiemu Valtorskarowi - powiedział już nieco spokojniejszym tonem. - Masz dopiero siedemnaście lat.

- Moja matka miała siedemnaście, kiedy wyszła za męża. On miał trzydzieści trzy. W każdym razie papa zwykle pochwała to, co robię.

- Nie może go ucieszyć fakt, że cię straci, Piero.

- Ale... będziemy czasami przyjeżdżać do domu, prawda? Do Malafreny? - Tym razem ona się zaniepokoiła.

- Oczywiście.

- A zatem wszystko w porządku - rzekła beztrąsco. Słowo "strata" przeszło ją jak nóż: stracić ojca, stracić jezioro, dom balustradę z tłustym kupidynem... Ale będą często przyjeżdżać do domu, nie musi zamieszkać w Aisnar na zawsze. Więcej już o tym nie myślała.

Givan Koste przestał chodzić po pokoju i zamierzał powiedzieć coś jeszcze, zapewne znajdując kolejną przeszkodę na drodze swoich pragnień. Piersi uśmiechnęła się. Zrobiło się jej go bardzo żal, a on był taki przystojny z tą poważną, pełną napięcia twarzą. Odwrócił się i zobaczył uśmiech Piery, który go wzruszył do głębi.

- Pomyślałem sobie... może na Boże Narodzenie... - wykrztusił.

- Na Boże Narodzenie?

- Twój ojciec będzie chciał, żebyś ukończyła rok u św. Urszuli. A rok... zwykle mija rok... właściwie mamy mniej czasu...

- Dziesięć miesięcy - powiedziała rozmarzonym głosem patrząc na swoje ręce.

- Czy to za szybko?

- O, nie. Czy musimy to od razu ogłosić?

- Nie, jeśli tego nie chcesz - odparł z wdzięcznością, której nie rozumiała.

- Chciałabym powiedzieć Belleyninom i oczywiście papie. I Laurze. Och, polubi pan Laurę, panie Koste!

- Mam na imię Givan - rzekł uprzejmie.

Oboje usłyszeli tę uprzejmość w jego głosie i wybuchnęli śmiechem. Ich spojrzenia zetknęły się. Miał minę zawstydzonego chłopca. Śmiech sprawił im cudowną ulgę.

- Kto to jest Laura? - zapytał.

- Moja przyjaciółka, Laura Sorde. - Wypowiedzenie tego nazwiska sprawiło, że znów nagle ogarnęła ją nieśmiałość. - Jest bardzo miła. - Spuściła wzrok, jak uczennica, zawstydzona swym niestosownym zachowaniem.

Koste czuł się przy niej najswobodniej, kiedy była nieśmiała, kiedy nie obiecywała mu otwarcie spełnienia, w które jeszcze nie potrafił uwierzyć. Podszedł do niej i delikatnie ujął za rękę. W jego twarzy i głosie było dużo ciepła.

- Chcę, żebyś porozmawiała ze swoim kuzynostwem, Piero. Chciałbym, żebyś miała czas do namysłu, żebyś była pewna, czuję, że... Miłość do ciebie jest już wystarczającym przywilejem... powinienem już iść. Wrócę, kiedy mi każesz.

- Dziś wieczorem?

- Dziś wieczorem - powiedział z uśmiechem, który rozświetlił mu twarz nie zmieniając jej, i wyszedł. Piera siedziała bez ruchu. Obok niej stały na stole cztery oprawne w srebro szklanki z zimną herbatą. Zerwała się i poszła poszukać pani Belleynin. Nie chciała być sama. Spotkały się na schodach.

- Poszedł? - spytała z niepokojem starsza kobieta.

- Tak - odparła i wybuchnęła płaczem.

- Och, moja kochana, moja kochana - mruknęła pani Belleynin przytulając mocno Pierę. - No już, już, już po wszystkim. Tak mi przykro!

- Nie wiedziałam, że się rozplacę - szlochała Piera z twarzą wtuloną w miękkie, słodko pachnące ramię.

- Biedactwo, to wszystko nasza wina. Jakaż jestem głupia! Co za nieszczęście, co za nieszczęście!

- Ale to wcale... to znaczy mamy się pobrać... na Boże Narodzenie. Nie wiedziałam, że będę płakać!

- Na Boże Narodzenie? Jesteście zaręczeni? - zapytała pani Belleynin przez łzy. - Ojej! Nie zrozumiałam... myślałam, że popełniliśmy okropny błąd... Ale ty nie jesteś szczęśliwa? Czy coś się stało? - Spojrzała na szerokie, uparte, dziecinne czoło, bo tylko tyle dawało się zobaczyć z twarzy Piery, powtarzając pytanie z jeszcze większą czułością. Bowiem sumienie miała czujne i wrażliwe, a żadna z jej córek, które w wieku siedemnastu lat były spokojnymi, opanowanymi kobietami, nigdy nie tuliła się tak, by poszukać oparcia w matczynych ramionach.

- Nie, jestem bardzo szczęśliwa - wychlipała Piera płacząc tak bardzo, że pani Belleynin zaniechała wszelkich pytań i zaprowadziła ją na górę do pokoju, by tam pocieszyć.

- Już, już - szeptała - już dobrze, Piero, nie płacz, już po wszystkim...

ROZDZIAŁ 2

Itale stał obok okna w domu przy ulicy Fontarmana, patrzył na wschód księżyc nad starymi ogrodami, ciemniejącymi w mroku i słuchał śpiewnego szmeru fontanny, mieszającego się z szelestem liści, poruszanych delikatnym, zachodnim wiatrem. Ubrany był w śliwkowy surdut - prezent od matki na gwiazdkę. Miał lnianą koszulę, cienką i dobrze nakrochmaloną, włosy porządnie uczesane, halsztuk i szpilkę na właściwym miejscu, a twarz spokojną i nieco smutną. Zastanawiał się, czy patrząc na południe mógłby, przy dobrej pogodzie, zobaczyć góry.

- Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak często jak ty wyglądał przez okna - powiedział Enrike Paludeskar wchodząc do pokoju, delikatnie przedtem zapukawszy. - Co ty tam widzisz, Sorde? Dachy, drzewa, księżyc, nic się nie dzieje. Mam taki sam widok. Jesteś gotowy?

- Tak - odparł Itale, patrząc smutnymi oczami na ciężką, starannie ogoloną, dobroduszną twarz Enrike'a.

- Jak ci się podoba mój powóz? Jest w angielskim stylu. Wszystko teraz musi być angielskie. Nie wiem, dlaczego. Chodź, Luisa czeka. Która godzina? Piekielne spodnie! Są tak wąskie, że nie mogę wyjąć zegarka bez wykonywania paru tanecznych pas. Nie możemy się spóźnić, starsza pani to istny smok.

Itale spojrział na swój zegarek, który wskazywał drugą trzydzieści. Przestał chodzić kilka tygodni temu i Itale ciągle zamierzał oddać go do naprawy.

- Pewnie zbliża się szósta.

- Lepiej już pojedźmy.

Luisa uśmiechnęła się do nich z dołu szerokiej klatki schodowej.

- Nie bądź niemądry, Harry, to zaraz za rogiem.

- Aisnar jest strasznie ściśnięte - rzekł z niechęcią Enrike. - Nie cierpię przychodzić pieszo.

Wyszli jednak we wczesnowiosenny wieczór pieszo. Fontanny śpiewały, pączkujące gałęzie platanów splatały się nad ulicą, wiatr był delikatny i chłodny, a nad dachami wisiał jasny księżyc. Wszystko znajdowało się w równowadze; w doskonałej, wzajemnej harmonii - pomyślał Itale.

Mieli zjeść kolację w najwyższych sferach aisnarskiej socjety, u markizy Feldeskar-Torm. Itale został dobrze przyjęty. Wiedziano, kim jest: synem posiadacza ziemskiego z Val Malafrena, jednego z zachodnich domey, a także gościem jednego z miejscowych arystokratów, a zatem, chwilowo, jednym z nich. Najwyraźniej wiedziano też, kim jest oprócz tego, bo markiza, drobna, niezbyt ładna, starsza dama, odezwała się do niego po kolacji:

- No i cóż, panie Sorde, przynosi pan rewolucję do Aisnar? Sądziłam, że nie jesteśmy warci uwagi wichrzycieli.

Wyglądało, że nie ma sensu jej zwodzić.

- Nie, pani markizo - odparł Itale. - Próbuję jedynie zwabić nieco waszej młodzieży do Krasnoy.

- Wy, ludzie z miasta, zawsze chcecie zatrzymać rewolucje dla siebie - rzekła starsza pani ze śmiechem, przyprawiającym o dreszcze. - Czytałam wiele pańskich artykułów, panie Sorde. Są interesujące i przekonujące.

Podziękował ukłonem.

- Przypominają mi czasami to, co pisał nasz Valtura dla starego aisnarskiego "Merkurego" i Kostant Veloy w "Przeglądzie" wychodzącym w Krasnoy. A potem uświadamiam sobie, że Veloy nie żyje od dwudziestu lat, a Valtura jest w austriackim więzieniu od dziesięciu - chyba też już umarł. Widziałam cztery pokolenia radykałów, panie Sorde, ale ani jednej rewolucji.

Wyzwanie było bezpośrednie i Itale bezpośrednio na nie odpowiedział:

- Ufam, że ją pani zobaczy, pani markizo.

- Próbujesz, to trzeba ci przyznać. Widzę, że przekonałeś naszą przystojną baronównę. - Spojrzała na Luisę, która rozmawiała o polityce z panem Belleyninem i którymś z młodszych FeldeskarówTormów. - Wątpię, czy udałoby się to Valturze.

- Gdyby miał okazję...

- Ale jej nie miał - rzekła patrząc na niego bystrymi, zimnymi oczyma.

Wyszedł z tej przyjemnej kolacji nieco przygnębiony. Markiza wbiła mu kilka szpil z niezwykłą precyzją. Przypomniała mu, że jego sprawa wielokrotnie padała, że Paludeskarowie są bardzo dziwnym towarzystwem dla rewolucjonisty, przypomniała mu o dwuznaczności jego własnej pozycji. Musiał jednak przyznać, że zrobiła to nie z niechęci do sprawy, lecz chcąc ją poprzeć. Równie dobrze mogła zapytać: Gdzie ta nasza rewolucja? Co dla niej robisz?

Jakiś czas chodził niespokojnie po swoim pokoju w domu Arrioskarów, następnie podszedł do okna wychodzącego na ogród, otworzył je i wychylił się na zewnątrz. Woda tryskająca z fontanny szemrała w kamiennej misie, rozbrzmiewając w nocnej ciszy srebrzystą melodią. Fontanna, znajdująca się przy skrzyżowaniu ulicy o kilka domów dalej, stanowiła dla niej kontrpunkt. Wiatr przycichł. Panował całkowity spokój idący od pól rozciągających się ze wszystkich stron miasta. Na niebie zalany blaskiem księżycy lśniło wilgocią kilka gwiazd. Piękno, równowaga, harmonia... Mając dość samego siebie, Itale próbował zagubić się w blasku księżycy, w spokoju, lecz nie potrafił. W tej kielkującej ciemności, w chwili między marcem i kwietniem, snem i czuwaniem, znajdował jedynie gniew, niepewność i strach.

Próbował porządkować swe myśli, by dojść do źródła niepokoju, który go nie opuszczał. Kiedy jego praca stała się nie celem, lecz zaledwie środkiem do osiągnięcia jakiegoś innego, mniej wyraźnego celu? Przed jaką koniecznością się uchyla, z jakim aniołem musi się zmierzyć? Kiedy zadał sobie te pytania, właściwie doszedł do wniosku, że problemem jest jego obecność tutaj, w tym domu. Wszystkie wątpliwości ostatnich miesięcy mogłyby się wyjaśnić, gdyby potrafił po prostu odpowiedzieć na pytanie: Goja tutaj robię?

Jego umysł natychmiast odrzucił pytanie i zastąpił je takim, które mogli mu zadać inni. Na przykład Enrike - czy on się czasem zastanawiał, dlaczego Itale przyjechał z nim do Aisnar? Jeśli tak, to nie dawał tego po sobie poznać. Znał już Itale półtora roku, widując go u siebie w domu i u Helleskara, i prawdopodobnie zakładał, że ktoś, kogo zna tyle czasu, musi być przyjacielem. Ich żarliwe rozmowy podczas wspólnej podróży poszły w niepamięć, od tamtej pory nie rozmawiali na żaden ważny temat, Enrike po prostu traktował obecność Itale jak coś oczywistego. A jego tutejsi gospodarze, Arrioskarowie?... Ale to do niczego nie prowadzi. Przyjechał jako przyjaciel Paludeskarów, dżentelmen i wedle tych kryteriów został przyjęty. Czy nie powinien się przyznać, że czuje się tu z nimi, w tym wygodnym, cichym domu, znacznie swobodniej niż w swoich dwóch zimnych pokojach w Krasnoy, gdzie samotnie jada chleb z serem i słucha nieustannego łomotu warsztatu tkackiego Kounneya? Ale to też na nic. Kwestia wygody jest nieistotna, a pytanie o jego prawo znajdowania się tutaj nie jest żadnym pytaniem. Chodzi o to, co on tutaj robi? Czy jest to jedno z miejsc, jak Krasnoy, do którego musiał przyjechać? I znów jego umysł natychmiast odrzucił pytanie, jednak Itale zastanawiał się, czy robiąc to, co musi zrobić, nie mógłby od czasu do czasu zaznać odrobiny wygody i dobrego towarzystwa - chociaż sam nie wiedział, jakie zadanie wyznaczył mu los. Wychylając się przez okno patrzył ponad dachami domów na południe, wyciągając wzrok, jakby w rozświetlonym blaskiem księżyca powietrzu szukał czegoś namacalnego. W głowie miał pustkę. Powiedział głośno:

- Dlaczego tracę czas?

Cofnął się myśląc, że dostrzegł jakiś ruch, że ktoś stojący w ciemności pod drzewami spojrzał w górę.

W pokoju było duszno. Itale rozluźnił halsztuk i zaczął zdejmować surdut, lecz zaraz ponownie się ubrał i ostrożnym, ale energicznym krokiem wyszedł z pokoju, zszedł do hallu i przez pokój muzyczny wyszedł bocznymi drzwiami do ogrodu. Wszystko było tu świetliste i chłodne. Szemrała fontanna, gwiazdy przeblyskiwały przez gałęzie pokryte pączkami liści, a rzędy narcyzów obrastających ścieżki lśniły w promieniach księżyca i cieplejszym blasku padającym z kilku oświetlonych okien domu. Itale podszedł do fontanny i przez chwilę patrzył na przelewającą się wodę, a potem usiadł na pobliskiej ławce z rękoma w kieszeniach. Nie spuszczał oczu z cienkiej

iglicy wody zdającej się unosić nad misą, chwytającej blask księżyca, jednocześnie spadającej i wznoszącej się, zmiennej w swej niezmienności, żyjącej.

- Itale?

Zerwał się na nogi.

- W domu jest gorąco, nie mogę tego znieść... Zawsze wiosną cierpię na bezsenność. - Jej głos był cichy jak szmer fontanny. Na lekką suknię narzuciła szal, a w grze światła i cienia wyraźna była tylko jej twarz, sprowadzona przez to zmieszane światło do swego naturalnego piękna. - Chciałam porozmawiać z tobą od momentu twojego przyjazdu. Nie było ani chwili... Czy jesteś zadowolony, Itale? Czy jesteś zadowolony z tego, co robisz?

- Nie chciałbym robić nic innego.

- Ale czy twoje życie układa się tak, jak tego pragniesz?

- Nie - odparł i poruszył się niespokojnie, splatając ręce za plecami. Luisa usiadła na ławce, otulając się szalem.

- Gdybyś był wolny, to znaczy nie obarczony żadną odpowiedzialnością, obowiązkami, gdybyś był całkowicie wolny, to co byś robił?

- Nie potrafię sobie wyobrazić wolności bez odpowiedzialności.

- Och, bzdura, ależ ty potrafisz być nadęty. I jak ci to pomaga unikać odpowiedzi! Gdybyś mógł robić dokładnie to, co chcesz - co byś robił? - W jej głosie brzmiała zuchwała czułość, ton, jakiego nigdy przedtem u niej nie słyszał. Wydało mu się, że po raz pierwszy słyszy jej prawdziwy głos - bezbronny, nerwowy, drwiący i napięty.

- Nie wiem - odparł. - Pojechałbym do domu.

- A gdzie jest dom?

- W Malafrenie - aleja właśnie robię to, co chcę robić. Twoje pojmowanie wolności jest dziecinne, baronino.

- Prawdopodobnie. Wszystkie kobiety są jak dzieci, nieprawdaż? Są też oczywiście uduchowione. Może moje pojmowanie wolności jest uduchowione i nieco upiorne: wybór bez konsekwencji. No cóż, ja wiem, co zrobiłabym, gdybym była wolna jak dziecko albo jak duch... Robiłabym prawie dokładnie to, co robię teraz.

- A zatem jesteś szczęśliwa.

- Prawie całkowicie.

Odwrócił się do niej, chcąc widzieć jej twarz, skrytą nieco w cieniu.

- Sądzę, że tylko ludzie moralni, jak ty, są bardzo szczęśliwi albo nieszczęśliwi - rzekła. - Ja zawsze doświadczam tych uczuć jednocześnie, a najczęściej w wiosenne noce, kiedy nie mogę spać

i muszę spacerować po ogrodzie, zastanawiając się, coż takiego mogłoby uczynić mnie szczęśliwą, nie unieszczęśliwiając zarazem.

- Nie ma powodu, dla którego miałabyś być nieszczęśliwa.

- Żadnego, wiem o tym. Jestem młoda, bogata, doskonale ubrana i w każdym razie jestem kobietą, a kobietę tak łatwo uszczęśliwić - jakimiś drobiazgami, naszyjnikami czy wachlarzem.

- Nie to miałem na myśli - powiedział szorstko Itale.

- A co?

Przez chwilę nie odpowiadał, a kiedy się odezwał, mówił cicho, niechętnie, oschłym tonem.

- Chciałem powiedzieć, że nie chcę, żebyś była nieszczęśliwa.

- Wiem. Chcesz, żebym była szczęśliwa, chcesz o mnie myśleć jako o osobie szczęśliwej, bo to przyjemniejsze. I łatwiejsze. Jeśli uznasz, że jestem nieszczęśliwa, to będziesz musiał coś na to poradzić, znaleźć mi coś na pocieszenie, zabawkę... oczywiście jeśli jesteś moim przyjacielem.

- Wiesz, że nim jestem, baronino.

- Nie nazywaj mnie baroniną. To głupi tytuł. Pewnie uważasz, że wszystkie tytuły są głupie. Nasz na pewno tak. Żałuję, że mój dziad nie miał odwagi podawać się za tego, kim naprawdę był, najlepszym przedstawicielem swojej klasy. Powinam być dumna z bycia haute bourgeoisie, niczym więcej i niczym mniej. Ale on musiał kupić nam tytuł szlachecki i zostawić nas, uczepionych zębami i pazurami najniższego stopnia tej przegniłej, nieprzydatnej drabiny - udając, że to nie pieniądze nas stworzyły, tworzą i zaprowadzą, dokądkolwiek zechcemy... - Spojrzała na niego i nagle się roześmiała z prawdziwym rozbawieniem. - O, Boże, Itale, ty jesteś zaraźliwy! Wykłady w świetle księżyca...

- Czyja wygłaszam wykłady?

- Prawie bez przerwy.

- Przepraszam - powiedział zmartwionym głosem.

- Mnie to nie przeszkadza. Podobają mi się one. Przynajmniej są poważne, przynajmniej ty rozmawiasz ze mną poważnie - chociaż często zastanawiam się, czy mówisz do mnie, ale przynajmniej pozwalasz mi słuchać tego, co mówisz. Może pewnego dnia powiesz coś naprawdę do mnie.

- Ja nie...

- Wiem, że nie. Nigdy tak nie było.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- O tym, że pod wszystkimi tymi teoriami, polityką, wykładami jest cisza, nieprzerwana, granitowa cisza. Nie, cofam to. Chyba coś do mnie powiedziałaś przed minutą, ale byłam tak zaskoczona, że prawie umknęło mojej uwagi. Powiedziałaś, że kochasz - chociaż właściwie nie,

wcale tego nie powiedziałaś, mogłam to po prostu usłyszeć w tonie, jakim wypowiedziałaś tę nazwę, usłyszeć, że wreszcie mówisz do mnie, mówisz o czymś prawdziwym, a nie o idei czy teorii.

- Jaką nazwę?

- Malafrena.

Stał bokiem do fontanny, z rękoma głęboko wsuniętymi w kieszenie. Wzruszył ramionami.

- Czasami za nią tęsknię. Patrzyła na niego nic nie mówiąc.

- Jest niedaleko stąd. - Sprawiał wrażenie, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć. Nie przestawała na niego patrzeć, na wysoką, nieco zgarbioną sylwetkę mężczyzny, na jego profil, duży nos, mocno zaciśnięte usta, rysy wyraźne, silnie zaznaczone jak na portrecie rysowanym węglem. O kilka ulic dalej dzwony ainsarskiej katedry wybiły pół godziny. Zerwał się lekki wiatr, poruszając liśćmi i sprowadzając chłód. W domu za nimi nagle zgasło światło, co sprawiło, że ścieżka i rosnące obok niej kwiaty promieniowały zimną bielą.

- Chociaż nie mówisz do mnie, czasami mówisz do siebie.

- Kiedy?

- Przy oknie, przed kilkoma minutami. Powiedziałaś: "Dlaczego tracę czas?" Dlatego zapytałam cię, czy jesteś szczęśliwy. Wiedząc, że nie jesteś. - W ciszy zapadłej po biciu zegara mówiła prawie niedosłyszalnie.

- Nie wiem, co chciałem przez to powiedzieć.

- Słyszeć, jak ktoś rzuca w przestrzeń własne myśli, jest przerażające.

- Nie mówiłem o niczym szczególnym.

Wstała.

- Nie znoszę kłamstwa - rzekła nieco wyraźniejszym głosem. - Nie znoszę, jak coś się robi niezdarnie. Ale jeśli ciebie nie interesuje prawda, to dlaczego miałaby ona interesować mnie?

Odwróciła się, jakby chciała odejść. Szal zsunął się jej z ramion i utworzył na ścieżce białą plamę. Podniósł go, a Luisa zatrzymała się. Kiedy kładł jej szal na ramiona, odwróciła się i przez delikatną warstwę jedwabiu ujęła jego prawą dłoń. Stali przez chwilę bez ruchu.

- Luiso...

- Itale! - odparła przedrzeźniając go z ową rażącą czułością w głosie.

Pochylił się, by ucałować jej usta, poczuł, jak ciepły jedwab przeslizguje mu się pod ręką, ale ona się wymknęła, odeszła kilka kroków i odwróciła się do niego, stojąc już w pewnej odległości. Jej twarz przypominała maskę, tylko oczy wyrażały radość i przerażenie.

- Dobranoc - szepnęła, znikając w otwartych drzwiach domu.

Itale stał jeszcze przez chwilę, potem podszedł do muru ogrodu. Położył na nim ręce i oparł czoło. Przez minutę wyraźnie czuł swoje ciało, szorstką cegłę pod dłonią, czuł niezwykłą słodycz narcyzów kwitnących obok, chłonał otaczającą go późną, spokojną noc. Czuł się tak, jakby unosiły go w ciszy fale niewidzialnego morza, z którego wynurzał się, by zaczerpnąć oddechu, poczuć, jak bije mu serce, zobaczyć gwiazdy, by potem znów pograżyć się w głębinach. Kiedy dzwony katedry wybiły trzecią, powoli poszedł do domu. Położył się na łóżku w ubraniu i natychmiast zapadł w głęboki sen.

Nazajutrz zajął się sprawami, które sprowadziły go do Aisnar - jeśli to one go tu sprowadziły. Nie zastanawiał się już nad tym. Rzucił się w wir pracy. Kiedy tylko kończyła się jedna narada czy rozmowa, zapominał o niej i zaczynał następną. Był bardziej stanowczy i sprawny niż zwykle, lecz zapytany nie potrafiłby bez zastanowienia powiedzieć, co robił na przykład godzinę wcześniej. Pojawiła się jednak osoba, która wywarła na nim wrażenie: pewien Włoch, wygnany z kraju za udział w rewolcie piemonckiej w roku 1820. Spędził rok w Aisnar i właśnie miał wyruszyć do Anglii. Coś było w tym człowieku, co przyciągnęło uwagę Itale na tyle, by na długo zapamiętał pociągłą twarz Sangiusta, jego wysokie czoło, kędzierzawe włosy, miły głos i rozmowę, którą pewnego słonecznego popołudnia wiedli w ocienionej drzewami kawiarence przy ulicy Fontarmana. Sangiusto powiedział wtedy: - Liberala to człowiek, który mówi, że środki uświęcają cel. - Itale zapamiętał też i te słowa.

Słońce opadło niżej, powietrze na osłoniętej łukami drzew ulicy zamgliło się i nabrało złocistej barwy, wiatr pachniał zaoranymi polami, a nad stare domy wzniósł się księżyc. Itale wrócił na kolację do swoich gospodarzy. Kuzynka Luisy była zimną, nieśmiałą kobietą, a Arrioskar nie był rozmowny. Enrike jadł gdzieś indziej, a Luisa, która dostosowywała swoje maniery do nastroju, ku widocznej uldze Arrioskarów podtrzymywała rozmowę na tyle, że nikt nie czuł się niezręcznie. Kawę podano na górze o dziesiątej i wieczór skończył się kwadrans później. Był już Wielki Tydzień i przyjęcia zaczęły się z powrotem dopiero po Wielkanocy.

Znalazłszy się w swoim pokoju Itale nie otworzył okna ani przez nie nie wyglądał. Zdjął surdut, usiadł przy sekretarzyku i zaczął przeglądać miejscowe oraz zagraniczne broszury i rękopisy, które zebrał w ciągu dnia. Czytał wytrwale nawet na chwilę nie unosząc głowy znad papierów. W pokoju było jasno od blasku świec, lecz chłodno, ponieważ Itale nie podsycił ognia na kominku.

Dzwon katedralny wybił miękko, pewnym siebie barytonem północ. Itale nie przerywał czytania.

“Nie wolno mylić takich przejawów radykalizmu, jak tajne stowarzyszenia Francji, Włoch i Niemiec, ani takich wynaturzeń radykalnej myśli jak rewolucyjne legie ostatniej dekady w Anglii,

z liberalną frakcją w naszym kraju, którą rząd Orsinii nie tylko toleruje, lecz niewątpliwie znacznie popierać jako łagodną i nieszkodliwą oznakę pokojowego oświecenia publicznego. Zakaz publikacji..." Itale cofnął się i wykreślił słowo "frakcją", wykreślił "niewątpliwie", zmarszczył brwi i wykreślił całe zdanie, a potem odsunął broszurę na bok i ukrył twarz w dłoniach.

Wstał, obszedł pokój gasząc świece, wziął surdut, zszedł na dół i wyszedł na dwór.

Tej nocy powietrze było chłodniejsze, a księżyc, poprzedniego dnia będący jeszcze w pełni, miał lisią czapę. Tryskająca z fontanny iglica wody co pewien czas odchyłała się na lekkim wietrze. Itale stał przy kamiennej ławce patrząc na kwitnące narcyzy. Podeszła do niego Luisa. Na cienką sukienkę narzuciła długi, czarny szal.

- Usłyszałam cię - szepnęła. - Specjalnie nasłuchiwałam, dodała z nutą rozbawienia w głosie.

- Baronino...

- Dom Itaal! - przedrzeźniła go.

- Nie mogę nazywać cię Luisą.

Usiadła na kamiennej ławce owijając szyję ciemnym, obszernym szalem i wygładzając jego końce.

- I czego jeszcze nie możesz robić?

- Jesteś... niesprawiedliwa.

- Doprawdy? Jestem jednak tylko kobietą. Nikt nie spodziewa się sprawiedliwości po kobiecie. Skoro nie możesz mówić mi po imieniu, ja nie mogę traktować cię sprawiedliwie.

- Jesteś niesprawiedliwa dla samej siebie.

- Doprawdy? - powtórzyła, lecz bez gniewu, a raczej z namysłem. - Zastanawiam się nad tym. Być może masz słuszość. - Spojrzała na niego tak przenikliwie, że nie mógł odwrócić wzroku. - Posiadasz moc zadawania mi bólu. Jakie to dziwne.

- Nie pragnę cię krzywdzić. Czy nie rozumiesz...

- Nie.

- Nie mam żadnej mocy... Wiesz, kim jestem - mówił z przejęciem - jak żyję i gdzie mieszkam...

- I co z tego?

Nie potrafił odpowiedzieć.

- Nie proszę cię o dobre zachowanie, nie proszę cię o łaskę, proszę cię o prawdę. Żebyś się do mnie odezwał. Żebyś chociaż raz coś naprawdę do mnie powiedział!

- Cóż ja mogę powiedzieć?

Woda z fontanny zwiewana na bok szumiała i stukwała spadającymi kroplami.

- I na cóż się to zda, jeśli powiem prawdę? - rzekł z bólem.

- Na nic - szepnęła Luisa. - Na nic. - Kiwała się lekko ze splecionymi ramionami, wtulona w siebie.

- Możemy jedynie zadać sobie nawzajem ból, to na nic...

Nagle wstała wyciągając do niego rękę. Był zaskoczony, czuł się niezręcznie, speszony spontanicznością jej gestu. Potem jednak mocniej ją do siebie przytulił. Odnajdowali się w tym pierwszym nieporadnym uścisku, czując, jak wzajemna uległość znosi napięcie, aż nienasyceńi sobą zatracili się w słodczy długiemu pocałunku.

W końcu Luisa wymknęła się z objęć Itale, zanim zdążył ją przytrzymać. Wraz z opanowaniem pojawiło się chwilowe odczucie mdlącego oszołomienia. Itale opadł na ławkę i siedział pochylony, z opuszczoną głową. Luisa stała obok i obserwowała go, usiłując opanować dreszcze.

Kiedy podniósł głowę, nie popatrzył jej w oczy, lecz odezwał się gniewnym, błagalnym szeptem:

- Nie rozumiesz?

- A czy ty teraz rozumiesz? W końcu rozumiesz?

Kiedy pojął, o co jej chodzi, zamarł ze zdumienia. Wstał i wyciągnąwszy ku niej niepewnym ruchem obie ręce, rzekł z niedowierzaniem i łagodnością:

- Luiso...

- A - rzekła. - No widzisz! - Ujęła go za ręce i stanęła naprzeciw, wciąż obca, lecz z uśmiechem na uniesionej ku niemu twarzy. - Będę sprawiedliwa - szepnęła z tryumfalnym uśmiechem. - Będę łaskawa.

Teraz już nie potrafił niczego składnie powiedzieć, lecz chaotycznie wyrzucał z siebie słowa zachwyty i pożądania.

Ujęła go pod rękę i poprowadziła ścieżką, a potem przez trawnik do muru i z powrotem do fontanny. Doznania Itale skupiały się tylko na jej fizyczności, dotyku ciepłego ramienia, delikatnym zapachu włosów. Zgodził się bez wahania, kiedy powiedziała:

- Teraz możemy wybierać... Nie potrafię znieść, po prostu nie potrafię znieść fałszu, nieuczciwości, głupich zasad stworzonych dla głupich ludzi, zasad kłamstwa... Chcę prawdy i tylko prawdy.

- Kocham cię - rzekł Itale.

- Nie jesteśmy dziećmi ani głupcami, ani niewolnikami. Możemy wybrać to, co będziemy robić. Tego właśnie chcę, tylko tego chcę, wolności wyboru! Rozumiesz, Itale?

- Rozumiem - odparł, ponieważ mówiła tak żarliwie, ponieważ podobnie jak on pragnęła wolności i szczęścia, ponieważ od jej bliskości kręciło mu się w głowie i rozpierała radość.

- Gdybyś teraz mnie osądził - wzgardziłabym tobą. Ale wiem, że tego nie uczynisz. Wszystko, co robisz, co robią wszyscy twoi przyjaciele - wyznawcy wielkich idei - uważam za trywialne, lecz ty jesteś ponad. Nie istnieje żadna inna wolność oprócz tego, co człowiek robi sam i dla samego siebie.

Zgodził się z nią.

- I dlatego musimy wybrać, Itale, w tym tygodniu... ja wracam do Krasnoy w środę, ty w tydzień później - to wystarczająco dużo czasu. Każde z nas musi wybrać, musimy wybrać oboje, co chcemy robić. Nikt i nic nie może nas krępować zakazami czy nakazami. Wykorzystam swoje życie i miłość tak, jak uznam za stosowne. Wyzwolimy się nawzajem, Itale.

Drżenie w jej głosie mogło oznaczać radość lub przerażenie. Przytulił ją do siebie i całował. Kiedy jednak jej usta zaczęły mu się poddawać, próbowała odejść. Puścił ją.

- Tylko tydzień! - szepnęła.

Zanim zdał sobie z tego sprawę, już się oddalała, migocąc na ścieżce między blaskiem księżyca i ciemnością.

- Luiso, zaczekaj... - zawołał.

Drzwi domu cicho się otworzyły i zamknęły. Stał samotnie obok fontanny, wciąż oszołomiony tym, co się wydarzyło. Dlaczego odeszła? Czy znów coś źle zrozumiał? Czy nie byli kochankami lub nie mieli nimi zostać? Rozumiał ją, kiedy mówiła, kiedy mówiła o wolności, lecz teraz nie wiedział, co właściwie powiedziała. Za zasłonami pokoju na pierwszym piętrze zamigotało światło: jej świeca, jej sypialnia. Jeszcze raz usiadł na kamiennej ławce, drżąc z zimna i nie spełnionego pożądanego, tęskniąc za szczęściem, które odczuwał jeszcze przed minutą.

- Tydzień - powtórzył, jakby to słowo było talizmanem. - Tylko tydzień.

ROZDZIAŁ 3

W sobotnie popołudnie Itale skrócił spotkanie z autorem broszury, którą w duchu nazywał Niewątpliwą Broszurą, wymawiając się innymi zobowiązaniami. - Muszę spotkać się z kimś na wsi - powiedział krótko. Autor broszury, który był owładnięty duchem konspiracji, o nic nie pytał. Itale wyszedł z domu i ruszył przed siebie, bez celu. Miejskie domy ustąpiły willom stojącym z dala od drogi za niskimi murkami, wille ustąpiły budynkom gospodarskim i szerokim polom, a kamienne płyty ulicy zmieniły się w czerwoną ziemię polnej drogi. Wysoko nad głową Itale rozciągało się zmienne kwietniowe niebo, odbijające się w kałużach pozostałych po porannym deszczu. Pod płotami kwitły nieśmiało zwykłe chwasty, a na ornych polach zieleniło się młode zboże i trawa. Droga, bardzo długa i prosta, będąca rzymską drogą, która przecinała Zachodnią Prowincję, biegnąc do garnizonu w Aquae Nervi, świeciła pustką, podobnie jak pola, gdzie oprócz samotnego oracza, który w milczeniu odpowiedział na milczące pozdrowienie Itale, nikogo nie było. Kraina wydawała się łagodna, monotonna i szlachetna w spójnej, niezakłóconej ciągłości od horyzontu po horyzont. Itale szedł przed siebie, ciesząc się rześkim wiatrem i nierówną drogą pod stopami, zauważając od czasu do czasu dzikiego kosaćca, cień chmury kładący się na polu, unoszącego się wysoko skowronka czy obmyty deszczem kamień.

Za cztery dni wróci do Krasnoy. Jego myśli ciągle oscylowały wokół końca tej podróży: co zrobi, co powinien zrobić? Miał już serdecznie dość owych rozważań, ale towarzyszyły mu nieprzerwanie. W jaki sposób uwikłał się w taki absurdalny romans? Dziedziczka na wydaniu, efektowna kobieta, która w żadnym wypadku nie mogłaby utrzymać w tajemnicy przed bratem, i prawdopodobnie półtuzinem zalotników, faktu posiadania kochanka - a jeśli sami by się o tym nie dowiedzieli, to równie dobrze mogłaby im o tym powiedzieć ona, bo była nerwowa, kapryśna, chorobliwie uparta - zepsuta. Zepsuta, przerażona dziewczyna; dumna kobieta. Panna ryzykująca swoją reputację, oferująca mu wszystko i nie prosząca o nic w zamian - tylko o to, żeby jego odwaga dorównała jej odwadze... Pragnęła wolności, wyzwolenia. Do czego sprowadza się cała jego praca dla wolności? Dwa pokoje przy Mallenastrada, nieregularnie wydawane czasopismo bardzo nierównej jakości, kolejne posady przyjmowane po to, żeby móc opłacić czynsz, krąg nieudolnych i niepewnych znajomych, z których wszyscy głosili poświęcenie dla sprawy, lecz bez przerwy się o nią kłócili - i to miałoby być jego życiem? Czy dlatego wyjechał z Malafreny?

Dla liberała środki uświęcają cel. Aby osiągnąć wolność, trzeba żyć w wolności. Luisa pragnęła wolności, oferowała wolność - a on był już tak zagubiony pośród różnych możliwości, uwarunkowań i konwencjonalnej moralności, że potrafił zastanawiać się nad odrzuceniem tej

propozycji! Jest mężczyzną czy nie? Może jeszcze nie, dotąd był chłopcem. Nareszcie osiągnął pełnoletność. Jest i będzie mężczyzną.

Ale jakim mężczyzną? Żyjącym z dnia na dzień radykalnym dziennikarzem czy kochankiem baronówny?

A dlaczego nie mógłby być i jednym, i drugim? Czy dla sprawy wolności ma żyć w celibacie, czy to jest jakaś religia, a on jest jej apologetą? Szedł zieleniejącymi polami popołudnia wielce zagniewany, czasami wymachując prawą ręką w ferworze gwałtownej sprzeczki z samym sobą. Cały czas wiedział w głębi serca, że kiedy wróci do Krasnoy, może pójść do Luisy Paludeskar albo nie, ale że wyboru nie dokona rozum. Istniały liczne argumenty za i przeciw, lecz wewnątrz niego czekało na znak coś pojedynczego, spójnego, obojętnego.

Droga prowadziła na jedno z długich, niskich wzniesień tworzących ogromną przestrzeń równiny. Podejście było tak łagodne, że zlewało się ze szczytem. Itale przystanął i spojrział do tyłu. Aisnar leżał w odległości pięciu czy sześciu mil, zebrany przez odległość w jedną całość. Dachy domów czerwieniały w przygasającym świetle, a spokojne wieże katedry wznosiły się nad błękitny cień. W pobliżu miejsca, gdzie stanął, znajdowały się ruiny jakiejś chaty - kilka kamieni i przegniłych od deszczu desek. Usiadł na byłym progu czy też obmurówce kominka, między miastem i słońcem. Wiejski wiatr w końcu przegonił uporczywe myśli. Przez dłuższy czas siedział słysząc jedynie szum wiatru w młodej trawie. Pragnął odnaleźć spokój serca, pustkę, przepaść, milczenie będące niegdyś jego królestwem w słoneczne popołudnia lat spędzonych w Malafrenie. To była wolność, lecz odeszła od niego. Stracił ją. Zwrócił się na południe. Ta sama długa równina, różnorodna i niezmienna jak morze, biegła ku miękkiej mgiełce na horyzoncie.

“Co byś zrobił, gdybyś miał przed sobą siedemset lat życia?”

Stali wszyscy, Laura w lśniącej, białej sukni, Piera i on sam, na tarasie latem o zmroku, a po drugiej stronie niewyraźnego i migocącego jeziora ciemniał Myśliwy. Odpowiedział, że odbyłby podróże do Chin i Ameryki, Laura chciała zobaczyć wulkany, a Piera, co chciała robić Piera? Ale przecież Piera jest w Aisnar. Podobnie jak jego, wcale jej nie ma w zapamiętanym zmroku nad jeziorem. Jest tutaj, pod jednym z tych czerwonych dachów, w jakiejś klasztornej szkole. Belleynin, którego poznał w domu markizy, jest jej kuzynem.

Itale wstał, przeciągnął się i ruszył z powrotem do miasta. Nie mógł przecież być dwa tygodnie w jednym mieście z Piera Valtorskar i wyjechać bez chwili rozmowy, tak źle jeszcze z nim nie jest.

Pod drzwiami Belleyninów stanął około piątej.

- Hrabianki dzisiaj tu nie ma, sir - powiedział stary służący, uprzejmy, lecz nieufny względem zakurzonego nieznanego.

Itale zapytał, gdzie mógłby ją znaleźć.

- Hrabianka mieszka w szkole urszulanek, sir. Po Starej Stronie, naprzeciwko Fontanny Pierścienia.

Hrabianka, hrabianka. Mała Piera z piegami na szyi. Itale przeciął ulicę Fontarmana idąc w kierunku Fontanny Pierścienia. Stał tam wielki budynek o zaciśniętych ustach i zakratowanych oknach. Na pukanie Itale drzwi otworzył portier i powiedział, że w wigilię Wielkanocy nie ma odwiedzin, proszę przyjść w przyszłą sobotę. Itale powołał się na fakt, że musi wyjechać w środę, a jego prawa ręka kompletnie bez wiedzy lewej wsunęła w dłoń portiera srebrny pieniążek. Został zaprowadzony do lodowatego salonu z czterema krzesłami z pionowymi oparciami i jedną zakonnica. Wyłuszczył jej swoją sprawę. Poproszono starszą zakonnice, której Itale przedstawił prośbę elokwentnie i taktownie. Cały czas od postoj przy zrujnowanej chacie był zdecydowany dopiąć swego. Druga zakonnica wyszła z salonu, pierwsza usiadła na krzesle w hallu tuż przy otwartych drzwiach i do pokoju weszła Piera.

- Och, Itale! - zawołała. Objęli się i ucałowali w usta. - O, mój drogi Itale! - rzekła ze łzami w oczach śmiejąc się w pierwszym, wielkim porywie radości, który przeszył ich oboje, a potem opuścili ręce i nie wiedzieli, co z nimi zrobić.

- Mój Boże, jak mi się udało cię poznać? - powiedział jeszcze oszołomiony ową radością, i Piera znów się roześmiała.

- Nie wzywaj tu imienia Bożego! Urosłam prawie o dwa cale.

- Zobaczysz cię to jak wrócić do domu, Piero.

- Wiem - zobaczyć ciebie też - i nadal mówisz z malafreńskim akcentem! Usiądźmy, nie musimy stać - jej słowa zabrzmiały konwencjonalnie uprzejmie. Tam, gdzie było jasne ciepło, powiało chłodem.

Itale usiadł na jednym z twardych krzesel.

- Nie mogę siedzieć - stwierdził, natychmiast wstając, a Piera zachichotała: ostatni przebłysk. Zgasł. - Bardzo dziwne jest cię tu widzieć - rozejrzał się po pomieszczeniu, trzymając ręce splecione za plecami.

- Wiem.

Cztery ściany, cztery krzesła, dwoje drzwi. Musiał znów na nią spojrzeć.

- Od jak dawna jesteś w Aisnar?

- Dziesięć dni. Powinienem przyjść wcześniej... spotykałem się z mnóstwem ludzi, czas ucieka. Przepraszam, że spowodowałem złamanie tutejszych zasad.

- Wszystko jest lepsze od niespotkania się z tobą w ogóle.

- Podoba ci się tu?

- Tak, jest bardzo miło.

- Kiedy wracasz do domu?

- Skończę szkołę w czerwcu i przez jakiś czas zatrzymam się u Belleyninów - rzekła z wahaniem w głosie. Stała w swojej gładkiej, szarej sukni i białym fartuszką też z wahaniem, ale spokojnie. - Nie powiesz nikomu, ja do nich napiszę, proszę cię, Itale, bo list od papy nie zdążył jeszcze nadejść, ja wysłałam swój ostatnim dyliżansem. Chciałam ci powiedzieć, że właściwie... nie całkiem... wrócę do domu, będę mieszkać w Aisnar. Zaręczyłam się. Wychodzę za mąż w zimie. Albo może po Wielkanocy w przyszłym roku.

- Rozumiem, bardzo się cieszę - powiedział, zająknawszy się.

- Kim jest...?

- Givan Koste. Prawnik. Znasz Belleyninów? Byli tacy dla mnie mili, tak bardzo ich lubię... on jest ich przyjacielem. Wszystko odbędzie się przy jak najmniejszym rozgłosie, bo on jest wdowcem i ma małego synka. - Nie pamiętał, żeby jej głos był taki cienki czy tak słodko modulowany - był to głos młodej damy. - Bardzo go lubię, tego Battiste - rzekła.

To bardzo miło, wszystko jest miłe, wszyscy są mili i uprzejmi, dlaczego ona mu to wszystko mówi? Niech się lepiej do tego zabierze i poślubi tego pioruńskiego wdowca, co mu do tego?

- No to chyba już koniec - rzekł.

- Czego koniec, Itale?

Machnął ręką.

- Naszej znajomości. Tej części naszego życia, w której się znaliśmy.

- Nie musi tak być - powiedziała tym cienkim głosem. - Mam nadzieję, że zawsze mnie odwiedzisz, kiedy będziesz przyjeżdżał do Aisnar. Całkiem możliwe, że na lato przeniesiemy się do Malafreny...

- Ale my już opuściliśmy Malafrenę - powiedział. - Zrozumienie tego zajęło mi trochę czasu. Życie to nie pokój, lecz droga, to, co człowiek zostawia za sobą, traci na zawsze. Nie można zawrócić. Tak już jest, prawdopodobnie już się nie spotkamy.

- Może nie - odparła. Zapadło dłuższe milczenie. - Jesteś szczęśliwy w Krasnoy?

- Szczęśliwy? Nie, chyba nieszczęśliwie. Robię to, po co tam pojechałem.

- Czasami widuję twoje czasopismo.

- Pozwalają ci tu czytać wywrotowe gazety? - Rozejrzał się po ścianach i drzwiach z twardym uśmiechem.

- Tutaj nie. Twoje artykuły są bardzo interesujące.

- Nie wiem, dlaczego sytuacja tkaczy lnu z Krasnoy miałyby dla ciebie być interesująca, ale dzięki. - Usłyszał dzielnosć w jej głosie, a w swoim hipokryzję i nie mógł już tego dłużej wytrzymać. - Muszę już iść, Piero - powiedział bezbarwnym tonem. Odwróciła się do niego. - Do widzenia - pożegnał się, a ona ujęła jego dłoń i powiedziała:

- Do widzenia, Itale.

A więc to tyle. Kiedy znalazł się przy dwupoziomowej, srebrzystej Fontannie Pierścienia, spojrzął na zegarek, który jak zwykle pokazywał drugą trzydzieści, ale dzwon katedralny właśnie wybił godzinę, pewnie była szósta. Już się spóźnił na umówione spotkanie z dwoma ewentualnymi autorami dla "Novesma Verba". Ruszył szybkim krokiem do kawiarni, w której mieli się spotkać. "Życie to droga", słyszał własny zarozumiały, fałszywy głos, "Życie to nie pokój, lecz droga" - tak, jasne, droga prowadząca donikąd, ciągle dalej, bez żadnego sensu. Nie można zawrócić, nie można się zatrzymać, nią ma końca ani celu, najlepiej iść samotnie, nie pozwalając sobie na żadne zażalenia. Niech martwi chowają swoich martwych!

Spotkał się w kawiarni z dwoma młodymi mężczyznami. Jeden z nich ukończył seminarium, drugi był byłym kandydatem na reprezentanta w Zgromadzeniu Narodowym, które miało się zebrać tego września w Krasnoy. Niewzruszona znajomość Itale ich nadziei i pytań wywarła na obu duże wrażenie, nie kryli podziwu. Dostrzegł to i nadał swoim odpowiedziom jeszcze bardziej suche i twarde brzmienie, lecz młodzieńcy się tym nie zrażali. Pożegnał się z nimi jak najwcześniej i poszedł do hotelu, w którym zamieszkał po wyjeździe Paludeskarów. Kazał sobie przynieść do pokoju kotlet, zaczął przeglądać notatki i papiery nagromadzone przez kilka ostatnich dni. Jego dwa tygodnie pobytu w Aisnar okazały się owocne. Były tu pieniądze na wsparcie obu czasopism, byli utalentowani autorzy, a aisnarska zamożna klasa średnia kultywowała tradycje liberalne, zaszczerpione w zeszłym wieku. To wszystko wyglądało zachęcająco. Z ponurą miną uporządkował papiery, zjadł kolację, której pozwolił wystygnać, i znów usiadł do pracy. Trzeba iść samotnie, nie ma sensu szukać tego, co się zostawiło. Wykorzystywać szczęście, jakie się nadarza, wykonywać swoją pracę i się nie uskarżać. To jedyna metoda. Aby być wolnym, trzeba być samotnym.

Zaczynała go boleć głowa, więc około jedenastej wyszedł na spacer. Kiedy szedł ulicą Fontarmana, pocętkowaną cieniami, rzucanymi przez oświetlone z okien gałęzie, pulsującą nocnym wiatrem i cichymi krokami ludzi, ktoś zawołał go od kawiarnianego stolika - włoski wygnaniec, Sangiusto.

- Napij się ze mną kawy, Sorde!

Itale zatrzymał się przy stoliku, ale nie usiadł.

- Chciałem popatrzeć na katedrę.

- Ha, jest Wielkanoc. Pójdę z tobą, dobrze? Poproszę o rachunek za pięć kaw. - Poszli dalej razem. - W poniedziałek wyjeżdżam do Anglii - powiedział Sangiusto. - Teraz nie chcę już jechać. Lepiej mówię po angielsku, ale podoba mi się wasz kraj. Podoba mi się Krasnoy, podoba mi się ten Aisnar, nie wiem, dlaczego jadę do Anglii! - Roześmiał się pokazując mocne, białe zęby. - Tylko że czasem dobrze wyrwać się spod władzy Cesarstwa, nie? Ale chyba wrócę.

- Mam nadzieję, że cię wpuszczą po tym, jak będziemy drukować twoje artykuły z Anglii.

- Och, tutaj jestem jeszcze mniej ważny niż w moim kraju. A wasza policja nie jest taka dobra, jak w Piemencie. Nie zatrzymam się jednak w Wiedniu, żeby zdobyć pozwolenie...

- A gdybyśmy podpisywali twoje artykuły pseudonimem?

- Czemu nie? Byłem już w Turynie "Carlem Franceschim". Wyglądasz na zmęczonego, Sorde.

- Bo jestem zmęczony.

- A ja jestem przepełniony kawą, jak tonący statek. Co wieczór piję kawę, co tu jest innego do roboty... - Znow się roześmiał. - Co za życie! Spójrz na tych biedaków, chcieliby być w domu w swoich Czechach czy skąd tam pochodzą. - Minęli dwu policjantów wyglądających imponująco w cesarskich mundurach. - Tak jak my wszyscy. Wielkanoc! Popłynęlibyśmy łodzią na mszę na drugą stronę jeziora.

- Jakiego jeziora?

- Lago d'Orta - odparł Sangiusto, zatrzymując się na tej nazwie ze świadomą miłością, wypowiadając ją z przyjemnością, czule.

Podeszli do otwartych wrót katedry, spoza których było widać panujący wewnątrz mrok i złociste błyski. Przez plac katedralny przechodziła niewielka procesja, składająca się z zakonnic i dziewcząt szczelnie okrytych szalami. Itale rozpoznał szary mundur, jaki miała na sobie Piera. Na pewno była wśród wysokich dziewcząt na końcu procesji, idąc z pochyloną posłusznie głową. Nie zobaczy go ani on nie pozna, która to szczupła, okryta szalem postać.

- Ładne kaczątka - powiedział Sangiusto. - Widuję je, jak wychodzą na popołudniowy spacer, są takie schludne, a ich oczy widzą wszystko jak teleskopy. Lubię dziewczęta ze szkół klasztornych, one zawsze tyle wiedzą. Przepraszam, może ty jesteś religijny?

Pytanie rozbawiło Itale.

- Nie - odparł.

- Chciałbym zobaczyć góry z twoich stron, kiedy mówiłeś o nich wczoraj, pomyślałem, że podobne są do mojego kraju.

- Chciałbym cię tam zabrać, Sangiusto.

- Och, przyjdzie jeszcze na to czas. Przekonałem się, że wystarczy poczekać, a odpowiedni czas zawsze nadejdzie. Zadaniem wygnańca jest nauczyć się czekać, prawda? Będę pamiętał o twoim zaproszeniu, Sorde, dziękuję. Chodź, msza się zaczyna.

Weszli do kościoła, w żal, w czekanie, w spełnienie Wielkiej Nocy. "Chrystus zmartwychwstał", śpiewał chór, a muzyka unosiła się nad nocą jak wschodzące słońce. "Chrystus zmartwychwstał w chwale!", a radość zalała serce Itale jak deszcz zalewa kamienie przy drodze niczym świecące na nie słońce.

ROZDZIAŁ 4

Wieśniaczki chcące wrócić do domu z Wielkiego Targowiska w Krasnoy, na które przybyły o świcie, żeby sprzedać produkty ze swoich podmiejskich ogrodów i mleczarni - pory, jabłka, jaja, twaróg - zostały owego poranka na początku września zatrzymane, kiedy powoli szły z pustymi koszykami w kierunku placu Katedralnego, żeby spotkać się tam z wracającymi na wieś wozami. Zagraniczna policja wraz z oddziałem straży pałacowej w czerwonych mundurach zamykała jedną ulicę i oczyszczała drugą wykrzykując rozkazy. Nad nerwowo strzygącymi końskimi uszami kiwały się kokardy, a w rozświetlanym słońcem, jeszcze trochę zamglonym powietrzu lśniły pozłacane guziki. Robiło się już ciepło. Ludzie, którzy dotarli prawie do samego placu, zanim zostali zatrzymani, widzieli ustawiony rzędami przed wrotami katedry cały batalion straży.

- Stoją jak czerwone kręgle - odezwała się potężna gospodyni z Grasse do swej sąsiadki.

- Niech sobie stoją, ile chcą, ja mam dosyć stania - odparła wysoka i chuda sąsiadka, przesuwając koszyk na ramieniu.

- Wolałbym nie stać obok twoich kozich serów, matko - wtrącił sąsiad z drugiej strony, mężczyzna w fartuchu szewca o uśmiechniętych ustach zaciśniętych i skrzywionych od trzymania w nich przez długie lata gwoździ.

- Pilnuj swego kopyta, szewcze - rzekła porywczco chuda kobieta.

- Czy to jakaś defilada? - zapytała piskliwie szczerbata córka kobiety z Grasse.

- O, słodki Jezus, pamiętasz, mam, procesję Najświętszego Sakramentu w Grasse, i te wszystkie złote wspaniałości? Co to jest Gromadzenie, mam?

- Skąd mam wiedzieć? - odparła mama.

- Wiesz, po co te wszystkie tłumy i żołnierze, szewcze?

- Miejskie leniuchy - warknęła chuda.

- To wielki dzień, matko - powiedział szewc ze wszystkich sił starając się zmusić usta do ułożenia się w normalnej pozycji - nie wiedziałaś? Wszyscy wyszliśmy, żeby zobaczyć, jak idzie Zgromadzenie.

- Kto by wychodził - powiedział rozzłoszczony urzędnik przyciśnięty do szewca przez rosnący z tyłu tłum - gdyby ta przekłeta straż nie zaczęła przeganiać ludzi? Gdyby tylko dali mi spokój z tymi swoimi pioruńskimi końmi, to byłbym w swoim biurze.

Była dziesiąta. Ludzie stojący na placu Katedralnym usłyszeli dzwon św. Stephena spod Wzgórza i dzwon św. Rocha w Starej Dzielnicy, lecz nie wielki dzwon katedry. Milczał i dopiero prawie kwadrans po dziesiątej odezwał się tryumfalnie cały kurant potężnym, jeżącym włos na

głowach uderzeniem, a potem zaczął wygrywać rozgłosne pasaże od sopranów do basów, od sopranów do basów.

- Co to takiego, do diabła? - zapytał nerwowy urzędnik, a wieśniaczki przeżegnały się.

- To znaczy, że skończyło się błogosławieństwo Zgromadzenia - powiedział wszystkowiedzący szewc. - Patrz teraz, stara kobieto, zobaczysz, jak wychodzą i idą ulicą Tiypontiy do parku.

- Co to jest błogosławieństwo Gromadzenia, mamó? - pisnęła szczerbata córka. - Och, popatrz! Popatrz! O, słodki Jezu, popatrz tylko na nich!

Zgromadzenie Trzech Stanów Królestwa wyszło z katedry św. Theodory w porządku przepisany w Redakcji z 1509 roku: arcybiskup i jego kolegium kanoników oraz przedstawiciele duchowieństwa Dziesięciu Prowincji według rangi i w szatach odpowiednich do pory roku kościelnego; za nimi przedstawiciele szlachty Dziesięciu Prowincji w zbrojach lub w odpowiednio stosownym innym stroju, według rangi, a przy każdym z nich szedł giermek, niosący herb rodu; na końcu szli przedstawiciele gminu w czarnych szatach i czapkach z tkanin lub futer, chociaż nie z gronostajów czy soboli. Podczas przejścia do pałacu miała ich wszystkich strzec i oddawać im honory Straż Królewska, a spotkać ich u bram i powitać miał król, rektor Królewskiego Uniwersytetu Miasta Krasnoy, burmistrz Miasta Krasnoy i mistrzowie ośmiu Wielkich Cechów. Gdzieś daleko w parku zabrzmiała słodko trąbka. Zerwało się kilka okrzyków na cześć znanych twarzy wśród przedstawicieli gminu - własnych reprezentantów miasta i Oragona, przedstawiciela z Rakavy. Gdy tylko zniesiono kordony, ludzie rozeszli się. Niektórzy poszli za procesją przez park, wieśniaczki przecięły plac do swych wozów, urzędnicy pośpieszyli do biur, a szewcy do kopyt.

W pałacu Sinalya zebranie odbywało się w należyтым porządku w dużej, zimnej Sali Zgromadzeń, przypominającej marmurową stodołę. Przedstawiciele siedzieli, uzbrojeni oficerowie straży stali przy wszystkich drzwiach. Wielka księżna Mariya wypowiedziała po łacinie monarszą formułę powitania.

Na galerii, będącej przy marmurowej stodole czymś w rodzaju gołębnika, tłoczyło się dwudziestu mężczyzn usiłujących zaczerpnąć nieco powietrza i zobaczyć coś przez cztery jardowej wysokości strzelnice, wychodzące na Salę Zgromadzeń. Galeria została wybudowana dla kilku dworskich sekretarzy, a nie dwudziestu ambitnych reporterów.

- I ja sam chciałem się dostać do tej piekielnej dziury! - jęczał Brelayay. - Jak ściśnięte gęsi!

Znajdował się tu na podstawie przepustki ostemplowanej przez sześciu urzędników Biura Cenzury, Policji, Pałacu itd., i wydanej zatrudniającej go plotkarskiej gazecie, zajmującej się towarzyskimi sprawami dworu i miasta. Frenin dostał podobną przepustkę dla swojego

miesięcznika katolickiego, publikującego wiadomości parafialne i budujące teksty dla księży. Itale miał przepustkę dla "Novesma Verba". Reszta to byli reporterzy organu rządowego, "KurieraMerkurego", lub widzowie z koneksjami na książęcym dworze, którzy wyklócili się o przepustki z ciekawości czy poczucia własnej ważności. Givan Karantay stał obok Itale i z fascynacją obserwował energiczne ruchy długiego podbródka wielkiej księżnej odczytującej swoje łacińskie pozdrowienie. Powieść Karantaya "Młody Liyve", wydana na wiosnę, odniosła niesłychany sukces, a jej autor stał się czymś w rodzaju postaci narodowej. Rząd w Wiedniu nie lubił narodowych postaci, lecz wiedział, kiedy nie należy im przeszkadzać. Karantay dostał przepustkę podpisaną przez premiera Corneliusa - wystarczyło, że o nią poprosił.

Wielka księżna zakończyła monotonne czytanie.

- Pewnie jest już czwarta trzydzieści - jęknął Brelavay.

Do mównicy podszedł wielkimi krokami rektor uniwersytetu o ciemnych policzkach, wspaniale wyglądający w wyszywanej złotem doktorskiej szacie.

- O miserere, Domine! - znów jęknął Brelavay mając na myśli rektora.

Rektor położył na mównicy zwój dokumentów, oparł na nim rękę i rozpoczął improwizowaną mowę. Szczupły reporter z "KurieraMerkurego" o wyglądzie urzędnika robił notatki. Itale także próbował, zwracając się o pomoc do Brelavaya, który w Solariy zdobył pierwszą nagrodę z łaciny. Brelavay jęknął i wyrecytował fragment Wergiliusza.

- Mugitusque boum! Po co piszesz, Itale? To tylko mugitus boum. Muu! Muu! - ryknął niedosłyszalnie do rektora.

Szybko notujący reporter rządowy syknął z oburzeniem żądając ciszy na galerii. Po półgodzinnym dźwięcznym przemówieniu rektora wstał burmistrz Krasnoy i wygłosił krótką, cycerońską mowę, z której najwyraźniej nie rozumiał ani słowa, czytając ją zlepkami sylab brzmiącymi jak przypadkowa strzelanina. Następnie zamiast mistrzów Wielkich Cechów, które, podobnie jak wszystkie związki pracujących ludzi, zostały rozwiązane, wystąpił premier wielkiego księstwa, Johann Cornelius, przemawiający przez dwadzieścia minut płynną i przyjemnie brzmiącą germańską łaciną. Prymus z "Kuriera" stenografował. Itale robił rozpaczliwe notatki.

- Daj sobie spokój - szepnął Brelavay. - To nie stenografia, on nas próbuje przestraszyć, to jak ślady kur.

- A jeśli ktoś powie coś ważnego? - zaoponował Itale.

- Nikt nic nie powie - rzekł Frenin.

Przemowy powitalne skończyły się i Zgromadzenie udało się na obiad.

Wszyscy zebrali się w Cafe Illyrica, czekając na czterech reporterów i wykrzykując pytania o przebieg pierwszej sesji Zgromadzenia.

- Muczenie krów - powiedział Brelavay.

Wszyscy inni krzyczeli, spierali się, zadawali pytania i na nie odpowiadali, a czwórka, która wróciła z Sinalya, była dość milcząca. Wiedzieli, że Zgromadzenie użyje łaciny, wiedzieli, że wszystko zacznie się od formalności... ale dzień ten był z dawna oczekiwany i prawie się już skończył, a nie doprowadził do niczego - zupełnie do niczego. Widowisko, oszustwo. Itale wycofał się z Karantayem w róg niespokojnej restauracji. Dobroduszny spokój pisarza stał się dla niego przystanią w bezładnym, podlewanym piwem entuzjazmie tłumu, wypełniającego Illyricę. Karantay w niezwykłym stopniu łączył w sobie zapał i cierpliwość, był żarliwym i niezawodnym konstytucjonalistą oraz republikaninem, gotowym zaryzykować dla sprawy swą błyskotliwą karierę, lecz nigdy nie broniącym się przed niemiłymi faktami. Miał w sobie twardość, która coraz bardziej się podobała Itale, a ta jego twardość pragmatyzmu stanowiła przemiłą cechę, ponieważ powieść Karantaya - dziko, dramatycznie, na wskroś romantyczna, nieprawdopodobna i wielkoduszna, a jednak, podobnie jak jej autor, w żadnym razie nie była nieszczerą. W złożoności podobieństw i różnic między autorem i jego dziełem Itale dostrzegał pewne odbicie złożonych powiązań rzeczywistości i ideału, dostrzegał także wiele innych spraw, które sprawiały, że im lepiej poznawał Karantaya, tym bardziej go lubił. Pili teraz razem piwo i nie mówili wiele, podczas gdy stary illyriczanin jak zwykle wykrzykiwał coś o swojej kochance, Wolności.

Kiedy znaleźli się z powrotem na chłodnej, dusznej galerii, obserwowali deputowanych, zajmujących swoje miejsca. Mieli przemawiać członkowie każdego stanu, dziękując Koronie za zwołanie Zgromadzenia. Miejsce wielkiej księżnej było teraz puste - monarchia uczyniła już swój gest. Ponieważ miejsce z prawej strony pustego fotela zajął szczupły, siwowłosy i dobrotliwie uśmiechnięty Johann Cornelius, ozdobne mowy po łacinie były pod nieobecność wielkiej księżnej - i Metternicha - jak złośliwie dorzucił Frenin - adresowane do niego. Frenin złościł się dalej:

- Dziękujemy marionetkowemu ministrowi marionetkowej księżnej, będącej wasalem marionetkowego cesarza, kontrolowanego przez niemieckiego kanclerza za uprzejme zezwolenie na przemawianie w martwym języku przez sześć godzin dziennie, zgodnie ze starodawnym zwyczajem naszego narodu. Mój Boże! Dlaczego stoimy tu i oglądamy ten teatrzyk marionetek?

Najstarszy dostojnik kościelny Orsinii, arcybiskup Aisnar, wreszcie otworzył porządek dnia. Itale widział go ostatnio w katedrze w Aisnar na Wielkanoc jako sztywną, złocistą postać w chwale światła i pieśni. Cienkim głosem otworzył spotkanie kościelną łaciną i przedłożył deputowanym propozycję, by jednogłośnie przegłosować podziękowanie dla wielkiej księżnej za zwołanie Zgromadzenia.

Z ław po lewej stronie podniósł się mówca. Arcybiskup naradził się ze swoimi pomocnikami i w końcu powiedział ostrożnie po łacinie:

- Udzielamy deputowanym prawa głosu.

- Wasza Ekscelencjo, panowie i dżentelmeni, moi współdeputowani - rzekł mówca dźwięcznym głosem nie po łacinie, lecz we własnym języku - proponuję poprawkę do przedstawionego wniosku: Zgromadzenie Narodowe przegłosuje podziękowanie dla monarchii, lecz głosowanie zostanie przeprowadzone, a rezolucja sformułowana w narodowym języku Zgromadzenia. - Zapadła cisza, a następnie wybuchła wrzawa. - Wasza Ekscelencjo! Proszę o przywrócenie spokoju, nie oddałem jeszcze głosu. Nazywam się Oragon, jestem deputowanym Trzeciego Stanu, wybranym przez Zgromadzenie Prowincjonalne prowincji Polana. Nie mówię jedynie w imieniu mojej prowincji, lecz w imieniu całego kraju, do was wszystkich, którzy zebraliście się tu w imieniu tego kraju: mówię o naszych prawach i świętych obowiązkach... - silny, pewny siebie głos wznosił się, wypełniając puste przestrzenie Sali Zgromadzeń słowami: mój kraj, mój naród, nasze prawa, nasza odpowiedzialność. Każde zakazane, długo nie wypowiedzane słowo zbiera w sobie całą siłę milczenia. Właśnie siła, siła lat, przenikała mowę Oragona. On zdawał sobie z tego sprawę i mówił bez wahania, wiedząc jednocześnie, że może to być pierwsza i ostatnia taka mowa, wygłoszona w tej sali.

Na galerii wszyscy usiłowali zapisać ją słowo po słowie. Itale pisał tak szybko, jak mówił Oragon, bo znał już tę mowę, nauczył się jej przed wieloma laty w cichej, ciemnej bibliotece domu w Malafrenie, mowy, która przez lata posługiwała się tyloma słowami w tylu językach, lecz którą można wypowiedzieć zaledwie tymi czterema: żyj wolny lub umrzyj.

Oragon mówił przez czterdzieści minut, a kiedy skończył, głos miał zachrypnięty, słuchacze byli oszołomieni, a Itale upuścił ołówek, którego nie mógł już utrzymać w palcach. Karantay podniósł go wraz z notatnikiem, bo Zgromadzenie znajdowało się w godnym uwagi stanie. Ze wszystkich stron wstawali chcący przemówić, biedny biskup przewracał oczyma. Cornelius przez całą przemowę Oragona siedział cicho. Podobnie jak Itale słyszał ją już przedtem i w przeciwieństwie do niego sądził, że jej czas przeminął. W miarę jak debata toczyła się jednak w narodowym języku, wymykając się prawie spod kontroli i robiąc się coraz głośniejsza, premier przybierał coraz posępniejszą minę. Entuzjazm i nieporządek były jego wrogami. Podczas chaotycznej wojskowo-patriotycznej mowy barona z Soveny Cornelius wstał i przeprowadził cichą rozmowę z arcybiskupem. Znów wstał Oragon. Jego silny, chrapliwy głos, przyzwyczajony do zwracania się do wszelkiego rodzaju zgromadzeń w pomieszczeniach czy na dworze, przeciął przemówienie barona:

- Wasza Ekscelencjo, proszę o przywrócenie porządku w Zgromadzeniu Królestwa. Herr Cornelius, nie będący przedstawicielem żadnego Stanu, jest gościem tego Zgromadzenia bez prawa głosu, chyba że zostanie mu ono udzielone przez większość obecnych deputowanych.

Cornelius wrócił na swoje miejsce w zastraszonej, lecz sardonicznej ciszy.

- Zrzekam się prawa głosu - rzekł cicho, tak że usłyszało go tylko siedzące w pierwszych rzędach duchowieństwo. - Proszę kontynuować dyskusję.

Lecz bojowo nastawionemu baronowi odjęło mowę. Ktoś zawołał:

- Przegłosujmy propozycję pana Oragona!

- Panowie i dżentelmeni - rzekł arcybiskup - dalszą debatę i głosowanie musimy odłożyć na później, jest już po piątej. Przy...

- Przepraszam! Przepraszam! - deputowany z Krasnoy zerwał się na równe nogi. - Chyba powinniśmy przegłosować przełożenie posiedzenia!

Arcybiskup potarł czoło przekrzywiając swój arcybiskupi kapelusz i powiedział:

- Muszę poprosić panów o cierpliwość, nie zapoznałem się jeszcze dokładnie z moimi obowiązkami przewodniczącego Zgromadzenia. Proponuję, aby członkowie Zgromadzenia przegłosowali zamknięcie dzisiejszego posiedzenia.

Obok niego jak diabełek z pudełka pojawił się urzędnik.

- Sic et non - zawołał. - Sic?

- Chwileczkę! - zawołał ktoś spośród szlachty. - Skończmy najpierw to, co zaczęliśmy! Chcę zostać uznany!

Po dłuższej chwili pełnej nie dokończonych przemówień i zamieszania przeprowadzono głosowanie nad przesunięciem obrad. Głosy trzeba było policzyć. Sto czterdzieści osób opowiedziało się za kontynuowaniem sesji, sto trzydzieści jeden za przesunięciem, a czterdzieści siedem wstrzymało się od głosu. Arcybiskup zarządził dwugodzinną przerwę na kolację, co zostało przyjęte.

- No to koniec - rzekł Brelavay. - Napchają się, wrócą senni i przegłosują prowadzenie dalszych obrad w sanskrycie.

Kiedy jednak o jedenastej w nocy wreszcie postawiono wniosek, za łaciną głosowało mniej niż dziesięciu deputowanych. Drugi wniosek zgłoszony przez Oragona w związku z pierwszym, który przez zmianę pewnych zasad proceduralnych w zgromadzeniach prowincjonalnych dałby Trzeciemu Stanowi większość w Zgromadzeniu, został odłożony na później przez arcybiskupa, który najwyraźniej został poinstruowany przy kolacji, jak wykrywać taktykę wywrotową i niszczyć ją za pomocą procedury parlamentarnej. Tą nutą niejasnego zwycięstwa sesja się zakończyła.

Itale i Karantay zostawili resztę towarzystwa w Illyrice i poszli do Starej Dzielnicy, do domu Helleskara. Powitali ich szampanem i wiwatami George Helleskar, Luisa, Enrike, Estenskar i inni przedstawiciele "kół liberalnych".

- No i co, wypowiedzieliście wojnę Austrii? - zapytał stary hrabia, ojciec George'a Helleskara.

Stary hrabia, pułkownik rozwiązanej armii narodowej, ostatnie dowództwo sprawował pod Lipskiem w Wielkiej Armii Cesarstwa Francuskiego. Itale poznał go przed dwoma laty, kiedy uległ ponawianym zaproszeniom George'a Helleskara i przyszedł do niego na kolację. Dom był o wiele wspanialszy i surowszy niż siedziba Paludeskarów, a okazja dość oficjalna. Itale będący w swym najbardziej buntowniczym nastroju bawił się w dydaktycznie nastawionego republikanina, a George Helleskar, aż nadto zajęty jako gospodarz, nie mógł go ratować z grzęzawiska pełnej urazy ciszy, w jakim stopniowo i nieuchronnie się pograżał. Kiedy siedział w dobrowolnym odosobnieniu w najdalszym kącie wielkiego salonu, podszedł do niego wolnym i ciężkim krokiem stary hrabia. Usiadł obok niego i powiedział:

- Znałem pańskiego dziada, Itale Sorde z Malafreny.

Itale spojrział na niego, początkowo zbyt przejęty pogardą do samego siebie i wszystkich innych, by zrozumieć starca.

- George mówił o panu, ale dopóki pana nie zobaczyłem, nie wiedziałem, skąd znam pańskie nazwisko - ciągnął stary hrabia. - Jest pan do niego podobny.

- Gdzie... gdzie go pan poznał, sir?

- W Paryżu. Ja byłem młody, on dobiegał czterdziestki. Wróciliśmy do domu mniej więcej w tym samym czasie, on do swego majątku, ja, aby otrzymać stopień oficerski. Korespondowaliśmy ze sobą przez kilka lat. Przypuszczam, że od dawna nie żyje.

- Umarł w 1810 roku.

- Nigdy nie znałem takiego człowieka jak on. - Starzec mówił poważnie, z oczyma utkwionymi w Itale.

- Co robił w Paryżu, sir?

- Żył tam tak, jak pan żyje tu. W latach siedemdziesiątych w Paryżu było dużo cudzoziemców. Zawsze jest ich tam pełno. Polscy emigranci - najlepsi szermierze, jakich znam - Niemcy, my i Francuzi dostarczający tematów do rozmów. A rozmawialiśmy... Mnóstwo krwi i wody upłynęło od czasu, kiedy w kawiarniach w cieniu Bastylli przesiadywali młodzieńcy dyskutujący o "Umowie społecznej" - co, panie Sorde? Wszystko się zmieniło - wszystko.

- Ale my nadal mamy "Umowę społeczną" - rzekł Itale, już bez przekory.

- Hę? O, tak, mamy, i na wiele się nam przydała. To był inny wiek, panie Sorde, złoty wiek. Miód i mleko, zanim jeszcze skwaśniało! Nie byłem w Paryżu w dziewięćdziesiątym trzecim i nie widziałem rzeźników, ale byłem w Wiedniu w piętnastym i widziałem sępy... To pański dziad pokazał mi ów złoty wiek, powiedział o nadchodzącym nowym świecie, tak wspaniałym, zanim

nadszedł! Lecz co się z nim stało? Wrócił do swoich winnic i umarł jak pierwszy lepszy rolnik na swojej ziemi. A ja zabrałem moich czterystu ludzi na rzeź za Napoleona pod Lipskiem, a teraz siedzę w domu i patrzę, jak się tuczą sępy...

- Ale czas jeszcze się nie skończył, sir - powiedział Itale wydmuchując nos. Jego złe samopoczucie na początku wieczoru brało się częściowo z silnego przeziębienia. Od czasu zamieszkania przy Mallenastrada ciągle się przeziębiał.

- Dla nas, tutaj, tak. Wyjeżdżajcie do Ameryki, młodzieńcy, i znajdźcie tam nowy świat pełen dzikusów, ale nie traćcie swego czasu tutaj!

- Jeśli jest jakiś nowy świat, to jest on tutaj, tutaj albo nigdzie, zawsze - rzeki Itale, a starzec odparł z równą gwałtownością:

- No dobrze! Twój czas i masz prawo tak mówić. Dobre lata mojego życia były latami spędzonymi w Paryżu przed Rewolucją. Nie zapominam o tym, panie Sorde, chociaż nie wierzę już, w co wtedy wierzyliśmy z Itale Sorde, że do zaprowadzenia złotego wieku wystarczy ciężka praca i dobra wola. Trzeba jeszcze czegoś więcej. Ale niech nigdy już nie powiem młodemu człowiekowi, że nie da się tego zrobić! - Uderzył w oparcie fotela dużą pięścią pokrytą brązowymi, starczymi plamami i spojrzał gniewnie na Itale, swego syna George'a, który się do nich przyłączył, i obszerny salon, ozdobiony tu i ówdzie pięknie ubranymi, przyjaźnie rozmawiającymi gośćmi.

Od owego wieczoru stary hrabia i Itale zostali przyjaciółmi. W myślach Itale i pamięci hrabiego zawsze łączyło ich wspomnienie o tym innym Itale, spoczywającym obok kaplicy św. Anthony'ego pod sosnami Malafreny, a Itale po raz pierwszy przyznał się, że lubi George'a Helleskara, kiedy zobaczył jego dumę z wybuchowego, słabego starego żołnierza i okazywaną mu czułość.

Tego wieczoru stary hrabia Helleskar wspominał ostatnie zebranie Stanów w 1796 roku:

- Usiłowali wówczas wybrać króla i przez to Zgromadzenie się rozpadło. Może lepiej im wyjdzie pozbycie się wielkiej księżnej, co? - Roześmiał się, co przypominało szczekanie wilczarza. Kiedy przebywał wśród radykalnych przyjaciół swego syna, lubił wyrażać najbardziej skrajne opinie, prześcigał młodych w atakowaniu Austrii, systemu Metternicha, cenzury, dworu Sinalya i tak dalej. Jego emocje były prawdziwe, lecz jeśli próbował bronić swych poglądów w sposób racjonalny, to upadały, u ich podstaw bowiem leżał jedynie szacunek dla odwagi, pogarda dla oportunistów i głęboki pesymizm szlachcica, który widział upadek swojej klasy, oraz oficera, który przegrał swą ostatnią bitwę.

Wkrótce przyłączył się do nich Estenskar. Stary Helleskar nie lubił poety, lecz był dla niego grzeczny jak dla wszystkich gości domu. Właśnie ta wymuszona, nienaganna uprzejmość boleśnie przypominała Itale ojca. Do rozmawiających podchodzili inni, ale nie Luisa, która dała mu znać

spojrzeniem, kiedy wchodził, że chce się z nim widzieć wieczorem. Stary hrabia miał kilka dokumentów, dotyczących zgromadzenia z dziewięćdziesiątego szóstego i zaprowadził grupkę do swego gabinetu, żeby je obejrzeć. Podobnie jak wszyscy zaczął - po nieoczekiwanym tryumfie tego dnia - żywić wielkie nadzieje co do obecnego Zgromadzenia. Zaczął gwałtowną rozmowę z Estenskarem. Itale się jej przysłuchiwał. To był długi dzień. Zajrzał do nich George Helleskar i przysłał im butelkę winiaku z notatką: "Za przywrócenie deputowanego z Czwartego Stanu". Itale wypił trochę winiaku i zasnął w głębokim skórzanym fotelu. Inni wyszli z pokoju nie budząc go. W wyłożonym dębową boazerią gabinecie minęła bardzo spokojna godzina, urozmaicana jedynie tykaniem zegara i trzaskaniem ognia. Do gabinetu weszła cicho Luisa. Była w czerni, bo w lipcu zmarła po ciężkiej chorobie jej matka. Luisa ją pielęgnowała cały czas i właśnie podejrzenie tej choroby sprowadziło ją przed Wielkanocą z Aisnar. Nic wtedy nie powiedziała o niej Itale i niewiele też wspominała o tym później. O śmierci matki mówiła otwarcie jako o wyzwoleniu i nie okazywała żalu. Straciła żywy, promienny charakter swej urody, jaki miała w wieku dwudziestu lat, kiedy Itale zobaczył ją po raz pierwszy. Zawsze szczupła, w czerni wyglądała jeszcze szczuplej, i zbladła. Była napięta i dumna. Stała obok fotela przez jakiś czas, obserwując twarz śpiącego i jego ręce, które nadal lekko obejmowały pusty kieliszek oparty na brzuchu. Na jej twarzy malowała się jedynie czujność. W końcu wyjęła mu kieliszek z rąk, a kiedy się obudził, powiedziała:

- Możesz przyjść dziś wieczorem?

Spojrzał na nią, potrząsnął głową, przetarł dłonią twarz i włosy, ziewnął i powiedział głośno:

- Co?

Postawiła kieliszek na stole, podeszła do półek z książkami i powtórzyła, na wpół odwrócona od niego:

- Możesz przyjść dziś wieczorem?

- Która godzina? - Wyciągnął zegarek. - Druga trzydzieści?

- Około drugiej.

- Czyja zasnęłam? Posłuchaj, czy Karantay już wyszedł? Musimy pójść dzisiaj do redakcji i napisać sprawozdanie... "Verba" idzie do druku w środę w południe, to już jutro, właściwie dzisiaj... Posłuchaj, jutro wieczorem, Luiso. - Wstał z głębokiego fotela i podszedł do niej. Nie odwróciła się, lecz ruszyła wzdłuż półek patrząc na tytuły książek.

- Jutro wieczorem będę na dworze - powiedziała. - Itale, jest tutaj George - Śpiący Królewicz obudzony moim pocałunkiem. Nie żałujesz, że też nie zasnęłaś?

- Nie - odparł młody Helleskar. - Prawdopodobnie byś mnie ugryzła. Wszystkie radykalne elementy w salonie cię szukają, Sorde.

- Musimy przygotować numer dla cenzora, w zeszłym tygodniu przepuszczenie go zajęło im trzydzieści sześć godzin - chodź z nami, Helleskar, te całonocne posiedzenia są zabawne. - Itale był wypoczęty, w pełni rozbudzony i jego zapal płonął jasnym i ciepłym płomieniem jak ogień na kominku, więc George Helleskar powiedział:

- Dobrze! Jeśli nie będę przeszkadzał?

- Damy ci pracę, nie martw się. Dobranoc, baronino - rzekł wesoło, szczerze, jak zwykle w obecności innych posługując się jej tytułem.

- Czy wybaczysz uciekającemu gospodarzowi? - zapytał ją George Helleskar ze swą dobroduszną beczelnością.

Uśmiechnęła się i odparła:

- Już od godziny usiłuję namówić Enrike'a, żeby zabrał mnie do domu. Bawcie się dobrze. Czy naprawdę sądzicie, że teraz cenzor pozwoli wam cokolwiek wydrukować?

Lecz Itale spotkał się przy drzwiach z Karantayem i nie usłyszał jej albo udawał, że nie słyszy.

ROZDZIAŁ 5

Luisa bała się go od chwili, kiedy to ledwo wysiadłszy z dylizansu z Montayny znalazł się w jej salonie z paniką w oczach. Wszystko w nim ją przerażało: jego wzrost, błękitne oczy, duży nos, silne ręce, jego niezręczność, wrażliwość, jego idee, męskość i jego duch, którego niebezpieczne przebłyski przywodziły jej na myśl błyskawice rozpalające ciężkie chmury. Był jej obcy pod każdym względem. Nic jej z nim nie łączyło. Jego rzeczywistość przeczyła rzeczywistości, w której ona żyła. Dotknąć go znaczyło zniszczyć lub zostać zniszczoną. Złościła się, że nie może opanować gwałtownej reakcji, bo pragnęła kontroli nad samą sobą, zarówno nad umysłem, jak i ciałem. Jej ideały stanowiły chłód, odwaga, samokontrola. Obecność Itale wystawiała te cechy na ciężką próbę, lecz unikanie go, co byłoby najprostsze i najbardziej naturalne, albo odesłanie go i niewidywanie się z nim, byłoby także tchórzostwem, przyznaniem się do porażki. Zaprosiła go wbrew - słabemu co prawda - sprzeciwowi Enrike'a. Zarówno Helleskar, jak i Estenskar go przygarnęli i obecnie cała ta grupa radykalnych dziennikarzy stała się w mieście dość dobrze znana. I tak musiałyby się z nim spotykać w towarzystwie, chyba żeby uciekając przed nim przyłączyła się do "Wiedeńczyków", reprezentujących konserwatywne i nastawione procesarsko salony. Utrzymywała kontakt z tą częścią towarzystwa, przyjmując drobne stanowisko przy dworze, które miała jej matka. Była wzywana do pałacu raz na tydzień czy raz na dwa tygodnie, kiedy wielka księżna bawiła w mieście. Cieszył ją kontrast między smutnymi, nadętymi, zatęchłymi formalnościami dworu i jej własnym, coraz bardziej ożywionym kręgiem znajomych. Bawiło ją wypróbowywanie własnej śmiałości i władzy na tych ambitnych i lubiących dyskutować mężczyznach. Do większości z nich żywiła sporo pogardy, którą zwykle ukrywała. Jeśli chodzi o Itale, żadna dawka samokontroli i drwiny z samej siebie nie mogła zniweczyć jego atrakcyjności ani strachu przed ową atrakcyjnością i niechęci, jakie odczuwała Luisa, ani też przerażenia i przyjemności wywoływanej przez jego obecność, która stawiała wyzwanie wszystkiemu, czym była Luisa, oraz wszystkiemu, czego według siebie pragnęła.

Wychowywała się głównie nie w Krasnoy, lecz w ogromnym majątku rodzinnym w Sovenie, który stworzył jej dziad. Rodzice przez większość czasu przebywali w Krasnoy, bowiem powiązania z dworem były w życiu baronowej Paludeskar bardzo ważne, a dzieci mieszkały na wsi pod opieką nianie i służących. Kiedy Enrike skończył jedenaście lat, został wysłany do szkoły wojskowej dla szlacheckich synów, gdzie czuł się niewymownie nieszczęśliwy, a Luisa została w wieku ośmiu lat sama wśród służby. W czasie swego dzieciństwa w wielkim, ponurym domu, stojącym samotnie na wzgórku wśród płaskich, żyznych pól swego dziedzictwa, po których hulał

wiatr, robiła właściwie to, co chciała. W zabawach towarzyszyły jej dzieci rządcy posiadłości i dzierżawców. Znajdowały się o stopień wyżej od chłopów, bo miały za sobą kilka lat szkoły. Nieśmiałe, ciemnowłose dzieci, twarde jak gwoździe, zachowujące się jak niewolnicy kapryśnej "baroniny", dopóki jedno z nich, za bardzo prowokowane, nie zwracało się przeciwko niej i nie nazywało jej papistką, co uznawali za największą obrazę, nie pluło jej w twarz, a często nawet biło. Nie potrafiła bawić się z żadną z dziewczynek, bo zawsze wszystko kończyło się kłótnią. Towarzyszami zabaw Luisy byli chłopcy, uznający jej przewodnictwo w wyczynach, których inaczej zakazałby im brak wyobraźni czy zwykłego rozsądku. Oni jednak też nie lubili się podporządkowywać i kiedy Luisa miała dziesięć lat, wróciła kiedyś do domu ze złamanym nadgarstkiem. Doprowadziła do wściekłości syna kowala, Kassa, który złamał jej rękę na swoim kolanie jak wierzbową gałązkę. Kiedy w tydzień później przyjechała na swą doroczną wizytę jej matka, usłyszała, że baronina spadła z konia. - Ona jest bardzo samowolna, proszę pani - powiedziała niania, słabiutko bijąc na alarm. Baronowa wydała polecenie, by Luisa spędzała w domu sześć godzin dziennie na nauce ze swoim nauczycielem, domowym księdzem, i by nie bawiła się z protestanckimi dziećmi. Polecen tych mniej więcej przestrzegano do końca miesiąca, kiedy to baronowa wyjeżdżała, a Luisa biegła szukać Kassa, zanim jeszcze powóz zniknął na długiej drodze, biegnącej po smaganych wiatrem równinach.

W rok później zaczęła się bawić z Kassem w grę, którą nazywali dzikim tańcem. Lekcje historii ojca Andre zawierały pewne pogmatwane opowieści o pogańskich zabobonach, rytuałach i rzymskich metodach wróżebnych. Luisa powiedziała Kassowi, że jeśli zatańczą w odpowiedni sposób, zabiją kurę i odczytają zawarte w jej wnętrzu wiadomości, dowiedzą się o wszystkim, co się zdarzy w przyszłości. Ukradli z podwórka kurę i zabili ją. Luisa była przerażona straszliwą prostotą ukręcania głowy, nigdy nie lubiła na to patrzeć, lecz chłopak był podekscytowany jej strachem i obrzydzeniem, kradzieżą, niepotrzebnym zabijaniem. Rozerwał kurę gołymi rękoma, zanurzył dłonie w jej wnętrznościach i wepchnął twarz Luisy w krwawą masę szydząc: - Czytaj! No, czytaj! - Chciało jej się krzyczeć, wymiotować, ale się opanowała i powiedziała: - Widzę... widzę przyszłość... widzę ogień, ogień, pożar domu... - Zatańczył dla niej nago na klepisku pewnego ciemnego, jesiennego wieczoru wśród mgły i drobnego deszczu. Byli sami wśród długich, ponurych pól. Jego szczupłe, blade, dziecinne ciało błyskało przed nią w tańcu. Było silne, wilgotne od mgły i potu. Ona nie zatańczyła dla niego. Potem prawie się do siebie nie odzywali.

Kiedy miała trzynaście lat, rozpoczęła związek, który wreszcie przypieczętował jej powrót do Krasnoy. Zawsze była niegrzeczna i arogancka dla najstarszego syna rządcy, szydziła z niego i namawiała innych chłopców do zatruwania mu życia, a teraz nagle się z nim zaprzyjaźniła i wkrótce przerośnięty, uwielbiany przez matkę szesnastolatek zdobył nad Luisa wielką władzę,

zastraszając ją i fascynując nagłymi wybuchami gniewu, pieszczotami, serdecznymi rozmowami, atakami śmiechu, potokami niespodziewanych łez i groźbami samobójstwa. Opowiedział jej, jak uwiódł wiejską dziewczynę, żywo opisując każde słowo i czynność, jak się potem jeszcze spotykali i co robili. Luisa słuchała tego wszystkiego i powodowana zazdrością oraz trochę mu nie dowierzając, spróbowała dorównać jego opowieściom, popuszczając wodze wyobraźni. Powiedziała mu, że Kass spał z nią "setki razy". Chłopiec jej uwierzył i zaczął ją niezdarnie rozbierać. Luisa sama zdjęła ubranie i stanęła nieruchomo. Zmusił ją do położenia się i sam się na niej ułożył, lecz był impotentem. Kiedy nie chciał jej puścić, Luisa zaczęła go bić i drapać po twarzy, wyrwała się mu, włożyła koszulkę i sukienkę. Następnego dnia namówił ją na jeszcze jedną próbę, lecz powtórzyło się to samo. Chłopak poszedł do domu i próbował się zastrzelić z myśliwskiej strzelby ojca, lecz w tej właśnie chwili weszła do pokoju jego matka. Chłopiec strzelił do niej i odstrzelił jej prawą dłoń. Z jego szlochów i nieskładnych opowiadań wywnioskowano, że wszystko ma jakiś związek z Luisą, ale sprawę wyciszono. Baron Paludeskar, umierający wówczas na raka, w ogóle o niczym się nie dowiedział, a Luisa wróciła do Krasnoy i zaczęła chodzić do przyklasztornej szkoły. Teraz po dziesięciu latach jej soveńskie dzieciństwo wydawało się nieskończenie odległe, jakby przeżyła je jakaś inna osoba w innym świecie, lecz czasami przypominała sobie syna rządcy i jego miękkie, miotające się, bezsilne ciało czy jeszcze odleglejszy obraz nagiego chłopca tańczącego o zmroku, w deszczu.

Nie lubiła dotykania, pocałunków wymaganych od kobiet przy powitaniu, podawania ręki. Nie pozwalała swojej pokojówce się ubierać ani szcztokować sobie włosów.

Kiedy Itale przyszedł do niej w kwietniu po raz pierwszy do pokoju, który wynajęła w hotelu w pobliżu Zachodniej Bramy, nie potrafiła ukryć swego przerażenia, drżała, była sztywna, milczała, oczy miała suche i szeroko otwarte. A jednak czekała tam na niego jak zwierzę, które dało się schwytać w pułapkę. Mogła ją wyzwolić tylko intensywność i bezosobowość jego pożądania. Namiętność Itale zniosła jej strach, niczym fala spadająca na zamek z piasku, i cały lęk Luisy zmienił się w taką samą namiętność, cały piasek zmienił się w wodę życia... na jedną noc, a od tego czasu na kilka nocy czy na pewien czas.

Kiedy choroba jej matki zaostrzyła się, nie mogła przychodzić na spotkania. W czerwcu i lipcu nie widziała się z Itale sam na sam, a w towarzystwie tylko dwa razy, i to krótko. Cały czas poświęcała umierającej matce, którą cierpliwie i umiejętnie pielęgnowała przez dziewięć tygodni jej agonii. Matka zmarła trzymając ją za rękę. Po pogrzebie Luisa przebywała tydzień w domu z nikim się nie widując, a potem wróciła do poprzedniego życia w stopniu, na jaki pozwalała jej żaloba, lecz nie dała Itale żadnego znaku. On już jednak nie pozwolił się odrzucić i Luisa mu uległa. Po raz pierwszy kochał się wtedy z nią w jej własnym domu. Przy pewnej dozie ostrożności

względem Enrike'a i służby teraz stało się to zwyczajem. Późną nocą dyskretnie wpuszczała go pokojówka. Luisa często odkładała zaplanowane spotkanie lub czyniła trudności przy ustalaniu konkretnej daty, a niekiedy w trakcie spotkań zachowywała się, przynajmniej na początku, biernie i chłodno. Do wieczora u Helleskarów nigdy nie powiedział jej, że nie może przyjść.

Czekała na niego w tę wrześnieją noc. Spóźniał się. Był w Illyrice albo w redakcji swego czasopisma, albo z Karantayem, Estenskarzem czy którymś z innych znajomych, w ich świecie, w świecie polityki. Rozejrzała się po swoim świecie z ironią: białoniebieska sypialnia z wysokim sufitem. A jednak miała owej nocy rację co do czasopisma. Zapytała, czy cenzor pozwoli im teraz cokolwiek wydrukować, a oni jej nie posłuchali i poszli z uniesieniem i w duchu koleżeństwa spisywać wydarzenia wielkiego dnia. Biuro Cenzury zwróciło im korektę po trzech dniach odrzuciwszy wszystkie sprawozdania z pierwszego posiedzenia Zgromadzenia. Był to dzień oddania numeru do druku. Mogli jedynie usunąć cały tekst i wydrukować pierwsze trzy strony całkowicie puste, z wyjątkiem nagłówka "Novesma Verba" i daty.

Tego samego dnia, trzeciego dnia debaty Zgromadzenia, przewodniczący oznajmił, że decyzja posługiwania się językiem narodowym nie otrzymała sankcji wielkiej księżnej i została w ten sposób unieważniona. Oragon natychmiast podniósł kwestię prawa wielkiej księżnej do udzielania sankcji i stawiania weta, ponieważ artykuły Zgromadzenia stanowią, że podlega ono wyłącznie królowi, a króla nie ma. Odtąd debata z trudem toczyła się dalej przy próbach lewej strony sali postawienia kwestii władzy monarszej, przerywanych z prawej strony głównie żądaniem przewodniczącego, by deputowani mówili po łacinie. Itale i inni napisali bardzo wyważone sprawozdanie z owych sesji. Cenzor je wystemplował i w tym tygodniu czasopismo wyszło tylko zjedną kolumną na stronie wiadomości, zawierającą pośpiesznie napisany przez Karantaya patriotyczny szkic, z resztą stronic nie zadrukowaną. Jedynymi wieściami, jakie otrzymało społeczeństwo na temat wydarzeń w Sali Zgromadzeń, było krótkie streszczenie wniosków i wyników głosowania na wewnętrznej stronie "KurieraMerkurego". Premier Cornelius nie widział potrzeby stosowania przemocy, którą to formę uznawał za odrażającą - chodziło jedynie o spokojne wykładanie przy każdej partii, w ostatniej chwili, karty atutowej.

A była to gra, w której, podobnie jak jego idealistyczni przeciwnicy, ryzykował życie. Tyle że on miał po swojej stronie żołnierzy i cesarstwo, co stwarzało graczom nieco nierówne szanse. Luisa to dostrzegała, lecz nie sądziła, że Itale, Estenskar czy nawet Helleskar widzieli to wystarczająco wyraźnie. Nie mówiła o tym dużo, lecz dalej pełniła swe obowiązki na dworze i ilekroć Enrike ją poprosił lub sama widziała ku temu sposobność, przyjmowała ludzi, którzy mogli mu pomóc w jego skromnych planach dyplomatycznych. Nie dostrzegała w tym żadnej nielojalności. Dlaczego miałyby być lojalna względem sprawy, z której została wyłączona? W

ogóle jak mogłaby być względem niej lojalna? Nie mogła wziąć udziału w grze, a zatem nie obchodziło jej, kto wygra.

A on wciąż nie przychodził. Było po drugiej. Siedziała przy toaletce. Właśnie odłożyła przyniesione przez niego czasopismo, "Bellerofon", miesięcznik, który przejął większość literackiej wyściółki z "Novesma Verba", ono zaś stało się pismem otwarcie politycznym i filozoficznym. W tym numerze Itale zamieścił, jako główny artykuł, długą recenzję "Słownika i gramatyki historycznej języka orsińskiego oraz jego dialektów" profesora z Solariy. Najwyraźniej wszyscy byli poruszeni słownikiem i gramatyką. Patriotyzm. Spróbowała przeczytać recenzję. Styl Itale był zwięzły, logiczny i pouczający, sugestywny, lecz nie porywający, na pewno nie do czytania przed snem. Luisa ziewnęła i zaczęła przerzucać kartki. Estenskar napisał drugą część długiej recenzji powieści Karantaya. Nie było ich nawet tylu, żeby uczciwie mogli się pokłócić, musieli się wszyscy nawzajem wychwalać. Ów świat widziała jako mały, nędzny, równie pośledni, co ponury dwór wielkiej księżnej, równie czczy. Nie są wolni, chociaż bezustannie mówią o wolności. Nikt nie jest wolny.

- Ładny obrazek - zabrzmiał cichy głos Itale.

Luisa przysnęła. Teraz otworzyła oczy, usiłując oprzytomnieć, lecz się nie poruszyła. Poznała po jego głosie, że się uśmiecha.

- Zasnąłaś nad moją recenzją, tak? - powiedział pochylając się nad nią. - Czytelniczka powieści. - Ciepłymi ustami musnął jej policzek, wyczuła przyniesione przez niego nocne powietrze.

- Możesz sobie czytać słowniki, jeśli ci się podobają - rzekła otwierając oczy i zamykając je ponownie, przeciągnęła się i ziewnęła. - Mnie o to nie prosz. Ja nie wierzę słowom. Bardzo się spóźniłeś.

- Wiem. Przepraszam. - Zdjął surdut, halsztuk i usiadł na łóżku w kamizelce i koszuli. W cieniu rzucanym przez jedną świecę jego twarz wyglądała poważnie. Luisa wpatrywała się w nią intensywnie, jakby mogła w ten sposób odkryć, jaki naprawdę jest Itale.

- Illyrica - powiedziała. - Gadanie, gadanie i gadanie. Słowa, słowa i słowa...

- Nie, byłem z przyjacielem. Z tej szkoły, w której uczyłem przez jakiś czas. Stracił pracę.

- Wy wszyscy zawsze jesteście bez pracy.

Wiedziała, że Itale nie lubi naigrawiania się z dorywczych zajęć, których się podejmował, aby opłacić czynsz i wyżywienie, zanim rozkwitające "Novesma Verba" mogło zacząć wypłacać mu małą pensję. Wiedziała, że temat jego względnego ubóstwa jest jedną z najniebezpieczniejszych kwestii leżących między nimi. I właśnie dlatego, że było to niebezpieczne,

zaczęła skradać się ku krawędzi krateru. Teraz jednak nie obudził się w nim gniew. Itale skinął tylko głową i powiedział:

- Egen zrezygnował z pracy, a miał dobrą posadę, uczył w rodzinie jakiegoś kupca zbożowego w Trasfiuve. Ma suchoty i lekarz powiedział, że mieszkając z dziećmi naraża je na ryzyko. Wyprowadził się więc, choć próbowali go zatrzymać. Nie wiem, co mógłbym dla niego zrobić. Gdyby miał chociaż rok na podreperowanie zdrowia... - Itale ukrył twarz w dłoniach. - Nie wiem, nie rozumiem, jak on może się w ogóle wyzwolić, ale to nie może...

- Owszem, może, i prawdopodobnie tak będzie, bo zwykle tak się dzieje. A ty nic na to nie poradzisz! Dlaczego się tym zadręczasz?

- Nie zadręczam się. On jest moim przyjacielem.

- Owszem, zadręczasz się. Żaden z twoich przyjaciół nie jest ciebie wart. Wszyscy są skazani na zagładę, z góry przegrani.

- Estenskar? - powiedział jakby ze śmiechem.

- Estenskar najbardziej z nich wszystkich. Jest zakochany w porażce.

- Nie chcę o tym wszystkim teraz rozmawiać - rzekł niecierpliwie. - Jestem zmęczony.

Zwrócił się do niej, lecz Luisa ześliznęła się z łóżka leniwym ruchem i otuliwszy się jedwabnym szlafrokiem podeszła do toaletki, usiadła przed lustrem i zaczęła szczotkować włosy. Itale położył się w poprzek łóżka z rękoma za głową.

- Nie zapomnij nakręcić zegara i zmówić pacierza - napomniała go Luisa.

- Co ja znowu złego zrobiłem? - zapytał sucho, ale dobrodusznie.

- Nie pragnę małżeństwa.

- Wiem o tym.

- Doprawdy?

Odpowiedział dopiero po chwili.

- Luiso, muszą być pewne sprawy, które będziemy traktować jak coś oczywistego, musi być pewien obszar zaufania między nami, bo inaczej nic się nie uda. Nie możemy za każdym razem zaczynać od nowa.

- Owszem, możemy. Właśnie tego chcę, właśnie tak powinniśmy robić. Niczego nie traktować jako coś oczywistego. Nic nie może być ustalone, spodziewane, tuzinkowe. Każda noc ma być pierwszą nocą... Ale to nie będzie miało sensu tak długo, jak długo będziesz przychodził... stąd, skąd przychodzisz.

- Co to znaczy, skąd przychodzę?

- Mam na myśli wszystkich, dla których strzepisz sobie język. Wszystkich tych drugorzędnych ludzi, do których nie należysz. Niech słabi wspierają się nawzajem. Nie można

dzielić bólu, to najgorsza hipokryzja ze wszystkich, najbardziej upodlająca. Miłosierdzie, pokora, te ohydne chrześcijańskie cnoty - co ty robisz w tej klatce? - Mówiła lekkim i łagodnym tonem szcزتkując włosy długimi, rytmicznymi pociągnięciami. - Przychodzisz do mnie prosto z klatki i nawet nie wiesz, że z niej wyszedłeś. A rano znów do niej biegiesz...

Usiadł na łóżku i siedział tak przez chwilę wpatrzony w zacieniony koniec pokoju, gdzie długie, białe zasłony kryły okna.

- Przychodzę do ciebie po... po to, czego nie dał mi nikt inny - po zaufanie, po najgłębsze zaufanie. - Wstał. - Nie wiem, czy potrafię je przyjąć, i wiem, że cię krzywdzę. Mogę ofiarować ci jedynie to, co dajesz mi ty - to zaufanie, tę troskę...

- Tę klatkę... - Ona teraz też wstała, odwracając się do niego, stała na środku pokoju z rozpuszczonymi włosami i w kwiecistym szlafroku. Kiedy uniosła ramiona, by go objąć, rękawy szlafrocka zsunęły się. - Chcę wlecieć obok ciebie lotem sokoła i nigdy nie oglądać się za siebie...

- Kocham cię - szepnął przytulając ją do siebie, upojony ciepłem i świeżością jej ciała. Był teraz o wiele bardziej doświadczonym kochankiem niż w ogrodzie w Aisnar, czulszym, żywiej odpowiadającym na jej reakcje.

Mimo że chciała mu powiedzieć: „Ja jestem twoją wolnością i widzę wolność w tobie”, nic nie powiedziała, czując, jak słowa się rozplývają, bariery padają, a radość, której tak bardzo się bała, unosi ją gdzieś w nieznane jak strumienie pianę z topniejącego śniegu.

Kiedy ocknęła się o świcie, Itale spał obok niej. Zapaliła świecę, a on nawet nie drgnął. Znów przyjrzała się jego twarzy, ciepłej i ciężkiej od snu, zupełnie bezbronnej. Leżeć razem nago całą noc - tak, to było zaufanie, lecz jej się nie podobało to słowo. Gdyby tylko można całkowicie pozbyć się słów... Ale zaraz wstanie służba. Itale wolał wychodzić, kiedy jeszcze było ciemno. Czuł się bardzo upokorzony, gdy kiedyś spał w jej łóżku do dziesiątej i potem musiał potajemnie przemykać się do wyjścia przy pomocy Luisy i jej pokojówki; przypomniało to scenę żywcem wyjętą z opery komicznej, którą Luisa uznałaby za niezwykle śmieszną, gdyby tylko on miał takie samo zdanie. Ciągłe był taki naiwny i prowincjonalny - uczeń mający wszystko wszystkim za złe, Robespierre bez poczucia humoru, prostacki pedant - faryzeusz. Tak więc strach pośpiesznie odzyskiwał w jej sercu utracone pozycje, znów ustawiał bariery, odrzucał wdzięczność i tęsknotę za wszechogarniającym ciepłem ich ciał, wreszcie zmusił ją do obudzenia kochanka przez ostre wypowiedzenie jego imienia.

Poderwał się, po czym opadł z powrotem na poduszki z jakimś niewyraźnym słowem na ustach.

- Obudź się, obudź.

- Nie śpię - powiedział wtulając twarz w jej ramię.

- Ależ ty masz nos - mruknęła przez chwilę na powrót pograżając się w ciepło. - Jak dziób okrętu. Zawsze skierowany w przód.

Znów zasnął.

- Robi się jasno.

- Nie chęć iść - mruknął i zaczął sennie całować jej szyję i pierś. Zesztywniała, wysliznęła się z łóżka i włożyła swój kwiecisty szlafrok, odwracając się do niego tyłem.

- Powiem Agacie, żeby popilnowała tylnych schodów.

- Luiso. Zaczekaj.

Zrobiła niecierpliwie pół obrotu.

Usiadł drapiąc się w głowę.

- Chciałem o tym porozmawiać zeszłego wieczoru, ale było późno, a my... - Odgarnął włosy i spojrzał na nią poprzez mglistą kulę blasku świecy. Jego twarz nadal miała ciężki, bezbronny wygląd, pełna była niewinności snu. Wargi miał lekko spuchnięte. - Mogę na jakiś czas wyjechać z miasta.

- Dokąd? Na jak długo? - zapytała bez emocji.

- Amadey poprosił, żebym pojechał z nim do domu i chciałbym to zrobić. A potem pojechać do Rakavy i napisać kilka artykułów na temat tamtejszej sytuacji albo znaleźć tam korespondenta, który mógłby to dla nas robić. Myślę, że nie będzie mnie kilka tygodni.

Była niezadowolona, że jej długie, ciężkie, jasne włosy są rozpuszczone i leżą splątana masa na ramionach. Nie zaplotła ich wieczorem, bo mieli się kochać. Podeszła do toaletki i szesała włosy z twarzy szorstkimi, wprawnymi pociągnięciami szczotki.

- Kiedy Amadey w końcu się zdecydował?

- Poprosił mnie dwa dni temu.

- Właśnie miał wyjeżdżać do Polany od czasu, kiedy go poznałam pięć lat temu. Długo tam nie zabawi... - Jeśli Itale pojedzie, to będzie mogła spać sama miesiąc, dwa miesiące, a jej umysł nie będzie musiał przechodzić przez wszystkie cierpienia zazdrości, niepokoju, niechęci i przerażenia, do których zmuszało ją jej ciało, dusza lub jakaś ślepa, głupia wszechmoc. Będzie wolna. - Nie zostań tam zbyt długo - rzekła.

- Dobrze, nie martw się! - powiedział z naiwną wdzięcznością.

Wstał i zaczął się ubierać. Patrzyła w lustro, jak wkłada i zapina koszulę, potem kołnierzyk i halsztuk, te majestatyczne sekrety męskich ubrań, kamizelkę i surdut z długimi połami.

- Wrócę najpóźniej w połowie listopada - powiedział. Najwyraźniej się bał, że będzie miała zastrzeżenia co do jego wyjazdu, i z ulgą przyjął jej reakcję.

- Może pojedę z Enrikiem do Wiednia, kiedy cię nie będzie - rzekła. - Nigdy nie znajdzie na tyle energii, żeby pojechać samemu, a jeśli ma kiedykolwiek dostać jakąś posadę, to musi poznać ambasadora. Chociaż jeśli pojedę, to chyba będę musiała zostać na Boże Narodzenie. Co za nudy. Nie wiem. A może ty przyjedziesz do Wiednia? Poszerzyłoby to twoje horyzonty o wiele bardziej niż hodowla owiec Estenskara i brudna Rakava... Zatrzymamy się w "Kónig von Ungarn", tuż za katedrą... Przyjedź, Itale!

Siedząc na łóżku, żeby włożyć buty, podniósł wzrok i napotkał jej szydercze, wyzywające oczy.

- O Boże, nawet o piątej rano jesteś taka piękna - powiedział stłumionym głosem schylając się do buta, a potem wstał i rzekł nieco zakłopotany: - Nie mogę jechać do Wiednia... Może kiedy indziej. - Gdyby posunęła się za daleko, gotów był się obrazić, bo oczywiście chodziło tu o pieniądze.

Zawsze chodziło o pieniądze.

Skinęła grzecznie głową, jakby kończąc temat, i poszła obudzić Agatę. Większość służących była godna zaufania, Luisa wiedziała dokładnie, z czyimi służącymi wymieniali się wiadomościami, i nie obchodziło jej, co mówili, lecz Enrike przyjął niedawno lokaja od hrabiego Raskayneskara i Luisa nie chciała znaleźć się na językach takich ludzi. Raskayneskar był typem człowieka, który zbierał plotki od służby i złośliwie je wykorzystywał.

- Pier jeszcze śpi, proszę pani - mruknęła Agata. Luisa wróciła do pokoju:

- Droga wolna - powiedziała.

Itale podszedł do niej w ubraniu, w zbroi tego wieku solidności, niczym jakiś groźny obcy, a ona zadrzała stojąc boso w cienkim, jedwabnym szlafroku.

- Nie chcę iść - powiedział cicho nie dotykając jej. - Nie chcę teraz odchodzić. Nie chcę jechać do Rakavy.

Pochylił się, ucałował ją bardzo delikatnie w usta i wyszedł. Nie słyszała nawet jego kroków na schodach.

Wróciła do łóżka i zwinęła się w kłębek pod kołdrą w miejscu, które było jeszcze ciepłe. Teraz mogę spać, teraz jestem sama, pomyślała, lecz zamiast zasnąć, zaczęła płakać chowając twarz pod kołdrę i jak dziecko wciskając pięści do oczu.

CZEŚĆ IV

Droga do Radiko

ROZDZIAŁ I

W chłodny świt równonocy figura św. Krzysztofa, patrona podróżnych, wyraźnie górowała nad Starym Mostem, rzeką i delikatną mgiełką leżącą na powierzchni wody. Czystość światła, nieruchomość powietrza i nieba zacierały różnice między tym, co żywe, i tym, co nieożywione, i wydawało się, że kamienny święty zatrzymał się tu, by spojrzeć z uśmiechem niewidzącymi oczyma na wschód. Nie było chmur. Nad ciemnymi wzgórzami weszło słońce, posyłając swe pierwsze promienie prosto w oczy dwóch jeźdźców, jadących po Starym Moście, oślepiając ich i zmuszając do zmruczenia oczu. Uśmiechnęli się. Przejechali przez most i wjechali w cień długiej ulicy. Osiem kopyt wybijało urywany rytm na kocich łbach Trasfmve, między rzędami uszpionych domów. Jeden z jeźdźców odwrócił się w siodle, by przyjrzeć się nowemu światłu na wieżach katedry, która została za nimi, po drugiej stronie rzeki.

- Popatrz, Amadey, jakie światło.

Estenskar nie odwrócił się. Patrzył przed siebie, wzdłuż długiej, prostej ulicy i powiedział:

- Chodź, mój koń się wrywa.

Niespokojny gniadosz, a za nim kasztanowata klacz, ruszyły kłusem. Konie były żwawe, jeźdźcy dobrze siedzieli w siodłach i wyjeżdżając tak z miasta w pierwszy wschód słońca jesieni wyglądali naprawdę imponująco.

O ósmej godzinie Itale mógł się odwrócić i obejrzeć sobie całe Krasnoy ze stromych uliczek Grasse. Miasto ciągnęło się wzdłuż rozświetlonej słońcem rzeki, piękne i zamglone o tak wczesnej godzinie. Wyjechawszy z miasteczka znaleźli się po drugiej stronie wzgórza i stracili widok doliny, rzeki oraz miasta.

Cały dzień wśród wzgórz, delikatny, ciepły wiatr wiejący w twarz zapachem ziemi, siana, dymu. O zmroku wioska w widniejącej przed nimi dolinie między wzgórzami, drzewa, słomiane dachy i dym z kominów, obietnica odpoczynku i ognia na kominku po całodziennej jeździe.

- Musi tam być gospoda - powiedział Itale.

Zaczął śpiewać "Kraśnieją jagody na jesiennych drzewach", a jego klacz zastrzygła uszami i przyspieszyła kroku, wiedziona przecuciem rychłego odpoczynku. Kiedy wjeżdżali do wioski, pod starymi drzewami zaległ już mrok, a szylc ze złotym lwem skrzypiał na wieczornym wietrze.

- Jakie przyjemne miejsce - rzekł Itale zsiadając z konia. W gospodzie nie było żadnych innych podróżnych. Podano im dobre piwo, które wypili siedząc przy ogniu, oraz dużą, chrupiącą pieczoną kurę. Zostawili z niej tylko kości. Itale wyciągnął przed siebie nogi i dla dopełnienia

rytuału na koniec posiłku zapalił glinianą fajeczkę, podaną przez właściciela gospody "Pod Złotym Lwem".

- Nigdy przedtem nie widziałem cię palącego - zauważył Estenskar.

- Bo nie palę - odparł Itale. - Co trzeba zrobić, żeby to paskudztwo nie gasło?

Estenskar dalej mu się przyglądał, ponieważ Itale wyciągnął się wygodnie i mocno pykał z fajki, na nic innego nie zwracając uwagi.

- Cieszę się, że razem podróżujemy - powiedział.

- Oczywiście.

Estenskar uśmiechnął się i znów utkwiał wzrok w płomieniach.

- Dobrze jest wyjechać z miasta. Musisz jutro wziąć klacz, ma wspaniały chód. Jak dawno nie siedziałem już na koniu, a co dopiero na dobrym koniu?! To są wakacje. Więcej niż wakacje. Ucieczka... - Itale machnął zgasłą fajką. - Byłem pełen, Amadey. Całkowicie wypełniony. Teraz znów jestem pusty. Nareszcie! Powietrze, słońce, cisza, przestrzeń...

Estenskar wstał i podszedł do drzwi, które wychodziły bezpośrednio na wiejską ulicę. Twardej ziemi na dworze nie oddzielał od ubitej ziemi, stanowiącej podłogę gospody, żaden próg. Ciemność pod rozłożystymi dębami była chłodna i miękka. Od czasu do czasu zrywał się wietrzyk, sztyld skrzypiał, a przez czarne, niespokojne liście słabo przeświecało kilka gwiazd.

- Czy to rzeczywiście takie łatwe? - powiedział po tak długiej przerwie, że Itale oszołomiony jazdą, świeżym powietrzem, piwem i dobrym samopoczuciem nie wiedział, o czym Estenskar mówi. - Człowiek wyrusza... wyrusza, żeby stworzyć siebie. Stworzyć świat. Musi przejść przez wszystko, co musi zrobić, zobaczyć, czego musi się nauczyć i czym musi być. Człowiek wyjeżdża z domu, przyjeżdża do miasta, podróżuje, wszystko widzi, wszystkiego doświadcza, tworzy siebie, wypełnia świat sobą i swoimi celami, ambicjami, pragnieniami. Aż wreszcie nie ma miejsca na nic innego. Nie ma miejsca, żeby się odwrócić.

- Tutaj jest wtrącił Itale. - Mówiłem ci już. Jestem tak pusty jak ten dzbanek po piwie. Powietrze, słońce, cisza, przestrzeń.

- To nie potrwa długo.

Estenskar oparł się o framugę patrząc w ciemność.

- Teraz, kiedy wiem, że nie mogę wybrać, teraz, kiedy w końcu nauczyłem się, że nie istnieje żaden wybór, że nie mogę i nigdy nie mogłem stworzyć sobie własnej drogi, że to wszystko było oszustwem, zarozumiałstwem i marnotrawstwem - teraz, kiedy przestałem próbować stworzyć sobie własną drogę, nie potrafię jej odnaleźć, nie słyszę wołania. Zgubiłem się. Zaszedłem za daleko i nie ma już drogi do domu.

W późniejszych latach, kiedy Itale słyszał, jak ktoś wymienia nazwisko jego przyjaciela, zawsze przypominała mu się ta chwila, wielka sala z klepiskiem zamiast podłogi, świeca i dzbanek piwa na dębowym stole, ogień, szmer jesiennego wiatru w ciemnych gałęziach, cisza kryjąca się pod jego głosem, otaczająca go i zamykająca się nad nim tak, że ostatnie, cicho wypowiedziane słowo wydawało się zanikać i cichnąć w ogromnym, obojętnym spokoju.

- Ale wracając do Esten... - zaczął Itale i urwał, wiedząc, że jego słowa są głupie, choć chciał jednocześnie zmienić nastrój Estenskar. Odczuwał radość i przykro mu było pozbywać się tego uczucia.

- To nie jest mój dom. Już za późno. Jedna droga prowadzi na wschód, druga na zachód, lecz nie istnieje cel podróży, dopóki się go nie otrzyma. Otrzyma! Nie można go sobie wybrać. Można tylko przyjąć - kiedy zostaje zaoferowany - jeśli zostanie zaoferowany. Dlaczego więc jadę do Esten? Nie wiem. - Mówił chrapliwie, spoglądając na Itale mściwym wzrokiem, lecz on już dawno temu zrozumiał, że Estenskar nigdy nie kieruje swojego gniewu przeciwko niemu.

- Bardzo ważne jest, gdzie się człowiek znajduje - rzekł. - Wróc do środka i usiądź. Właśnie się wyzwoliliśmy. Na razie nie ma sensu się martwić, dokąd jedziemy.

Estenskar posłuchał. Wrócił do stołu, usiadł, oparł na nim łokcie i schował głowę w dłoniach, rozburzając sobie sztywne, rude włosy.

- Potrafię tylko myśleć i mówić o sobie - powiedział załóżnie.

- To wartościowy temat. Chciałbym jednak...

- Gdyby nie ty, cały zeszły rok...

Obaj byli skrepowani i zapadła między nimi krótka cisza.

- Twój sen. Nadal za nim gonisz?

Estenskar potrząsnął głową.

- Czy Esten jest jego częścią?

- Nie wiem. Ale od kiedy mi się przyśnił, wiedziałem, że muszę wyjechać z Krasnoy, wyrwać się z tego miasta.

- Wiedziałeś już podczas naszej pierwszej rozmowy. W moim mieszkaniu.

- Kiedy jedliśmy ser. Dwa lata temu. Wtedy jeszcze mieszkałem z Rosalie - tkwiłem w tym po uszy. Boże! Co za głupiec!

Itale znów zajrzał do dzbanka na piwo, znalazł to, czego się spodziewał, czyli nic, i wstał rozprostowując ramiona. - Jutro rano będę sztywny. Dawno nie jeździłem.

- Posłuchaj, Itale. Skoro już rozmawiamy.

- Tak. Skoro już rozmawiamy? - Itale spojrział na niego poważnym wzrokiem.

- Co jest z Luisą Paludeskar?

- Zadaję sobie to samo pytanie.
- Coś się popsulo?
- Nie wiem. Nie rozumiem... czego ona chce.
- Nigdy tego nie zrozumiesz... A czego ty chcesz?

Itale oparł dłonie o ciężką obmurówkę kominka i spojrzał na ogień.

- Spać z nią.
- Czy ona tego chce?
- Myślałem, że tak.
- Ale teraz chce czegoś więcej?

- Nie - mniej. - Itale mówił bardzo powoli, usiłując wyrazić coś, czego nie potrafił nazwać. - Nie rozumiem tego. Jesteśmy zakochani, ale... nie jest nam ze sobą dobrze. Bardzo się nawzajem ranimy. Nie rozumiem, dlaczego.

- "Nie rozumiem, nie rozumiem", powiedziało źdźbło w ogniu. Zakochani... Miłość to wymysł poetów, Itale. Uwierz mi, ja to powinienem wiedzieć! Po prostu kłamstwo. Najgorsze z wszystkich kłamstw. Słowo bez znaczenia. Nie skała, lecz wir, pustka wciągająca dusze.

- Ale musi być... No, dobrze, nie bardzo chcę o tym mówić. Na chwilę uciekam, może zobaczę wszystko wyraźniej. Potem. Nie chciałeś się obejrzeć, kiedy wyjeżdżaliśmy z Krasnoj. Miałaś rację.

Estenskar skinął głową, lecz wrócił do tematu w dwadzieścia cztery godziny później, kiedy po nocy spędzonej "Pod Złotym Lwem" i całodziennej jeździe przez przyjemną, spokojną krainę leżeli na wielkiej stercie słomy pod dachem stodoły, zawinięci w końskie derki pożyczone im przez gościnnego gospodarza, czując w nozdrzach wszystkie zapachy stodoły i stajni i widząc lśniące gwiazdy, zagładające przez wielkie drzwi do wrzucania na poddasze siana.

- Luisa próbuje stworzyć sobie świat - powiedział. - Tak jak ja kiedyś. I ona go zniszczy, tak jak ja. Nie pozwól, żeby ściągnęła cię z kursu, Itale.

- Nie wiem, jakim płynę kursem! Kiedyś myślałem, że wiem... Nie wiem, co jest słuszne, co powinienem robić. Nie podoba mi się ten - ona nazywa to wolnością - romans, ta cała tajemniczość, nie można na niczym polegać...

- To jest jej wolność. Ona nie jest głupia. Gdyby wyszła za ciebie, ty byłbyś wolny, a ona znalazłaby się w pułapce! Miłość jest grą, w której są tylko przegrani. Posłuchaj, Itale, nie będę już poruszał tego tematu, nie moja sprawa, wiem. Znam Luisę od lat, mógłbym się w niej zakochać, gdybym wcześniej nie poznał tej drugiej. Ona jest podobna do mnie. Próbuje brać i wybierać. Widzi cię i nie może dać ci spokoju - jeśli nie staniesz się jej własnością, zniszczy cię - nie znasz, mam nadzieję, że nigdy nie poznasz, pożerającej zazdrości, kiedy na ciebie patrzy. Ja ją znam.

Uważaj na nas. Zniszczymy cię, Itale, jeśli tylko będziemy mogli. - Mówił głosem zimnym i żartobliwym.

- Ale nie możecie tego zrobić - rzekł Itale powoli i wcale nie żartobliwie.

- Idź samotny - szepnął Estenskar. - Idź samotny.

Gwiazdy wspaniale świeciły w wielkim kwadracie drzew, Vega najwyżej, Lew jak sierp żeńca pozostawiony w białej pszenicy, Łabędź na rzece gwiazd, a na południowym zachodzie ogromny Skorpion w otoczeniu mniejszych konstelacji, unoszących się zimno nad ciepłą ziemską nocą. Konie i bydło w przegrodach pod nimi parskały, ruszały się, spały swym dziwnym, czujnym snem. Gdzieś cykało kilka zapóźnionych świerszczy, nie bojących się ludzkich głosów. Itale zasnął, a budząc się przed świtem otworzył oczy wprost na bezbarwne przestworza, wśród których stał bledniejący Orion, myśliwy i wojownik zimowego nieba.

Przybyli tego dnia do Sorg, miasteczka położonego u zbiegu rzek Sorg i Ras, i jadąc przez kilka mil z biegiem Ras opuścili późnym popołudniem prowincję Frelana i wjechali do Polany. Po zachodzie słońca zerwał się, jakby czekający tam na nich, wschodni wiatr, niosący ze sobą chłód przebytych wielkich przestrzeni, długich równin i pustych wzgórz. Zatrzymali się w wiejskiej gospodzie, gdzie często budziło ich ze snu beczenie setek owiec nocujących w zagrodach na polach za gospodą, podzwanianie ich dzwonek oraz poganiacze bydła hulający we wspólnej sali na dole. Następnego dnia był chłodny, w powietrzu unosiła się delikatna mgiełka, tak że widoczne przez nikłą poświatę słońce wydawało się małe i blade. Jechali na południowy wschód, a wiatr wiał im w twarz. Okolica stawała się coraz biedniejsza. Uprawne pola ustąpiły ciągnącym się w nieskończoność, pofałdowanym pastwiskom. Jechali cały dzień sami między ziemią i niebem, a towarzystwa dotrzymywały im nieliczne drzewa, strumienie, domy czy ludzie. Droga wznosiła się łagodnie pokonując przez cały dzień tysiąc stóp wysokości. Bliżej Esten zbocza stawały się coraz bardziej strome, a nieliczne gospodarstwa, przytulone wraz z zagrodami dla owiec do zachodnich stoków wzgórz, szukając ochrony przed wiatrem, biedniejsze. Dojechali do wioski Kolleiy późnym popołudniem i po przejechaniu jeszcze czterech mil stanęli w Esten po zapadnięciu nocy. Itale niewiele zobaczył z domu - tylko światła ukryte między drzewami u stóp wzgórza, którego wyniosła, łagodna krzywizna chroniła go przed wschodnim wiatrem i wschodnimi gwiazdami. Wszędzie wokół ciemniały w blasku gwiazd bryły pagórków i nie było widać żadnego światła oprócz rozsiewanego przez gwiazdy i okna tego jednego domu, samotnego jak statek na pełnym morzu. Po krótkiej kolacji z bratem i szwagierką Estenskara podróżnicy poszli spać. Itale dostał pokój w południowowschodnim rogu domu. Był wysoki, prawie bez mebli i czysty - jak reszta domu. Dom i pokój pachniał wsią. Panowała całkowita, niczym nie zmacona cisza.

Obudził się późno i otworzył oczy w białej powodzi słońca. Jego okno wychodziło na podwórko i słycać było, jak chłopiec stajenny śpiewając czyścił tupiącego i parsającego konia. Itale nigdy nie słyszał tej melodii, trudno mu też było zrozumieć ten dialekt.

W Rakavie, za wysokimi murami

Zostawiłem swą miłą na wieki.

Zamieszkałem pod nagimi wzgórzami

Gdzie nie płyną strumienie ni rzeki...

Archaiczne zwroty i wysoki, surowy głos zmagający się z trylami i meandrami melodii niczym płytki strumień, który przepływa nad głazami, stanowiły część rzeńskiego, wietrznego poranka i Itale wstał gotów na to, co miał mu on przynieść.

Zjadł śniadanie z Amadeyem w długiej jadalni. Ladislas Estenskar był "na polu", jak powiedziała jego żona - w pracy. Siedziała z nimi, chociaż wstała dawno temu, razem z mężem. Była cichą, ciemnowłosą osiemnastolatką, zameżną zaledwie od pięciu miesięcy. Zachowywała się bardziej jak dziewczynka u siebie w domu niż pani na gospodarstwie i wyraźnie bała się swego szwagra. Z Itale od razu przypadli sobie do gustu. Kiedy wchodzili na wzgórze za domem, powiedział do przyjaciela:

- Podoba mi się twoja siostrzyczka.

- Ladislas jest rozsądnym człowiekiem.

- I ma dobry gust... W miastach takich nie ma. Znałem kiedyś podobną dziewczynę w Malafrenie...

- Co się z nią stało, z tą dziewczyną w Malafrenie?

- Wysłano ją do szkoły klasztornej w Aisnar, gdzie wyszła za bogatego wdowca... Nie powinni jej pozwolić wyjechać ze wsi. Miasto ją zepsuje... Co za widok!

Pod nimi dom i stajnie przycupnęły w górze doliny, na skraju rzadkiego, dużego lasu. Wszędzie wokół nagiego szczytu, na którym stali, rozciągały się płowe, obłe wzgórza, nawet pod samym horyzontem powleczone tylko lekkim błękitem w suchym, czystym, rozświetlonym powietrzu. Porastała je trawa krótka jak po strzyżeniu. Tu i ówdzie były porozrzucane na zboczach stada owiec, szare i postrzępione niczym połączone przekwitłych mleczy. Nad całym tym rozległym krajobrazem unosiła się delikatna muzyka owczych dzwonek. Ku północy, za lasem, na urwistym i poszarpanym szczycie górującym nad resztą wzniesień, pięło się coś na krawędzi widoczności - jakiś mur czy wieża.

- Co to takiego, Amadey?

Estenskar odwrócił się. Musiał zmrużyć oczy od wiatru i słońca. Jego twarda, szczupła twarz sprawiała wrażenie, jakby była zrobiona z tego samego materiału, co ta wyżyna, wyblakła, sucha ziemia.

- Ta wieża? Nazywa się Radiko.

- Zamek?

- Wyszadzony w powietrze podczas Wojny Trzech Królów. Niewiele z niego zostało.

- Którego króla tam popierali?

Estenskar roześmiał się.

- Pretendenta. Tutejsi ludzie nigdy nie znajdują się po zwycięskiej stronie...

Kiedy zeszli ze wzgórza, z ulgą przyjęli brak wiatru oraz obecność drzew, dających schronienie przed płowymi przestrzeniami.

Spotkali wchodzącego na podwórko Ladislasa i razem z nim poszli do stajni obejrzeć dwa konie, które Amadey kupił w Krasnoy. Podziwiając kasztankę, Ladislas pogłaskał ją po szyi i powiedział:

- Zawsze miałeś dobre oko do koni, Amadey.

Było wyraźnie widać, że cieszy się z powrotu młodszego brata, że go kocha, podziwia i się go boi. Po południu pojechali pokazać Itale posiadłość. Starszy brat rozmawiał z nim o rolnictwie, młodszy przeważnie milczał. W Montaynie hodowano owce, lecz Itale nie miał wiele z nimi do czynienia i nigdy nie widział tak ogromnych stad czy pastwisk. Był pod wielkim wrażeniem tego, co zobaczył, i zadawał Ladislasowi nie kończące się pytania, na które odpowiedzi stawały się coraz bardziej techniczne i skomplikowane, w miarę jak Ladislas odkrywał, że rozmawia z człowiekiem, który pracował "na polu". Zaczął nawet zapominać, że gość jest literatem z miasta. Zatrzymali konie obok jednej z głębokich, obmurowanych kamieniami studni i zsiadli, żeby na nią popatrzeć. Potem znów dosiedli koni, ale nie pojechali dalej, dyskutując namiętnie o głównym problemie rolnictwa w Polanie i zasadniczej przyczynie jego odmienności od rolnictwa Montayny, czyli o braku wody powierzchniowej. Amadey siedział cierpliwie i w milczeniu na cierpliwym, starym koniu, patrząc na wzgórza.

Wracając do domu z Itale powiedział:

- Dziwnie jest tak wrócić. Zupełnie jakby się przyjechało do obcego, całkowicie obcego kraju i odkryło, że doskonale się włada jego językiem...

Tego wieczoru siedzieli po kolacji rozmawiając przy ogniu. Kiedy Amadey powiedział coś o swojej książce, którą właśnie oddał do drukarni, żona Ladislasa zebrała się na odwagę i zapytała cichym głosem:

- Przywiozłeś ją z sobą?

- Tylko mój brudnopis. Całość ma Rochoy, wyjdzie na początku dwudziestego ósmego.

- To dzięki tobie się poznaliśmy, Amadey - rzekł jego brat.

- Givana chciała zobaczyć, jak wygląda brat Estenskara.

- To ja jestem bratem Estenskara. Cieszy mnie, że się na coś przydałem. Po raz pierwszy słyszę, żeby moja reputacja na coś się komuś przydała.

- On jest zmęczony sławą - rzekł Itale. - Mam nadzieję, że wkrótce zmęczy się zmęczeniem. Zawsze też obniża wartość swoich książek, im są lepsze, tym bardziej na nie pomstuje. Dlatego ta książka może naprawdę być niezła.

- Powieść? - spytała Givana. - Jaki ma tytuł? Możesz powiedzieć, o czym jest?

- Zatytułowałem ją "Givan Faugen" i opowiada właśnie o nim - odpowiedział Amadey wyraźnie starając się jej nie onieśmielić. - Jest bardzo ponura. Tak naprawdę wcale mi nie wyszła.

- Widzicie? - powiedział Itale. - Nikt jej jeszcze nie widział, ale wszyscy już usłyszeliśmy, że jest niedobra.

- Nie jest niedobra - odparł Amadey. - Gdyby tak było, nie wydawałbym jej.

Ladislav uśmiechnął się - albo lubił, kiedy ktoś się droczył z jego bratem, albo lubił, kiedy Amadey się unosił. - Jest zaledwie przeciętna - rzekł Itale.

- Nie jest taka, jaka powinna być. To wszystko. Nie jest tak dobra, jak książka Karantaya. Bardzo bym tego chciał.

- "Młody Liyve"? - spytała drżącym głosem Givana. Jej oczy były ogromne, ciemne, a ręce mocno spłotła na kolanach.

- A wiesz, że istnieje prawdziwy młody Liyve - powiedział Amadey wskazując Itale, który od razu się rozszłościł:

- O, nie, Amadey! Givan Karantay pisał tę książkę, zanim mnie poznał - poza tym nie ma absolutnie nic wspólnego...

- Sorde też jest zmęczony sławą.

- Godność Sordego została zraniona i nie stać go na ripostę - rzekł Itale. - Czy tam jest schowane pianino?

Był to delikatny i podniszczony stary klawikord. Givana zagrała im kilka sztywnych salonowych utworów z zeszłego wieku, a jej mąż stał czujnie obok niej przewracając nuty. Razem zaśpiewali szkocką piosenkę miłosną, jak zostało napisane w pożółkłym zeszycie. Była to tęskna melodia, w której ich głosy łączyły się z powściągliwą czystością. Śpiewali ją już przedtem, samotni w samotnym domu, dla własnej przyjemności. Itale patrzył na nich i myślał: Ależ tak właśnie powinno być, jak im się udało tak łatwo do tego dojść? Siedząc przy ogniu w przytulnym pokoju i słuchając muzyki miał przez chwilę wrażenie, że życie jest nieskończenie proste, jeśli

tylko spojrzeć na nie spokojnie, bez strachu; że jeśli jest się spragnionym, to choćby nie wiadomo jak sucha była ziemia, wystarczy tylko zobaczyć obok siebie głęboką studnię, studnię pełną czystej wody.

Ale to nie jest jego źródło, to nie jest jego ziemia.

Został w Esten przez tydzień. Chodził po posiadłości z Ladislassem, polował z Amadeyem w rzadkim lesie, wieczorami rozmawiał z braćmi i Givaną. Czuł się poniekąd jak u siebie w domu, bo był na wsi, w majątku, a częściowo jak ktoś obcy, jak gość z miasta wśród ciężko pracujących ludzi, nie należący do ich skromnego, cichego życia. Amadey robił się coraz bardziej milczący, odzywał się lakonicznie, a czasami mówił coś do siebie. Ostatniego dnia pobytu Itale zaproponował, żeby pojechali do zrujnowanej wieży, do Radiko.

- Nie - odparł Amadey.

Jednak zdał sobie sprawę z gburowatości odpowiedzi, zmarszczył czoło i dodał:

- Nic tam nie ma. Wolałbym... chciałbym pojechać tam sam. Przepraszam. - W jego twarzy widać było gniew, upór, cierpienie.

Itale pomyślał, że wszystko przychodzi mu z trudem, że niczego w życiu nie potrafi traktować lekko. Nawet pełna podziwu, nie wymagająca przyjaźni sprawiała mu ból. Raniła go nawet miłość. "Lina pali mi ręce". W jego pierwszej książce tak właśnie powiedział przewoźnik na lodowatej rzece.

- Zostań jeszcze trochę - zaproponował w ostatni wieczór. Było już późno, Ladislas i Givana poszli spać, a oni zostali przy kominku.

- Obiecałem, że spotkam się z Isaberelem.

- Rakava to paskudne miasto - powiedział z namysłem Amadey, patrząc w ogień. - Nie powinieneś tam jechać. Wschód mogą zrozumieć tylko ludzie ze wschodu.

- Pojedź więc ze mną. Pomóż mi z tymi artykułami. Amadey tylko potrząsnął głową.

Nazajutrz w południe, stojąc obok małego, zakurzonego dylizansu, który miał zawieźć Itale do Rakavy, Amadey powiedział:

- Kiedy zobaczysz się zimą z Karantayem, powiedz mu... - zamilkł na długą chwilę, wrzucił ramionami, spojrzął na zakurzoną wiejską drogę. - Nieważne. - Woźnica siedział na koźle i Itale powinien już usiąść obok niego.

- Nie bądź tu za długo, Amadey, wracaj do przyjaciół - powiedział wyciągając rękę, by dotknąć ramienia przyjaciela, by go objąć, jeśli Amadey się zgodzi. Estenskar jednak odsunął się od niego, mówiąc tylko:

- Dobrze. Do widzenia, szczęśliwej podróży - i nie patrząc na Itale odwrócił się i odszedł. Itale stał przez chwilę zakłopotany, a potem wskoczył na wielkie koło i zajął swoje miejsce. Na

okrzyk woźnicy dyliżans ruszył z podzwaniem uprzęży i skrzypieniem kół. Itale spojrzął w tył poprzez kurz wzbity końskimi kopytami i zobaczył, że jego przyjaciel już wsiadł na gniadosza i ruszył drogą do Esten. Za nim szła spokojnie klacz z pustym siodłem.

ROZDZIAŁ 2

Tej nocy Amadey długo nie mógł zasnąć i leżał słuchając wiatru. Był silny, zimny i niósł ze sobą deszcz. Kiedy na chwilę przycichał, dawało się słyszeć jakby westchnienie, co mogło być odgłosem wydawanym przez osiadający dom, którego drewniane ściany zmagaly się z wichrem, przypominało ono jednak oddech, jakby sam wiatr nabierał powietrza przed kolejnym skokiem ponad wzgórzami na zachód. Amadey w końcu usiadł, poszukał po omacku hubki i krzesiwa, i zapalił świecę. Z mroku wyłonił się pokój, wyspa nikłego światła. Na jednej wysokiej ścianie wisiała mapa Europy, którą pamiętał z najwcześniejszego dzieciństwa. Osiemdziesiąt lat historii zmieniło łacińskie nazwy królestw, dziwne, zawile linie brzegowe i granice państwowe. W oceanie, którego nigdy nie widział, pluskały się ozdobne potwory. Wschodni wiatr wiał w ciemności ku temu oceanowi, ku dalekiemu, zimnemu, jesiennemu morzu, ponad wzgórzami, równinami i miastami, mając za sobą świt, a przed sobą zachodzące słońce. Wschód słońca mógłby go dogonić na wybrzeżach Francji lub sam wiatr mógł doścignąć zmierzch nad Atlantykiem, u wybrzeży zachodniego świata. Potężny podmuch uderzył w dom niczym fala. Pod okapami i na dachu ozwały się głosy. Świeca dymiała, jej płomień się chwia.

- Mam już wszystko za sobą, skończyłem - szepnął wściekle w ciszy jęczącej po uderzeniu wiatru. - Wszystko minęło, nic już nie zostało, czego jeszcze ode mnie chcecie?

Cisza, wiatr, ciemność, ściany pokoju, w którym spał będąc chłopcem. Kiedy zdmuchnął świecę, widział okno jako jaśniejszy

prostokąt, a wśród pędzących na zachód chmur przeblyskiwał w czarnej otchłani ognisty Orion.

Po południu poszedł do stajni po gniadego konia. Drugi koń, którego kupił w Krasnoy, kasztanowata klacz, stała w sąsiednim boksie. Usłyszał głos Itale z gospody "Pod Żłotym Lwem": "Musisz jutro wziąć klacz, ma wspaniały chód". Przyjemny, swobodny głos, rozlewny dialekt, szczere serce... Znów do oczu Amadeya napłynęły łzy, jak wtedy, kiedy próbował pożegnać się z Itale stojąc obok dylizansu. Nie były dowodem żadnego sentymentalizmu, lecz przerażającej burzy rozpaczki atakującej od tyłu, której stawiał czoło, jak umiał najlepiej, odwracając się ku niej z zaskoczeniem i wściekłością.

Zamiast gniadosza osiodłał klacz i wyruszył samotnie w kierunku Radiko. W lesie październik rozpałał już swoje smutne ogniska, a brzozy zaczynały tracić liście. Wiatr wyczerpał swe siły. Klacz miała posuwisty chód. Amadey wyjechał wkrótce spośród drzew i znalazł się na długich zboczach, prowadzących do wieży. Jeśli nie liczyć porzrzucanych stad owiec jego brata,

wzgórza były puste. Żwawe, dorodne owce patrzyły najeźdźca nieobecny spojrzeniem. Niebo było bladoniebieskie. W pobliżu słońca zaczął leniwie zataczać kręgi jastrząb, a po chwili odleciał na północ.

Na szczycie wzgórza Amadey zsiadł z konia w miejscu, gdzie niegdyś znajdował się dziedziniec twierdzy. Długi kopiec najeżony na wół zagrzebanymi w ziemi głazami wskazywał miejsce dawnych murów. W żółtej trawie buszował wiatr, który tych wierzchołków nigdy nie opuszczał. Z bryły zamku został jedynie fragment bramy i ruiny zewnętrznego muru zwieszające się nad urwiskiem. Pokieroszowana wieża stała prawie nietknięta, stanowiąc jeden z trzech głównych elementów krajobrazu: drugim było zniżające się na zachodzie słońce, a trzecim, bardziej wyczuwalne niż widoczne w niewyraźnej jesiennej przestrzeni, fioletowiejące daleko na wschodzie góry innej krainy. Do wnętrza wieży prowadziła rampa kończąca się na kamiennej posadzce pierwszego piętra. Wyższe piętra zostały wypalone po zdobyciu zamku sto osiemdziesiąt lat temu. Zostały z nich tylko kamienne podpory krokwi i poszarpany krąg błękitnego nieba. Między kamieniami podłogi i ścian rozrosły się chwasty, w oknie znajdującym się na wysokości pięćdziesięciu stóp nad ziemią chwiało się kilka fioletowych stokrotek. Amadey podszedł do południowego okna na pierwszym piętrze, pozwalającego obejrzeć wąski, jasny pas rozświetlonego krajobrazu. Na parapecie z twardego, żółtoszarego piaskowca wyryty był napis:

ANNO MDCCCXVIII

VINCAM

Wyrzył go dwa dni przed wyjazdem z Esten do Krasnoy. Miał wtedy siedemnaście lat. W jednym potężnym, nieuchwytnym przebłysku pełnym zapachów, wiatru i blasku innych zachodów słońca przypomniał sobie wszystkie chwile, kiedy samotnie tu stał. Pierwszy raz przyszedł do Radiko nazajutrz po śmierci matki. Przyszedł pieszo, wszedł po zniszczonej rampie, usiadł, zmęczony, pod tym południowym oknem i odkrył, że znajduje się w miejscu, gdzie śmierć nie ma władzy, bo wszystko tu jest martwe, a jednocześnie trwałe i niewrażliwe na ciosy. Słońce zaszło, wieża wypełniła się błękitnymi cieniami. Usłyszał, jak ktoś woła go wśród wzgórz. Odezwał się w końcu. Szukał go jego ojciec, Ladis, wraz ze służbą - Amadey był wtedy dziesięcioletnim chłopcem.

Wieżę znów powoli wypełniły cienie i zrobiło się w niej zimno, jak gdyby były one przejrzystą, nieruchomą wodą. Wszedł na zewnątrz i usiadł w ostatnich promieniach słońca na zburzonym murze przy urwisku. Patrzył na rozciągający się przed nim kraj. Jako dziecko wyobrażał sobie, że to jego dziedzictwo, a on jest księciem zburzonego zamku. Wreszcie cień dotarł do szczytów najwyższych wzgórz. W końcu tutaj, wśród otaczającej go wielkości, wysokich ruin, wiatru i wieczoru pozbył się przerażającego wrażenia straty, jakiego zaznał żegnając się z

Itale, całego gorączkowego niepokoju, który towarzyszył mu uparcie przez całą drogę z Krasnoy. Kiedy wstał, nie chciał od razu odejść, poddając się otoczeniu, uznając jego całkowitą, uzdrowicielską obojętność i całkowite prawo własności do niego samego, Amadeya Estenskara. Nareszcie stał samotnie w jedynym miejscu, gdzie mógł być sam, gdzie mógł być sobą i gdzie mógł zaznać wolności. To jest to miejsce. Miejsce, do którego miałem przyjść, pomyślał z tryumfem. W tej samej chwili odwrócił się i zobaczył siebie, jak przybiera pozy, puszy się niczym jakiś głupiec w domu wspaniałości. Dlaczego nie chciał tu przyjechać z Itale? Bo się wstydził. Nie chciał, żeby Itale zobaczył to słowo wydrapane w kamieniu wieży - "zwycięzę" - i żeby w swej niewiedzy i wielkoduszności w nie uwierzył. Bo Itale wierzył w zwycięstwo, w walkę i tryumf ducha. Nie mieszkał w zrujnowanej wieży, w pustej krainie. Nie zrozumiał, że istnieje tylko jeden wybór, wybór między złudzeniem i hipokryzją, wybór, którego nie warto dokonywać. Co ja tu robię? - zapytał szyderczo Amadey samego siebie i wrócił do konia. Gdy tylko zjechał ze szczytu, ruszył kłusem, zostawiając za sobą, w martwym miejscu, swoją porażkę i bezpowrotnie stracone krótkie wrażenie spokoju.

Będąc już w złym nastroju wpadł w jeszcze gorszy, kiedy brat okazał mu cierpliwość, a "mała siostrzyczka" - znów głos Itale - zrobiła się nieśmiała i ostrożna. Dlaczego nie mogą zostawić go w spokoju? Nie potrafi dać sobie rady z ich zainteresowaniem, okazywanym mu uczuciem, z ich ludzkimi potrzebami i propozycjami. Nie potrafi, nigdy nie potrafił żyć z ludźmi. Powinien od nich odejść. Nie wiedział jednak, dokąd.

- Bardzo spodobał mi się twój przyjaciel - powiedział Ladis w kilka dni po wyjeździe Itale. Byli przed stajniami, bo Ladis poprosił brata, żeby pomógł mu powiesić bramę na nowych zawiasach, przywiezionych z kuźni w Kolleiy. Właśnie ją osadzili i Ladis wypróbował żelazny skobel. - Nie tak wyobrażałem sobie twoich przyjaciół.

Amadey zmył pod pompą zastarzałą rdzę z rąk. - Przyjaciele - powiedział. - On jest jedyną osobą, jaką poznałem w ciągu tych dziesięciu lat, o której tutaj myślę.

- Planujesz tu zostać?

- Chyba tak.

- Bardzo dobrze - rzekł starszy brat - wiesz o tym. Jeśli chodzi o mnie czy o Givanę. To twój dom. Ale ile ty masz lat, dwadzieścia sześć czy siedem, to nie jest miejsce dla mężczyzny, chyba że chcesz razem ze mną uprawiać ziemię. Tu nie ma nic innego.

- Ty chyba znajdujesz tu wszystko, czego ci trzeba.

- Ja jestem rolnikiem. A także mam żonę. Musiałem jeździć do niej w zaloty sześćdziesiąt mil. Tobie trzeba czegoś więcej. Po co ci żyto i owce? To byłoby marnowanie twojej pracy.

- Nie mam już nic do zrobienia. Wykonałem swoją pracę.

Ladislav podniósł głowę znad skobla.

- O czym ty mówisz, o swoich książkach? Skończyłeś pisać?

- Powiedziałbym raczej, że pisanie skończyło ze mną. Wykorzystało mnie i wyrzuciło.

Ladislav wpatrywał się w niego uporczywie.

- Nie można porzucić czegoś takiego - powiedział z przekonaniem.

- Mówię ci, że to ono mnie porzuciło.

- No tak! - odezwał się z niesmakiem Ladislav. - Wcale się nie zmieniłeś.

Ta braterska pogarda oparta na wiedzy i niezachwianej lojalności, ta niezbita, sprawiedliwa, wyrozumiała ocena charakteru odjęła Amadeyowi mowę. Poczul się jak dziecko, które powiedziało coś bardzo głupiego, i stojąc tak z rękoma na pompie poczerwieniał jak burak.

Tego wieczoru po kolacji Amadey wcale się nie odzywał do brata, za to o wiele więcej niż zwykle rozmawiał z Givaną. Rozśmieszał ją, wprawiał w zakłopotanie chwając jej bystrość, po czym pocieszał otwarcie ją poprawiając. Po raz pierwszy od przyjazdu do domu zaczął opisywać swoje życie w Krasnoy, ludzi, których poznał, dandysów, literatów, aktorów, polityków. Gwarne opowieści te przypominały Baśnie z 1001 nocy. Była oczarowana, wstrząśnięta, zafascynowana, prosiła o więcej szczegółów, opisanie okoliczności; oczy miała ciemne, lśniąco i powiedziała:

- Nie mogę w to wszystko uwierzyć, Amadey...

Tej nocy, leżąc w swoim łóżku, Amadey słyszał jej głos: "Nie mogę w to wszystko uwierzyć, Amadey...", zobaczył jej okrągłe, silne, dziecinne dłonie skrzyżowane na ciemnym staniku, i aż przeklął, żeby przestać słyszeć te słowa, w końcu obrócił się i zapalił świecę. Ten drugi, starszy, leżał obok głęboko uspiętej żony, usłyszał jej głos: "Nie mogę w to wszystko uwierzyć, Amadey..." i zacisnął pięści w gniewie, zazdrości i gwałtownym samooskarżeniu.

Tak samo minęły trzy kolejne wieczory. Po kolacji Amadey i Givana rozmawiali, śmiali się, grali na klawikordzie. Givana śpiewała dla niego lub wyśmiewała i podziwiała dziwaczne improwizacje, które on grał dla niej. Zaczęła się przy nim zachowywać zupełnie swobodnie i droczyła się z nim tak, jak nigdy nie droczyła się z Ladislavem, rozkazywała mu jakby naśladując wielkie damy z Krasnoy, które jej opisywał, flirtowała z nim. Fascynował ją teatr, zadawała nie kończące się pytania o scenę, sztuki, aktorów, aktorki, kobiety, których życie we wszystkim było przeciwieństwem jej życia: gdzie mieszkają? ile zarabiają? co robią z pieniędzmi? czy mają dzieci? i tak dalej, i tak dalej. Wymagała na wszystko odpowiedzi i młodzieniec o zgrzytliwym śmiechu ich udzielał, a Ladislav siedział w milczeniu przy kominku.

Czwartego wieczora Ladislav wyszedł po kolacji z domu i poszedł do owczarni. Długo siedział przy ogniu ze swoimi pasterzami, równie milczący i ponury jak przy własnym kominku.

Kiedy jednak wrócił do domu, jego żona siedziała samotnie przy ogniu coś szyjąc. Wyglądała na zmęczoną i trochę przestraszona.

- Gdzie jest Amadey? - zapytał nienaturalnym tonem Ladislas.

- W swoim pokoju.

- Nie będzie dzisiaj muzyki, co? - powiedział i skrzywił się.

- Wiatr jest taki silny - odparła. Zawsze tak się mówiło w Polanie. Podniosła wzrok i nieśmiało wyciągnęła do niego rękę.

- Wyglądasz na zmęczoną. Połóż się.

Jego głos był bardzo łagodny. Givana udała się na górę, a Ladislas został przy ogniu i poszedł w jej ślady dopiero o północy. Pod drzwiami Amadeya widać było światło, cienki, promienisty wachlarz złota na wytartym dywanie. Nie spał, był sam. Starszy brat stał za zamkniętymi drzwiami w ciemności zakłóconej jedynie wachlarzem światła u stóp i próbował znaleźć w sobie siłę, żeby milczeć, żeby nic nie mówić. Po drugiej stronie drzwi Amadey siedział zgarbiony nad porysowanym stołem szukając w pozbawionej emocji ekstazie słowa, daru mowy. Dostał od Givany to, czego chciał, czyli rozedrgane nerwy, niespokojne, niecierpliwe, uparte pożądanie, zniszczone w zarodku. Te właśnie uczucia były jego natchnieniem. Gdy tylko Ladislas wyszedł z domu, Amadey poszedł do swojego pokoju przepełniony wstydem i pogardą dla samego siebie. Usiadł, żeby napisać do kogoś list, do kogokolwiek w Krasnoy; musi stąd wyjechać i wrócić do Krasnoy. Kiedy ostrzył pióro, pojawiły mu się w myślach słowa, pomieszały się, znieruchomiały, znów się pomieszały: "Tu, w zrujnowanej wieży, koniec nadziei... Tu, w domu pustki, Książę... W wieży na krawędzi nadziei..." Zdania się rozsypały, zmienił się układ, wróciło brzmienie i wypełniło wszechświat po brzegi, a Amadey zanurzył na wpół zaostrzone pióro i zaczął pisać, wykreślać, pisać od nowa, mocując się z aniołem wprawnie i zręcznie, niczym sięgający po zwycięstwo zawodowy zapaśnik.

Przez cztery dni był prawie cały czas zamknięty w swoim pokoju. Kiedy z niego wychodził, zachowywał się wesoło i beztrąsko, jadł wszystko, co przed nim stawiano, odpowiadał chaotycznie na pytania i wracał do pracy. Czwartego wieczoru przyszedł do gabinetu brata, ogromnego, zimnego pokoju, w którym Ladislas zamykał się, gdy sprawdzał księgi.

- Możesz poświęcić mi pół godziny?

- Wejdz! Mam już tego dosyć.

- Co to w ogóle jest?

- Podatki. Od trzech lat z rzędu proszę Rakawę o wyjaśnienia. Przysyłają mi te same głupie nakazy od władz administracyjnych w Krasnoy. Ciekawe, jak według nich nasi chłopcy mają

zapłacić ten nowy podatek od domów? Chcą rozlewu krwi? Jeśli Stany niczego nie zmienią, to pewnego dnia do tego dojdzie!

- Mój Boże, tutaj też...

- Przyczyną rewolucji są podatki, wcale nie musiałeś jechać do miasta, żeby się tego dowiedzieć - powiedział Ladislas z ironią czy też autoironią. - Co to takiego?

- Chcesz posłuchać?

Ladislas usiadł przy biurku, a Amadey odczytał na stojąco długi poemat swym ostrym, wyraźnym głosem, który prawie w ogóle nie łagodniał, nawet przy najbardziej melodyjnych strofach. Poemat pełen był czułości i słodczy brzmienia - z tego słynęły jego wiersze - a czego zupełnie nie było teraz słychać w głosie Amadeya ani w znaczeniu słów opisujących wyobrażenie czy też sen o zrujnowanym zamku, tworzących powódź ponurych i urwistych obrazów w ciemności, kończącej się ciemnością, niewyraźnej i gwałtownej.

Kiedy skończył czytać, zapadła cisza, a po chwili Ladislas wyciągnął przed siebie dziwnym gestem obie ręce, z uśmiechem na nie spojrzął i szepnął:

- Cały ty.

- Nie, to nie ja. To miejsce, Radiko. Chyba że mi się nie udało.

Ladislas podniósł na niego oczy.

- Radiko? W koszmarze...

- W rzeczywistości. Takie, jakie jest. - Głos poety zmiękł, bo czytając, dał upust swoim uczuciom.

- Jedyna droga biegnąca przez wzgórza prowadzi do niego i można do niego dotrzeć tylko jedną drogą... to jak sen, w którym nigdy się nie wybiera, w którym nie ma żadnego wyboru... to przerażające, Amadey - powiedział starszy brat swoim poważnym, nieśmiałym głosem, a Amadey uśmiechnął się, przyjmując na chwilę pochwałę, zwycięstwo.

- Zawsze byłeś moim najlepszym słuchaczem, Ladis.

Usiadł naprzeciwko brata. Ladislas był czujny i bezpretensjonalny, a Amadey jak zawsze starannie i elegancko ubrany, rudawe włosy miał dobrze ostrzyżone i uczesane. Założył nogę na nogę i postukał zwiniętym rękopisem poematu w kolano.

- Oczywiście, że chodzi o sen. To nie jest samo miejsce, lecz sen - wizja - sprzed wielu miesięcy. Z zeszłego lipca. Nie wiem, czy potrafię go opisać. Od wielu tygodni niczego nie robiłem, niczego nie napisałem od wielu miesięcy. Pewnej lipcowej nocy wróciłem... wróciłem do domu, do którego kiedyś często przychodziłem, do pewnej kobiety... Znasz tę historię. Zerwałem z nią ponad rok temu, znów nabrałem do siebie szacunku, pracowałem w Itale i jego kolegami... Więc wróciłem do niej, a ona oczywiście mnie przyjęła, bardzo ją to bawiło, odprawiła aktualnego

kochanka, żeby zrobić dla mnie miejsce w łóżku, upiłem się, płakałem i w końcu mnie też wyrzuciła... Całą noc chodziłem po mieście, pamiętam to tylko częściowo... Wróciłem do domu nad ranem i poszedłem spać. Wstałem wieczorem. Gorąco, lipiec w Krasnoy. Oczywiście było mi niedobrze... tak nisko się jeszcze nie stoczyłem... długo siedziałem przy oknie. Trzymałem to mieszkanie pięć lat dla tego okna, które wychodziło na park i dalej na Sinalę. Wielkie kasztanowce pod moim oknem, potem trawniki, deptak pełen ludzi i powozów w ukośnych promieniach wieczornego, letniego słońca, a za tym wszystkim fasada pałacu, długa i regularna, za linią drzew, pewna ponura wspaniałość, melancholia, koniec czegoś... No więc siedziałem tak jak dziesiątki tysięcy razy przedtem, ciepły wiatr tańczył nad stołem, światło dzieliło się na zakurzone kolumny między drzewami, o niczym nie myślałem, byłem wyczerpany, wyschnięty, pusty... I wtedy miałem ten sen, jeśli to był sen. Nie spałem. Nie wiem, co to było. Nie wiem nawet, o czym to było... W powieści próbowałem pisać o człowieku, który nie może uciec przed swoim przeznaczeniem, który działa zgodnie z nim nawet wtedy, kiedy myśli, że jest wolny. Ten sen był podobny. Zobaczyłem swoje własne życie - za mną i przede mną. Jakby to była droga, biegnąca wśród wzgórz. Mnie jednak na niej nie było. Widziałem ją, widziałem wzgórze, widziałem znane mi miejsca, ale czy znałem je już przedtem, czy poznawałem je, bo zawsze leżały przede mną? I to wszystko, nie mogę tego opisać, nie potrafię sobie tego lepiej przypomnieć. - Siedział spięty, jakby nasłuchiwał. - To na nic. - Wzruszył ramionami. - Ale kiedy zacząłem to pisać - stuknął palcem w papier na kolanie - kiedy doszedłem do miejsca o zamku nocą, wtedy zdałem sobie sprawę, że opisuję jedną z rzeczy, jakie widziałem w tamtym śnie. Radiko nocą, w deszczu, w ciemności, przed świtem. Widziałem je. Widziałem je w biały dzień z odległości dwustu mil. Dlaczego? Jak? Co to znaczy? Nie wiem, przestałem już pytać. Nie mam prawa pytać. Straciłem swoje prawa. Żyłem we własnych myślach, emocjach, w próżności, żyłem w stworzonym przez siebie świecie i według własnych zasad. Wybrałem sen. Kiedy jednak człowiek budzi się po czymś takim, traciienne obywatelstwo. Zapomina, co oznaczają prawdziwe rzeczy. Traci swoje prawa...

- Czy człowiek w ogóle ma jakieś prawa?

Amadey siedział w milczeniu. Ladislas, masywny i krępy w kamizelce z owczej skóry, którą nosił w tym zimnym pokoju, wstał z fotela i przeszedł się kilka razy tam i z powrotem.

- Kiedy miałem dwanaście lat, a ty sześć, pojechaliśmy na mszę wielkanocną do Fonte. Pamiętasz to?

- Robiliśmy tak prawie co roku, prawda, kiedy mama jeszcze żyła?

- Ale wracaliśmy starą drogą, przez Fasten i Radiko, bo most na Garaynie był zamknięty. Powrót zajął nam całą noc. Przejeżdżaliśmy pod Radiko przed samym wschodem słońca. Pamiętam to, bo wszystkich nas obudziłeś, sam nie spałeś, próbowałeś otworzyć okno i wołałeś: "Spójrzcie

na zamek, spójrzcie na zamek!" Ojciec dał ci kuksańca i znowu zasnęliśmy. Ale ja pamiętam to nagle przebudzenie. Zobaczyłem wtedy na tle nieba ogromną wieżę, a ciemność za nią właśnie zaczęła się podnosić. Dokładnie tak, jak w twoim poemacie. Opisujesz tamtą chwilę.

- Zupełnie jej nie pamiętam. Dwadzieścia lat temu? Dziwnymi ścieżkami chadza ludzki umysł, prawda? - powiedział Amadey. Nie mógł opanować drżenia rąk. Ten moment z dzieciństwa, który pamiętał jego brat, ale którego on nie mógł sobie przypomnieć, nie był wyjaśnieniem, odpowiedzią, lecz otchłanią. Odwrócił się od niej z przerażeniem. - Zimno, Ladis - powiedział. - Chodźmy do kominka.

- Idź - odparł brat. - Ja muszę to skończyć.

ROZDZIAŁ 3

Zima przyszła do Polany wraz z zimnem, deszczem i nieustannie wiejącym wschodnim wiatrem. Wiezorami stada owiec schodziły ze wzgórz, leżących pod poszarpanym, stalowoszarym niebem, do wielkich zagród Esten. Pola wyglądały buro i biednie, las był szary, bezlistny. Givana i Ladislas mieli ustalony rytm zajęć. Dziewczyna była tak metodyczna w pracach domowych, jak jej mąż w gospodarstwie. Nie znajdując sobie żadnego pożytecznego zajęcia Amadey popadł w apatię. Czasami nie potrafił wstać, przejść przez pokój i objaśnić lampy. Brakowało mu potrzebnej do tego energii, więc siedział bez ruchu. Jego panem była potrzeba tworzenia poezji, a straciwszy swego pana, stracił wolność. Podobnie jak drzewo wyrosłe na szczycie wzgórza, gdzie wiatr wieje zawsze tak samo, wyrósł nachylony w jedną stronę, z pniem i gałęziami uformowanymi przez wiatr, a wiatr przestał wiać. Potrafił przez godzinę stać przy oknie wyglądając na sieczony deszczem ogród i podwórze, patrząc, nic nie myśląc, nie zastanawiając się nawet, po co tu przyjechał i dlaczego został w tej głuszy, w tym więzieniu na nudną zimę.

Przyszedł nowy rok i Amadey w przypływie energii napisał do wszystkich przyjaciół w Krasnoy: do Itale, Karantaya, Helleskara i Luisy, że wróci, gdy tylko drogi będą przejezdne. Napisał do nich długie listy pełne szalonych gier słów i żartów. Wróci do miasta w kwietniu czy w maju, kiedy przy Bulwarze Molseny będą kwitły lipy, w parku kasztany, a ładne kobiety na deptaku. Zostawi w wietrznym Esten wszystkie swoje zapyziałe pomysły, całą samoudrękę, ostatnie nieprzydatne skrawki swej młodości. Bo to ona była źródłem wszystkich jego problemów. Poddając się własnej wyobraźni, upajając się własnymi słowami, nie miał czasu stać się mężczyzną. Pora stawić czoło prawdziwemu światu.

- Od czego mam uciekać? - powiedział gniewnie w noc, jakby odrzucał poważne, lekkomyślnie postawione oskarżenie, a wiatr pędził potężnymi falami na zachód, do morza, pod jasnym Orionem, górującym nad zimowymi wzgórzami.

Pomyślał o swej butnej obietnicy wydrapanej na wieży Radiko: zwycięzę. Słowo to teraz było kłamstwem i zarazem prawdą, tak trwale jak kamień samej wieży, która w swej samotności stała ponad wszelkimi zwycięzcami i porażkami.

Kiedy Ladislas z Givaną odwiedzali swoich bliższych i dalszych sąsiadów, Amadey im towarzyszył. Jak najczęściej zapraszali też gości do siebie, być może starając się w ten sposób go rozerwać. Zdawał sobie sprawę z ich nieśmiałych prób znalezienia mu jakiejś pracy, dostarczenia tematu do rozmowy czy choćby milczącego towarzystwa, chociaż on sam nie potrafił się zdobyć na odpowiednią reakcję. Wieczory z innymi ludźmi były swobodniejsze. Goście tak naprawdę nie

chcieli, żeby coś mówił. Onieśmielał ich jako poeta, sławna osoba, człowiek z miasta i najwyżej chcieli na niego popatrzeć, a potem wrócić do rozmów o owcach, pogodzie, sąsiadach i polityce. Dyskusje polityczne robiły się zażarte, ale Amadey nie brał w nich udziału, słuchając ich z poczuciem dystansu i nielojalności. Ladislas, gorący zwolennik reform oraz konstytucjonalizmu, cieszył się poparciem proboszcza z Kolleiy, lecz większość innych domów i rolników zwalczała jego poglądy, co prawda nie z miłości dla rządu. W kraju źle się działo. Podatki doskwierały tym, którzy nie mieli gotówki na ich opłacenie, dochodzenia policyjne i aresztowania stawały się coraz częstsze nawet w małych miastach, a we wschodnich prowincjach, gdzie niezależność i konserwatyzm były tak silne, że zasługiwały na miano anarchizmu, panowała nieprzyjazna, burzliwa atmosfera. Tak więc Ladislas i jego sąsiedzi sprzecali się i narzekali, a Amadey milczał, cały czas mając niejasne poczucie, że swym milczeniem coś lub kogoś zdradza. Jeśli brakowało towarzystwa innych kobiet, bo zatrzymała je w domu zła pogoda i nieprzejezdne drogi, Givana także milczała, zajęta robótką i przygotowywaniem podwieczorku, kolacji i temu podobnymi sprawami. Spodziewała się dziecka, co dodawało jej urody. Ogarnął ją ogromny spokój, była łagodna, rozsądna i nieśmiała, lecz Amadey dostrzegał w niej także niezłomną siłę, pewność swej kobiecości. Wiedziała, co ma robić. Promieniała szczęściem. Obserwował ją bez cienia zazdrości czy nadziei na współuczestnictwo. Ladislas i dwaj sąsiedzi zażarcie się spierali. Givana podeszła do klawikordu, obok którego siedział Amadey, usiadła i z drwiącym uśmiechem zaczęła bardzo cicho grać. Podeszedł do niej.

- Oni są tacy nudni - powiedziała wesoło. - Nawet tego nie usłyszą, nie będzie im przeszkadzało - i zaśpiewała półgłosem akompaniując sobie cicho na klawikordzie.

Z mego okna na wieży

Zobaczyłem krasną róże i dziewice,

Z mego okna na wieży

Zobaczyłem krasną róże i cierń.

Kto jedzie pod mym oknem na wieży

Przed świtem,

Kto jedzie pod mym oknem na wieży

Przed dniem ?

- Śpiewaj dalej - powiedział Amadey, który znał piosenkę z dzieciństwa, tę balladę o śmierci zabierającej dziewczynę, lecz Givana uśmiechnęła się i rzekła:

- Nie mogę śpiewać, brak mi tchu - i zaczęła grać jedną ze swoich dziwnych, starych sonat. Kiedy skończyła, nastroiła dwie struny, które zawsze się rozstrajały, i usiadłszy wygodniej zapytała: - Nadal chcesz wyjechać w kwietniu?

- Nie wiem - odparł z roztertowaniem wodząc wzrokiem po wymalowanym na przedzie klawikordu wieńcu z róż i głogu. Lakier ze śladami odprysków miejscami się skruszył, a kolory zbladły.

- Nie chcę wyjeżdżać.

- No to dlaczego?

- Bo wiem, że to błąd, więc go popełniam.

Zagrała gamę zaczynającą się od C po jednej oktawie w górę i w dół skali, która rozbrzmiała falką czystych nut.

- Głupio jest tak mówić. - Wiem. Przepraszam.

- Jeśli wyjedziesz, to jeszcze wrócisz?

- Nie. Chyba nie. Nie miałbym po co. Przyjechałem w poszukiwaniu powodu mego przyjazdu, ale go nie znalazłem. Widzisz, kiedy wyjeżdżałem do Krasnoy, dokładnie wiedziałem dlaczego. Widziałem, co muszę robić. Pisać książki, poznawać ludzi, wyznaczyć sobie własną drogę, może zakochać się... Robiłem to wszystko. Przeszedłem przez wszystko, przez co miałem przejść. Jest już za mną. Wszystko mam za sobą.

- W wieku dwudziestu sześciu lat...

- Nie myśl, że jestem leniwy, Giyano. Rzadko widziałas mnie przy pracy. Kiedy miałem coś do zrobienia, pracowałem bardzo ciężko. Ale to już minęło. Mogę więc wrócić do Krasnoy czy gdziekolwiek indziej, pisać artykuły i zarabiać na siebie, prowadzić normalne życie, ożenić się, żyć z dnia na dzień przez pięćdziesiąt lat - gdybym tylko chciał. Ja to rozumiem, lecz nie znajduję sensu. Nie widzę przed sobą życia. Ja już je przeżyłem. Przyszłość nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Wiesz, co chcę powiedzieć? Ty sama w pewnym sensie przewidujesz własne życie, prawda?

- Dopiero od niedawna, od czasu, kiedy zostałam brzemienna. Widzę różne rzeczy... jakby śniły się one dziecku... letni wieczór pod tamtą topolą, czekamy pod nią z dzieckiem chyba na wracającego do domu Ladisa, jest to śliczny letni wieczór, trochę smutny... bo wieje wiatr. - Uśmiechnęła się. - No i dlatego, że będę wtedy starsza.

- Czyja wracam z Ladisem do domu?

- Sam musisz to zobaczyć.

Zapomnieli o innych. Ona mówiła łagodnie i szczerze, a on odpowiadał nerwowo, błagalnym tonem, jakby wzywał pomocy.

- Ale nie mogę. Nie widzę niczego przed sobą. Nie można zajrzeć w przyszłość własnymi oczyma, to sprawia, jak mówisz, dziecko, przyszłość, którą nosisz w sobie, to jest twoja wizja, twoja prawda, ale ja... ja zgubiłem drogę... nic nie widzę.

- Sam powiedziałeś, że pracowałeś tak ciężko, jesteś zmęczony, wyczerpany. Musisz poczekać. Zupełnie jak zimą, kiedy wszystko musi odpoczywać i czekać. - Mówiła poważnie i z przekonaniem.

Odwilż nadeszła szybko i na początku lutego nie było już śniegu. Wówczas otrzymał pierwszą pocztę, jaka dotarła przez Kolleiy od Bożego Narodzenia: dwa listy od Karantaya, jeden datowany na początku grudnia z pytaniem o jakieś wieści o Itale, drugi będący tylko pustą kopertą ze złamaną pieczęcią. Była też paczka z wydawnictwa Rochoy z egzemplarzami jego nowej książki "Givan Faugen". Jedną dał bratu.

- Przeczytaj ją następnej zimy! - powiedział, bo Ladislas był w wirze sezonu kocenia się owiec, pracował dwadzieścia godzin na dobę i często przez dwa lub trzy dni w ogóle nie pojawiał się w domu.

- Nie, zrobię to za jakiś tydzień - odpowiedział poważnie Ladislas. - Ale daj ją Givanie. Sprawi jej przyjemność.

- Dobrze. Dokąd jedziesz?

- Do południowych zagród.

- Pójdę już. - Jak chcesz.

Ladislas wskoczył na swojego małego konika, uniósł w geście pozdrowienia rękę i odjechał. Amadey znalazł Givanę w ogrodzie leżącym po zachodniej stronie domu. Był zimny dzień, wiał słaby, lecz przeszywający wiatr, a słońce to błyskało, to gasło w kałużach na surowej, czarnej ziemi. Givana pochylała się nad grządką. Na jej postać słońce rzucało złociste refleksy, znacząc delikatne, jasne kontury.

- Wykiełkowały moje krokusy - powiedziała z dumą. - Dwa, widzisz?

- I wyszła moja książka - widzisz?

Wzięła książkę, spojrzała na tytuł, odwróciła ją, nie wiedząc, co powiedzieć. Pokazał jej skrzydełko obwoluty, na którym napisał niedobrym piórem i kleistym atramentem, które mieli w zajeździe dla dylizansów w Kolleiy: "Dla Givany i Ladislasa od kochającego brata Amadeya". Przeczytała dedykację i szukała jakichś słów, lecz nagle przewyciężając skrępowanie uśmiechnęła się i powiedziała:

- Przeczytaj mi kawałek! - Usiadła na ławce opierając stopy na kamiennej płycie ścieżki.

- Teraz?

- Teraz - powiedziała stanowczo.

Stojąc w niepewnym blasku słońca otworzył książkę i przeczytał na głos pierwszą stronę, po czym przerwał czytanie i zamknął książkę.

- Zupełnie jakby minęło wiele lat, to książka kogoś innego...

- Czytaj dalej.

- Nie mogę.

- Jak się kończy?

- Nie powinnaś tego wiedzieć przed przeczytaniem.

- Zawsze najpierw zaglądam na koniec książki.

Spojrzał na Givanę, następnie otworzył książkę na ostatniej stronie i przeczytał głośno swym twardym głosem:

- "Givan przez kilka minut nic nie mówił. Oparł się o balustradę mostu w milczeniu przyglądając się rzece, która płynęła bystrym, poznaczonym pianą, żółtym nurtem, wezbrana wiosennymi strumieniami. W końcu uniósł głowę i powiedział: - Jeśli życie jest czymś więcej niż tylko chwilowym wygnaniem z królestw leżących poza Śmiercią..."

Znów przerwał czytanie. Zamknął książkę i położył ją na ławce obok Givany. Spojrzała na niego bezradnie. Wiatr wiał, słońce świeciło i bladeło na wysokim, płowym wzgórzu za domem.

- To bardzo ponura książka - powiedział młodzieniec.

- Amadey, ty wracasz do Krasnoy, prawda?

Potrząsnął głową.

- Ale tutaj dla ciebie nic nie ma...

- Tutaj jest całe moje królestwo. Zawsze tu było. - Trzymając ręce w kieszeniach ruszył do bramy, potem odwrócił się, jakby z zamiarem powiedzenia czegoś jeszcze. Ale uśmiechnął się tylko przepaszająco. Wzruszył ramionami i zniknął za rogiem domu.

Givana wkrótce poszła za nim, zmęczona i przygnębiona przejmującym wiatrem. Położyła się u siebie w pokoju i zapadła w niespokojną drzemkę. W północy słyszała głos Amadeya dobiegający z podwórza i stukanie końskich kopyt. O dach i okna zaczęły uderzać krople deszczu i Givana zasnęła.

- Może pojechał postrzelać w lesie - powiedziała wieczorem. Ladislav skinął głową i dalej jadł swą późną kolację.

- Jest już ciemno od dwóch godzin - powiedział odkładając nóż i widelec. - Może coś się stało koniowi.

Wstał. Givana popatrzyła na jego zmęczoną twarz i nic nie powiedziała.

Ladislav wrócił z lasu po północy.

- Gil idzie z latarnią do Kolliey - powiedział.

Givana pomogła mu zdjąć zabłocone wysokie buty. Usiadł przy kominku i prawie od razu zasnął. Nie mogąc spać z powodu ciąży Givana siedziała przy nim doglądając ognia. Stara gospodyni przyniosła kilka pledów i razem przykryły śpiącego. Ladislas spał tak do świtu. Kiedy się obudził, żona spała zwinięta w fotelu, przysuniętym do kominka. Poszedł cicho na górę, do pokoju brata, i zobaczywszy, że nikogo tam nie ma, włożył buty i wyszedł w lodowato białe, wschodzące słońce. Szczyt wzgórza za domem pokrywała warstewka złota, a stajnie, podwórze, dom i drzewa stały w świetle brzasku blade i sztywne. Postawił kołnierz surduta i poszedł do stajni. Z pokoju na poddaszu wyszedł zaspany chłopak stajenny.

- Gdzie jest ogłowie z Rakavy? - zapytał Ladislas głosem ochrypłym od snu i zimnego powietrza. - Czy dom Amadey je wziął?

- Tak, dla klaczy.

- Powiedz w domu, że jadę starą drogą w kierunku Fonte.

Wyruszył na swym małym karoszu przez oszroniony las. Wjeżdżając na wzgórze, których wschodnie stoki już pojaśniały, skierował się ku szczytowi i wieży, złocejącej się w poziomych promieniach słońca. Kiedy zjeżdżał z ostatniego wzniesienia przed doliną, ciągnącą się pod Radiko, zobaczył stojącą w połowie stromizny kasztankę ze zwisającymi wodzami. Podjechał bliżej. Spłoszona, odbiegła kilka kroków, nastąpiła na wodze i zatrzymała się, zwracając ciemną, nerwową głowę w kierunku Ladislasa. Przejechał obok niej, minął zburzony mur dziedzińca, zsiadł z konia i podszedł do prowadzącej w górę wieży rampy. Amadey najwyraźniej oparł sobie myśliwską strzelbę o pierś tuż pod sercem i padł w przód z głową odwróconą na bok. Surdut miał przemoczony deszczem, a jego włosy sprawiały wrażenie czarnych. Ladislas dotknął jego dłoni leżącej na rozmięklej ziemi. Była zabłocona i zimna, jak sama ziemia czy deszcz. Wiatr jak zawsze hulał wśród wzgórz, w królestwie Radiko. Oczy Amadeya pozostały otwarte, tak że wydawało się, iż patrzy ponad zburzonym murem i wzgórzami ku zachodowi, w niebo, gdzie dla niego nie weszło już słońce, gdzie trwa noc.

CZĘŚĆ V

Więzenie

ROZDZIAŁ I

W Rakavie, za wysokimi murami..." Melodia ta trzymała się Itale przez całą drogę z Esten, kołając mu się po głowie w rytm podskoków na koźle dylizansu bez resorów. Wyboiste drogi Polany wiodły między smaganymi wiatrem wzgórzami, które wreszcie skryły się za wolno płynącymi chmurami i kurtyną jesiennego deszczu. Wysokie mury zobaczył po raz pierwszy właśnie w deszczu, od południa. Zbliżając się do Rakavy od północy, z równin, najpierw widziało się wzgórze, wznoszące się na tysiąc stóp tak łagodnie, że właściwie się go nie dostrzegało, a potem pod długą linią horyzontu skupisko jakby pokruszonych pereł, które w miarę zbliżania się podróznego przybierały kształt okolonego murami miasta z białego i płowego kamienia, najeżonego wieżami, blankami, odległego i wspaniałego. Nadjeżdżając jednak od południa zza szczytu wielkiego wzgórza, Itale po raz pierwszy ujrzał rozpościerającą się pod nim Rakavę, odkrytą i nieświeżą w październikowym deszczu. Domy rozprzestrzeniły się daleko poza mury, a wieże skupiły w płątaniu uliczek. Górowała nad nimi bezkształtna bryła kilku potężnych budynków fabryk włókienniczych, stojących na północnej krawędzi miasta. W dawnych wiekach Rakava była perłą wschodu, nigdy nie zdobytą fortecą bez skazy, przynoszącą chwałę prowincji, Racava intacta. Nienaruszona. Teraz wysokie mury zostały przerwane w pięćdziesięciu miejscach, by wpuszczać i wypuszczać roje mężczyzn i kobiet, idących do pracy w fabrykach i wracających z fabryk do domów. Nadal kryło się tu bogactwo, bo lokalny przemysł był nowoczesny i rozwinął się na skalę niespotykaną w jakimkolwiek innym mieście kraju. Bogactwo miasta stanowiły wełna i jedwab. W ogromnych szopach i budynkach, stojących wzdłuż północnego muru, hodowano jedwabniki i przechowywano bele strzyży; na miejscu odbywało się także przędzenie i farbowanie nici oraz tkanie i przycinanie materiału. Tam skupiało się życie miasta, a stare, feudalne wieże obronne stały bezużyteczne, niczym zardzewiałe żelazne palce rycerskiej rękawicy, sterczące w górę z nagiego wzgórza. Dylizans przejechał pod owymi wieżami i Itale spojrział z niepokojem na ich ślepe, potężne ściany. W jednej z nich, prawie pozbawionej okien, będącej niegdyś fortem, mieściło się więzienie św. Łazarza, inna, sąsiadująca z nią, wyższa i najeżona blankami, stanowiła siedzibę Sądu Prowincjonalnego. Bramy innych wież były zamknięte i Itale nie dostrzegł w nich żadnych oznak życia. Zmierzch w wąskich uliczkach zapadał szybko. Dylizans jechał z hałasem, po śliskich od deszczu kocich łbach. Jeden z koni pośliznął się, odskoczył w bok i upadł z przyprawiającym o mdłości chrzęstem. Drugi koń walczył o utrzymanie się na nogach, w porwanej uprzęży i z przechylonym dylizansem za sobą. Itale na wpeł zeskoczył, na wpeł zjechał na ulicę, gdzie też się pośliznął i przywitał kamienie Rakavy na czworakach. Mocno uderzył się w głowę,

skórę na dłoniach miał zdartą do krwi. Koń połamał sobie nogi, natychmiast powstało zbiegowisko wokół konia, dylizansu i pasażerów. Itale wyjął swoją walizę i przepchnął się przez napierający tłum gapiów. Dzwoniło mu w uszach. Zapytał jakąś kobietę o drogę i ruszył do gospody "Pod Różanym Krzewem", gdzie czekał na niego Isaber.

Były asystent nauczyciela, teraz mający dziewiętnaście lat i będący żarliwym pomocnikiem przy wydawaniu "Novesma Verba", bardzo się ucieszył na widok Itale. Przez dwa dni sam przebywał w Rakavie i najwyraźniej wspominał je bardzo niemile. Mówił cały czas, kiedy Itale się kąpał - jego pierwsze zamówienie dotyczyło balii z gorącą wodą przed kominkiem. Nawet gdy się nieco rozgrzał, czuł, jak przeziębienie rozgascza mu się w gardle, nosie i oczach. Ilość przyniesionej do pokoju gorącej wody była niewystarczająca, a ogień słabo się palił. Kiedy stanął przed kominkiem, żeby się wytrzeć do sucha ręcznikiem, zauważył dwa karaluchy wielkości kciuka, sprzeczące się o jakąś tłustą plamę na podłodze.

- Piękne róże z tego "Różanego Krzewu" - zauważył z wisielczym humorem.

- W nocy po łózkach biegają szczury. Jest obrzydliwie. Całe miasto jest obrzydliwe.

Itale drżał.

- Możesz mi podać koszulę? Dzięki. Co, jest tu gorzej niż w slumsach Krasnoy?

- Tak. Bo nie ma niczego więcej. Reszta miasta jest martwa. A ludzie są jak szczury. Nie chcą nawet z człowiekiem porozmawiać.

- Jesteś tu obcy. Nie jesteś jednym z nich. Wszyscy mieszkający na prowincji są podejrzliwi. Ja to wiem, bo sam jestem prowincjuszem. - Zawsze podnosił Isabera na duchu, pocieszał go, bagatelizował trudności. Miał wtedy wrażenie, że jest starszy od chłopca o wiele więcej niż o pięć lat, a ponadto czuł się hipokrytą. - Prawdopodobnie są jednak ludźmi - rzekł sucho. - Chodź, jestem głodny.

- Zamówiłem baranię, bo właściwie nie było nic innego - powiedział przygnębionym głosem Isaber, kiedy schodzili na tłustą kolację w ponurym, przepastnym wnętrzu gospody.

Itale, kładąc się do łóżka, czuł się bardzo źle. Przeziębienie nie ustąpiło, a ostry ból skręconego nadgarstka nasilał się. Pomyślał sobie, że jego przyjazd do Rakavy jest złowróźbny, a zaczęło się to tuż przed podróżą - dlaczego Amadey tak się odwrócił bez słowa, jakby nie mógł się doczekać jego odjazdu? W ścianę czy podłogę pod łóżkiem zaskrobał szczur. Powietrze w pokoju przesycone było kwaśnym zapachem świeżo zdmuchniętych łożowych świec. "Co ja tu robię?" - pomyślał zniechęcony, a pytanie to pogłębiło jedynie przytłaczające go uczucie obcości. Odczuwał tak wielkie osamotnienie, że nawet jego własne, zmęczone ciało wydało mu się obce. Ból w nadgarstku i dłoniach coraz bardziej doskwierał. Nie mógł się wygodnie ułożyć. W miarę jak jego inteligentna świadomość zaczęła się zamazywać, wzrastał się nacisk tego, co obce i nieprzyjazne,

aż wreszcie poczuł, że nie może się ruszyć. Leżał nieruchomo, czujny i napięty, niczym ukrywający się, ścigany człowiek, który nie może pozwolić sobie na spokojny sen, a w głowie kołatało mu ciągle to samo głupie pytanie: "Goja tutaj robię?"

Nazajutrz nadal był pod wrażeniem nocnych niepokojów. Nie mógł się całkowicie od nich uwolnić. Dręczące go pytanie powracało, czyhało nań w każdym zakątku nieprzyjaznej Rakayy. Tak jak kiedyś rozlegało się słodkim brzmieniem wśród fontann i ogrodów Aisnar, biorąc od nich posmak pożądania czy tęsknoty. Tutaj padło bezpośrednio: "Goja robię?"

Nie było żadnego udawania, żadnej możliwości rozproszenia uwagi. Tutaj, w tym mieście, którego podstawą istnienia było wsysanie tłumów do fabryk i wyrzucanie ich z powrotem, wsysanie i wyrzucanie, powtarzająca się niezmienna czynność niczym mechanizm potężnej maszyny, praca nie związana z klimatem, porą roku, ziemią czy porą wschodu i zachodu słońca, nie związana ze świadomością czy inteligencją żadnej osoby spośród tych tłumów - właśnie tutaj Itale pomyślał, po dwudniowym pobycie, że przekroczył jakąś granicę, ku której od dawna zmierzał, lecz nie wiedział, dokąd ani dlaczego przybył, ani czy prowadzi stąd droga powrotna do domu.

Robił oczywiście to, po co przyjechał: odwiedzał właścicieli i zarządców fabryk, wykorzystywał listy polecające Oragona, by poznać politycznych i robotniczych przywódców, poznawał funkcjonowanie i organizację fabryk. Był pod ogromnym wrażeniem ludzi i miasta, olbrzymiej, nieorganicznej energii tego systemu, który nie mając jeszcze dwudziestu lat i dopiero wchodząc w fazę pełnego rozwoju, zmienił życie stu tysięcy ludzi. Po dwóch tygodniach miał tyle materiałów na serię artykułów, że zaczął je pisać, nadając im ogólny tytuł "Przemysł Rakayy", którego sarkastyczną ironię dostrzegał tylko on. Działał przemysłanie, jego umysł pracował sprawnie i szybko, był niezmordowany - tyle że w swych artykułach musiał unikać pewnych kwestii, bo doprowadziłyby go one z powrotem do pytania, na które nie potrafił odpowiedzieć. Wydawało mu się czasami, że jego zmysły są tutaj przytępione, że nie potrafi prawdziwie ani czuć, ani wyraźnie widzieć. Żywił tylko chłodne uczucia, jakby chroniła je jakaś izolująca warstwa.

Isaber pracował dla niego i zawsze przebywał w pobliżu. Chłopak nie był towarzyszem, jakiego chciałby mieć. Jego lojalność za bardzo graniczyła z zależnością, domagał się od Itale przewodzenia i informowania. Było dla niego nie do pomyślenia, że Itale mógłby wątpić we własne cele. Pracowali dla Wolności i to wystarczyło. Czasami owo zaufanie stanowiło dla Itale pociechę, czasami wyzwalało w nim cynizm, na którego ujawnienie nigdy sobie nie pozwalał. Może nie miał prawa robić tego, co robił, ale z całą pewnością nie miał prawa niszczyć przekonań i nadziei Isabera.

Dnie mijały szybko i spokojnie. Listopad zaczął się na dobre i codziennie padał deszcz lub deszcz ze śniegiem. Itale odłożył plany wyjazdu. Zbierał materiały do swoich artykułów i coraz lepiej rozumiał sytuację. Napisał do Brelayaya, że jeśli wystarczy im pieniędzy, to może zostać do Bożego Narodzenia. Pod całą tą wytężoną aktywnością kryła się apatia, niechęć do podróży, do pójścia naprzód czy do cofnięcia się. Jest tu, zostanie tu. Ciągle wracał do fabryk, aby przyglądać się hałaśliwej, szaroczarnej sprawności drewnianych i żelaznych maszyn, z których wychodziły długie pasma śnieżnobiałej wełny, cienkie jedwabie barwy rozmaitych kamieni szlachetnych i kwiatów oraz wzorzyste aksamity; wracał, aby popatrzeć na wspaniałe i delikatne wytwory warsztatów tkackich, śmierzące kotły z barwnikami i klejonką, szaleńczo roztańczone wrzeciona, nie kończące się tace z liśćmi i jedwabnikami. Wielka, nowa fabryka Wełna Fermana miała dwa warsztaty tkackie napędzane parą, pierwsze w kraju. Czytał opisy Sangiusta takich maszyn w północnoangielskich miastach i poszedł je obejrzeć w intelektualnym zapale, lecz ciągle do nich wracał tylko po to, by się im przyglądać, przyglądać się szybkim, nie kończącym się, posuwistym ruchom i służącym im zręcznym, anonimowym ludziom. Potrafił stać tak przez godzinę, przez cały czas odczuwając lekkie mdłości. Te same ruchy, czynności i ten sam produkt, jakie widział u Kounneya przy Mallenastrada. Było to tkanie, tkanie istniało od zarania dziejów ludzkości, dlaczego więc warsztaty parowe tak go fascynują i przerażają? Opisał je w artykule, kładąc nacisk na ich budowę i wytwarzany przez nie produkt oraz prawdopodobny wpływ na gospodarkę, gdyby więcej ich weszło w użycie.

- Bardzo dużo o tym wszystkim wiesz - powiedział jak zawsze z podziwem Isaber, czytając artykuł. - Jaki dasz tytuł?

- "Uwolnienie rąk".

Robotnik oddelegowany do pokazania mu warsztatu tkackiego na parę nazywał się Fabbre. Itale szybko odkrył, że jest on radykałem, i obaj nawiązali ze sobą bardzo ostrożną przyjaźń. Fabbre mieszkał z żoną, teściem i pięciorgiem dzieci w czteropokojowym domku, za wschodnimi murami miasta. Ten rząd domków wybudowało dla swoich wykwalifikowanych robotników kierownictwo fabryki Fermana. Fabbre był tu arystokratą i traktowano go odpowiednio do jego pozycji. Domki miały podłogę i niewielkie ogródki od frontu, chociaż drzwi kuchenne wychodziły na błotnisty zaułek. Grupki dzieci bawiły się w zaułku, nigdy na pustych podwórkach. Domki te fascynowały Itale tak samo, jak fabryczne maszyny. Slumsy Rakavy nie różniły się od slumsów Krasnoy czy każdego innego miasta, ich brud i nędza były równie stare, jak te miasta, biedacy są w każdym mieście, lecz członków rodziny Fabbre nie trapiła bieda, a jeśli byli nieszczęśliwi, to nie z pradawnych powodów zimna, głodu i chorób. Nie sadzili w swoich frontowych ogródkach kwiatów ani warzyw, które, jak powiedziała pani Fabbre, zostałyby ukradzione, szkoda zachodu. W każdym

razie i tak prawdopodobnie wkrótce się przeprowadzą, przy Wschodniej Bramie budują się nowe domy, podobno woda jest tam doprowadzona rurami do pompy na każdym podwórku.

- Fabryka dobrze o nas dba - powiedziała trzeźwo, lecz jednocześnie z zimną ironią.

Itale znał wiejskie chaty z Val Malafrena, zwykle nawet bardziej zatłoczone niż ten dom, ciemniejsze i ciepłe. Naprzeciw paleniska stała przegroda, oddzielająca miejsce dla krowy, może paru świń czy kóz. Ogromne łóżce, stojące zwykle obok przegrody, szafa, stół i krzesła były dębowe. Pachniało sianem, nawozem, pościelą, cebulą, dymem drzewnym. Wszystkie cynowe, miedziane i ceramiczne naczynia, będące własnością gospodyni, stały na półce nad stołem. Nie dostawało się zaproszeń do tych domów, podobnie jak nie dostawało się zaproszeń do borsucznych czy lisich nor. Stawało się w drzwiach i rozmawiało z gospodynią czy gospodarzem, a z głębokiego mroku przyglądały się gościowi najmniejsze dzieci. Na wsi ludzie zawsze tak mieszkali. Domy uprzywilejowanych, Valtorsa i dom rodziny Sorde, pozostawały takimi samymi domami, tyle że jasne, większe i bez bydła. Lecz ten dom, dom w podwójnym rzędzie, był czymś innym - mieszkaniem niewolnika. "Fabryka dobrze o nas dba..."

Itale widział grupki kobiet i mężczyzn, stojące na ulicach w sobotnie popołudnia, ciemne i silne, lecz pojedynczo ludzie ci nic nie znaczyli. Słuchał ich rozmów prowadzonych w miejscowym dialekcie, dotyczących zawsze fabryk i polityki. Przekonał się, że wiedzą więcej, chcą więcej i mają nadzieję na więcej niż wieśniacy, wyczuwał ich gwałtowność w zbyt długo tłumionym pragnieniu sprawiedliwości i chciał od nich odejść, wyrzec się związku z ich bezsilnością i gwałtownością, jałowym życiem i sprytnymi, nie rozwiniętymi, niewolniczymi umysłami ich przedstawicieli jak Fabbre. Nie umiał tego zrobić. Był jednym z nich. Potrafili ze sobą rozmawiać, rozumieli swoje ideały. Nigdy nie mógłby być jednym z wieśniaków, ponieważ istniała tak wielka różnica w doświadczeniu i wiedzy, różnica w przywilejach, że nic oprócz przyjaźni czy miłości nie mogło jej znieść ani nawet zmniejszyć. Lecz tutaj, pośród tych ludzi, którzy rozumieli, dla jakiej sprawy pracuje, Itale zaczął po raz pierwszy wątpić w swe cele. Jeśli to jest postęp, jeśli to jest przyszłość, czy rzeczywiście tego pragnie - czy pragnie tego ktokolwiek poza potężnymi bogaczami, poza właścicielami?

W Krasnoy tłumy łatwo się formowały i łatwo się rozchodziły, stanowiąc koalicje jednostek. Tutaj ośrodkiem był tłum, nie człowiek, a nastrój tłumy zawsze był niespokojny, gniewny. W Krasnoy, poza debatami odbywającymi się na rogach ulic w Dzielnicy Rzecznej, nie spotykało się publicznych mówców, a tutaj wydawało się, że zawsze gdzieś w mieście ma miejsce jakieś przemówienie w asyście tłumy. Gubernator prowincji Polana zakazał publicznych zgromadzeń i każdy, kogo złapano na zwracaniu się do większej grupy ludzi, mógł zostać aresztowany i wtrącony do więzienia, ale to nic nie dawało: ludzie rozmawiali, spotykali się, żyli

pełni niepokoju, złości, zawsze zachowujący czujność. Mieli wszystko to, czego Itale poszukiwał jako student w Solarij: poczucie sprawiedliwości, ducha buntu. Lecz jaki będzie wynik buntu?

Pewnego wieczoru podczas rozmowy z Isaberm dał wyraz swoim wątpliwościom:

- Zastanawiam się, dla kogo tak naprawdę pracujemy? Komu przygotowujemy drogę? Dla króla - starego księcia Matiyasa - dla przywróconej monarchii konstytucyjnej... Nieco rozczarowujące, ale może jest to najlepsze ze złych wyjść. Lepsze niż praca dla cesarza Franza i Metternicha poprzez wywołanie zbrojnego powstania, które mogą zdławić i wykorzystać jako pretekst do całkowitego odebrania nam niezależności. Lepsze niż praca dla Braci Ferman poprzez mówienie biedocie, że może poprawić swój los i wznieść się na wyższy poziom życia, oczywiście o ile Bracia Ferman będą się nadal wznosić na ich barkach.

Isaber wpatrzył się z przestachem w Itale, bo nigdy przedtem nie widział go rozgoryczonego.

- Ale kiedy ludzie zdobędą wykształcenie... - wyjąkał.

- Wykształcenie! - rzekł szyderczo Itale, ale spojrzał wtedy na Isabera, entuzjastę, którego sam kształcił, za którego był odpowiedzialny. - Zapomnij o tym, Agostinie. Jestem w złym nastroju, to miasto działa mi na nerwy.

Wrócił do pisania. Minęło pół godziny. Isaber chodził niespokojnie po pokoju - wynajmowali dwupokojowe mieszkanie, ponieważ wychodziło taniej niż pokój w gospodzie - poprawiając ogień, układając papiery. Itale wiedział, że pragnie on zapewnień, pocieszenia, lecz nie miał go czym pocieszyć. Gniotło go sumienie. Isaber był urodzonym poplecznikiem, a on widział siebie jako przywódcę wiodącego ludzi ku światłu. Przywódca! Czy przerósł tę ambicję, czy tylko nie potrafi jej zrealizować? Wystarczająco trudne stało się podtrzymanie ognia w głębi swego zmiennego, wrażliwego ja, wbrew obojętnym wichrom niebios, trudno było stać w samotności i wiedzieć, gdzie się stoi, a co dopiero wiedzieć, dokąd się zmierza.

Następnego wieczoru miał przemawiać na zebraniu czeladników ze związku tkaczy jedwabiu, będącego dosyć silną organizacją mimo rządowego zakazu działalności związków zawodowych. Chcieli usłyszeć sprawozdanie z posiedzeń Zgromadzenia w Krasnoy i Itale nie potrafił im odmówić. Ponieważ jego czasopismu zabroniono publikowania tych wiadomości, czuł się zobowiązany do przekazywania ich w każdy inny sposób. To był jeden z powodów, być może najważniejszy, jego przyjazdu do Rakawy. Wyjątkowo Isaber mu nie towarzyszył. Przemówienie udało się. Prawie godzinę zadawano mu pytania, co było dla niego ciężką próbą, bo nie mając umiejętności łatwego formułowania wypowiedzi zawodowego polityka długo zastanawiał się przed każdym zdaniem, często przerywał, mówił więc powoli, co niecierpliwiło słuchaczy. Chcieli szybkich i jednoznacznych odpowiedzi. A on mówił coraz wolniej i ostrożniej. Słyszał swój własny

suchy i pełen wahania głosu. Zaczęły palić go policzki, czuł urazę do tych mężczyzn, siedzących tak cierpliwie w swych wytartych ubraniach, mężczyzn o zmęczonych, inteligentnych twarzach i niespokojnych, niszczycielskich, aroganckich umysłach.

- Dlaczego więc Zgromadzenie nie zrobi porządku z Biurem Cenzury? Dlaczego nie zakwestionuje jego władzy? - zapytał z gniewnym uporem szczupły mężczyzna.

Itale rozłożył ręce i roześmiał się ze zniecierpliwieniem.

- A dlaczego nie zakwestionują władzy cesarza Austrii? Dlaczego nie zakwestionują władzy Światła i Ciemności? Człowieku, co może zrobić Zgromadzenie? Jeśli chociaż raz bezpośrednio zakwestionuje władzę rządu, to rząd rozwiąże je siłą. Stałabyś wtedy w jego obronie? Chcesz zbrojnej rewolucji? Bo o to prosisz. Jesteś na to gotów? Nie mamy broni ani sprzymierzeńców. Przypuśćmy jednak, że zbuntujemy się i zwyciężymy! Co wtedy? Co dalej? Wiesz, co ci się nie podoba, i mnie też to się nie podoba, ale co lubisz? Co powiesz, kiedy nie będzie cenzury?

Wreszcie znalazł odpowiednie słowa i wszystkich do siebie zraził. To było nieuniknione. Zwrócili się przeciwko niemu, bo był obcy i pochodził z klasy średniej, a oni żądali od niego nadziei. On zaś czuł, że obiecywać im nadzieję znaczy kłamać, a odebrać nadzieję znaczy ich zdradzić, stał więc odpowiadając wyzywająco i z ciężkim sercem na ich pytania i odpierając ataki.

Kiedy zebranie się skończyło, dogonił go w hallu jeden z członków władz związku tkaczy, mężczyzna nazwiskiem Klenin.

- Proszę tędy, panie Sorde - powiedział odciągając go od głównych drzwi, którymi wychodził tłum.

- Czy są aż tak rozgniewani? - spytał sarkastycznie Itale, lecz ochłonął, gdy spojrzał na twarz Klenina, równie wrażliwą, jak tyle innych twarzy miejskich robotników. Był bardzo podobny do sąsiada Itale w Krasnoy, tkacza Inu Kounneya.

- Od dwudziestego pierwszego nie przerywają nam zebrań - wyjaśnił Klenin cichym głosem - ale zaczęli ostatnio wyłapywać mówców w różnych częściach miasta i przesłuchiwać ich. Tak na postrach. Jeśli pana nie zobaczą, to nie będzie pan miał kłopotów. Na dzisiaj pewnie ma pan już dosyć odpowiadania na pytania. - Uśmiechnął się.

- Zawiodłem ich. Przepraszam.

Klenin spojrzał na niego. Miał błękitne oczy pełne skupienia i powagi.

- Oni zawsze atakują przybyszów z Krasnoy. Ja szanuję to, co pan powiedział, panie Sorde. Nie ma sensu udawać, że wszystko jest łatwe.

Znaleźli się przy drzwiach.

- Dzięki, Klenin. - Chciał mu powiedzieć, że jest wdzięczny, chciał jakoś wyrazić swoją sympatię do niego, chciał powiedzieć, że zrobiły na nim wrażenie jego wyraziste oczy i piękna,

zmęczona twarz, lecz potrafił jedynie wykrztusić "dziękuję" i uściśnąć podaną dłoń. Był to jedyny prawdziwie ludzki kontakt, jedyne spotkanie z innym człowiekiem tego wieczoru. Rozstali się na ciemnej ulicy, w deszczu.

ROZDZIAŁ 2

Z zadowoleniem oderwał wreszcie wzrok od ciemnych ulic i zobaczył światło, padające z jego okien. Isaber, z właściwą mieszkańcom Krasrioy radością życia, zawiesił w nich czerwone zasłony, które kupił za kilka groszy jako resztki z fabryki. Przeświecał przez nie różowo blask świecy i Itale trochę poweselał. Przynajmniej tu nie jest sam! Isaber to dobry człowiek o szczerym sercu, pamiętający nawet o czerwonych zasłonach. Wszedł po nie oświetlonych schodach i skręcił na drugim podeście. Gdzieś na wyższym piętrze bez przerwy płakało dziecko. Kiedy próbował włożyć klucz do zamka, wydawało mu się, że usłyszał, jak Isaber zawołał "Chodź!" albo "Nie wchodź!" Kiedy zawahał się, ktoś nagle otworzył drzwi od środka. Zobaczył Isabera stojącego obok stołu i jeszcze dwóch mężczyzn, z których jeden stał przy drzwiach o stopę od niego. W pierwszym odruchu cofnął się i odwrócił. W połowie schodów stał za nim jakiś mężczyzna. Zaniepokoił go nieruchomy wyraz twarzy Isabera, więc zapytał:

- Co się stało, Agostinie?
- Pan Sorde? - zapytał mężczyzna przytrzymujący drzwi.
- Kim pan jest?
- Proszę wejść.

Itale wszedł do pokoju mając za plecami mężczyznę ze schodów. Ten, który otworzył drzwi, teraz ostrożnie je zamknął, starając się nie zrobić hałasu. Itale pomyślał, że tak zachowuje się kamerdyner.

- Jest pan Itale Sorde, zatrudniony przez czasopismo "Novesma Verba" z Krasnoy, tak?

- Tak. - Isaber patrzył teraz w dół z nadal oszołomioną miną. Pozostali mężczyźni stali z kamiennymi twarzami, niczym słupy.

- Zechcą panowie usiąść? - powiedział Itale wyraźnym, chrapliwym głosem. Żaden z nich się nie ruszył. Żaden z nich nie patrzył mu w twarz. - Stójcie, jeśli chcecie - powiedział i usiadł na swoim zwykłym miejscu przy stole.

- Czy pan jest autorem tych artykułów, panie Sorde?

Trzymał w ręce jego ostatnią przesyłką do Krasnoy: dwa artykuły i prywatny list do Brelavaya.

- Kiedy widziałem je ostatnio, były zapieczętowane - powiedział i odchylił się na krześle, żeby nie wstać, żeby opanować wściekłość. - Czy otwieranie korespondencji jest waszym zawodem, czy robicie to dla przyjemności?

- Czy pan je napisał?

- Kim jesteście?

- Nazywam się Arassy - powiedział mężczyzna z irytacją w głosie. Mówił ładnym tenorem i miał inteligentną, beznamietną twarz.

- A ja Sorde, jak pan wie, lecz nie daje mi to chyba prawa do zadawania panu pytań? Kim pan jest i czy jestem aresztowany, czy jedynie straszony?

- Jest pan aresztowany, panie Sorde, a reszta chyba może poczekać - tak, Gavral?

Poważny dwudziestolatek o tym imieniu skinął głową.

- Będzie panu potrzebny surdut, panie Isaber. Do czasu pańskiego procesu pokój zostanie opieczętowany, panie Sorde. Może pan potrzebować ubrania na zmianę.

- Chcę zobaczyć upoważnienie.

Arassy pokazał mu nakaz podpisany przez Kastusso, dowódcę policji w Polanie.

Isaber nadal się nie poruszył. Itale podszedł do niego.

- Chodź, Agostinie - powiedział, a potem dodał ciszej, ze złością: - Nie zachowuj się jak królik. Weź surdut.

W oczach chłopaka pojawiły się łzy. Patrząc na Itale wyszeptał:

- Przepraszam, Sorde!

- Chodź, weź surdut.

Jechali pod górę w zamkniętym powozie ciemnymi, sieczonymi deszczem ulicami do budynku - Itale widział go, kiedy po raz pierwszy wjeżdżał do miasta - sądu. Jego zwieńczona blankami wieża przebijała przez wirujące chmury na wpół zamrożonego deszczu, który w blasku latarni przyprawiał o zawrót głowy. W ciepłym, obskurnym pokoju pozbawionym okien Arassy zadał im kilka pytań w obecności sekretarza.

- Doskonale, panie Sorde - rzekł pocierając ręką czoło, jakby bolała go głowa. - Dzięki. Panowie zostaną tu zatrzymani do procesu.

- O co jesteście oskarżeni?

- Artykuł piętnasty, działalność na szkodę porządku publicznego. To bardzo pospolite oskarżenie, panie Sorde.

Ten Arassy nie jest taki zły, jest uprzejmy, zmęczony, praktyczny.

- Wiem. Kiedy może się odbyć proces?

- Trudno mi powiedzieć. Prawdopodobnie za kilka dni. Zwykle w ciągu dwóch miesięcy.

Arassy skłonił się. Na jego znak weszło dwóch policjantów, którzy poprowadzili Itale i Isabera korytarzem, potem w górę po trzech długich kondygnacjach kamiennych schodów, aż wreszcie wpuścili ich do ciemnego pomieszczenia na końcu ostatniego, zakrzywionego korytarza. Żołnierze weszli za nimi.

- Panowie, macie przy sobie noże, scyzoryki, jakieś metalowe przedmioty? - Jak zwykle akcent był obcy, niemiecki albo czeski. Isaber odruchowo oddał swój scyzoryk, Itale - także odruchowo - nie oddał swojego. Właściwie zdziwił się, kiedy nazajutrz znalazł go w kieszeni. - Doskonale. Dobranoc panom. - Drzwi pomieszczenia zamknęły się z głośnym, dziwnym szczękiem.

- Co... - zaczął Itale i zaskoczony cofnął się do drzwi, widząc pozbawioną twarzy postać, podnoszącą się z kanapy czy ławki stojącej tuż pod jego lewą ręką.

Postać wydała z siebie chrapliwy jęk. Jedyne światło w pomieszczeniu pochodziło od lampy czy świecy na korytarzu, której nikły blask kładł się na suficie poprzez kratę umieszczoną wysoko w drzwiach. Wszystko było tu wysokie: sufit na wysokości osiemnastu czy dwudziestu stóp, drzwi wysokie na dziesięć czy dwanaście, co w słabym, chybotliwym świetle dawało dziwaczny efekt. Bezkształtna postać leżąca na ławce wysunęła twarz spod koców, chociaż nie można było dojrzeć jej rysów, i zapytała:

- Współwięźniowie? - Dopiero na dźwięk tego słowa przyszło Itale do głowy, że to dziwne pomieszczenie jest więzienną celą.

- Tak - odparł z zainteresowaniem, ale musiał się odwrócić i zająć się Isaberem, który przysiadł na piętach i milcząco kiwał się w tył i w przód. Itale coś do niego powiedział, lecz chłopak nadal kiwał się nic nie mówiąc. W końcu siłą zmusił go do wstania ciągnąc za ramię i powiedział popychając na ławkę, okrążając dwie ściany celi: - Siadaj! Weź się w garść! - Zachowywał się szorstko i mówił z gniewem.

Chłopak ukrył twarz w dłoniach i wybuchnął płaczem.

- Jak długo przed moim przyjściem byli w domu? - zapytał go po chwili Itale, szukając celowo konkretnego tematu, który pomógłby mu wydobyć Isabera z tego stanu przerażającego upokorzenia.

- Nie wiem. Godzinę. - Spróbował opanować szloch. - Nie wiem.

- O co cię pytali?

- Nie wiem. Usiłowałem nie odpowiadać. O, Jezus, Maria! - Przycisnął ręce do twarzy. - Przepraszam, Itale, przepraszam!

- Posłuchaj, Agostinie, oni próbują nas zastraszyć, nie sprawiaj im przyjemności okazywaniem lęku.

- Sądzę, że panowie są polityczni - odezwał się sardonicznie trzeci mężczyzna, nadal pozbawiony twarzy w mroku pomieszczenia.

- Tak. Nazywam się Sorde. - Nie wiedział, czy podanie nazwiska należy do więziennej etykiety. Nie przedstawił Isabera, który nadal płakał.

- Sorde? Z Krasnoy? Co za zaszczyt! Nie jestem może zaskoczony, lecz zaszczycony. - Mężczyzna nerwowo prychnął. - Jestem Givan Forost. Wychodzę za kilka dni i będą panowie mieli więcej miejsca.

- Czy to więzienie św. Łazarza? - zapytał Itale, przypominając sobie, że oba zwieńczone wieżami budynki, sąd i więzienie, przylegają do siebie.

- Św. Łazarz! Raczy pan żartować! To wieża sądu, nie więzienie, proszę tylko spojrzeć, jak w pałacu! Koce, światło, okno, wszystkie wygodny. Myślałem, że panowie polityczni wiedzą o więzieniach trochę więcej. Co z tym synkiem? - Forost wstał wlokąc za sobą koce, w które był zawinięty, i podszedł do swych towarzyszy. Przypatrywał się Isaberowi.

- Proszę go zostawić - powiedział oschle Itale.

- Potrzebuje mamusi - rzekł Forost. - Dobra. Żeby to tylko nie trwało całą noc. Wybierzcie sobie łóżka, jest mnóstwo miejsca, u Łazarza w takim pokoju byłoby czterdziestu. Kubeł jest w kącie. Dobrej nocy, panowie. - Z powrotem owinął się kocami i zamilkł.

Itale przez chwilę rozmawiał cicho z Isaborem, przekonał go, żeby się położył, po czym sam skorzystał ze swojej rady, czując nagle śmiertelne zmęczenie. Forost nie podzielił się z nimi kocami, ale ławkę przykrywała gruba workowa tkanina, a powietrze było zimne, lecz nieruchome i świeże. Itale wyciągnął się i od razu poczuł się wygodnie. Zamknął oczy, przestał myśleć i zapadł w głęboki, spokojny sen.

Forost był z nimi tydzień. Nie powiedział, za co został aresztowany, najwyraźniej był jakimś urzędnikiem, ale i o tym niewiele mówił. Wiedział, że zostanie wypuszczony, co nastąpiło pod koniec tygodnia. - Wysoko postawieni przyjaciele - mruknął ze swoim charakterystycznym prychnięciem. Ze szczegółami opisał im więzienie św. Łazarza, nie mówiąc, czy odsiadywał tam jakiś wyrok, czy tylko je odwiedził lub powtarza pogłoski: oddziały liczące od dwudziestu do stu mężczyzn, w których przebywali razem chorzy i zdrowi na ciele i umyśle, obłąkani i niedorozwinięci umysłowo, mordercy i drobni złodziejaskowie; szczury, pchły, wszy, pluskwy; tyfus i ospa, które w ciągu ostatnich czterdziestu lat dwa razy "oczyściły więzienie", jak się wyraził Forost; pojedyncze cele i cele poniżej poziomu ulicy, w których zimną stała stopa wody.

- To jest prawdziwe więzienie - powiedział Forost z podziwem. - Ale wy, panowie, do niego nie pasujecie. Wichrzyciele, jasne, oni trafiają do Łazarza, tak jak zwykli ludzie, robotnicy, kogo to obchodzi? Ale was, panów polityków, nie chcą brać sobie na kark. Wy dwaj nie staniecie przed sądem jeszcze przez jakiś czas. Nie chcą wam wytoczyć procesu i skazać, bo, widzicie, nie wiedzą, gdzie was potem wsadzić. Jeśli dostaną rozkazy od rządu, z Krasnoy, "wydajcie na tego wyrok", no to muszą to zrobić, ale Bóg jeden wie, gdzie go potem posadzą. Więc im dłużej czekacie, rym jesteście bezpieczniejsi. Poczekacie pół roku i zostanieie wypuszczeni bez sądu.

Przeważnie tak się robi. Trochę ostudzą wasz zapal tu, w wieży, a potem wypuszczą, wy szybko znikniecie, a oni już nie będą musieli się o was martwić.

Itale słuchał z zainteresowaniem, lecz bez emocji. Sześć dni czy sześć miesięcy, i tak nic na to nie poradzi, a jak dawał do zrozumienia Forost, może to i lepiej. Przypomniał sobie swoją eskapadę w Solariy, której konsekwencją był areszt domowy. Obecna sytuacja wcale nie jest o wiele gorsza. Położył się na ławce, mając buty za poduszkę, spojrzął na samotne okno umieszczone wysoko pod sufitem i zaśpiewał półgłosem: "Wszystkie najlepsze rządy zastąpiły rozsądek i działań sens panami jak Haller, Miiller i Gentz..."

- Nie przerywaj - odezwał się Porost, który czyścił paznokcie scyzorykiem Itale. - Daj nam koncert.

- A czego chciałbyś posłuchać? "Za tym mrokiem świeci blask twego nie gasnącego dnia, o Wolności!..."

Porost wyszczerzył zęby w uśmiechu, Isaber sprawiał wrażenie przestraszonego. Nadal był przygnębiony, osaczony ponurymi myślami.

- Co śpiewają w twoich stronach?

- Nie piosenki więzienne. A co się śpiewa tutaj? - Zaczął piosenkę, którą słyszał w Esten: "W Rakavie, za wysokimi murami". Znał tylko pierwszą linijkę, lecz Porost podjął dalej ciepłym tenorem.

- To nie jest piosenka więzienna, to stara pieśń - powiedział, kiedy skończył śpiewać i zaczął monotonną, sprośną balladę, której Itale chętnie wysłuchał, wdzięczny za jakąkolwiek rozrywkę. Lubił Forosta za to, że nigdy nie narzekał.

Kiedy go wypuszczano, skłonił się im wesoło i powiedział:

- Do widzenia. Powodzenia, Robespierre! Nie płacz za mną, synku!

Itale pożegnał go z żalem. W tej chwili radosne poniżenie było dla niego więcej warte niż szlachetna ponurość. Nie uraziła go stanowcza odmowa przeszmugłowania wiadomości dla przyjaciół. Porost nie miał powodów podejmować ryzyka ani nadziei na zyski z partii, rozgrywanej przez Itale.

Mimo wszystko martwiła go niemożność napisania do któregoś z przyjaciół czy do rodziny: Jestem tu, miewam się dobrze".

Isaber wyczuł jego zły nastrój i poddał się kolejnemu atakowi apatycznej, pełnej samooskarżeń rozpacz.

Minęła godzina w całkowitym milczeniu. Itale zasnął na trochę. Kiedy się obudził, Isaber siedział w tej samej pozycji, pogrążony w ponurych rozmyślaniach. Poczul nienawiść do tego

chłopaka, tak silną, że aż go to przeraziło. Odwrócił się, o ile można się od kogoś odwrócić w pustym pomieszczeniu, i zaczął gwizdać mozartowskie rondo, które często grała Luisa. Wstał.

- Muszę coś zrobić, muszę się ruszyć - powiedział. - Potrzebuję ruchu. Możemy dostać się do tego okna? Może uda ci się stanąć mi na ramionach. Chodź!

Tak więc strażnik, który przyniósł im wieczorną zupę i chleb, zastał Isabera stojącego na ramionach Itale, uczeplonego krat okna i opisującego rozciągający się stamtąd widok.

- Przestańcie! Powstrzymać ich! Straże! - zawołał żołnierz, rosły Szwab.

Isaber tak się przestraszył, że raczej spadł, niż zeskoczył na podłogę. Itale roześmiał się.

- Nie możecie uciec - nie wolno tego robić - to zakazane! - ryczał strażnik.

Isaber też wybuchnął śmiechem.

- Uciec? Czy mamy po trzy cale grubości? - rzekł Itale.

Zawstydzony Szwab odprawił ruchem ręki drugiego strażnika, który przybiegł na jego wołanie.

- To jest zakazane, panowie, przepraszam, zakazane, żadnego wspinania się na ściany!

Itale stłumił śmiech, a Isaber parsknął. Cieszyli się z wysiłku fizycznego i konsternacji strażnika. Odtąd codziennie wchodzili sobie na ramiona, żeby oglądać przez okno bezładnie porozrzucane dachy i zimowe niebo. Itale nie mógł długo patrzeć, bo Isaber z trudem utrzymywał jego stu pięćdziesięciofuntowy ciężar. Chłopak był słabego zdrowia. Urodził się w nadbrzeżnych slumsach, osierocony przez rodziców jadł dzięki miłosierdziu parafii, mieszkał, gdzie popadło, i nie miał dobrego startu w życiu. Od przynoszonej im mącznej zupy dostawał kolki, a silne bóle głowy nie pozwalały mu zasnąć w nocy.

Pewnej takiej nocy, osiemnastej spędzonej w celi, obaj nie mogli spać. Itale utracił swój początkowy stoicki spokój. Kiedy zaczęła mu już bardzo doskwierać fizyczna i umysłowa bezczynność, jakby dla równowagi nabrał większej cierpliwości dla wyczerpanego znużeniem Isabera. Tej nocy dotkliwie odczuwał skrupuły i współczucie wobec niego; kiedy usłyszał, że Isaber przewraca się i wzdycha, usiadł i zapytał:

- Boli cię głowa?

- Tak.

- Możemy chwilę porozmawiać?

Isaber podparł się na łokciu. W celi nigdy nie było ani całkowicie ciemno, ani zupełnie jasno. Itale widział tylko niewyraźny kształt jego sylwetki.

- Chciałem przeprosić, że cię wplątałem, wpakowałem w to wszystko. Wtrąciłem się do twojego życia. Nie miałem prawa. Z początku dręczyło mnie sumienie, bo zdawałem sobie sprawę, że wciągnąłem cię za sobą, że moja wina... Ale muszę przyznać, że tak czy owak cieszę się, że

jesteśmy razem. Nie wiem, czy bez ciebie mógłbym czuć się silny. Bez twojej przyjaźni. Do tego się wszystko sprowadza.

- Wolałbym być tutaj z tobą niż na wolności, gdybyś ty był tutaj - rzekł chłopak z żarliwością i ulgą w głosie.

- Wolałbym, żebyśmy obaj znajdowali się gdzieś indziej. Ale skoro już takjest...

Nie powiedzieli nic więcej. Isaber wkrótce zasnął. W celi panował przejmujący chłód. Na miasto, leżące za ich wąskim oknem, spadł pierwszy duży śnieg. Itale skulił się w surducie pod cienkim kocem i kiedy wreszcie zasnął, miał dziwny sen. Przez osiemnaście nocy śniły mu się przeważnie otwarte przestrzenie, znajome twarze i głosy, góry. Ten sen był straszny: znajdował się w celi i próbował zmyć z rąk jakąś sadzę czy czarny, spalony tłuszcz, który pokrywał też ściany i podłogę. Miska była pełna kwasu drukarskiego, używanego przy składaniu "Novesma verba". - Zejdzie od tego - powiedział Porost. - Nie mogę umyć rąk w kwasie drukarskim wyjaśnił Itale. - To nie jest kwas - odpowiedział szyderczo Amadey Estenskar - popatrz tylko, wcale nie niszczy miski, czego się boisz? - Ale z krawędzi miski uniósł się delikatny, żółtawy dymek, metal się rozpuścił i dymiący kwas przelał się przez stolik wprost na jego ręce, wypalając w nich bezboleśnie kanaliki podobne do śladów wyżłobionych przez korniki w drewnie. Potem klęczał zapatrzony w kałużę wody, do której spadły rozpuszczone kawałki miski. Zanurzył ręce powyżej łokci w zimną, ciemnozieloną wodę, która powoli się podnosiła, aż doszła do poziomu jego oczu. Z wielkim wysiłkiem oderwał od niej wzrok. Woda rozlewała się szeroko, była spokojna, głęboka i lśniła ciemnym blaskiem. Jezioro. Odbijała górujący nad nią ogromny cień góry Myśliwy. Odbicie sięgało oczu Itale. Za nim, w wodzie i w powietrzu nie było nic: ogromny, błydy i pusty przestwór nieba po zachodzie słońca.

Zbudził się wstrząsany dreszczami. Wysoko na suficie dawał refleksy przyćmiony blask śniegu.

Jeden ze strażników powiedział im, że nazajutrz mają stanąć przed sądem, Isaber rano, a Itale po południu. Tym razem Isaber nabrał otuchy, a Itale zmarkotniał. Jeśli Forost wiedział, co mówi, to im później odbywał się proces, tym lepiej. Jednak nic nie mówił o swoich obawach i następnego ranka wysłał Isabera ze strażnikami, próbując wierzyć albo przynajmniej zachowywać się, jakby wierzył, że wszystko będzie dobrze.

Isaber wrócił przed południem.

- Jestem zwolniony! - zawołał, zanim jeszcze strażnik otworzył drzwi. - Zwolniony! - Itale poczuł przypływ nieoczekiwanej, wszechogarniającej ulgi, radości i nadziei. Uściskał Isabera, do oczu napłynęły mu łzy...

- A więc jesteś wolny? Jesteś wolny?

- Mam wyjechać przed wieczorem z Rakavy, a do południa we środę mam opuścić Polanę. Czy ci głupcy myślą, że zechcą tu zostać? - Roześmiał się drżącym, tryumfalnym śmiechem.

Itale znów go objął w radosnym uniesieniu.

- Tak naprawdę nie miałem nadziei... dzięki Bogu, dzięki Bogu! Ale po co tu przyszedłeś?

- Poprosiłem, żebym mógł poczekać, aż skończą z tobą. Zgodzili się, nie są tacy źli, jak myślałem... Opowiem ci o procesie.

Opowiadał z podnieceniem i nieco chaotycznie. W miarę trwania rozmowy Itale zaczął dostrzegać złudność nadziei.

- obrońca, który nawet z nami nie rozmawiał - powiedział Isaber. - To farsa, co to za sprawiedliwość?

- Cesarska - odparł Itale. - Co on mówił, Agostynie? Pamiętasz cokolwiek?

- Och, mówił o mojej młodości i braku doświadczenia, same bzdury, nic ważnego. - Zrobił się niespokojny, ukrywał coś, co powiedział adwokat, prawdopodobnie to, że wykorzystali jego naiwność starsi. Isaber był bystry i zorientował się, że Itale zauważył, iż coś zataił. Odtąd byli skrzepowani, lecz udawali, że sobie ufają. Jednak Isaber został uwolniony, a jego proces stanowił czystą formalność. Nie liczyło się, co powiedzieli lub czego nie powiedzieli prawnicy.

Kiedy Szwab przyszedł po Itale, żeby zaprowadzić go do sali rozpraw, Isaber poszedł z nimi. Nie pozwolono mu jednak wejść do sali sądowej i nawet nie uścisnęli sobie rąk w korytarzu, bo drugi strażnik nie pozwolił Itale się zatrzymać.

Obrońca, wysoki prawnik o smutnych oczach opłacany przez państwo, rozmawiał z Itale przez pięć minut.

- Widzi pan, chodzi wyłącznie o te papiery. O pańskie artykuły. Przyznamy, że to pan je napisał.

- Podpisałem je. To oczywiste, że jestem ich autorem.

- Tak. Potem przemawiał pan na zebraniu robotniczym siódmego oraz na innym zebraniu dwudziestego.

- Tak.

- No cóż, po prostu się do tego przyznamy i zdamy na łaskę sądu. Jest pan oskarżony o działalność na szkodę...

- Wiem. Czego się mogę spodziewać po łasce sądu?

- Niech pan nie prosi o głos - odparł prawnik, patrząc w papiery i drapiąc się po źle ogolonym, pobrużdżonym policzku. - Proszę mi wierzyć, panie Sorde. Niech pan zaniecha obrony.

Itale wiedział, że prawnik ma rację.

Przemówienia oskarżyciela i obrońcy zajęły około kwadransa. Większość tego czasu sędziowie poświęcili na towarzyską rozmowę. Kiedy obaj prawnicy skończyli mowy, sędzia z lewej strony zapytał o coś pisarza sądowego, wziął do ręki kartkę papieru i głośno ją odczytał:

- Na podstawie dowodów, zeznań oskarżonego i zalecenia dyrektora Policji Narodowej w Krasnoy, a także artykułu piętnastego kodeksu prawnego z osiemnastego czerwca 1819 roku, sąd orzeka, iż oskarżony Itale Sorde winien jest zbrodni podżegania i uczestniczenia w działalności na szkodę porządku, spokoju i bezpieczeństwa publicznego, i skazuje go na pięć lat więzienia bez ciężkich prac, z natychmiastową mocą wykonania wyroku. - Odłożył kartkę i znów powiedział coś do pisarza.

Itale czekał, myśląc, że sędzia zaraz się odezwie i powie coś jeszcze. Siedzący obok niego obrońca mruknął coś potrząsając głową. Zaszurały krzesła. Sędziowie wstali i wyszli. Dwaj z nich nadal byli zajęci rozmową. Wrócili strażnicy, którzy wprowadzili Itale do sali sądowej. Sprawiali wrażenie, że są z drewna, i poruszali się sztywno jak figurki wychodzące z zegara o pełnej godzinie.

- Niech pan wstanie, sir - powiedział jeden z nich.

Itale zdał sobie sprawę, że powtórzył to już drugi raz. Wstał. Rozejrzał się za obrońcą, żeby go zapytać, co się dzieje, ale prawnik zniknął, w sali nie został nikt oprócz pisarza sądowego, który jeszcze coś notował.

- Chodźmy - powiedział strażnik i Itale wyszedł z sali, mając jednego z nich przed sobą, a drugiego z tyłu, przeszedł korytarz i wyszedł na dwór po raz pierwszy od trzech tygodni. Znalazł się na ośnieżonym podwórzu, gdzie mroźny wiatr, wschodni wiatr Polany, pozbawił go tchu; kiedy oszołomiony podniósł wzrok, oczy załzawiły mu na zimnie. Szli między dwoma ogromnymi, czarnymi budynkami, po ogrodzonym żelaznym płotem dziedzińcu.

- Chcę się zobaczyć z Isaberm - powiedział Itale. Na wietrze jego głos był cienki jak głos chłopca.

- Co takiego?

- Mój przyjaciel, Isaber... miał proces dziś rano...

- Nie teraz, sir. Dokąd on ma iść, Tomas?

- Zapytaj Ganeya - odparł strażnik idący z tyłu.

- Ma być traktowany specjalnie - powiedział bez przekonania pierwszy strażnik.

- Tak, traktowanie specjalne. Zapytaj Ganeya. Ej, uważaj, jak idziesz! - Itale pośliznął się na lodzie i stracił równowagę, gdy strażnik chwycił go za ramię. Jeszcze raz upadł na kamienie Rakavy. Wstał z trudem, lecz szedł wyprostowany, z wysoko podniesioną głową. Dzwoniło mu w uszach, a w ustach czuł smak krwi. Strażnicy wprowadzili go do św. Łazarza.

Minęło trochę czasu, zanim powrócił do rzeczywistości. Znajdował się w małym, ciemnym i zimnym pomieszczeniu. Przez kratkę, umieszczoną wysoko w drzwiach, padało do środka słabe światło. Ściany były wysokie. Itale stał i uświadomił sobie, że mierzył krokami długość i szerokość pomieszczenia. Cztery kroki na trzy. Zauważył ławę do spania długości człowieka, a pod nią glinianą miskę, przykrytą dachówką. Było zimno i wilgotno niczym w jaskini lub piwnicy, lecz duszno. Gdzieś z korytarza dobiegał płacz dziecka, pełen złości, nieustający wrzask. Itale pomyślał, że chyba płacze dziecko, które słyszał, kiedy wchodził do domu w wieczór aresztowania. To głupie, przecież nie mogło być to samo dziecko. Podszedł do drzwi i spróbował wyjrzeć, ale widział tylko przeciwną ścianę. Stał tam przez dłuższy czas. Nie chciał siadać. Gdyby usiadł, oznaczałoby, że tu zostanie.

Otworzyły się drzwi i wszedł strażnik. Nie był to żołnierz, lecz cywilny strażnik więzienny, rosły starszy mężczyzna wyższy od Itale, o kwadratowej twarzy i ziemistej cerze. Poprosił Itale, żeby się przebrał.

- Nie chcę tych ubrań - powiedział, patrząc na stertę szarych rzeczy, które strażnik położył na ławce.

- Takie są przepisy, sir. Może pan zatrzymać surdut.

- Nie chcę tego - powtórzył Itale. Usłyszał, że głos mu się trzęsie. Zawstydział się. - Chcę... - zaczął maskować swoje zmieszanie, lecz zamilkł.

- Pańskie rzeczy zostaną opieczętowane i przechowane. Takie są przepisy - powtórzył strażnik. Podobnie do Arassy'ego zachowywał się z tak zniewalającą pewnością siebie dobrego służącego, że Itale posłuchał go i zaczął rozpinać koszulę, bo przecież miał się przebrać.

- Chciałbym dostać coś do pisania.

- Co takiego, sir?

- Papier, atrament, coś do pisania.

- Musi pan o to poprosić naczelnika więzienia, sir. Podlega pan specjalnemu traktowaniu.

Tak jak inni strażnicy, wypowiedział dwa ostatnie słowa pełnym szacunku, złowrogim tonem. Głos miał donośny i monotony, prawdopodobnie był przygłuchy. Itale zauważył to, a także rozpoznał w szarym materiale więziennej koszuli i spodni wełnę wtórną, którą widział w miejscowych tkalniach. Spostrzegął i myślał szybko, lecz nie potrafił niczego ze sobą powiązać, nie rozumiał faktów.

- Płaczące dziecko - powiedział. - Skąd się tu wzięło dziecko?

- Urodziło się tutaj, sir. Jego matka jest w jednej z izolatek, jak wasza miłość, wkrótce zostanie odesłana do wspólnej celi. - Strażnik zebrał rzeczy Itale i oddał mu kamizelkę. - Proszę ją

zatrzymać, sir, będzie panu cieplej. - Okazywał szacunek i uprzejmość. Wyszedł, zamykając za sobą wysokie drzwi na klucz.

Ubranie więzienne było luźne, szorstkie i nie dawało wiele ciepła. Itale włożył kamizelkę i śliwkowy surdut, pognieciony i przybrudzony po trzytygodniowym pobycie w celi, lecz nadal ciepły. Kiedy go wkładał, dotyk jedwabnej podszewki rękawa stał się prawdziwą pociechą.

Usiadł.

Był w wieży trzy tygodnie, dwadzieścia jeden dni, ale one już minęły. Sędzia coś powiedział, powiedział coś o pięciu latach, ale to nie mogło oznaczać pięciu lat w więzieniu. Niemożliwe. Pięć lat to przecież szmat czasu, kiedy miną, będzie miał trzydzieści lat. Trzy tygodnie ciągnęły się w nieskończoność, trzy tygodnie wystarczą. Jest grudzień. Potem styczeń, luty... Udało mu się nie wymienić wszystkich dwunastu miesięcy. Strażnik przyniósł zupę, tę samą mączną zupę. Itale ją zjadł, miska została sprzątnięta. Po pewnym czasie zgasło światło w korytarzu i w celi zrobiło się zupełnie ciemno, lecz po chwili oko nauczyło się dostrzegać cień kształtu, niczym kamienne echo jakiejś odległej lampy. Noc minęła i nie minęła. Czasami umysł Itale pracował szybko, gorączkowo, a czasami nie pracował wcale. Serce mu biło i zatrzymywało się, znów biło. Próbował według jego uderzeń liczyć minuty. Bał się, że traci zmysły. W zastygłej ciemności, nabrzmiałej od przyszłej bezczynności, piekące ukłucia insektów, rojących się w materacu, wcale mu nie doskwierały - oznaczały życie.

Następnego dnia Itale był tak wyczerpany, że drzemał cały ranek, ułożywszy się dość wygodnie na ławie. Po południu przyszło dwóch strażników, żeby wyprowadzić go na spacer po dziedzińcu. Był to mały wewnętrzny dziedziniec o boku czterdziestu czy pięćdziesięciu stóp. Leżący na nim rozdeptany śnieg utworzył twarde, szarawo-czarne klepisko, przyżółcone pod ścianami plamami z moczu. Dwaj strażnicy pilnowali pięciu więźniów, którym zabroniono rozmawiać. Jeden ze skazańców wykonywał systematyczne ćwiczenia, biegając wokół dziedzińca i wymachując rękoma. Chodził dziwnymi, krótkimi krokami. Itale postanowił, że także będzie ćwiczył, ale na razie nie potrafił się do tego zmusić. Drżały mu nogi. Musi się opanować. Musi utrzymać kondycję. Zaplanuje wykorzystanie czasu na ćwiczenia na świeżym powietrzu i będzie się też starał gimnastykować w celi. Trzeba planować, mierzyć i wykorzystywać czas. Teraz, chociaż sprawia mu to wielką trudność, powinien obejść cały dziedziniec, jak najgłębiej wdychając czyste powietrze. Ruszył do przodu. Zatrzymał go jeden ze strażników, kiedy obok niego przechodził. Był to szczupły mężczyzna o czerwonej twarzy.

- Czy skoczył ten gość, co miał z tobą proces? - Mówił dialektem i brakowało mu większości zębów.

Itale nie był pewien, czy dobrze zrozumiał.

- Isabey? - powiedział strażnik. - Isaber... Co się z nim stało?
- Czy on był szalony? Przecież został wypuszczony, prawda?
- O co chodzi?
- Po co on to zrobił? Jezu, co za pomysł, osiemdziesiąt stóp do ziemi, czy on był szalony?
- Zamknij się, Anto - powiedział drugi strażnik, machnąwszy ręką.

Itale odszedł od nich. Chciał uklęknąć i zanurzyć ręce w śniegu, zmrozić dłonie i nadgarstki, ale śnieg miał twardą skorupę i był brudny. Strażnicy zawołali więźniów. Itale przyszedł ostatni, czując na sobie wzrok innych, nie potrafiąc na nich spojrzeć. Zamknięto go w celi. Położył się na ławie. Nie myślał o Isaberze, lecz o Estenskarze, o pewnym dniu, kiedy poszli postrzelać w lasach Esten. Widział postać Amadeya i słyszał jego głos tak wyraźnie, że wypowiedział bardzo cicho jego imię, lecz przeraziło go brzmienie własnego głosu. Oparł głowę na skrzyżowanych ramionach i leżał bez ruchu. Kolor, zapach i dotyk jego surduta był mu znajomy, szukał pociechy przytulając twarz do podwójnie złożonego materiału przy mankiecie.

- Proszę wyjść. Proszę wyjść, sir.
- Dokąd teraz - powiedział, siadając ze złością. Było mu niedobrze. - Dajcie mi spokój.
- Do warsztatu kowalskiego, sir - odparł strażnik swoim głośnym, bezbarwnym tonem. -

Chodźmy.

Kiedy Itale zrozumiał, chwycił się ławki obiema rękami i powiedział jakby ze śmiechem:

- Nie, nie. Nie pójdę. Tam nie. Nie... nie włożę szyi w obrozę.
- Takie są przepisy, sir. To trzeba zrobić.
- Nie.

Przygłuchy strażnik wezwał dwóch innych. Z wprawą i bez szczególnej brutalności obezwładnili Itale, zanieśli trzymając go za ręce i nogi do więziennej kuźni, przytrzymali go, kiedy kowal zakładał mu na nogę luźną obręcz, przynieśli z powrotem do małej, ciemnej, zimnej celi, przymocowali krótki łańcuch do obręczy i klamry osadzonej w ścianie i wyszli. Itale trząsł się i przeklinał we łzach.

- Przykro mi, sir - powiedział głuchy strażnik wychodząc. - Przyzwyczaj się pan.

ROZDZIAŁ 3

Piera Valtorskar wyjechała z Aisnar dziewiętnastego grudnia 1827 roku, pod szarym niebem. Pod szarym niebem rodzinny powóz jechał z turkotem kół na południe, drogami Marchii Zachodnich, a kiedy przejeżdżał przez wioskę Vermare, leżącą wysoko u podnóży gór, szare niebo nagle opadło ciężkimi, gęstymi, bezdźwięcznymi płatkami, wypełniającymi całe powietrze, bieląc tłuste zady koni, futrzaną czapę woźnicy i skrywając dalszą drogę. Z wielkim wysiłkiem Piera opuściła okno, żeby wystawić rękę i poczuć dotyk zimy.

- Ojej, zamarzniemy na śmierć, och, zamknij okno, och, włóż rękawiczki! - zawołała kuzynka Betta Berachoy.

Betta przyjechała sama powozem do Aisnar po Pierę, ponieważ na tydzień przed wyjazdem hrabia Orlant ciężko zachorował na bronchit. Zamierzał spędzić święta u Belleyninów, ale kuzynka Betta pojechała bardzo chętnie, naprawdę, bowiem na myśl, że to biedne dziecko miałyby wracać samo w powozie, jak tłukący się w tykwie groszek, nawet jeśli stary Godin jest godzien najwyższego zaufania... W każdym razie kuzynka Betta była tak zdenerwowana, że Piera zamknęła okno, mrużąc tylko:

- W Aisnar nigdy nie pada śnieg.

- Och, niemożliwe, na pewno pada. Ciepła fontanna na pewno wszystko roztopia, to dziwne, prawda? Ojej, leży gęsto... gdyby zasypało nas na przełęczy... Z dala od jakiegokolwiek domu! - oczy kuzynki Betty lśniły.

Od czasu do czasu w Portacheyce pojawiały się romanse, będące strawą bardziej pobudzającą ducha niż "Nowa Heloiza", a kuzynka Betta czytała je namiętnie i chociaż możliwość zasypania śniegiem na górskiej drodze nie była ani odległa, ani. przyjemna, wyrażenie "z dala od jakiegokolwiek domu" brzmiało tak powieściowo, że przyprawiało ją o dreszczyk emocji.

- Wiatr zwykle zmiata cały śnieg z przełęczy nad Portacheyką, - wyjaśniła Piera.

Kuzynka Betta już odkryła, że Piera zrobiła się w klasztorze stanowczą, młodą kobietą. Zawsze była spokojna i na pewno nigdy nie czytała romansów.

Śnieg nie sprawiał kłopotu koniom. Topniał, gdy tylko opadał na ziemię po locie przez miękkie, bezwietrzne powietrze. Dopiero kiedy późnym popołudniem dojechali do Portacheyki, zaczął się utrzymywać na drodze, pokrywając zarazem lodowatym lukrem dachy stromo położonego miasta, podobnie jak cukiernik lukruje ciemny placek śliwkowy.

- Och, spójrz, spójrz - zawołała Piera z wielkim przejęciem - spójrz na góry, na śnieg na dachach... - po czym zamilkła.

Widok złościście oświetlonych okien miasteczka skulonego pod wielkimi zboczami prawie ginącymi w wirującym śniegu i zapadającym zmroku, czarowny widok oświetlonych okien wśród obcości zimy naprawdę ją zachwyił. Przez całą drogę z Portacheyki w dół do jeziora cieszyła się padającym śniegiem i ciemnością, kryjącą przed nią sady, pola, góry, jezioro. Nie chciała ich widzieć. Nie należały do niej. Nawet wtedy, kiedy powóz wtoczył się na wyłożony płytami dziedziniec za jej domem, nawet kiedy zobaczyła ojca, okutanego tak, że wyglądał jak poduszka, idącego ku niej z ramionami przyprószonymi śniegiem i wyciągniętymi dłońmi, powtarzała sobie w duchu: "Dlaczego przyjechałam do domu, dlaczego przyjechałam do domu!" A potem znalazła się w objęciach ojca przyciskającego ją do szorstkiego płaszcza i poczuła na uchu zimny śnieg z jego rękawa.

- Wszystko w porządku, papo? Dobrze się czujesz?

- Tak, oczywiście, czuję się świetnie - odparł chrapliwie hrabia Orlant, ocierając łzy. Był bardzo chory, a tej zimy skończył sześćdziesiąt dwa lata. Przyszło mu do głowy, że mógł umrzeć. Nie bał się samej śmierci, ale przerażało go, że już nie zobaczy Piery. - No, no, no, ale ruch - powiedział nadal obejmując ją ramieniem.

Wtedy pojawili się wokoło wszyscy inni, Eleonora, Laura i kucharka Mariya i panna Elisabeth, która mieszkała w Valtorsie, stary Givan i reszta służby. Podawali ją sobie z rąk do rąk, aż wreszcie weszła do domu, wśród uśmiechniętych twarzy, radosnych głosów, do ciepła i światła. Guide Sorde nie wyszedł na dwór i przywitał się z nią chłodno:

- No, contesina, trzy miesiące poza domem, a widzisz, jak wzrosła twoja wartość?

To prawda, że nieobecność trwała tylko trzy miesiące, lecz jej odwiedziny w domu zeszłego lata były przedostatnie, a te ostatnie. Wszyscy dobrze wiedzieli dlaczego. Nikt nie zapomniał, że Piera ma wyjść za mąż, że nie należy już do nich ani oni do niej, że widzą Pierę Valtorskar po raz ostatni. Kiedy znalazła się we własnym łóżku we własnym pokoju, leżała rozmyślając, a myśli przychodziły tak ponure, jak wygodne było jej łóżko. Ostatni raz. Itale oczywiście miał rację, nie można wrócić, nie ma powrotu do domu. Spojrzała na półki z książkami. Złocene litery na grzbiecie książki, którą jej podarował, "Vita Nova", "Nowe życie", mrugały do niej w blasku ognia. Lecz ona nie pragnęła nowego życia. Wolała stare.

Następnego wieczoru, w wigilię Bożego Narodzenia, wszyscy mieszkańcy Valtorsy oprócz cioci oraz państwo Sorde, Sorentayowie i wielu innych ziemian, udali się do Portacheyki na pasterkę. W ciągu dnia znowu padał śnieg, ale po zachodzie słońca chmury odeszły. Na śniegu krzyżowały się żółte smugi światła padającego z lamp powozów i latarni, a w blasku gwiazd było widać jaśniejsze plamy śniegu, leżącego na drzewach porastających górskie zbocza. Kościół w Portacheyce był szczelnie nabity od ściany do ściany, mali chórzyci śpiewali cienkimi głosikami,

dzieci płakały, starzy mężczyźni drapali się po szyjach pod świątecznymi, białymi koszulami i wzdychali potężnie jak konie, lecz pobożnie, a małe staruszki, które codziennie chodziły na mszę, mruczały modlitwy o dwa słowa wyprzedzając księdza. W gorącym blasku świec krzyż wiszący nad ołtarzem jarzył się niczym roztopione złoto, od czasu do czasu można było poczuć żywiczny, czysty zapach sośniny, którą udekorowano kościół, lub lodowaty - nie wiadomo skąd się biorący - powiew rzeńskiego powietrza, buszującego po kamiennej posadzce między rozmodlonymi ludźmi. Pół godziny zajęło tłumowi wyjście z kościoła, a i tak większość osób pozostała na ulicy, czekając na swych bliskich znajomych. Dzieci się gubiły, konie grzebały kopytami, śnieżny pył migotał w promieniach światła rzucanego przez latarnie i lampy. Gdy starsi znajdowali znajomych i krewnych, których przywieźli do miasta lub z którymi chcieli się przywitać, Piera i Laura przyłączyły się do młodych Sorentayów, śpiewających starą kolędę o aniołach.

Słodkie anielskie pienia

Budzą echo w dolinach,

Koniec ludzkiego cierpienia,

Bo w pieśni tej dobra nowina:

Głona in excelsis Deo!

Alexander Sorentay zafalższował na "Gloria" i jego narzeczona Mariya, córka adwokata Kseneya, zawołała: - Och, Sandre! Nie śpiewaj tak głośno! - i wszyscy się roześmieli. Po drodze do domu Piera i Laura, ściśnięte w powozie Valtorskarów razem z hrabią Orlantem, Guide'em, Eleonorą, kuzynką Bettą, Emanuelem, Pernetą i rządcą Gavreyem, nie przestawały śpiewać kolęd, aż Guide pomagał im swoim barytonem przy "Gloria". Siedząca obok Eleonora zajrzała mu w twarz i powiedziała:

- Guide, nie słyszałam cię śpiewającego od dwudziestu lat!

- A ja tak - rzekła Laura. - Kiedy się goli, ale zawsze przerywa w środku.

- Śpiewajmy więc - powiedział Guide i zaśpiewali wszyscy.

Hrabia stracił głos podczas choroby, ale wystukiwał rytm na ramie okna. Wszyscy wstąpili do domu państwa Sorde na kolację i gwiazdkowe ciasto, które kształtem przypominało kłodę i było owinięte bluszczem, przeplatany gałązkami ostrokrzewu. Hrabia Orlant rozprawiał o ostrokrzewie, megalitach i druidach i nikt nie położył się spać przed piątą. O jedenastej niektórzy poszli wzdłuż brzegu jeziora na poranną mszę do kaplicy św. Anthony'ego. Rosnące opodal sosny skrzyły się w zimowym słońcu od topniejącego śniegu. Po północnej stronie każdego nagrobka na małym cmentarzu przy kaplicy leżał biały śnieg. Słowa modlitw często zagłuszał wiatr, szumiący

w lasach San Larenza. Po mszy Piera i Laura spacerowały po cmentarzu czekając na Eleonorę. Rozdzieliły się, bo Piera odeszła nieco dalej czytając napisy. Wszystkie nagrobki były stare, na tym cmentarzyku nikogo już nie chowano. Mijała małe i anonimowe groby zmarłych przed stu laty niemowląt. Odczytywała znane nazwiska. Itale Sorde, 1734 - 1810. In te Domine speravi. Zatrzymała się. Patrzyła na cmentarz, pocętkowany plamami śniegu i cieniami sosen, na przysadzistą, kamienną kaplicę, na której dachu topniał śnieg, na jezioro leżące spokojnie w zimowe południe i idącą w jej kierunku Laurę. W płaszczu i obszytej futerką czapce wydała się jej bardzo wysoka i blada.

Chwilę razem przystanąły.

- Pamiętam, jak stał przed południowymi oknami. Musiałam sięgać w górę, żeby go chwycić za rękę. Wydawał się taki wysoki...

- Umarł w rok po moim urodzeniu.

- To dziwne, że kiedy Itale i ja umrzemy, na całym świecie nie znajdzie się nikt, kto go widział, kto go znał. Do tego czasu nie będzie martwy. Potem jednak...

- Ale jest przecież życie po śmierci - powiedziała nieśmiało Piera.

- Może - odparła Laura nadal patrząc na grób.

- Nie jesteś pewna? - Nie.

Ważły słowa z wielką prostotą formułując myśli.

- To nie ma znaczenia, prawda? - powiedziała Laura. - In te Domine speravi... Wszystko się skończy, wszystko zniknie - powietrze, ziemia i słońce. Czy to byłoby takie straszne?

- Ale... właśnie myślałam... siedemdziesiąt lat temu twój dziadek był młodym człowiekiem. Młody jak każdy młody mężczyzna dzisiaj, jak my. Potem się starzejemy. I może on kogoś kochał. Oczywiście, że tak, swoją babkę, i pobrali się, i mieli dwóch synów, i rozmyślali, rozmawiali, pragnęli różnych rzeczy, i był wiatr i deszcz, i słońce na śniegu i oni to wszystko widzieli, a teraz... To takie dziwne. I byli przed nimi inni ludzie, a teraz jesteśmy my, i będą ludzie, którzy przyjdą po nas, i nie możemy poznać nikogo z nich, bo czas ciągle płynie naprzód. Jaki był mój ojciec, kiedy miał dwadzieścia lat? Czy on siebie pamięta? Chyba muszę wierzyć w życie po śmierci. Bez niego wszystko byłoby takie dziwne i bezsensowne... nigdy nie zrozumieć... - Rozejrzała się po grobach poprzecinanych pasmami słońca i cienia, głos jej nieco zadrżał. - Dlaczego oni byli kiedyś młodzi?

Zza rogu kościoła wyszedł Gavrey.

- Matka pyta o panienkę, panno Lauro - powiedział zatrzymując się przy furtce z czapką w rękach.

Piera wróciła do domu piechotą razem z nim i kuzynką Bettą. Gavrey okazał się dobrym, odpowiedzialnym rządcą, który przejął od hrabiego Orlanta ciężar prowadzenia majątku, lecz nigdy

nie mówił do Piery więcej, niż wymagała tego grzeczność. Teraz też nie rozmawiali, ale robiła to za nich kuzynka Betta. Piera uciekła od niej do gabinetu hrabiego Orlanta, który nieco zmęczony długą nocą wigilijną siedział przy kominku ozdobionym girlandami, kupidynami i kilkoma zabłąkanymi waltorniami wyrzeźbionymi w miejscowym szarawym marmurze, podobnie jak nagrobki na cmentarzu św. Anthony'ego. Na kominku płonął jasny ogień. Piera usiadła obok ojca, zaczęli gawędzić. Hrabia Orlant odkrył zeszłego lata, że może rozmawiać z własną córką. Przypominało mu to pogawędki z żoną, która wówczas była tylko trochę starsza od Piery. Nie mówili dużo, ale owe chwile uznał za najprzyjemniejsze, szczególnie teraz, w zimowe wieczory. Podczas choroby miał dużo czasu na smutne myśli. Przewidział i zaakceptował swoją samotność; Piera wyjdzie za mąż i opuści dom, lecz teraz jest z nimi, i to stanowiło największą pociechę. Był zadowolony.

Piera nie była zadowolona, ale szczęśliwa, siedząc z ojcem przy ogniu, a przynajmniej szczęśliwsza niż w lecie. Tych kilka tygodni spędzonych w domu wprawiło ją w stan bezustannego, męczącego napięcia. Wciąż czekała. Na co? Pewnie na małżeństwo, na miłość. Była w domu, ale nie na dobre, zaręczona, lecz samotna, zawieszona w próżni. Wszystko szło nie tak. Pisała do Givana Koste regularnie. Nudnych kilka słów, co dwa tygodnie. Pisanie tych listów było nieznośnym obowiązkiem, równie przykrym, jak pisanie wypracowań dla panny Elisabeth o powinnościach młodej kobiety... Jeśli Givan ją kocha, to dlaczego go tu nie ma? Wyjechała z domu i wróciła do Aisnar z ulgą. Czy była zatem szczęśliwa tej jesieni w Aisnar? Oczywiście, ale wciąż trwała w oczekiwaniu. Teraz czekanie się skończyło, czas szybko mijał i Piera chwyciła poszczególne chwile, ceniła je. Wiedziała, że są niepowtarzalne. Nie chciała wracać do przeszłości ani wybiegać myślami w przód.

Wigilia Trzech Króli przyniosła trzaskający mróz i czyste niebo. Drogi były tak zamarznęte, że uderzenia końskich kopyt rozlegały się niczym dzwonki, a słońce jaśniało na ciemnobłękitnym niebie. Laura i Piera pojechały do Portacheyki po pocztę z zawsze milczącym rządcą Gavreyem, który miał coś do załatwienia w młynie. Dziewczęta poszły do zajazdu "Pod Złotym Lwem" prowadząc jego konia, ponieważ zajazd służył jako tawerna, hotel, przystanek dyliżansów, poczta i stajnia wynajmująca konie. Piera powiedziała:

- Ze wszystkich małomównych ludzi w Montaynie on jest najbardziej małomówny.

- Potrafi rozmawiać - rzekła obojętnie Laura.

- Wątpię. Strzeże swego języka, jakby go miał ze złota.

- A kto tutaj rozmawia oprócz nas, kobiet? Tam mężczyźni pewnie plotkują cały czas, prawda? - Laura często droczyła się z Piery na temat wyrafinowanych obyczajów panujących w Aisnar, nawet zrobiły sobie z tego pewną grę, ale teraz w jej słowach czuło się uszczypliwość.

Piera wiedziała, że w pewnym sensie była nietaktowna, i nic już nie mówiła o Gavreyu. Przywitały się ze starym stajennym i oddały mu konie. Weszły do środka i pozdrowiły żonę oberżysty, królującą wśród lśniącego dębu i mosiądzu. Czekala na nie i podała im przez bar trzy listy: jeden dla Piery, dwa dla Laury.

- Ach! - zawołała z ożywieniem Laura. - Dziękuję, pani Karel!

- O tak, od dom Itaal, zobaczyłam go w worku z samego rana, znam jego czarny atrament - powiedziała pani Karel z zadowoleniem sugerującym, że tak drobna sprawa jak analfabetyzm w niczym jej nie przeszkadza.

Porozmawiawszy z nią chwilę dziewczęta wyruszyły do domu Emanuela.

- Chodź, Peri, pośpiesz się, chcę go przeczytać. Ciekawe, dla kogo ten drugi list, pewnie dla wujka. A twój jest od...?

- O, tak - odparła Piera.

- List od Itale ma nadal adres zwrotny w Rakavie. To dlatego od miesiąca nie mieliśmy żadnych wiadomości. Poczta pewnie na wschodzie chodzi powoli. To tak daleko.

Idąc dwa razy szybciej niż zwykle i przyglądając się kopercie listu, którego nie chciała zbeczczyć otwieraniem na ulicy, Laura szła w kierunku domu Emanuela. Piera podążała za nią. Emanuel wyszedł. Przyjęła je Per neta i nie tracąc czasu otworzyła, razem z Laurą, list od Itale. Przeczytały go na stojąco. Piera usiadła w fotelu przy oknie, wychodzącym na leżącą po północnej stronie przełęcz i przeczytała list od Givana Koste. Był to spokojny, czuły, męzowski list. Pod spodem dopisał się mały Battiste, okrągłym, wyraźnym charakterem pisma: "Kochana hrabianko Piero! Suszony imbir był bardzo dobry chociaż był bardzo ostry więc jadłem po kawałeczku, ale zjadłem wszystko. Mam nadzieję, że czuje się pani dobrze. Ojciec czuje się dobrze. Ja się czuję dobrze. Moje króliki czują się dobrze. Lubią owsiankę tak jak pani mówiła. Z najlepszymi życzeniami szczęśliwego Nowego Roku, pani kochający przyjaciel, Battiste Venseslas Koste".

Chciała pokazać dopisek dziecka Laurze, lecz tego nie zrobiła. To takie dziwne, znaczy Laurze wydałoby się dziwne, że ów chłopiec ma być dzieckiem Piery, jej pasierbem. Ma siedem lat, jest o jedenaście lat młodszy od Piery; pani kochający przyjaciel Battiste Venseslas Koste - Laura chyba by tego nie zrozumiała. Zresztą po co wprawiać ją w zakłopotanie.

- Co pisze Itale?

- Przeczytaj, kochanie. Lauro, przeczytałaś już list dwa razy, daj go Pierze. Co to? Jeszcze jeden list?

- Ach, tak, zapomniałam. Spójrz: "Dla pana Sorde z Val Malafrena, Portacheyka, Prow. Mont." - dla kogo to? Dla ojca czy wuja?

- Emanuel będzie wiedział. Muszę sprawdzić pieczęć, zaraz wracam.

Laura przysiadła na poręczy fotela i wraz z Piera jeszcze raz przeczytały list od Itale.

- "Rakava, 18 listopada 1827".

- Popatrz! - powiedziała Laura. - Szedł dwa miesiące! Nawet w zimie i przez cały kraj, jak mogło to trwać dwa miesiące? Jego pierwszy list z Rakavy szedł tylko dwa tygodnie!

- Cicho - powiedziała Piera, czytając: - "Moja kochana rodzino! Przepraszam, że nie zdążyłem na dyliżans w zeszłym tygodniu i ufam, że nie uznaliście mnie za zaginionego. Jestem zajęty od samego przyjazdu do Rakavy i wydaje się, że od mojego spokojnego tygodnia w Esten minęło kilka stuleci. Moje zdanie o Rakavie właściwie od ostatniego listu się nie zmieniło: nadal nie podoba mi się to miasto i nadal uważam, że jest wyjątkowo interesujące. Nigdzie nie widziałem tak biednych i nieszczęśliwych ludzi. Cieszę się, że nie jestem sam w tak odstręczającym miejscu. Młody Agostin zawiesił czerwone zasłony, żeby w naszym mieszkaniu zrobiło się weselej i żebyśmy nie musieli myć okien. Moim wkładem do gospodarstwa domowego było duże pudełko Cudownego Proszku Gosseka. Ja sam wcale nie nazwałbym go cudownym. Prusaki pożerają go z entuzjazmem, niewątpliwie uważając, że jest to troskliwy gest ze strony przybysza". Prusaki? - rzekła Piera.

- Karaluchy. Eve zawsze nazywa je prusakami.

- O! Myślałam, że ma na myśli ludzi. Przeczytam to jeszcze raz: "...przybysza. Chciałbym, żeby wszystkie zdechły w męczarniach, ale chyba nic z tego.

Jeśli moje listy będą przychodziły z opóźnieniem, nie niepokójcie się. Poczta państwowa istnieje w Polanie dopiero od trzech lat - Polana żywi historyczną niechęć do robienia czegokolwiek, co robią inne prowincje - i jestem pewien, że jest tak powolna i zawodna, jak tylko mógłby sobie życzyć każdy cenzor. Prawdopodobnie w przedświąteczny tydzień pojedziemy z Agostinem dyliżansem do Krasnoy i kiedy będę na Mallenastrada, moje listy znów zaczną przychodzić regularnie. A co więcej, będę oczekiwał listów od was. Nie miałem żadnej wiadomości, od kiedy wyjechałem do Esten (wcale nie oskarżam, tylko ubolewam) i czuję się, jakbym dotarł do bieguna północnego Ziemi".

- Pisaliśmy do niego na każdy dyliżans - wtrąciła Laura. - Nie cierpię tej Polany, dlaczego musiał pojechać właśnie tam?

- "...bieguna północnego Ziemi. Wiedząc jednak, jak wiernie do mnie piszecie, jestem spokojny, że kiedy wrócę do Krasnoy, zastanę całą paczkę listów od Was.

Nie mam wam wiele więcej do powiedzenia poza tym, co napisałem w ostatnim liście. Proszę, dajcie mi znać, czy dociera do was «Bellerofon». Dwaj chłopcy zajmujący się wysyłką są jeszcze bardzo niedoświadczeni, a kiedy wyjeżdżałem z Krasnoy, mieli straszny bałagan. Jeśli go nie dostajecie regularnie, a jesteście nim zainteresowani, to osobiście dopilnuję, żeby egzemplarz

dla was znalazł się w dylizansie. W grudniowym numerze zaczyna się nowa powieść Karantaya. Mówi, a ja jestem skłonny mu wierzyć, że nie będzie tak dobra jak Młody Liyve. Nie można spodziewać się szybko następnego takiego dzieła jak to, nawet od Karantaya. Chyba nie można się cofnąć albo jeszcze raz zrobić tego samego.

Kochana matko i ojcze, moja kochana siostró, moje serce jest jak zawsze przy Was. Proszę przekazać wyrazy miłości wujowi i ciotce, hrabiemu Orlantowi, wszystkim mieszkającym nad jeziorem. Jeśli ten list będzie ostatni, jaki dotrze do was przed Bożym Narodzeniem, to niech przekaże wam moje serdeczne życzenia na nowy rok i na zawsze. Wasz kochający syn, Itale Sorde".

Kiedy Piera czytała ostatni akapit, zaczęły ją szczypać i palić oczy. Przeczytała go jeszcze raz, niebezpieczna chwila minęła.

- Jego pismo trochę się zmieniło - zauważyła.

- To pewnie złe pióro.

- Inaczej się podpisuje. Sjest mniej ozdobne.

- List nie jest zbyt wesoły - powiedziała ze smutkiem Laura. - Właściwie nic nie mówi.

Poza tym, że tęskni za domem.

- Nic takiego nie napisał - rzekła stanowczym tonem Piera.

- Oczywiście, że napisał. Ojej! Mama martwi się o niego od kilku tygodni, a to wcale jej nie pocieszy, jedna strona i żadnych wiadomości. Zastanawiam się, czy z powodu cenzorów, czy może nie chce sprawiać wrażenia nieszczęśliwego, mimo że nim jest?

Piera pochyliła głowę, jakby powtórnie czytała jakiś fragment listu.

- Co on mówił - zapytała w końcu - to znaczy, co napisał po pobycie w Aisnar w kwietniu zeszłego roku?

- Chyba ci powiedziałam, prawda? Nie mógł napisać wiele, bo go prosiłaś, żeby nie wspominał o twoich zaręczynach - wyjaśniłaś to później. Wiem, że napisałam do ciebie, że on napisał, że wyglądałaś bardzo ładnie. Czy właśnie to chciałaś usłyszeć jeszcze raz?

- Nie. Myślałam tylko... Nie ja powinnam się z nim zobaczyć. Powinnaś być ty albo twoja matka. Wszystko wychodzi tak głupio!

- Wystarczy, że widziała go któraś z nas.

- Ale to była naprawdę głupia rozmowa. Nie mówiłam ci o niej. Nie wiedzieliśmy, co powiedzieć. I on wyglądał inaczej, właściwie się nie zmienił, tylko wyglądał zupełnie inaczej, jak mężczyzna, a przecież kiedy byliśmy tu wszyscy razem, był tylko chłopcem. I powiedział, że pewnie się już nie spotkamy, że gdybyśmy się jednak spotkali, nic by to nie znaczyło, zupełnie jakby spotkali się i rozstali ludzie, którzy nic o sobie nie wiedzą, i że żadne z nas, on ani ja, nigdy

już naprawdę nie wrócimy do domu. I... - Lecz jej głos, który robił się coraz cichszy i bardziej napięty, załamał się w szloch. - To takie idiotyczne! Proszę cię, Lauro, nie zwracaj na mnie żadnej uwagi, od powrotu do domu często mi się to zdarza... zaraz mi przejdzie...

Laura głaskała ją po ręce nie wiedząc, co począć. Piera bardzo szybko się opanowała i z uśmiechem wstała na przywitanie Emanuela.

Poznawszy raczej z twarzy Laury niż Piery, że coś jest nie w porządku, Emanuel od razu poszedł na górę, zadał jednak jedno pytanie:

- Jest coś od Itale?

- Tak, proszę, list jest sprzed kilku tygodni, był jeszcze w Rakavie.

- Przeczytam go za minutę.

Kiedy usłyszał, że jego żona rozmawia z dziewczętami, uznał, że Piera przyszła już do siebie. Co jej się mogło stać? Na pewno to oczekiwanie na ślub; moda na długie narzeczeństwo jest obrzydliwa. Zszedł na dół.

- Gdzie kolacja, kobiety?

- Jeszcze dziesięć minut, Emanuelu.

- Trzy kobiety, kucharka, a kolacja jeszcze nie gotowa. No! Jesteście prawie tak niezaradne, jak my w zespole sędziowskim. No dobrze, zobaczymy, co się wydarzyło nowego w Rakavie przed sześcioma tygodniami.

Kiedy przeczytał list Itale, Laura pokazała mu drugi list:

- Dla którego z was on jest, wujku?

- Ależ dla Guide'a. Nie jestem z Val Malafrena.

- Ale napisane jest Portacheyka.

- Wiadomo, że dylizans pocztowy tu się zatrzymuje.

- Może go otwórz. Jeżeli jest do ciebie, ktoś będzie ci go musiał przywieźć, a jeśli dotyczy spraw posiadłości, to ojciec i tak poprosi cię o radę.

- Praktyczna kobieta - powiedział Emanuel. - Dobrze. - Ostrożnie, z niechęcią otworzył kopertę i zaczął czytać.

Piera przyglądała się mu badawczo, jak pozostałe panie, ale nic nie zauważyła. Cicho odezwała się żona:

- O co chodzi, Emanuelu?

Patrzył na nią przez chwilę spojrzeniem bez wyrazu.

- Niech skończę, kochanie - powiedział cicho. Czekwały w milczeniu. Skończył czytać list, złożył go i znów rozłożył, usiadł w fotelu przy oknie i rzekł: - To raczej złe wieści. Itale. Nic mu nie jest. Wygląda, że został aresztowany. Właściwie wiadomo niewiele.

- Przeczytaj - powiedziała Perneta, stojąc nieruchomo, jak Laura i Piera.

- Jest napisany do Guide'a - odparł Emanuel, lecz spojrzawszy w ich twarze, jeszcze raz otworzył list i przeczytał: - "Szanowny Panie! Muszę się panu przedstawić jako przyjaciel Pańskiego syna Itale, i poprosić Pana o wielką uprzejmość napisania do mnie, czy otrzymał Pan jakiegokolwiek wiadomości od syna od połowy listopada, lub zawiadomienia mnie, czy ma pan jakieś wiadomości potwierdzające lub, daj Boże, zaprzeczające doniesieniu, jakie otrzymaliśmy o jego aresztowaniu wraz z młodym człowiekiem, który mu towarzyszył, przez Rząd Prowincjonalny Polany, w listopadzie. Pierwsze doniesienie, jakie o tym otrzymaliśmy, wydawało się nieistotne, lecz teraz usłyszeliśmy bardziej szczegółowe sprawozdanie od godnej zaufania osoby, która przybyła do Krasnoy z Rakavy z wiadomością, że obaj byli sądzeni za podburzanie do działania na szkodę porządku publicznego, uznani za winnych i skazani na pięć lat więzienia. Jeśli to prawda, to znajdują się przypuszczalnie w więzieniu św. Łazarza w Rakavie, jako więźniowie stanu. Nie mieliśmy żadnych wiadomości od pana Sorde od szóstego listopada, lecz wiemy teraz, że korespondencja przychodząca i wychodząca ze wschodu jest pod kontrolą i może w każdej chwili zostać przeczytana i zatrzymana lub wysłana do adresata. Zgodnie z naszymi informacjami korespondencja w centrum i na zachodzie nie jest zasadniczo kontrolowana, lecz ta zasada może się w każdej chwili zmienić. Jak Pan wie, Pański syn ma tu wielu przyjaciół, którzy pragną mu pomóc, wspierając go i występując przeciwko tej potwornej niesprawiedliwości. W tej chwili, i do czasu zdobycia pewności co do faktów, idziemy za radą człowieka doskonale znającego sytuację polityczną wschodnich prowincji, który doradza nam czekać, ponieważ próba bezpośredniej interwencji czy osobistego odwołania może obecnie wyrządzić więcej złego niż dobrego. Usilnie Pana proszę o napisanie, czy ma Pan o nim lepsze lub bardziej pewne wiadomości, i modlę się do Boga, by podtrzymał sprawiedliwego i szczerego człowieka, mojego przyjaciela i Pańskiego syna, w pewności co do własnej prawości oraz naszej niezachwianej przyjaźni i lojalności. Kreślę się Pańskim sługą, Tomas Brelavay. Krasnoy, 2 stycznia 1828".

Emanuel złożył list. Twarz miał zamyśloną, oszołomiły go te wiadomości.

- Ten Brelavay wygląda na uczciwego człowieka - powiedział w końcu. - Itale chyba często o nim wspominał.

- Byli razem w Solariy - rzekła Laura. - Zajmuje się finansami czasopisma. - Mówiła spokojnie.

- On był, on był moim jedynym synem! - zawołała piskliwie Perneta potrząsając przed sobą zaciśniętymi pięściami, dziwnym, urywanym, szybkim ruchem.

- Ależ, Perneto - powiedział szorstko Emanuel i stanął przy oknie, a Laura zaczęła pocieszać jego żonę. Nigdy jeszcze, ani razu, nie straciła przy nim panowania nad swymi

uczuciami. Zupełnie jakby na dźwięk jej krzyku coś w nim pękło i opuściły go siły. Nie miał odwagi na nią spojrzeć.

Piera ujęła go za rękę. Spojrzał na dziewczynę, na jej bladą twarz i jasne oczy.

- Jeśli jedziemy nad jezioro - rzekła - to powinnam powiedzieć Gayreyowi, żeby na nas nie czekał.

- Słusznie.

- Pewnie jest w młynie. Wrócę za dziesięć minut.

Szybko się oddaliła. Emanuel ze zdumieniem myślał o spokoju i trzeźwości umysłu obu dziewcząt. Wiedział, co dla Laury oznacza ta wiadomość, a Piera jeszcze przed kwadransem z jakiegoś powodu płakała. Były kłębkiem nerwów, ale kiedy przychodził czas próby, mój Boże, stawały się twarde jak stal szpady. A on i Perneta są jak dwa kawały drewna. Usiadł i jeszcze raz przeczytał oba listy, by sprawić wrażenie, że jest czymś zajęty. Dziewczyny decydowały o wszystkim do chwili, kiedy odzyskał panowanie nad sobą i znalazł się sam na sam z bratem w bibliotece domu stojącego nad jeziorem.

- O co chodzi, Emanuelu?

- List Itale...

- Nie to cię tu sprowadziło w środku dnia.

- Nie. Wydaje się, że w kilka dni po napisaniu listu został aresztowany.

Guide czekał. Emanuel odchrząknął.

- To nic pewnego. Wiemy tylko tyle. - Podał bratu list Brelavaya i patrzył.

Guide uważnie przeczytał list, lecz nie zmienił wyrazu twarzy. Potem uniósł nieco głowę i po chwili milczenia powiedział obojętnie:

- I co ja mam zrobić?

- Zrobić? Skąd mam wiedzieć? Niewątpliwie on ma rację, że nic nie możemy zrobić, zupełnie nic. Ale czy to jest pora, żeby ci powiedział, że mówiłem, czy twoja obłuda... - przerwał.

Guide nie patrzył na niego.

- Aresztowali go - powiedział cicho, jakby wypróbował te słowa. - Jakie mają prawo go osądzać... dotykać... - Jego twarz skrzywiła się w dziwnym grymasie. - Co mu zrobili? - powiedział głośno.

Odwrócił się i zamilkł.

Emanuel usiadł przy stole pocierając ręką czoło. Źle osądzał brata. Zapomniał, że Guide nic nie wie i że w tym sensie jest niewinny. Guide był wściekły na Itale, że się poniżył, ale nie przyszło mu do głowy, że jakakolwiek ludzka siła może poniżyć Itale. Zło było dla niego cechą osobistą: chciwością, skąpstwem lub okrucieństwem, zazdrością czy dumą. Człowiek zwalcza takie zło w

sobie i w innych i z Bożą pomocą zwycięża. O tym, że niesprawiedliwość może być zinstytucjonalizowana w imieniu prawa, że nieludzkie zachowanie może się wcielić w uzbrojonych ludzi oraz zamknięte drzwi i w tej postaci się unieśmiertelnic, Guide wiedział, lecz dotąd w to nie wierzył. Nigdy nie odciął się od Itale, nawet w gniewie. To, co zrobiono jego synowi, zrobiono także i jemu. Ten list był jego wyrokiem. Guide miał pięćdziesiąt osiem lat i po raz pierwszy ludzkie zło zawładnęło jego twardą, bezkompromisową duszą. Po raz pierwszy w życiu został upokorzony. Trzymał się od wszystkiego z daleka, został czysty, a teraz, tak późno, musi zapłacić cenę owej czystości.

- Guide, jeśli to prawda, a tego nie wiemy - lecz jeśli to prawda, musimy na to spojrzeć trzeźwo. Jest bardzo źle, ale mogło być gorzej. Nie wysłali go do więzienia do Austrii, nie skazali go na dożywocie. Pięć lat... Pięć lat to...

Emanuel studiował prawo w Solariy. Kilka razy z pełną świadomością odwiedził tamtejsze więzienie prowincjonalne. Właśnie dlatego, że wiedział, jak wygląda więzienie, odmówił zdobycia kwalifikacji sędziowskich, a kiedy zaproponowano mu sędziowanie w sądzie wiejskim, dwa razy odrzucił ten zaszczyt.

- Można poczekać pięć lat - powiedział Guide.

- Posłuchaj, Guide. Po wyjeździe Itale usprawiedliwiałem się już z zachęcania go do wyjazdu... uważałem, że to jego prawo, jego wybór. Nadal tak uważam, ale byłem odpowiedzialny, częściowo odpowiedzialny... Nie mam usprawiedliwienia, nie chciałem widzieć niebezpieczeństwa, więcej w tym mojej winy niż jego, on był bardzo młody!

- Nieważne - rzekł Guide. - To wszystko przeszłość. Czy Laura wie?

- Była z nami, kiedy czytałem ten list. Pomogła Pernecie przyjść do siebie. Piera zrobiła to samo dla mnie. Są teraz z Eleonorą. Zostawiłem to im. Są w tym lepsze niż my, Guide.

- Tak. Ich świat. Ich czas, nie mój. Wiedziałem to od chwili jego wyjazdu.

Znowu zapadła cisza. Guide usiadł po przeciwnej stronie szerokiego stołu.

- Kiedyś zastanawiałem się, czy nie poślubi Piery - rzekł Guide. - Czterdzieści lat temu nie byłoby żadnych wątpliwości. Dobry układ, dobrana para. Pobraliby się. Nigdy by nie uciekł.

- Ale nasz ojciec przecież wyjechał. Zależy to od czasów czy od człowieka?

- Ale wrócił.

- Itale też wrócił!

- Kiedy powiedział, że chce wyjechać, siedział tam, gdzie ty teraz. Rozzłościłem się, nazwałem go głupcem i czymś jeszcze gorszym.

- Na litość boską, chcesz się obwiniać? Oczywiście, że byłeś dla niego twardy, czy sądzisz, że kiedykolwiek byłeś miękki? On też nie jest miękki. Jest twoim synem, na Boga!

- Nie obwiniam siebie ani Itale. Dawno już minął na to czas. Obwiniam ludzi, którzy ośmielili się go osądzić. Oddałbym życie... - ale nie skończył zdania. Nie istniała pomsta, dla której mógłby oddać życie, ani żadne zadośćuczynienie. Nie mógł nic zrobić.

ROZDZIAŁ 4

Wiadomości przyniesione przez Pierę pognębiły hrabiego Orlanta. Piera miała nadzieję, że ojciec ją pocieszy, a zamiast tego, ku swemu zdumieniu, stwierdziła, że właśnie ona musi i może być pocieszycielką. Oczywiście wiedziała, że ojciec lubi Itale i że bardzo go zasmuciło to, co on też nazywał jego "ucieczką". Wiedziała, że hrabia próbował czytać "Novesma Verba" i zrozumieć politykę, która zawsze napawała go zdumieniem i przygnębieniem. Piera odkryła, że ojciec jest oderwany od świata, a on sam mówił, że nie ma głowy do tych rzeczy. Dlatego założyła, że jej wiadomość zbytnio go nie zasmuci. No bo co on wiedział o przestępstwach przeciwko państwu, o procesach, oskarżeniach, więzieniach? Nawet mniej niż ona. Lecz jego niewiedza zamiast osłonić, wystawiła go na cios.

- Do więzienia? Wsadzili do więzienia - syna Guide'a? - Powtarzał bez przerwy. - Ależ to absurdalne. Zapewne jakaś pomyłka, nieporozumienie. Cóż takiego mógł zrobić Itale, żeby musieli go wsadzić do więzienia? On jest dżentelmenem, synem dżentelmena, a nie typem człowieka, jakiego zamyka się w więzieniu! - Kiedy jednak zaczął jej wierzyć, a jego wyobraźnia poradziła sobie z tym faktem, przestał mu zaprzeczać, zamilkł i po chwili powiedział pokornie: - Wiesz, kochanie, chyba się na chwilę położy. Czuję się nieco zmęczony.

Poszła z nim na górę i rozpałała ogień w kominku, bo powiedział, że jest mu chłodno. Leżąc na skórzanej kanapie wyglądał jak ciepły, spokojny starzec. Dlaczego to też musi go ranić? - pomyślała z gniewem dziewczyna, klęcząc przed kominkiem. Orlant Valtorskar nigdy żadnemu stworzeniu nie życzył niczego złego i był wdzięczny za wszystko dobro, jakiego doświadczył. Teraz był stary, nie czuł się dobrze, Piera wkrótce go opuści, a po jego śmierci majątek zostanie sprzedany. Wymykało mu się wszystko, co znał, wszystko, co posiadał. Zupełnie jakby napisał swoje imię na wietrze. Dlaczego więc musi jeszcze cierpieć z powodu innych?

- Chyba przynajmniej pozwolą chłopcu otrzymywać listy od rodziny - powiedział poruszając niespokojnie głową.

- Emanuel sądzi, że ten człowiek z Krasnoy ma rację - na początku nie powinni zupełnie nic robić, nawet pisać. Żeby ci, którzy go aresztowali, zapomnieli o nim.

- To znaczy mają się zachowywać tak, jakby nikogo nie interesowało, co się z nim stało? Jak on się będzie czuł?

- Emanuel uważa, że i tak nie pozwoliliby mu czytać tych listów.

- Nie pozwoliliby mu czytać listów od własnej rodziny? Co w tym może być złego, skoro jest zamknięty w więzieniu? Nie rozumiem. Nic z tego nie rozumiem.

- Może pozwolą mu otrzymywać listy. I oczywiście Emanuel planuje złożyć odwołanie, jeśli będzie musiał to zrobić. Ale teraz wszystko jest naprawdę bardzo niepewne, nawet to, gdzie się znajduje.

Hrabia Orlant przez chwilę nic nie mówił.

- Nie wierzę. Pamiętasz, jak przyszedł się pożegnać w czasie burzy? Wydaje się, że tamten wieczór był tak niedawno.

Pierze wydawało się, że od tamtego wieczoru upłynęło dużo czasu, ale powiedziała łagodnym tonem:

- Nie mów tak, jakby już nie żył, papo. On żyje. Wróci. Laura też tak mówi.

I hrabia Orlant przyjął, przynajmniej na razie, ważki osąd Laury i Piera.

Po rozmowie z ojcem Piera włożyła płaszcz i wyszła we wczesny zmrok, zimno i światło gwiazd zimowego wieczoru. Nie mogła pozostać zamknięta w ciepłym domu. Niebo było twarde, a gwiazdy jasne, małe i nieprzeliczone. Jezioro leżało czarną taflą. Panowała dziwna, trzaskająca i mroźna cisza, a powietrze kłuło w gardło i płuca, jakby zamiast oddychania piło się lodowatą wodę. Piera zeszła na brzeg i stanęła pod sosnami patrząc na jezioro i zimowe niebo. Wisiał na nim Orion z pasem i mieczem z gwiazd oraz z jaśniejącym psem przy nodze. Piera stała nieruchomo z gołymi dłońmi, wsuniętymi głęboko w rękawy płaszcza, od czasu do czasu drżąc na całym ciele. W tej chwili objęła swoje dziedzictwo. Rozpoznała wielki czas. Bez zastrzeżeń przyjęła to, co jej przyniósł: namiętność jej pokolenia i koniec dzieciństwa.

Jeśli to jest jej świat, wie, że jest wystarczająco silna, by w nim żyć. Jest kobietą wychowywaną nie do realizowania publicznych zadań ani do stawiania oporu, lecz do pełnienia swojej kobiecej funkcji - do czekania. A zatem będzie czekać. Bowiem każdy czyn dokonany świadomie może być aktem oporu i niezależności, może całkowicie zmienić życie.

Ale można postępować w ten sposób tylko wtedy, gdy ma się pewność, że nie istnieje bezpieczeństwo. Tak rozmyślała Piera owej nocy Objawienia Pańskiego patrząc na Oriona i inne gwiazdy. Trzeba poczekać na zewnątrz. Nie można się ukryć przed burzą, marnotrawstwem, niesprawiedliwością, śmiercią. Nie istnieje żadne schronienie, nie można się zatrzymać, a jedynie udawać, podle i głupio udawać, że jest się bezpiecznym, i patrzeć, jak czas i zło mijają na zewnątrz. Lecz my wszyscy jesteśmy na zewnątrz, pomyślała Piera, i wszyscy jesteśmy bezbronni. Nie ma bezpiecznego domu oprócz śmierci. Nic, co sami zbudowaliśmy, nie osłoni nas, ani więzienia, ani pałace, ani wygodne domy. Ale wspaniałość tej wiedzy, duma i wspaniałość bycia wreszcie panią siebie, stojącą samotnie pod ogromnym i obojętnym niebem, bez domu i bez ochrony! Być niczym, zdezorientowaną, zrozpaczoną, przestraszoną, niemądrą dziewczyną drżącą na styczniowym mrozie, owszem, ale poznać też wreszcie swego ducha - objąć swoje dziedzictwo.

Wróciła do domu i usiadła w samotności przy kominku w salonie. Jej myśli stały się spokojniejsze i mniej wzniosłe, choć wypływały ze źródła owej godziny wzniosłości niczym strumień, biorący początek gdzieś w górach. Nie myślała teraz o Itale, a jednak właśnie on, uwięziony, nieobecny człowiek, był sprawcą tej zmiany. Myślała o Laurze, o Guidzie i Eleonorze i o swoim ojcu, a także o Aisnar, o Gwarne Koste i o sobie.

Nie ma tam dla mnie miejsca, pomyślała. Wszystko, co mam do zrobienia, muszę zrobić tutaj, w domu. Nie potrafiłaby wyjaśnić, co takiego ma zrobić. Nie prowadziła dialogu, nie zadawała pytań i nie udzielała odpowiedzi, lecz odkrywała.

Nie chcę wracać do Aisnar. Papa się starzeje, jest chory, potrzebuje mnie. Ale nie zostałabym tutaj, gdyby chodziło tylko o to. On wie, że dzieci trzeba wypuścić z domu. Aleja nie mam żadnego powodu, żeby wyjechać do Aisnar. Wolę żyć bezpiecznie i wygodnie tutaj. Tam jest życie Givana, a nie moje. On ma do wykonania pewne zadanie, ale musi je wykonać w Aisnar. Ja nie. Prowadziłabym mu dom, byłabym dobrą żoną, pomagałabym mu wychowywać Battiste, mogłabym to wszystko robić. Robiłabym doskonale. Byłabym w więzieniu. Byłabym w więzieniu przez całe życie. Nie mogę wyjechać z Malafreny. Muszę zrobić to, co ja muszę zrobić, a nie wykonywać pracę innych ludzi. Muszę znaleźć własną drogę, muszę czekać, czekać...

Pomyślała o Givanie Koste, o jego ciemnej, poważnej twarzy, o nachyleniu jego głowy. Nie miała poczucia najmniejszej nielojalności względem niego. Przyjdzie ono później wraz ze zwątpieniem i wstydem, kiedy na szalę wróci świat konwenansów. W tej chwili znajdowała się tak daleko od tego wszystkiego jak Orion. Była sama ze sobą i usiłowała odnaleźć prawdę. Na szalach nie leżało nic oprócz prawdy i kłamstw. Okłamała Givana Koste obiecując mu to, czego nie mogła mu dać.

- Givan! - wypowiedziała głośno jego imię.

W domu było cicho, słyszała, jak w kuchni kucharka rozmawia z pokojówką. Pomruk ich głosów przypominał szum odległego strumienia.

Gdyby zaczekał na nią, aż skończy to, co ma tu do zrobienia... Ale co innego ma tu robić oprócz czekania?

Nie było niczego pilnego. Wszyscy mogli sobie bez niej poradzić. Nie musiała zostać dla nikogo. Być może nikt nie pragnął jej tak bardzo jak Givan.

- Ale on pragnie właśnie mnie - powiedziała i w tej chwili zaczął się jej dialog wewnętrzny, który będzie trwał przez długi czas. - A kim ja jestem? On tego nie wie, ja też. Muszę się dowiedzieć, bo inaczej nigdy nie poznam prawdy o sobie. Muszę czekać. Ale on nie zrozumie... Gdyby tu przyjechał, może mogłabym mu wyjaśnić. W Aisnar nie jestem sobą, tam zawsze jestem taka, jaką chcę mnie widzieć inni. Jedynie tutaj jest miejsce, które kiedykolwiek zrozumie...

Laura by ją zrozumiała. Laura rozumiała Itale, kiedy Piera tego nie potrafiła. Dopiero tego wieczoru pojęła, dlaczego wyjechał z domu, teraz było to dla niej całkowicie jasne. Czuł do Malafreny to, co ona czuła względem Aisnar: że jest to schronienie, a nie część drogi. Wszyscy tutaj wiedzieli, czego się mogą po nim spodziewać, a on mógł zrobić z łatwością, ze zbyt wielką łatwością wszystko, o co go proszono. Musiał wyjechać i spróbować przekonać się, co takiego może zrobić on i tylko on, co jest dla niego konieczne. Zatem gdyby zechciała, to w Aisnar mogłaby uniknąć ryzyka. Mogłaby czynić to, czego od niej wymagano, i spodziewać się zasłużonej nagrody.

Teraz wydawało się jej, że Itale zaryzykował i przegrał.

Piera pomyślała o płonących gwiazdach, które widziała nad jeziorem i górami. Gdyby można było zobaczyć gwiazdy w letni dzień, byłyby to właśnie gwiazdy środka zimy.

Pomyślała, że to, co mogła zaryzykować, co musiała oddać i stracić, nie było niczym wielkim. Nie miała żadnych talentów, wielkiego umysłu i żadnego szczególnego zadania. Musiała jedynie robić to, co wszystkie kobiety, co ograniczyło się do kwestii codziennego robienia wszystkiego od nowa, potwierdzania, a nie czegoś, co trzeba definitywnie zakończyć. Tego zadania nigdy się nie wykona, a jednak trzeba je wykonywać. Chciała swego życia, całego swego życia, a nie nagrody. Nieważne, jakie ono jest, lecz ona musi je przeżyć, o ile tylko zaryzykuje, o ile objąwszy swoje dziedzictwo nie pozwoli mu się zamienić w więzienie, o ile da pierwszeństwo wolności.

Lecz jest to bardzo trudne. Nikt nigdy nie rozmawiał z nią o tym, czym jest wolność dla kobiety, z czego może się ona składać i jak ją zdobyć. Albo raczej nie zdobyć, co wydało się jej niewłaściwym słowem na określenie wolności kobiety, może jak ją sobie wypracować.

Usłyszała, że jej ojciec poruszył się na górze. Po chwili zszedł na dół i razem poszli na kolację. Przyłączył się do nich rządcą Gavrey, który właśnie wrócił z Portacheyki. Kiedy zdał sprawę hrabiemu Orlantowi z negocjacji w młynie, zapytał Pierę swoim charakterystycznym, cichym, matowym głosem:

- Mam nadzieję, że nie sprowadziły pani i panny Sorde do domu złe wiadomości, contesina.

Piera pozwoliła odpowiedzieć za siebie ojcu:

- Niestety. Miody Sorde zosta! wtrącony do więzienia gdzieś na wschodzie.

Gavrey wyglądał na zaskoczonego, lecz nic nie powiedział, wyraźnie czując, że nie wypada mu zapytać, czym dzentelmen zasłużył sobie na więzienie. Hrabia Orlant wpatrywał się ponuro w swój talerz. Odezwała się Piera:

- Nie ukradł nikomu zegarka. Jest więźniem politycznym. Przypuszczam, że rządowi nie spodobało się coś, co wydrukował w swoim czasopiśmie. Wsadzili go więc na pięć lat do więzienia.

Gavrey skrzywił się.

- Nie wiedziałem, że można zrobić coś takiego. Jesteśmy tutaj trochę na uboczu. To chyba bardzo trudne. - Po czym dodał, zaskakując tym Pierę: - To bardzo trudne dla panny Laury, ona chyba wielce ceni swego brata.

- Będzie go za to ceniła jeszcze bardziej.

- Będzie musiała.

Od razu zrozumiała, co chciał przez to powiedzieć: gadanie, plotki wokół jeziora, domysły i współczucie, napawanie się nieszczęściem.

- Nie wiedzą, co to znaczy - powiedziała wyniośle.

- Nie wiem, co to znaczy poza wstydem, marnotrawstwem i bólem dla chłopaka i jego rodziny - powiedział jej ojciec.

- Itale zrobił to, co według siebie powinien zrobić, co musiał zrobić. Jest bardziej wolny niż ludzie, którzy wtrącili go do więzienia, jest bardziej wolny niż ktokolwiek z nas. Nawet gdyby tam umarł, to nie byłaby to strata ani wstyd!

- Być może masz rację, córko. Niewiele wiem o tych sprawach, podobnie jak ty. Wydaje mi się marnotrawstwem, kiedy dwudziestopięcioletni mężczyzna zostaje wyrzucony, zamknięty po to, żeby nic nie robił. A czy Guide może nie czuć wstydu, kiedy będą go pytać, gdzie jest jego syn? A jak musi to przeżywać Eleonora, która nie może nic dla niego zrobić, nie może nawet do niego napisać? Ja w tym widzę tylko ból, długą troskę i modlitwy do dobrego Pana, aby opiekował się chłopakiem, bo jasne jest, że nikomu nie chciał wyrządzić krzywdy.

Odezwał się Gavrey:

- Czasami myślę, że szczęśliwy jest człowiek, który może naprawić wyrządzone przez siebie zło w miejscu, gdzie je wyrządził, bo wtedy może umrzeć bez strachu.

Spojrzała na niego z ciekawością. Jego słowa nie zaskoczyły jej nowością, stanowiły tylko odmianę poważnej doktryny wyznawanej przez jej rodzinę, lecz w jego głosie brzmiała nuta wielkiego, tłumionego uczucia, będącego niewyraźnym odbiciem jej własnego, mrocznego uniesienia. Utkwiło jej w pamięci ostatnie słowo. Budowniczym więzienia, złodziejem, osłabiającym wolę wrogiem jest strach. Nie można służyć strachowi i być wolnym.

W czasie następnych tygodni codziennie widywała się z Laurą. Odzyskały, a nawet więcej, niż odzyskały przyjacielską więź sprzed lat. Dawniej Laura słuchała Piery, Laura pocieszała Pierę, a teraz Piera mogła dawać, słuchać i pocieszać. Cieszyło ją, że jest potrzebna Laurze. W ten sposób

otrzymywała jakby potwierdzenie swej zmiany z dziewczyny w kobietę, swego bogactwa, które mogła rozdać wedle własnej woli.

Pewnego zimowego dnia spędzały razem popołudnie. Milczały od pół godziny. Na pobielone wzgórza i pola znów padał śnieg. Ten tydzień był lodowatym sercem srogiej zimy. Guide wyszedł do obór czy magazynów, Eleonora położyła się na górze w swoim pokoju. Ostatnio nie czuła się najlepiej. Laura i Piera szyły przy kominku na dole, od czasu do czasu patrząc na wysokie, południowe okna, za którymi padał gęsty śnieg.

- Muszę napisać trudny list - powiedziała Piera w chwilę po tym, jak zegar wybił trzecią.

Laura podniosła wzrok, lecz nie zapytała, do kogo. Nad jakim innym listem mogłaby się zastanawiać Piera?

- Chcę go poprosić, żeby na trochę tu przyjechał.

- Ale przecież za kilka tygodni wrócisz do Aisnar.

- No, nie wiem. O to właśnie chodzi.

Laura nawlokła igłę, pochylając się w stronę okien, skąd padało drżące, pociemniałe od śniegu światło.

- Chcesz z nim o tym porozmawiać.

Piera skinęła głową.

- Czy mogę powiedzieć coś, co myślę?

- Nie.

- Wiesz co, czasami wyglądasz jak ciocia. Zastanawiam się, czy ciocia nie była kiedyś bardzo ładna.

- Papa mówi, że była piękna, ale nie podobał się jej żaden z zalotników. Czy to nie dziwne... Biedna ciocia, nie znosi zimna. Od tygodni mówi tylko "nie".

- Potrzebuje nowego motka? Czy nie spodobałby się jej ten koralowy?

- Możemy jej zaproponować. Nie nawinęła w tym tygodniu ani jednego kłębka. Albo za bardzo dokuczał jej reumatyzm, albo przestało się jej to podobać. Och, Lauro, czasami mam nadzieję, że umrę młodo!

- Wiem... To jest tak. Właściwie wcale nie mówiłaś o ślubie i tak dalej. Zastanawiałam się, czy nie masz poczucia... obowiązku, że powinnaś tu zostać.

- Nie. Wiesz co, ja chyba nie mam zbyt rozwiniętego poczucia obowiązku.

- Kiedy się nad tym zastanowić, to dziwna myśl - powiedziała z namysłem Laura.

- Jak panna Nina Bounnin w Portacheyce. Ciągle mieszka z tą swoją okropną matką, która ciągle umiera, ona właściwie umiera od mojego urodzenia, a biedny, stary Lontse Abbre, który

miał się ożenić z Niną, teraz ma pewnie sześćdziesiątkę i nadal biega na posyłki dla adwokata Kseneya - o, nie, nie taki obowiązek. To jest po prostu tchórzostwo.

- Tak. Świetnie. Ale hrabia Orlant nie jest okropny.

- Nie. Oczywiście, że nie. Bardzo, bardzo dobry człowiek - powiedziała trzeźwo Piera.

- To o to chodzi?

- Nie. Bo Givan Koste też jest dobrym człowiekiem. Ja go naprawdę kocham.

- Wiem. A zatem o co chodzi, Peri? To nie dotyczy nas, nie o mnie myślisz - nie jesteś taka głupia.

- Nie. Nie jestem tak hojna, nie jestem wam tak potrzebna. Jestem samolubna, Lauro. Myślę tylko o sobie. Nie jestem jednak na tyle bystra, żeby zadecydować o własnym losie.

- Więc pozwól, żeby zrobił to za ciebie pan Koste.

- Nie mogę - odparła Piera. Odezwała się dopiero po dłuższej chwili: - Okazuje się, że nie mogę, Lauro. Nie wiem, dlaczego. W Aisnar mogłabym to zrobić. Tam, na nizinie, wszystko jest proste, gotowe. Lecz tu, w górach, jakby się zmieniam. Nie jestem osobą, która ma wziąć w marcu ślub w Aisnar. A tak nie może być! Jeśli mam wziąć ślub, powinnam to zrobić w zgodzie ze sobą. Każde inne wyjście byłoby niesłuszne, byłoby kłamstwem, niewybaczalnym kłamstwem.

- Ja też tak uważam. Ale możemy się mylić, Peri. Czy w małżeństwie miłość znaczy tyle samo, co wola miłowania? Nie wiem. Obserwuję ludzi, próbuję się tego dowiedzieć. A może czujesz, że się zmieniłaś, bo po prostu jesteś od niego daleko?

- Nie. Tyle że ilekroć jestem z nim lub o nim myślę, jestem w domu. Wewnątrz. W świetle. Ajak mogę się odwrócić plecami do całej reszty?

- Reszty?

- Do ciemności - powiedziała Piera, podnosząc oczy znad szycia. - Do powietrza. Przestrzeni. Wiatru, nocy. Nie wiem, jak to powiedzieć, Lauro! Do rzeczy, którym nie można ufać, do rzeczy, które przerastają człowieka, których człowiek nie obchodzi. Dopiero się uczę, czym one są i kim jestem ja, i jeszcze nie mogę tego opuścić, porzucić!

- Zatem powinnaś poprosić go, żeby zaczekał - powiedziała powoli Laura. - Nie wiem, czy cię rozumiem, ale myślę, że masz rację.

Tej nocy Piera zasiadła do napisania najtrudniejszego z trudnych listów. Jej ortografia poprawiła się u urszulanek, lecz nadal nie znosiła pisać. Myśli przelane na papier stawały się obce, trywialne, upokarzające.

“Valtorsa, Val Malafrena, 24 stycznia 1828.

Kochany Gwarne!

Wszyscy czujemy się dobrze i mam nadzieję, że ty, panna Koste i Battiste też czujecie się dobrze. Ciągłe pada i papa mówi, że to jest najcieńsza zima od 1809, kiedy się urodziłam. Wszystkie zatoki na jeziorze zamarły, a na niektórych z nich lód jest tak gruby, że można jeździć na łyżwach, co jest bardzo niezwykle. Ale to nie potrwa długo.

Trudno mi to pisać, ale mam nadzieję, że zrozumiesz, jeśli zapytam, czy istnieje możliwość, jeśli drogi będą przejezdne, żebyś przyjechał do Valtorsy na krótką wizytę w ciągu kilku następnych tygodni przed moim planowanym przyjazdem do Aisnar. Czy jesteś bardzo zajęty na cie? Jeśli tak, z całą pewnością zrozumiem. Trudno mi pisać i wołałabym porozmawiać z Tobą, jeśli to możliwe, ale jeśli nie, to się nie martw, przyjadę, jak zaplanowaliśmy. Mój ojciec nie wydobrzył jeszcze po niemocy płucnej, która go zmoła w grudniu, i częściowo o tym chciałabym z tobą porozmawiać, bo trudno mi pisać. Ale nie martw się, jeśli nie będziesz mógł przyjechać, ja przyjadę. Pozdrowienia dla Battiste. Oddana Ci przyjaciółka, Piera Givana Valtorskar".

List pojechał dyliżansem do Aisnar w poniedziałek, a za tydzień przyszła odpowiedź przywieziona dyliżansem do Montayny: Przyjadę 8 lutego.

O Boże - pomyślała Piera - zmusiłam go do przyjazdu w środku zimy, czekania na przesiadkę w Erreme i zwolnienia się z pracy - Koste był kierownikiem Sekretariatu Kontroli i Przepisów Cła dla Marchii Zachodnich - i muszę powiedzieć papie, co zrobiłam...

- Papo - powiedziała tego wieczoru po kolacji - wiesz, że w zeszłym tygodniu napisałam do pana Koste.

- Zawsze do niego piszesz, kochanie - odparł uspokajająco hrabia Orlant. Porównywał różne mapy nieba usiłując stwierdzić, ile jest Plejad.

Podeszła do stołu i przez chwilę patrzyła mu przez ramię.

- Czy to jest Plejad?

- Plejady, kochanie, Plejady, to z greki. Nie, to gwiazda sąsiednia. Widzisz, na tej mapie jest siedem. Nasi chłopci nazywają tę grupę Siedmioma Siostrami. Ale większość ludzi widzi ich tylko sześć. A w książce jest napisane, że za pomocą soczewek można dostrzec ich co najmniej dwanaście. Na tej mapie jednak jest ich osiem. To bardzo dziwne, zastanawiam się, czy od czasu do czasu nie ulegają zaćmieniu.

- Chciałam powiedzieć ci o liście.

- O liście? Ach, tak. - Hrabia Orlant odchylił się na krześle i potarł nasadę nosa.

- Poprosiłam, żeby tu przyjechał.

- Żeby tu przyjechał! - powtórzył ojciec nieco urażony, bardziej jednak przestraszony.

- Przepraszam, że cię najpierw nie zapytałam, papo. Byłam taka... Czułabym się tak głupio.

Gdyby nie mógł przyjechać.

- Co się stało, Piero?

- Muszę z nim porozmawiać.

- Ale zobaczysz się z nim za miesiąc w Aisnar!

Hrabia był naprawdę wstrząśnięty i Piera straciła rezon.

- Chcę porozmawiać z nim i z tobą o odłożeniu ślubu.

- Rozumiem.

- Nie chciałam ci mówić, dopóki nie odpowiedział na mój list, na wypadek, gdyby nie mógł przyjechać. Bo nie chciałam cię martwić. Niczego nie jestem pewna. Ale napisał, że przyjedzie. Ósmego lutego. Więc chciałam, żebyś wiedział - zakończyła niezręcznie.

- Oczywiście zatrzyma się tutaj - powiedział hrabia Orlant, także niezręcznie.

- Chyba tak.

- Tak, gdzież by indziej. - Hrabia Orlant widział się z Kostem bardzo krótko i obawiał się go. - Ale czyżbyś żałowała zaręczyn?

- Nie. Ale chcę poczekać. - Była to jej jedyna formułka i jedyne wyjaśnienie, jakie mógł z niej wydobyć ojciec, a później Eleonora. Potrząsała głową, marszczyła swe szerokie, uparte czoło i mówiła: - Muszę poczekać... - Potem dodawała błagalnym tonem: - Nie sądzisz, że zrozumie?

Hrabia Orlant sądził, że tak, lecz Eleonora powiedziała:

- Uważam, kochanie, że się zgodzi, bo jest dżentelmenem. Ale wcale nie jestem pewna, czy zrozumie.

Givan Koste przyjechał do Portacheyki pod koniec zimowego dnia. Piera i stary Godin wyjechali mu naprzeciw otwartym powozikiem, ponieważ ciężkie konie pociągowe, zaprzęgane do powozu rodzinnego nie były podkute na ostro, a drogę pokryła warstwa lodu. Givan czuł się na wpół zamrznięty po podróży dyliżansem, a zanim w nieruchomym, brązowym, przeszywająco zimnym górskim zmierzchu dojechali do Valtorsy, zamarzył prawie całkowicie. Był tak serdeczny, że nawet hrabia Orlant przestał się go bać i z przyjemnością przywracał do życia za pomocą jedzenia, napojów, ciepłego kominka i wczesnego łóżka. Piera przypatrywała mu się czujnie i w milczeniu. Znała go tylko w jednym otoczeniu: w Aisnar, w jego własnym domu lub u Belleyninów, po południu lub wieczorem, wśród znanych mu ludzi, w zwykłym ubraniu i prowadzącego zwykle rozmów). Teraz zobaczyła go nie na swoim miejscu, w zupełnie innej scenarii, ubranego w podbity futrem rosyjski płaszcz, wyglądającego na zamrzniętego, zmęczonego i zaniepokojonego, i ten właśnie mężczyzna, ten nieznamy, ogromnie ją pociągał.

Nazajutrz zeszła na dół w swej starej czerwonej spódnicy i wiejskiej bluzce. Kucharka na nią nakrzyczała.

- A cóż to za strój, kiedy w domu jest dżentelmen, contesina?

- Póki jest tu mój ojciec, w domu zawsze jest dżentelmen, aja się ubieram, żeby sprawić jemu przyjemność! - odparła Piera, a ponieważ staruszka była urażona, przeprosiła ją obejmując i szepcząc: - O, Mariya, Mariya, nie krzycz dzisiaj na mnie...

Słońce rzucało na śnieg wspaniałą blask. Hrabia Orlant, Piera i ich gość spędzili przyjemny dzień. Poszli nad brzegiem jeziora do państwa Sorde, przyjęli wizytę kuzynki Betty i dziewcząt Sorentayów i pojechali konno do św. Anthony'ego. Drugiego ranka Płera i Koste poszli sami nad brzeg jeziora marszczącego się od rzeńskiego wiatru, niosącego odwilż. Tam Koste powiedział dość szorstko:

- Piero, mam nadzieję, że wiesz, iż nie domagam się wyjaśnień. Przyjechałem z przyjemnością. Czasami martwiłem się, że nigdy tu nie byłem, żeby spotkać się z twoją rodziną.

- Chodziło mi częściowo o to. Chciałam też, żebyś mnie właśnie tu zobaczył. Aja chciałam zobaczyć tu ciebie.

- Nie jesteś inna tu czy gdziekolwiek indziej. Nie dla mnie, Piero.

Te słowa ją zaskoczyły.

- Ja tu jestem inna - rzekła słysząc zimne, uparte brzmienie własnego głosu.

- Bardzo mocno kochasz to miejsce i tych ludzi. Wiedziałem. Ale miałaś rację, że mnie sprowadziłaś. - Zatrzymał się, żeby popatrzeć na lśniąca wodę, ciągnącą się do Myśliwego ciemniejącego pod śnieżną czapą. Piera nic nie powiedziała i Koste po chwili zaczął mówić dalej: - I - wybacz mi jeszcze raz - jesteś bardzo młoda. Masz osiemnaście lat. Jesteś jedyną córką i jedynym dzieckiem swego ojca. Jest jeszcze czas... Nie ma powodu cię popędzać. Jeśli chcesz rozwiązać nasze zaręczyny, jeśli pragniesz swobody, powiedz mi wprost.

Stała obok niego, otulając się szalem, bo zimny wiatr przybrał na sile. Reakcja Kostego zaskoczyła ją. Nigdy nie spodziewała się właściwego rozwiązania. Przecięcie gordyjskiego wężła okazało się łatwe, zbyt łatwe. Nie można iść przez życie rozcinając węzły, bo wszystko się rozpadnie... Cały czas Givan odnosił się do niej z wyrozumiałą uprzejmością, ponieważ był dżentelmenem. Ale jej nie zależało na uprzejmości.

- Nie o to chciałam cię prosić, Givanie. Ja tylko chcę... chyba... zaczekać. Jakiś czas. Gdybyśmy się pobrali od razu, zeszłej wiosny, wszystko byłoby w porządku. Ale... czuję, że teraz muszę poczekać. Nie chcę jednak cię unieszczęśliwić!

- Byłbym nieszczęśliwy wiedząc, że w jakikolwiek sposób umniejszyłem twoje szczęście. Piero, chcąc być dla mnie miłosierna, nie postępuj wbrew swemu sercu.

Był honorowy. Odwróciła się do niego nawet nie usiłując hamować gniewu:

- Ależ ty właśnie to robisz - nie ja! Nie wiem, czego chcę, a ty wiesz!

- Nie mogę cię prosić o coś, czego nie możesz mi dobrowolnie dać - odparł rzeczowo.

- Nie ma możliwości, żebyś kiedykolwiek tu zamieszkał? - zapytała w końcu dziecinnie, bardzo cicho, znając odpowiedź.

- Nie - odparł i nie mogąc powiedzieć nic więcej, poszedł przed siebie wzdłuż brzegu.

Patrzyła na jego szczupłą, delikatną postać odcinającą się na tle zimowej jasności jeziora na pustym brzegu między wodą i niebem.

Zawrócił, stanął obok niej i dość spokojnie zaczął mówić:

- Czy nie byłoby najlepszym wyjściem zerwać wszystkie więzy i pozwolić czasowi zrobić swoje? Chciałem poprosić cię, żebyśmy poczekali, aż skończysz dwadzieścia lat. Może to miałaś na myśli. Ale nie jest to sprawiedliwe względem ciebie, a gdyby wiązały nas jakieś obietnice, potem mogłoby się to okazać jeszcze trudniejsze. W każdym razie wiesz, że ja się nie zmienię. Nie jest to jednak obietnica, tylko fakt. Nic na to nie poradzę. - Uśmiechnął się i czekał na odpowiedź odwrócony, by na nią nie patrzeć.

- Ale czy nie możemy... Ale co ty... - Zaciśnęła gniewnie pięści. - Dobrze, Ghanie. Niech tak będzie. Żałuję, że nie wybrałaś lepiej, że nie wybrałaś kobiety, która wie, czego chce!

- Wcale przedtem cię nie widziałem - powiedział odwracając się do niej. - Wcale cię nie znałem! - Mówił prawdę, był rozpalony, jego powściągliwość gdzieś zniknęła, więc chociaż raz stali wobec siebie twarzą w twarz.

Piera popatrzyła mu w oczy. Spuścił wzrok.

- Wyjadę jutrzejszym dylizansem - powiedział opanowanym, suchym tonem.

Zawrócili do domu w milczeniu. Ujął ją pod rękę, żeby pomóc jej przejść po zabłoconej ścieżce. Spojrzała na jego mocną, szczupłą dłoń. Nic nie mówił i nie patrzył na nią.

Tego wieczoru musiała powiedzieć ojcu, że zaręczyny nie zostały przedłużone, a zerwane, i że to ona je zerwała, lecz w duchu przeczyła swoim słowom. To on odmówił, a nie ona. Wiedział teraz, że da mu to, o co ją poprosi, nie chciał jednak prosić, zaprzeczając tym samym własnej namiętności, odmawiając prawa do namiętności jej.

ROZDZIAŁ 5

Piera myślała, że poza plotkami, które wcale jej nie obchodziły, nie będzie żadnych reperkusji jej zerwanych zaręczyn. Jedynymi ludźmi oprócz jej ojca, na których opinii jej zależało, byli państwo Sorde, a oni mieli własne kłopoty. Będą jej współczuli i na tym się skończy. Ale to wcale nie był koniec. Guide i Eleonora poznali Givana Koste, przyjęli go jako narzeczonego Piery, a kiedy dowiedzieli się, że obietnica została złamana i że on wyjechał następnego dnia, nie myśleli o nim dobrze. Ich dezaprobata skrupiła się na Laurze. Żadne z nich nie robiło wyrzutów Piery, lecz Guide już z nią nie żartował i nie pozdrawiał jej z uśmiechem. Wiedziała, że wypadła z jego łask i że, biorąc pod uwagę jego charakter, może nigdy już do nich nie wrócić.

- Jeśli był dla niej za stary - powiedział do Laury - to mogła o tym pomyśleć już rok temu. Jeśli teraz jest między nimi dwadzieścia lat różnicy, to było między nimi dwadzieścia lat różnicy także i wtedy. Nie podoba mi się, że dała mu słowo, a potem je cofnęła.

- Zerwane zaręczyny są lepsze niż nieudane małżeństwo - powiedziała Laura z uporem. - Poza tym ona go nie porzuciła. Chciała zaczekać. On doprowadził do zerwania.

- Bo na pewno zorientował się, że prędzej czy później cofnie słowo.

- Nie rozumiem tylko, czego ona chce i dlaczego wszystko się stało tak nagle - rzekła Eleonora. - Nie zanosilo się na to aż do Trzech Króli. Mówi, że chce zostać. Ale kiedy zabraknie hrabiego Orlanta, co ją tu zatrzyma? Nadchodzi chwila, i ona o tym wie, kiedy zostanie sama. A jeśli nie wyjedzie, będzie musiała zarządzać majątkiem. Czy tego chce? Aż trudno mi uwierzyć.

- Nie wiem, czy bardzo tego chce, ale jeśli zamierza zostać w Valtorsie, zdaje sobie sprawę, że ktoś będzie się musiał zająć posiadłością.

- Tak - powiedział Guide, wstając i szykując się do wyjścia. - Wydaje się, że w końcu trzeba będzie zostawić ziemię jeśli nie obcym, to kobietom.

Jego żona i córka milczały. Wyszedł ciężkim krokiem, sztywny i wyprostowany.

Eleonora wzięła robótkę. Po chwili powiedziała swym łagodnym tonem, który nie był już tak melodyjny:

- Wiesz, ja jej wcale nie winię. Ale wydaje się... Tyle się marnuje... On mi się podobał.

- Mnie też. Jej też! On był taki... taki dobry.

Eleonora roześmiała się.

- No tak - powiedziała. - Ale czego wy obie chcecie? Jeśli dobrzy mężczyźni są za dobrzy - a Bóg mi świadkiem, że tu w górach jest bardzo mało dobrych mężczyzn - wy nie boicie się brać pod uwagę kogoś z nizin, bo trzeba będzie pójść z domu... Za kogo wyjdiesz?

- Nie wiem, czy w ogóle chcę wychodzić za mąż - powiedziała spokojnie Laura. - Gdzie jest ta pościel, którą chciałaś naprawić? Piera chyba wyjdzie za mąż. W swoim czasie. Sama

doskonale mogłaby zarządzać Valtorsą, robiłaby to lepiej od hrabiego Orlanta. Tak naprawdę bardziej interesuje się zarządzaniem majątkiem niż prowadzeniem domu. Zaczynam się zastanawiać, czy komukolwiek uda się od tego odciągnąć. Będzie musiał przyjechać i pomagać jej zarządzać Valtorsą...

- Jest na dole kredensu, prawda? No, dobrze, ale co z tobą?

- Chciałabym, żeby ojciec pozwalał mi więcej sobie pomagać. Laura mówiła z przekonaniem, a matka słuchała jej z niepokojem.

- Bardzo bym chciała móc mu pomagać.

- Przy pracach gospodarskich?

- Nie... myślę, że mogę wiele zrobić... ale wiesz, mam, on już tak dużo nie pracuje. Ale chciałabym się nauczyć księgowości i sprzedaży, jeździć do Portacheyki. Mogłabym być przydatna i... pomóc mu zajmować się majątkiem do czasu powrotu Itale.

Eleonora nie odpowiadała i Laura po chwili odezwała się cichszym głosem:

- Wiem... wiem, że taki pomysł mu się nie spodoba.

- On bardzo głęboko wierzy, że każde z nas zostało powołane do jak najlepszego odegrania wyznaczonej nam roli, kochanie. Jako kobieta czy mężczyzna, jako pan czy sługa. Że musimy wykonać to, co dostaliśmy do wykonania. Że próba postępowania inaczej jest poczynaniem daremnym, szalonym lub... zgubnym... - Głos Eleonory załamał się na ostatnim słowie.

- Czy ty też w to wierzysz, mam?

Nie mogła jednak wybierać między mężem i synem. Potrząsnęła głową.

- Nie wiem, Lauro.

- Czy nauczyłby mnie pomagać sobie przy rozliczeniach - tylko przy tym? Czy byłoby niewłaściwe poproszenie go o to?

- Nie. Oczywiście, że nie. Poproś go - odparła Eleonora z nieco większą stanowczością w głosie i po chwili dodała: - Porozmawiaj z Emanuelem. Chyba się z tobą zgodzi.

Laura potrząsnęła głową.

- Dlaczego? Już z nim o tym rozmawiałaś?

- Nie. Nie potrafię. On się czuje... wiesz, tak, jakby on był winien, jakby ojciec winił go za... Nie wstawi się za mną. Nie mogę go o to prosić.

- Myślę, że możesz - rzekła Eleonora. - Kiedy wróci.

Emanuel pojechał pod koniec lutego do Krasnoy, po otrzymaniu drugiego listu od Brelavaya. Brelavay napisał bardzo zwięźle, że otrzymali oficjalne potwierdzenie wyroku wydanego na Itale i że wiedzą, iż jest w więzieniu św. Łazarza w Rakawie. Był to zimny, ostrożny

list. Guide nie odpowiedział na pierwszy, a Brelavay najwyraźniej spodziewał się jakiejś odpowiedzi.

- Powinieneś chyba odpisać - powiedziała wtedy Eleonora.

- Po co?

- Żeby mu podziękować.

- Za poinformowanie mnie, że mój syn jest w więzieniu? Jakie podziękowanie jestem winien ludziom, którzy doprowadzili go do zguby?

- Nikt go do niczego nie doprowadzał - wybuchnęła Laura. - Poszedł własną drogą. Do więzienia wtrącił go rząd i jego policja, a jeśli ty nie napiszesz do tego człowieka z podziękowaniem za próbę pomocy i trwanie przy Itale, ja to zrobię!

- Nie - powiedział Guide i Laura go posłuchała. On jednak napisał list, który wysłał razem z prośbą do zarządu więzienia św. Łazarza, ułożoną pod dyktando Emanuela. Na ten list nie nadeszła żadna odpowiedź, a Brelavay odpisał natychmiast. Jego list był na tyle optymistyczny, że Emanuel postanowił pojechać do Krasnoy, żeby się z nim spotkać i sprawdzić, czy da się coś zrobić w sprawie odwołania, spróbować załatwić pozwolenie na widzenie albo, gdy zawiedzie wszystko inne, zgodę na korespondencję.

Wrócił w marcu z niczym. Stefan Oragon wybadał grunt z ostrożnością stanowiącą drugą stronę jego krasomówstwa i stwierdził, że nie można podjąć żadnych kroków: ludzie uwięzieni we wschodnich prowincjach w listopadzie i grudniu mieli służyć jako przykład ostrzegający, a aresztowanie ich świadczyło o znaczeniu tych osób dla rządu. Zwrócenie uwagi na któregokolwiek z zatrzymanych oznaczało zwiększenie jego ryzyka. Jakaś szansa na wyciągnięcie ich istniała jedynie po pewnym czasie - jeśli pozwoli się im stracić znaczenie lub sprawić wrażenie, że je stracili.

- Za każdym razem, kiedy wymawiacie nazwisko Sorde, zakładacie na jego drzwi kolejny zamek - powiedział Oragon. - Dopóki przebywa pan w Krasnoy, sir, mógłbym sobie życzyć, żeby pańskie nazwisko brzmiało inaczej... - I zastraszony, z goryczą w sercu, Emanuel wkrótce wyjechał z Krasnoy.

- Nie wiedziałem - powiedział bratu. - Nie wiedziałem, jak to wygląda. Myślałem, że prawo... jestem prawnikiem, zakładałem, że znam moc prawa. Nic o niej nie wiedziałem! Bóg mi świadkiem, sądziłem, że czerpie swą potęgę ze sprawiedliwości!

W październiku nadszedł list z Rakawy: odmowa zezwolenia na odwiedzenie uwięzionego lub napisanie do niego listu.

- Osiem miesięcy, żeby mi to przysłać - powiedział Guide zgniatając papier trzęsącą się dłonią.

Na początku 1829 roku idąc za radą Oragona ponowił prośbę, pisząc tym razem do gubernatora prowincji Polana. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. W marcu Emanuel, który korespondował z Brelavayem i innymi, otrzymał przez posłańca notatkę od Givana Karantaya: "Ostatnio na wschodzie i północy krewni podejrzanych i więźniów są inwigilowani, a w niektórych przypadkach przesłuchiwanie przez policję. Najlepiej byłoby, gdyby ze względu na tę sytuację przestał pan do nas pisywać. Spróbujemy przekazywać panu wszelkie informacje, jakie do nas dotrą, lecz nie za pośrednictwem poczty, bowiem korespondencja znajduje się obecnie pod ścisłą kontrolą..."

Pierwsze miesiące roku okazały się łagodne, lecz w kwietniu pojawił się - na jedną noc i dzień - spóźniony, ostry mróz, kiedy sady brzoskwiniowe stały w pełnym rozkwicie. Plony przepadły, co było obezwładniającym ciosem dla tych dzierżawców, którzy żyli z sadów. Własne dochody Guide'a pochodziły głównie ze zboża oraz winnic i on mógł pozwolić sobie na pomoc swoim dzierżawcom przez ciężki rok, lecz zmarnowanie się całych akrów pięknych, powykręcanych drzewek go zirytowało. W maju i czerwcu często chodził po trawie między drzewami nie mającymi owoców. Do domu wracał ciężkim krokiem, ze zmarszczonym czołem, wyprostowany. W lipcu nadeszła z Rakavy odmowa spełnienia jego drugiej prośby. Tej nocy położył się do łóżka późno, korzystając jedynie ze światła gwiazd padającego od okien, i leżał nieruchomo poznając po milczeniu Eleonory, że jeszcze nie śpi. Odezwał się w ciemności niegłośnie, lecz szorstko:

- Nie możesz tak leżeć i myśleć o nim.

Nie odpowiedziała.

- To na nic, Eleonoro - powiedział łagodniejszym tonem.

- Wiem.

Leżeli obok siebie w ciszy, słysząc cykanie świerszczy grających w ciepłych brzdach i na poboczach dróg.

Nawet ona, podpora jego życia i jedyna jego nieustanna radość, nie potrafiła go pocieszyć.

Tej nocy Laura też nie spała. Miała pokój wychodzący na ten sam korytarz, przy oknie, za którym było widać pola pełne grających świerszczy. W czerwcu skończyła dwadzieścia trzy lata. Była w wieku, który dawno temu określiła jako wiek graniczny. Wydawał się odległy, nawet kiedy miała dwadzieścia lat. Kiedy skończy dwadzieścia trzy lata, będzie pewna siebie, będzie prowadziła ustabilizowane życie, będzie miała za sobą tęsknoty, rozterki i porażki: zacznie zdobywać kobiecą mądrość.

Tymczasem była niepewna, niemądra, miała fatalne samopoczucie i, co najgorsze, samotna.

Trzy tygodnie temu przyszła po południu Piera. Miała ze sobą książkę i chciała głośno poczytać w starym miejscu poniżej drogi obok hangaru na łodzie. Poszły tam, lecz nawet nie otworzyły książki. Piera, bardzo ożywiona i śliczna w nowej sukience z kwiecistej bawełny, chciała przyjaciółce coś powiedzieć.

- No więc? - powiedziała wreszcie leniwie Laura. - Widzę, że nie zadałam jeszcze właściwego pytania. Proszę cię, powiedz mi, o co mam pytać.

- Och, o nic. No, dobrze. Zapytaj mnie, kto mi się oświadczył! - Piera zarumieniła się i zdmuchnęła puszysty mlecz.

- Ojej! Och, ty zdobywczyni trofeów! Ile razy Sandre będzie jeszcze próbował?

Alexander Sorentay został porzucony w dramatycznych okolicznościach przez córkę adwokata Kseneya, Marię, która na dwa tygodnie przed ślubem uciekła z wędrownym sprzedawcą guzików z Vermare i nigdy więcej nie pojawiła się w Portacheyce. To wydarzenie przyćmiło bulwersujący temat zerwanych zaręczyn Piery. Alexander powstrzymywał swoje pragnienie zawarcia związku małżeńskiego tak długo, jak wymagała tego przyzwoitość, lecz ani dnia dłużej, kiedy to raz jeszcze uderzył w konkury do swej pierwszej miłości. Tym razem jego zaloty były jawne, po prostu widowiskowe. Zwalczył już swój wstyd i nie musiał się obawiać zniszczenia jej reputacji, ponieważ wszyscy wiedzieli, że nie odnosi on żadnych sukcesów. - On się zaleca, a ona go zniechęca - powiedziała Marta Astolfeya i stało się to ogólnym podsumowaniem sprawy. - Nadal się zaleca? - pytał Emanuel, kiedy Valtorskarowie przychodzili po kolacji posiedzieć na tarasie państwa Sorde wychodzącym na jezioro. Piera odpowiadała: - O, tak, wujku, aja nadal go zniechęcam! - Z początku zaloty Alexandra ją martwiły, bo nigdy nie przewyciężyła w sobie poczucia winy z powodu tego listu, jaki napisała do niego z Aisnar, lecz jego wytrwałość wyczerpała najpierw jej litość, a potem cierpliwość. Była grzeczna i umiejętnie unikała obrażenia jego rodziny, przychylniej temu związkowi, lecz nie miała zamiaru przyjąć resztek po córce prawnika.

- Rzeczywiście, Alexander - powiedziała. - Nie, nie. To była niespodzianka. Grom z jasnego nieba. Zgadnij! Nigdy nie zgadniesz.

- Nie ma nikogo - odparła Laura, robiąc w myślach przegląd odpowiednich młodzieńców. - Naprawdę nie ma tu żadnych mężczyzn, jeśli przyjrzeć się im pod tym kątem.

- Nasz rządca. Gavrey.

- Co, Gavrey?

- To on.

- Gavrey - powtórzyła Laura.

- Tak. Grom z jasnego nieba. Zupełnie nie byłam na to przygotowana. Żadnych oznak. Prawie się do mnie nie odzywa, chyba że w sprawach związanych z gospodarstwem. Muszę przyznać, że bardzo dobrze nam się razem pracuje. Ale żeby tak po prostu przemówić do mnie znad księgi czynszów: "Contesina, czy...", nie będę go naśladować. Wcale nie zamierzam się z niego wyśmiewać. Przyznam, że trochę wytrąciło mnie to z równowagi.

- Ale odmówiłaś?

- Oczywiście.

Po chwili milczenia Laura spytała:

- Z powodu... różnic między wami?

- Co masz na myśli? Że jest synem rolnika, i to chyba z nieprawego łoża? Bałam się, że on tak sobie pomyśli, ale sądziłam, że ty... No, dobrze. Oczywiście trzeba by to wziąć pod uwagę, ale gdybym chciała wyjść za Berke Gavreya, to bym za niego wyszła. Pod wieloma względami żałuję, że nie mogę tego zrobić. Jak powiedziałam, dobrze nam się razem pracuje. Myślę, że moglibyśmy doprowadzić majątek do znakomitego stanu. On o tym wie i chyba dlatego pomyślał o małżeństwie. Bardzo praktyczny człowiek. I ambitny. Nie jest jednak tym, którego chciałabym poślubić.

W głosie Piery nie było ani zawstydzenia, ani szyderstwa. Laura rzadko słyszała, żeby przyjaciółka mówiła tak poważnie czy tak otwarcie. W odpowiedzi powiedziała coś banalnego. Nie zostały długo przy hangarze. Piera wróciła do ojca, który niedomagał już od kilku tygodni, a Laura poszła do swego pokoju, gdzie wreszcie była sama.

- Tchórz - wyszeptała. Tylko tyle miała do powiedzenia w ruinach niegdyś namiętnego uczucia, będącego teraz niczym. - Tchórz!

Dwa lata temu, na wiosnę, kiedy Piera była w Aisnar i wkrótce po nadejściu listu Itale opisującego spotkanie z nią w klasztornej szkole, nastał tydzień pięknej, kwietniowej pogody. Laura, która przez długi czas pozostawała w domu z powodu przewlekłego bronchitu, z radością wyszła na słońce. Wybrała się do rozpoczynających kwitnienie sadów brzoskwińowych. Poranne słońce świeciło na drzewa i rosnącą między nimi krótką, młodą trawę. Nie poszła daleko, lecz usiadła na przyniesionym ze sobą kocu. Wiał delikatny wietrzyk. Otaczały ją ciemne, pełne życia pnie i gałęzie, a drobne gałązki były usiane bladymi pączkami. Z podwórka stodoły leżącej gdzieś w dolinie dobiegały dźwięki uderzeń metalu o metal, syk wydawany przez rozpalone żelazo zanurzone w wodzie i skrzypienie starych miechów. Obsługiwał je prawnuk Brona, Zeske. Dopasowywali podkowy kując je na kowadle, a może też i podkuwali konie, bo Laura słyszała tupot nóg i ostre rzenie konia, wyraźne jak wszystkie inne dźwięki, lecz stonowane nieco przez odległość i silny wiatr wiejący na południe. Wtedy właśnie wybiegł zza drzew Gavrey i

zobaczywszy ją stanął w miejscu. Przez plecy miał przewieszoną strzelbę, a obok stał zdyszany jego pies myśliwski, Roshe. Gavrey był wysoko w lasach i wokół niego jak gdyby panował jeszcze klimat ich obcości. Zatrzymał się niecałe dziesięć stóp od Laury. Żadne z nich się nie odezwało. Jego spojrzenie, z początku pełne zaskoczenia, stawało się coraz bardziej przenikliwe. Stał patrząc na nią, w jednej chwili zmieniający ruch w bezruch.

- Czy znasz mnie, Gavrey? - zapytała drwiąco i z obawą.

Poruszył się wtedy, zdjął czapkę i przeciągnął ręką po spoconych, ciemnorudych włosach.

- Tak, znam panienkę, panno Lauro - rzekł chrapliwie. - Zaskoczyła mnie pani siedząc tu.

Poklepała psa, który usiadł przy niej i opuścił nisko łeb.

- Chodź tu, Roshe, nie przeszkadzaj!

Wciągnął głęboko powietrze. Był równie zadyszany jak jego pies.

- Proszę go zostawić. Nie było żadnej zwierzyny na San Givan?

Potrząsnął głową. Usiadł na trawie w pewnej odległości od

Laury.

- Kiedy się już zatrzymałem, to nie mogę ustać na nogach... Wyszedłem przed brzaskiem. Żeby wejść wysoko. Tam, gdzie podobno jest wilczyca.

- Znalazł pan ją?

- Ani śladu.

- Nikt jej nie upolował przez pięć lat. Zastanawiam się, czy tam rzeczywiście jest jakiś wilk, a może tylko fantazjują myśliwi.

Patrzyła na niego. Ciemne ręce oparł swobodnie na kolanach, pierś unosiła mu się i opadała rytmicznie, w miarę jak wyrównywał oddech, we włosach błyszczało mu słońce.

- Ona tam jest, wasz Kass widział ją w zeszłym miesiącu. Ale pies poszedł za jelenim tropem. Zaprowadziłeś mnie prawie na drugą stronę góry, ty głupi psie... Pewnie zbliża się południe. Ach, to... - Wzruszył ramionami i rzucił na Laurę dziwne, ale prz)jacielskie spojrzenie. - Straciłem poprzednie miejsce w Altesma, bo za dużo polowałem. Kiedy raz wejdę na górę, o wszystkim zapominam i mogę tam być i przez tydzień, zupełnie jak ten głupi pies.

Kiedy odszedł z psem biegnącym tuż obok na poobijanych łapach, Laura wciąż rozmyślała. Ciągle miała przed oczyma bystre, szczere, jakby porozumiewawcze spojrzenie Gavreya i półuśmiech goszczący na tej zwykle nieodgadnionej twarzy. Zaskoczyła go, widziała go takim, jaki jest, jako myśliwego. Nie potrafiła zapomnieć tej chwili, a kiedy znów się spotkali, zauważyła, że i on jej nie zapomniał. Teraz na nią nie patrzył. Nigdy wiele się do niej nie odzywał, ale patrzył swoim intensywnym, spokojnym wzrokiem, jakby wpatrywał się w książkową ilustrację.

Po pewnym czasie przyzwyczała się, że jej nie zauważał. Spotkania miały miejsce tylko w Valtorsie, w towarzystwie jej rodziców, hrabiego Orlanta, kuzynki Betty, cioci, Rodenne i innych. Kiedy toczyła się gra w wista, śledziła wzrokiem ciemne, delikatne, swobodne dłonie Gavreya. Sama o tym nie wiedząc znała kąt nachylenia jego nadgarstka i pozycję, jaką przyjmowała na stole na wół otwarta lewa dłoń, kiedy czekał na spadnięcie następnej karty.

Na jesieni znowu rozmawiała z nim sam na sam. Przyszła do św. Anthony'ego z kwiatami na mszę na Wszystkich Świętych i stary ojciec Klement ją zatrzymał. Bardzo lubiła miłego, niedouczzonego, niechlujnego staruszka. Była kobietą jego życia. W przeciwieństwie do niej on o tym nie wiedział. Nie miał żadnego pomocnika, więc Laura pomogła mu ułożyć chryzantemy, dale i jesienne stokrotki, które przyniosła ze swojego ogrodu, kwiaty barwy ognia i popiołu, szkarłatne, rdzawe, złociste, ciemne i jasne. Ich kolory wypełniały jej oczy, jej dłonie pachniały świeżym, cierpkim zapachem, a ona klęczała w ciemnej kaplicy prawie nie słuchając monotonnych słów księdza. Znajdowało się tam kilka staruszek, zawsze uczestniczących w wieczornej mszy, oraz Kass - specjalnie po nią przysłany - młody człowiek, zawadiaka, który nigdy z własnej woli nie przyszedłby się modlić ze starymi dewotkami. Spostrzegła w kaplicy jeszcze jednego mężczyznę i po nachyleniu jego ramion i gęstych, kędzierzawych włosach Laura poznała Gavreya. Czyżby nagle zrobił się pobożny? Bardzo w to wątpiła, chociaż z takimi milczącymi mężczyznami nigdy nic nie wiadomo. Pewna chłopka, w wieku czterdziestu lat pomarszczona i bezzębna, która nie opuszczała żadnej mszy, przystępowała do komunii, spowiadała się, chwaliła się siostrzeńcem uczącym się w seminarium i całowała księdza w rękę, potrafiła odpowiedzieć przecząco na pytanie, czy wierzy w Boga. - Ale są święci, a woda święcona to wspaniała rzecz - powiedziała kiedyś Laurze inna kobieta, zatwardziała poganka. Można też było spotkać jednego z tych mężczyzn o srogich twarzach, którzy kościół uznawali za miejsce odpowiednie dla księży i kobiet, pogrążonego teraz w bólu i dostrzec w nim wielkie skupienie, straszliwą tęsknotę za Bogiem. Mieli nazwę dla takich załamania. Mówili, że taki człowiek jest "przygnieciony". - Dlaczego Tomas od Sorentayów poszedł do kościoła? - Od dwóch miesięcy jest strasznie przygnieciony... - Co ich przygniało - cierpienie, bieda, tajemnica? Nie potrafili powiedzieć, ale doskonale rozpoznawali ten ból. Laura Sorde też. Znowu spojrzała przez kaplicę na Gavreya. Czy jest przygnieciony? Czy myśliwy został złapany? To były dręczące myśli. Czasami nachodziły ją dziwne odczucia, kiedy widziała mężczyznę w kościele. Widok mężczyzny na klęczkach z widocznymi z tyłu brudnymi, grubymi podeszwami butów i obnażoną, pochyloną głową, proszącego o pomoc, był dla niej, mimo że nie było w tym niczego nadzwyczajnego, dziwny i wzbudzał poczucie litości, graniczącej z zażenowaniem.

Gavrey wyszedł z kaplicy tuż za nią i coś powiedział. Młody Kass czekał na nią, za chwilę wyjdzie ojciec Klement. Pod taką opieką poczuła się zuchwale i zapragnęła sprowokować mężczyznę, który nie chciał na nią patrzeć.

- Co pana tu sprowadziło? Czy jest pan przygnieciony?

- Przyszedłem zobaczyć panią - odpowiedział.

Myślała, że zatrzymała się na schodach, ale okazało się, że idzie obok niego.

- Po co? - zapytała z grymasem niezadowolenia, usłyszawszy fałszywe brzmienie własnych wypowiedzianych słów.

- Skąd mam wiedzieć? Przyszedłem panią zobaczyć. To wszystko.

- Świetnie, a więc mnie pan zobaczył.

Przy furtce cmentarza odwrócił się do Laury. Byli równego wzrostu, ich oczy znajdowały się na tym samym poziomie.

- Spojrzała pani na mnie choć raz?

Obejrzała się na Kassa odwiązującego konia, na staruszki gawędzące na ścieżce. Gavrey mówił głośno, z niczym się nie licząc, bardzo urażonym tonem, lecz był przyzwyczajony do odcinania się innym, a jej zachowanie go rozdrażniło. Nieco się od niej odwrócił i zapytał już ciszej:

- Dlaczego spytała pani, czy jestem przygnieciony? Co to panią obchodzi?

Złapawszy wilka za ogon Laura odparła:

- Przykro mi, że tak powiedziałam.

- Tak, przykro pani. Proszę mnie zostawić w spokoju. Proszę mnie zostawić w spokoju. - Chwytał powietrze jak wtedy, gdy spotkali się w sadzie. Odwrócił się od niej i odszedł wielkimi krokami w zmierzch, drogą pod sosnami San Larenz.

Kiedy jechali do domu z Kassem, ojciec Klement zapytał:

- Co ci powiedział Berke Gavrey?

Stary ksiądz miał piskliwy głos. Laura odnosiła wrażenie, że słyszy go każde ucho w Val Malafrena, każde zwierzę w ciemnych lasach.

- Co ci powiedział Berke Gavrey?

- Nic.

- Hę?

- Powiedziałam, że nic.

- Ach, tak? Myślałem, że ci coś powiedział. Laura milczała.

- To dobry człowiek - powiedział ksiądz tonem piskliwym i autorytatywnym. - Dobry bez względu na to, co się o nim mówi.

- Nigdy nie słyszałam o nim nic niepochlebnego - powiedziała Laura i natychmiast oskarżyła się o konspirację z Gayreyem.

Ojciec Klement był zachwycony: oto znalazł nowe uszy dla starych plotek. Czemuś takiemu nie można się oprzeć! Nigdy nie zastanawiał się nad tym, co ksiądz może powtarzać, czy przekazywane przez niego plotki są obraźliwe lub złośliwe. Dla niego były to tylko słowa, opowieści, smak istnienia.

- Jak to, czyżbyś nie słyszała, co miała do powiedzenia ta kobieta z Val Altesma? - I opowiedział Laurze, że Gavrey opuścił Val Altesma, ponieważ z jego powodu zaszła w ciążę córka pewnego rolnika z Kulme. - Ta kobieta z Altesma powiedziała, że dziewczyna miała tylko krewniaczki i starego dziadka, więc nic nie mogła zrobić oprócz powiedzenia prawdy, co oczywiście zrobiła. Gavrey wyjechał i został pomocnikiem rządcy w Raskaynie. Mówią, że tam też był postrachem młodych dziewcząt.

- Co za głupia, bzdurna historia - powiedziała Laura. - Gdyby to była prawda, hrabia Orlant by go nie zatrudnił.

- A dlaczego? - zapytał stary ksiądz ze zdumieniem. - To fakt, ale faktem też jest, że tu nie sprawia kłopotów. Dobry człowiek i dobry rządcą, nikt nigdy nie mówił w Val Malafrenie nic innego. - Szukał odpowiedniego morału i w końcu powiedział z zadowoleniem: - Młodzi są rozbrykani, zanim się usatkują.

Co ty o tym wiesz, ty stary kapłonie? - pomyślała Laura i skarciła księdza za plotkowanie. Ojciec Klement przejął się i spojrzał błagalnie na łagodną, wysoką, cichą dziewczynę, która nagle zrobiła się dla niego tak surowa i ostra jak jej ojciec.

- Ale przecież powiedziałem, że dobry człowiek! - usprawiedliwił się.

- Dobry człowiek! Jeśli zrobił to, o czym ksiądz mówił, to jakie ma ksiądz prawo nazywać go dobrym? Nie chcę już o tym więcej mówić.

Słuchały wszystkie drzewa San Larenz, a wśród nich ukryty myśliwy Gavrey też słuchał i rozumiał.

Niesamowite było dla niej, że niczego nie powiedziawszy, prawie bez żadnych słów i bez żadnego dotyku, bo nigdy się nie dotknęli, ona go rozumiała, a on rozumiał ją. Nie było od tego ucieczki.

Kiedyś wierzyła, że prawdziwe zrozumienie przebiega jedynie na płaszczyźnie duchowej, a ciało to przeszkoda przyćmiewająca światło, przeszkoda w porozumieniu. Teraz straciła to niezachwiane przekonanie. To duch jest samotny, pomyślała z przerażającą pewnością, to duch umiera. Zaznajemy spełnienia jedynie poprzez fizyczność i kurczowo trzymamy się terażniejszości, która jest wieczna. Cienie nie odejdą zostawiając w końcu dziecięcą duszę skąpaną w świetle:

przetrwa właśnie ciemność, nieprzezroczystość i ciężar rzucającego cień ciała. Oddechem życia jest sam oddech. Pewnego listopadowego wieczoru szyła coś z matką po kolacji i wstała, żeby dolać oliwy do stojącej obok lampy. Lała oliwę zbyt szybko i przepełniła pojemnik. Płomień zachwiał się, błysnął i zgasł, a knot utonął. Laura patrzyła na to z fascynacją. Rozlała oliwę na swoje palce, na stół.

- Ależ, Lauro, patrz, co robisz, nie poplam sobie sukni! - powiedziała matka.

Dziewczyna stała zapatrzona w lampę, w zatopiony, czarny knotek. Ogarnął ją cień. Odwróciła się do matki. Eleonora wstała, rozrzucając dookoła przybory do szycia.

- Lauro, co się stało?

- Och, mam, jestem przygnieciona - odparła i zaczęła się śmiać, a potem płakać. Po chwili opanowała się i nie chciała powiedzieć Eleonorze nic więcej poza tym, że jest przemęczona. Wszystko nie trwało nawet minuty.

Położyła się do łóżka i próbowała samą siłą woli wyrzucić z siebie, ze swego ciała człowieka, który ją opętał. Nie modliła się.

W końcu znalazła wsparcie w wiedzy, która najpierw ją zgubiła, w wiedzy, że on jest równie bezradny, co ona. Jego pożądanie, które ją pokonało, stawiało go w gorszej sytuacji. Pożądanie to kierowało nim wbrew jego woli, a on sam bał się jej zaufać. Kiedy nadeszła dla niego szansa, nie wykorzystał jej. Porozmawiali kiedyś ze sobą spotkawszy się przypadkiem nad brzegiem jeziora w czerwonym, grudniowym zmierzchu.

- Wyjeżdżam z Valtorsy - powiedział.

Zachodzące słońce oświetlało mu twarz, która sprawiała wrażenie rumianej i czerstwej.

- Wyjeżdża pan? Dlaczego?

- Z tej samej przyczyny, dla jakiej wyjechałem z Altesma.

- Myślałam, że stamtąd pana zwolniono.

Wiedziała, jak go zranić.

- Zwolniono? Kto to pani powiedział? Zrezygnowałem z pracy z własnej woli.

Zrobiła pogardliwą minę i nic nie powiedziała.

- I żeby odejść od kobiety, która nie chciała mi dać spokoju - dodał z rozgoryczeniem.

- Wróci więc pan i ją poślubi?

- Nie! Dlaczego miałbym to zrobić, do diabła? Czy wyglądam na takiego, co się żeni?

- Lepiej się ożenić niż płonąć - powiedziała Laura. Zrobiło się jej słabo z nienawiści do niego, strachu i tęsknoty. - Bez względu na to, kim pan jest.

- Rzeczywiście! I na pewno pani by mnie zechciała, żeby uchronić mnie przed ogniem?

Zaczerwienił się i cofnął o krok. Zamknięty w pułapce, przestraszony, rzekł pośpiesznie:

- Nie wiem, dlaczego to powiedziałem.

- Zadręczasz się, Berke - powiedziała ze swą dawną, naturalną łagodnością, patrząc na niego. Nie wiedział, że jest jej równy, ale ona nigdy nie powie tego mężczyźnie, który o tym nie wie.

- A ty? - mruknął.

- Być może, ale co cię to obchodzi?

Uśmiechnęła się do niego, lecz on nie odpowiedział, stojąc w milczeniu, bezradnie. Kiedy to spostrzegła, zrobiło się jej za niego wstyd.

- Powinieneś tu zostać - powiedziała spokojnie. - Kiedyś nie będziesz już miał dokąd się przeprowadzić. Poza tym chyba jesteś coś winien hrabiemu Orlantowi.

- Owszem - odparł. Mówił prawie pokornie.

Chciała się znaleźć daleko od niego. Żałowała go i chciała, żeby zniknął jej z oczu.

- Mówię o odejściu, ale na pewno zostanę.

- Też tak myślę - odparła obojętnie.

Nie patrzyła już na niego, lecz na jezioro, gdzie czerwone światło zamieniało się w niewyraźny, brązowofioletowy zmierzch. Była smutna. Podeszedł do niej, wyciągnął rękę, żeby jej dotknąć, a ona mu na to pozwoliła, bo w jego pojęciu ona musi mu pozwolić, ona musi być damą, a on służącym, bo nie może między nimi być żadnej szczerości, a jedynie ta gra właściciela i żebraka. Wyczuł jej obojętność i puścił mówiąc:

- To na nic - dlaczego robisz ze mnie głupca?

Wtedy na niego spojrzała.

- Ty jesteś głupcem, Berke - ja z tym nie mam nic wspólnego. - Odwróciła się i odeszła od niego wzdłuż brzegu, zmiierzając do półwyspu. Pozwolił jej odejść.

Powiedziała sobie, że to koniec, i tak też było, chociaż Gavrey nie wyjechał z Valtorsy. Podczas nieuniknionych spotkań rozmawiała z nim jak najmniej, nie zwracając uwagi na jego służalcze, pytające spojrzenia i swoje własne upokorzone, buntownicze pragnienie usłyszenia od niego jakiegoś miłego słowa, dotyku jego dłoni. Nie potrafiła przestać o nim myśleć. Był pierwszym mężczyzną, który ją obudził. Nikt inny nie zajął jego miejsca. Mijały tygodnie i miesiące, a Laura bezwiednie pielęgnowała jałowe pożądanie, wciąż je podsycając. W jej życiu działo się tak niewiele, a on był pierwszym mężczyzną, który jej dotknął. Śniła o jakimś przyszłym pogodzeniu się i zrozumieniu, jakby licząc, że coś jeszcze uda się wyjaśnić.

Teraz straciła nawet to, ostatnią resztkę ciepła w zimnie. Z początku zastanawiała się, czy oświadczył się Pierze tylko po to, żeby jej dopiec. Czowała, że pochlebia sama sobie. Bał się Guide'a Sorde, a nie bał się Orlanta Valtorskara - wielce prawdopodobne. Może pragnie Piery bardziej, niż

kiedyś pragnął Laury. Powiedziała sobie, że musi przyjąć taką możliwość, ale jej nie przyjęła. Był śmielszy właśnie dlatego, że nie pożądał Piery jako kobiety, właśnie dlatego mógł jej zaproponować małżeństwo, którego nawet nie śmiał sobie wyobrazić w przypadku Laury. Myśliwy schwytyany we własne sidła. Była tego pewna, a po chwili skarciła się za tę pewność, za próżność, za czepianie się miłości, której wcale jej nie ofiarował. A teraz udało mu się poróżnić ją z przyjaciółką. Nie żywiła wobec Piery zawiści. Zawsze jej trochę zazdrościła, zazdrość stanowiła część skały, na której wznosiła się ich przyjaźń, ale nie było w niej nic złego. Lecz on zniszczył panującą między nimi szczerość, nie dopuszczał do swobodnych rozmów, które były jedynym lekarstwem na samotność Laury. Nigdy nie mówiła Pierze o burzy uczuć, przez jaką przeszła, ani słowa nie wspomniała o Gavreyu. Nie zrobiła tego częściowo dlatego, że nie potrafiła, nie znajdując właściwych słów, nazwać tego niewyraźnego obszaru między słownictwem zwierzęcej płciowości - którą jako dziecko rolnika oczywiście znała, lecz o której jako dama nie śmiała mówić - i słownictwem miłości i uczucia, a częściowo dlatego, że nie odczuwała potrzeby podzielenia się tym wszystkim z Pierą. Teraz, kiedy chciała o tym rozmawiać, aby oczyścić atmosferę i przywrócić zaufanie między sobą i przyjaciółką, nie mogła tego zrobić. Wstydziła się. Wstydziła się małostkowości tego, co chciała powiedzieć, wstydziła się nawet tego, że chce tę historię opowiedzieć.

I to była mądrość i siła jej kobiecości, mądrość i siła jej dwudziestu trzech lat...

Najgorszy z tego wszystkiego był strach przed utratą Piery. Tego nie potrafiła znieść i po kilku dniach zacisnęła zęby, zapomniała o upokorzeniu i powiedziała przyjaciółce tyle, ile zdołała. Zrobiła to niezręcznie i niewyraźnie, tak że Piera z początku nie zrozumiała i zapytała z konsternacją:

- Ale chcesz powiedzieć, że go kochasz - że go kochałaś, Lauro?

- Nie - odparła Laura spokojnie - chcę powiedzieć, że ledwo mogę utrzymać z dala od niego rękę. Z nim było tak samo. Przez chwilę.

Zobaczyła, jak Piera wspina się na ten dzielący je mur i usiłuje zrozumieć, co naprawdę się dzieje po jego drugiej stronie. Poczula, że jest zepsuta i że psuje innych. Lecz po krótkiej chwili Piera powiedziała po prostu:

- Nic dziwnego, że rozumiałaś, o co chodziło z Givanem Koste.

Laura bała się odezwać.

- Przeżywałyśmy to inaczej. Ty znalazłaś za dużo tego, czego ja miałam niewystarczającą ilość... Ale co jest z Berke, czego on się boi?

- To nie była jego wina.

- Ciebie, on się bał ciebie - powiedziała z namysłem Piera - nie mnie. Boja nie jestem tak silna jak ty, bo on nie kocha mnie. A więc mnie się oświadczył. Jaki on jest głupi! Jakie to wszystko jest głupie! Myślałam o przyjęciu jego oświadczyn, Lauro. Tamtego wieczoru. Wiedziałam, że mogę doprowadzić do tego, żeby oświadczył mi się jeszcze raz. To bardzo dobry rządca. Bałam się, że może wyjechać. I potrafię z nim pracować. Zaczynam się uczyć, co i jak robić, jak prowadzić posiadłość. Większości tego on mnie nauczył. Więc... - Uśmiechnęła się dość ponuro.

- Dlaczego nie miałabyś za niego wyjść?

- Bo jeśli mam wyjść za mąż z przyczyn praktycznych, to Sandre jest o wiele lepszą partią.

- Dlaczego nie miałabyś wyjść za Sandre? - zapytała Laura tym samym tonem.

- Dlaczego w ogóle miałabym wyjść za mąż?

- Nie wiem.

Rozmawiały teraz cicho i otwarcie. Nie było już muru, nie leżał między nimi nawet żaden cień.

- Nie rozumiem tego - powiedziała Piera. - Naprawdę nie rozumiem, co zaszło między tobą i Berke. Nie rozumiem, czym jest miłość albo czym powinna być. Dlaczego ma być całym moim życiem?

Laura potrząsnęła głową. Spojrzała na złocistą trawę, porastającą zbocze nad hangarem na łodzie.

- Itale zawsze mówił, że nadejdzie odpowiedni czas. Ale my czekamy i czekamy. Na co my czekamy, Lauro? Dlaczego on musi być w więzieniu, dlaczego mężczyźni muszą być takimi głupcami, dlaczego marnujemy swoje życie? Czy miłość jest odpowiedzią na to wszystko? Nie rozumiem, nie rozumiem...

CZĘŚĆ IV

Konieczna namiętność

ROZDZIAŁ I

Do więzienia św. Łazarza prowadziła dwunastostopowa brama w żelaznym ogrodzeniu, następnie trzeba było przejść przez wybrukowany kocimi łbami dziedziniec, przez drugą bramę w drugim ogrodzeniu, tunel z nagich kamieni, utworzony przez czterostopowej grubości mury budynku, by wreszcie wejść do korytarza, z którego otwierało się na prawo duże, sklepienie pomieszczenie dla strażników. Powietrze w korytarzu i tym pomieszczeniu było wilgotne, przesiąknięte słodkawym zapachem stęchlizny. W pozbawionym okien pokoju panowała cisza niczym w piwnicy win czy jaskini, lecz ledwo słyszalny, dziwny, nieprzyjemny pomruk świadczył, że za dalszymi ścianami i drzwiami miejsce to wcale nie jest ciche, wcale nie jest puste, lecz zatłoczone do granic możliwości. Czekał w pomieszczeniu dla strażników, wraz z towarzyszącym jej urzędnikiem, na przedstawiciela władz więzienia, Luisa Paludeskar wysoko unosiła głowę. Przytrzymała jedwabne spódnice, chroniąc je przed zetknięciem się z wilgotną, brudną podłogą. Nie rozglądała się, nic nie mówiła. To była godzina jej zwycięstwa. Pracowała na nią przez dwadzieścia sześć miesięcy.

Do pomieszczenia pośpiesznie weszło dwóch urzędników, ocierających sobie usta po obiedzie, a za nimi bardzo wysoki, gruby mężczyzna w mundurze porucznika policji Polany. Urzędnik przybyły z Luisą zamierzał coś powiedzieć, lecz ona go ubiegła, wypowiadając czystym głosem zdanie, do wygłoszenia którego zdobyła sobie prawo:

- Poruczniku, pan Konevin przynosi panu rozkaz Sądu Najwyższego, podpisany przez premiera, odwołujący wyrok więźnia Itale Sordego.

Ogromny mężczyzna wyciągnął rękę po dokument, który podał mu towarzysz Luisy.

- Witam, panie Konevin - mruknął patrząc na Luisę. - Tak, zaiste. Jestem do usług, panienko.

- Baronówna Paludeskar - poruczniku Glay - mruknął Konevin. Wydawało się, że pomruki są tu naturalną formą porozumiewania się. - Wszystko jest w porządku, Glay. Natychmiastowe zwolnienie. Spójrz tutaj. - Pochylili głowy nad dokumentem i mruzcili coś ciszej. Porucznik trzymał papier z dala od siebie, jakby się bał, że się oparzy.

- Tak, tak, Larenzay, sprawdź Sorde Itale, przyjęty w grudniu dwudziestego siódmego.

Obaj urzędnicy podnieśli głowy. Po wejściu do pomieszczenia jeden z nich podszedł do stołu, a drugi do biurka. Usiedli nic nie mówiąc i prawie nie patrząc na Konevina i Luisę. Ten przy stole miał głowę wyrastającą wprost z ramion oraz poznaczoną brodawkami, twarz o ziemistej

cerze. Ten przy biurku był szczupły i żyłasty, miał długie, gładkie włosy i usta przypominające rozcięcie brzytwą.

- Sorde? - powiedział, a wypowiedziane głośno nazwisko zabrzmiało dziwnie w tej mrukliwej, przygniatającej ciszy. - Sorde nie żyje.

- Umarł? Kiedy?

- W zeszłym tygodniu. Pod koniec zeszłego tygodnia.

- Rozumiem. Mamy tu epidemię - poinformował porucznik Konevina i Luisę. - W tym roku jest gorzej niż zwykle. Sprawdź zapis, Larenzay.

- Biały rejestr. Więzień specjalnego traktowania - mruknął głębokim basem urzędnik pozbawiony szyi.

- Znajdź listę pogrzebów z lutego, Larenzay. Proszę usiąść, baronówno, proszę usiąść. - Ogromny porucznik przysunął jej krzesło i wytarł je rękawem z kurzu.

Luisa nie usiadła. Bała się w ogóle poruszyć. W uszach czuła przenikliwy szum. Długowłosy urzędnik sprzeczał się, bezszyi coś mamrotał, porucznik mruczał, Konevin zrobił uszczypliwą uwagę. Nie słyszała tego, co mówili, a jedynie ich groteskowe głosy. Żaby na mokradłach piekieł.

- Proszę usiąść, baronówno.

- To może trochę potrwać, baronówno - rzekł Konevin.

Ustąpiła i usiadła, zamiatając podłogę jedwabnymi spódnicami. Całą siłą woli starając się opanować zapytała bardzo cicho stojącego obok niej Konevina:

- A zatem nie żyje?

- Najwyraźniej nie, baronówno - odparł Konevin.

Uszy były tu dostrojone do szeptów: długowłosy urzędnik krzyknął z wyrzutem, jakby wszyscy inni się mylili:

- Na liście chorych, a nie martwych.

- Traktowanie specjalne - burknął bez szyi.

Luisa zadrżała i przyłożyła dłonie do policzków. Krew, która odpłynęła jej z twarzy, wracała gorącą, oszłamiającą falą. Siedziała jakiś czas nieruchomo, a kiedy nabrała pewności, że nie zemdleje, powiedziała do Konevina spokojnie i z lekkim uśmiechem:

- Dziwię się, jak można przebywać w takim miejscu dwa lata i nie umrzeć.

- O wiele dłużej, baronówno - odparł sztywno urzędnik. Kiedy spotkała się z nim w biurze gubernatora, dał jej wyraźnie do zrozumienia, że nie podoba mu się jej misja. Od czasu wejścia do więzienia był sztywny, a na swej okrągłej, czerstwej twarzy niezmiennie miał wyraz niesmaku i oburzenia.

- Co to za epidemia?

- Chyba gorączka więzienna - odparł Konevin i płytko odetchnął.

Luisa zdała sobie sprawę, że boi się zarażenia, i myśl ta sprawiła jej przyjemność.

- A zatem chorował? Czy go wypuszczą?

- Tak, baronówna. Posłuchaj no, Glay, nie mogę tu spędzić całego popołudnia. Powiedz im, żeby się pośpieszyli.

- Za minutę, panie Konevin, za minutę - odpowiedział ogromny mężczyzna z uniżeniem, lecz niewzruszenie. To było jego królestwo, a nie Konevina, i obaj o tym wiedzieli.

Długowłosey urzędnik coś pisał, a skrobanie pióra przypominało głośny i twardy jego głos. Porucznik podszedł do stołu, przerzucił jakieś papiery, pomruczał trochę z bezszyim urzędnikiem. W pomieszczeniu nie było zegara. Luisa obracała na palcu pierścioneł, mocno przyciskając prawą dłoń lewą ręką, wpatrując się w wodniste lśnienie szarego jedwabiu jej spódnicy. Z trudem zachowywała spokój, nie wytrzymywała już czekania, lecz minuty mijały, a ona nie wiedziała, czy trwa to długo czy krótko, albo czy czas w ogóle płynie. Z korytarza dobiegł jakiś hałas i do pomieszczenia wszedł strażnik w mundurze policjanta z wysokim, łysym mężczyzną po sześćdziesiątce. Zatrzymali się tuż za drzwiami. Łysy mężczyzna stał pochylony, patrząc niepewnym wzrokiem. Miał na sobie bezkształtne szare spodnie i za duży, stary surdut. Był bosy. Zdając sobie sprawę, że to więzień, Luisa pośpiesznie odwróciła od niego wzrok.

- Sorde Itale - powiedział porucznik, a strażnik powtórzył nazwisko:

- Sorde, specjalne traktowanie!

Luisie zrobiło się niedobrze z obrzydzenia i gniewu. Siedząc nieruchomo powiedziała:

- To nie on. Czy wykona pan rozkaz zwolnienia, panie poruczniku, czy będę musiała tu wrócić z naczelnikiem więzienia?

- To nie on? Z jakiego oddziału, Liyvek?

- Z oddziału chorych - odparł policjant.

- To on.

- Nadzwyczajna nieudolność - rzekł Konevin, a porucznik nagle się rozgniewał i rzucił się w kierunku policjanta z groźnym okrzykiem:

- Kto to taki, zabierz go z powrotem! Policjant powtórzył flegmatycznie:

- To on.

Więzień stał obojętnie patrząc pustym wzrokiem na Luisę. Podniósł ręce, żeby przetrzeć oczy, i Luisa z przerażeniem rozpoznała ten gest.

- To on, to on - szepnęła do Konevina.

Znów wszyscy usłyszeli szept, porucznik wyprostował się z oburzeniem, policjant się cofnął, a urzędnicy mruczełi. Konevin spojrział na nią zimnym wzrokiem. Siedziała nieruchomo, więc Konevin podszedł do więźnia, choć niezbyt blisko, i powiedział zduszonym i skrępowanym tonem:

- Sorde... pan Sorde?

Więzień stał cierpliwie, obojętnie.

- Mamy nakaz pańskiego zwolnienia, panie Sorde. Sąd Najwyższy odwołał pański wyrok. Czy pan mnie rozumie?

Wrócił do Luisy.

- Ten człowiek jest bardzo chory - rzekł z niesmakiem. - Nie mam pojęcia, co pani robi. Niemożliwa sytuacja. Czy jest pani całkiem pewna, że...

- Proszę kazać im dopełnić koniecznych formalności.

Nie patrzyła na więźnia.

- Jeden z urzędników poszedł po rzeczy więźnia, baronówno - wyjaśnił nachylając się nad nią porucznik, teraz już natrętny i pewny siebie. - Kiedy nastąpiło aresztowanie, skonfiskowano wszystkie jego rzeczy, rozumie pani, pani baronówno, nikt ich nie ruszał.

- Lepiej pošlijmy po kowala - rzekł długowłosy urzędnik.

- Nie potrzeba kowala, był na oddziale chorych - warknął bezszyi.

- Czy on ma obręcz, Liyvek? - mruknął porucznik.

- Nie - odparł policjant.

Zdegustowany Konevin odszedł w drugi koniec pomieszczenia, cmokając z niecierpliwości. W końcu przyszedł strażnik z walizką, związanym sznurkiem tobołkiem ubrań i zawiniętą w papier paczuszką. Porucznik rozpakował ją i wielkimi, białymi rękoma rozłożył jej zawartość na stole: srebrny zegarek na łańcuszku, parę spinek do mankietów, kilka miedziaków, scyzoryk.

- Kosztowności tego dżentelmena i w ogóle, widzi pani, pani baronówno, nic nie jest ruszone - powiedział. Walizkę i tobolek pokrywały plamki miękkiej, niebieskawej pleśni.

- Możemy już iść? - zapytała Luisa, ale trzeba było jeszcze przygotować jakieś dokumenty, bezszyi urzędnik pisał coś, co należało podpisać przed wypuszczeniem więźnia.

- Nie może go pani umieścić w swojej dorożce, baronówno - powiedział cicho Konevin, kiedy razem stali przy biurku. - Stan, w jakim się znajduje...

- A co innego mogę zrobić według pana? - zapytała Luisa i reagując na lękliwość Konevina zmusiła się, by podejść do ubranego na szaro mężczyzny i odezwać się do niego.

Sprawiał wrażenie, że nie patrzy bezpośrednio na nią ani nie odpowiedział jej bezpośrednio, lecz po chwili odezwał się cienkim, chrapliwym głosem:

- Czy mogę usiąść?

Jego ciało i ubranie śmierdziały potem i chorobą. Surdut, niegdyś czerwony lub śliwkowy, teraz poczerniał z brudu. Nie potrafiła go dotknąć. Wskazała ręką na drewniane krzesło.

Nie poruszył się. Raz potarł mocno ręką twarz tym straszliwie dla niej znajomym gestem i dalej cierpliwie stał, mrugając spuchniętymi oczyma.

- To gorączka, pani wie - mówił porucznik, podając jej plik złożonych papierów. - Robią się od niej otepiali, na pewno wkrótce mu się polepszy. To jest nakaz zwolnienia, to jego paszport, pan Konevin wyjaśni, strażnik wyniesie jego rzeczy. Jestem zaszczycony, że mogę pani usłużyć, baronówno.

Strażnik, który przyprowadził Itale, zniknął, a Konevin nie chciał jej pomóc. Urzędnicy i porucznik złośliwie się wszystkiemu przyglądali. Musiała wziąć Itale pod rękę, żeby ruszył się z miejsca, żeby wyszedł z nią z pomieszczenia i przeszedł pod kamiennym łukiem. Powłóczył nogami, kulał. Kiedy wyszli na brukowany dziedziniec, na czyste, zimne słońce marcowego dnia, Itale stanął i zakrył dłońmi bolące oczy.

- Chodź, chodź ze mną - poprosiła łagodnie.

Strażnicy pilnujący wejścia do więzienia i strażnik przy zewnętrznej bramie patrzyli z ciekawością i bez współczucia. To, co robiła, było złe, sprzeczne z tym, czego pragnęli, co reprezentowali, po co tu stali, pilnując zaryglowanych bram i zamkniętych drzwi. To, co wyobrażała sobie tysiące razy i na co czekała jako na moment tryumfu, było upokarzające i groteskowe. Woźnica, któremu kazała zaczekać, spojrział na chwiejącego się obok niej człowieka i nie chciał wpuścić go do środka. Luisa dała mu dziesięć krunerów, żeby pozwolił Itale pojechać wewnątrz dorożki. Potem musiała wejść z nim do ciasnej skrzyni i usiąść obok niego. Nie potrafiła opanować wstrętu i strachu przed jego nieszczęściem, chorobą i upodleniem. Siedział skulony. Jego pozbawiona włosów głowa chwiała się, kiedy podskakiwała dorożka, jego ręka leżąca bezwładnie na kolanach była bardzo duża i biała, jak ręce porucznika w pomieszczeniu strażników.

Kiedy dotarli do hotelu, Konevin, który jechał obok woźnicy, okazał się niezwykle pomocny. Luisa zamierzała spędzić noc w hotelu, a potem zabrać Itale swoim powozem do majątku w Sovenie, odległego o pięćdziesiąt mil na północ. Pierwsza część planu została pominięta bez dyskusji. Konevin znalazł jej konie i landolet, a także poprosił obsługę hotelu o przygotowanie w jej powozie pośłania. Kiedy już wszystko przygotowano, zrobiło się późne popołudnie. Itale jechał w powozie, a Luisa z pokojówką w landolecie. Ruszyli w dół stromymi ulicami Rakavy, wyjechali przez zimną, północną bramę, minęli fabryki i znaleźli się na długim zboczu prowadzącej w dół na północ drogi.

Po marcowych deszczach drogi były złe. Ras wylała i musieli nadłożyć trzydzieści mil do Foranoy, żeby przejechać przez most, i wrócić trzydzieści mil z powrotem na północny trakt, więc do celu dotarli po trzech nocach i dwóch dniach. Chory większość drogi przebył pogrążony w tej samej obojętności, śpiąc lub leżąc w otępieniu. Kiedy jednak wczesnym rankiem dotarli do domu, dostał gorączki i zupełnie nie mógł iść. List Luisy do gospodyni oczywiście nie dotarł na czas, więc pół domu było gotowe, a w drugiej połowie panował rozgardiasz. Padał deszcz. Luisa kazała położyć chorego do łóżka i posłała po lekarza, lecz zanim zdążył przyjechać, sama się położyła i spała dwadzieścia godzin.

Doktor, zgorzkniały człowiek - połączenie weterynarza, cyrulika i lekarza w jednej osobie - powiedział, że u pacjenta nastąpił nawrót choroby, spowodowany zimnem i niewygodami podróży.

- Zimno i niewygody - powtórzyła sarkastycznie Luisa, myśląc o murach św. Łazarza, ale nic nie wyjaśniła lekarzowi, nauczony się tego już od strażników przy więziennej bramie, od dorożkarza, od swej pokojówki i od siebie samej, nie mówiąc już o więzieniu. Gdyby lekarz wiedział lub mógł się przyznać, że wie, traktowałby z pogardą zarówno tego mężczyznę, jak i kobietę, do której należał dom. Oczywiście wziąłby od niej pieniądze i zaproponowałby dalsze usługi, lecz uważałby się za kogoś lepszego. Przyzwyczajeni ludzie nie trafiają do więzienia.

Dlaczego tak jest, dlaczego całe jej zwycięstwo zmieniło się we wstydlivy kłopot? Całymi dniami leży chory i ogłupiały. Nawet jej nie poznał, nie wypowiedział jej imienia, nie można było do niego dotrzeć, jego umysł zamarł. Nie śmiała zapytać lekarza, czy ta apatia jest spowodowana chorobą czy czymś innym, czy jeśli zostanie wyleczony, to odrętwienie się zmniejszy, jakie są rokowania. Zaglądała do jego pokoju raz dziennie. Sama przed sobą nie chciała przyznać, że widok Itale napawają przestachem i wstrętem: ta jego łysa głowa (lekarz powiedział, że ogolono ją ze względu na wszy), nieobecne spojrzenie, niespokojne, zwiotczałe, kościste i żółtawe ciało. Jeśli będzie musiała patrzeć na niego w tym stanie, to zastąpi on jej zapamiętanego kochanka, młodego, silnego człowieka. Te kilka nocy, te kilka godzin, które uważała za największy skarb swego życia, jedyne chwile, kiedy dotykała innego człowieka, zostaną splamione, splugawione wspomnieniami więzienia, zapachem choroby i śmiertelności. Nic jej już nie zostanie. Musi trzymać się przeszłości i przyszłości, kiedy znów będzie sobą. To właśnie jednak jest przyszłość, o której tak długo marzyła: Itale uwolniony, razem z nią w samotnym domu na początku wiosny.

Nie przestawało padać. Nie mogli ogrzać domu. Gospodyni była stara i zrzędliva, rządcą majątku przychodził codziennie z pytaniami, na które Luisa nie potrafiła inteligentnie odpowiedzieć, oraz wyjaśnieniami dotyczącymi pożyczek, zakupów i sprzedaży, o których nic nie wiedziała. Milczący i zgorzkniały lekarz przychodził i wychodził z butelką grubych, czarnych pijawek. Luisa codziennie jeździła na którymś ze starych koni o zeszywniałych nogach. Od wielu

lat nie było tu żadnych myśliwych czy jeźdźców, którzy zadbaliby o stajnie. Dzierżawcy zajmowali się swoimi sprawami i wykazywali całkowitą obojętność na obecność czy nieobecność właścicielki majątku. Nie знаła już nikogo w odległym o sześć mil miasteczku, w którym jej dziadek położył podwaliny pod swój majątek spekulując w czasie wojny żywnością i w którym był wielkim człowiekiem. Nudząc się i odczuwając straszliwą samotność, Luisa czuła się jak wtedy, kiedy była tu jako dziecko: odsunięta na bok, zapomniana. A jednak to ona sama się odizolowała, nikomu nie zwierając się ze swoich planów, żeby chociaż raz mogła być sam na sam z Itale... Napisała do Enrike'a do Wiednia, żeby koniecznie wziął wcześniejszy urlop i spędził go w majątku. "Musisz tu przyjechać", napisała. "Nie wiem, co począć".

Wszystkie ciężkie przeżycia i niepowodzenia, zniewagi i trudy jej długiego oblężenia rządu w Krasnoy nie wyczerpały i nie przygnębiły jej tak bardzo, jak te dwa tygodnie, które upłynęły od czasu, kiedy udała się do św. Łazarza z nakazem zwolnienia Itale. Teraz wiedziała, jak bardzo cieszyło ją to oblężenie, cała jego strategia, pochlebstwa, powolne zdobywanie wpływów, przechytrzenie złośliwców i wyprzedzanie głupców. Mając na względzie ten jeden tylko cel, chociaż potrafiła całymi dniami czy tygodniami o nim nie mówić albo nawet o nim nie myśleć, stała się dość ważną postacią stołecznej polityki. Oddawała małe i wielkie przysługi mężczyznom i kobietom mniej od siebie przebiegłym, zdobyła dla swego brata dyplomatyczną posadę w Wiedniu, została przyjaciółką wielkiej księżnej oraz podburzającego pospólstwo deputowanego Stefana Oragona, premier Cornelius przychodził do jej domu przy ulicy Roches, by rozmawiać tam z inteligentnymi i dyskretnymi ludźmi, a nowy minister finansów, Raskayneskar z Val Altesma, zaproponował jej małżeństwo jako interes, na którym skorzystają oboje. Miejscowe pismo "Wywiadowca" pełne było plotek o niej, lecz nikomu nie udało się jej zniesławić, czy to w sensie osobistym czy politycznym. Używała wszystkich swych talentów, i używała ich dzielnie, odnosząc całkowity, uznany sukces. Zwyciężyła. A owocem owego zwycięstwa, odniesionego dzięki odważnemu marszowi przez pokoje i biura ludzi znajdujących się u władzy, jest to.

Dręczył ją widok chorego oraz pamięć o tym, jak niegdyś wyglądał. Dlaczego jest tak karana? Czyż nie pracowała, by go uwolnić, czy nie odniosła zwycięstwa? Czym zatem jest wolność? Tym nieutulonym żalem?

Lekarz sprowadził z miasteczka kobietę do opieki nad Itale. Pewnego wieczoru, gdy pielęgniarka jadła na dole kolację, Luisa poszła do pokoju chorego dręczona gniewnym niepokojem. Jedyne światło padało od jasnego ognia na kominku. Sądziła, że chory śpi, lecz kiedy podeszła do łóżka, odezwał się:

- Kto to?

- To ja, Luisa. Poznajesz mnie? - Podeszła blisko do niego i mówiła głośno, niecierpliwie i wyzywająco. Nie widziała jego twarzy.

Odpowiedział. Głos miał słaby, lecz naturalny. Był to jego własny głos.

- Nie pamiętam. Gdzie jest Amadey?

Przebiegł ją zimny dreszcz i coś ścisnęło w gardle.

- Nie ma go tu - wyszeptwała w końcu.

Chory nie zwracał żadnej uwagi na jej słowa. Odwrócił nieco głowę. Na suchą krzywiznę jego policzka padał czerwony blask ognia. Leżał patrząc wprost przed siebie. Luisa usiadła na krześle stojącym w nogach łóżka. Trzęsła się i po chwili ostrożnie wstała, by wyjść z pokoju. Wtedy Itale westchnął i coś mruknął, a potem powiedział wyraźnie dwa słowa: - Ten śnieg - i znów pogрузzył się w milczeniu.

Wybiegła z pokoju, poszła do siebie i stanęła przy oknie, wychodzącym na frontowy ogród. Księżyc w pełni lśnił i znikał między pędzącymi chmurami. Zobaczyła drogę, proste, jasne pasmo leżące między ciemnymi polami, wybiegającą poza bramę. Jako dziecko widziała w tej drodze, którą przyjeżdżali i odjeżdżali dorośli, goście, jej rodzice - wolność. Słowo to straciło swoje znaczenie, podobnie jak słowo "miłość". Czyż nie kochała Itale? A on jej? Lecz nie wiedziała, kim on jest. Pracowała, by uwolnić mężczyznę, lecz nie był nim ten chory mężczyzna leżący w jej domu. Co to znaczy, że byli kochankami? Kim ona była dla niego? On jej nie poznał. Nie wypowiedział jej imienia. Zapytał o nieżyjącego człowieka i powiedział "ten śnieg". Wspomnienia, nawarstwienia, zawiłości, uczucia, niepokoje, cały trywialny i ogromny świat, którego była przez chwilę elementem - mogła usłyszeć fragmenty tego wszystkiego, gdyby chciała przysłuchiwać się jego błędzemu w gorączce umysłowi, lecz gdzie jest ona? Zbłąkana w obcym miejscu, w świecie, jaki znał Itale, w jego świecie, którego centrum nigdy nie była. Przyjąć nieograniczone bogactwo, niezależność czyjejś innej osobowości oznaczało utratę siebie samej. Nie potrafi tego zrobić. Nigdy nie potrafiła tego zrobić, wyjąwszy te kilka razy, te godziny, które teraz odrzucała. Co jest dobrego w tak zwanej miłości, w dotykających się i spotykających dłoniach i ciałach, jeśli prawdą jest to, ta nieszczęsna izolacja umierającego ciała - to chore zwierzę?

Śniło się jej tej nocy, że chodzi po ulicach miasta, którego nigdy przedtem nie widziała, miasta leżącego wśród gór, a jego ulice były z ubitego śniegu. Nie mogła znaleźć miejsca, do którego miała pójść, gdzie w stajni czekał koń juczny.

Nazajutrz, kiedy późnym popołudniem wróciła z długiej przejażdżki, służący zapowiedział gościa: pan Sorde. Przez chwilę zastygła w oszołomieniu, prawie w panice. Ochłonęła dopiero na widok czekającego na nią w salonie czarno odzianego dżentelmena z prowincji w średnim wieku.

Podeszła do niego ostrożnie.

- Jestem Luisa Paludeskar.

Mężczyzna skłonił się.

- Emanuel Sorde, pani baronówno.

- Ojciec Itale?

- Wuj. Zdrowie jego ojca nie pozwala mu wybrać się obecnie w podróż. Przepraszam, że panią niepokoję. Czy mogę zobaczyć Itale?

Nie pisała do rodziny Itale ani nie zawiadomiła żadnego z jego przyjaciół w Krasnoy o niczym poza tym, że został zwolniony z więzienia. Oni napisali do jego rodziny w Montaynie, a ten człowiek przebył cały kraj licząc na to, że, być może, zastanie tu Itale. Jeśli nie, znalazłby go gdzie indziej. Nie zapytał, dlaczego nie napisała, ani go to nie obchodziło. Postanowił po prostu zobaczyć Itale. Od razu zaprowadziła go na górę.

Zostawiła w pokoju chorego, a sama poszła do siebie przebrać się. Była rozgoryczona. Jak długo będzie to jeszcze trwało? Zamiast miłości i azylu miała chorobę i samotność. Wstyd zamiast tryumfu. Zamiast Itale - jego wuja... To kiepski żart. Czyżby niesłusznie spodziewała się po wypuszczeniu Itale szczęścia zarówno dla siebie, jak i dla niego? Gdyby nie pragnęła tego szczęścia, to jak mogła przeżyć te dwa lata i zrobić to wszystko, co uczyniła do zdobycia dla niego wolności? W czym tkwi błąd?

Obecność wuja przy kolacji uwolniła ją przynajmniej od nie kończącego się rozmyślania nad takimi pytaniami. Był zmęczony, głodny i myślał jedynie o swym bratanku. Zachowywał się sztywno i ostrożnie, z chłodną obojętnością - ona go nie interesowała. Zaczęła się czuć przy nim swobodnie. Kiedy rozmawiali o chorobie Itale, zadała Emanuelowi Sorde pytanie, którego nigdy nie odważyła się zadać lekarzowi:

- Nawet kiedy spada mu gorączka... jakby niczego nie zauważał... - nie wyjaśniła, czego się obawia, lecz Sorde chyba zrozumiał, bo odpowiedział:

- Sądzę, że to ta choroba, baronówno. To właśnie oznacza słowo "tyfus". Odrętwienie. To mija. Co mówi lekarz?

Potrząsnęła głową.

- Nie chce mi nawet powiedzieć, czy Itale czuje się lepiej, czy gorzej.

- Ta kobieta powiedziała, że przez ostatnie dwa dni nie miał gorączki.

Nie wiedziała o tym. Siedziała w milczeniu nad nietkniętym jedzeniem, a Sorde jadł z apetytem.

- Pani baronówno - odezwał się dość szorstko - przejeżdżając przez Krasnoy widziałem się z panem Brelavayem. Powiedział mi to, o czym nie pozwoliła pani do nas napisać skromność. Jesteśmy tak wielkimi pani dłużnikami, że mówienie o tym jest z mojej strony arogancją.

Była zaskoczona i odpowiedziała bez zastanowienia:

- Nie jestem skromna, panie Sorde. Działam we własnym interesie. Itale był moim przyjacielem. Tego przyjaciela mi odebrano, więc postarałam się go odzyskać. To wszystko.

Zdumiewając ją po raz kolejny, prowincjonalny prawnik po prostu się uśmiechnął i uniósł kieliszek z lekkim, stosownym skinieniem głową. Zdała sobie sprawę, że jest potężny jak Itale.

- Proszę tylko o to, żebyśmy mogła zobaczyć dawnego Itale - powiedziała.

- Tego nie zobaczymy, pani baronówna.

- Ale wraca do zdrowia...?

- Mam nadzieję - śmiem tak sądzić zobaczywszy go, mimo że bardzo się zmienił. Nie mam jednak nadziei, że kiedykolwiek zobaczę go takim, jakim był dawniej.

Skończył jeść i cicho położył widelec w poprzek talerza, jak na wsi. Jego prowincjonalna pewność siebie człowieka w średnim wieku budziła jej nienawiść. Ona go nie obchodziła. Nie obchodziło go, co straciła. Był stary, a jak wszyscy starzy ludzie nie dbał o przyszłość, nie wierzył w nią.

Lecz jeśli ma rację, jeśli Itale się zmienił, jeśli nie będzie już taki sam, to jakiej przyszłości ona szuka? Znow między nią i przystojnym, miłym chłopcem, który był jej kochankiem, stanęła postać z pomieszczenia dla strażników, żałosna i odpychająca. Zupełnie jakby gorączka spaliła to poprzednie wyobrażenie niczym papier, jak banknot płonący w ogniu. Co zostało? Stary człowiek, wuj, ma rację. Oni zawsze mają rację. Z Itale nie zostało nic oprócz tego człowieka na górze, którego nie znała, na którego nie chciała patrzeć ani przy którym nie chciała być.

ROZDZIAŁ 2

Na łóżku położył się ukośny promień porannego słońca. Chłodne złoto skąpało dłonie leżącego. Za oknem jaskółki nurkowały i wznosiły się budując pod okapem gniazda. Nie mógł długo na nie patrzeć, oczy mu łzawiły, oślepione słońcem.

Emanuel siedział w fotelu z otwartą książką na kolanach, ale właśnie czyścił paznokcie i z przyjemnością się na tym koncentrował.

- Jak się czuje Perneta?

Emanuel szybko podniósł wzrok, a potem wrócił do przerwanej czynności i odpowiedział:

- Bardzo dobrze. W zeszłym roku przyjechał z Solarij jej cioteczny wnuk, to znaczy syn córki jej brata Karela, nazywa się Karel Kidre, przyjemny młodzieniec. Posiadanie krewnego, którego może rozpieszczać, sprawia jej wielką przyjemność. Pomaga w biurze. Podczas mojej nieobecności przejął prowadzenie niektórych uciążliwych spraw, choćby tych przeklętych spraw spadkowych z Val Modrone. Nic tak nie cieszy prawnika jak ciągnący się przez trzy pokolenia spór o miedzę. Sądzę jednak, że młody Karel przez większość czasu przebywa w Valtorsie, jeśli pogoda jest tam taka sama jak tu.

- Hrabia Orlant?

- Czuje się dobrze. To Piera stanowi atrakcję.

- Piera?

- Nie zapomniałeś Piery.

- Wyszła za męża. W Aisnar.

- Skąd wiesz? Prawda, wiedziałeś o tym przed nami - widziałeś się z nią w Aisnar, prawda? Nie, zerwała zaręczyny. Mieli się pobrać na Boże Narodzenie, ale ślub został odłożony do wiosny, a potem nagle został odwołany. To chyba było w jakiś czas po twoim aresztowaniu. Nigdy nie zrozumiałem, dlaczego. W każdym razie nadal jest niezamężna. Hrabia Orlant oczywiście jak zawsze pozwala jej na wszystko. Właściwie pozwala jej prowadzić majątek. Przez ostatnie dwa lata prowadzę dla niej kilka spraw. Muszę przyznać, że jest o wiele lepszą administratorką niż jej ojciec. Nie wiem, co wstąpiło w młode kobiety. Laura ma podobne zamiary, gdyby tylko Guide jej pozwolił, a wcale nie ma do tego głowy. Po co chcą zarządzać? Coś jest ostatnio nie tak z małżeństwem i rodziną? A przecież obie są pięknymi kobietami. Marnotrawstwo...

Emanuel mówił spokojnie, z namysłem, robił między zdaniami długie przerwy. Itale słuchał, przyglądając się blaskowi słońca na czerwonej kopercie pierzyny leżącej na łóżku. Ciemna czerwień nieco zbladła, a delikatne nitki odbijały światło maleńkimi żyłkami srebra. Wytarty atlas był bardzo miękki w dotyku. Ciepło, miękkość, słońce, kolor - wszystko go pochłaniało, musi, po

trochu, od nowa się nauczyć. Obecność Emanuela, jego głos, ręce były boją, tratwą. To właśnie dotyk Emanuela uratował go od nie kończącego się błędzenia w gorączce. Jego wyciągnięta ręka dosłownie sprowadziła go z powrotem, podtrzymując na powierzchni strumienia życia. I jego spokojny głos, meandrujący wśród znajomych nazw.

W jakiś tydzień później przyszła do nich wieczorem Luisa. Itale siedział podparty poduszkami, żeby mógł widzieć ogień na kominku. Opuchlizna gruczołów limfatycznych, która pojawiła się po gorączce, znacznie się zmniejszyła i teraz spoczywał wygodnie, ciesząc się ciepłem i odpoczynkiem. Emanuel i Luisa trochę rozmawiali. Itale nie zwracał na nich uwagi. Wreszcie ona zapytała:

- Itale, czy pamiętasz naszą podróż z Rakavy?

Zastanowił się przez chwilę.

- Nie.

- Ze względu na powódź musieliśmy zrobić objazd do Foranoy. Żaden z promów nie chodził.

- Nie... Ale kiedy... dzień, kiedy wyszedłem. Było jasno.

- Tak, było słonecznie, między burzami. Wiał wiatr.

- Widziałem słońce.

- Nigdy nie widziałeś słońca w więzieniu? - zapytał Emanuel, lecz Itale nie odpowiedział.

Nigdy nie mówił o dwudziestu sześciu miesiącach spędzonych u św. Łazarza, a Emanuel go nie naciskał, mówiąc do Luisy:

- Najlepiej będzie, gdy zostawi to za sobą.

Robił się silniejszy, ale niewiele mówił. Bardzo mało pytań zadawał Emanuelowi, a Luisie żadnych. Zostawiła na jego stoliku egzemplarz "Novesma Verba", ale nie wiedziała, czy go przeczytał. Kiedy mógł wstać, chciał po prostu wyjść na dwór, być na powietrzu, początkowo siedząc, a potem trochę spacerując po dzikich, na wpół zrujnowanych ogrodach. Ludzie mieszkający w majątku ze zdumieniem przyglądali się jego dziwnej, wysokiej i nadal szokująco chudej postaci, a zwłaszcza pokrytej szczecina głowie.

W wieczór poprzedzający przyjazd Enrike'a - bowiem na prośbę Luisy natychmiast odpowiedział obietnicą wspólnego spędzenia części urlopu - zaraz po przyjeździe z Wiednia - zwróciła się do Emanuela:

- Panie Sorde, potrzebuję pańskiej rady.

- Lecz nie w żadnej bardzo ważnej sprawie - odparł sucho Emanuel.

Luisa przyjęła ten komplement z uśmiechem. Nie lubili się, lecz nauczyli wzajemnie szanować swój dowcip i siłę woli, a nawet czerpali z tego sporą przyjemność.

- To bardzo ważne.

- Itale czy prawo majątkowe?

- Itale.

- To dobrze.

- Czy jest wystarczająco silny, by wysłuchać złej wiadomości?

- Nie wiem, pani baronówno. O co chodzi?

- Wie pan, że był przyjacielem Amadeya Estenskara, tego poety. On nie żyje. Popęlił samobójstwo w miesiąc czy dwa po aresztowaniu Itale. Prawdopodobnie o jego uwięzieniu nie wiedział. Potem doszły mnie słuchy, że też był pod obserwacją, zatrzymywano jego korespondencję, próbowano wysunąć przeciwko niemu jakieś oskarżenie. Po śmierci Amadeya jego brat został aresztowany i przetrzymywali go dwa miesiące, ale w końcu wypuścili, nie stawiając żadnych zarzutów. Itale mieszkał u nich tuż przed przyjazdem do Rakavy. O ile wiem, nikt mu nie powiedział, nie wie, że Estenskar nie żyje. Czy kiedykolwiek pan mu o tym wspominał? Czy coś mówił?

- Nie - powiedział Emanuel, potrząsając przecząco głową. Złączył dłonie i spojrzał na nie z ponurą miną. - Powiem mu, jeśli pani chce. Myślę, że może to podejrzewać.

- Nie, dziękuję za propozycję przejęcia tego ciężaru, ale nie powinien pan sobie psuć ostatnich dni pobytu z nim. Znałam Estenskara, powiem Itale po pańskim wyjeździe. Jeśli sądzi pan, że jest...

- O, on jest twardy, baronówno - rzekł Emanuel z tą samą ponurą miną. - Wytrzyma. Myślę, że teraz może wytrzymać prawie wszystko. Jednego tylko nie może - dawać. Jeśli chce mu pani tego zaoszczędzić, jeśli potrafi go pani jeszcze przez jakiś czas ochronić przed koniecznością czynienia wyborów i podejmowania decyzji, jeśli pozwoli mu przebywać tu z dala od ludzi, zrobi pani dla niego więcej niż ten lekarz o końskiej twarzy.

Idąc za swą własną radą Emanuel wyjechał jeszcze w tym samym tygodniu nawet nie pytając Itale, co zamierza robić po wyjeździe z Soveny. On sam próbował poruszyć ten temat w wieczór przed wyjazdem Emanuela:

- Jesteś pewien, że ojciec dobrze się czuje?

- Czytałeś list matki.

- Oboje mnie oszczędzacie.

- Nie, naprawdę nie. Powiedziałem ci chyba dokładnie to, co doktor Charkar powiedział nam. Nie ma silnego serca, ale nie jest chore. Nadal prowadzi aktywny tryb życia, ale w granicach rozsądku. Przecież ma ponad sześćdziesiątkę.

- To właśnie jest problem - powiedział Itale, a Emanuel zmarszczył brwi.

- Posłuchaj, Itale, jeszcze nie musisz niczego postanawiać tylko dlatego, że wyjeżdżam do domu. Zostań tu tak długo, jak się da, spróbuj znaleźć właściwy kierunek, nie pozwól, by cię do czegośkolwiek zmuszano.

Itale spojrzał na niego, a następnie odwrócił wzrok.

- Czy zostanę przyjęty - powiedział niewyraźnie.

Emanuel początkowo go nie zrozumiał, a kiedy słowa bratanka do niego dotarły, odpowiedział bez namysłu: - Oczywiście, nie bądź niemądry - pomijając to pytanie, które nagle stanęło przed nim jeszcze raz dopiero znacznie później, kiedy od kilku godzin znajdował się w podróży do domu. Było tak wyraźne i przepełnione bólem, że omal nie zawołał: "Mój Boże, Itale, jak możesz o to pytać? Co ci zrobili, że zadajesz takie pytanie?"

Enrike Paludeskar przyjechał parę dni wcześniej, pierwszego maja, podczas szalejącej burzy. Był bardzo niezadowolony. Dotrzymał obietnicy, przybył na wezwanie siostry, ale nie ukrywał oburzenia na jej oczekiwanie, że zamknie się w ponurym domu, w zapomnianych przez Boga prowincjach, razem z nią i niedawno wypuszczonym z więzienia wyrotowcem. Jest nierozsądna, nie chce sobie zdać sprawy, że zmuszając go do przyjazdu, a nawet trzymając tu Itale, kiedy Enrike jest w Wiedniu czy Krasnoj, zagraża jego pozycji, jego karierze. Oznajmił to bez ogródek, w długiej rozmowie, lecz kiedy Itale wszedł do pokoju, odwrócił się, spojrzał i wyciągnął do niego rękę. Jego ciężka twarz zbladła. Próbował coś powiedzieć, ale mu się nie udało. Potrząsnął dłonią Itale i nieśmiało położył mu na ramieniu lewą rękę, po czym niezręcznie się wycofał.

- Słyszałem, słyszałem, że chorowałeś - wyjąkał.

Potem nigdy już mu się nie udało spojrzeć Itale prosto w twarz i naturalnie z nim porozmawiać. Na szczęście dawny przyjaciel mówił bardzo mało, a Enrike nie musiał próbować wyjaśniać Luisie swej winy i wstrętu. Nie pojmował tego, co się wydarzyło. Sorde próbował obalić rząd, z którym pracował, zwykłych, uczciwych ludzi, i ten sam rząd, ci sami uczciwi ludzie coś takiego z nim zrobili. Po prostu niewiarygodne, niezrozumiałe. Nie potrafił rozwiązać tego problemu, a sam Itale bardzo go niepokoił.

- Jak ci się podoba praca w Wiedniu? - zapytał go raz Itale swobodnym tonem, a Enrike z trudem złapał oddech szukając w popłochu odpowiedzi:

- Jest... ciekawa i w ogóle... nie robię nic ważnego... otwieram listy i w ogóle...

- Harry - wtrąciła przeciągle Luisa - chcesz powiedzieć, że cenzurujesz korespondencję?

- Nie, nie, nie, nic takiego, na miłość boską, Luiso! Kim według ciebie jestem? Nie, to są listy oficjalne, listy do ambasadora - depesze i tak dalej!

Nie rozmawiał już więcej z Luisa o odsyłaniu Itale. Sam jednak zamierzał wyjechać jak najszybciej. Siostra i tak go nie potrzebowała - zaczęła już, jak zawsze, zbierać sobie znajomych tworząc dziwaczną galerię postaci.

Byli to sąsiedzi, niektórzy mieszkający w odległości trzydziestu mil, ale jazda przez całą prowincję nie dla nich nie znaczyła, jeśli czekał na nich zastawiony stół i gorąca dyskusja polityczna. W ogromnym majątku, leżącym dwadzieścia mil na północ, mieszkał książę Matiyas Sovenskar, następca tronu Orsinii, i nikt nie zapomniał o jego obecności, choć od lat nie opuszczał swej posiadłości. W prowincji aż się roiło od emerytowanych oficerów rozwiązanej armii narodowej, już starych, lecz niezmiennie zgorzkniałych. Naśladując młodych liberałów ze stolicy, przywrócili niedawno do życia swój klub Przyjaciół Konstytucji. Ostrożnie wypytywali Luisę, chcąc dowiedzieć się, kim jest mieszkający u niej człowiek. W Krasnoy uważano ją za kobietę mającą liberalnych przyjaciół, lecz wpływową w kręgach konserwatywnych, natomiast w Sovenie uchodziła za - z powodu obecności Itale - radykalną patriotkę. Enrike się temu sprzeciwiał, oskarżał ją o hipokryzję i wtrącanie się do spraw, których nie rozumie, lecz siostra przypominała mu, że mimo owego braku rozumienia załatwiła mu pracę w dyplomacji. Wyjechał jak zwykle pokonany.

Luisa znów zaczęła się bawić. W jej gościnnym salonie siwowłosi byli pułkownicy jeszcze raz walczyli pod Lipskiem, a ich synowie, właściciele bogatych sovenskich posiadłości, wznosili toasty najpierw na cześć księcia Matiyasa - "za Sovenskara, za Konstytucję, za Naród!" - a potem na jej cześć. Baron Agrikol LaraveyGotheskar, mający sześć stóp i dwa cale wzrostu, czarne wąsy i szeroką pierś, wypił jej zdrowie, po czym cisnął kieliszek do kominka. Brakowało jej powagi takich ludzi jak Raskayneskar czy Cornelius, pod których dobrocią kryła się prawdziwa władza polityczna, lecz lubiła tych hałaśliwych, swarliwych mieszkańców Północy, cieszących się namiastką władzy. Chciało jej się śmiać za każdym razem, kiedy Laravey Gotheskar tłukł kolejny kieliszek do wina, a jednak była poruszona, czując na sobie jego ogniste spojrzenie.

- Panie baronie, pańskie pochlebstwa kosztowały mnie już trzy kryształki mojej babki - powiedziała mu.

- Pochlebstwa! Żle mnie pani ocenia, baronówno! - odparował z wściekłością, jak się tego spodziewała, i odszedł z marsem na czole, żeby przeżywać w samotności, lecz tocząca się obok dyskusja odwróciła bieg jego myśli i baron włączył się do niej agresywnie, wołając: - Ale Wiedeń nie usłyszy żadnego głosu oprócz głosu krwi i żelaza, panowie!

Wszyscy, nawet Laravey-Gotheskar, obchodzili się z Itale bardzo łagodnie. Nie brał udziału w ich dyskusjach i zwykle wcześniej opuszczał towarzystwo. Nie musiał nic wyjaśniać ani przepraszać - powód był aż nadto widoczny, chociaż, w miarę jak wiosna przechodziła w czyste,

jasne, północne lato, przybierał nieco na wadze i nabierał zdrowego wyglądu. Nadal jeśli tylko mógł, spędzał cały dzień na dworze. Trochę spacerował i jeździł konno, rozmawiał z ludźmi spotykanymi w posiadłości. Luisa sądziła, że nie ma powodu, dla którego nie miałby rozmawiać z tymi ludźmi równymi mu wykształceniem, pochodzeniem i poglądami. Dlaczego więc milczał?

- Istnieje szansa, że opróżnione miejsce Soveny przypadnie Laraveyowi-Gotheskarowi. Mógłbyś mu opowiedzieć tyle ważnych rzeczy o Zgromadzeniu, Itale. On jest bardzo naiwny.

- Nie mnie mu o tym mówić.

- Dlaczego? Kto wie o tym wszystkim więcej od ciebie? Mógłbyś go ustrzec przed zrobieniem wielu błędów...

- Ale ja niczego nie wiem. Mam przestarzałe wiadomości. Do niedawna jeszcze nie wiedziałem, że Amiktiya została rozwiązana. Chyba nie pojmuję wielu rzeczy. - Patrzył na nią przez chwilę nieśmiało. - No i Estenskar - powiedział bardzo cicho, jakby przepraszało.

Powiedziała mu o śmierci Amadeya przed trzema tygodniami. Wiadomość przyjął spokojnie i spokojnie o tym mówił, zadał kilka pytań i potem nie poruszał już tego tematu. Zaniepokoiło ją, że tak nagle wspomniał teraz o Estenskarze.

- Chciałabym, żebyś pomógł Laraveyowi-Gotheskarowi. Bardzo młody i naiwny, ale nie głupi. Właśnie takich ludzi twoi znajomi potrzebują w Zgromadzeniu.

- Tak.

- Czasami przypomina mi ciebie. Kiedy dopiero co przyjechałeś ze swoich gór.

Itale uśmiechnął się z lekkim przymusem i Luisa zdała sobie sprawę, że tym porównaniem go uraziła.

Wydawało się jednak, że wszystko go uraza. Wszystkiego się obawiał. Robił uniki, wymykał się, kluczył. Nie chciał się angażować, nie chciał w niczym brać udziału. Jediną osobą, której towarzystwa sam poszukiwał, był luterański pastor z wioski, matematyk-amator, nieokrzesany, podstarzały mizoginista. Siadywali razem w ogrodzie z kilkoma książkami. Pastor coś wyjaśniał, Itale go słuchał. Były to lekcje matematycznego żargonu: rachunek różniczkowy i całkowy, dwumiany i Bóg jeden wie, co jeszcze. Kiedy zniecierpliwienie Luisy wyraziło się w łagodnym sarkazmie, Itale wyjaśnił sztywno, że próbował już zająć umysł matematyką "przed chorobą", i stwierdziwszy, iż wie bardzo niewiele, zawsze chciał nauczyć się więcej. Musiała zostawić ich w spokoju. Nie mógł jednak cały czas siedzieć w ogrodzie udając, że znów jest uczniem, unikając wszystkich pasjonujących go niegdyś problemów, przyczyny swoich cierpień, a także unikając jej.

Dom był pełen gości. Wieczorem, kiedy Itale po raz kolejny zrejterował, gdy tylko nadarzyła się okazja, odczuła niechęć czy upokorzenie i powiedziała do Laraveya Gotheskara:

- Gdybym tylko potrafiła zainteresować go wszystkim tym, co kiedyś było dla niego takie ważne!

Młody baron, nieczuły na jej uzalanie się nad sobą i nie dopuszczający żadnej krytyki bohatera, zmarszczył brwi:

- My rozmawiamy, rozmawiamy, dlaczego miałby nas słuchać? On to wszystko przeżył!

Luisa poczuła zadowolenie. Kiedyś Itale tak ją karmił. Laravey Gotheskar był pierwszym od kilku lat mężczyzną, który udzielił jej moralnej nagany.

- Obawiam się, że przemawia przede mną rozczarowanie - odpowiedziała potulnie. - Brakuje mi go, kiedy się chowa...

- Oczywiście - odparł młodzieniec i zamyślił się pogrążony w straszliwym zamęcie entuzjazmu, podziwu i zazdrości, dokładnie tak, jak zaplanowała Luisa.

Na tym polegał z nim kłopot. Mimo całej jego nieprzewidywalności potrafiła z nim zrobić, co chciała. Było tylko dwóch mężczyzn, których nigdy nie potrafiła nagiąć do swego kaprysu, chociaż jeden z nich dwa razy poprosił ją o rękę i poprosiłby jeszcze raz, gdyby sądził, że się to na coś zda, a drugi był jej kochankiem: George Helleskar oraz Itale. Helleskar nauczył ją wszystkiego o wierności, a Itale dawał jej, jako kobiecie, poczucie fizycznego spełnienia. Uwolnił ją wtedy tak, jak ona uwolniła jego.

Czy zatem być wolnym i uwalniać nie wystarcza, by otworzyć drzwi?

Kiedy goście wyszli, a na nią znów czekały długie dni milczenia, pozorna zażyłość, w rzeczywistości będąca narastającą obcością, poczuła gniew i zniecierpliwienie. Czas, żeby Itale wziął się w garść.

- Dlaczego nie chcesz z nimi rozmawiać? - zapytała stanowczo. - Wierzą we wszystko to, w co ty kiedyś wierzyłeś - czy uważasz się za kogoś lepszego?

Spojrzał na nią z niedowierzaniem, aż poczuła się zażenowana.

- A cóż ja im mogę powiedzieć? - zapytał potulnym tonem, którego u niego nie znosiła.

- Straciłeś zatem swą wiarę w moc słów? Albo w konstytucję, bezstronne prawo i całą resztę, we wszystko to, za co poszedłeś do więzienia? Czy to też się stało dla ciebie nieważne, jak wszystko inne?

- Jak to, wszystko inne?

- Jesteś obojętny na nich, na mnie, na wszystko.

Nie odpowiedział.

- Nawet nie chcesz mówić. Skąd mam cokolwiek o tobie wiedzieć, albo ty o mnie, po tym... po tym czasie...

- Cóż mogę powiedzieć? - powtórzył bezbarwnie, uparcie, a Luisa zdała sobie z przerażeniem sprawę, że on niczego przed nią nie ukrywa, że naprawdę nie może mówić. Emanuel Sorde powiedział, że jest twardy, lecz była to twardość skały pozbawiona sprężystości, niezniszczalna spójność skały, która jest sobą, dopóki jej ktoś nie skruszy. Ona potrafiła go złamać. Był bezbronny. Mógł się jedynie jej opierać, jej, która go uwolniła, a teraz jest jego strażniczką.

W wigilię św. Jana szeroki horyzont nocy jarzył się płomieniami rozrzuconych ognisk. Każda wioska, każde leżące oddzielnie gospodarstwo rozpałało własne. Dudy zawodziły obok trzaskających, niesamowitych stosów wrzośca i słomy, chłopcy i dziewczęta tańczyli, starcy pili. Noc pełna była głosów, hałasów, na wpół oświetlonych, biegających postaci. Luisa stała ze swoją pokojówką w miejscu gdzieś między ciemnością i blaskiem ognia, patrząc, jak wiejskie dziewczyny podkasują spódnice i przeskakują żar w rytuale tak starym, jak uprawiane przez nie pola. Ten skok przez ogień był skokiem z jałowości w płodność. Obserwujące je starsze kobiety śmiały się i zachęcały młódki do skoków sprośnymi okrzykami. Mężczyźni już się kłócili przy dużym ognisku, przygotowując się do bójki, którą zawsze kończyło się picie. Patrzyła ze wstrętem, podnieceniem, zazdrością i pogardą, dopóki Agata, którą to wszystko przerażało, nie odciągnęła jej od ognia. Po powrocie do domu Luisie było duszno w czterech ścianach, więc od razu wyszła do ogrodu, skąd widziała odległy blask dogasających ognisk.

- Luisa.

Stanąła jak wryta. Był niedaleko, na ścieżce obok zarośniętego żywopłotu stanowiącego w rozproszonym świetle księżyca ciemną bryłę. Nie widziała twarzy Itale.

- Nie chciałem cię przestraszyć.

- Nie przestraszyłeś mnie - skłamała. - Kto mógłby się bać w taką noc? Oglądałeś ogniska?

Ruszył w jej kierunku, lecz zatrzymał się po kilku krokach. Noc była ciepła, więc miał odkrytą głowę. Stał wysoki, cierpliwy i Luisa znów zobaczyła groteskową i żalostną postać z pomieszczenia dla strażników. Dlaczego on musi tak wyglądać, dlaczego musi tak stać?

- Były tańce przy ognisku w wiosce, bardzo ekscytujące widowisko. Pod tą całą luterańską gadaniną tutejsi wieśniacy są poganami. Zupełnie nie ucywilizowani.

- Czy mogę chwilę z tobą porozmawiać, Luiso?

- Nic nie sprawi mi większej przyjemności!

- Chyba powinienem niedługo wyjechać.

- Rozumiem. No cóż, to z pewnością położy kres dalszej rozmowie... - Nie potrafiła opanować irytacji, nie, czegoś więcej, ślepego gniewu na niego.

- Wiesz, że jestem ci wdzięczny - powiedział bardzo cicho.

- Na litość boską, Itale! Nie chcę twojej wdzięczności. Jeśli chcesz zostać, zostań, jeśli chcesz jechać, jedź. Jesteś wolny, chyba nie zdajesz sobie z tego sprawy. Chcę tylko, żebyś był tego świadom.

Doszli do końca ścieżki, idąc obok siebie. Księżyc, który kilka nocy temu był jeszcze w pełni, stał nad czarną niziną na wschodzie. Na południu, w pełnej dymu ciemności, czerwieniały cztery ogniska.

- Rozumiem, że twoja chęć wyjazdu wskazuje, iż postanowiłeś, że nie będziemy już kochankami.

Zatrzymał się i odwrócił do niej.

- Ja postanowiłem? Luiso... - Głos mu drżał. Zaczerpnął powietrza i powiedział z wyraźnym wysiłkiem: - To zostało zadecydowane za nas.

- Nikt niczego nie decyduje za mnie. Sama dokonuję wyborów!

- Potrafisz wybrać chęć dotknięcia mnie?

- O czym ty mówisz - rzekła z przerażeniem.

Stał nieruchomo i Luisa wiedziała, że nie może nic więcej powiedzieć i że udowodnienie mu, że nie ma racji, jest najprostszą rzeczą w świecie: wystarczyło, żeby ujęła go za rękę, dotknęła jego policzka, po prostu go dotknęła. Albo pozwoliła mu dotknąć siebie.

Cofnęła się o krok.

- To nie jest sprawiedliwe - wyszeptła. - To nie jest sprawiedliwe!

Po chwili Itale powiedział:

- Ja już nie wiem, co jest sprawiedliwe. Nie chcę ci sprawiać bólu, Luiso. Nigdy tego nie chciałem. I nigdy nie robiłem niczego innego.

- Dlaczego to musi być takie głupie? Dlaczego taka jestem, dlaczego zostałam w to schwytana? Dlaczego nie mogę być wolna, wolna od tego? Dlaczego nie możemy robić tego, co chcemy? - Daremnie próbowała walczyć z osaczającymi ją myślami.

- Ojej - rzekł z bólem i wstydem, wyciągając do niej rękę.

- Chciałabym umrzeć - powiedziała, odwróciła się i odeszła.

Kiedy spotkali się rano, Luisa była spokojna i uprzejma.

- No i co zrobimy, Itale? - zapytała. - Dokonamy wspólnego, tryumfalnego wjazdu do stolicy, czy wrócimy pojedynczo? Kiedy chcesz wyjechać?

- Nie wiem.

- Sądzisz, że czujesz się na tyle dobrze, żeby pojechać konno?

Skinął głową.

- Ja muszę chyba zostać na przyjęciu Laraveya-Gotheskara. Zaprosił księcia Matiyasa, bardzo bym chciała zobaczyć staruszkę... Masz zamiar być na tym przyjęciu? Odbędzie się za dwa tygodnie. Jeśli nie, to jedź, kiedy chcesz. Weź starego Szejka, to chyba jedyna chabeta, która wytrzyma drogę do Krasnoy.

Patrzył na nią pełen bólu. Te błękitne oczy!

- Ja przyjadę w połowie lipca. Enrike wraca wtedy do Wiednia, może pojedę z nim. Nauczyłam się, żeby nie zostawać w lecie w Krasnoy. To martwe centrum pokonanego kraju. Nie cierpię klęski.

Spojrzała na niego, a on spuścił oczy.

- Kiedy więc wyjeżdżasz?

- Jutro - odparł.

- Doskonale.

- Niewiele mam do spakowania - rzekł wstając - a i tak wszystko dostałem od ciebie. Wiesz o tym, Luiso. Konia... koszulę, życie...

Lecz ona nie chciała przyjąć pociechy, a w każdym razie nie od niego.

Wyjechał wcześniej rano. Pożegnała się z nim w domu na dole. Poszedł do stajni, ona wróciła na górę do swojego pokoju. Stała przy oknie i patrzyła, jak wyjeżdża za bramę, a potem jedzie prostą drogą między płaskimi polami. Spojrzał raz obróciwszy się w siodle. Nie uniosła ręki.

ROZDZIAŁ 3

Itale zjechał z Gasse późnym wieczorem ostatniego dnia czerwca. Podróżował zmęczony, na zmęczonym koniu. Wśród płowych pól łopianu, wśród skorup, chat, włóczęgów, kwaśnej gleby, wjechał na długie ulice Trasfiuve i przejechał przez Stary Most pod figurą św. Krzysztofa, patrona podróżnych, wspominając poranek jesiennej równonocy sprzed trzech lat. Zatrzymał się w małym zajeździe tuż przy Bulwarze Molseny, zjadł kolację i wkrótce poszedł spać. Jutro odwiedzi przyjaciół i zacznie żyć jak dawniej, ale dzisiaj chciał tylko spać. Pokój był mały i przy zaciągniętych zasłonach bardzo ciemny. Od razu wstał, odsłonił okno i szeroko otworzył oba jego skrzydła na ciepłą, hałaśliwą, miejską noc. Już zasypiał, gdy dzwon katedry, leżącej o kilka ulic dalej, wybił dziesiątą. Potem leżał w ciemności zupełnie rozbudzony, boleśnie wspominając czas spędzony w Krasnoy od chwili, gdy po raz pierwszy usłyszał bicie tego dzwonu; dwa lata, podczas których nagromadziło się tyle wydarzeń, że wydawały się leżeć niczym złocisty pas słonecznego blasku między dawnymi, długimi, spokojnymi latami spędzonymi w cieniu gór i niewyobrażalną, lecz bliską przeszłością, dwudziestoma siedmioma miesiącami mroku.

Następny dzień zaczął się gorącym porankiem. Jadł śniadanie w ulicznej kawiarni Dzielnicy Rzecznej i zastanawiał się nad powrotem do zajazdu. Myślał, że dobrze byłoby tam pozostać choćby jeszcze jeden dzień. Nie miał wiele odpoczynku, nie dowierzał sobie, swojej energii, swojej sile. Z czym będzie musiał tutaj walczyć? Jadąc z Soveny był z początku bardzo zdenerwowany, unikał wjazdu do każdego miasta i możliwych punktów kontrolnych, bojąc się okazywania dokumentów. Strach ten zmniejszył się, kiedy najpierw na jednym, a potem na następnym punkcie sprawdzono go pobieżnie i przepuszczono. Ale jak wygląda sytuacja tutaj? Nie wiedział i lękał się jej. Powinien jednak odprowadzić konia Luisy do stajni Paludeskarów przy ulicy Roches i zdobyć jakieś pieniądze. Nie było go stać na jeszcze jedną noc w zajeździe. Emanuel pożyczył mu pięćdziesiąt krunkerów, z których zostało mu w kieszeni szesnaście - mniej niż suma, z jaką tu przyjechał po raz pierwszy przed pięciu laty. Wracając ze Starej Dzielnicy nad rzekę i idąc bulwarem pod drzewami rosnącymi nad lśniącą wodą, pomyślał, że wszystkiego ma teraz mniej. Mniej gotówki, mniej siły, mniej czasu przed sobą. Nie stanie już do walki z wichrami życia, ani nawet nie przeciwstawi się słabościom swojego umysłu i ciała, burzy doznań i namiętności, która nigdy nie przemija, nie cichnie aż do samej śmierci, a w tej zawierusze mury budynku, więzienia, są tylko prochem. Idąc szeroką nadrzeczną ulicą czuł się dziwnie mały, lekki, bezcielesny, miał wrażenie, że jest tylko migotliwym, słabym odbiciem ludzkiej istoty. A jednak ta drobina, ten pyłek zawieszony gdzieś między słońcem wylewającym potoki światła i ziemią rzuca długi cień. To Itale

Sorde, który musi się oprzeć potędze wszechświata, aby pozostać sobą, ale i coś jeszcze - ma robić to, do czego został powołany. Bycie człowiekiem, idącym w blasku słońca, było dziwnym zadaniem, dziwniejszym od bycia kamieniem, rzeką czy drzewem wyciągającym gałęzie w lipcowym upale. One знаły swoje przeznaczenie. On nie wiedział, co ma robić.

Minął dwie małe dziewczynki, spieszące z zadyszaną opiekunką ku odległemu mirażowi wózka sprzedawcy sorbetu. Spostrzegł, że nad chudymi ramionami podskakują im warkoczyki. Jak dawno nie widział dziecka? Doszedł do redakcji "Novesma Verba". Skręcił do balustrady i oparł o nią ręce, patrząc, jak lśniąca Molsena płynie do morza. Taka daleka droga z tego lądowego kraju, Amadey nazwał go w "Odzie" "moim bezbrzeżnym królestwem", taka daleka droga do gorzkiego, bezimiennego końca... No, dalej, Itale, powiedział sobie i wyprostował się, odwrócił, przeszedł przez ulicę i wszedł stanowczym krokiem po schodach do swojej redakcji. Z przyzwyczajenia nie zastukał, lecz wszedł od razu do środka. Zza stołu wyszedł mu naprzeciw młody człowiek.

- Czego pan chce?

- Kto jest w środku? - wyjąkał Itale ze zmieszaniem. Nie wiedział, czy zapomniał, kim jest ten człowiek, czy też w ogóle go nie zna.

- Pan Brelavay ma gościa. Nazywam się Vernoy.

Rozpierała go młodość, miał najwyżej dwadzieścia lat i aż biła od niego pewność siebie. Itale był bardzo podatny na wszelkie wrażenia. Zaimponowała mu i szukając jakiegoś tematu powiedział:

- Jest pan z Amiktiyi?

Potem przypomniał sobie, że na kilka miesięcy przed jego zwolnieniem owo studenckie stowarzyszenie zostało zdelegalizowane, a kilku jego przywódców z uniwersytetu w Krasnoy znalazło się w areszcie. Głupio zapytał i chłopak wyrzucił z siebie:

- Kim pan jest?

- Sorde, Itale Sorde. Chciałem...

- Pan jest Sorde?

Itale potwierdził. Vernoy zmiękł jak wilgotny papier, zamachał rękoma i pobiegł po Brelavaya. Przyszedł Brelavay, niosąc swą ciemną twarz niczym długi, ironiczny drogowskaz na czubku swego długiego ciała, dokładnie taki sam jak dawniej, więc Itale roześmiał się na jego widok z czystej radości, lecz jego przyjaciel objął go nie mogąc powstrzymać łez i długo trzymał w uścisku.

- No, przestań, Tomasie...

Nie potrafili na siebie spojrzeć.

- Już. Czekaj, mam. - Brelavay znalazł chusteczkę i wytarł nos. - Chryste Wszechmogący, Itale - powiedział czule. - Co miałeś?

- Miałem?

- Na co byłeś chory?

- Na tyfus.

- To nie dowcip, co?

- Nie najlepszy.

- Chodź, dlaczego stoimy z chusteczką między nami jak w scenie z "Otella"? Jest tu Sangiusto, pamiętasz go, Itale? Chryste Wszechmogący! Znów wypowiadać twoje imię! Gdzie się zatrzymałeś? Nie próbowałem pisać do ciebie do Soveny, twoja baronówna napisała, że lepiej nie, musi dbać o swoją reputację, oczywiście polityczną. Chowała cię tam wystarczająco długo. Chyba potrzebowałeś tego. - Objął go ramieniem i popychał do biura, gdzie Itale, wstrząśnięty uczuciami własnymi i Brelavaya, uściśnął dłoń i spojrzał w twarz człowieka, który zwiększył jeszcze zamęt panujący w jego głowie wywołując wspomnienia blasku księżyca, szumu fontann, głosów Luisy i Piery, powozów na ulicy Fontarmana. Kiedy to wszystko nieco się uspokoiło, siedział odczuwając lekkie mdłości, a inni stali wokół niego z zatroskanymi minami.

- Przepraszam, jeszcze nie odzyskałem całkowicie sił jak się masz, Sangiusto?

- Znakomicie, Sorde.

- Mieszkasz w Krasnoy?

- Tak, od dwóch tygodni. Jestem zmęczony Anglią, wracam tutaj - odparł Włoch. Używał głównie czasu teraźniejszego. Głos miał spokojny, zachowywał się swobodnie, a w jego uśmiechu krył się cień konspiracji. Itale od razu poczuł się rozluźniony w jego towarzystwie. - Ale nastrój tutaj nie jest taki sam jak w dwudziestym siódmym, nawet w Aisnar. Panuje podniecenie... złość. Ale kto wie? Przyjeżdżam z Anglii. Wszyscy na kontynencie są podekscytowani i rozemocjonowani, nie?

- A co w Paryżu? - zapytał Brelavay.

- Och, Paryż. Ekstremiści. RoyerCollard, Artykuł Czternasty, kochankowie, kasztanowce, starcy łowiący rybki w Sekwanie. Paryż jest zawsze taki sam, a mimo to nieprzewidywalny!

Roześmieli się, a Sangiusto znów rzucił Itale szybkie, konspiracyjne spojrzenie. Mając poczucie odgrywania jakiejś roli, Itale zadawał pytania, jakich Brelavay miał się prawo po nim spodziewać: o ostatnie wydarzenia, polityczne trendy i zmiany.

- Jeśli są jakieś zmiany - powiedział Brelavay - to w nastroju, jak powiedział Sangiusto. Pod spodem - w ludziach, w narodzie. Na górze nic. Ministerstwo jest takie samo, z tą tylko różnicą, że

Raskayneskar zastąpił Tarvena, Zgromadzenie dalej coś mamrocze, wielka księżna jest chora, może zdrowa, może, wszystko to plotki.

- Ale trzy lata temu nie było plotek - rzekł Sangiusto.

Brelavay mówił dalej: podatki są większe, aresztowania polityczne coraz częstsze, wprowadzono "wyroki administracyjne" bez sądu, stowarzyszenie studenckie i kilka innych grup zostało zdelegalizowanych, cenzura szaleje i prawdopodobnie wszystkie listy są czytane, przez dwa lata był zły urodzaj, a bezrobocie w miastach, na wschodzie i w centrum kraju, jest wysokie.

- Niezły powód do złego nastroju - powiedział Itale.

- Wini się za to wszystko Zgromadzenie. Nawet za nieurodzaj.

- Wasze Zgromadzenie jest pokutnikiem - jak to się u was mówi, kozłem ofiarnym dla Austrii, premier już tego pilnuje.

- Jak się wie o Oragonowi? - zapytał Itale.

- Do diabła z Oragonem - odparł Brelavay. - On nie jest naszym Dantonem, Itale. On jest naszym Talleyrandem. I to demagogicznym - gnój znalazł się w drewnianym sabocie zamiast w jedwabnej pończosze - do diabła z narodem, jeśli Stefan Oragon może wspiąć się trochę wyżej!

- Luisa powiedziała, że ułaskawienie zawdzięczam w dużej mierze jemu.

- Istotnie. Potrzebuje dobrej prasy, a ty byłeś ceną, jaką musiał zapłacić.

- No tak. A jak...jak się miewa Frenin?

- Dobrze. Jest w Solarij. - Jako korespondent?

- Mieszka tam.

- W Solarij? Co tam się dzieje?

- Jak zawsze. Studenci, targi bydła, wszyscy w łózkach przed dziewiątą. Jest dostawcą zboża. Słyszałem, że nieźle mu się wiecie. Wyjechał z Krasnoy w kilka tygodni po tym, jak się dowiedzieliśmy, że cię aresztowano. - Itale nadal nic nie rozumiał. - Stchórzył - powiedział łagodnie Brelavay.

Brelavay, Frenin i Itale byli przyjaciółmi na długo przedtem, nim zaczęli myśleć o przyjeździe do stolicy, i to właśnie Frenin ich tu sprowadził, Frenin, który dawno temu powiedział w zalanym słonecznym blaskiem parku, nad błękitną Molseną: - Myślę o Krasnoy...

Dla Brelavaya była to prawie zapomniana już przykrość, dla Itale cios. Nie potrafił pozbyć się przekonania, że cierpienie, kapitulacja przed złem, chociaż w żaden sposób nie mógł tego uniknąć, uczyniły z niego przyczynę zła. To przez niego Frenin zrezygnował. Siedział w milczeniu przez chwilę świadomie i z bólem przyjmując tę odpowiedzialność, a potem zważył w ręce pęknięty kałamarz, który stał na stole, i w końcu się odezwał:

- Tomas, czy... czy wiesz cokolwiek o Isaberze?

- Nie ma po nim żadnego śladu. Nic. Od początku konsekwentnie zaprzeczali, że był u św. Łazarza, i twierdzili, że został zwolniony z nakazem opuszczenia prowincji. Poza tym nie wiemy nic.

Żył w więzieniu dwa lata ze świadomością śmierci chłopaka. Dopiero kiedy odebrano mu nadzieję, poznał, ile jej skrycie żywił, że kiedy wyjdzie, odkryje, iż to był błąd, okrutny żart, jego własny koszmar, a Isaber żyje.

Czuł się odpowiedzialny za jego śmierć.

Brelavay o nic go nie pytał, widząc, że jest strapiony, i zakładając, że wie nawet mniej od nich o losach chłopaka. Sangiusto wstał, przeciągnął się i powiedział po angielsku:

- "Ku świeżym polom i nowym pastwiskom..." Nic nie jadłem.

- Chodźcie, powiedziałem Givanowi, że spotkam się z nim o pierwszej w Illyrice - rzekł Brelavay z ulgą zmieniając pechowy temat.

Givan Karantay się nie zmienił. Był ciemny i ciepły, niczym przysypany popiołem żar. Siedzieli dwie godziny rozmawiając przy kawie. Podeszło do nich kilku młodzieńców prosząc o przedstawienie ich panu Sorde. Itale uścisnął im ręce i nie wdawał się w długie rozmowy. Odeszli pokornie.

- Jesteś ich bohaterem, ich Valturą, mój drogi - rzekł Karantay.

- Boże broń!

- Rzeczywiście Boże broń - powiedział Brelavay. - Valtura nie żyje. Zmarł w Spielbergu w dwudziestym ósmym.

- Gdzie teraz jest Silvio Pellico, który znał Byrona - powiedział swoim spokojnym głosem Sangiusto. - W więzieniu Spielberg musi być dobre towarzystwo. - Teraz Itale już wiedział, dlaczego Sangiusto patrzy na niego, jakby między nimi istniała jakaś więź. Otóż istniała. Sangiusto spędził jako więzień polityczny trzy lata w więzieniu Piombi w Wenecji. Brelavay, Karantay, inni młodzi chcieli się czegoś dowiedzieć o jego odsiadce, lecz nie śmieli pytać. Sangiusto nie chciał się dowiedzieć, nie musiał pytać. Ten cudzoziemiec i wygnaniec był krajanem Itale.

Czasami zdarzały się sprzeczki na temat Stefana Oragona i podczas jednej z nich Sangiusto powiedział:

- Ale on jest zawodowcem, prawda? A wy jesteście amatorami, ja też. Zamachy stanu są przeprowadzane przez zawodowców. Oni zwyciężają. Amatorzy robią rewolucje.

- I ponoszą klęski? - spytał Brelavay.

- Oczywiście!

- Ale posłuchaj, Sangiusto - powiedział Karantay - słowa są dobre, rzeczywiście, osiemdziesiąty dziewięty zrobili amatorzy. Tłumy, ludzie, którzy poszli na Wersal i zdobyli

Bastylię. A Zgromadzenie, żyrondyści, jakobini byli prawnikami, prowincjonalnymi literatami, a nie politykami. W miarę jednak, jak się uczyli nowego zawodu, zostawali profesjonalistami, a rewolucja zaczęła upadać i w sposób nieunikniony prowadziła do zamachu stanu, który ją zdradził.

- Nigdy nie nauczyli się nowego zawodu - powiedział Włoch. - Robespierre zawsze jest amatorem. Zawodowcem jest Napoleon. Prawdziwym pytaniem jest to, co jest porażką, a co sukcesem? Rewolucja poniosła porażkę, tak, a Napoleon odnosi same sukcesy, jest zdobywcą, cesarzem, ale nadzieję naszemu życiu daje porażka, a nie sukces.

- Vivre libre, ou mourr - rzekł Itale i roześmiał się.

- Właśnie, Vergniaud. Zawodowy prawnik odnoszący w swoim zawodzie sukcesy. Miły, leniwy gość, deputowany amator, porażka. - Sangiusto przejechał sobie kantem dłoni po gardle. - Piękna kariera gwałtownie ucięta. Lecz najpierw powiedział nam, żebyśmy żyli wolni lub zginęli. Dlaczego się roześmiałeś, Sorde?

- Przekonałem się, że wolałbym pozostać przy życiu, nawet jeśli nie byłbym wolny.

- Oczywiście. Przez dwa, trzy lata. Lub dłużej. Ale teraz żyjemy i jesteśmy wolni.

- Żyjemy - powiedział Itale.

Jego problemy finansowe zostały natychmiast rozwiązane, ponieważ Brelavay oznajmił mu, iż w "Novesma Verba" czeka na niego pensja z dwudziestu ośmiu miesięcy.

- Bardzo się to przydawało, nigdy nie mieliśmy pod ręką tyle gotówki, nie wiem, ile pożyczek daliśmy ludziom znajdującym się w ciężkiej sytuacji. Ale zawsze zwracali długi, bo to były twoje pieniądze. Gdyby były moje czy nasze, bez skrupułów by je sobie przywłaszczali...

Karantay zaprosił go do swego mieszkania, lecz Itale się zawahał.

- Kiedy wyjechałem do Rakawy, moje mieszkanie trzymał dla mnie przyjaciel. Powinienem sprawdzić, czy nadal tam mieszka.

Karantay poszedł z nim do Dzielnicy Rzecznej, mijając po drodze św. Stephena i ulicę Święta Kata, zatłoczone podwórka i zaułki pod przechylonymi domami w cieniu Wzgórza Uniwersyteckiego.

- Nic się tu nie zmieniło - zauważył Itale.

- Od pięciuset lat - dodał Karantay.

Przy Mallenastrada 9 otoczona kotami pani Rosa przywitała swego dawno zaginionego lokatora bez odrobiny ciepła.

- Są tu pańskie rzeczy, panie Sorde. Z przyjemnością się ich pozbędę.

- Czy pan Brunoy tu jest? Zmierzyła go wzrokiem.

- Nie.

Wiedziała, że był w więzieniu, lecz jego głos i ubranie mówiły, że jest dżentelmenem. Chciała, żeby nim był, dość miała w życiu więźniów, lecz nie mogła mu ufać. Już ją kiedyś zawiódł, więc powiedziała mściwym głosem:

- Zmarł tutaj dwa lata temu. Jego mieszkanie dostał Kounney.
- Rozumiem - rzekł Itale.

Po chwili zapytał potulnie, czy Kounney jest w domu. Pani Rosa odsunęła się od drzwi i Itale wszedł z Karantayem po ciemnych, trzeszczących schodach. Kounney wyszedł zza swego warsztatu i powiedział:

- Sprawilo nam wielką przykrość, kiedy się dowiedzieliśmy, panie Sorde. Miło pana widzieć.

Itale uścisnął mu rękę i pobawił się chwilę z dzieckiem, które urodziło się po jego wyjeździe i było teraz poważnym dwulatkiem. Na Itale patrzyły osadzone w delikatnej buzi ciemne oczy.

- Jak dziewczynka ma na imię, Kounney?
- To chłopczyk, jest trochę mały, wygląda jak dziewczynka. Nazwaliśmy go Liyve.

Przechowałem dla pana kilka rzeczy.

Kounney poszperał w drugim pokoju i wrócił z małą paczuszką papierów. Było tam kilka listów z Malafreny z jesieni 1827 roku i kartka papieru z ledwo czytelnym zdaniem schodzącym ukośnie w dół: "Prometeusz nie łańcuchy wieczne".

- Napisał to dla pana pan Brunoy na kilka dni przed śmiercią - wyjaśnił Kounney.

Itale podał kartkę Karantayowi i podszedł do okna.

- Znałeś go, Gwarne? - zapytał.
- Niezbyt dobrze. Przychodził do redakcji pytając o wieści o tobie.

Itale stał tyłem do pokoju.

- Był prawym człowiekiem.

- To prawda - wtrącił tkacz. - I miał dobrą śmierć. Kiedy to dla pana pisał, nie mógł mówić, ale pod koniec się odezwał. Uniósł się i powiedział: - Jestem gotowy - jak pan młody idący do ślubu. Popatrzyłem, do kogo mówi. A on położył się spokojny i zadowolony, oddech jakby mu się załamał, i umarł. Żałowałem, że ksiądz nie został dłużej. Nigdy nie widziałem lepszej śmierci.

- Tak - powiedział Itale. - Wiedział, jak to zrobić.

Wziął od Karantaya kawałek papieru, złożył go i wsunął do koperty zegarka.

- Jak panu idzie, Kounney?

- Pracuję. - Spojrzał na Itale. - Mieszkamy teraz w pańskich pokojach, bo jest nas trochę więcej - sześć osób, ale jeśli pan chce...

- Nie, nie wrócę, Kounney. Podniosła panu czynsz?

- Nie, i pod koniec nie chciała pieniędzy od pana Brunoya, więc to, co odłożył na komorne, i pieniądze ze sprzedaży książek i zegarka wystarczyły na pogrzeb. Ona nie jest taka zła. Wie, kiedy człowiekowi jest ciężko.

Itale ukląkł i wyciągnął rękę do delikatnego, poważnego chłopczyka ubranego w bezkształtną, znoszoną sukienkę.

- Do widzenia, Liyve - powiedział.

Różnica wielkości ich dłoni była ogromna. Itale dotknął policzka dziecka. Wstał i uściśnął na pożegnanie rękę Kounneyowi.

Poszli do mieszkania Karantaya leżącego na południe od Eleynaprade. Karantay przechował list do Itale od Amadeya Estenskara, datowany 28 lutego 1928 roku. Itale zaczął go czytać, ale przerwał lekturę i schował twarz w dłoniach.

- Nie mogę już dłużej czytać listów od zmarłych - powiedział.

Karantay zajmował ostatnie piętro domu. Miał kilka dużych, oszczędnie umeblowanych pokoi z wysokimi, dużymi oknami. Itale zaczął chodzić po gołej podłodze i po chwili znużony usiadł.

- Wszyscy umarli dzisiaj - powiedział.

- Te ostatnie dwa czy trzy lata nie były najlepsze - odparł łagodnie Karantay.

- Co się stało - co jest nie w porządku, Givanie?

- Nie wiem. Jeśli o mnie chodzi, to nic. Nadal piszę, dla mnie naprawdę tylko to się liczy. Mam źródło utrzymania, we wrześniu się żenię.

- Żenisz się! Z Karelą?

Karantay skinął głową. Od dawna był zakochany i nigdy nie chciał o tym mówić. Itale nawet teraz nie potrafił powiedzieć, czy jego małomówność oznacza chłód uczuć, czy też skrywa szczęście, które uważa za coś egoistycznego i niestosownego.

- Więc jak mówię, dla siebie mam wszystko, o co prosiłem. Ale dla nas wszystkich nie były to dobre lata. Ty w więzieniu, Amadey się zabija, Frenin rezygnuje... Któż może go obwinić? Cały czas wiedzieliśmy, że bijemy głowę w mur. A głowa czasami zaczyna boleć. I tumanieje... Było tyle rewizji. I wezwań – Tomasa już trzy razy wzywano. I te przekłete wyroki administracyjne, które przerażają nas wszystkich. A cenzura jest tak ścisła, że czasami zastanawiam się, dlaczego ludzie jeszcze zadają sobie trud czytania "Novesma Verba"... Aleje czytają. W ciągu ostatniego półtora roku lista prenumeratorów się podwoiła. I pojawia się tylu młodych ludzi, i ludzi jak Sangiusto - jest nas więcej niż kiedyś. Tylko czekanie jest takie długie i nigdy nie mamy pewności, na co czekamy. Tu nic się nie zmieniło. Ale jesteśmy o kilka lat starsi.

Itale uśmiechnął się. Przyjemna trzeźwość charakteru Karantaya jak zawsze dodała mu otuchy.

- Czekanie... - powiedział. - Ciebie nie dotyczy, Givanie. Ty masz swoją pracę. Ja nigdy nie pracowałem. Tylko się przygotowywałem.

- Nadejdzie odpowiedni czas, Itale.

- Naprawdę? Czy jest jakiś czas poza chwilą obecną?

Karantay nie odpowiedział.

- Nie wiem, Givanie. Straciłem... nie mam prawa o tym mówić.

- Zyskałeś prawo mówienia o wszystkim.

- Nie. Właśnie o to mi chodzi. Nie zyskałem niczego... niczego. Tam, gdzie ja byłem, Givanie, człowiek niczego się nie uczy, niczego nie zyskuje. Traci. Traci prawo rozmawiania z ludźmi, którzy... którzy wierzą w moc jasności... Nauczyłem się tam, że nie mam żadnych praw, za to nieskończoną odpowiedzialność.

- To byłaby nieskończona niesprawiedliwość. To fałsz, Itale.

- Wolałbym wierzyć tobie niż sobie samemu. Żałuję, że tak nie jest. Byłem... przedtem byłem lepszym człowiekiem... - przerwał wstając gwałtownie. - Jestem bardzo zmęczony, może powinienem się na chwilę położyć.

Poszedł do wolnego pokoju. O ósmej zajrzał Karantay, żeby pójść z nim na kolację. Itale spał głębokim snem i Karantay nie chciał go budzić. Spojrzał na twarz przyjaciela, znużoną i zanurzoną we śnie, a potem wyrzwał przez pozbawione zasłon, otwarte okno, wychodzące na zachód, na dachy i kominy. W długim, wieczornym świetle wszystko wydawało się przydymione. Było gorąco, bezwietrznie. Karantay stał obok przyjaciela, którego już nie miał nadziei zobaczyć, i żałował, że od rzeki nie wieje wiatr, że nie jest ciemno i nie pada deszcz. Pogoda jednak się ustaliła. Na biurku leżał otwarty srebrny zegarek. Pokazywał drugą trzydzieści. Postukał w niego, ale wskazówki nie ruszyły. Wreszcie obudził Itale i razem zeszli do gospody, w której Karantay jadał.

Minął lipiec, długi, gorący lipiec i nadszedł gorący sierpień. Itale nadal mieszkał z Karantayem. Pisarz namówił go do pozostania i Itale łatwo mu uległ, bowiem nie bardzo mu się chciało szukać jakiegoś pokoju. Zadowalała go tymczasowość takiego układu i przyjazne, powściągliwe towarzystwo Karantaya. Bardzo pragnął towarzystwa i przyjaźni, lecz nie mógł się tu zdomowić, nie potrafił powtórnie się poświęcić czemuś innemu niż przyjaciele. Czekał, nie mogąc się na nic zdecydować, poddawał się unoszącym go prądom i był coraz bardziej napięty, chociaż systematycznie powracał do zdrowia. Obecność Karantaya, Brelavaya, Sangiusta i innych dodawała mu otuchy. Czekał na co drugi poniedziałek, kiedy przyjeżdżał dyliżans pocztowy z

Montayny, czekał z decyzją, gdzie będzie mieszkał w Krasnoy i czy zostanie w Krasnoy, czekał, sam nie wiedząc, na co.

George Helleskar podróżował po Niemczech i miał wrócić dopiero za kilka tygodni. Itale poszedł złożyć uszanowanie staremu hrabiemu i został przyjęty z uczuciem, które sprawiło mu ból. Staruszek miał już ponad osiemdziesiąt lat i zaprosił go do siebie:

- Wiesz, mógłbyś tu zostać, straciłem już rachubę pustych pokoi... - Zapytał o Luisę i nawet wspomniął Estenskara, którego nigdy nie lubił. - Prawdziwy był fajerwerk z tego chłopaka. Jeden piękny wybuch i koniec. Miał na tyle rozsądku, żeby to dostrzec, a nie pryskać iskrami przez pięćdziesiąt lat, zanudzając kosmos...

- Zastanawiam się, czy większość z nas nie zanudza kosmosu - powiedział Itale do Karantaya, kiedy wracali przez Eleynaprade pod koniec ciepłego wieczoru.

- To mój zawód - odparł powieściopisarz. - W każdym razie wolę go zanudzać niż być nim znudzonym.

Podszedł do nich zebrząc jakiś mężczyzna w niegdyś przyzwoitym surducie. Itale przez chwilę z nim rozmawiał.

- To dla niego nowe zajęcie - powiedział, kiedy mężczyzna odszedł z ich wspólnym datkiem. - Ile osób jest teraz bez pracy? Pewnie co trzecia czy czwarta.

- Vernoy mówi, że tego lata w dokach rzecznych pracuje mniej niż połowa ludzi.

- Podobnie w Zgromadzeniu - powiedział Itale rzucając okiem na pałac Sinalya, wznoszący się bładą, ponurą bryłą za wspaniałymi kasztanowymi alejami.

- Zastanawiam się, dlaczego wielka księżna zamknęła się w Roukh.

- Oragon mówi, że boi się demonstracji.

- Sinalya jest bardziej narażona. Zastanawiam się, czego naprawdę się boi.

- Przeklęta austriacka krowa w sali tronowej Egena Wielkiego. Trzeba ją nauczyć, gdzie jest jej miejsce.

Karantay roześmiał się.

- Zrobiłeś się ostatnio zawzięty.

- Jak wszyscy inni. Jest gorąco. Jesteśmy zmęczeni. Mój Boże! Ależ jesteśmy zmęczeni. Czy to się kiedykolwiek zmieni? Przyjechałem tutaj pięć lat temu. Przez cały ten czas - przez całe moje życie, przez całe nasze życie, Givanie - od naszych urodzin się się zacieśnia, powietrze robi się coraz bardziej stęchłe, jest coraz mniej miejsca na jakikolwiek ruch. Europa jest jak wysychający podczas suszy staw...

- A austriackie bydło wypija resztki wody - rzekł Karantay.

Szli dalej. Przed nimi przefrunęła nad ścieżką z jednego dębu na drugi polująca sowa, miękka jak podrzucony w zmroku kłębek ciemnej wełny.

Brelavay, który przejął po Itale redagowanie "Novesma Verba", chciał mu je zwrócić, lecz Itale grał na zwłokę i większość przyjaciół zgodziła się, że powinni być ostrożni: jest przecież skazanym wywrotowcem i jakiegokolwiek publiczne wystąpienie naraziłoby na ryzyko zarówno jego samego, jak i współpracujących z nim ludzi. Wycofał wystarczająco dużo pieniędzy z funduszu, który stanowiły, według Brelavaya, jego zaległe pensje, by się utrzymać, ale nie był zatrudniony w redakcji czasopisma. Służył jednak jako niepłatny pracownik razem z Sangiustem, który pracował w Zgromadzeniu, jako bardzo mało zarabiający reporter. Ich zadanie było raczej sprawdzianem, czy mogą bezkarnie związać się z czasopismem. Tak więc, w gorące popołudnia, siadywali obaj na galerii Sali Zgromadzeń i słuchali ciągnącego się po łacinie, wśród nielicznych reprezentantów Stanów Generalnych, porządku dnia. Żadni inni reporterzy nie zadawali sobie trudu przychodzenia. "KurierMerkury" dostawał listę wniosków bezpośrednio od przewodniczącego. Pewnego popołudnia Sangiusto i Itale uśmierzali nudę wymyślając debatę w egipskim Narodowym Zgromadzeniu Dynastycznym Obu Królestw 11 sierpnia 1830 roku p.n.e.

"Przewodniczący: Uznaję pana Aphasisa, deputowanego z Karnaku. Pan Aphas: Moi panowie, dżentelmeni! Czy mamy uwierzyć w niczym nie poparte twierdzenie szanownego deputowanego z Ptu nad Nilem, że przy Zachodniej Bramie stolicy Jego Boskiej Wysokości zostały w celu zbadania zatrzymane na sześćdziesiąt dwie godziny dwa wozy nietrwałych towarów jak jajka pulard i rzodkiewki oraz mały wózek zawierający zmumifikowane koty? Czy wiadomo nad wszelką wątpliwość, czy można przedstawić materialny dowód, że z powodu rzekomego zatrzymania w celu badania jaja pulard i rzodkiewki stały się niezdatne do spożycia, ajakość zmumifikowanych kotów się obniżyła?..."

Brelavay umieścił tę farsę w "Novesma Verba", podpisując ją "Cheops" i cenzor ją przepuścił. Było to ostatnie sprawozdanie czasopisma z posiedzeń Zgromadzenia.

Na początku następnego dnia na mównicy pojawił się premier Cornelius i zażądał przełożenia obrad Zgromadzenia na październik. Uczynił to w imieniu wielkiej księżnej Mariyi, której niedyspozycja, pogarszająca się z powodu niesprzyjającej pogody, nie pozwalała jej należycie śledzić obrad ani właściwie ich oceniać, co jest konieczne do sankcjonowania lub odrzucania dekretów, proponowanych przez Zgromadzenie, zwołane dzięki jej łaskawej przychylności. Przewodniczący, prawicowy szlachcic, zamknął posiedzenie i przełożył sesję, lecz kiedy po lewej stronie podniosły się protesty, zgodne wyjście prawicy z sali obrad spowodowało, że protestującym zabrakło kworum siedemdziesięciu osób. Wszystko to trwało sześć czy osiem minut. Itale i Sangiusto musieli porównać swoje notatki, żeby się upewnić, czy wiedzą, co zaszło.

Natychmiast poszli z tą wiadomością do Cafe Illyrica, lecz dotarła tam ona przed nimi. Dla pozbawionych pracy ludzi nie było nic lepszego niż temat do rozmowy, powód do oburzenia. Zamknięcie parlamentu, na który nikt nie zwracał uwagi, ściągnęło na siebie uwagę całego miasta. Itale i Sangiusto, sami znów pozbawieni pracy, chodzili po rozpalonych, niespokojnych ulicach obserwując i słuchając. Park był pełen ludzi, niczym w jakieś święto. U bram pałacu Sinalya, teraz pustego, została ustawiona Straż Miejska. Straż Pałacowa pilnowała pałacu Roukh, którego brązowa, surowa bryła górowała nad placem prażącym się na sierpniowym słońcu. Sklepy przy ulicy Palazay, biegnącej między oboma pałacami, były w większości zamknięte jak w święto. Bulwar Molseny ciągnął się pustą linią nad pustą rzeką. Kiedy Itale i Sangiusto szli do redakcji, przepłynęła tylko jedna barka czerniejąca w oślepiającym blasku. W redakcji zastali Oragona, który właśnie wrócił z Sądu. Powiedział, że wszystkie drzwi i usta są tam zamknięte. Kursowała tylko jedna plotka, że zeszłej nocy przyjechał z Wiednia kurier. Kurierzy jednak przyjeżdżali ciągle.

- Cesarz nie żyje - powiedział młody Vernoy.

- Chryste Wszechmogący! - zawołał Brelavay - to Metternich umarł!

- Niemożliwe - odparł Sangiusto. - Metternich jest wieczny. Może wielka księżna jest naprawdę chora?

Oragon, który bez surduta i z rozluźnionym halsztukiem siedział bokiem na długim stole redakcyjnym, potrząsnął swoją dużą, kędzierzawą głową.

- Nie czuje się gorzej niż wczoraj. Była rano na mszy w kaplicy pałacowej. Raka może i ma. Ale to nie wyjaśnia dzisiejszego posunięcia. - Jego głos z charakterystycznym, lekko bełkotliwym wschodnim akcentem, górował nad pozostałymi.

Chociaż Dragonowi było gorąco, a on sam sprawiał wrażenie zmieszanego, cieszyła go jego umiejętność panowania nad innymi, udzielania odpowiedzi, wymuszania szacunku tych upartych dziennikarzy, którzy stracili do niego zaufanie. Jak zwykle instynktownie zwrócił się do człowieka, w którym wyczuwał władzę lub symboliczną wartość dla całej grupy, i przemówił do niego, jak wtajemniczony do wtajemniczonego:

- Jaki jest teraz nastrój na ulicach, Sorde?

- Skąd mam wiedzieć? - zrozumiwały ton Oragona zirytował Itale. - Pewnie taki sam jak tutaj. Wszyscy płyniemy tą samą łodzią.

- Oni się boją bezrobotnego tłumu - rzekł młody Vernoy ze swą moralizatorską i nieprzepartą pewnością siebie. - Rozpuścili Zgromadzenie jako potencjalne ognisko wieców.

- Wieców na jaki temat? - spytał Brelavay. - Po co te wszystkie tajemnice w Roukh? Czemu Austrusie powsadzali głowy w piasek?

- Vernoy może mieć rację - powiedział Karantay - ale dlaczego tak niespodziewanie? Wywołali niepokój, którego usiłowali uniknąć. To niepodobne do Corneliusa. Musi mieć ważne powody.

Dyskusja zataczała kręgi, przeniosła się do Illyriki, toczyła się dalej, nie doprowadziła do niczego. Słowa i ludzie przychodzili i odchodzili. Była dziewiąta. Itale rozboleła głowa. Siedział wpatrując się w swój kufel piwa, w pianę unoszącą się na jego powierzchni. Dopił je do końca, a kiedy odstawiał kufel, zobaczył, że między stolikami idzie do niego Oragon. Deputowany schylił się i powiedział cicho:

- Pozwól na chwilę, Sorde.

- O co chodzi?

- Chcę z tobą porozmawiać.

Wziął Itale pod rękę i poprowadził na drugą stronę ulicy Tiypontiy, lecz nie mógł się doczekać, kiedy dojdą do parku, i zaczął mówić jeszcze na ulicy. Wśród mijających ich pojazdów, w zakurzonej ciemności przebijanej blaskiem latarni, powiedział głośno, przysuwając twarz do twarzy Itale:

- We Francji jest rewolucja. Król Karol został zdeponowany. Posunął się za daleko, pogwałcił Kartę - miasto nie wytrzymało, były walki na ulicach - księżę Bordeaux zostanie konstytucyjnym królem.

Stali nieruchomo pośród koni i obracających się kół.

- A więc o to chodzi?

- Tak. Karol próbował rozwiązać Izbę Deputowanych. Przekroczył swoje uprawnienia. Abdykował trzydziestego lipca. Walki musiały się skończyć przed jakimiś dwunastoma dniami. Nowy król złoży przysięgę na wierność konstytucji. Koniec monarchii absolutnej we Francji.

- Koniec - powtórzył Itale. Błyskająca ciemność i hałas uliczny, zapach kurzu, końskiego potu i rozgrzanego kamienia, wszystko było znajome, znał te słowa, tę chwilę.

- I początek...

- Jak się dowiedziałeś?

- Od znajomego w Wiedniu poprzez znajomego w Aisnar. My dwaj jesteśmy wśród jakichś dziesięciu ludzi w kraju, którzy o tym wiedzą. - Itale uderzyło wyraźne zadowolenie w głosie Oragona, pomieszczone ze sporą dawką oszołomienia. Nadal ściskając jego ramię, deputowany ciągnął: - Co mamy z tym zrobić - co mamy z tym zrobić? Naprawdę bomba. Cornelius o wszystkim wie. Co mamy z tym zrobić, Sorde?

- Rozgłosić. Niech wszyscy wiedzą. Tego właśnie się boją, tak? Ogłoś w Illyrice. Ja zbiorę kilku ludzi, żeby wydrukować coś dla prowincji. - Itale się roześmiał. Czuł, że ta chwila go

przerasta, że jedynym przekonującym jej elementem jest hałas kopyt i kół na bruku. On i wszyscy inni nagle zaczęli odgrywać w historii jakąś rolę i dlatego czuł się nieswojo, jak każda prywatna osoba na scenie. A jednocześnie nareszcie łatwo było podejmować decyzje. Nadszedł właściwy czas. W takiej chwili, kiedy padły wszystkie mury, wystarczyło tylko pójść w kierunku, w którym zawsze próbowało się iść.

Oragon stracił głowę i nie potrafił się zdecydować tylko dlatego, że jego działania nigdy nie zmierzały w jakimś określonym kierunku. Przy całej jego ogromnej ambicji, energii i uczuciowości brakowało mu namiętności. Był jednak bardzo bystry. Od razu pojął znaczenie słów Itale i one wystarczyły mu jako bodziec do działania.

- Dobrze, świetnie. Masz tu notatkę z Wiednia ze szczegółami. Idź jak najszybciej do drukarni, zanim nas otoczą. Ja zawiadomię miasto.

Kiedy Itale, Karantay i Sangiusto wychodzili razem z Illyriki, słyszeli, jak Oragon, wszedłszy na jeden ze stolików stojących na chodniku, ogłaszał nowinę swym donośnym, niewyraźnym głosem.

- Dokonała się Rewolucja Francuska. Zdobyli wolność, o którą walczyli czterdzieści lat temu. Ostatnia Bastylia padła! Ich szansa jest naszą szansą. Ten sam wybór, ta sama szansa! Czy jest to zwycięstwo i chwała Francji, czy też Europy i nasza? Czy będziemy siedzieć cicho i pozwolimy, by Metternich przysyłał coraz więcej wojska, które każe nam milczeć i wysysa naszą krew? Zwołajmy Zgromadzenie Narodowe, a Sovenskar niech wstąpi na tron wolnego królestwa! - Ruch jakby się zatrzymał, latarnie powozów i lampy kawiarni oświetlały liczne twarze, zwrócone na mównicę. Wszystko tkwiło w bezruchu niczym obraz uchwycony w blasku błyskawicy. Trzej mężczyźni wysliznęli się z tłumu i pośpieszyli ciemnymi ulicami nad rzekę.

ROZDZIAŁ 4

Krótką, ciepłą, letnią noc minęła wśród hałasu maszyn drukarskich, krzyków, śmiechu, przemów. Wydrukowali biuletyn informacyjny pod winietą czasopisma zatytułowany REWOLUCJA, złożony 72punktową czcionką. Drukarnia była nim zarzucona, podobnie ulice. Jeźdźcy rozwozili go po prowincjach. Biuletyn informował o tym, co sami wiedzieli o paryskiej rewolucji, i ogłaszał, że Zgromadzenie nie przerywa sesji, aby zająć się naglącymi kwestiami stosunków z nowym rządem Francji, kontroli podatków i następstwa tronu królestwa. - Mnóstwo lontów ma ta bomba - powiedział Brelavay, kiedy wszystko przeczytał. Razem z Oragonem całą noc krążył po mieście odwiedzając domy deputowanych i informując ich, że Zgromadzenie spotka się nazajutrz jak zwykle o dziewiątej. Wyszedłszy z drukarni Itale poszedł z nim i z Sangiustem na plac Katedralny, który był w nocy centrum zamieszania. W chłodzie sierpniowego poranka, pod wysokim, pocętkowanym chmurami, bezbarwnym niebem, plac był ogromny i pusty. Katedra wznosiła się obojętnie niczym góra, zajęta jedynie podtrzymywaniem swych ciężkich, delikatnych wież oraz szeregów kamiennych świętych i królów. Poszli na Eleynaprade. Wzdłuż ulicy stała w szeregu kawaleria straży pałacowej, bladzi, senni żołnierze na wysokich koniach. Za nimi na trawnikach pod drzewami roił się bezładny tłum, tysiące snujących się, rozchodzących i ponownie zbierających się ludzi. Ciągły ruch i cichy, lecz ogromny pomruk głosów tłumu był o tej surowej, zamkniętej w sobie godzinie brzasku nieprawdopodobny i oszałamiający.

Itale chciał pójść do mieszkania Karantaya i przespać się kilka godzin, lecz został z innymi w tłumie. Brelavay poszedł kupić ser i chleb, ponieważ byli głodni. Ruszył biegiem i wrócił też biegnąc, w obawie, że przez dziesięć minut jego nieobecności mogłoby zajść coś ważnego. Niebo pojaśniało, uniosło się jeszcze wyżej. Blask słońca dotknął koron kasztanów. Oprócz wschodu słońca nie zaszło nic ważnego. Nastął ciepły, sierpniowy poranek. Olbrzymi już teraz tłum pokrywał wszystkie trawniki pod poważnymi, nic nie wiedzącymi drzewami. Itale i dwaj pozostali powoli przepchnęli się do ogrodzenia, otaczającego wysypany żwirem teren przed pałacem. Widzieli stamtąd i słyszeli deputowanych, stojących po lewej stronie na bulwarze przed bramą, którzy sprzeczali się o coś z oficerami straży. Itale nie zwracał na to zbyt wielkiej uwagi, bo walczył z coraz większym ścisaniem i bezcelowym falowaniem tłumu oraz ogromną sennością.

- To Livenne - powiedział Brelavay. - Lewicowy szlachcic z Soveny.

- Mówili tam o nim. Od miesiąca nie brał udziału w posiedzeniach - rzekł Itale i ziewnął tak potężnie, że aż załzawiły mu oczy i nie widział rosnącego, jasnowłosego młodzieńca mówiącego:

- Herr pułkowniku, nie ma pan prawa zamykać bramy. Sala Zgromadzeń należy do Zgromadzenia.

- Szlachetny panie, nasze rozkazy nie zostały zmienione - powiedział pułkownik policji po raz dziesiąty.

- Lepiej niech pan pośle do pałacu Roukh z prośbą o zmianę rozkazów, Herr pułkowniku - powiedział głośno Livenne, a tłum przyciśnięty do ogrodzenia w odległości kilku stóp od niego poparł go okrzykami.

Sangiusto szturchnął Itale:

- Patrz, łapią dwa kruki.

Dwaj duchowni deputowani, którzy z ciekawości nadeszli bulwarem, próbowali zawrócić, lecz tłum zagroził im drogę i z nich szydził. Zawahali się, po czym zawrócili do czterdziestu czy pięćdziesięciu liberalnych deputowanych, czekających przed żelaznymi bramami. Wzdłuż bulwaru, teraz już na całej długości obstawionego ludźmi, także rozbrzmiewały szyderstwa i obelgi. Konie straży przestępowały z nogi na nogę, a jeden z nich rzucał głową, dopóki jeździec go nie uspokoił. Nagle zabrzmiały krzyki i wiwaty, w słońce poleciały kapelusze i czapki, a bulwarem między wysokimi końmi i ścianą tłumu nadjechał kabriolet.

- Kto to jest ten mały staruszek? - zapytał Sangiusto, kiedy wszędzie wokół nich rozległy się wiwaty.

- Książę Mogeskar. Kuzyn Matiyasa Sovenskara. Nobilissimus. Przyjazd tutaj wymagał sporej odwagi. Niech żyje Mogeskar! - zawołał Itale, porwany entuzjazmem tłumu. - Niech żyje Mogeskar!

Książę - chudy, szorstki, schludny, bardzo stary mężczyzna - wysiadł z kabrioletu i powiedział do Dragona i Livenne:

- Dzień dobry, panowie. Dlaczego zamykają nam przed nosem bramy pałacu?

Jego też ogarnęła pełna urazy i ożywienia, niespokojna atmosfera tłumu. Wszyscy czekali. Dzwon katedry odezwał się głębokim głosem, wybijając dziesiątą. Na wybielonym przez słońce żwirze przed bramą stało osiemdziesięciu deputowanych. Książę Mogeskar zaprosił do kabrioletu starszego księdza:

- Za gorąco dla starców - stwierdził i siedział dalej w oślepiającym blasku sztywny i nieskazitelnie ubrany.

Stefan Oragon był cały czas w pobliżu kabrioletu, nawet przytrzymał konia zdenerwowanego hałaśliwą cizbą. Władza przyciągała go niczym słońce heliotrop, jakby jego własny dar jednania sobie ludzi był nie tyle darem, ile ułomnością: nie potrafił stać samotnie. Jednak wiedział o wiele lepiej niż Mogeskar, Livenne czy pułkownik policji, czym jest władza.

Wiedział, że on sam jest ośrodkiem tłumy, duszą tej ogromnej, naprędce skleconej, tymczasowej całości. Kiedy on postanowi działać, zadziałają inni.

Itale, znudzony, spragniony i na wpół śpiący, przestępował z nogi na nogę, bo obie go bolały. Przypatrywał się mansardom pałacu na tle zamglonego, błękitnego nieba i liczył okna, kiedy nagle poczuł, że coś go unosi.

- Co się dzieje? - zawołał w przyływie podniecenia.

Znosiła go fala napierających ludzi, nikt już nie stał w miejscu, nie czekał. Usłyszał, jak jakiś strażnik wykrzykuje po niemiecku rozkaz zluźnienia co drugiego człowieka, a tłum wokół niego wołał: - O co chodzi? Będą strzelać! - Oragon stał nad wszystkimi na jednym z dział umieszczonych po obu stronach żelaznej bramy, wołając coś i pokazując na pałac. Hałas był niewiarygodny, Itale nie potrafił uwierzyć, że dzieje się to za sprawą zwykłych ludzi. Mimo to wyraźnie usłyszał w zgiełku inny dźwięk: tata, odległy, rozzłoszczony głos i kwik przerażonego konia. Krok po kroku byli pchani, wciskani i wysysani ze słońca w rozbrzmiewające echem korytarze, pod stopami mieli marmur, nad głowami girlandy róż. Nagle sufit uniósł się bardzo wysoko, zrobiło się mnóstwo przestrzeni i powietrza - znaleźli się w Sali Zgromadzeń. Itale stwierdził, że trzymają się pod rękę z Sangiustem, i zaczął pojmować, że razem z innymi wdarli się do pałacu. Oragon stał na mównicy i wykrzykiwał rozkazy, usiłując wyłowić z tłumy deputowanych. Itale rozmasował sobie bolące ramiona, otarł pot z czoła, rozejrzał się dookoła.

- Wydostańmy się stąd, chodźmy na galerię - powiedział i stwierdził, że ma zachrypnięty głos, jakby przez dłuższy czas krzyczał. Może tak było, nie wiedział.

Próbowali dotrzeć do bocznych drzwi, prowadzących na galerię dla reporterów, lecz od razu zatrzymała ich wchodząca do sali grupa mężczyzn, niosących ciężkie worki. Złożyli je obok mównicy. Hałas głosów w ogromnym pomieszczeniu opadał równomiernie niczym cofające się wody odpływu. Ośrodkiem ciszy była mównica. Itale i Sangiusto przeszli obok niej razem ze wszystkimi i zobaczyli, że owe worki to martwi ludzie. Twarz jednego z nich została całkowicie odstrzelona. Z rękawów sterczały jego sztywne dłonie, a z nogawek spodni w podobny sposób popękane buty. Tuż pod jasnoczerwoną papką twarzy było widać nietknięte ucho, zwykłe, ludzkie ucho. Drugi mężczyzna w średnim wieku nie wyglądał na martwego, lecz leżał z zaskoczoną miną, z otwartymi oczyma. Nad tym wszystkim zobaczyli na mównicy młodą, silną, jasną twarz Livenne. Mówił coś wyraźnym głosem.

- Ci dwaj i inni zabici spłacili dług wcale go nie zaciągawszy. Dość tego! Nie kupujemy naszego kraju, lecz żądamy go jako naszego prawowitego dziedzictwa. Pamiętajcie o tym! Nie ma potrzeby przemocy, nie ma potrzeby ofiary! Jesteśmy wierzycielami, nie dłużnikami!

Po twarzy Itale płynęły łzy, lecz ustały równie nagle, jak się pojawiły. Razem z Włochem znów spróbowali dotrzeć do bocznych drzwi i galerii, lecz im się nie udało.

Przez sześć godzin stali obok siebie oparci o tylną ścianę Sali Zgromadzeń, a Zgromadzenie składające się ze stu trzydziestu deputowanych oraz tysięcy innych ludzi odbywało posiedzenie. Przegłosowano prowadzenie obrad w języku narodowym, przegłosowano zasadę, że ten dekret oraz wszystkie inne może zatwierdzić jedynie król, przegłosowano gratulacje narodu dla nowego króla Francji, chociaż nie było jeszcze wiadomo, kto nim jest, księżę Bordeaux czy Ludwik Filip Orleański, a plotki teraz głośniły, że prezydentem nowej republiki francuskiej jest Lafayette.

- Wybiorą Ludwika Filipa - powiedział Sangiusto. - Stary grzyb czekał i czekał przez całe pokolenie. Wszystko przychodzi do tego, kto czeka.

Itale skinął głową nie słuchając go. Z wytężoną uwagą słuchał każdego mówcy, lecz z trudem rozumiał i zapamiętywał, co mówili. Teraz przemawiał księżę Mogeskar. Jego szorstki, pedantyczny głos drżał z wysiłku i ze starości.

- Przyrzeknę posłuszeństwo dynastii Sovenskarów, jak uczynili to moi i wasi przodkowie. Kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, zrobię to z radością. Lecz chwila ta jeszcze nie nadeszła. Możemy nazwać Matiyasa Sovenskara królem, lecz czy możemy go koronować? Czy możemy go bronić? Metternich wysłucha naszych prośb, bo potrzebuje pokoju, lecz nie wysłucha naszego wyzwania. Nie mamy sił, by przeciwstawić się takiej potędze! W interesie króla proszę, byście rozważnie czekali, a nie działali pochopnie!

Wszystko to wydawało się Itale jasne i słuszne do chwili, kiedy Oragon i inni odpowiedzieli mu i udowodnili z równą jasnością, że jedyna nadzieja leży w szybkim działaniu, we wprowadzeniu Matiyasa Sovenskara na tron, zanim Austria będzie mogła zainterweniować. *Fait accompli*, bezkrwawa rewolucja, fatalne w skutkach zwlekanie, austriackie wojska, powstanie w całej Europie, słowa wirowały, a cały czas ich cel był niezrozumiały, nie istniał. Była piąta. Itale obudził się z chwilowej drzemki na stojąco.

- Francesco, chodźmy stąd.

I znów nie przedarli się tam, gdzie chcieli dotrzeć. Właśnie weszła delegacja z pałacu Roukh: tuzin strażników pałacowych, minister finansów Raskayneskar i premier. Cornelius podszedł do mównicy, porozmawiał z Livenne i Oragonem, uśmiechnął się swoim charakterystycznym, dobrotliwym uśmiechem.

- Panowie, dziękuję, że pozwoliliście mi przerwać sobie debatę. Przynoszę dla was wiadomość od monarchini. Jej Wysokość ubolewa, że przełożenie sesji Zgromadzenia Narodowego wywołało rozczarowanie, i biorąc pod uwagę pragnienia swego ludu, poprosi jutro o ponowne zwołanie Zgromadzenia w przyszły poniedziałek. Poprosiła mnie, bym zawiadomił obecnie

zebranych, iż do króla Francji, Ludwika Filipa, zostały wysłane braterskie pozdrowienia, oraz bym podziękował za ich udział w utrzymaniu prawa i porządku w mieście, wierząc, że porządek ten nadal utrzyma się bez zakłóceń, oraz że...

- Bez zakłóceń? A co z ludźmi zastrzelonymi dziś rano? Ten głos z sali wywołał burzę innych głosów i ruch w kierunku mównicy.

- To nie jest jakieś zebranie, to jest Zgromadzenie Narodowe! - zawołał Oragon. - Proszę powiedzieć księżnej, że dopóki król Matiyas nie dotrze do Krasnoy, monarcha znajduje się tutaj, w tej sali! Proszę jej powiedzieć, że spokój i porządek zależy od jej poddania się nam, rządowi królestwa!

- To czyste szaleństwo - powiedział Cornelius. Spojrzał na Oragona, rozejrzał się i wzruszył ramionami. Odwrócił się, żeby odejść, a ponieważ ruszył zdecydowanym krokiem i tłum skupił uwagę na mówcy, wyszedł razem z kredowo bladym Raskayneskarem i tuzinem straży.

- Kości zostały rzucone! - ryczał Oragon, a salę ogarnęło wrzenie.

- Chodź, chodź - powiedział Sangiusto i tym razem udało im się wyjść. Stanęli z zamętem w głowach na zewnątrz pałacu, w spokojnym, przejrzystym powietrzu wieczoru.

O północy Itale stał w ciemności na ulicy Ebroiy w odległości przecznicy od pałacu Roukh i ssał palec otarty od chwytania kocich łbów. Przyglądał się uważnie jasno oświetlonej pochodniami barykadzie, wzniesionej w poprzek ulicy, w miejscu, gdzie łączyła się z placem. Dwaj mężczyźni stojący obok niego sprzeczały się ponurymi, wściekłymi głosami, których nie potrafił odróżnić:

- Trzy tysiące policjantów trzy mile w dół rzeki w Basre - odcięliśmy Roukh - możemy liczyć, że policja się do nas przyłączy - kto mówi, że tak zrobią, mają broń - broń.

Jeszcze bliżej niego siedziały na krawężniku dwie kobiety, z których jedna karmiła piersią dziecko. Odzywały się od czasu do czasu:

- ...więc powiedziałam, że zapomniałam o jajkach... - tak, Matko Boska, co można zrobić w takiej chwili? - jedna westchnęła, druga się roześmiała - powiedziałam mu, żeby oszczędzał i czekał...

Ulicą przebiegło kilku mężczyzn, a za nimi dało się słyszeć dziwne, głuche dudnienie. Pojawiła się, grupa co najmniej trzydziestu osób, ciągnących i popychających w kierunku barykady coś czarnego - działo. Żelazne koła dudniły po kamieniach, wokoło błyskały pochodnie, rozganiając chwiejące się cienie. Itale spojrział na kobiety. Główka dziecka przytulona do nagiego ramienia matki była niewiarygodnie mała. Kiedy przetoczyli działo, znów słyszał ciamkanie niemowlęcia i suche, swobodne głosy kobiet oraz sprzeczkę mężczyzn.

Podszedł do barykady, gdzie stał Sangiusto.

Ustawienie działa i zbudowanie wokół niego barykady zajęło dużo czasu. Ciągłe podchodzili jacyś ludzie, żeby na nie popatrzeć, udzielić porady co do ładowania i strzelania, żeby go dotknąć. Wśród mężczyzn, znajdujących się za barykadą na ulicy Ebroy, broń miał co dwudziesty piąty czy co trzydziesty. Znajdowała się tu większość redakcji "Novesma Verba" oprócz Karantaya. Niektórzy mówili, że nadal jest w Zgromadzeniu, inni, że przy barykadzie na ulicy Gulhelma. Itale wspiął się na ukośny szczyt barykady nad działem i spojrzął na plac Roukh. Pusty plac zbiegał lekko w dół od żelaznego ogrodzenia pałacu, oświetlony nikłym światłem pochodni, gwiazd i blaskiem padającym z okien. Plac był pusty całą noc.

Kilku mężczyzn ściągnęło parę materacy, ułożonych na szczycie barykady jako ochrona przed kulami, i położyło się na nich. Sangiusto i Itale leżeli obok siebie z podbródkami opartymi na rękach i obserwowali pałac. Nie spali od około czterdziestu godzin. Odzywali się do siebie z dużymi przerwami.

- Co to?

Coś się działo na barykadzie leżącej na północ od nich, na ulicy Palazay, jakby coś tam ustawiano. – Mają jeszcze jedno działko.

- Nie, coś wystaje w górę.

W niepewnym blasku pochodni nie widzieli, co to takiego. Itale przysnął. Coś mu się śniło, po chwili się budził, lecz nie wiedział, o czym śnił, znów zasypiał, zupełnie jakby płynął małą łódką po spokojnej wodzie i wystawił na zewnątrz rękę, tak że czasami fale jej dotykały, a czasami nie, a on nie wiedział, czy dotyka wody, czy powietrza. Obok nich wspiął się Vernoy. Potrząsnął delikatnie Itale i wyciągnął do niego rękę, pochylając nad nim zmęczoną, młodą twarz. Zdobył w getcie garść jabłek. Usiedli i gryźli owoce, podniesieni na duchu jedzeniem, trochę rozmawiali.

- Jak myślisz, Sorde, co zrobią, kiedy nastanie dzień?

- Będą czekać.

- Ja sądzę, że spróbują wysadzić nas w powietrze.

- Całe miasto? Lepiej zrobią czekając ma policję. Chcesz jabłko, Francesco?

Lecz Sangiusto znów zasnął.

- Do świtu już niedługo - powiedział cicho Itale, po czym wszyscy zamilkli na dłuższą chwilę. Na północnym zachodzie pojawiła się nad dachami różowa luna, przygasła, znów rozblęśla. Zapewne pożar, który wymknął się spod kontroli. Dużo ich wybuchło w Starej Dzielnicy i innych rejonach miasta. Różowa luna przybladła. Nieliczne oświetlone okna pałacu Roukh rzucały nikłe światło. Itale podniósł wzrok: niebo było szare, nadszedł brzask. Obudził się, odwrócił i usiadł na ukośnie ułożonym materacu. Popatrzył na wschód, ponad opadającą stromo w dół ulicą Ebroy i licznymi dachami getta, którego splątane, pograżone w cieniu uliczki leżały

między barykadą i rzeką. Po lewej stronie wznosiło się Wzgórze Uniwersyteckie, po którego przeciwnej stronie kiedyś mieszkał. Światło uderzyło w najwyższy punkt miasta, krzyż na wieżycze kaplicy uniwersyteckiej, zadrżało, uspokoiło się i spłynęło złotem po wieżycze w dół, na kominy i dachy domów stłoczonych na wzgórzu. Itale zwrócił się w drugą stronę i zobaczył brązowoczerwone blanki pałacu, jaskrawo odcinające się na tle martwego, błękitnoszarego nieba na zachodzie. Dzień zaczął się pięknym, letnim porankiem. Itale nie czuł już zmęczenia, a jedynie głód, i chociaż nie opuściło go podniecenie, myśli już nie kluczyły szaleńczo, lecz były proste, oderwane, konkretne. Myślał o tym, co prawdopodobnie planują ludzie w oblężonym pałacu, o mieszkańcach przedmieść, zajmujących się swoimi sprawami, zastanawiających się, co się dzieje w mieście, o tym, jak to by było zostać postrzelonym na ulicy, o kamieniach dotykających jego rąk i twarzy. Kochał Krasnoy, kochał strome, leżące w cieniu dachy, pod którymi jeszcze spali ludzie, oświetlone słońcem wzgórze, stary pałac jaskrawoczerwony w blasku słońca, ulice i bruk ulic. To było jego miasto, jego ludzie, jego dzień. - Chciałbym się ogolić - powiedział na głos, a Sangiusto skinął głową i ziewnął. Wstali i przeciągnęli się balansując na szczycie barykady między fortecą i wschodzącym słońcem. Wraz z czynnością wstania uprościły się oraz rozjaśniły ich myśli i uczucia. Stojąc z pustymi rękoma obok przyjaciela, w obojętnej ciszy poranka, Itale czuł się naprawdę szczęśliwy. Nie zostało mu na świecie nic prócz światła dnia, nie miał żadnej broni, żadnej kryjówki czy przyszłości. Dla tego żył i na to czekał. Pomyślał prawie z czułością o żołnierzach pocących się za kamiennymi murami - o co tu się martwić? Nadchodził nowy dzień i Itale mógłby zapać z czystej radości niczym kogut, witający o brzasku światło.

Rzucił okiem na przyjaciela i trzymając ręce w kieszeniach powiedział z szerokim uśmiechem:

- Wierzysz w Boga, Francesco?
- Oczywiście. A ty nie?
- Nie. Dzięki Bogu!

Sangiusto potrząsnął głową. Był zadowolony, lecz nie uradowany, poświęcając całą uwagę przeczuciu równemu pewności, że zostanie dzisiaj zabity. Wolność to wolność i często uczciwie pragnął przywileju takiej śmierci, lecz kiedy miało do tego dojść, żałował, że nie może umrzeć za własny kraj, na własnej ziemi. Bardzo tęsknił za domem.

- A światłość w ciemnościach świeci, a ciemności jej nie ogarnęły - zaśpiewał na głos Itale.

Sangiusto roześmiał się ze słów i melodii przypominającej pianie koguta. Obok nich wspiął się Brelavay, popatrzył, usiadł i zdjął but.

- Miałem w nim przez całą noc kamyk - wyjaśnił. - Spójrzcie tylko na tę dziurę w pończosze.

- Powinieneś się ożenić. Miałbyś pocerowane pończochy.

- Tylko wtedy, jeżeli będę mógł poślubić hrabiankę jak młody Liyve - odparł Brelavay przechylając swą ostrą, ciemną twarz do Itale. - Albo przynajmniej baronównę.

- Ona nie będzie ci cerowała pończoch. Patrzcie!

Na barykadzie na ulicy Palazay ustawiono długą tyczkę, na której wisiała, prawie nieruchoma w spokojnym powietrzu, czerwoniebieska flaga. Wszyscy mężczyźni na nią patrzyli. Od osiemnastu lat żaden z nich nie widział jej wciągniętej na maszt. Większość była za młoda, żeby nawet ją pamiętać.

- Idę zobaczyć, czy Karantay jest na ulicy Gulhelma - powiedział Brelavay. Kiedy zaczął schodzić na dół, Itale go zatrzymał.

- Posłuchaj, jeśli spotkasz Givana, powiedz mu, że dziś wieczorem powinniśmy się wszyscy spróbować spotkać. Chyba w redakcji "Novesma Verba".

- To na nic, jeśli sprawy pójdą źle.

- Albo u Helleskara. Dobrze?

- Dużo lepszy pomysł. Do zobaczenia za pół godziny. Nie czekajcie na mnie ze śniadaniem!

- Brelavay odszedł, a pozostali rozmawiali stojąc, czekając. Oświetlona słońcem była już jedna trzecia placu Roukh.

Ponieważ Brelavay nie mógł przejść przez plac, musiał zatoczyć duże półkole, żeby dotrzeć do ulicy Gulhelma. Kiedy nią szedł, o dwie przecznice od placu napotkał tłum cywilów, otaczających ludzi w mundurach. Brelavay wdział biel i złoto mundurów policji, lecz nie potrafił policzyć, ilu jest żołnierzy. Najwyraźniej do straży z Roukh został wysłany oddział z garnizonu w Basre. Porucznik i kapitan sprzeciali się z dowódcami barykady. Ludzie otaczający Brelavaya przepychali się niespokojnie i z każdą chwilą tłoczyli się gęściej, chcąc jak najprędzej dostać w ręce broń żołnierzy. Pokrzykiwali na swego przedstawiciela i na oficerów. Starano się zrobić przejście wzdłuż ulicy.

- Niech pan wyprowadzi swoich ludzi, niech ich pan wyprowadzi! - rozpaczliwie błagał kapitana jeden z dowódców barykady, czterdziestokilkuletni robotnik.

Kapitan się obraził.

- Pomaszerujemy na pałac - powiedział z niemieckim akcentem i odwrócił się, by wydać rozkaz.

Brelavay stracił równowagę i został poniesiony w przód, prawie dusząc się w ścisku, wierzgając niczym koń i szukając jakiegokolwiek oparcia. Kiedy ścisk zelżał, okazało się, że trzyma się naramiennika policjanta. Popatrzyli na siebie przestraszonym wzrokiem z odległości

sześciu cali, oszołomieni potężnym, nieustającym hałasem i falującym kłębowiskiem, w którym ugrzęźli.

- Strzelają - powiedział żołnierz patrząc na Brelavaya. Spróbował się wydostać i wtedy Brelavay wyrwał mu muszkiet z rąk. Używając kolby jako taranu przedarł się przez najgęstszy tłum.

- Na Boga, mam broń! - zawył tryumfalnie.

Nie zobaczył nikogo, do kogo mógłby strzelić, poza tym przyszło mu do głowy, że może nie mieć prochu i kuł. Strzelanina ustała, ludzie się rozchodzili. Brelavay nie rozumiał, co zaszło, co się stało z oddziałem żołnierzy. Zobaczył leżących na ulicy, dziesięciu czy więcej. Mieli na sobie białe mundury. Na ciele zgniecionym jak brudna ścierka, śmiertelnie pobitym i stratowanym, było widać kapitańskie złoto. Brelavay stał wpatrzony w to straszliwe ciało. Cóżby runęła ulicą Gulhelma w kierunku barykady. Pewnie mają amunicję. Pobiegł za nimi, krzycząc w stanie szalonego podniecenia, podobnie jak kilka innych osób:

- Zaczekajcie!

Ludzie na barykadzie na ulicy Ebroiy usłyszeli z lewej strony cichy, suchy trzask strzałów, a potem głuchy ryk jakby potężnej fali wody. Po chwili zobaczyli czarną masę, przelewającą się przez barykadę z ulicy Gulhelma na zalany białym słonecznym blaskiem plac Roukh. Gdy tłum wylał się na plac, zrzedł i jakby stracił orientację. Itale pomyślał, że ludzie wyglądają jak koniki polne skaczące po rżysku, ale trudno było się do nich nie przyłączyć, skoro i przez inne barykady zaczęli wbiegać na plac.

- Cofnijcie się! Cofnijcie! - zawołał do tych, którzy po całonocnym czekaniu na ulicach usłyszeli odgłos strzałów i parli do przodu, chcąc coś zobaczyć lub dostać się na plac. - Do szeregu! Do szeregu! - Nagle wszystko wokół się zatrzęsło. - Co to było? - powiedział do Sangiusta i w tej chwili zdał sobie sprawę, że gdzieś tuż obok wystrzelono z działa.

- Za dużo prochu - mrucał wśród kłębow dymu Sangiusto.

Młody Vernoy przepchnął się między nimi, zeskoczył z barykady i zniknął w tłumie, który czernił się na placu i pod żelaznym ogrodzeniem pałacu. Ktoś inny spróbował zrobić to samo, lecz Itale z całej siły zepchnął go z powrotem na dół.

- Zostań, do diabła, pilnuj barykady! - wrzasnął z wściekłością, cały czas odwracając się, żeby widzieć, co się dzieje na placu.

Tłum przy żelaznym ogrodzeniu burzył się, forsował je, wreszcie przelał się na drugą stronę, rozbił bramę i stłoczył się przy drzwiach do pałacu.

- Weszli! - wołali ludzie i Itale przysiadł, żeby zeskoczyć na dół, nie mógł już się powstrzymać.

Wtedy jednak jakby wszystko znieruchomiało. Małe chmurki dymu, które przed chwilą pojawiły się nad parapetami pałacu, szybko rozprasały się w prześwieconym słońcem powietrzu. Wielki, monotony ryk nie ustawał, lecz w ruchu ludzi nastąpiła pewna zmiana. Tłum zachwiał się, rozproszył i ludzie nadal wylewający się zza barykad zaczęli napotykać przeciwny prąd, masa zaczęła przeć w rozsypce z powrotem do barykad, a nad wszystkim unosiły się białe chmurki dymu. Wtem zabrzmiał głos, który zatrzymał wszystko, tak że Itale skulił się bez ruchu jak porażony: działa pałacu Roukh. Wokół niego zaroilo się od ludzi wspinających się na barykadę, ludzi biegnących w popłochu, a wszystko przenikał ten potworny, nie kończący się huk. Po chwili kanonada ustała i znów usłyszał ludzkie głosy, zobaczył pusty plac. Tłum skurczył się w odrębne roje przy barykadach, a przy żelaznym ogrodzeniu i na kocich łbach leżeli tu i tam ludzie, jakby na coś czekali. Wokół głów niektórych z nich widać było strużki i plamy jasnej czerwieni, a mężczyzna, który wspiał się na barykadę przy Itale, miał na połowie twarzy i włosach rozmazaną tę samą czerwoną substancję podobną do farby.

- Zostawcie broń przy barykadzie - mówił Sangiusto spokojnie niczym kamerdyner przyjmujący płaszcze, i kilku uciekinierów, którzy mieli muszkiety, posłusznie mu je oddało. - Masz, weź to - powiedział do Itale, podając mu broń i ładownicę.

Z drzwi pałacu, które były szeroko otwarte jak czarne usta, wysypywały się teraz szybko czerwone kurtki, tej samej jaskrawej barwy. Sangiusto położył się na ich materacu i załadował broń, wycelował ją i strzelił, znów ją załadował, wycelował, strzelił; Itale go naśladował, lecz miał pewne kłopoty ze swoją bronią, austriackim muszkietem wojskowym, nigdy nie strzelał z czegoś innego niż myśliwska strzelba. Po chwili opuścił naładowaną broń, wstał i powiedział:

- Chodź, Francesco.

- Dlaczego?

- Przeszli przez barykadę na ulicy Palazay i zająd nas od tyłu. Chodźmy nad rzekę.

Ruszyli w dół ulicy Ebroiy.

Brelavay zgubił swoją broń i uciekając z placu Roukh, został dwa razy przewrócony. Wraz z sześcioma innymi ludźmi i stertą kamiennych płyt oraz mebli znajdował się teraz na dachu domu przy ulicy Palazay, w połowie drogi między pałacem Roukh i Sinalyą. Tłum poniżej nich składał się wyłącznie z cywilów, rozzłoszczonych wywołaną paniką, krążących teraz bez celu. Straż pałacowa zwróciła się na wschód i południe, by odciąć barykady i połączyć się z policją. Brelavay cały czas wypatrywał w tłumie trzech mężczyzn, dwóch wysokich i jednego niskiego, ciemnowłosego - Sordego, Sangiusta i Karantaya. Mogli być wszędzie. Mogli leżeć zabici na placu Roukh. Był obolały, czuł mdłości i narastający gniew. Dziesiątki razy myślał, że widzi jedną z tych twarzy, po czym tracił ją z oczu lub okazywało się, że to ktoś obcy. Od południa dobiegł odgłos

strzelaniny. Brelavay słuchał i patrzył. Jeśli uwierzy, że ci trzej nie żyją, to podda się, ucieknie, ucieknie do domu. Rozejrzał się po spokojnych dachach zalanych porannym słońcem, nienawidząc oszalałego, historycznego miasta i kłębiących się poniżej tłumów. Jeśli Sorde i Karantay nie żyją, to równie dobrze może rzucić się w dół z kamiennymi płytami, które wnieśli na dach, żeby zrzucić je na żołnierzy, kiedy pojawią się na ulicy pod nimi. Jego umiejętność panowania nad sobą i niewielkim oddziałem na dachu nie brała się z nadziei, lecz z myśli o przyjaciółach. Duch nadziei go nie opuszczał, lecz głębiej niż jakiegokolwiek przekonanie kryła się w nim lojalność i ona właśnie stanowiła opokę dla upartego i ironicznego Brelavaya.

Kiedy Sangiusto i Itale stali w ciemnym, sklepionym wejściu na podwórko domu czynszowego, obok nich zastukały na ulicy Ebroy kopyta. Oddział jechał w kierunku Roukh. Kiedy najpierw Sangiusto, a potem Itale wyszli z ukrycia, na podwórku pojawiła się zgarbiona młoda kobieta z dwojgiem dzieci trzymających się blisko niej. Stała nieruchomo patrząc na nich.

- Czy może nam pani dać wody? - zapytał Itale.

Skinęła głową, w milczeniu weszła z dziećmi do ciemnej klatki schodowej i wróciła z czerpakiem, żeby mogli się napić z zadaszonej studni na podwórku. Stała obserwując ich ze spokojną twarzą, a kiedy Itale jej dziękował, powiedziała: - Idźcie do rzeźnika Mendla, tam poszli inni. - Ruszyli więc tam i zastali na podwórku - za koszernym sklepem rzeźnika, pod zamkniętymi oknami mieszkań i nagą tylną ścianą synagogi - około dwudziestu pięciu Żydów, planujących udział getta w powstaniu. Byli spokojni i metodyczni. Jeden z nich, trzydziestokilkuletni mężczyzna o pięknych, zmęczonych oczach, zdominował dyskusję dzięki osobistej charyzmie oraz faktowi, że miał spory zapas tego, co było najniezbędniejsze - prochu i kuł. Itale usłyszał, że inni nazywają go Mojsze, i tak też się do niego zwracał, nigdy nie poznawszy nazwiska. Pod jego dowództwem zajęli jeden kwartał dachów przy ulicy Ebroy. Wkrótce pojawił się na niej, od strony pałacu Roukh, konny oddział strażników w czerwonych kurtkach, na niespokojnych, lśniących wierzchowcach. Ludzie znajdujący się na dachach otworzyli ogień, rozlegający się suchym klekotem, który brzmiał równie głupio i ekscytująco, co petardy. Dały się słyszeć krzyki, konie ruszyły galopem, inne, pozbawione jeźdźców, rżały, biegały ulicą i zatrzymywały się z luźno zwisającymi wodzami, rozglądając się nerwowo dookoła. W chwili przerwy Itale powiedział do znajdującego się obok Mojsze:

- Skąd masz tę całą amunicję?

- Zeszłej nocy spaliliśmy stary arsenał przy ulicy Gelde.

- Po co bierzecie w tym udział, Mojsze?

- Bo w naszej sytuacji każda zmiana będzie zmianą na lepsze - odparł Żyd stukając w prochownicę, żeby rozluźnić ubity proch. Spojrzał kątem oka na Itale. - Czy mogę zapytać, po co ty bierzesz w tym udział?

- Lubię świeże powietrze.

- Dla ciebie to jest gra.

- Nie. To nie jest gra.

- Osiem - powiedział Sangiusto, licząc poległych od ich petardowego ognia. Przez ten grymas twarzy był zupełnie niepodobny do siebie.

Daleko przy końcu ulicy, dokąd wycofał się oddział jeźdźców, na rozbitej barykadzie pojawiło się kilka postaci. Jedna z nich uniosła tubę i dał się słyszeć cienki, krzykliwy głos:

- Złóżcie całą broń i udajcie się do swoich domów... cztery godziny... udajcie się do swoich... na cztery godziny udziela się ogólnej amnestii... - Z jakiegoś dachu padły strzały i figurki zniknęły.

W ciągu poranka getto nie zostało odcięte i ciągle przybywali ludzie z wiadomościami o walkach na ulicy Palazay i wokół Eleynaprade. Przez dłuższy czas po południu na ulicach poniżej grupy Mojsze nic się nie działo, nikt nie nadszedł z północy czy z południa. Czekali, a osamotnienie stawało się coraz pewniejsze i coraz bardziej nieznośne, popychając ich do lekkomyślnych wypadów zwiadowczych, by sprowokować atak. Plac Roukh pełen był policji z nadrzecznego garnizonu i najwyraźniej właśnie stamtąd szły oddziały do północnej części miasta. Grupa Mojsze w końcu przekradła się dachami na barykadę i otworzyła ogień. Oddziały dotarły na leżącą pod nimi ulicę i podpaliły domy po północnej stronie Ebroiy. Drewniane konstrukcje płonęły jak stogi siana. Kobiety, które cały dzień ukrywały się na podwórkach i w domach, wybiegały na ulicę, wyrzucały dobytek przez okna. Kiedy powstańcy zbiegali po drewnianych schodach, mijali skulone dzieci czekające na podestach, a Mojsze zatrzymał się, żeby zapytać o coś spotkanego staruszka. W odpowiedzi starzec potrząsnął tylko pięścią i przeklął ich z bezsilną nienawiścią. Wybiegli z budynku, przecinając zalaną słońcem, zatłoczoną ulicę pełną mężczyzn i kobiet, przerażonych koni, połamanych sprzętów, spadających, płonących krokwi. Mojsze krążył z nimi na granicy labiryntu getta, zawsze wychodząc w jakimś punkcie ulicy Ebroiy, teraz opuszczonej, patrolowanej przez oddziały konnej straży, gdzie przez chwilę mogli się utrzymać przy oknach pustych pokoi i strzelać, lecz kończyła się im amunicja. Przy każdej ucieczce było ich coraz mniej i w końcu się rozproszyli. Tylko Itale i Sangiusto trzymali się razem biegnąc za Mojsze i wpadli wprost na oddział policji, zanim ktokolwiek zdążył unieść broń i wystrzelić. Używając muszkietów jak maczug przebili się na drugą stronę, uciekli pod ostrzałem, wpadli do jakiegoś domu i przebiegli przez podwórkę kończącą się sklepem rzeźnika, zza którego wyruszyli rano. Nikt

ich nie ścigał. Czekali tam w ukryciu. Odgłosy dobiegające z ulicy były coraz rzadsze i cichsze. Minęła godzina. Skulony Itale podrzemywał. W pewnej chwili wstał i podszedł do drzwi sklepu. Zapadał wieczór. Przy górnym krańcu ulicy, gdzie widniała przysadzista północna wieża pałacu Roukh, niebo przybrało czysty, zielonkawoblękitny odcień. Wypalone fasady domów stojących po przeciwnej stronie ulicy spokojnie patrzyły w nicość. Powietrze było przepojone dymem, ale zarazem ciepłe i słodkie. Pod nogami Itale leżał tobołek z odzieżą i stary but, zgubiony przez uciekających przed ogniem.

- To już chyba koniec - powiedział.

Sangiusto, a potem Mojsze stanęli obok niego. Przy ostatniej potyczce jakiś żołnierz uderzył Sangiusta kolbą strzelby w dłoń i Włoch usiadł teraz na krawężniku, przyciskając zranioną dłoń do uda, z cichym, jęklwym przekleństwem. Mojsze poszedł obejrzeć ciało powstańca, leżące trochę dalej na ulicy obok martwego żołnierza. Odwrócił delikatnie jego głowę, zjrzał mu w twarz, wzruszył ramionami i wrócił.

- I co teraz? - zapytał Itale. - Dokąd pójdziemy?

- Do diabła - powiedział po włosku Sangiusto.

Jego potężnie spuchnięta dłoń bolała go coraz bardziej, był zniechęcony, nit - padł w walce i jeszcze raz będzie musiał przejść koszmar skazanego na wygnanie.

- Co za pieskie życie - rzekł przeciągle, tym razem po piemoncku, i uderzył kolbą nie nabitej strzelby o bruk.

- Do domu - powiedział Mojsze wzruszając ramionami. - A wy?

Itale wstał milcząc.

- Zapraszam do siebie - rzekł Żyd zimno, przygotowany na odmowę.

- Dziękuję - odparł Itale, odwracając się do niego. Po tym dniu znał twarz, głos i piękne, surowe oczy tego człowieka tak, jakby je znał przez całe życie, lepiej, niż mógłby poznać jakąkolwiek inną twarz, lecz między nimi było tylko zaufanie - wszystko, nic. Nie mieli już o czym rozmawiać. - Musimy spróbować znaleźć naszą grupę. - Rozstali się z wymuszoną uprzejmością.

Itale i Sangiusto ruszyli w kierunku domu Helleskara. Obeszli Wzgórze Uniwersyteckie, przeszli Dzielnicę Rzeczną, minęli katedrę i jej plac. Był to długi spacer w czerwonym blasku zachodzącego słońca, o zmierzchu, jak we śnie. Z początku szli ostrożnie, potem już śmieiej. Nie zatrzymała ich nawet policja, rozstawiona na placu Katedralnym. Przejeżdżały ze stukotem kopyt oddziały konnej straży, tu i ówdzie widziało się rozmieszczone piesze patrole straży miejskiej, lecz nie więcej niż zwykle, ulice nieco bardziej opustoszały, ale chodzili po nich inni mężczyźni po dwóch, po trzech, w milczeniu, szybkim krokiem. Nie spotkali ani jednej kobiety. Miasto bez kobiet. Itale i Sangiusto rozmawiali po drodze, czasami całkiem logicznie, zastanawiając się nad

prawdopodobnymi przyczynami ogólnej amnestii, próbując dociec, co się działo podczas dwudniowego powstania, co mogło się zdarzyć na Eleyaprade, kiedy oni byli w getcie, co się dzieje teraz w Zgromadzeniu. Itale dużo mówił i żartował, aby dodać otuchy Sangiustowi.

- Praca będzie zawsze, a nagroda nieczęsto...

Na ulicy Sorden zapytał o datę i powtórzył pytanie, kiedy przechodzili przez ulicę Roches.

- Czternasty - odparł Sangiusto; - Już cię o to raz pytałem, prawda?

- Tak.

- Jak ręka?

- Pali ogniem.

- Już niedaleko. Moglibyśmy... - Przerwał. Chciał powiedzieć, że mogliby się na minutę zatrzymać i odpocząć, ale mieli jeszcze do przejścia dwa kawartały i byłby to głupi pomysł. Potknął się.

- Możemy się zatrzymać - powiedział Sangiusto z wykrzywioną bólem twarzą.

- Nie, jeszcze tylko kawałek - rzeki Itale. - Przy odrobinie szczęścia Tomas z pewnością już dotarł. - Pomyślał, że to już raz mówił, i zamilkł.

Doszli do dużego, okazałego domu, weszli pod portal ozdobiony herbami i kariatydami, zastukali i zostali wpuszczeni do środka przez lokaja w liberii. Przechodzili przez salon idąc do biblioteki, gdzie oczekiwał ich starszy pan, który zerwał się z miejsca, widząc, jak Itale, nie zdążywszy się przytrzymać ramienia przyjaciela, potknął się i runął zemdlony na podłogę. Sangiusto, który sam znajdował się w niewiele lepszym stanie, był przerażony, sam wśród obcych. Padł na kolana obok Itale i próbował go obudzić szepcząc z rozpaczą:

- Posłuchaj, mój drogi, mój przyjacielu, posłuchaj mnie...

ROZDZIAŁ 5

Nazajutrz po południu Sangiusto wszedł do pokoju Itale ze specjalnym wydaniem "KurieraMerkurego" w ręku. Była to pojedyncza kartka, wydrukowana w jakiejś zarekwirowanej drukarni, może nawet drukarni "Novesma Verba", bo trzynastego w nocy wszystkie rządowe drukarnie zostały spalone. Gazeta nie podawała żadnych wiadomości z Paryża, nic o zawieszeniu czy ponownym zwołaniu Zgromadzenia, nic, co bezpośrednio byłoby związane z wydarzeniami z trzynastego czy czternastego sierpnia, a jedynie datowany dwunastego komunikat dotyczący prośby wielkiej księżnej, którą kierowała do Stanów Generalnych. Poza tym była informacja policji dla osób, uznanych za nielegalnych mieszkańców stolicy, którym niniejszym rozkazywało się opuścić prowincję Molseny do południa 16 sierpnia 1830 roku, zaś niezastosowanie się do tego pociągało karę aresztu pod zarzutem spiskowania przeciwko rządowi Wielkiego Księstwa. Poniżej znajdowała się zamazana, źle złożona lista sześćdziesięciu trzech nazwisk. Sangiusto je odczytał z wyraźnym obcym akcentem, wahając się i mrużąc oczy.

- Breve, Givan Alexis. Rasenne, Lukę. Vagove, Pier Mariye. Brelavay, Tomas Alexis. Fabbre, Raul. Frenin, Givan...

- Mają przestarzałe dane - zauważył Itale.

Sangiusto czytał dalej. Wymienił jakieś dwadzieścia nazwisk znanych Itale i kilka zupełnie mu obcych, a potem:

- Oragon, Stefan Mariye.

- Oragon! Przecież to pierwszy deputowany. Czy Livenne jest na liście?

- Hrabia Helleskar słyszał, że Livenne został zabity na ulicy Palazay.

- Czytaj dalej.

- Palley, Tedor. Palley, Salvate. Vernoy, Roch. Sorde, Itale. Eklesay, Matiyas Mark. ChorinFalleskar, George Andre.

- Kolejny deputowany.

Sangiusto skończył odczytywać listę. Zapadło milczenie.

- Nie ma Karantaya.

- Nie.

Stary hrabia wysyłał służących, żeby zbierali dla niego i jego dwóch uciekinierów wszelkie możliwe wiadomości. Podobno Karantay został poważnie ranny podczas walk na ulicy Palazay. O Brelavayu czy młodemu Vernoyu nie było nic wiadomo.

- Wyjęli spod prawa nawet Oragona - powiedział Itale. - To potężny cios. - Mówił dość nienaturalnie. Siedział w łóżku, w jednym ze wspaniałych łóżek Helleskarów z wielką pierzyną i zasłonami, przypominającymi kurtynę w Operze. Był wymizerowany, wyglądało, jakby znów stracił na wadze, a nawet zrobił się niższy.

- Powinieneś natychmiast wyjechać z Krasnoy - powiedział Sanglusto. - Teraz będą działać bez pardonu.

- Gdybym tylko mógł dostać jakąś wiadomość o Brelavayu.

- Ukrywa się albo jest w więzieniu. Nie możesz czekać, żeby się czegoś o nim dowiedzieć. Masz tylko dwadzieścia cztery godziny.

- Pojedziesz ze mną?

- Nie ma mnie na tej liście.

- Możesz być na innej.

- I prawie na pewno jestem. - Sangiusto mówił ze spokojem. - Trochę poczekam, aż wszystko przycichnie, a potem wrócę do Francji.

- Ja jadę do domu. Jedź ze mną. Przynajmniej na jakiś czas.

- Dziękuję, przyjacielu. Przyjadę z wielką przyjemnością kiedy indziej, gdy gościnność nie będzie niebezpieczna dla gospodarzy.

- Zrób to dla mnie. Nie możesz teraz próbować przekroczyć granicy. Do Francji pojedziesz później, kiedy tu trochę się uspokoi. Oczywiście musisz tam pojechać, tutaj już wszystko skończone, nie masz po co zostawać, ale teraz nie jest bezpiecznie wyjeżdżać z kraju. Możesz się na trochę przycząić w górach. Razem z tego wyszliśmy. Nie mogę zrobić nic innego poza uchronieniem cię przed aresztowaniem. Pozwól...

- Dobrze, pojedę z tobą - Sangiusto przerwał coraz szybszy potok słów Itale.

Ten przestał mówić, zaczerpnął powietrza i powiedział:

- Dobrze.

Przez chwilę milczeli. Sangiusto czuł ulgę, lecz nie potrafił tego uzewnętrznic.

- Jeśli dylizanse kursują jak zwykle, to Południowo-Zachodni wyrusza w co drugi piątek, a ten do Aisnar w następną sobotę. Który to będzie, piętnasty? Zatem jedziemy w tym tygodniu. A więc trzy dni czekania, ale chyba nie zostaniemy tutaj.

Sangiusto potrząsnął głową.

- Możemy iść piechotą.

- Jak to daleko?

- Trochę ponad sto mil.

- Ale musimy wyruszyć od razu, żeby jutro znaleźć się za granicami tej prowincji.

Dłoń Sangiusta została opatrzona, a ramię unieruchomione na temblaku.

- Nie przejdiesz z tym stu mil - rzekł Itale z niesmakiem patrząc na temblak.

- Och, dam sobie radę. Ale ty, Itale, chyba nie czujesz się najlepiej.

- Hrabia pożycz mi konie do Fontanasfaray. To jakieś dziesięć mil. W Peranie. Stamtąd możemy pójść pieszo albo poczekać na dyliżans.

- Dobrze. Masz jakieś pieniądze?

Popatrzyli na siebie.

- Chyba mam jakieś drobne.

- W moim pokoju w gospodzie zostało kilka kronek, ale nie chcę tam iść, to ryzykowne.

- Nie, nie idź. Hrabia pożycz mi na podróż do domu. Mój Boże! Jaki ja jestem głupi. - Itale ze śmiechem przetarł rękoma twarz i przeciągnął nimi po wciąż krótkich, sztywnych włosach.

Niebezpieczeństwo, absurdalność i beznadziejność jego sytuacji w tej chwili były dla niego zarówno oczywiste, jak i pozbawione znaczenia. Teraz najważniejszą sprawą stało się to, żeby nie stracić przyjaciela, dzielnego, sympatycznego człowieka, tak jak stracił wszystko i wszystkich innych: Sangiusto nie może zostać aresztowany. Potrafił myśleć o możliwości własnego powtórnego aresztowania i uwięzienia jedynie w kategoriach ryzyka grożącego przyjacielowi.

Nie wahał się poprosić hrabiego Helleskara o pożyczenie koni i pieniędzy. Żartował ze starszym, który niechętnie wypuszczał od siebie uciekinierów. Stary Helleskar marzył o sprowokowaniu całego cesarstwa austrowęgierskiego do niepokojenia gości jego domu. Utrzymywał, że żaden z nich nie jest w stanie podróżować i że policja nigdy nie będzie ich szukać - tutaj, pod dachem starego żołnierza...

- Całe moje męstwo zasada się na dyskrecji, panie hrabio - powiedział Itale. - Uciekniemy, póki są korzystne warunki. Kiedy wróci George, proszę mu powtórzyć, myślę, że pochwali mój rodzaj męstwa.

Itale wstał późnym popołudniem i ubrał się w znoszone ubranie i w stary, błękitny surdut, które to rzeczy były teraz jego jedynym majątkiem. Trzymał się bardzo prosto, żeby przekonać Helleskara i samego siebie o swojej doskonałej kondycji. Chwilami zastanawiał się, jak mu się udało wstać i chodzić, skoro czuje się tak śmiertelnie zmęczony, w jaki sposób udało mu się podejmować jakiegokolwiek decyzje, skoro nie potrafi utrzymać w głowie dwóch myśli jednocześnie, jakim cudem rozmawia i śmieje się, skoro cały czas gardło ma ściśnięte i z trudem powstrzymuje Izy. Był świadom, spodziewał się, że owa zwodnicza energia się wyczerpie, i w którymś momencie padnie na twarz, tak jak się zdarzyło zeszłego wieczoru. Szczerze pragnął móc przestać udawać, odrzucić wszystko tak, jak odrzuca się kamyk, położyć się i odpocząć. To już nie ma sensu, na nic

się nie przyda. Nie sprawiało to jednak żadnej różnicy. Jego myśli i czyny były przykute do owej skały tożsamości, nieporuszonej, bezrozumnej woli, woli pozostania sobą.

Kiedy omówili wszystkie szczegóły, doszli do wspólnego wniosku, że liczy się szybkość, zarówno dla nich, jak i hrabiego Helleskara, więc Itale pojechał razem z Sangiustem i dwoma stajennymi Helleskara wzdłuż ulicy Tiypontiy, minął drzewa parku i milczący pałac Sinalya, stację dylizansów przy Bramie Zachodniej, hotel, w którym spotykał się z Luisą, minął północnozachodnie przedmieścia i wyjechał na ciemnobrązową, złocistą w świetle letniego wieczoru równinę, kierując się ku wzgórzom. Z drogi biegnącej nad wioską Kollonnarmana spojrzeli w tył na leżące w zakolu rzeki miasto, zbiór rozrzuconych punkcików światła w szarym zmierzchu, tak delikatny, że wydawało się, iż można go wziąć do ręki niczym kawałek srebrzystej gazy. Pojechali naprzód, w górę. Wysoko na niebie zawisł na chwilę, nad nagimi szczytami wzgórz, sierp księżycy. Zaszedł, kiedy dotarli do Fontanasfaray. Powietrze było tu, na wysokości tysiąca stóp nad doliną rzeki, chłodne. Ulicę Gulhelma delikatnie oświetlały kolorowe latarnie, fantastycznie migocące wśród cieni drzew. Minęło ich kilkoro spacerowiczów i otwartych powozów. Zatrzymali się w pierwszej napotkanej gospodzie.

- Wygląda na drogą - powiedział Itale.

- Jutro znajdziemy coś tańszego - rzekł Sangiusto.

Itale nie oponował. Zauważył podczas drogi, że czasami uszy jego konia wydawały się bardzo odległe, nawet o kilka jardów, a czasami bardzo bliskie. Podobnie było z gwiazdami, które to się oddalały całymi grupami na ogromnym, pustym niebie, to przybliżały tak bardzo, że czuł zimne iskierki ich ognia pod skórą czoła i policzków. Towarzyszyły temu niesamowicie niepokojące uczucia.

Dostali pokój pod okapem. Oberżysta powiedział, że jest to jedyny wolny pokój, bo uzdrowisko jest pełne letników, uciekających od miejskich upałów.

- Tak, w Krasnoy jest dość ciepło - powiedział Sangiusto. Kiedy tylko oberżysta wyszedł, Itale położył się i zamknął oczy. Sangiustowi bardzo dokuczał ból dłoni, więc bezradnie klął, a potem zadał kilka pytań, lecz Itale nie odpowiadał. Nie spał jeszcze i chciał porozmawiać z Sangiustem, lecz nie mógł mówić.

Chciał zasnąć i było mu dość wygodnie w obranej pozycji, ale gdzieś bardzo głęboko, poniżej snu, na głębokości, na jakiej żył przez dwa lata samotnego uwięzienia, coś nadal miało twardość skały i milczało w męce. Wszystko się skończyło, przeszło, minęło, tyle że nic nie jest zakończone, nic nie jest dokonane, a on musi trwać dalej - wrócić do domu, udać się na wygnanie. Leżał nieruchomo, a w ciemności swych zamkniętych oczu zobaczył wielkie, spokojne zbocza gór, wznoszących się nad odbijającym ich obraz jeziorem.

CZEŚĆ VII

Malafrena

ROZDZIAŁ I

Kiedy dyliżans jadący do Aisnar przyjeżdżał punktualnie, co czasami mu się zdarzało, przybywał do Erreme, punktu przesiadkowego, około czwartej nad ranem, po dwudziestu godzinach podróży z Krasnoy. Pasażerowie jadący do Aisnar budzili się tylko na zmianę koni i wkrótce jechali żwawo dalej po równych drogach, a zmierzający do Montayny musieli wsiąść w zimnych ciemnościach lub jeszcze zimniejszym brzasku i przesiąść się do czekającego dyliżansu jadącego do Montayny. Jeśli odbywali tę podróż po raz pierwszy, patrzyli na niezwykły pojazd i pytali ze złym przecuciem: - Czy to jest dyliżans do Portacheyki? - Jeżeli już zdarzyło się im podróżować po południowym zachodzie, tylko wzdychali i przygotowywali się do ciężkiej próby. Do dyliżansu są zaprzęgnięte cztery kudłate koniki o krótkich tułowiach i silnych łopatkach, dziewięcioletni czy dziesięcioletni chłopczyna w bezkształtnym kapeluszu i z pogardliwym spojrzeniem wsiada na konia dyszlowego, wysoki, ciemny mężczyzna o zaciśniętych ustach wyglądających tak, jakby zardzewiały w tym grymasie, wypowiadający jedynie monosylaby monotonnym, nie znoszącym sprzeciwu głosem, wsiada na kozioł i mówi do koni nie "Wio!", lecz "Hoj!", i pokazując wschodzącemu słońcu tylne koła, dyliżans do Montayny rusza, podskakując w koleinach w drodze ku góróm, które wyłaniają się zimnym błękitem z cieni ustępującej nocy.

Rankiem 20 sierpnia przesiadło się z dużego powozu do mniejszego czworo pasażerów. Potykali się w półświatle między oprowadzanymi końmi i ludźmi przenoszącymi worki z pocztą, przyczyniając się do ogólnego zamieszania. - Czy to dyliżans do Portacheyki? - zapytała ze złym przecuciem woźnicę jedna z czterech osób, młoda kobieta. - Tak - odparł woźnica monosylabą. Sangiusto pomógł jej wsiąść i wkrótce wyruszyli do wtóru ochryplej trąbki woźnicy, okrzyku "Hoj!" i głośnych protestów wszystkich spoin powozu, które rychło zaczęły odzywać się milczącym echem w każdym stawie trojga pasażerów. Czwarty z nich nie miał jeszcze dwóch lat i był na tyle lekki, że cieszył się z każdego podskoku i szarpnięcia. Młoda matka i Sangiusto natychmiast ponownie zasnęli, a Itale i dziecko czuwali. Chłopczyk bawił się otaczającymi go tobołkami i kawałkami słomy z podłogi, które znalazły się w zasięgu jego rączek. Często rozglądał się wokół siebie z zamyśloną, nieszczęśliwą miną, ale się nie skarżył. Powietrze było mgliście szare i bardzo zimne. Itale siedział skulony, z wysoko postawionym kołnierzem i rękoma w kieszeniach. Od czasu pobytu u św. Łazarza, gdzie najbardziej we znaki dawało mu się zimno, łatwo marzył i bardzo się tego bał, straciwszy zupełnie odporność na niskie temperatury. Skulił się więc, usiłując nie szczekać zębami. Aby nie myśleć o tej niedogodności, cały czas obserwował krajobraz przez wąską szczelinę, służącą jako przednie okno, przez którą widział czapkę

dyszlowego i niebo, a kiedy droga skręcała w odpowiednim kierunku, leżące w oddali szczyty. Dzień wstawał szybko. Teraz już okrągłe wzgórza z obu stron drogi rozjaśniły się porannym słońcem, czystym blaskiem żniwnego dnia wyżynnej krainy. Siano dawno już zostało sprzątnięte, zboże właśnie zwożono. Na stokach wzgórz zasłanych polami Itale widział z daleka szeregi kosiarzy i błyski unoszonych sierpów. Kiedy przejeżdżali przez wioski czy obok majątków ziemskich lub małych gospodarstw z domami ustawionymi przy drodze, białe i brązowe kury uciekały z gdakaniem spod kół, a psy wyskakiwały na drogę i obszczekiwały dyliżans, dopóki był w zasięgu głosu. W suchym, błękitnym powietrzu nad wzgórzami czasami leniwie krążył w słońcu jastrząb. Daleko na przedzie, zza żółtych wzgórz podnosiły się góry, widziane tylko ze wzniesień, na które mozolnie wspinała się droga.

Itale pamiętał, jak przed wielu laty wyciągnął zegarek, żeby sprawdzić, kiedy po raz pierwszy stracił z oczu góry. Było to o dziewiątej dwadzieścia pewnego wrześniowego poranka. Pamiętał godzinę, lecz nie datę. Jechał wtedy do Solariy. A potem z Solariy do Krasnoy. I do Aisnar, do Esten, do Rakavy, do ciemnego, zimnego pomieszczenia, w którym przykuto go do ściany, do pałacu Roukh o świcie i na ulicę Ebroiy w zadymionym zmierzchu. A teraz zatoczył pełne koło i mimo to nie wie, dokąd zmierza ani gdzie jest miejsce, które z czystym sumieniem mógłby nazwać swoim domem. Poszukał zegarka, ale nie znalazł. Pomyślał, że zgubił, a potem przypomniał sobie, że ponieważ nie chodził, to zostawił go w swoim pokoju w mieszkaniu Karantaya. Pewnie ma go znów policja. A niech go sobie zatrzymają.

Sangiusto westchnął przez sen. Chociaż weterynarz w Fontanasfaray nastawił mu rękę i wziął ją w łupki, nadal bardzo go bolała, dlatego młodzian spał, kiedy tylko mógł. Naprzeciwko niego spała oparta w rogu młoda matka. Jej dziecinną, okrągłą twarz była dziwnie surowa. Dziecko zsunęło się między tobołki i miało coraz bardziej nieszczęśliwą minę. Itale odwrócił od niego wzrok z poczuciem winy. Zaraz się rozplacze i on będzie musiał sobie z tym poradzić, bo nie śpi. Oczywiście dziecko zaraz zaczęło sapać przygotowując się do wrzasku. Wyglądało bardzo żałośnie i bezradnie. Patrzyło wprost na Itale i coraz głośniej sapało. Itale oddał mu niepewnie spojrzenie i powiedział cicho:

- Nie rób tego. Obudzisz mamę. - Oczęta natychmiast napełniły się łzami, cała twarzyczka zmarszczyła i dziecko wydało żalospny pisk. - A niech to! - powiedział Itale, sięgnął po dziecko, wydobyl je spośród sterty tobołków i posadził sobie na kolanach. Zdumiał się lekkością i kruchością maleństwa. Właściwie dziecko to tak niewiele.

Chłopczyk sapnął jeszcze dwa razy, a potem usadowił się z westchnieniem, przypominającym dźwięki wydawane przez Sangiusta, włożył do ust kciuk i zaczął się bawić guzikami przy surducie Itale. Jak mówiła do niego matka? Stasjo. - Ojciec Stasja zmarł -

powiedziała do kogoś zeszłego wieczoru w powozie do Aisnar. - W czerwcu, na suchoty. - Itale poczuł na ręce dotyk, delikatne muśnięcie dziecięcej rączki. Kobieta nie powiedziała "mój mąż", lecz "ojciec Stasja". Teraz całe życie zmarłego było właśnie tym, ojcostwem. Stasjo odkrył górny guzik kamizelki Itale i dotykał go delikatnie, jak skąpiec klejnotu. Posłał trochę kciuk, powoli, trochę się wiercąc, wtulił główkę w surdut tymczasowego opiekuna i zasnął. Itale pomyślał, że było mu zimno, a teraz rozgrzał się w zgięciu jego ramienia i dlatego zasnął. Nie patrzył już na wzgórze, lecz na swojego tymczasowego podopiecznego. Włosy dziecka były brązowe i bardzo miękkie. Itale dotknął ich bardzo delikatnie, myśląc o swoim przyjacielu Egenie Brunoyu. Brunoy też miał brązowe włosy, ale sztywne i suche. Itale spróbował przypomnieć sobie jego twarz, lecz nie potrafił. Nie potrafił przywołać z pamięci żadnej rzeczywistości, oprócz tępego żalu i tępego wstydu. Pomyślał o Isaberze i jak zwykle odezwało się w nim poczucie winy. Pomyślał o Freninie, o Karantayu, który był ranny, martwy lub uwięziony, lecz wzdrygnął się na myśl o tym. Przypomniał sobie o Brelavayu, lecz myśl o nim, skutym łańcuchem w ciemnym, zimnym pomieszczeniu, była nie do zniesienia - zacisnął ręce i musiał opanować swe nagłe napięcie, żeby nie zbudzić dziecka. Ale listę trzeba skończyć. Amadey, martwy. I wreszcie, niespodziewanie, bo nigdy nie myślał o niej jako o przyjaciółce wśród swoich przyjaciół, Luisa: niezycziwa, nie wybacząca ani innym, ani sobie, lojalna i, jak inni, zdradzona przez samą siebie. I jak inni zdradzona przez niego. Przez jego i jej pożądanie, przez ich nadzieję i miłość. Wyrządził krzywdę tam, gdzie najzarliwiej się zaangażował sercem i umysłem, a największą krzywdą, największą zdradą, było zdawanie sobie z tego sprawy. Ścierpła mu ręka, lecz nią nie poruszył, by nie obudzić dziecka. W końcu on też się zdrzemnął.

W połowie poranka dyliżans zatrzymał się w małej wiosce. Itale z ulgą podał Stasja matce i wysiadł z Sangiustem, rozcierając sobie ramię.

- Już Bara?

- Tak - odparł zakurzony woźnica nie bez uprzejmości, bo jego pasażer wypowiedział nazwę wioski z wyraźnym akcentem z Montayny.

- Jesteśmy na granicy - powiedział Itale, schodząc na pobocze, gdzie przeciągał się i ziewał jego przyjaciel. - Podejdz tam, gdzie ryje ta świnia, a znajdziesz się w Montaynie.

Przeszli się po zalanych słońcem, pociętych koleinami uliczkach Bary. Poklepalili łaszącego się do nich, głodnego psa. Nie rozmawiali. Zawrócili, żeby zjeść śniadanie w hotelu, który wedle zblakłych liter i niewyraźnego obrazka na szyldzie nazywał się "Odpoczynek Podróżnego". Kiedy zostawiona na gospodarstwie dziewczynka poszła po chleb i ser, Itale rozejrzał się po sali, po brudnej podłodze, brudnych ścianach, ławkach, stole, wyjrzał przez drzwi na jasną, opuszczoną ulicę, gdzie wylegiwał się na słońcu wychudły pies i gdzie poza nim nic się nie ruszało.

Dziewczynka, która przyniosła im kwaśne wino - kiedy poprosili o kawę, tylko tępo na nich popatrzyła - miała szyję zgrubiałą od tworzącego się wola i bezmyślne spojrzenie. Itale już zapomniał o tym tępym, wiejskim spojrzeniu.

Usiadł przy stole, żeby wypić wino, i podniósł dwie zadrukowane strony, pozostawione tam przez podróżnych. Jedna z nich była arkuszem z tekstem piosenki, jakie górcy handlarze sprzedają lub rozdają wraz ze swymi towarami, a druga ulotką, którą zaczął czytać nie poznając jej. Nosila tytuł "REWOLUCJA". Pod nim następował tekst: "27 lipca obywatele Paryża powstali w imieniu Narodu Francuskiego, by zaprotestować..." Nie czytał dalej, chociaż jego wzrok padł na wers na dole strony: "13 sierpnia 1830. Redakcja «Novesma Verba»". Podeszedł Sangiusto, żując kawałek chleba. Itale odłożył ulotkę, wstał i wyszedł. Stał w blasku słońca i patrzył na stojącą po drugiej stronie drogi chatę z krzywymi drzwiami i szybą z nasączonego oliwą papieru, na świnie ryjącą przy ulicznej pompie, gdzie kurz zmienił się w błoto, na kulącego się białego psa, na biedną, niewielką wioskę, gdzie dylizans na wysokich kołach górował nad stojącymi obok niego chatami. Za nimi i przed nimi uliczki znów stawały się traktem, drogą, którą musi pójść, która go tu przywiodła.

- Konie są już zaprzężone, chyba niedługo ruszamy - powiedział Sangiusto, stając obok niego.

Itale odwrócił się i mocno oparł ręce o "Odpoczynek Podróżnego", jakby chciał zawalić nędzny domek. Poczuł pod dłońmi gorącą, suchą glinę, a na ramionach żar słońca. Tutaj szukam kryjówki, pomyślał. Myślałem, że musi mi się powieść, bo miałem tak wielkie nadzieje, i nie udało mi się. Myślałem, że muszę wygrać, bo moja sprawa jest słuszna, i zostałem pokonany. To wszystko było powietrze, słowa, gadanie, kłamstwa - oraz stalowy łańcuch, który kończy się dwie stopy od ściany.

Przez pięć lat tęsknił za domem, a teraz, zmuszony do powrotu jako uciekinier, musi do niego wrócić ze świadomością, że nie ma domu.

Małe koniki ciągnęły powoli i wytrwale, dylizans podskakując zbliżał się do gór, zajmujących już całą dolną połowę nieba. Po południowym przystanku w Vermare musieli się jeszcze wspiąć dwa tysiące stóp i przejechać około dwunastu mil drogą skręcającą bardziej na południe niż na zachód. Powietrze zrobiło się jeszcze bardziej przejrzyste i suche, góry bardziej ciemnobłękitne, a granie świerszczy na zboczach głębsze i bardziej przeciągłe. Chłopiec jadący na dyszlowym koniu nasunął czapkę na oczy i w półśnie śpiewał piosenkę, która wydawała się równie monotonna i ponadczasowa, co granie świerszczy.

Szarością kapie jesienny deszcz,

*Śpij dobrze, moja duszka, mocno śpij,
Złamane me serce szare jest też,
Śpij, aż się wyśpisz...*

- Nie przeszkadzaj panu, Stasjo!

- Nic nie szkodzi.

- Jest pan bardzo uprzejmy, sir. Chodź tu zaraz, Stasjo.

- Tu mu jest bardzo dobrze. - Itale pozwolił dziecku oglądać swoją kamizelkę, ciesząc się, że odwraca to jego uwagę od wznoszących się wokół gór.

Droga wiła się zakolami. Młoda matka spojrzała w opadającą z prawej strony przepaść i zamknęła oczy.

- Jeszcze dwie mile i wyjedziemy z tej okolicy. Potem pojedziemy prosto do przełęczy.

Jechali teraz wolniej niż stępem. Silne koniki napinały mięśnie, chłopiec jadący na dyszlowym był zupełnie rozbudzony, a bat woźnicy delikatnie trząsał nad szyjami zwierząt.

- Co to za góry, jeśli wolno spytać, sir?

- Góry otaczające jezioro Malafrena.

- Hoj! Dalej, naprzód!

- Czy teraz spadniemy? - Sangiusto spokojnie zapytał Los.

Dylichans ustawił się pionowo i znów wjechał w koleiny. Koniki dzielnie ciągnęły. Zachodzące słońce świeciło po ich prawej stronie, a długi cień rzucany przez Simdyę kładł się przed nimi na zalesionych zboczach San Givan, niczym bariera oddzielająca górską dolinę od otwartej, złocistej przestrzeni wzgórz.

- Jakby mój własny kraj - powiedział cicho Sangiusto. - A jednak ani jedna rzecz nie jest taka sama. - Po chwili dodał: - A więc jednak przyjechałem z tobą.

Itale skinął głową, nie chcąc wspominać Wielkanocy w Aisnar, lecz pamięć go nie posłuchała i w końcu powiedział:

- Żałuję, że nie porzuciłem wtedy tego wszystkiego. Że nie wróciłem do domu. Zanim zaszedłem za daleko, żeby móc wrócić.

Sangiusto spojrział na niego spokojnym i przenikliwym wzrokiem. Po chwili powiedział:

- Pięć czy sześć miesięcy nie wystarczy. Powroty są możliwe, Itale.

- Ale co się ze sobą... przynosi...?

- Nie wiem.

- Byłem głupcem, zanim... przed tym wszystkim. Teraz jestem mądry, teraz wiem, jakim byłem głupcem, tak? Ale na co się zda mądrość, jeśli ceną za nią jest nadzieja?

- Nie wiem - powtórzył Sangiusto bardzo cicho i z pokorą.

Itale zorientował się, zawstydził i zamilkł. Nie będzie już mówił. Nawyk protestowania był silny i mocno zakorzeniony, lecz czas wrócić do starszego nawyku milczenia.

Stasjo obudził się i siedział popłakując wśród tobołków, więc Itale posadził go sobie na kolanie i pozwolił bawić się nieskończenie cudownymi guzikami przy kamizelce. Zbocza to oświetlone słońcem, to okryte cieniem zbliżyły się do drogi i konie przyśpieszyły kroku. Droga wyprostowała się, przed nimi na przełęczy leżała Portacheyka, witana długim gwizdem chłopca na dyszlowym koniu, Portacheyka, spiczaste dachy, ulice łupkowych schodków wijące się między stłoczonymi domami, klasztor Sinviya poważnie bielejący na ciemnym stoku góry, zajazd "Pod Złotym Lwem", gdzie jako dziecko Itale oglądał zakurzone, wysokie dyliżanse, zajeżdżające z odległych i niewyobrażalnych krain.

- Dokąd teraz? - zapytał Sangiusto, kiedy stanęli na wybrukowanej ulicy, bo Itale sprawiał wrażenie oszołomionego i zdezorientowanego.

- Nie wiem. Nie pomyślałem...

Żona oberżysty właśnie wychodziła z zajazdu, ciekawie im się przyglądając.

- Chodź tędy - powiedział Itale i ruszył szybkim krokiem, prowadząc Sangiusta w dół po łupkowych schodach. Przeszli na drugą stronę wąskiej uliczki, poszli jakimś zaułkiem, wspięli się po schodach i stanęli przed bramą do ogrodu.

- Itale - powiedział Sangiusto, który też podjął kilka decyzji - to twoja rodzina, a ty nie jesteś oczekiwany. Zatrzymam się w zajeździe i spotkamy się, kiedy tylko zechcesz.

Itale spojrzał na niego z tym samym gniewnym oszołomieniem i po chwili roześmiał się.

- Nie możesz - powiedział. - Nie został nam ani jeden krunker. Chodź.

Otworzył bramę i Sangiusto poszedł niechętnie za nim do drzwi, ścieżką między floksami i bratkami. Mała służąca zeszywniała z przerażenia na widok obcych, lecz wprowadziła ich do wymuskanego salonu z wysokimi oknami. Weszła do niego ze zdumioną miną siwowłosa kobieta, która najpierw się przestraszyła, a potem uniosła ręce i szepnęła:

- Itale... o, litościwe nieba, Itale!

- Przepraszam, tak mi przykro - powiedział Itale, kiedy ciotka go objęła. - Nie było sposobu was zawiadomić. Przepraszam...

- Jesteś taki chudy - szepnęła i dodała, wypuszczając go z objęć: - Wszystko w porządku, mój drogi, byłam zaskoczona, ale nie zemdlałam - i już zwracała się do Sangiusta, by go przywitać z wyszukaną uprzejmością i głęboką podejrzliwością, właściwą mieszkańcom Montayny, ujmując go za rękę i powtarzając jego nazwisko, kiedy Itale ich sobie przedstawiał.

Poprosiła, żeby usiedli, upewniła się, że są zmęczeni, głodni oraz brudni, i zajęła się ich potrzebami. Oprócz swego pierwszego okrzyku nie wypowiedziała ani jednego słowa, które mogłoby zmartwić Itale. Kiedy wyjaśnił pobieżnie, dlaczego przyjechał tak niespodziewanie, zapytała tylko bezceremonialnie:

- No to jak długo zostanieie?

- Nie wiem. - Jego ton ją zraził i więcej już nie pytała o plany. Nie pytał o nie także, początkowo, Emanuel. Kiedy przyszedł do domu, pokojówka biegła zdenerwowana, żona zachowywała żelazny spokój mocno zabarwiony ironią, a jego sypialnia, łazienka, brzytwy i czyste koszule zostały oddane nieznanemu cudzoziemcowi i nie oczekiwanemu bratankowi. Pierwszym pytaniem Emanuela było:

- Kiedy wyjechałeś z Krasnoy?

- We wtorek.

- Co się dzieje? W zeszłym tygodniu nie przyjechał dylizans pocztowy, w pasażerskim też nie było gazet...

- Nie zostały wydrukowane.

- Dlaczego? - Emanuel wybuchnął, a streszczenie wydarzeń z dni powstania jedynie go rozzłościło. - Chcesz powiedzieć, że do twojego przyjazdu nie dotarło do nas ani jedno słowo? Dobry Boże! Moglibyśmy być od tygodnia królestwem i wcale o tym nie wiedzieć!

- Ale jesteśmy tylko wielkim księstwem - rzekł Itale - więc to nie ma znaczenia. Posłuchaj, wuju, chciałbym cię poprosić... chcę pojechać do domu, zobaczyć matkę. Ale nie mogę... Nie wiem, jaka jest moja sytuacja, zostałem wygnany z Krasnoy, ale zakaz może się rozszerzyć... nie chciałbym...

Emanuel przerwał mu.

- Jaką to im sprawi różnicę?

- Nie wiem.

- O czym ty mówisz?

- O moim ojcu.

- Tak... masz rację, powinno się go trochę na to przygotować.

- Przyjechałem tu, bo nie miałem dokąd pojechać - powiedział Itale, kredowo blady - ale jeśli mają być jakieś warunki, jakieś oskarżenia, to natychmiast przekroczę granicę.

Sangiusto, który właśnie pojawił się w drzwiach z ręcznikiem owiniętym wokół szyi, zatrzymał się w miejscu i zaraz się wycofał. Wuj i bratanek stali twarzą w twarz.

- Ty przeklęty, arogancki głupcze - Emanuel cedził słowa - kto tu powiedział cokolwiek o warunkach czy oskarżeniach? Mówię o tym, że Guide jest chory i nie trzeba go narażać na gwałtowne wstrząsy.

- Chory?

- Od listopada. Jak myślisz, dlaczego do Soveny przyjechałem ja, a nie on czy Eleonora?

- Ale powiedziałaś wtedy...

- Kazał mi mówić ci o tym jak najmniej. Posłuchałem go. Zawsze robię to, co każe Guide. Może źle zrobiłem, nie wiem. Znów się rozchorował jakiś miesiąc temu. Chciałem do ciebie napisać. Oboje powiedzieli, że bym tego nie robił.

- Mógłbym przyjechać...

- I na cóż by się to zdało?

Itale usiadł na łóżku. Nadal był bardzo blady, a w układzie jego ramion i rąk była jakaś nienaturalna sztywność, która wreszcie uświadomiła Emanuelowi, że Itale jest bliski załamania.

- Na nic - odparł.

- Nic mu nie jest, Itale. Teraz już nie czuje się gorzej niż przedtem. To te same kłopoty z sercem, coś takiego może się ciągnąć latami. Nie chciałem cię zaniepokoić. Nie możesz jednak okazywać przed nim złości...

Itale potrząsnął głową.

- Emanuelu - powiedziała Perneta zza drzwi sypialni - gdybyś pojechał konno nad jezioro i powiedział Guide'owi i Eleonorze, że przyjeżdżamy, to dam Itale i jego przyjacielowi małą kolację, posadzę Allegrę w kabriolecticie i przyjedziemy za jakąś godzinę.

- Dobrze - odparł Emanuel. Odwrócił się do Itale, chcąc jeszcze powiedzieć coś pocieszającego, ale nie wiedział, co. Stosunki między Guide'em i Itale, więź absolutnej lojalności niemożliwie rozciągnięta przez pełną współzawodnictwa dumę, zrozumienie i wrogość, ich wzajemna wrażliwość na siebie, wszystko to było niezrozumiałe dla Emanuela tak samo teraz, jak zawsze. Ilekroć próbował zrozumieć ów żarliwy i zasadniczy związek z punktu widzenia któregośkolwiek z nich, zawsze się na tym parzył, tracił zimną krew i interpretował niewłaściwie. A jednak to zawsze ja musiałem przynosić wiadomości, rozmyślał, siodłając konia i jadąc przez wydłużające się cienie w kierunku jeziora, zawsze ja byłem pośrednikiem. Trzydzieści miesięcy temu zawieziono go powozem, żeby mógł powiedzieć bratu, że chłopak został aresztowany i uwięziony, i wszystko zrobił źle, wtykając swoje grube paluchy w nie zasklepioną ranę. Tym razem równie opacznie zrozumiał intencje Itale, kiedy chłopak chciał jedynie rozpaczliwie zachować resztki dumy. U tych dwóch zawsze chodziło o dumę. Ich siła i cierpliwość, gwałtowność i wrażliwość zawsze sprowadzały się do dumy, do odporności woli na zniewagi i

obojętność czasu. Odporności, lecz nigdy nie akceptacji. Dawali pełnymi garściami, ale nie nauczyli się przyjmować. Ponury charakter Guide'a rozpałił się w synu płomieniem, jego zarzewie stanowiła duma i ból. Emanuel pomyślał, że świat jest surowy dla silnych, nie oszczędza ich. Nikomu, kto przeciwstawiał się złu, nie było łatwo.

Miał nadzieję zastać brata samego, lecz zobaczył go z Laurą w ogrodzie za domem. Sądząc po ich gestach rozmawiali o przesadzaniu roślin i zobaczyli go dopiero wtedy, kiedy zjechał drogą do samego płotu. Wtedy Laura obejrzała się i natychmiast ożywiła.

- Przyjechał wujek! Czy przyszedł list?

- O, tak - odparł z uśmiechem. Tak łatwo byłoby oznajmić tę wiadomość Laurze, dlaczego tak trudno jest ją przekazać Guide'owi? - Za mną jedzie Perneta. Poczęstujecie nas kolacją?

- Oczywiście, ale gdzie jest list?

- Nie mam go, bratanico.

Laura spojrzała na niego z niepokojem.

- To raczej ustna wiadomość. Guide, Itale chciałby zapytać, czy może tu przyjechać.

- Gdzie on jest?

- W Portacheyce. U nas w domu. Przyjechał dyliżansem dziś po południu. Z towarzyszem.

Guide stał nieruchomo. Laura nic nie mówiła.

- Co go tu sprowadza?

- Nie ma dokąd pójść. Jego cały dobytek to tylko to, co miał na sobie. W Krasnoy była rewolucja, Zgromadzenie zostało rozwiązane, przez dwa dni toczyły się walki, został wygnany z miasta i nie wie, jaki ma zasięg ten zakaz... musisz pozwolić mu przyjechać, nie zadając mu żadnych pytań, Guide, bez żadnych warunków, on stracił wszystko, czemu się poświęcił...

- Warunków? - powiedział Guide. - Powiedz matce - zwrócił się do Laury. - Ja pojedę do Portacheyki. - Mówiąc to wyszedł z ogrodu, obszedł Emanuela i udał się do stajni.

- Prawdopodobnie i tak już wyjechali - rzekł Emanuel i widząc, że nie zatrzyma Guide'a, dodał: - Weź w takim razie mojego konia, jest wypoczęty. - Zeskoczył z siodła, Guide wsiadł na konia i odjechał.

Laura patrzyła na ojca, drżąc na całym ciele i śmiejąc się.

- Jakie to dziwne. Podjechałeś do nas, kiedy rozmawialiśmy o ostrokrzewie. I o domu, i o drodze. Zupełnie jakby się to już kiedyś zdarzyło. Stałam tu, a ty podjechałeś, żeby nam powiedzieć, że on przyjeżdża. Jakby była tylko jedna chwila, i koniec,

- Gdzie twoja matka, kochanie?

- W domu. - Wrócili do furtki. Emanuel szedł po jędrzej stronie płotu z palików, Laura po drugiej. Szła lekkim, szybkim krokiem, lecz przed wejściem do domu jeszcze raz spojrzała na skąpany w przejrzystym świetle ogród, na wzniesienia i puste ścieżki.

Kiedy przyjechali, była zmieszana. Zapomniała, że Emanuel powiedział, iż z Itale przyjechał ktoś obcy. Kiedy kabriolet wyjechał późnym wieczorem spod dębów i widziała sylwetki siedzących mężczyzn, nie potrafiła powiedzieć, który z nich jest jej bratem. Wyszła im na spotkanie z matką i wujem, czuła, jak idzie po krótkiej trawie w ciepłym powietrzu zmierzchu. Z kabrioletu wyskoczył i podszedł do nich wysoki mężczyzna, to jego niebieski surdut, to Itale! Kiedy obejmowała go ramionami, wydał się jej bardzo chudy, drobny jak dziecko, ale jego twarz była teraz twarzą mężczyzny, czy to jej brat? Kim jest ten drugi człowiek z obandażowaną ręką, trzymający się nieco na uboczu?

- Witaj w domu - powiedziała do niego i po chwili obcy się uśmiechnął, ktoś inny się roześmiał. Nagle poczuła się szczęśliwa, chwyciła mijającą chwilę, która już nie powróci, była sobą, skończyło się czekanie, byli w domu. - Chodźcie, chodźcie do domu - ponaglała ich, ojca, brata, obcego...

ROZDZIAŁ 2

Późnym wrześnieowym popołudniem Itale przechodził obok sadów Valtorsy, gdzie złociste światło było poprzecinane przezroczystymi ścianami cienia, kładącego się na wschód od każdego rzędu drzew. Zobaczył, że drogą naprzeciw idzie Laura.

- List - zawołała - wujek go przywiózł - a kiedy się zeszedł, dodała: - Czy winogrona są już gotowe do zbioru?

- Jutro będziemy zbierać winogrona Oriya.

Kiedy szli obok siebie, Itale otworzył list i przeczytał go mrużąc oczy w poziomych promieniach słońca. Był napisany w Solarij.

"Kochany Itale! Stary hrabia pisze, że jesteś w domu. Ja też. Zostałem wypuszczony dwudziestego, dotarłem do Kolonnarmana, skąd zostałem odesłany z powrotem pod eskortą. Wypuścili mnie po trzech przesłuchaniach, przeszedłem na drugą stronę ulicy, sprowadzili mnie z powrotem na kolejne dwa. Jestem w domu od tygodnia, ale nie mogę powiedzieć, że liczę na dłuższy pobyt. Napisała do mnie narzeczona K. Miał poważne wstrząśnienie mózgu, ale wraca do zdrowia i mają się pobrać w październiku. Pewnie wiesz, że młody V. nie miał tyle szczęścia. A może w końcu okaże się, że miał go więcej od nas, kto wie. Odwiedziłem G. F. Nosi gorset, atlasową kamizelkę, ma zegarek na złotym łańcuszku, żonę, małego synka; nie zaprosił mnie na drugą wizytę. Czy masz jakieś wiadomości o Carlo? Nikt o nim nie słyszał od czasów przyjęcia i bardzo się o niego martwię. Podejmę studia i chcę złożyć egzaminy adwokackie, ponieważ przekonałem się, że dziennikarstwo nie popłaca. Napisz do mnie. Pozostaję szczerze oddany, Tomas".

- To od pana Brelavaya, prawda?

- Tak. Znasz jego pismo?

- Pisał do nas kilka razy, kiedy byłeś w więzieniu. Musiało to być dla niego trudne, nigdy nie miał dobrych wiadomości, ale sprawiał takie sympatyczne wrażenie.

- Masz, przeczytaj. - Musiał wyjaśnić jej inicjały. - K to Karantay, wiesz, ten pisarz. Został ranny na ulicy Palazay, kiedy walczyli ze strażą. V to Vernoy. Student. Został zabity. Givan Frenin był naszym przyjacielem ze studiów. Trzy lata temu pojechał do domu, jest teraz kupcem w Solarij. I tak zakazali mu wstępu do stolicy. Biedny Brelavay! Musi się tam czuć samotnie!

- Kto to jest Carlo?

- Och, Sangiusto. Swoje listy pisane z Anglii do gazet podpisywał jako Carlo Franceschi. To pewnie jego drugie imię.

- Znasz go od dawna?

- Spotkałem go po raz pierwszy w Aisnar w dwudziestym siódmym. Ale poznałem go w lipcu.

- Był z tobą... podczas walk?

Skinął głową. Rzucił okiem na jej ładną, dość bladą twarz i brązowe włosy, zebrane w luźny kok. Szła obok niego dotrzymując mu kroku. W ciągu czterech tygodni, jakie spędził w domu, jej obecność bardzo mu pomagała, a jednak rzadko rozmawiał z nią o czymś innym niż o sprawach bieżących, o zdrowiu Guide'a, sprawach dotyczących gospodarstwa i rachunków. Nauczyła się prowadzić księgi, lecz kiedy Itale pochwalił ją za porządek i przejrzystość rachunków, Laura westchnęła i powiedziała: - Nie cierpię ich. Robię to, bo tylko na tyle mi pozwala. Prowadzę je starannie, bo inaczej od razu się zgubię. Nie znoszę liczb. Wolałabym już sprzątać stajnie. - Potem roześmiała się i zbagatelizowała całą sprawę. Jej wielka dziewczęca szczerłość zmieniła się w nieskończoną kobiecą powściągliwość. Idąc obok swojej siostry Itale zdał sobie sprawę, że nic nie wie o jej życiu.

- Próbuję sobie wyobrazić, co tam robiłeś... jak wyglądało twoje życie. Ta rewolucja...

- Powstanie - poprawił ją łagodnie.

- Powstanie. Powiedziałeś o tym studencie, że został zabity. Wiem, że pana Sangiusto uderzył żołnierz kolbą. Raz mówiłeś o pożarze. Mniej więcej wiem, co robiłeś przedtem, przed więzieniem, bo czytałam twoją gazetę. Ale nigdy nie potrafiłam zrozumieć, wyobrazić sobie twojego życia w Krasnoy. Zupełnie jakbym żyła w jakimś innym świecie.

- W prawdziwym.

- Dlaczego tak mówisz?

- Bo z tamtego życia nic już nie zostało. Skończyło się - minęło, rozpadło się. Z dnia na dzień. Nie miało żadnego znaczenia.

Nadal szła obok niego.

- Sny młodości - rzekł.

- Jedyne znaczenie mojemu życiu nadawała przez pięć lat wiara, że jesteś wolny - że pracujesz dla wolności, robisz dla mnie to, czego ja nie mogę robić - nawet kiedy byłeś w więzieniu - szczególnie wtedy, Itale!

Zatrzymał się, zaskoczony zarliwym i niespodziewanym wyrzutem. Ich spojrzenia na chwilę się spotkały. Zrozumiał, że Laura wie to, czego nie mógł powiedzieć wprost, że mu się nie udało, że jest całkowicie pokonany - ona wie, ale nie przywiązuje do tej sprawy szczególnej wagi, nie widzi w nim nieudacznika czy głupca. Gdyby tak nie było, nie robiłaby mu wyrzutów.

- Ale nie wolno ci mi zaufać, Lauro! - rzekł z rozpaczą, porzucając maskę ironii. - Kiedy mówiłem o wolności, nie wiedziałem, co to jest więzienie. Mówiłem o dobru, lecz... nie znałem zła... jestem odpowiedzialny za wszystko zło, jakie widziałem, za... za śmierć... nic nie mogę na to poradzić. Mogę jedynie milczeć, nie mówić tego, co mówię teraz. Pozwól mi milczeć, nie chcę wyrządzić więcej krzywd!

- Życie jest krzywdą - powiedziała Laura cicho, sucho.

Szli dalej, aż wreszcie zobaczyli sady, ciągnące się nad domem rodziny Sorde, a nad nimi zalesione zbocza.

- Gdyby odwołano zakaz, to wróciłbyś do Krasnoy?

- Nie wiem. Na pewno nie szybko. W każdym razie, póki ojciec jest chory, bardziej jestem potrzebny tutaj.

- Tak. Oczywiście. Ale on... Pewnego dnia zachoruje, pewnego dnia umrze. Taka jest prawda.

- Ale wtedy w nią nie wierzyłem - powiedział bardzo cicho.

- Wiem - odparła i Itale zobaczył ku swemu zdumieniu, że Laura się uśmiecha. - Chciałam powiedzieć, że nie powinieneś się martwić - martwić o majątek. Kiedy nadejdzie czas wyjazdu. Nie dorównuję Pierze, ale przynajmniej potrafię utrzymać wszystko w ruchu. Możesz na mnie liczyć.

- Dopiero wróciłem do domu, na litość boską, czy próbujesz mnie gdzieś odesłać?

- Próbuję cię przekonać, że bez względu na to, co mówi głupia policja, jesteś wolnym człowiekiem - rzekła gwałtownie. - Czy mnie nie wolno pracować dla wolności? Ty jesteś moją wolnością, Itale.

Nie potrafił nic na to odpowiedzieć.

Kiedy wrócili do domu, Guide zawołał go do biblioteki, żeby omówić z nim zbieranie winogron. Od czasu nawrotu choroby Guide niechętnie przyznał, że wszyscy, łącznie z lekarzem, mieli rację i że jeśli chce jeszcze pożyć, to musi się oszczędzać. Metodycznie zatem odpoczywał o stałych porach, porzucił pewne prace i zajęcia. Zmienił się, włosy całkowicie mu posiwiały, twarz i dłonie miał mniej opalone, a jego szczupła sylwetka sprawiała wrażenie wyższej i delikatniejszej. Kiedy Itale wszedł do pokoju, uderzyło go podobieństwo ojca i Laury, nawet w tonie głosu.

W lakoniczny i przyjazny sposób omówili stan winorośli oraz prawdopodobną szybkość i kolejność zbiorów, jeśli utrzyma się łagodna pogoda.

- Jeśli zrobi się gorąco - powiedział Guide, zwracając uwagę ich obu na gorączkową, nieprzerwaną pracę narzucaną przez upały podczas zbiorów winogron, niewielkie doświadczenie Itale oraz może własne nie całkiem odzyskane zdrowie - jest jednak Bron.

- Tak. Dzięki Bogu. I Sangiusto.

- Dobrze sobie radzi przy sadach. Słuchaj Brona.

Itale uśmiechnął się. Czekał, kiedy ojciec przyzna, że Sangiusto mu się podoba. "Dobrze sobie radzi przy sadach" było tego potwierdzeniem.

- Masz wozy Sorentayów?

- Jutro rano.

- Kto pojedzie?

- Karel.

Guide skinął głową.

- To solidny człowiek - rzekł Itale. - Przydałoby mu się szkolenie.

- Po co?

- Pora, żebyśmy mieli rządcę.

Mówił z obojętną otwartością, która była nowa u niego, lecz nie u Guide'a.

Ojca mocno uraziła ta propozycja, ale znalazł się w potrzasku. Nie mógł już udawać, że może kontynuować pracę, gdyby Itale wyjechał, ani nie mógł przyznać, że przeraża go myśl o wyjeździe Itale, ukryta w sugestii zatrudnienia rządcy. Siedział na kanapie pod oknami, próbując wymyślić jakiś logiczny argument. Zmarszczył brwi, lecz powoli i z dziwnym przekonaniem zrozumiał, że taki argument nie istnieje. Gdyby miał prawo weta, nawet by go nie szukał. Nie sprawował już całej władzy. Kiedyś, w ciągu tych minionych tygodni, nawet tego nie zauważywszy abdykował, a jego syn, równie nieświadomie, objął swoje dziedzictwo.

- Dobrze - powiedział. - Uważasz, że Karel jest odpowiednim człowiekiem?

Spojrzawszy w stronę ojca Itale zauważył na jego twarzy cień zadowolenia i bardzo się zdziwił. Sądził, że dojdzie do kłótni na ten temat. Zaniepokoiło go, że Guide nie protestuje i w dodatku jeszcze się uśmiecha.

- Może wybiegam zbyt daleko w przyszłość...

- Może - powiedział Guide. - Jest jeszcze Payssy. Mógłby być lepszy od Karela. Idź już, mam tutaj odpoczywać do kolacji.

Itale skłonił się i wyszedł, a Guide położył się na kanapie zgodnie z zaleceniami lekarza. Czuł się jakby pusty i bardzo lekki, pomyślał, że tak może się czuć kobieta po porodzie, lekka, spokojna, zmęczona. Dziwnie jest porównywać się do kobiety, i to kobiety po porodzie. Lecz widział twarz Eleonory rano po urodzeniu Itale: jej uśmiech, centrum jego życia. Nic jego własnego.

Nad jeziorem urzekał wspaniałym widokiem czerwony zachód słońca, pogoda się zmieniała. Następny dzień był gorący, a kolejny jeszcze gorętszy.

Itale wstał o czwartej i cały dzień, aż do zmroku, spędził w winnicach i w winiarni. Nie widział niczego poza winoroślą, winogronami, skrzynkami, koszami, wózkami i wozami wyładowanymi winogronami, prasami na kamiennym podwórzu, poplamionymi i śmierdzącymi moszczem, krótkim, ciemnym chłodem wykopanych w zboczu wzgórza składów, łukiem zataczanym przez słońce na gorącym, wrześniowym niebie. A potem praca została zakończona i trzeba było zbierać inne plony z pól i sadów. Itale wykonywał wszystkie czynności w milczącym skupieniu i starał się być cierpliwy, lecz łatwo wpadał w złość, kiedy przekraczał granice wytrzymałości fizycznej. Nie odrywał wzroku od roboty, by choć raz spojrzeć w tył lub w przód. Większość dnia spędzał na dworze, na polach i w sadach, i częściej bywał w budynkach gospodarskich niż w domu, dokąd przychodził tylko po to, by coś zjeść i pójść spać. Mając mniej pilną pracę, poszedł kilka razy na polowanie z wnukiem Brona Payssym i Berke Gavreyem, z którym nawiązał milczącą przyjaźń, i z Sangiustem. Jeździł do Portacheyki jak najrzadziej i nie składał żadnych wizyt. Kiedy przychodził Rodenne, Sorentayowie lub inni sąsiedzi, często zastępował Guide'a, witając ich ze sztywną uprzejmością i dbając, by przyjęcie było szczodre, a potem siadywał w milczeniu, nie biorąc udziału w rozmowie.

Matka obserwowała go i nic nie mówiła. Podobnie obserwowała przez trzydzieści lat Guide'a. Często, zajmując się pracami domowymi czy leżąc w jesiennym mroku, myślała o wesołym dziecku, niezgrabnym, szarmanckim chłopcu i mężczyźnie, na jakiego zaczął wyrastać. Nie był to jednak ten sam mężczyzna, ten ponury, niespokojny, milczący mężczyzna, ten drugi Guide - a tak niepodobny do Guide'a, jakiego poznała, bo Guide jako młody mężczyzna cieszył się pracą i nie odniósł żadnej porażki. W czasie owych październikowych, bezsennych nocy duszę Eleonory wypełniały gorycz i uraza do świata, który młodości ofiarowuje wielką szansę, a kiedy przychodzi do ostatecznego rozrachunku, przydziela tak zawężony los; podobne odczucia miały jej córka i Piera, co nie uszło uwagi Eleonory, lecz nie miała dla nich wielkiej nadziei, a żadnej dla siebie.

Sangiusto pracował razem z Itale, pomagał w domu, był miły dla wszystkich, żeglował "Falkone". Narzeczona Karantaya przysłała tajne z konieczności ostrzeżenie: rząd zna nazwisko i wygląd Sangiusta i kazał szukać go na granicach, jako zawodowego rewolucjonistę. Na to Sangiusto oznajmił, jakby przyjmując wyzwanie, że przejdzie pieszo przez góry w okolicach Val Altesma, gdzie nie ma punktów granicznych.

- Po co? - zapytał Itale. - Dokąd?

- Do Francji.

- Nie zostawiaj mnie w tej krytycznej chwili. - Pójdę po zbiorach gruszek.

- Nie możesz iść przez góry w zimie.

- Następnej wiosny - rzekł Sangiusto.

Został. Był tak sympatyczny, solidny i wesoły, że jego obecność Itale traktował jako coś oczywistego, nigdy nie podając w wątpliwość ich przyjaźni, ledwo pamiętając jej początki. Zapomniał nawet o tym, że przed ich spotkaniem Sangiusto miał jakieś swoje życie, o którym on nic nie wie. Pewnego dnia pod koniec października, pierwszego dnia deszczów, przyjechał do sadów gruszkowych po Sangiusta, lecz nie mógł go znaleźć. Przywiązał do drzewa swojego konia oraz przyprowadzonego luzaka i dwadzieścia minut chodził między drzewami, zanim natknął się na przyjaciela, stojącego pod gruszą z dziwnym wyrazem twarzy. Między rzędami drzew błysnęła czerwona jak granaty spódnica i biała bluzka. Na liście i trawę miękko padał gęsty deszcz.

- Wołałem cię - powiedział zmoknięty i rozzłoszczony Itale głosem pełnym wyrzutu.

- Wiem. Słyszałem. - Sangiusto zamrugał oczyma, odepchnął się od drzewa i zaczął iść obok Itale.

- Czy to była Annina Marty?

- Tak.

Itale przez chwilę milczał.

- Dopiero skończyła piętnaście lat.

- Wiem.

Wsiedli na konie i jechali nic nie mówiąc. Nagle Sangiusto zaczął się śmiać, a Itale poczerwieniał.

- Wiem, wiem. Ale ktoś musi rozmawiać z ładnymi dziewczętami, patrzeć na nie, prawda?

Po cóż innego byłyby ładne?

- Jestem za nią...

- Odpowiedzialny, oczywiście. Nie uczynię jej brzemienną.

- Wiem o tym.

- Więc dlaczego jesteś taki zły? - powiedział Sangiusto nieco innym tonem. - Zły na mnie?

Czego ode mnie chcesz? Oczekujesz godności, wstrzemięźliwości, romantycznej namiętności? Mam to za sobą. Wolę już całować w sadzie ładne dziewczęta. Z przykrością stwierdzam, że jestem o dziesięć lat od ciebie starszy. Przeżyłem już romantyczną namiętność. Zakochałem się i zaręczyłem z młodą damą. To było w 1819. O Boże, ależ ja byłem zakochany, pisałem wiersze, schudłem. Znalazłem się w więzieniu i schudłem jeszcze bardziej, a ona wyszła za mąż w Mediolanie za austriackiego oficera. Dowiedziałem się o tym, kiedy wyszedłem na wolność. Tak. Sam widzisz. Austria odebrała mi moje dzieci, zanim się urodziły... Więc przechodzę góry i zostaję nikim, zawsze na wygnaniu. Ale już z tym skończyłem, na zawsze, skończyłem z miłością, z

młodymi damami. Ale kiedy spotykam Anninę, a ona się uśmiecha? Gesummaña, Itale, czego ty chcesz?

Itale wyjąkał:

- Przepraszam, Francesco. - Poczzerwieniał i zamilkł. Kiedy jednak ochłonął nieco ze wstydu, zastanowiła go trochę siła zaprzeczeń Sangiusta.

Tymczasem Włoch, pogodny jak zwykle, poderwał swego młodego konia do wspięcia się na tylnych nogach, wystawił twarz na padający z poszarpanych chmur deszcz i coś zanucił, a potem zaśpiewał silnym tenorem.

- Un soave non so che... Ha! Ta świnia Rossini! Czy wiesz, że napisał oratorium dla Metternicha "Święte Przymierze"? Muzycy to idioci, błogosławieni idioci, Bóg pozbawił ich rozsądku. Popatrz, twój hrabia zebrał już swoje renety. Może i my zaczniemy? Ta mała hrabianka jest bardzo mądra, jeśli chodzi o sady.

Itale nic nie odpowiedział. Kłusowali w deszczu do domu nad jeziorem.

Denerwował się przed wizytą Valtorskarów drugiego wieczora jego pobytu w domu, jednak gdy tylko ich zobaczył, jego niepokój i podniecenie zniknęły. Ciepło przywitał hrabiego Orlanta, z żalem zauważając, jak ten krzepki mężczyzna się postarzał. Obok niego stała Piera - prawie się nie zmieniła, pomyślał - chociaż musiała już mieć dwadzieścia jeden czy dwadzieścia dwa lata: ciągle mała, z okrągłą, dziecinną twarzą, nieśmiałym dziewczęcym zachowaniem, uśmiechem i taktowną uprzejmością. Żywiołowość dziecka zniknęła, niewątpliwie wyszana przez to samotne życie, a nie zastąpiła jej bogatsza osobowość, rozkwitająca kobiecość. Była jałowa, zwiędła przed kwitnieniem. Spostrzegł to, rozkoszując się w pewnym stopniu goryczą kolejnego utwierdzenia się w przekonaniu, które wyraźnie nawiedziło go po raz pierwszy w przydrożnej gospodzie w Bara, że wszystko, dla czego pracował, całe jego pojmowanie wolności, było złudzeniem - fantazjowaniem, próżnym gadaniem. Estenskar to dostrzegł. Ta dziewczyna też to na swój sposób dostrzegła. Wiedział o tym Żyd Mojsze i dziewczynka w Bara, dziewczynka o tępych spojrzeniu i grubych, spękanych, brudnych dłoniach, znająca tylko własne potrzeby, które nigdy nie zostaną zaspokojone, i wiedząca lepiej od nich wszystkich, że wolność nie istnieje.

Laura była w ogrodzie za domem. Ubrana w płaszcz przypominający namiot i bezkształtny kapelusz przycinała róże, zasadzone przez dziadka. Skończyło się już ostatnie kwitnienie w tym roku i liście na powykręcanych, mokrych od deszczu gałązkach wyglądały jak zardzewiałe. Kiedy dwaj jeźdźcy zjechali drogą, obejrzała się i uniosła rękę z sekatorem w geście pozdrowienia.

- A, jest... - powiedział nieoczekiwanie Sangiusto, zamasyście machnął ręką i zamilkł.

Laura podeszła do płotu.

- Zmokłe szczury - powiedziała.

- Przycinasz róże zbyt wcześnie!

- Wycinam tylko martwe gałązki.

Itale wstrzymał konia i obserwował ich: wysoką, uśmiechniętą kobietę, z delikatnymi, szczupłymi dłońmi mokrymi od deszczu, i przystojnego, ożywionego mężczyznę na koniu, zadającego jej jakieś pytanie o mandevilię suaveolens.

- Tak, przy ścieżce od frontu - odparła. - Jedyna w całej dolinie. Dziadek ją posadził.

- Wiesz co, zaprowadzę konia do stajni i wrócę.

- Ja go wezmę - powiedział Itale. Sangiusto podał Itale wodze, przeskoczył przez płot i odszedł z Laurą przez wilgotny, jesienny ogród.

Na zawsze już z tym skończyłeś, co? - pomyślał Itale prowadząc siwka do stajni, a serce miał rozdarte między czułością i urazą.

Październik skończył się deszczem i mgłami, chociaż miał kilka złocistych wieczorów. Listopad zaczął się zimnem, a pewnego poranka w połowie miesiąca Itale obudzwszy się zobaczył przez okno, na tle ciemnoszarego nieba, szczyt Myśliwego pobielony śniegiem. Pracy ubywało, gospodarstwo zapadało w zimową, ciepłą senność. Chociaż drogi były kiepskie, między gospodarstwami i domami w Val Malafrena ciągle krążyli goście, każdego popołudnia we frontowym pokoju przewijali się jacyś ludzie, rozlegały się kobiece głosy, Eva biegła z tacą ciastek, wina truskawkowego i wiśniówki, albo Kass wyprowadzał kabriolet, żeby zawieźć Eleonorę i Laurę do Pannesów czy Sorentayów. Guide rzadko wychodził z domu, jeśli było zimno. Wykonywał drobne prace, naprawiał uprzęż i meble, ostrzył narzędzia, co niegdyś zostawiał służbie lub robił w pół godziny przed śniadaniem. Regularnie odpoczywał na kanapie w bibliotece, a potem, jeśli nie przyszli goście, schodził do frontowego pokoju, gdzie powoli, z namysłem i z długimi przerwami przedzierał się przez Wergiliusza. Z tego egzemplarza "Eneidy" uczył się w szkole on sam, a potem Itale, znajdował więc w nich pełno uczniowskich komentarzy. Przy czytaniu trzymał książkę na kolanach - bo był dalekowiedzem. Itale, który nigdy nie widział czytającego ojca, zdumiewał się na ów widok. Guide siedział nieruchomo, z książką w odległości jarda od oczu, sprawiając wrażenie, iż nie tyle czyta, ile dzięki długiemu, milczącemu wpatrywaniu się w stronicę wchłania z historii opowiedzianej w zniszczonej, pomazanej książce całą zawartą w niej czułość, heroizm i ból. Jeśli przychodzili goście, witał się z nimi, lecz często uciekał do swej samotności w bibliotece, jeśli jednak była to Eleonora, Laura czy Piera, zostawał z nimi. Także Itale, kiedy wracał o zmierzchu i zdejmował kozuch, cieszył się z towarzystwa rodziny, lecz dopiero wtedy, nie wcześniej. Napędzał go bezlitosny niepokój, ta sama potężna, bezrozumna energia, która kazała mu wrócić z Soveny do Krasnoy, wziąć udział w sześćdziesięciogodzinnym sierpniowym powstaniu, a potem wyjechać z Krasnoy do Bary, do Malafreny, zebrać winogrona i

przeżyć jesień. Teraz, kiedy nadeszła zima i było mniej pracy, Itale wynajdował sobie jakieś zajęcie, spacerował lub polował. Dopiero gdy czuł się bardzo zmęczony fizycznie, dopiero wtedy mógł wrócić do domu, z zadowoleniem usiąść przy ogniu, rozmawiać z Guide'em o pracy, a z Sangiustem o wydarzeniach w Belgii i Grecji. Niewiele znajdował wspólnych tematów do rozmów z kobietami.

Pewnego grudniowego wieczoru przyszedł do domu wcześniej. Po opadach śniegu nastąpiły deszcze, ziemia rozmiękła, a powietrze było ciężkie od zawiesistej, chłodnej mgły. Mimo nieustannej aktywności Itale przekonał się, że nadal łatwo się przeziębiał, co bardzo mu doskwierało, jakby przesiąkł więzieniem św. Łazarza do szpiku kości. Tego wieczoru miał dreszcze, więc od razu podszedł do kominka. W salonie siedzieli Emanuel i Perneta, hrabia Orlant i Piera, a nawet ciocia, która miała teraz sto lat, usadowiona wygodnie w swoim fotelu z kłębkim czerwonej wełny na kolanach. Zapadła noc, a oni rozmawiali dalej. Ciemność rozświetlał jedynie blask ognia. Sangiusto właśnie skończył opowiadać o swoim kilkuletnim pobycie w Anglii - dla tych słuchaczy było to równie zajmujące, jak ciekawa książka - i hrabia Orlant podsumował temat:

- Anglicy to wspaniały, przedsiębiorczy naród. Dokonali cudów w astronomii.

Kiedy w rozjaśnionym blaskiem płomieni półmroku Itale podszedł do fotela Guide'a, ojciec podniósł głowę.

- I ty też jesteś, Itale? - powiedział.

Ciemny pokój, cztery świece, pokój, gdzie była śmierć, i głos jego ojca.

- Jestem. - Usiadł na siedzisku przy kominku obok fotela Guide'a i wyciągnął do ognia dłoń, tłumiąc drżenie i czując, że nigdy się nie rozgrzeje.

- Itale, kochanie - powitała go pogodnie matka. - Jesteś głodny? Eva ma jakieś kłopoty z kurczęciem. To rasa Stary George. Gotowanie trwa mnóstwo czasu, a w ogóle nadaje się tylko na zupę. I baranina wysycha. Nie ma jednak sensu nawet próbować sprzeczać się z Evą, skoro prowadzi kuchnię od trzydziestu lat, musimy wszyscy razem po prostu się postarzyć i na siebie złościć. Chociaż wam, młodym, może być z tym ciężko. Macie jednak lepsze zęby...

- Czy jeszcze pada? - zapytał hrabia Orlant.

- Tak. Nawet bardziej.

Rozmowa znów się ożywiła, mimo że Itale i Guide milczeli.

Piera też się nie odzywała. Siedziała po drugiej stronie kominka. Zwykle mało mówiła, kiedy rodziny były razem. Itale widywał ją, jak rozmawiała z Laurą całymi popołudniami tu, przy kominku lub u podnóża zbocza, przy hangarze na łodzie, ale wydawało się, że Piera rozmawia tylko z Laurą. Zerknął na nią przypominając sobie, że Sangiusto kilka razy wspominał o jej urodzie. Sangiusto chętnie przyznawał, że kobiety są piękne, ale czy on sam z jakiegoś powodu tylko sobie

wmówił, że Pjera jest pospolita? Z pewnością ma ładne rysy i figurę bez zarzutu. Ale jest pospolita. Nic dziwnego, skoro spędza życie między Malafreną i Portacheyką, przebywała dwa lata w przyklasztornej szkole w Aisnar, zerwała zaręczyny z czterdziestokilkuletnim wdowcem i wypełnia sobie czas próbami prowadzenia majątku - nic dziwnego, że jest sucha i bezbarwna, niczym zwiędła gałązka. Życie pokonało ją, zanim jeszcze na dobre zaczęła żyć. Jest słaba, a nie otrzymała żadnej broni, za pomocą której mogłaby opóźnić to, co nieuniknione, walczyć przez chwilę, zanim przegra beznadziejną walkę. To nie jest jej wina.

Twarz zaczęła go przyjemnie szczytać od gorącego, jasnego ognia, poczuł także jego ciepło przez koszulę. Pjera uniosła rękę, by osłonić przed gorącym twarz. Spojrzała na Itale ponad delikatną, oświetloną czerwonym blaskiem dłonią.

- Nie widzieliśmy cię od kilku dni - powiedział uprzejmie.

- Tak - odparła - z powodu złej pogody. Mam dla ciebie książkę, wreszcie przypomniałam sobie, że muszę ją przynieść.

- Książkę?

- Tak. Należy do ciebie, a mnie się już nie przyda. Itale patrzył na nią bez słowa.

- Pewnie zapomniałeś. Pożyczyłeś mi ją dawno temu, przed pięciu laty. Ma tytuł "Nowe życie".

- Ja ci jej nie pożyczyłem. Dałem ci ją.

- Zwracam ją - odparła Pjera.

Emanuel patrzył na ich profile, odcinające się od ognia. Itale sprawiał wrażenie zapędzonego w kozi róg. Najwyraźniej Pjera ma dość bycia nie zauważaną. Kiedy już się zdecyduje, na pewno wie, jak zaakcentować swoją obecność, a w swoich umiejętnościach stała się wręcz groźna. Berke Gavrey, jej posłuszny zastępca, powiedział Emanuelowi, że w ciągu dwóch lat podwoiła gotówkowe przychody Valtorsy i że zyski przeznacza na różne udoskonalenia. Emanuel spotykał się z nią w Portacheyce w sprawach związanych z prowadzeniem majątku i kilka razy występował jako jej prawnik czy doradca prawny. Przekonał się, że jest rozważna i stanowcza, co czyniło z niej wspaniałą klientkę, chociaż wolałby, gdyby takie cechy należały do jakiegoś młodzieńca. - Ma dużo silnej woli - powiedział Emanuel do Pernety, która odparła: - A ty byś wolał, żeby była niedorozwinięta umysłowo? - według niego niesprawiedliwie. Ale jeśli potrafi przebić skorupę milczenia Itale, to znaczy, że potrafi coś więcej. Coś takiego wymaga wewnętrznej siły i lotnego umysłu. Itale łatwo zapędzić w kozi róg, bo nigdy nie ma się na baczności, ale dotknąć go, utrzymać czy zmienić, wcale nie jest łatwo.

- Piero - powiedział Itale - ja...

- Jeśli chcesz, napiszę coś w środku, żeby wyglądało na podarunek.

- Nie...

- Tutaj kończy się nowe życie. Z najlepszymi życzeniami od Piery Valtorskar. Czy tak będzie dobrze? Jest w mojej torbie z robótką na kredensie.

- Piero, posłuchaj, to było... to było dawno temu, ale...

- Czasy się zmieniają.

- Nie przyjmę jej z powrotem. Spal ją, jeśli chcesz! - Itale wstał, podszedł wielkimi krokami do południowych okien i stał tam odwrócony do wszystkich plecami.

Piera siedziała przy kominku. Ogień odbijał się na jej twarzy refleksami ciepłej czerwieni. Popatrzyła na Itale. Siedziała bez ruchu z rękami splecionymi na kolanach.

W końcu zapowiedziano kolację. Udając się z Pernetą do jadalni, Itale patrzył na idących przed nimi siostrę i Sangiusta. Laura i Francesco! - sonety dla pięknych dam, tego już za wiele. Głupio zrobił sprowadzając tu Włocha, a Sangiusto, bezdomny, pozbawiony celu w życiu człowiek, powinien być mądrzejszy i nie bawić się w Petrarke, uciekając przed cesarską policją. Co według nich ma z tego wyjść? Śnią na jawie, zartują. Wczoraj Sangiusto powiedział mu: - Żałuję, że wszystkie moje pieniądze są ulokowane w naszej ziemi, w Piemencie, myślę, że mógłbym tu być dobrym gospodarzem - pięćdziesiąt akrów takiego sadu... - Potem się roześmiał, wypuścił swego zwawego konia i pogalopował przed Itale śpiewając "Un soave non so che... "

Przy baraninie powiedział poważnie:

- Itale, twoja siostra, być może, wyjaśniła list od Karantaya.

W zeszłym tygodniu przyszedł drugi list od Karantaya z wiadomościami o wspólnych znajomych i niedawnych wydarzeniach, w którym pod koniec, w środku zdania o czymś innym, znalazło się dziwne wyrażenie: "Skoro już nie jestem autorem dzieł literackich". Dokładnie przeanalizowali treść tego listu, bo w zimie w Montaynie zawsze omawia się wszystkie listy, wszystkie wieści z zewnątrz, i zastanawiali się nad znaczeniem tego sformułowania nie dochodząc do żadnych wniosków.

- Przypuszczam - powiedziała Laura - że on chce powiedzieć, że jeszcze nie wyzdrowiał - że nie czuje się na tyle dobrze, żeby pisać. Wydaje się, że jego ślub został odłożony. I sam mówiłeś, kiedy przyszedł jego pierwszy list, że bardzo mu się zmienił charakter pisma.

- Co mu się stało? - zapytała Pernetą.

- Otrzymał cięcie szablą w głowę podczas ataku na ulicy Palazay.

- Biedak - powiedział hrabia Orlant.

- Myślałem, że chce powiedzieć... - zaczął Itale. Teoria Laury ścisła za serce swoim prawdopodobieństwem. Nie chciał w nią wierzyć.

- Może wyzdrowieć - powiedział jak zawsze spokojny, jak zawsze pełen nadziei Sangiusto, lecz tym razem bezwiednie ujawnił, chyba tylko oczom Itale, podłoże swojej nadziei i spokoju - ogromny, niezmienny smutek jakby wpisany w jego życie.

- Książka Karantaya bardzo mi się miejscami podobała - powiedziała Perneteta.

- Mnie zachwyciła - rzekła Eleonora. - Mogłabyś mi już ją oddać, Perneteta, trzymasz ją od trzech lat, a ja chciałabym ją przeczytać. Przy końcu była tak przygnębiająca.

- Chcesz powiedzieć, że nie skończyłaś jej, Lele? - zapytał z uśmiechem Emanuel.

- Nie chciałam. Bałam się, że on umrze. Wiem, że głupio jest płakać nad książkami, ale zawsze płakałam nad "Nową Heloizą", a w tej książce jest o wiele więcej powodów do płaczu.

- Ma szczęśliwe zakończenie, mam - powiedziała Laura ze swym szerokim, uroczym uśmiechem.

- Ciągle myślałam, że ten młody człowiek, jak on się nazywa - rzekła Perneteta - Livye, jest jak Itale.

- I oczywiście dlatego płakałam - powiedziała Eleonora.

- Karantay wymyślił tę książkę, zanim mnie poznał - rzekł z hamowaną gwałtownością Itale.

- Niemniej jednak może odzwierciedlać prawdziwe życie - zauważył Sangiusto. - Pisze o swoim pokoleniu.

- Ale ona nie jest prawdziwa. To wspaniała książka, lecz w pewnym sensie fałszywa - sam Karantay jest absolutnie zrównoważony i szczerzy, a ta książka wyłącznie pokazuje wzloty, upadki i przesadę. Nikt się tak nie zachowuje.

- A po co pisać romans o nieromantycznych ludziach? - spytał Emanuel.

- To oczywiście wspaniała książka, najlepsza, jaką mamy, ale mógł zrobić... mógł dokonać znacznie większych rzeczy!

- I dokona ich - rzekł Sangiusto podnosząc kieliszek wina jakby w prywatnym toaście. - Z Bożą pomocą.

Rozmowa toczyła się dalej, na stole pojawiało się i znikowało z talerzy dobre, ciężkie jedzenie, zwykłe, znajome twarze jaśniały w blasku świec wesołością. Itale unikał patrzenia na Pierę i usiłował nie myśleć o Karantayu. Pił więcej wina niż zwykle, lecz jego nieprzyjemne skrępowanie nie mijało. Otacza go jego własna rodzina, lecz on do niej nie należy. Ci ludzie są u siebie w domu, wszyscy oprócz niego są u siebie w domu. Goja zrobiłem? - pomyślał. Dlaczego nie mam domu?

- Napisałeś kiedyś o pewnym człowieku - zwrócił się do niego bez wstępów Guide - który znał mojego ojca. Kto to był?

Wyrwany z rozmyślań Itale spróbował opisać hrabiego Helleskara. Mówił tak sugestywnie, że brzmiało to jak opis jakiejś postaci z powieści Karantaya, czym zafascynował słuchaczy. Zadawali pytania i Itale opowiedział, jak poznał starego Helleskara przez jego syna, oraz wspomniał Paludeskarów, Enrike'a i Luisę.

- Hrabianka Luisa - powiedziała Perneta. - Ona jest w książce!

- Nie są do siebie podobne.

- Ta w książce jest bardzo piękna - powiedziała Laura nie tak znów niewinnym głosem.

- W rzeczywistości także - powiedział poważnie, prawie z wyrzutem, Emanuel.

- Tak - dodała Piera - jest naprawdę piękna. Chyba najpiękniejsza kobieta, jaką widziałam w życiu.

- Gdzie ją widziałas? - zapytał Itale, zmuszony do odezwania się przez niewiarygodną dla niego myśl o Luisie i Pierze, znajdujących się w jednym pokoju.

- W Aisnar, w domu mojego narzeczonego.

- Wiedziałaś, że jest dobra - powiedziała Perneta z tą samą powagą, co Emanuel - cieszę się, że jest też piękna. - Spojrzała niespokojnie na Itale, jakby chciała jeszcze o coś zapytać.

- Ma wyjść za mąż - rzekła Laura. - Píše o tym w liście pan Karantay.

- Za George'a Helleskara. Tej wiosny - dodał Itale.

- Piję za jej szczęście - powiedział Emanuel.

Wszyscy wzniesli kieliszki, wypili zdrowie Luisy i zaczęli rozmawiać o czymś innym.

ROZDZIAŁ 3

Nazajutrz pogoda była tak brzydka, że tylko Laura zdecydowała się wyruszyć do kościoła. Kiedy czekała przed stajnią, aż Kass zaprzęgnie konia - zdenerwowany koń cofał się, starał się odwrócić tyłem do wiatru, a Kass klął walcząc z uprzężą - pojawił się jej brat.

- Zawiozę cię - powiedział.

- Nie rób sobie kłopotu, Itale.

Nie słuchając jej uspokoił konia klepieniem, zaprzęgnął go, pomógł Laurze wsiąść i ruszył nadbrzeżną drogą do San Larenz, przez ociekające deszczem lasy. Widoczne zza nagich drzew jezioro leżało szare i płaskie.

- Kiedy przestałeś chodzić do kościoła?

- Właśnie się tam wybieram.

Koń szedł po błocie, z gałęzi spadały krople, co pewien czas zaciął mokry śnieg.

- W więzieniu - powiedziała Laura. - Kiedy byłeś w więzieniu...

Po chwili odpowiedział:

- Nie mogłem tam myśleć. Umysł mi nie pracował. Zawsze było ciemno. Najbardziej zbliżyłem się do Boga przez matematykę... Nie na wiele mi się przydała. Wiesz, co pomagało? Nie zawsze, ale najczęściej. Nie chciałem myśleć o Bożej miłości. Myślałem o wodzie w naszej przystani w letnie popołudnie, kiedy światło wpada pod dach od spodu. Albo o talerzach - o talerzach obiadowych, tych, na których jedliśmy wczoraj. Jeśli mogłem je zobaczyć, to wszystko było dobrze. To tyle, jeśli chodzi o sprawy duchowe...

- Jeśli Pan nie zbuduje domu - powiedziała Laura prawie szeptem, lecz z uśmiechem.

Nie wiedział, co chciała przez to powiedzieć. Chociaż mówienie o św. Łazarzu przynosiło ulgę, przychodziło mu też z wielkim trudem. Powoził w milczeniu.

Do św. Anthony'ego przyszło kilka osób z Valtorsy: Piera, Berke Gavrey, Mariya i dwie pokojówki, woźnica Godin. W kapliczce panowało przenikliwe zimno i aż po dach wypełniało ją zimne, szare światło. Podczas mszy Itale siadał, wstawał i klękał z innymi. Tylko kiedy ojciec Klement zaczął: "Credo in unum Deum", zachciało mu się śmiać, lecz z czystej przyjemności. Zrozumiał, co chciała powiedzieć Laura. Zrozumiał, dlaczego mogła do niego powiedzieć: - Jesteś moją wolnością - wiedząc to, czego nie wiedział on, że jego wolnością jest ona, że z domu można wyjechać tylko wtedy, jeżeli on jest. Kto buduje dom i dla kogo, dla kogo go utrzymuje?

Ojciec Klement jak zwykle chciał po mszy porozmawiać z Laurą. Itale czekał na nią w kruchcie kaplicy. Były tam też stara Mariya i pokojówki z Valtorsy, które czekały, żeby Godin i

Gavrey przyprowadzili powozik. Z kaplicy wyszła Piera, wiążąc na głowie chustkę. Spojrzała na Itale, przywitała się uprzejmie i zesła ze schodów na wiatr i deszcz. Nie miała jednak dokąd pójść. Stała wyprostowana przy furtce, tyłem do kaplicy.

Poszedł za nią.

- Może zaczekasz w kruchcie?

Nie odpowiedziała ani się nie odwróciła.

- Schowaj się przed deszczem. Ja zostanę tutaj - powiedział cicho, na wpół żartobliwie.

Podniosła na niego swoje czyste oczy. Płakała albo oczy łzawiły jej od wiatru.

- Jeśli chcesz - odparła i wróciła po schodach do kaplicy.

Podjechał Gavrey, mieszkańcy Valtorsy wsiedli do powoziku i odjechali pod sosnami.

Odwrócił się i stał z rękoma na furtce, patrząc na jezioro i ciemne góry po jego drugiej stronie. Wiatr wiał mu prosto w oczy, nad głową niesutannie kłębiły się milczące, szare chmury. Przypomniawszy sobie niebo nad dziedzińcem św. Łazarza. Tak samo kłębiły się tam chmury przez całą zimę, przez trzy zimy, obojętne, nieosiągalne, piękne. Nie można było niczego zatrzymać. Życie pędzi jak chmury. Jedna osoba podróżuje, druga zostaje na miejscu, a jednak spotykają się gdzieś po drodze, a ich spotkanie jest jedynym celem podróży i treścią wierności. Kształt i ruch chmury.

Kilka jardów od niego, po drugiej stronie cmentarnej furtki, leżał grób z nazwiskiem jego dziada, jego nazwiskiem. Przypomniawszy sobie tę chwilę z poprzedniego wieczoru, kiedy pytanie ojca "I ty też tu jesteś, Itale?" wydobyło mu z pamięci najwcześniejsze i najstraszniejsze wspomnienie. Nie było już jednak straszne.

- Jestem - powiedział do wiatru.

Laura wyszła już z kaplicy, więc poszedł po dwukólkę. Kiedy wracali, wiatr przycichł, a na drodze szeptał delikatny, zimowy deszczyk, unoszący się też szarymi płachtami nad lasem i jeziorem. Góry rozbrzmiewały szumem deszczu.

Zima była niezwykle mokra, lecz nie spadło dużo śniegu i wiosna przyszła wcześniej. W połowie marca, kiedy północny wiatr oczyścił niebo, las falował jasną zielenią młodych pędów na końcach ciemnych gałęzi, a w wietrzne poranki ta sama jasna, czysta zieleń załamywała się w falach jeziora. Ponieważ o poranku równonocy mocno padało, Laura i Itale odłożyli planowaną wyprawę do Evalde do pierwszego pogodnego dnia. Padało prawie codziennie aż do początków kwietnia, a wtedy Laura nie mówiąc nic bratu zaprosiła wszystkich na wspólną wycieczkę. Zaproszenie przyjęli Sangiusto i Valtorskarowie. Itale był urażony. Cieszył się na wyprawę tak, jak w dzieciństwie, na samotne żeglowanie o świcie małą żaglówką, na uroczystość powitania wiosny. Sądził, że Laura to rozumie i podziela jego uczucia. Tymczasem skończyło się na zwykłej

wycieczce, pozbawionym znaczenia pikniku przy jaskiniach. Wiedział, że będzie skrępowany w towarzystwie Piery. Od czasu, kiedy zobaczył tego zimowego dnia, jak odjeżdża pod sosnami San Larenz, czuł, że musi z nią porozmawiać, ale nie wiedział, co chce jej powiedzieć, a w każdym razie nie mógł tego zrobić, bo ona w ogóle nie chciała się do niego odzywać.

W "Falkone" nie mieściło się pięć osób, więc zamierzali popłynąć "Mazeppą". To przepełniło kielich. Nie będzie żeglował tą balią. Chciał poczuć pod dłonią własną łódkę, więc powiedział autorytatywnie: - Chcę wziąć "Falkone". - Zatem pewnego poranka na początku kwietnia znalazł się w śmigającej po falach żaglówce z Pierą u steru. Wyprzedzali "Mazeppę" o ćwierć mili.

Przełynęli milę, nim padły jakiegokolwiek słowa oprócz wskazówek Itale co do sterowania, bo chciał złapać delikatny, kapryśny wiatr. W końcu nabrali szybkości, a dom na półwyspie pod wielkim zboczem San Givan za nimi zmalął. W ciszy panującej na środku jeziora wyraźnie słyszeli cichy szum wodospadu. Piera siedziała z ręką na rumplu, odwróciwszy swą ciemną głowę od Itale.

- Szkoda, że wiatr nie jest silniejszy - odezwała się - bo moglibyśmy dopłynąć aż do Kiassafonte.

- Na to potrzeba dobrego wiatru i całego dnia - powiedział Itale.

Patrzyła na niego, kiedy wstał, żeby zwinąć linę. Zdjął surdut, a kwietniowe słońce spływało mu na głowę, plecy, ręce, leżące za nim jezioro, góry nad jeziorem. Wiatr rozwiewał mu odrośnięte już, długie brązowe włosy. Odgarnął je z oczu gestem, jaki pamiętała.

- Czy ktoś żeglował kiedyś Kiassą?

- Pier Sorentay popłynął kiedyś łodzią wiosłową, bo się założył. Rozbił ją o skałę tuż za wioską.

- Hoj! Hoj tam!

- To papa tak podskakuje.

- Zawrócimy?

- Nie - odrzekła Piera.

Płynęli dalej. Okrzyki z "Mazeppy" umilkły.

- Chyba nie toną - powiedziała z powątpiewaniem Piera, oglądając się.

- Nie. Zazdroszczą nam - rzekł Itale, którego nastrój poprawiał się z każdą chwilą żeglowania w wietrze i słońcu. Wiatr zaczął jednak cichnąć, a jezioro przypominało taflę szkła.

- Czy będziemy musieli wiosłować?

- Pewnie kiedy Myśliwy zasłoni nas od wiatru.

- Jest tak spokojnie, zupełnie jakbyśmy płynęli w powietrzu...

Wiatru starczyło im do wpłynięcia do zatoki Evalde, w cieniu nachylającej się nad nią góry. Powietrze było tu gorące i nieruchome w południowym upale, a na przejrzystej, brązowej wodzie nie było ani jednej zmarszczki. Itale wiosłował. Przed nimi wznosiły się ciemne urwiska i bazaltowe kolumny. Słyszeli, lecz nie widzieli wodospadu, ukrywającego się przed nimi w szczelinie, jaką sobie wyżłobił w wystających skałach.

- Zupełnie jakbym wiosłował w oliwie - powiedział szeptem w dziwnej ciszy zatoki, w której, poza głąchą wibracją spadającej do jeziora rzeki, nie było słycać żadnego innego dźwięku.

Dopłynęli do żwirowej plaży rozpostartej na kilka jardów po prawej stronie Skały Pustelnika. Itale wyjął wiosła z wody i przez chwilę wyrównywał oddech przed wciągnięciem łódki na brzeg.

- Zadyszałem się - rzucił w kierunku Piery.

Nic nie odpowiedziała, ale spod tylnej ławki wyjęła mały czerpak, nabrała nim przezroczystej wody z jeziora i podała mu. Itale go wziął i napił się.

Skierował łódkę na plażę jednym potężnym uderzeniem wiosła, a kiedy dotknęła dnem żwiru, wskoczył do wody i pchnął ją na tyle daleko na brzeg, żeby Piera mogła wyjść suchą nogą. Dobicie było doskonale wyliczone w czasie, eleganckie i Itale pomógł Pierze wyjść na brzeg z uśmiechem.

"Mazeppa" właśnie wpływała do zatoki, stanowiąc czarną plamkę na jasnej wodzie.

- Czy już wiosłują?

Będąc jak Guide dalekowidzem, Itale popatrzył i powiedział: - Nie.

- No to drugiego śniadania nie będzie jeszcze przez jakiś czas. Od wody odbijał się stłumiony, potężny grzmot kaskady.

- Chodźmy na szczyt wodospadu.

Na szczyt urwiska prowadziła niewyraźna ścieżka. Piera, ubrana w swoją ciemnoczerwoną spódnicę, wyruszyła od razu bardzo szybkim, pewnym krokiem, nie zwalniając nawet wtedy, gdy trzeba było przeskoczyć z głazu na głaz lub gdy czarne, odłupane kawałki skały grzechotały i obsuwały się pod nogami. Itale dotarł na szczyt długo po niej. Wyszedł na otwarte słońce u szczytu wodospadu, gdzie rzeka wypływała z jaskini, by rzucić się pionową szczeliną do jeziora. Patrzyli na wodospad, aż zostali całkowicie oszołomieni i ogłuszeni, lecz wciąż stali zafascynowani. W końcu usiedli na trawie wśród porzrzuconych kamieni, pod niską ścianą urwiska, za którą ciągnęły się jaskinie. Ciemna skała wibrowała od odległego grzmotu - ryku uwięzionej rzeki.

- Czy będą wiedzieli, że jesteśmy na górze?

- Laura ich przyprowadzi. Zawsze tu przychodzimy.

Piera wstała próbując dojrzeć drugą łódź poprzez rosnące poniżej polany sosny. Otaczało ich powietrze przesycone ciepłem i blaskiem słońca. Chodziła niespokojnie, nerwowo po dzikim zboczu wśród skał, tuż przy krawędzi urwiska.

- Piera.

- Tak?

- Co to takiego?

Podeszła powoli, nasłuchując poprzez stłumiony ryk rzeki głosów ich towarzyszy. Itale podał jej gałązkę jakiejś skalnej roślinki. Wzięła ją do ręki i usiadła z cichym westchnieniem.

- Nie wiem. Ładna, jakby paproć z kwiatami.

- Rośnie tylko tutaj.

Piera siedziała, obracając w palcach ukwieconą gałązkę, patrząc na fantastycznie ukształtowane skały, na otaczające ich wysokie sosny i lśniąca jezioro za zatoką. Ze słońca, stojącego wprost nad ich głowami na ciemnobłękitnym niebie, spływał żar i blask, ogarniający całą polanę.

- Piero, muszę cię zapytać... czy Laura jest zakochana?

- Oczywiście - odparła, nie odwracając się.

- Wczoraj wieczorem rozmawiał ze mną Francesco. Powiedział, że nie pomówi z moim ojcem, jeśli tak zdecyduję. Nie wiem, co zrobić.

Teraz na niego patrzyła, lecz nie z wyrzutem czy ironią, jak się tego obawiał.

- Oczywiście decyzja należy do Laury, ale ojciec bardzo się tym przejmie. I nie bez powodu. Francesco jest bezdomnym człowiekiem, praktycznie na utrzymaniu swojej siostry. Austria chyba będzie go ścigać do końca życia. Mógłby wyjechać do Francji czy Anglii, ale co Laura będzie tam robić? Nigdy nie chciała wyjechać z Malafreny... Ja go tu sprowadziłem. Ja za to odpowiadam. Nie wiem, co powiedzieć.

- A dlaczego nie miałyby wyjechać z Malafreny? To ja chciałam zostać. Ona zawsze chciała gdzieś wyjechać, zobaczyć świat. Jej dom będzie tam, gdzie będzie on.

Itale przez chwilę nic nie mówił.

- Nie może teraz wyjechać. Zaaresztują go na granicy.

- Niekoniecznie, jeśli będzie podróżował pod fałszywym nazwiskiem i z żoną - podsunęła Piera łagodnie, zaskakując Itale.

- Rozmawialiście o tym z Laurą?

- Nie o tym... Właściwie dużo o tym nie mówiłyśmy. Wiem, że go kocha. A dlaczego nie mogą zostać tutaj? To znaczy tak długo, jak zechcą. Nikt nie mieszka w starym Domu Posażnym. Myślałam o wyremontowaniu go. Francesco bardzo się przydaje w gospodarstwie.

- Tak - potwierdził oszołomiony Itale.

- Mógłbyś przyjąć go do spółki.

- Do spółki.

- A potem, gdyby któryś z was chciał wrócić na niziny, jeden z was prowadziłby majątek.

- Tak.

- A ponieważ w Domu Posażnym nikt nie mieszka, mogliby w nim zamieszkać oni.

Chciałabym, żeby ktoś o niego dbał.

- Chwileczkę - przerwał jej i po krótkim namyśle powiedział: - To wszystko wydaje się całkiem wykonalne. Chyba... chyba dużo o tym myślałaś?

- Oczywiście.

Głos jej drżał. Znów spojrzał na nią badawczo i ze zdumieniem. Twarz miał poważną i spokojną.

- Ja też chciałam ci coś powiedzieć - odezwała się po chwili Piera. Jej zbyt opanowany głos brzmiał nieco piskliwie.

Itale skinął głową, lecz Piera zamilkła na dłuższą chwilę.

- Jest mnóstwo powodów. Zwyczaj. Nasze ziemie stykają się w tylu miejscach. I tak dalej. I chyba rozmawiano o tym, kiedy byliśmy dziećmi, zawsze tak się robi. Przepraszam, że byłam dla ciebie taka niemiła tamtego wieczoru w zimie. Zachowałam się głupio. Próbowałam tylko powiedzieć to, co mówię teraz. Że ludzie będą myśleć, że... że my się pobierzemy, ale się mylą, a to przeszkadza nam być przyjaciółmi. - Jej cienki, pełen napięcia głos cały czas drżał, lecz był wyraźny. - Chciałabym być twoją przyjaciółką.

- Jesteś nią - powiedział prawie niedosłyszalnie, lecz jego serce mówiło: jesteś moim domem, podróżą i końcem podróży, troską i snem po dniu pełnym trosk.

- Świetnie - rzekła, tym razem z wielkim westchnieniem.

Milczeli przez chwilę, siedząc na trawie w skwarze i blasku południa.

- Kiedyś wrócisz na niziny, prawda?

- Kiedy tylko będę mógł.

- Dobrze. - Uśmiechnęła się nagle. - Nie byłam pewna...

- Zatrzymasz więc "Vita Nova"?

- Przecież cię przeprosiłam - odparła z gniewem.

- Tędy, panie hrabio! - odezwał się wśród sosen głos Laury.

- Musisz ją zatrzymać - powiedział żarliwie. - Nie wiedziałem, po co wyjechałem, dopóki nie wróciłem i musiałem wrócić, żeby się przekonać, że znów muszę wyjechać. Jeszcze nawet nie

zaczęłam swojego nowego życia. Zaczynam je cały czas. Będę je zaczynał do śmierci. Zatrzymasz ją dla mnie, Piero?

- Są tutaj! - oznajmił Sangiusto ze szczytu ścieżki.

Piera przez chwilę patrzyła wprost na Itale, a następnie wstała i poszła przywitać się z przybyłymi.

- No, no, no - powiedział hrabia Orlant, z trudem pokonując kilka ostatnich kroków. - Ależ wspinaczka. Witaj, córko.

- Wiosłowaliście? Trwało to tak długo.

- Wiosłowaliśmy. Laura i ja robiliśmy dwa pociągnięcia na jedno pociągnięcie pana Sangiusta, ale i tak kręciliśmy się w kółko.

- Myślałam, że zechcecie się ochłodzić w jaskiniach - powiedziała Laura do Piery i Itale. - Tu jest tak gorąco jak w lecie!

- Zjedz jabłko, masz czerwoną twarz - powiedział Sangiusto, wyciągając ku niej kosz z pokrywką.

- Jaka urocza uwaga! Owszem, zjem. Chcemy teraz coś zjeść?

- Tak - odparł Itale. - Wszystko, co jest.

- Nie, ja chcę obejrzeć jaskinie - oznajmił Sangiusto, rozprostowując swe silne ramiona i rozglądając się z zachwytem dookoła.

- To daj mi jabłko, fratello mio.

- Wzmocnij go dzbanem, pociesz go jabłkiem - powiedział hrabia Orlant. - Idziecie wszyscy?

- A pan nie pójdzie, panie hrabio?

- Nie, chcę tu posiedzieć. Jaskinie, strumienie i temu podobne są dla młodych. Zostawcie mnie zjedzeniem. Idźcie! Chyba nie sądzicie, że zjem wszystko?

- Dobrze, wrócimy za pół godziny.

- Włóż kapelusz, jeśli chcesz siedzieć na słońcu, papo.

- Proszę nam zostawić trochę kości i skórek, panie hrabio!

- Idźcie już, idźcie.